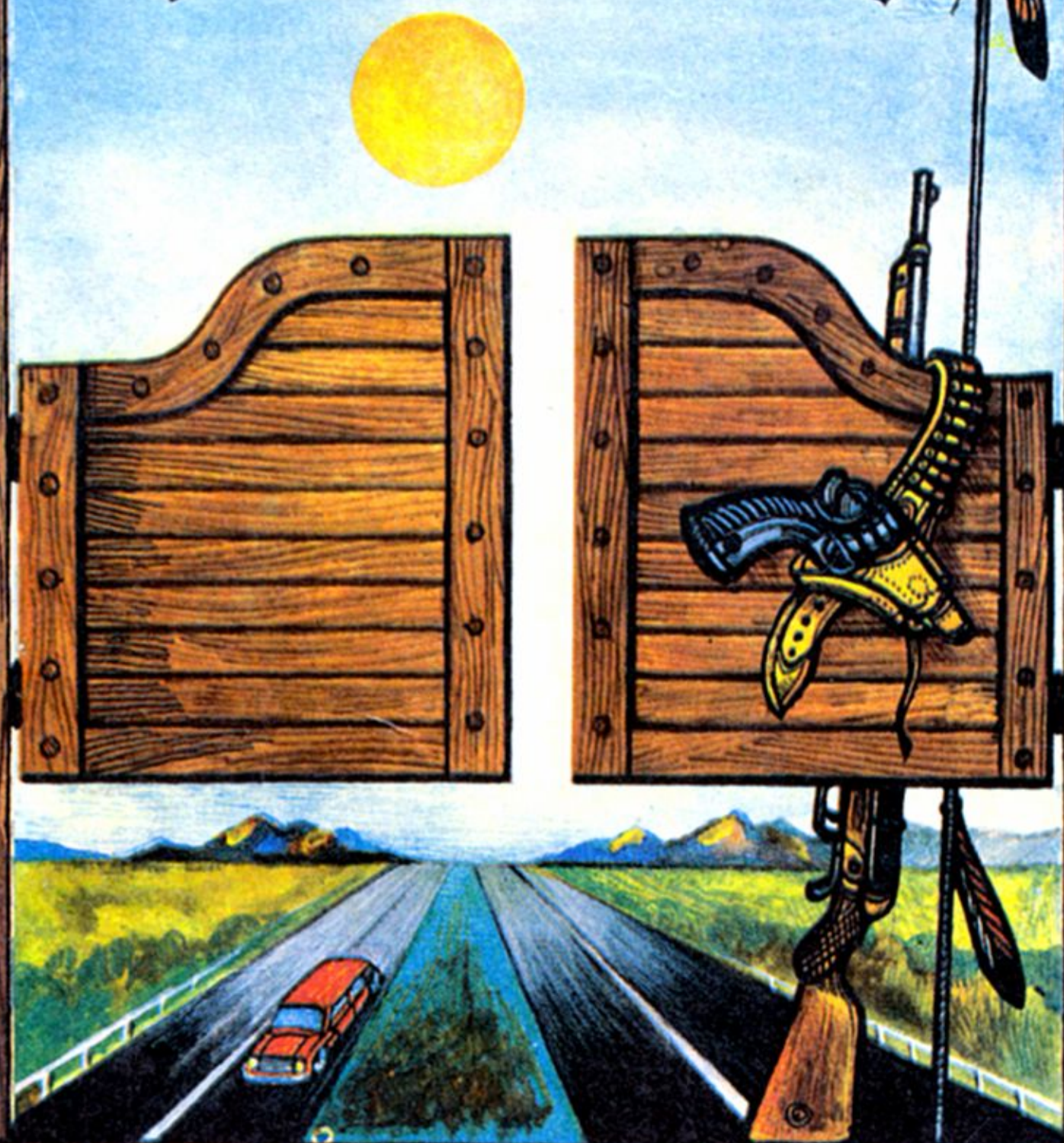


WALDEMAR ŁYSLAK

ASFALTOWY
SALOON

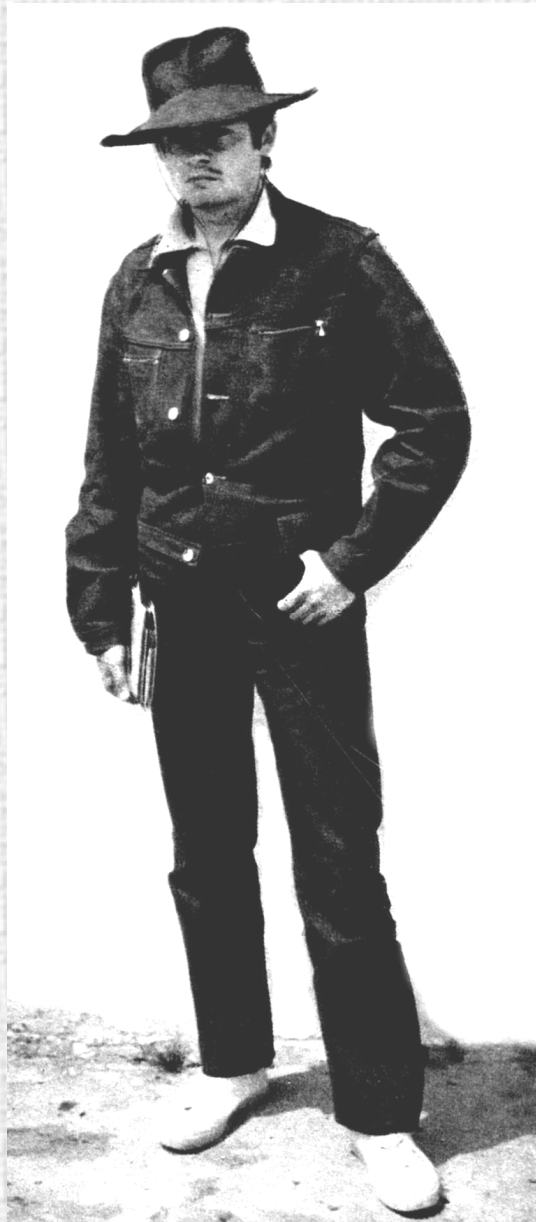




Waldemar ŁYSIAK



ASFALTOWY SALOON



Księgozbiór DiGG



2011



W literaturze europejskiej wędrówka wzorcowa to wędrówka w poszukiwaniu Złotego Runa. Nic zatem dziwnego, że początkowo dla umysłu europejskiego odkrycie Ameryki wydało się realizacją podstawowego mitu: Nowy Świat był źródłem nieprzebranych bogactw, Eldorado.

Erich Segal

WSTĘP

1

Nie pamiętam już, Jerry, kiedy postanowiliśmy, że odbędziemy tę naszą „wędrówkę wzorcową” i odkryjemy Amerykę dla siebie, odnajdując w niej wszystkie Złote Runa, święte Graale i Eldorada naszych szczeniackich zabaw w Indian i kowboi. Zapewne o wiele wcześniej nim się poznaliśmy. Nie wiedzieliśmy tylko jednego - że odbędziemy ją razem. Teraz przyszedł czas.

Ty zasiądziesz za kierownicą tego nieprawdopodobnego „junka” ze złomowiska i poprowadzisz go jak genialny baletmistrz, który wbrew logice i prawom przyrody nie tylko jakimś cudem panuje nad rozsypującą się grupą rachitycznych tancerzy, ale potrafi uskrzydlić ich i na ten jeden spektakl zamienić w rozszalałe demony płąsu, a ja, siedząc obok, będę naszym nawigatorem, będę robił tysiące notatek i opiszę to wszystko.

Co wcale nie znaczy, że stanę się niewolnikiem tych pospiesznych zapisków i zamienię w skrupulatnego reportażyście. Prędzej już zamieniłbym się w wariata, a jak powiedział Dali: „Jedyna różnica między mną a wariatem jest ta, że ja wariatem nie jestem”. Jestem surrealistą szlaku (czyż nie udowodniłem tego w *Wyspach zaczarowanych* i we *Francuskiej ścieżce?*) i - co mnie trochę martwi - wcale nie jestem w tej materii wynalazcą. Nie wolno bez ośmieszania się wpaść w - kuszącą, rzecz jasna - pułapkę, to znaczy uwierzyć, że podróżnicy opisują rzeczywistość, jaką oglądali na własne oczy. Albo tworzą oni swego rodzaju podróżniczo-literacką „science-fiction”, którą Butor nazywa „agencją turystyczną” i w której nawierzchnia drogi może być zrobiona z wielu materiałów, od zwykłej wędrówki wewnętrznej aż po odyseję quasi-schizofreniczną - albo są kiepskimi podróżnikami, nie widzieli niczego i nie powinni brać pióra do ręki.

Daruj mi, ale prawda wygląda tak, że wszystko sprowadza się nie do tego, co zobaczymy i przeżyjemy, lecz do tego, w jakie słowa, obsesje, sny, marzenia, rozczarowania, fascynacje, koszmary i wspomnienia z dzieciństwa ja to ubiorę. Jaką formę nadam tej glinie i jaką mową tchnę w nią ducha. Nie fakt bowiem jest ważny i nie przeżycie go. Pamiętasz te zmęczone słowa kończące film *Il Marsigliese*, słowa starego szefa mafii, kiedy już wystrzelali się wszyscy i pozostał tylko on ze swoją samotnością półboga: „Ba, tutto nella vita e provvisorio” (ba, wszystko w życiu przemija). Fakty są tymczasowe, wybuchają

i gasną jak gwiazdy na niebie. Pozostaje tylko mowa o nich.

Od zarania nomadyjskich wędrówek wiodących na drugą stronę tęsknoty, podróż jawi się jako kształt mowy: zapis jazdy wewnętrznej, dziedzina ruchu niematerialnego i transformacji metafizycznej. Musi być jednak sprzężona z autentycznym ruchem w przestrzeni, inaczej jest filozofią (choćby najmądrzejszą) bezruchu. Z Diogenesem ludzka myśl nie wychodzi poza beczkę, aczkolwiek jest to myśl przynajmniej w jednym przypadku kusząca (kiedy Aleksander Wielki odszukał Diogenesa w Koryncie i kazał mu wyrazić jakąś prośbę, stary cynik poprosił: „Nie zasłaniaj mi słońca!”). Natomiast z Homerem, z *Iliadą* i z *Odyseją*, wkroczyła w dziedzinę wielkiej eksploracji czegoś, co zwie się sztuką.

Pisać, to zawsze znaczy dążyć jak Ulisses ku Syrenom, ku czemuś lub komuś, „ku miejscu, które zdaje się obiecywać władzę mówienia i opowiadania” (Blanchot), nie zaś pisarskiego fotografowania, nie można oprzeć mowy literackiej na przezroczach. W XVI wieku Montaigne, jako jeden z pierwszych, po swojej sławetnej podróży do Niemiec i Włoch, przyznał w rezultacie pierwszeństwo słowom nad rzeczywistością, to znaczy uświadomił sobie, że wszystko sprowadza się do słów. Zrozumiawszy to, przeszedł do porządku nad rozczarowaniem Rzymem, którego doznali Du Bellay, Montesquieu i wielu innych (jakże płaskie są wzgórza - siedem wzgórz, mizerny Tybr, niechlujne ulice!), i opracował filozofię pięknej iluzji: skoro to, co szczegółowe, przemija, podróżujmy nosząc cały świat w sobie. Dokładnie to samo wyraziłem we wstępie do *Francuskiej ścieżki*:

„Źle jest, jeśli wyrusza się bez marzenia. Ścieżka winna być zaprogramowana w człowieku, nim rozpocznie podróż, jeżeli nie jest - będzie jałowa. Niczego się na niej nie napotka, a już najmniej samego siebie, jeśli niczego się od niej nie oczekuje; należy odkrywać to, czego przedsmak nosi się już we wnętrzu. Prawdziwa podróż to tworzenie rzeźby z bryły posiadanego marmuru - jeśli go nie ma, nawet najznakomitsze dłuto uderzy w pustkę. Kolumb płynąc na zachód nosił w sobie całą Amerykę”.

2

Teraz my tam wylądujemy i spojrzymy dziewiczym okiem głodnego konkwistadora, mimo że tak wiele już wiemy o tym kraju. Przywieziemy ze sobą legendy, twarze ludzi i miejsca, do których - chociaż w większości już nie żyją (myślę o ludziach) - będziemy starali się dotrzeć podczas tego „tripu”, bym potem mógł o nich opowiedzieć. Możemy się bardzo rozczarować i znienawidzimy swój naiwny zapal, który obiecywał nam Eldorado haftowane nicią Złotego Runa. Lévi-Strauss tak pisał: „Nienawidzę podróżników i badaczy”, gdyż doświadczył raz jeszcze rozczarowania człowieka cywilizowanego, któremu „magiczne kufry pełne marzeń” nie ofiarowują już

nienaruszonych skarbów, lecz resztki przepuszczone przez alembik kultury i cywilizacji.

Nie trzeba było wychodzić na spotkanie z tą kulturą, przyszła sama w roku 1945 wraz z US Army wyzwalającą Europę Zachodnią. Nazywała się „American way of life” i była jedyną totalnie ukształtowaną i unormowaną formą cywilizacji XX wieku, ogólnym systemem składającym się z reklamy i wrzasku, coca-coli i gumy do żucia, „keep- -smiling” i westernów, Walta Disneya i Hollywoodu, Broadwayu i Las Vegas, nowego pragmatyzmu i nowej psychoanalizy, z Supermana i Ala Capone, z Glena Millera i George’a Gershwina, z Ernesta Hemingwaya (jakże wielki wpływ wywarł na egzystencjalizmie europejskim jego cyrkowy kult męskości) i Raymonda Chandlera, z Rity Hayworth, Clarka Gable’a i Charlie Chaplina.

Prawdziwy cud naszego stulecia - że to barbarzyńskie Wielkie Nic, które w najlepszym razie powinno się stać atrybutem ubocznym starej kultury europejskiej, zawładnęło nią, zagłuszyło, zdominowało atakiem „z marszu”. Klasyczny przykład, rozreklamowany głośno symbol tego stylu życia, to wynalazek gumy do żucia, czyli produktu zaspokajającego wyłącznie potrzebę wywołaną przez reklamę tego produktu. „Chewing-gum” - czołowy artykuł absolutyzmu konsumpcyjnego, najtańszy dowód przynależności do społeczeństwa nadmiaru, najbardziej uboczny ze wszystkich owych produktów ubocznych, które stały się gadżetami europejskiej codzienności opartej na agresywnym modelu amerykańskim. Wiosną 1850 roku pewien bezrobotny facet, Thomas Adams, dokonywał eksperymentów z masą gumową „Chicle” i mieszał ją z kauczukiem, by koła powozów były miększe. Dla próby przeżuwał tę masę. Ponieważ nie udało się zrobić z niej gumowych obręczy, pociął ją na kawałeczki, przyprawił, zapakował w kolorowy papier i poprosił pewnego sklepikarza, by ten wyłożył je obok kasy i sprzedawał. Dzisiaj sprzedaje się na świecie tysiące ton rocznie, a to, iż całe pokolenia żują, psychologowie wytłumaczyli niedosytem miłości u dzieci zbyt wcześnie odstawionych od piersi (w ten sam sposób tłumaczono entuzjazm panów dla biustów pań Mae West, Russell, Monroe i innych)!

Europejczycy próbowali (niemrawo) oderwać się od piersi tej kultury, którą gardzili, by w końcu z tym większym niepohamowaniem rzucić się w jej objęcia. Miała tyle zalet. Nie wstydziła się swej formy przemysłowej - wręcz przeciwnie. Jednocześnie moralizowała i robiła forszę. Przywłaszczała sobie wszystko, co stało na drodze. A ponieważ nie zrodziła jej żadna klasa, lecz rozwinął przemysł, ponieważ nie zmierzała rzekomo do żadnych innych celów prócz komercyjnych i rozrywkowych, ponieważ nie była obarczona żadnymi skrupułami co do hierarchii wartości - nie potrzebowała obawiać się żadnych barier. Była całkowicie pozbawiona uprzedzeń, antyelitarna i totalitarna w tym sensie, że dostarczyła ekspansjonizmowi amerykańskiemu nadbudowy.

Ta właśnie kultura, której balastu nie pozbedziemy się, Jerry, odkrywając naszą Amerykę - jakkolwiek byśmy tego pragnęli - stała się współtwórcą i wyrazem nowej klasy, owej *middle class*, z której tak chętnie szydzą jej członkowie (autoszyderstwo było zawsze fetyszem burżuazji), mitologizując jednocześnie poprzez tę kulturę swój styl życia. To właśnie w cieniu tej nowej kultury upowszechniła się nowa moralność próbująca łączyć w paradoksalny sposób dwie główne zasady amerykańskie: prawo silniejszego oraz równość i sprawiedliwość dla wszystkich. Nie ma takiego człowieka, który nie znalazłby sobie w tej kulturze i w tym społeczeństwie właściwego miejsca i właściwego prawa do sukcesu, nawet Szekspir i jego Otello pod warunkiem, że pierwszy nie pochodziłby z plemienia Sjuksów, a drugi nie byłby czarnuchem ubogim.

Europejczycy mieli co do tego pewne wątpliwości, ale odwrócili pytanie, zadając inne: czy Szekspir zechciałby funkcjonować w ramach tej kultury? Klasyk amerykańskiej powieści kryminalnej, Raymond Chandler, odpowiedział im w roku 1949: „Szekspir miałby powodzenie w każdej epoce, ponieważ nie zechciałby tkwić w kącie. Dzisiaj z pewnością pisywałby scenariusze do filmów, sztuki dla teatrów na Broadwayu i kto wie co jeszcze. Zamiast mówić: «Ten środek przekazu jest niedobry», korzystałby z niego i ulepszałby go”. Szekspir rzeczywiście ma u nich powodzenie. W lipcu 1975 roku tak zapowiadano *Hamleta* w gazecie w San Francisco: „Jest to historia młodego faceta, który wiedział zbyt wiele - o życiu, seksie i morderstwie dokonanym na jego ojcu”. Inny facet, trochę starszy, 64-letni John Wayer z Filadelfii, który przez całe życie pracował jako operator światła w miejscowym teatrze i marzył o zagranii roli Hamleta, poprosił w swoim testamencie, by jego czaszki używano jako rekwizytu w inscenizacjach sławnego dramatu!

Doprawdy, cudowny kraj, w sam raz dla nas! Nie będziemy w nim musieli świecić oczami po kątach, albowiem poziom kulturalny jego społeczeństwa jest tak niski, że gdyby Spinoza tam się urodził, nigdy nie skomponowałby „Rigoletta”. Jorge Luis Borges w wywiadzie dla „Le Monde”:

„Spędziłem tam ostatnio cztery miesiące jako profesor literatury argentyńskiej na Uniwersytecie w Michigan. Mogłem stwierdzić głęboki brak kultury u studentów, i to we wszystkich dziedzinach. Nie wiedzą, kto to był Napoleon albo George Bernard Shaw, nie wiedzą nawet, co to jest na przykład centaur”

Czyż nie jest to wspaniałe społeczeństwo? Będziemy przez nie żeglować jak Kolumb przez fale Atlantyku, nie może więc ono być nam obojętne.

3

To cudowne społeczeństwo, które śmieje się z aktorów i głosuje na polityków (i odwrotnie), opiera swą egzystencję na trzech niewzruszonych fundamentach, którym są: optymizm, niewinność i przyszłość, a wiedzę na

trzech opasłych księgach, które leżą w każdym domu i noszą na grzbietach tytuły: *Biblia*, *Przeminęło z wiatrem*, *Wojna i pokój* (*Moby Dicka* znają tylko z filmu z Gregory Peckiem, a Poego w ogóle nie znają, bo jego *Nad pięknym modrym Dunajem* przestało być modne). W sumie jest to przedsięwzięcie mocno umiejscowione w czasie i nierozłącznie związane z projektowaniem ubranym w nadzieję.

Rządzi i rządzić nimi będzie w trakcie naszej podróży prezydent Jimmy Carter, który jest idealnym potwierdzeniem tezy wyrażonej wyżej. Jego funkcjonowanie na stolcu głowy państwa jest przecież przedsięwzięciem ściśle umiejscowionym w czasie, ale zarazem nierozłącznie związanym z projektowaniem, z nadzieją na czystość polityczną, na ową fundamentalną niewinność, która splugawiła się w Watergate. Dlatego wybrali właśnie jego, bo był bardziej moralizującym kaznodzieją niż graczem - wepchnęli swój optymizm w jego wiecznie uśmiechnięte zęby południowca i wszystko to razem posadzili w Białym Domu. Z tego czerpią siłę i nadzieję na obmycie się z brudów nixonowskich matactw (jak to ładnie ujął Hiszpan Perich: „Przechodząc do historii nie wszyscy mają takie szczęście jak prezydent Johnson, którego zastąpił prezydent Nixon”). Na ogół obmywamy się w łaźniach lub w łazienkach i to mi przypomina lorda Urquharta.

David Urquhart (1805-1877) był fanatykiem higieny osobistej i czystości politycznej. Pierwsze hobby udało mu się wcielić w czyn: po zaciekłych utarczkach parlamentarnych doprowadził do powstania w Londynie dwóch pierwszych łaźni publicznych, nazwanych tureckimi, co było sukcesem niebagatelny zważywszy, iż w owym czasie zamek Windsor zasmradzały 53 przelewające się kloaki, a w Pałacu Buckingham nie istniała ani jedna łazienka. Gorzej poszło mu z drugim hobby - jego uporczywa kampania na rzecz prawdy i uczciwości w życiu politycznym zakończyła się kompletnym fiaskiem, co w dobie telewizji widać bez ruszania się z domu.

Jankesi wierzą, iż kloaka polityki będzie mniej cuchnąć, póki na tronie zasiada facet tak prawdomówny jak białozęby Jimmy. Uważają go za szlachetnego, co może nie jest jeszcze właściwą podstawą do optymizmu - ważniejsze jest, że on sam podziela ten pogląd. Stara się być szczery i ujmować tę szczerość w błyskotliwe skrót, np.: „Nie dlatego jesteśmy wolni, że jesteśmy bogaci, ale dlatego jesteśmy bogaci, że jesteśmy wolni”. W swej autobiografii napisał: „Już w młodości, kiedy sprzedawałem orzeszki ziemne, łatwo nauczyłem się odróżniać ludzi dobrych od złych. Dobrzy byli ci, którzy kupowali mój towar”. Otoczył się takimi dobrymi, młodymi chłopcami, którzy czasem nawet przesadzają ze swą szczerością, jak chociażby 33-letni szef gabinetu Cartera, Hamilton Jordan, który podczas oficjalnego obiadu pochylił się nad pociągającym biustem ambasadorowej egipskiej i mruknął głośno: „Zawsze pragnąłem zobaczyć z bliska piramidy...”. Bardziej już interesująca

wydaje się szczerą równie młodego rzecznika prasowego Białego Domu, Jody Powella. Kiedy Kongres tak przeinaczył Carterowski projekt zmniejszenia podatków dla najbardziej upośledzonych warstw ludności, że stał się on nowym przywilejem bogaczy, Powell - informując o wynikach głosowania nad tą reformą - oświadczył rozeźlony, że ma „dobrą nowinę dla ludzi o dochodach powyżej 50 tysięcy dolarów!”.

Tak czy owak - faktem jest, że Jimmy Carter to facet, który stara się (co nie znaczy, że zawsze mu się udaje) mówić prawdę, nawet jeśli jest ryzykowna, a prawda zawsze jest ryzykowna. Nie zaszkodziło mu, temu kochającemu małżonkowi i bardzo praktykującemu baptyście, nawet przyznanie się (w wywiadzie dla „Playboya”), że kiedy patrzy na piękną dziewczynę, to ją w myślach rozbiera i posiada - odwrotnie, kupiło mu to głosy wyborców. Kiedyś rozwiedziony polityk nie miał w tym kraju żadnych szans elekcyjnych, ale dzisiaj Amerykanie nie są już tak purytańscy. Są przede wszystkim głodni prawdy, głód zaś od stworzenia świata był zawsze największym uwodzicielem.

Mimo wszystko Carter jest politykiem, a w polityce nie ma cudów. Głosi więc kazania atakujące inflację i protekcjonizm, a jednocześnie wspiera lobby linii żeglugowych subsydiami, które zarówno zwiększają inflację, jak i są wyrazem protekcjonizmu. Sprzeczność? Po pierwsze nie w polityce, a poza tym ten kraj zawsze był pełen sprzeczności, odkąd prezydent Jefferson zamartwiał się istnieniem niewolników w amerykańskiej Arkadii, nie mając przy tym najmniejszego zamiaru uwolnić tych kilku, których sam miał (zwłaszcza Sally Hemings, z którą spłodził pięcioro dzieci i obrzydliwie je potraktował, co jego hagiograficzny biograf, Dumas Malone, *nolens volens* potwierdził, po czym skomentował następująco: „Żaden dżentelmen nie zadawałby się z niewolnicą, a wobec tego, że Jefferson był dżentelmenem, nie mógł zadawać się z Sally Hemings” - jest to najwspanialszy sylogizm amerykański, jaki znam).

Spółeczeństwo sprzeczności? Ależ tak. Mają potężny rząd, a krajem w dużym stopniu rządzi mafia. Mają fantastyczne szkolnictwo, a jak donosi „US News and World Report” nauczyciele amerykańscy są już tak przyzwyczajeni do tego, że uczniowie rzucają się na nich i biją, że „większość z nich uważa to za nieodłączny element pracy, za którą biorą zapłatę”. Mają najzamożniejszych ludzi świata, a obok, w Apalachach, kilka milionów ludzi żyjących jak szczury („Hillbillies”). Sukcesy olimpijskie stanowią dla Amerykanów najwyższą świętość, lecz rozgrywki baseballu są ważniejsze od Olimpiady, itd., itp.

Nigdy nie było inaczej. Kajetan Węgierski, podróżujący po Stanach w XVIII wieku, przytacza w swych zapiskach paragrafy niezwykle surowych miejscowych praw, zwanych „blue laws” (np. „Nie wolno udzielać gościny kwakrowi lub innemu heretykowi”, „Nie wolno podróżować ani nawet przechadzać się w swym ogrodzie w dzień świąteczny”, „Kobiecie nie wolno całować swych dzieci w święto”, „Pijaka można pozbawić prawa robienia

zakupów”) i jednocześnie taki rodzynek z kilku stanów (Rhode Island, Connecticut, New Hampshire i Massachusetts): „Gdy podróżny przybywa do domu, największą grzeczność, jaką może okazać córkom domu, stanowi zaproponowanie którejś «bundle», to znaczy spędzenia z nią nocy w jednym łóżku”.

A teraz w kioskach sprzedaje się ultrapornograficzne pismo „Hustler” („Playboy” to przy nim „Świerszczyk”) z reklamami nadmuchiwanymi i w pełni owłosionymi „sztucznych dam” oraz z propozycjami nawiązania kontaktu okraszonymi rzeźniczo wprost perwersyjnymi zdjęciami studentek, gospodyń domowych, urzędniczek („zwykłych kobiet”, nie zaś pornomodelek), i gazety z anonsami takimi, jak ten z chicagoskiego dziennika z dnia 29 lipca 1977: „Pobożna panienka (zaświadczenie księdza proboszcza) potrzebna do nauki Sztuki Benedyktyńskiej. Musi znać na pamięć katechizm, modlitwy, czcić matkę swą i ojca, nie palić, nie pić, nie malować się - nieskalanej, zakonnej czystości, bo tylko taka się nauczy. 427-2428”.

Tyle już znamy na pamięć, że może czegoś się jeszcze nauczymy, przyjacielu. Podobno podróże kształcą tylko wykształconych.

4

Kłopot w tym, że trudno uczyć się i gotować w jednym czasie. A nas czeka piekło tego „lata stulecia”, które rozpoczęło się w początkach lipca 77, by w połowie miesiąca - właśnie podczas zapinania ostatnich guzików do drogi - osiągnąć apogeum w przekroczeniu (grubo) 100 stopni Fahrenheita!

Bezpośrednio przedtem mieli „zimę stulecia”. Bezpośrednio potem będą mieli jeszcze sroższą, tak zajadłą, że wielu z nich zamarznie na śmierć w swych luksusowych samochodach przysypanych śniegiem do wysokości piętra. Ale nam przypisana została plaga koszmarnego upału.

Zanim zdążymy wyruszyć, prawie tysiąc obywateli USA (dane Czerwonego Krzyża) umrze od tego upału. Nad brzegami Charles River tłumy wykończonych żarem mieszkańców Bostonu szukają odrobiny chłodu w dni pracy, tak jakby to był weekend. W Nowym Jorku tygodniowy wskaźnik śmiertelności podskoczył nagle o 10 procent. W Minneapolis, podczas letniego festynu, stu osobom trzeba było udzielić pomocy lekarskiej. W dziesiątkach miast spadło ciśnienie wody, ubytki wód podskórnych osiągnęły poziom tragiczny, wyschły koryta rzek i zbiorniki, w Kalifornii i kilku innych stanach racjonuje się wodę. W całym kraju konsumpcja energii elektrycznej jest rekordowa, a sprzedawcy urządzeń klimatyzacyjnych z trudnością zaspokajają popyt na swoje towary. Plantatorzy kukurydzy w Georgii stracili już 160 milionów dolarów, a w Karolinie Południowej straty pasz ocenia się na ponad 100 milionów. 30 procent terenów uprawnych dotknęła zabójcza susza. W 30 stanach rząd ogłosił stan klęski żywiołowej...

Rubryki meteorologiczne gazet przypominają szpitalne wykresy gorączki ciężko chorych. Tytuły: „Powyżej stu stopni, jesteśmy jak pieczone jabłko” (nowojorskie „Daily News”), „Gotujemy się!” (bostoński „Globe”). Brawurowa, przedrukowana przez wszystkie dzienniki skarga prostytutki: „Teraz nie chcą tego robić, jest za gorąco. Marzą o klimatyzacji. Czy pan myśli, że ja mam klimatyzowaną chatę?” W Detroit robotnicy fabryki samochodów zadawali to samo pytanie, a gdy temperatura w odlewniach sięgała 130 stopni F - zaczęto odsyłać ich do domów. Ci, których nie odesłano, odesłali się samowolnie.

Zwierzęta cierpią nie mniej, nawet bardziej. Sławny Kemo, alzacki owczarek policyjny w Connecticut, po wytropieniu podejrzanego o rabunek stracił przytomność. Pracownik towarzystwa opieki nad zwierzętami w Miami powiedział: „Bernardy ledwo dyszą. Jedynie psy afrykańskie znoszą tę pogodę”. Kurczęta też ledwo dyszą. Les Waterman, pracownik kurzej fermy w Farmington: „One się pocą jak konie czy ludzie. Chwytają powietrze, piją dużo wody, a potem padają”. W rejonie stanów Maryland - Virginia - Delaware zdechło 80 tysięcy sztuk drobiu.

Od Atlantyku do Pacyfiku fala upałów wywołała tak silne zmiany atmosferyczne, że w konsekwencji w drastyczny sposób wzrosło zanieczyszczenie powietrza, jeszcze bardziej utrudniając oddychanie. Ludzie nie mogą pracować, podróżować, jeść, spać, uprawiać sportu i miłości - zupełnie jakby się pozakościwali. Modlą się o zimno. Wystarczająco żarliwie, bo za kilka miesięcy dostaną takie biczowanie mrozem, że nie będą nawet w stanie złożyć zdrewniałych rąk do modlitwy w drugą stronę. Co za cudowny kraj!

Tylko słodki Jimmy wciąż się uśmiecha. W Białym Domu sekretarz prasowy, Jody Powell, musi wyjaśniać narodowi, dlaczego prezydent z takim smakiem spożywa lunch przy temperaturze 100 stopni: „To dawna tradycja Południa pocić się nad talerzem” („Time” z 1 sierpnia 1977).

My będziemy się pocić w naszym starym Fordzie, w którym żał byłoby wozić świnię - rolników na środkowym Zachodzie ostrzeżono, by nie wozili samochodami prosiąt na targ, bo w zamkniętych pudłach grozi zwierzętom atak serca. Nasz staruszek nie ma „air-conditioning”, będzie więc rozpaloną puszką z dwiema rybami wewnątrz. Ale nie martw się, Jerry, damy sobie radę, bo ja jestem spod znaku Ryb i dopóki nie napotkam rybożernego Lwa (co to znaczy, wiem tylko ja i nikt więcej, chyba że zna tajniki kabały) - nie grozi mi katastrofa. A poza tym ten „junk” jest jednym z cudów natury i należy mu się nie fragment wstępu do tej książki, lecz cały tom w podzięcie za to, czego dokonał.

W języku angielskim słowo „junk” ma kilka znaczeń, wśród których w słowniku króluje: odpadki, żelastwo, złom i rupiecie. W Stanach Zjednoczonych nazywa się potocznie „junkiem” stary samochód-grat, który jeszcze może jeździć, lecz którego miejsce jest już raczej nie na autostradzie, lecz na złomowisku. W tym kraju, w którym samochód jest luksusem takim samym, jak w niektórych krajach szczoteczka do zębów, pojazdy te starzeją się czasami już po roku, bo poszczególne modele wychodzą z mody, jak gdzie indziej krój marynarki. Nie wychodzą jednak z obiegu czasami nawet po dziesięciu latach dzięki facetom zwanym „junks-dealers”, co - jak to możemy sprawdzić w słowniku - oznacza handlarza starzyzną lub właściciela składu żelastwa. Od tych panów można więc nabyć samochód na chodzie za sumę od 60 do 300 dolarów (najtańszy nowy wóz kosztuje 3 tysiące dolarów) i to właśnie uczyniliśmy. Z konieczności.

Było tak: szef pewnej amerykańskiej firmy, dowiedziawszy się o naszych podróżniczych zamiarach, obiecał nam duży wóz turystyczny, rodzaj ciężarówki z łazienką, kuchnią i łózkami. Na dwa tygodnie przed startem poinformował, że niestety nie może się wywiązać z przyrzeczenia i oferuje w zamian mniejszy wóz, w rodzaju polskiej nyski.

W nocy przed wyruszeniem na trasę, siedząc już na spakowanych kłopotach podróżnych, dostaliśmy przez telefon trzecią wiadomość; sprowadzała się ona do jednego prostego stwierdzenia, dającego skomentować się słówkiem *Cambronne'a*, które po amerykańsku zaczyna się na literę „s”.

Prześliczna siurpriza. Zdębieliśmy obaj, zatkało nas. A potem... Pamiętam dobrze twoją reakcję. Ugięły się pod tobą nogi, usiadłeś na podłodze ze szklanką scotcha w dłoni, patrzyliśmy sobie w oczy i nagle zacząłeś się śmiać. Śmiałeś się głośno, opętańczo, ryczałeś jak wariat, jak olimpijski bóg i był to śmiech zaraźliwy. Ryczeliśmy obaj, dławiliśmy się śmiechem, turlaliśmy po dywanie fikając nogami w powietrzu, jak gdyby Zeus ofiarował nam najpiękniejszą z niedosiężnych gwiazd. Ta scena miała coś z Zorby i z tego: „Popatrz jaka piękna katastrofa! Chodź, będziemy tańczyć!”.

Kiedy przestaliśmy tańczyć, postanowiliśmy zakpić z losu i wyruszyć na tę konkwistę „junkiem”. Był to stary, przerdzewiały na wylot Ford z roku 1968 i jeden bóg Henry Forda wiedział, ile setek tysięcy kilometrów przejechał już ten dinozaur w swoim życiu i ile razy cofano mu licznik w garażach „junks-dealerów”, Właśnie w tym naszym 1977 roku z taśmy wynalazcy taśmy fabrycznej, ojczulka Forda, zszedł stumilionowy egzemplarz pojazdu ochrzczonego przezeń własnym nazwiskiem. Podobno te nowe Fordy nie są już tak silne i trwałe jak stare, których symbolem był legendarny Ford-T (Henry Ford tak mówił o swoim ukochanym dziecku: „W tym kraju panuje

wolność - każdy może sobie wybrać taki samochód, jaki mu odpowiada, pod warunkiem, że będzie to czarny Ford-T!" . Podobno te, które wyprodukowano w 1968 roku, były czołgami w porównaniu z wydelikacjami modelami dnia dzisiejszego. Przekonaliśmy się, że to prawda.

Byłeś starcem, kochany „junku”, ale okazałeś się niezawodny jak nowy Rolls-Royce. I dlatego tobie oddaję w podziękowanie tę anegdotę o baronie X, w którego nowym Rolls-Roycie zepsuł się jakiś detal. Zdziwiony baron napisał do firmy i ta z miejsca usunęła defekt, nie żądając zapłaty. Zdziwiony powtórnie baron odczekał jakiś czas i spytał producenta listownie, ile jest winien za naprawę. W odpowiedzi, która przyszła natychmiast, firma wyraziła swoje zdziwienie tym pytaniem, albowiem w jej dokumentach nie było śladu, by jakikolwiek wóz tej marki uległ defektowi. Rozumiemy się, „junku”, prawda?

Był to ośmiocylindrowy, ciemnozielony Ford Fairlane 500 z automatyczną skrzynią biegów, o numerze fabrycznym 8K 37F 118507, typ zwany w Stanach „station-wagon”, co oznacza samochód zwany w Polsce combi. Po złożeniu tylnego siedzenia dwóch mężczyzn mogło w nim spać wygodnie nie zginając kolan. Prawdopodobnie służył niegdyś policji lub jakiejś innej formacji strażniczej (np. służbie leśnej), gdyż został mu przy oknie kierowcy szperacz w postaci silnie bijącego reflektora umieszczonego na krawędzi dachu i poruszanego rączką mieszczącą się wewnątrz wozu. Stąd potem nieraz brano nas za tajniaków (no nie, raczej za jawnych agentów, bo tajniak ze szperaczem na dachu jest trochę słabo tajny) i ustępowano z drogi na highwayu (szosie), zwalniano na nasz widok etc. Duża frajda.

Ludzie, którym powiedzieliśmy o naszym zamiarze przejechania... 10 tysięcy mil „junkiem”, byli tak autentycznie przerażeni, że nie wiedzieli, czy śmiać się czy płakać. Pierwszą, której oznajmiliśmy tę somosierrską nowinę, była kuzynka Jarka, doktor Irena Jarmoszuk (Lalka), pracująca w chicagoskim szpitalu przy Nelson Street. Wybrała śmiech i zaraz potem kupiła nam w prezencie najlepszy w Stanach atlas samochodowy Rand Mc Nally'ego, byśmy sobie mogli popatrzeć na mapę i zrozumieć, iż „junkiem” nie można objechać kraju, który jest kontynentem. Jej perswazje docierały do nas z bardzo daleka, bo od razu zaczęliśmy kreślić flamastrem na mapie linię podróży, co było zajęciem bardzo absorbującym.

Drugim był znajomy, polski wicekonsul w Chicago, Stanisław Sikorski, człowiek z sercem na dłoni, jeden z tych, co to wyrwani z łóżka o trzeciej w nocy robią dla rodaka wszystko, czego ten pragnie i jeszcze dwa razy więcej. Na wieść o naszym dzikim pomysle jęknął tym głębokim westchnieniem, jakim rozdziera sobie płuca człowiek patrzący na człowieka, który ma zamiar ożenić się po raz czwarty, i miarkując, że tych dwóch sarmackich idiotów nikt nie otrzeźwi, rzucił desperacko:

- Tylko Bóg i Walowski mogą was uratować!

Walowski, to osobna karta...

Od stu lat istniała w Chicago dzielnica polska, której pępkiem był trójkątny placzyk zwany Polish Triangle - Polskim Trójkątem (zbieg alei Ashland, Milwaukee i Division). Istnieje ona do dzisiaj, aczkolwiek jej czysto polski charakter uległ dużemu zakłóceniu. Wprowadzają się coraz liczniej inne nacje, lecz wciąż jeszcze można tu zjeść po polsku w polskiej knajpce, a nazwiska właścicieli tutejszych firm kończą się na „ski”, „cki”, „ak” etc. Tu usadowił swą filię „Pewex” i rozliczne (handlowe, transportowe i inne) spółki polsko-amerykańskie. Tutejszy szeryf to również Polak, czyli swój chłop.

Na styku Polskiego Trójkąta z North Ashland Avenue egzystuje instytucja pod nazwą Karol Walowski Service Station, czyli stacja obsługi samochodów Karola Walewskiego. Walowski i jego mechanicy o złotych rękach (sami Polacy) „robią” silniki tak, że „mucha nie siada”. U kogo nasz głośny żeglarz, Krzysztof Baranowski, naprawiał silnik swego jachtu? Zgadli państwo - u Walowskiego.

Walowski, kiedy przyjechaliśmy do niego i powiedzieliśmy mu, o co chodzi, spojrzał trzykrotnie. Najpierw spojrzał na nasz wóz, a stał akurat od lewej strony, to jest od strony błotnika, w którym rdza wygryzła dziurę tej wielkości, że dwa koty mogłyby spokojnie przejść przez nią, nie potrącając się. Potem spojrzał w niebo, szukając w nim siły, i dostrzegł przy okazji, że słońce operuje w sposób tak morderczy, iż podwójny udar mózgu należy traktować jako rzecz zwyczajną. W końcu spojrzał na nas jak na dwóch delikwentów, którzy uciekli z białego pokoju bez klamek, po czym zauważył spokojnie:

- Ten „junk” nie przejedzie nawet stu mil. Czyście poszaleli?

Nie odpowiedzieliśmy nic, lecz on wyczytał odpowiedź z naszych oczu, odwrócił się i powiedział do mechaników:

- Chłopaki, zróbcie im tego „junka”.

Zrobili. Nie było to łatwe. W pewnym momencie, gdy już wymienili filtry, zaczęli wymieniać świece, wszystkie osiem, gdyż każda z nich była wykonana z materiału może nie najbardziej szlachetnego, ale z pewnością królującego wśród wszystkich metali w przyrodzie - z rdzy. Pierwsze dwie dały się wykręcić specjalną wajchą, ale na trzeciej „stało”. Ni w tę, ni we w tę. Świeca wrosła tak w swą dziurkę, to jest gwint tak mocno pokochał się z rowkami, że przy próbie rozwiedzenia ich, stalowa wajcha zaczęła się wyginać w pałąk. Nie pomagało spryskiwanie specjalnym sprayem zmiękczającym, przemysłne szarpnięcia i podważania. Zrezygnowany mechanik rzucił wajchę do skrzyni i rzekł:

- Ja tego nie będą robił, szefie, bo świeca zaraz pęknie i cały silnik będzie na złom!

Podszedł drugi mechanik, zażarty, wąsaty góral tatrzański i po chwili

mocowania się stwierdził to samo, tyle że bardziej kwieście. Wtedy - tego też nigdy nie zapomnę - w tej chwili krańcowej rozpacz, usłyszałem z boku twój nieśmiały głos, Jerry:

- Panowie, słyszałem, że jak polać coca-colą, to pomaga...

Roześmieli się z politowaniem i mruknęli:

- Chłopie, wiesz co, może i pomaga, ale nie na świecę. Jakaś taki mądry, to zrób to sam, bo my się już boimy dotknąć!

A ty polałeś to draństwo colą, założyłeś wajchę i... świeca ruszyła się!!!... Jerry, patrzyłem na ciebie jak na Cagliostro, oni też. Potem jeszcze dwie świece tak samo się zbuntowały i cola doprowadziła je do uległości. Nomen omen - było to nasze pierwsze zwycięstwo. Niech mi ktoś od tej pory powie, że coca-cola to nie jest to!

I znowu oni wzięli się za naszego „junka”. Pracowali nad nim pięć godzin, wymieniając kilkadziesiąt części w silniku i podwoziu, zainkasowali pieniądze, za które amerykański mechanik nie przykręciłby nam dwóch śrubek, podarowali na drogę kilka baniek oleju i pobłogosławili, chociaż tymi samymi rękami mieli zapewne ochotę popukać nas w czoła. Kiedy po kilku tygodniach wróciliśmy - powitali nas z takim zdziwieniem, jakby ujrzeli zmartwychwstańców. Ale to właśnie dzięki nim my, to jest ja i mój przyjaciel, architekt Jarosław Chlebowski (dla przyjaciół „Chleb” vel „Bochen”, dla jankesów: Jerry Shebausky) - przejechaliśmy prawie 10 tysięcy mil (prawie 16 tysięcy kilometrów) między dwoma oceanami, 26 stanów, kilka stref czasowych i klimatycznych, i mimo najdzikszych perypetii, z wylądowaniem w celi włącznie, dojechaliśmy cali i zdrowi!

Thank You, panie Karolu! I tobie, cudowny „junku”, godny pomnika, którym niech będzie moja książka.

Czytelnik nie może oczekiwać, że w tym worku osobistych impresji i wspominków historycznych odnajdzie pełny obraz starej i nowej Ameryki. Ale twój konterfekt, „junku”, będzie tam kompletny po najbardziej zardzewiałą mutrę i po każdą milę wspólnie przebytej drogi.





ETAP I

Atlantyk pokonałem Jumbo-jetem Boeing 747 linii PANAM, który transoceaniczną sławę dzieli z Concorde, lecz pod względem popularności jest (przynajmniej na razie) władcą niepodzielnym.

Przemiały, latający słoń Jumbo był jednym z bohaterów rysunkowych opowiadań Walta Disneya. Kiedy powstał jet-747, z miejsca ochrzczono go imieniem słońka. Działo się to w latach sześćdziesiątych, gdy firma Lockheed wygrała dzięki swemu C-54 „Galaxy” ogłoszony przez Pentagon przetarg na militarny samolot gigant zdolny do przetransportowania całego batalionu wojska wraz z uzbrojeniem. Boeing odczuł to jako cios, bo wpakował w swój przegrany projekt ciężkie miliony. Ktoś wówczas poddał nieśmiało myśl, że zamiast żołnierzy można by usadowić w przepastnych trzewiach 747 podróżujących cywilów. I tak narodził się Jumbo-jet.

Ówczesny szef Boeinga, T. A. Wilson, zdawał sobie sprawę z tego, że ów pomysł jest tylko szansą i to dość nikłą - do zwycięstwa, czyli do seryjnej produkcji, potrzebne były zamówienia towarzystw lotniczych, a te borykały się przecież z brakiem pasażerów do samolotów o wiele mniejszych i nie chciały nawet słyszeć o straszliwie drogim gigancie. I wówczas zdarzył się cud. Pod adresem Boeing Company wpłynęło zamówienie od razu na 25 Jumbo-jetów! Świat lotniczy zaniemógł z wrażenia.

Tę z pozoru niezrozumiałą decyzję podjął jeden człowiek. Nazywał się Juan Terry Trippe i był dyrektorem jednego z największych i najbogatszych towarzystw lotniczych - Pan American World Airways (PANAM). Trippe znany był jako niezwykle odważny i szczęśliwy hazardzista. Już w latach pięćdziesiątych podjął pierwszą zaskakującą decyzję, zamawiając u Boeinga serię jetów B-707, czym zmusił konkurencję do podobnych, przekraczających możliwości finansowe wielu towarzystw, zakupów, pod groźbą zmonopolizowania lotów długodystansowych. Nie zjednało mu to zbyt wielu sympatii. Tym razem Trippe zaatakował konkurencję w podobny sposób, lecz wysiłek, jaki narzucał przeciwnikom, był nieporównanie bardziej morderczy. Nie tylko zamówił on 25 „latających słoń” po 22 miliony dolarów za sztukę (!), lecz także wspominał o 10 następnych! Był to oczywisty bluff, gdyż Trippe nie mógł wówczas nawet marzyć o zapewnieniu swoim Jumbos pełnej frekwencji (a bez niej są one właściwie nieopłacalne), jednakże przypuszczał, że komfort przelotu Boeingiem 747, w którym klasa druga, tzw „ekonomiczna”, jest bardziej wytworna od dawnej pierwszej, odbierze pasażerów konkurentom. W świecie, w którym prestiż, reklama i oprawa mają decydujące znaczenie, Trippe musiał wygrać. Przeróżone towarzystwa lotnicze poczęły na gwałt

starać się o posiadanie przynajmniej jednego Jumbo-jeta w swoim parku maszynowym - Jumbo stał się wizytówką prestiżu. Kto nie miał gotówki, zapożyczał się, a kto me mógł tego uczynić, musiał zejść z tras długodystansowych. Rozpoczęła się nowa era w lotnictwie cywilnym.

Lot „słoniem” przyniósł mi tę korzyść, że pozwolił mi lepiej zgłębić anatomie yankeskiej reklamy. Mogłem to uczynić wcześniej, gdybym sięgnął np. po zachęcający do podróży na Bałkany prospekt firmy PANAM, którego okładkę zdobią... zdjęcie pomnika Chopina siedzącego pod płaczącą wierzbą w Łazienkach, portret Kopernika oraz biały orzeł symbolizujący narodowość obu tych geniuszy (tę kosmiczną gafę pierwszy odkrył czechosłowacki tygodnik „Svet w obrazach”). Ale nie sięgnąłem i zdecydowałem się na zdradę LOT-u pod wpływem perswazji PANAM-u, brzmiącej mniej więcej tak: „Lataj jetem B-747. Jest to jedyny samolot, w którym możesz obejrzeć film podczas rejsu”. Dla kinomana propozycja nie do odrzucenia. Rzeczywiście - w pewnej chwili, gdzieś nad środkiem Atlantyku, stewardesa włączyła kineskop i na ekranie pojawił się napis: „The Sting”, co wcale nie znaczy „żądło”, jak to próbowali nam wmówić polscy tłumacze-słownikowcy, lecz (w slangu) „skok”. Okna w kabinie pozasłaniano, Robert Redford i Paul Newman przygotowują na ekranie najwspanialszy kinowy „skok” antymafijny, biegają, machają rękami, poruszają ustami, tylko że z tych ust nie wypływa żaden dźwięk. Martwa cisza. Kino nieme w naszych latach? Pasażerowie, sądząc, że nawaliła fonia, czekają cierpliwie na usunięcie awarii, w końcu zaczynają się niecierpliwie i sykać. Zatrzymuję przechodzącą obok mego fotela stewardesę i pytam po amerykańsku (tak jest - amerykański tak już się różni od angielskiego, że jak stwierdzili językoznawcy w USA, w przyszłości Amerykanie i Anglicy będą się porozumiewali przy pomocy tłumacza), Co się stało?

- Może pan nabyć słuchawki z dźwiękiem za dwa i pół dolara, sir - odpowiada ta panienska z uśmiechem wartym co najmniej 69 dolarów i 96 centów.

Przypominało mi się to potem sto razy w Stanach, poczynając od owej nowojorskiej firmy, która reklamowała „Niezwyczajne urządzenie pozwalające obserwować, co dzieje się obok, nawet przez ściany i sufity o grubości 18 centymetrów”. Nabywców tego „domowego szpiega” było wielu. Kiedy rozpakowali przesyłki, znaleźli w pudełku małą lornetkę i niewielką elektryczną wiertarkę.

Krzysztof Kolumb nie miał tych problemów podczas swojego „skoku” przez Atlantyk, i niepotrzebna mu była nawet lornetka (nie mówiąc już o wiertarce), albowiem doskonale wiedział, co napotka. Miał zbyt wielu poprzedników, by moje słowa z *Francuskiej ścieżki* („płynąc na zachód nosił w sobie całą Amerykę”) można było traktować wyłącznie jako metaforę.



*Araby i Duńczyki,
Hiszpany,
Francuzy
pchali się
po trapach
Kolumbowego okrętu (...)
Z dni narosło
miesiące brodatych.
Mrą księżycy
na palu
masztowych drzew.
Oceanowi zbrzydło,
żli się Atlantyck,
Chrystia wściekły,
Kolumba zalewa krew...*
Włodzimierz Majakowski, Chrystia Kolumb



„ATLANTIC RALLY”

12 października - „Columbus Day” - jest świętem narodowym Stanów Zjednoczonych, tego bowiem dnia, w roku 1492, Krzysztof Kolumb ujrzał Nowy Świat, by zawlec z niego do Starego Świata pewną odmianę syfilisu, który w Ameryce Środkowej był chorobą stosunkowo łagodną, a w Europie stał się koszmarną plagą.

Nie wiemy, skąd pochodził ten człowiek. Prawdopodobnie był Włochem z Genui, wysuwane są wszakże i inne hipotezy (hiszpański Żyd, Korsykanin etc.). Pod jego pomnikiem w nowojorskim Central Park znajduje się napis: „Nie wiadomo, gdzie się urodził, atoli wiadomo, iż na czele hiszpańskiej wyprawy dotarł do Nowego Świata. Tak więc Ameryka została odkryta na chwałę Hiszpanii”. Chcąc sprawić, by ten napis odpowiadał prawdzie, wystarczy między słowami „została” i „odkryta” umieścić słowo: ponownie.

Najnowsze badania wykazują, że Kolumb doskonale wiedział, gdzie płynie. Czuł się bardzo pewnie na bezkresie oceanu i ani przez moment nie wahał się przy wyborze kursu: po pożegnaniu Wysp Kanaryjskich jego karawele uparcie trzymały się 28 równoleżnika (szerokość geograficzna Florydy), który to kurs w żaden sposób nie mógł prowadzić do wybrzeży Indii lub Indonezji, a którego obranie pozwoliło płynąć statkom przez cały czas w paśmie zachodnich wiatrów niosących ku Karaibom. Lepszej drogi morskiej ze Starego do Nowego Świata nie znaleziono do dzisiaj.

Na Wyspach Kanaryjskich, wkrótce po rozpoczęciu wyprawy, kapitanowie statków Kolumba otrzymali odeń zalakowane koperty z napisem: „Otworzyć,

gdy ucichnie burza”. W każdej kopercie znajdował się następujący rozkaz: w odległości 700 lig (około 4150 kilometrów) od Wysp Kanaryjskich karawele w żadnym przypadku nie mogą płynąć nocą! Dokładnie w tej samej odległości znajdują się wyspy Morza Karaibskiego. Przypadek? Normalnie, płynąc ku nieznanym lądom, nie wiedząc, gdzie się znajdują i zdając na los szczęścia, żeglarze ówczesni zatrzymywali statki w nocy lub ekstremalnie zwalniali ich bieg, by się nie nadziać na wybrzeże, Kolumb zaś noc w noc płynął „pełną parą”, cóż więc miał? Noktowizor? Kiedy jego marynarze donieśli mu, iż dostrzegli jakąś ziemię na południu, wyśmiał ich i nie pozwolił zmienić kursu, a przecież szukał nowych ziem. Wariat? 11 października 1492 roku oznajmił załogom, że następnego dnia z pewnością ujrzą ląd i tak się stało. Jasnowidz? To, że Kolumb twierdził, iż dotarli do Azji (wątpiących w to marynarzy zmusił groźbami do przysięgi, że nie będą rozgłaszać swych wątpliwości), aż nadto pachnie kamuflażem, hiszpańską chętką omamienia europejskich konkurentów do zdobyczy.

Skąd znał tajemnicę? W odkrytych w roku 1929 zapiskach sławnego marynarza i kartografa tureckiego z przełomu XV i XVI wieku, Piri Reisa, czytamy, że dowiedział się on od jednego z towarzyszy Kolumba, iż wielki Cristobal Colon płynął na zachód wiedząc nie tylko o znajdującym się tam lądzie, ale nawet o tym, iż tamtejsi tubylcy uwielbiają kolorowe paciorki - wiedział to wszystko z książki pochodzącej z czasów Aleksandra Wielkiego. Reis wymienia także z nazwiska kilku żeglarzy, którzy uprzedzili Kolumba w dotarciu do Ameryki (np. Portugalczycy: Giuvana i Le Genojs). Kto jeszcze dostarczył informacji Kolumbowi? Właśnie niektórzy z owych poprzedników, m.in. pewien kapitan, którego Kolumb spotkał w latach osiemdziesiątych na Maderze, ledwo żywego po tułaczce na zachodnim Atlantyku. Kapitan ten dotarł do tajemniczych wysp i lądów i wręczył Kolumbowi mapę z ich zarysami, co wiemy ze świadectwa jednego z towarzyszy Kolumba. Byłoby też dziwne, gdyby Kolumb nic nie słyszał o Janie z Kolna, który dotarł do Ameryki już w roku 1476. Zwłaszcza że prawdopodobnie był... członkiem tej wyprawy, w której Polak grał pierwsze skrzypce!

Jana z Kolna alias Johannes a Scolvusa Polonusa (w historiografii i dokumentach istnieje około dwudziestu podobnie brzmiących wersji jego nazwiska) przywykło się uważać za postać mityczną. W Polsce traktuje się tego żeglarza na równi z Wandą-co-nie-chciała-Niemca, Smokiem Wawelskim i krasnoludkami, co jest rzeczą tak zatrważającą, iż człeka nachodzi przypuszczenie, że za króla Olbrachta (Kolumb dotarł do Nowego świata w roku, w którym Jan Olbracht wstąpił na tron) nie tylko wyginie szlachta, ale i zdrowy rozum.

W roku 1570 francuski historyk, Franciszek de Belleforest, w swej *Historii powszechnej świata* wspomniał o Polaku Scolonusie jako o członku ekspedycji,

która dotarła w roku 1476 do wybrzeży Labradoru, a została zorganizowana przez króla duńskiego Chrystiana I w celu wyjaśnienia, co się stało z koloniami wikińskimi założonymi niegdyś na Grenlandii. Kiedy Belleforest to pisał, nie minęło jeszcze sto lat od czasu wspomnianej wyprawy, dlaczego więc nie mielibyśmy mu wierzyć? Potwierdziły tę informację praca Holendra Wytflieta z roku 1597, sławna mapa Resena z roku 1605 i wiele innych dzieł, jednakże w ciągu ostatnich stu lat badacze skandynawscy i niemieccy (Storm, Larsen, Oleson, Hennig i in.) wykonali mnóstwo żenujących wprost w swej „przemyślności” piruetów, by dowieść, że ów Jan był Duńczykiem, Norwegiem, Niemcem i samym diabłem, były tylko nie Polakiem (m.in. twierdzili, że „Polonus” wzięło się z błędnego odczytania słowa „piloto”, że Jan był tylko członkiem wyprawy dwóch szyprów niemieckich, Pinninga i Pothorsta, która dotarła do Grenlandii, że Belleforest i Wytfliet to kłamcy etc.). Smutne, że niektórzy polscy historycy i publicyści dali się na te brednie nabrać.

Zacznijmy od narodowości Jana z Kolna pomorskiego lub mazowieckiego. Belleforest, Wytfliet, Resen, a także Pontanus (1631), Morisot (1643), Horn (1671), Coronelli (1691), Charlevoix (1744) i inni podają, że był Polakiem. Wszyscy oni korzystali z jakiegoś nie znanego nam źródła lub może z kilku źródeł i wszyscy nie mieli wątpliwości. W roku 1919 uczony z Meksyku, Nicolas Leon, potwierdził sarmackość Jana w oparciu o mało znane badaczom problemu źródła hiszpańskie („Historia General de Mexico”). Współczesna nauka duńska również zdaje się nie mieć zastrzeżeń, wskazywałoby na to wystąpienie delegata Danii podczas „rozmowy” na forum ONZ, o czym jeszcze wspomnę.

Przejdźmy teraz do samej wyprawy w interpretacji dwóch uczonych, którzy nie tak dawno przedstawili rewelacyjne wyniki swych badań. W początkach lat siedemdziesiątych radziecki miesięcznik popularnonaukowy „Znanie-Siła” w artykule pod tytułem *Jeszcze jeden Kolumb* opublikował ustalenia J. Sielikowa. Przebadawszy nieznane źródła angielskie i duńskie Rosjanin nie tylko potwierdził, że Jan z Kolna, najpierw kaper gdański, a później sługa króla Chrystiana, dotarł do Ameryki opływając cieśninę Trzech Braci (Cieśnina Davisa), lecz także wysunął hipotezę, iż Kolumb był uczestnikiem tego rejsu i podwładnym Polaka. Jest to bardzo możliwe, gdyż lata 1470-77 to niemal biała plama w życiorysie Kolumba, zachowały się natomiast niejasne wzmianki o jego arktycznej podróży w owym czasie.

Mniej więcej w tym samym okresie, co Sielikow, a zupełnie niezależnie od Rosjanina, do identycznych (!) wniosków doszedł - badając m.in. stare zapiski skandynawskie - profesor Tadeusz Kowaleczko z Uniwersytetu w Santiago de Chile. Jako pierwszy podał on, że polski żeglarz, Johannes Scolvus, w młodości studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim! Zachęcony przez Stefana Bratkowskiego, przejrzałem spis studentów najstarszej polskiej uczelni, by

sprawdzić tę sensacyjną informację. I znalazłem! Johannes de Colno rozpoczął studia w Krakowie na semestrze letnim Anno Domini 1455! Z tym większym zaufaniem podszedłem do kolejnych rewelacji profesora Kowaleczki. Według niego Jan z Kolna jako marynarz króla Christiana I dotarł do Ameryki dwukrotnie, w latach 1471 i 1476, i mieszkał przez cztery lata na terenie między dzisiejszymi Nowym Jorkiem i Bostonem. Podczas tej drugiej wyprawy płynął w towarzystwie okrętu Portugalczyka, Joao Cortereala, swego - jak się okazało - wroga, sprzymierzonego z synem Scolvusa znajdującym się pod wpływem żony, Niemki. Z Ameryki powrócił ciężko chory i dostał się pod opiekę Kolumba, któremu przed śmiercią (około roku 1484) przekazał bezcenne informacje. Czy to nie on był czasem owym kapitanem spotkanym na Maderze?

Teraz już wiemy, od kogo Kolumb wiedział, ale wcale nie muszą to być wszystkie adresy. Kościół rzymski miał wówczas piękny pakiet tajnych informacji o wcześniejszym dotarciu do Ameryki Normanów, zwłaszcza zaś Leifa Erikssona, w którego wyprawie wzięli udział księża katolicy, za coś tam określani później w sagach skandynawskich mianem „krętacze” i jeszcze brzydszymi.

I tak dotarliśmy do wikingów, którzy do Ameryki docierali gnani burzami już w X wieku, a w roku 1000 zorganizowali pierwszą świadomą wyprawę pod dowództwem Erikssona. Ziemie, do których dopłynęli, nazwali: Elleland (Kraj kamienisty), Markland (Leśny kraj) i Vinland (Kraj winny), co dzisiaj interpretuje się jako odkrycie Labradoru, Nowej Fundlandii, ujścia Rzeki Świętego Wawrzyńca, Nowej Szkocji i wybrzeży Karoliny.

Właściwie o tym, że wikingowie docierali do Ameryki i nawet zakładali tam kolonie, wiedziano od bardzo dawna. Już w XVI wieku znaleziono na ziemi amerykańskiej fragment krzyża i spisano opowieści tubylców o „świętym mężu”, który niegdyś leczył ich przodków krzyżem. Skandynawowie, na czele z kopenhaskim Towarzystwem Starożytności Północnych, dowodzili począwszy od XIX stulecia (praca *Antiquitates Americane, sive Scriptores septentrionales rerum ante-Columbianarum in America*), że Kolumb doskonale wiedział o wyprawach wikińskich, z których ostatnia miała miejsce w roku 1347. Bostończycy już w roku 1887 wzniesli w swoim mieście pomnik Leifa Erikssona. Z tego wszystkiego śmiało się co najmniej kilkanaście milionów ludzi, tyłu jest bowiem Amerykanów pochodzenia włoskiego, którzy znają tylko jedną, najświętszą prawdę: Amerykę odkrył ich rodak Cristoforo Colombo, i nie przejmują się tym, że Kolumb nigdy w swym życiu tak się nie podpisał - zawsze podpisywał się z hiszpańska Cristobal Colón. Informacje o wikingach ci ludzie zawsze kwitowali śmiechem i drwiną („skandynawska klechda!”). Aż do pewnego jesiennego dnia 1965 roku, kiedy to miast śmiechu rozległ się płacz i zgrzyt zębów.

Było to 10 października. Cała włoska społeczność Stanów Zjednoczonych przygotowywała właśnie mającą się odbyć za dwa dni wielką fetę podczas Dnia Kolumba, gdy w „New York Timesie” ukazał się artykuł, który wywołał „terramoto” (trzęsienie ziemi). Osiem lat wcześniej, w październiku 1957 roku, antykwariusz Laurence Witten z New Haven pokazał uczynom z Yale University starą, zawierającą m.in. kontury Vinlandii, mapę świata, którą nabył z prywatnego księgozbioru europejskiego. Po ośmiu latach starannych badań naukowcy określili datę powstania tej mapy na „około roku 1440”, a więc była ona o ponad pół wieku starsza od wyprawy Kolumba. Z lewej strony, u góry tego autentyku, znajdował się następujący tekst: „Zrządzeniem boskim, po długiej podróży z wyspy Grenlandii, żeglując wśród lodów na południe ku najdalszym nieznanym częściom zachodniego Oceanu, odkryli żeglarze Bjarni i Leif Eriksson nową, wielce urodzajną krainę, w której rosły nawet krzewy winne, co sprawiło, że nazwali wyspę Vinlandią...”.

I oto 10 października 1965 roku, tuż przed „Columbus Day”, takie słowa rozpoczęły artykuł w „New York Timesie”: „Yale University opublikował dzisiaj najbardziej rewelacyjne odkrycie kartograficzne stulecia - jedyną, jaką znamy, przedkolumbijską mapę obszarów Nowego Świata, odkrytych przez Leifa Erikssona w XI wieku”. Cała włoska Ameryka zawyła z oburzenia i rozpacz. W odpowiedzi na ten „nietakt”, na tę „skandaliczną prowokację” (komentarze prominentnych członków Italian Historical Society of America), włoskie manifestacje we wtorek 12 października, podczas „Columbus Day”, były tak potężne, iż pobiły wszelkie dotychczasowe rekordy. W Nowym Jorku „komunikacja była przez pięć godzin całkowicie sparaliżowana.

Ale było za późno i żadne demonstracje nie mogły już zwrócić Kolumbowi czołowej lokaty w „Atlantic Rally”. W roku 1976 prezydent Ford ogłosił dzień 9 października świętem narodowym - Dniem Leifa Erikssona (jakby prowokacyjnie na trzy dni przed „Columbus Day”). To obwieszczenie zabrało mu sporą liczbę głosów wyborców włoskiego pochodzenia, co wraz z głosami Polaków, utraconymi na skutek innego nieostrożnego obwieszczenia, skutecznie przyczyniło się do jego elekcyjnej klęski.

Wróćmy wszakże do wikingów, bo to jeszcze nie koniec ich epopei. Dzisiaj już nawet uczniacy wiedzą, że skandynawskie wilki morskie wyprzedziły Kolumba, a potwierdzające to odkrycia mnożą się (m.in. w stanie Maine, w staroindiańskiej osadzie nad brzegiem morza, archeolodzy znaleźli wikińską monetę, którą brytyjski ekspert, Peter Sibey, wydatował na panowanie norweskiego króla Olafa Spokojnego czyli wiek XI). Ale te wilki dokonały czegoś więcej. W przedmowie do pracy naukowej o słynnej mapie, zatytułowanej „The Vinland Map”, czytamy: „Mapa Vinlandii stanowi najstarszy znany i poświadczony obraz kartograficzny wszystkich części obu Ameryk...”. Właśnie - o b u !

Już w minionym stuleciu istniały poważne przesłanki pozwalające przypuszczać, iż normandzcy żeglarze nie zatrzymali się w Karolinie, lecz dopłynęli na Florydę i do Meksyku. W XX wieku dowodzono (mając do tego silne podstawy), że w wieku XIII wikingowie osiedlili się aż w Tiahuanaco, u podnóża Andów. Prawdziwą sensacją okazały się jednak dopiero odkrycia dyrektora Instytutu Antropologicznego w Buenos Aires, profesora de Mahieu, według którego wikingowie penetrowali prawie całą Amerykę Południową i żeglowali po Amazonce oraz jej dopływach, a także po rzece Parana, byli w Boliwii, Brazylii, Paragwaju - wszędzie!

De Mahieu przez z górą 20 lat po II wojnie zajmował się badaniami tajemniczego plemienia Indian mających białą skórę - tzw. „białych Indian”. Podczas jednej ze swych ekspedycji natrafił w brazylijskim stanie Piaui, na południe od ujścia Amazonki, na dwa małe forty, resztki świątyni i mur o wysokości 10 metrów. Znalezione tam posągi okazały się wiernymi kopiami kamiennych posągów z Lasu Teutońskiego, a liczne inskrypcje pokrywające ściany wykonane były pismem runicznym, charakterystycznym dla germańskich dialektów używanych w średniowiecznym Szlezwigu oraz dla staronordyckiego języka duńsko-norweskiego. Mało tego - w ruinach owych de Mahieu odnalazł płaskorzeźbowe wyobrażenia łodzi wikingów ze „smoczymi” dziobami, a także typowo skandynawskie symbole, jak na przykład młot staronordyckiego boga piorunów Thora. Według profesora de Mahieu nie ulega najmniejszej wątpliwości, że „biali Indianie” są potomkami wikingów.

A więc Leif Eriksson i jego kompania. Ale tylko dla Norwegów i Duńczyków, inne bowiem nacje słysząc o tym mówią twardym głosem: veto! Irlandczycy nie chcą nawet słuchać o wikingach, a jeśli już słuchają, to kwitują to parskaniem. Przecież to jasne jak słońce, że w „Atlantic Rally” wygrał irlandzki patron żeglarzy, święty Brendan, który zanim został świętym, wiele podróżował i napisał słynne dzieło *Navigatio*. Do dzisiaj budzi ono kontrowersje wśród naukowców: czy jest to relacja autentyczna, czy też arcyfantazja? Cała Irlandia, z Uniwersytetem Dublińskim na czele, nie ma wątpliwości, że na kilka wieków przed Erikssonem, dokładnie (ale nie za bardzo dokładnie) w VI stuleciu, święty Brendan przepłynął Atlantyk na małym, 10-metrowym stateczku obciążonym kozią skórą nasyconą tłuszczem, dotarł do Nowego Świata i tam nawracał tubylców. Mają tego dowodzić odkrycia archeologiczne na terenie Nowej Funlandii. Jeśli okażą się wiarygodne - te lub inne wykopaliska albo dokumenty - to wcześniej czy później któryś z prezydentów USA kupi sobie irlandzkie głosy Dniem Świętego Brendana. Wówczas cała Irlandia z radości zaprawi się ginem na umór. Wcześniej czy później.

Jeśli już jesteśmy na Wyspach Brytyjskich, to odwiedźmy także Walijszyków, którym nie przeszkadzają Kolumbowie, Brendanowie i cała banda wikingów,

bo i tak nie ulega kwestii, że wszystko to są sprawy późne albo wierutne blagi. Wikingowie nie ruszyli się poza Grenlandię, Brendan był rudym łgarzem jak wszyscy Irlandczycy, a Kolumb... Kolumb tylko skopiował wyczyn jedyne go autentycznego odkrywcy Nowego Świata, a zarazem zwycięzcy „Atlantic Rally”, walijskiego księcia o dźwięcznym nazwisku Madoc ap Owain Gwynedd, który w roku 1170 wylądował w Mobile Bay w stanie Alabama. Tam właśnie, w mieście Mobile, wzniesiono mu pomnik ufundowany przez organizację o dźwięcznej nazwie Córy Amerykańskiej Rewolucji. Za księciem Madokiem stoi kupka dokumentów oraz interpretacji indiańskich wyrazów o walijskim brzemieniu. Gdy ta kupka urośnie, to Dzień Madoca Walia będzie miała jak w banku i z radości też się zaprawi czymś o dźwięcznej nazwie.

Dla Walijszczyków pracują nie tylko Walijszczyki, lecz również historycy i archeolodzy kanadyjscy i amerykańscy. To oni przypomnieli „białych Indian” Ameryki Północnej, Mandanów i Tuscarorów; otrzepali z kurzu stare dokumenty (m.in. raport amerykańskiego oficera, który w roku 1801 rozmawiał z przedstawicielami tych plemion po... walijsku i dowiedział się, że ci Indianie pochodzą „ze wschodu, zza wielkiej wody”); wreszcie wskazali, że siedziby i fortyfikacje Mandanów nie miały nic wspólnego z innymi osadami indiańskimi, natomiast zadziwiająco przypominały budownictwo walijskie oraz irlandzkie z XII wieku. Tak oto rośnie kupka szans księcia Madoca, który żeglował na statku „Gwennan Gorm”. W roku 1171 uznano tę jednostkę za „zaginioną”.

Ciągle jeszcze nie wynosimy się z gościnnych terytoriów po drugiej stronie kanału La Manche. Kolej na Celtów, lud indoeuropejski, który w pierwszym tysiącleciu przed naszą erą rozprzestrzenił się po całej Europie, głównie na Wyspach Brytyjskich, w Irlandii i w Galii, a w I wieku p.n.e. został podbity przez Rzymian. Celtowie, jako społeczność już nie istniejąca, nie mogą sami dochodzić swego prawa do miejsca na podium (a tym bardziej zaprawiać się czymkolwiek), ale na ich szczęście uczynili to w ich imieniu naukowcy z amerykańskiego Towarzystwa Epigraficznego w Cambridge (stan Massachusetts). W roku 1975 grupa tamtejszych ekspertów oznajmiła, iż Celtowie znaleźli się w Nowej Anglii z górą 2500 lat temu, o czym świadczą stare napisy odnalezione przez owych uczonych na skałach w stanach New Hampshire i Vermont - napisy w języku „ogam” używanym przez Celtów. Przetłumaczył te napisy profesor Fell stwierdzając, iż pochodzą one z okresu od VII do III wieku p.n.e. i wykonane zostały prawdopodobnie przez rybaków, którzy dopłynęli do Ameryki Północnej z Europy na około 2 tysiące lat przed Kolumbem.

W ten sposób dopłynęliśmy do człowieka, który jest najzasłużeńszym „showmasterem” wciąż trwającego „Atlantic Rally”. Człowiek ten, z pochodzenia Nowozelandczyk, nazywa się Barraclough Fell, pracuje na

Uniwersytecie Harvard i jest specjalistą od biologii morskiej, od czytania starych inskrypcji i od hipotez dotyczących przedkolumbijskiego odkrywania Nowego Świata. Co najmniej cztery narody powinny mu wystawić pomnik w podziękę za uplasowanie ich na przyzwoitych miejscach w tym wyścigu. O Celtach była już mowa.

W roku 1975 Fell wysunął następującą hipotezę: między rokiem 800 a 600 p.n.e., w dolinie Susquehanna (160 kilometrów od Filadelfii) istniało duże osiedle założone przez pochodzący z Pirenejów lud Basków. Twierdzenie to Fell oparł na tłumaczeniu napisów wyrytych na 400 kamieniach znalezionych w roku 1940 niedaleko ujścia rzeki Susquehanna. Do tej pory uważano te inskrypcje za bazgroły wikingów, wszelako „facet z Harvardu” uznał je za pokrewne inskrypcjom z epoki brązu odkrytym niegdyś w portugalskiej prowincji Tras-os-Montes. Styl napisów wykazywał wpływy fenickie, co pozwoliło Fellowi datować inskrypcje. Potem przetłumaczył niektóre napisy posługując się... współczesnym słownikiem baskijskim. Część z nich (np. „Anez, dziewczynka licząca trzy wiosny”) mówiła o kobietach i dzieciach, co z kolei pozwoliło stwierdzić, iż pochodzą one z grobów i że nie były pozostałością grupy podróżniczej, lecz osadniczej.

Następna hipoteza Fella dotyczy starożytnych Egipcjan. Według niej ekspedycja egipska wylądowała na wybrzeżach Chile, około 200 kilometrów na południowy zachód od Santiago, w roku 231 p.n.e. Twierdzenie to bazuje na sensacyjnym odkryciu, jakiego dokonali dwaj naukowcy Uniwersytetu Texas. Odnaleźli oni na ścianach jaskini Casa Pintada w Kordylierach napisy datowane na 16 rok władania króla Ptolemeusza III (zasiadł on na tronie faraonów w roku 246 p.n.e.) i głoszące: „...południowa granica wybrzeża osiągniętego przez Mawi... Flocie udało się dotrzeć do tej południowej granicy... żeglarze zajmują te ziemie dla króla Egiptu, dla królowej i ich syna”. Dalej następuje opis odkrytych ziem. Inskrypcje te wykazują niezwykle podobieństwo do napisów odnalezionych przez Fella w Libii oraz do... polinezyjskich znaków pisarskich, z czego wysnuto przypuszczenia, że mieszkańcy starożytnego Egiptu osiągnęli wybrzeża Ameryki Południowej drogą przez Pacyfik, lądując po drodze na wyspach Polinezji. Potwierdzają tę tezę źródła tureckie, wskazujące na migrację starożytnych podróżników, którzy mieli przekazać mieszkańcom centralnych rejonów Ameryki umiejętność budowania piramid.

Wreszcie Fenicjanie są również dłużnikami Barry Fella. Chodzi o sławnego podróżnika, kartagińskiego księcia Hanno, podporządkowanego królowi Tyru, Hiramowi III. Według Fella Hanno, który wyprawiał się na poszukiwanie nowych ziem na czele żeglarzy z Kartaginy i Gadiru (dzisiejszy Kadyks), miał w roku 480 p.n.e. wylądować w kilku miejscach między Quebekiem a Yukatanem. Twierdzenie to Fell oparł na odczycie inskrypcji wyrytej na głazie znalezionym

w Bourne (stan Massachusetts). Napis ten głosi: „Proklamacja aneksji. Nie niszczyć. Hanno obejmuje to (miejsce) w posiadanie”. Podobne inskrypcje na głazach znalezione zostały także w Kanadzie, Meksyku i Ameryce Południowej, głównie na wybrzeżach. Jedna z nich głosi: „Hanno przybyły z Tamu dotarł do tego miejsca”. Rozsądnie myśląc Dzień Hannona jako święto narodowe USA wydaje się perspektywą wcale nie tak głupią (jeśli tylko lobby fenickie okaże się równie silne jak lobby odwiecznych wrogów Fenicji).

By pożegnać już tę kapliczkę Fella w „Atlantic Rally”, należy dodać, iż spora grupa archeologów prekolumbijskich, epigrafów i lingwistów kwestionuje jego odczyty uważając je za nieporozumienie wynikające z przypadkowych podobieństw pewnych elementów. Ma jednak Fell również silnych sojuszników w świecie nauki, takich jak znany szwajcarski lingwista Linus Brunner, według którego w odczytach Fella jest niewątpliwy przebłysk geniuszu. Mocnym argumentem na rzecz tez Amerykanina są także dokonane niezależnie od niego odczyty profesora Uniwersytetu Laval w Kanadzie, Thomasa Lee, który po długotrwałych wysiłkach rozszyfrował napisy wyryte na trzech kamieniach znalezionych w prowincji Quebec. Wynika z nich, że na ponad 2 tysiące lat przed Kolumbem fenicka wyprawa żeglarzy z Kartaginy dotarła do Ameryki Płn. i wpłynęła w jedną z odnóg Rzeki Świętego Wawrzyńca.

Kolumb tedy (wciąż do niego wracamy), który tak ładnie wystartował i przez pewien czas przewodził stawce, w miarę jak Rajd Atlantycki nabierał tempa - przesuwa się coraz bardziej do tyłu i wciąż traci dystans. Jednocześnie zyskuje coraz gorsze opinie, co jest zawsze udziałem przegrywającego. I tak prasa pekińska, naukowa i codzienna, z upodobaniem wyraża się o nim per „kolonialny pirat”, dodając (przy okazji), że w „Atlantic Rally” zwyciężyli Chińczycy, a konkretnie chiński żaglowiec, na którym buddyjski mnich Huishen dowodził pięcioosobową ekipą odkrywców Ameryki (w roku 458 lub 459); według zapisków z okresu dynastii Liang mieli oni dotrzeć do krainy Fu Sang identyfikowanej z Meksykiem. Świadczyć o tym mają wydobywane z dna u wybrzeży Ameryki kotwice kamienne podobne do starych chińskich. Bardziej radykalni naukowcy Państwa Środka cofają się trzydzieści wieków przed naszą erą, ponieważ w prowincji Szei Jang znaleziono amerykański „peanut” czyli fistaszek, czyli orzeszek ziemny sprzed prawie pięciu tysięcy lat! Uprzednio sądzono, że fistaszki trafiły z Ameryki do Chin via Europa przed około czterema wiekami; ten „archeologiczny” dowód ma świadczyć, że musiała istnieć chińska żegluga transoceaniczna tysiące lat przed naszą erą. Na wątpliwości typu: „Dlaczego Chińczycy przywieźli orzeszek, a potem nie uprawiali go aż do XVI wieku naszej ery?”, nauka chińska odpowiada: „Była to kwestia smaku” (sic!). Wspomniane wątpliwości sprawiły, że w Chinach zapanował gniew, a także szaleństwo poszukiwania fistaszków

prekolumbijskich, uwieńczone sukcesem (znaleziono ich dużo), co jednak nie obala faktu, że do dzisiaj nie można udowodnić, by Chińczycy budowali statki zdolne do przepłynięcia Pacyfiku, nawet w jego najwęższym miejscu. Od roku 1962 Chiny bronią swej tezy oficjalnie, posługując się dawnymi legendami, kamieniami, fistaszkami, cytatami z czerwonej książeczki Mao oraz interpretacją rzekomo chińskich wpływów w kulturze azteckiej (No nie, Dzień Chińczyka jako święto narodowe USA, to już chyba trochę za dużo...).

Na identycznym sprzęcie ścigają się Arabowie, ale ten sprzęt - średniowieczne opowieści zawierające opisy krainy z nie znanymi ówczesnemu światu zwierzętami i roślinami, które dzisiaj niektórzy uczeni interpretują jako faunę i florę obu Ameryk - nie gwarantuje sukcesu, to jest uznania za niepodważalną tezę o arabskich marynarzach, którzy wyruszyli z terenu dzisiejszej Casablanki i odkryli Nowy Świat.

Francuzi czerpią cię nadziei na miejsce w peletonie z pracy Juana Mansano y Mansano „Kolumb i jego tajemnica”, według której ów nieznany z imienia żeglarz, co wyprzedził Kolumba, bo dotarł na Karaiby (zniesiony tam przypadkowo przez sztorm) i potem sprzedał Genueńczykowi informację, był Andaluzyjczykiem lub Portugalczykiem lub... Francuzem.

Bułgarzy obstawiają aż dwóch członków załogi Kolumba, Drajana de Panamara (według Bułgarów: Dragan Pałamarow) i Alonsa de Ojirda później de Ojeda (według tych samych: Dragan Ochrydzki), zwłaszcza pierwszego z nich, bo to on pierwszy z całej wyprawy postawił nogę na odkrytym lądzie (notabene wśród żeglarzy Kolumba miał być też Polak Franciszek Warnadowicz vel Warandowicz, na co jest tylko jeden dowód, ale za to nie do obalenia; brzmi on: gdyby gdzieś zabrakło Lechity, to historia z miejsca utraciłaby wiarygodność).

Portugalczycy, którzy do Sądu Ostatecznego będą się upierać przy pierwszeństwie Cortereala (rok 1473), w owym czasie zataili jego rejs ze względu na walkę z Hiszpanią o strefy wpływów. Dzisiaj krzyczą o tym wyczynie w niebogłosość, wymachując starymi mapami, gdzie figurują nazwy części Nowego Świata nadane przez ich ziomka, ale teraz nikt nie chce słuchać.

Innym narodem, który sam siebie wybrał na zwycięzców Rajdu Atlantyckiego, są potomkowie Hebrajczyków. W stanach Tennessee i Georgia znaleziono wyryte na kamieniach napisy, które uznano za dowód, że przed około 3 tysiącami lat mieszkali tam przez jakiś czas delegaci narodu żydowskiego. Badacze amerykańskiego folkloru podkreślają, iż niektóre zwyczaje i wyrażenia indiańskiego szczepu Yuchi z Georgii wykazują wpływy hebrajskie.

Problem w tym, że według amerykańskiego profesora Josepha Mahana, Indianie ze szczepu Yuchi nie są potomkami Hebrajczyków, lecz Hindusów! Naukowiec ten, po różnych studiach oraz pobycie w Indiach i Pakistanie,

stwierdził, iż przed 5 tysiącami lat nad rzeką Indus rozkwitała wielka cywilizacja o wysokiej kulturze morskiej i że przedstawiciele tej cywilizacji właśnie przed 5 tysiącami lat dotarli do południowo-wschodnich wybrzeży dzisiejszych Stanów. Dowodzić tego mają podobnie brzmiące nazwy osiedli hinduskich i indiańskich, podobieństwo nazwisk rodowych, ubiorów, zwyczajów religijnych i przedmiotów codziennego użytku. Według Mahana oryginalne nazwy szczepów indiańskich: Yuchi, Fox, Creek, Cherokee i Sac pochodzą od wędrownych plemion z doliny Indusu i jest to argument bardzo silny - inni naukowcy potwierdzają to.

Wychodzi więc na to, że „Atlantic Rally” wygrali Indianie i to dawno temu, bo jak twierdzą niektórzy archeolodzy i badacze kultur: czerwonoskórzy przybyli na kontynent amerykański z północno-wschodniej Azji przed 14 tysiącami lat. Prorokować Dzień Czerwonoskórego jako święto narodowe United States of America nie jest w tym układzie futurologią nazbyt obłąkaną - któryś z prezydentów XXI wieku, na przykład czarnoskóry potomek wuja Toma, może sprawić wujowi Samowi ten „bonus” (premija) i wówczas blade twarze trafi szlag wielki jak stąd do Chicago i z powrotem.

A w ogóle to nie ma co ukrywać, że „Atlantic Rally” wciąż trwa, mnożą się tezy i hipotezy, dowody i kontrdowody, inskrypcje, interpretacje i insynuacje, i coraz więcej narodów staje w szranki. Nie wspomniałem o Japończykach, Germanach, Turkach, Rzymianach starożytnych i Etruskach, chociaż także oni uważają się lub są przez kogoś uważani za tych kolegów Kolumba, którzy skutecznie wykolegowali na trasie jego i całą pozostałą konkurencję.

Jak to bywa w sporcie - niektórzy działacze klubowi próbują rozstrzygnąć wyścig przy „zielonym stoliku” i to na forum najwyższym, w ONZ. Najpierw, podczas XXXVII Sesji Zgromadzenia Ogólnego, Włosi zaprotestowali przeciwko „hiszpanieniu” Kolumba przez Hiszpanów. „I cóż z tego, że okręty i flagi były hiszpańskie? Kolumb urodził się w Genui, a ta nigdy nie leżała za Pirenejami!” - ryknął przedstawiciel Włoch. Wysiłki mediacyjne państw trzecich doprowadziły do wynegocjowania kompromisu - w rezolucji mianującej rok 1992 Rokiem Kolumba znalazło się zdanie: „włoski podróżnik i odkrywca w służbie hiszpańskiej”. O jeden wyraz - „odkrywca” - za dużo jak na wytrzymałość Irlandczyków, Islandczyków i Duńczyków, którzy wpadli w szal i złożyli oficjalny protest. Delegat duński przypomniał Jana z Kolna, który wprawdzie „był Polakiem, ale miał okręt i całą załogę duńską”, Islandczyk wskazał na Leifa Erikssona, zaś Irlandczyk na mnicha-misjonarza spod Dublina, który 700 lat temu wylądował w Nowej Funlandii. Delegat norweski bezzwłocznie skontrował Irlandczyków, wykpiwając „legendę o misjonarzu, co nie pozostawił śladów pisanych, bo pewnie nie umiał pisać” i przywołał własnych przodków, Eryka Rudego oraz jego syna, który dotarł do Kanady. Rozpętało się w szacownej siedzibie Zgromadzenia piekło gorsze niż przy

debatach nad pokojem światowym, padały pod adresem rezolucji epitety: „popierająca kolonializm!”, wyścig zrobił się dalszy od rozstrzygnięcia aniżeli wyścig zbrojeń. Stanowi on cudowny symbol odwiecznej „pokojoyej koegzystencji” gatunku „homo sapiens”, oraz świadectwo, że o ile na temat pochodzenia tego gatunku nie wiemy prawie nic, to o jego dość bliskiej historii wiemy zawstydzająco mało.

Dniem Kolumba i Dniem Erikssona rząd USA uhonorował tylko zawodników naszego tysiąclecia. Kiedy wreszcie uhonoruje wszystkich, to kraj ten będzie miał wieczny weekend rozpięty na 365 świętach narodowych w roku. I to będzie prawdziwa katastrofa. Może więc lepiej byłoby nie przyznawać już żadnych laurów i nie grzebać w trzewiach historii, zostawiając Włochom satysfakcję ze zwycięstwa Kolumba. Byłoby to łatwe do osiągnięcia, gdyby sprawą zainteresowała się mafia. Instytucja ta posiada wystarczająco rozbudowany aparat perswazji, mogłaby więc bez trudu ostudzić zapąły naukowców raz po raz detronizujących Genuńczyka.

Ale mafia ma poważniejsze sprawy na głowie, odkąd jej pionierska ekspedycja wyruszyła z Palermo i odkryła Nowy Świat.





ETAP II

Z Nowego Jorku do Chicago, gdzie już na mnie czekałeś, poleciałem jetem B-707 należącym do wewnętrznych linii United Airlines, rejsem Nowy Jork - Chicago - Las Vegas. W porównaniu z Jumbo taka różnica, jakbym się przesiadł z Mercedesa do rikszy. A nadziani jankesi właśnie przesiadają się gromadnie z Cadillaców do Mercedesów, odkąd Cadillac popełnił ten prostacki błąd, że zaczął sprzedawać swoje luksusowe produkty na raty, w efekcie czego zaczęło być stać na nie średniozamożnych Murzynów.

Wróćmy jednak do mojej latającej rikszy, prawie pustej, brudnej i zaśmieconej, z oderwanymi obiciami ścian, niechlujnymi fotelami i w ogóle wszystkim tak drastycznie różnym od dopiero co pożegnanego salonu „słonia”. Nie żałowałem. Znam wiele samolotów wielu linii. Zjeździłem w powietrzu kawał świata. Ale w żadnym z tych samolotów nie było tej czarnowłosej stewardesy, najładniejszej ze wszystkich stewardes, jakie widziałem. Podobają mi się tylko blondynki. W tym B-707 zrozumiałem, że brunetki to po prostu czarnowłose blondynki.

Teraz zaczniemy odkrywać Amerykę. Nie można inaczej jak samochodem. Hasło reklamowe na tutejszych mapach: „Discover America! Best by car!” (Odkrywaj Amerykę, najlepiej samochodem!). Byle nie taksówką, jak ta sławna pani, 55-letnia Jean Caren, o której napisała cała tutejsza prasa, bo ta pani dopiero co odbyła podróż „by taxi” z Los Angeles do Nowego Jorku za jedyne 5400 dolarów, nie licząc kosztów noclegów i wyżywienia, w efekcie czego jej córeczka wystąpiła do sądu o ubezwłasnowolnienie mamusi.

Nas też ktoś powinien ubezwłasnowolnić, bo wybieramy się w gigantyczny rejs samochodem, który nie ma prawa dojechać do rogatek Chicago. To jest fakt, ale faktem jest też, że chwilowe kłopoty w interesach i związany z tym brak kilku zer na koncie zmusza nas do takiej, a nie innej decyzji. Był kształtuje nam świadomość w sposób niezaprzeczalny.

Klamka zapadła - pojedziemy Fordem sprzed potopu, z dużym optymizmem i małym szperaczem na dachu. Więc zrobmy coś z tym „junkiem”, bo ma pół metra luzu w kierownicy! Niech Walowski zmniejszy to chociaż o połowę.

Walowski Service Station. Nasz Ford Fairlane wędruje na podnośniku pod niebo garażu - zaczęli od wymiany przerdzewiałych wahaczy. Potrwa to długo. W tym czasie nabywamy pięć używanych, lecz o wiele świeższych od naszych opon u gumowego dealera, a w pobliskim domu towarowym 2 termosy, 2 koce, 2 gąbkowe materace-dywaniki, latarkę i po małym jaśku. Potem mała zakąska w polskiej knajpce i „cud” z coca-colą laną przez Jarka na te zbuntowane

świece-emerytki. Chłopcy Walowskiego bohatercko zmagają się z rdzą i kalectwem „junka”, godzina za godziną...

O trzeciej po południu na drugie stanowisko podejżdza jakiś jankes, starszy mężczyzna, wysiada i chce zapalić papierosa. Walowski zwraca mu uwagę, że wokoło pełno benzyny, więc palić musi na zewnątrz. Mężczyzna wychodzi przed stację, kilka metrów. Mógł wyjść któryś z nas, ty lub ja, ale wyszedł on. Pisk hamulców. Z kaprawego Dodge'a wyskakuje desperado z fryzurą afro i z nożem w dłoni, drugi siedzi przy kierownicy i trzyma nas wszystkich pod lufą rewolweru. Nóż do brzucha jankesa i „dawaj forszę!”. Drżące ręce wysupłują banknoty. Odskok, pisk opon i Dodge niknie za zakrętem North Ashland Avenue. Wszystko razem 15 sekund.

Stary człowiek płacze. Ze szczęścia - stracił gotówkę (niewiele, tu nie nosi się dużych sum przy sobie), nie stracił bebechów. Walowski wyjmując z kieszeni spodni rękę z małym pistolecikiem.

- No i co, chłopaki - zwraca się do nas - nie boicie się jechać na goło?
- Dlaczego pan nie dzwoni na policję?! - krzyczę.
- Zwariowałeś, synu? Co minutę jest w Chicago taki numer, a potem szukaj wiatru w polu. Chcecie, to zadzwonię do szeryfa, żeby dał wam spluwę. To Polak, swój, równy gość. Ale musielibyście poczekać do poniedziałku, aż wróci z weekendu.

Nie będziemy czekać. Nie możemy - mamy mało czasu i 10 tysięcy mil w planie. I nie chcemy. Bez broni będziemy bezpieczniejsi, bo jeśli ktoś zechce wyciągnąć przeciw nam rewolwer, to może to być zawodowiec, a z takim nie wygramy. Lepiej, by nas nie kusiło sprawdzać go. Zresztą prowincja jest o wiele bezpieczniejsza od dużych amerykańskich miast, które są metropoliami zbrodni. Zapamiętamy tylko jedno: „pięciodolarową radę” czyli informację o tych rytualnych już w USA 5 dolarach, które każdy człowiek na ulicy amerykańskiego miasta musi mieć w zewnętrznej kieszeni dla bandziora podchodzącego z nożem i proszącego o pieniądze na papierosy. Trzeba wyjąć banknot szybko, wręczyć szybko i szybko przygotować sobie drugi, żeby nie być za chwilę zaskoczonym, nie gmerać po kieszeniach i nie denerwować tym człowieka z „kosą”.

W porządku, zaczniemy odkrywać Amerykę od Chicago. Zaprowadź mnie, Jerry, na cmentarz Mount Olivet, na Wabash Avenue, na Michigan Avenue, na Prairie Avenue i zwłaszcza na to chicagoskie przedmieście Cicero, pełne dzisiaj niskich ceglanych ruder z zewnętrznymi metalowymi schodami, obumarłych fabryczek, połamanych szyldów, brudnych ulic i pustych podwórek, gdzie zachował się jeszcze w sennym powietrzu i szpetnej urbanistyce ów przedziwny klimat z czasów prohibicji, przypominający człowieka zwanego „Scarface”, dla którego 5 dolarów, to w ogóle nie były pieniądze.



So you see... that the world is governed by very different personages to what is imagined by those who are not behind the scenes. (Widzisz więc... świat jest rządzony przez całkiem inne osoby niż sobie wyobrażają ci, którzy nie oglądają kulis).

Beniamin Disraeli - Coningsby

„CZŁOWIEK Z BLIZNĄ”

Tak go nazywano - „Scarface” (człowiek z blizną na twarzy). Miał tę wielką szramę na lewym policzku i wstydział się jej, zalepiał grubą warstwą pudru, uważając, że jest niegodna prawdziwego mężczyzny. Być może więc prawdą było, że zawdzięczał ją swej zazdrosnej połowicy, krewkiej Irlandce Mae Coughlin. Inni mówili, że to pamiątka po młodzieńczej bójce na noże z Frankiem Gallucio, sutenerem z Brooklynu, którego „Scarface” ściągnął później do Chicago i uczynił jednym ze swych najbardziej zaufanych pretorianów. On sam twierdził, że otrzymał tę bliznę na froncie I wojny światowej.

Nazywał się Alfonso Caponi i dopiero w Chicago zmienił nazwisko na Capone. Urodził się w roku 1895 koło Rzymu. W rok później rodzina Caponi wyemigrowała do Nowego Jorku i tam szybko się powiększyła. Z pięciu braci Ala tylko jeden, Ryszard, nie został gangsterem i zamieszkał w stanie Nebraska, zmieniając przedtem nazwisko, którego się wstydział. „Scarface” natomiast wstydział się jedynie chodzenia do szkoły i najął się do pracy akordowej w nowojorskim gangu Five Points. Miał stały cennik. Za 2 dolary bił człowieka, za 50 łamał mu rękę lub nogę, za 100 odbierał życie. W początkach lat dwudziestych przeniósł się do Chicago i wkrótce został następcą tronu w największym państwie zbrodni ówczesnego świata.

To państwo założył w pierwszych latach stulecia alfons z dzielnicy szynków przy Wabash Avenue, wielki „Big Jim” Colosimo. Było to dopiero księstwo, w którym rolę delfina grał Johnny Torrio. W pewnym momencie Torrio znudził się swoim drugim miejscem i 11 maja 1920 roku wielki boss dostał dwie kule w potylicę (honorową straż przy trumnie obsypanej setkami wiązanek pełnili kolejno: trzech sędziów, jeden prokurator, dwóch senatorów, przedstawiciel władz stanowych, lider Partii Republikańskiej w Chicago, ośmiu radnych miejskich oraz członkowie zarządu chicagowskiej opery!). Torrio uczynił z księstwa królestwo, a z Ala Capone, o którym mówiono, że to on wykonał wyrok na księciu, swojego delfina. W roku 1925 dokonano zamachu na króla i Torrio, który ocalał tylko dzięki nieprawdopodobnemu szczęściu (rewolwer przystawiony do głowy leżącego nie wypalił!), uciekł z Ameryki oddając tron Alowi. Capone zamienił królestwo w cesarstwo i pomaszerował szkarłatną drogą do dwóch celów: do stania się symbolem gangsteryzmu i do rekordu świata widniejącego dzisiaj w Guinness Book of World Records.

Odpowiedni akapit tej encyklopedii brzmi: „Największy zanotowany dochód roczny przypadający na jednego człowieka miał w roku 1927 Al Capone, który zarobił wówczas na szmuglu alkoholu, grach hazardowych, szantażu i prostytucji 105 milionów dolarów”. To dzięki temu człowiekowi Chicago stało się symbolem „stolicy zbrodni”.

Odnutowano, kiedy padły w tej stolicy pierwsze i drugie strzały ery prohibicyjnej. Pierwszy zginął w lipcu 1921 roku mały rzezimieszek zaproszony z ulicy do samochodu na dintojrę, która stała się później wzorcową i którą nazwano „jazdą w jedną stronę”. Na drugie zabójstwo trzeba było czekać aż do roku 1923. Tuzinkowy gangster o nazwisku Howard zrabował należący do Torria transport alkoholu. Następnego dnia, wychodząc ze sklepu spotkał dwóch znajomych. Świadkowie słyszeli, jak odezwał się do jednego z nich:

- Cześć, Al!

Potem świadkowie usłyszeli strzały, ale nie widzieli nikogo poza trupem Howarda, bo byli to inteligentni świadkowie. Następnie ukazał się w gazetach-komunikat prokuratury: „Poszukiwany jest Tony «Scarface» Capone, występujący także pod nazwiskiem Al Brown, oskarżony o zamordowanie sześcioma strzałami Joe Howarda pod sklepem Heinie Jacobsa”. Capone sam się zgłosił na policji i u prokuratora, powiedział co miał do powiedzenia na temat „szkalowania niewinnych obywateli”, po czym śledztwo umorzono z braku dowodów. Od tej pory dziennikarze coraz częściej „robili mu prasę”, a on - odwzajemniając ich sympatię - nie robił im zawodu i awansował szybko. Zaczął u Torria od stanowiska wykidajły w podrzędnym domu publicznym (w Burnham), którego osobliwością był fakt, że drzwi frontowe znajdowały się w stanie Illinois, tylne zaś w stanie Indiana. Po kilku tygodniach Torrio uczynił go kierownikiem burdelu (i zarazem kwatery głównej gangu) Four Deuces przy Wabash Avenue 2222. Wreszcie zaś swoim zastępcą i szefem specjalnego komanda do rozpraw z konkurencją.

Konkurencję królestwo Torria miało liczną, gdyż Chicago ze swymi przekupnymi politykami, przekupną administracją i przekupną policją było smakowitym ścierwem, ściągającym hieny z całych Stanów. Renesansowa monarchia oblepiona przez kilkanaście księżstewek o wiecznie głodnych pyskach z ostrymi zębami, które trzeba wybijać, żeby nie być kąsanym. Capone zaczął od sześciogłowej hydry gangu O'Donellów.

Z sześcioma braćmi O'Donell nie było kłopotu tak długo, póki ich wódz, Spike O'Donell, mieszkał w więzieniu za napad na bank i dwa morderstwa. Miał tam mieszkać długo, nie liczono więc na przykrości ze strony O'Donellów. Ale nie mieszkał. Sześciu senatorów USA, pięciu deputowanych oraz sędziego z Chicago wyjednali u gubernatora zwolnienie gangstera argumentując, iż jest on... religijny. Tak więc Spike powrócił na arenę i zaraz potem O'Donellowie złupili

kilka barów należących do Torria. Ten wydał odpowiedni rozkaz Alowi, lecz zanim „kastet Torria” przystąpił do represji, wydarzyło się coś bardzo przykrego: oto w roku 1923, zupełnie niespodziewanie, opłacony przez podziemie kryminalne republikanin „Big Bill” Thompson przegrał wybory na burmistrza miasta. Wygrał zupełnie nie opłacony przedstawiciel demokratów, William E. Dever. Głupia sprawa. Dever z miejsca wywalił na bruk skorumpowanych policjantów, nowej policji dał nowych szefów i wziął się ostro za gangsterów głosząc, iż zgotuje im Waterloo. *Nolens volens* odłożono porachunki na przyszłość i w Chicago zrobiło się spokojnie.

Ale nie na długo. Torrio odczekał, aż Dever wyszumi się (dużo piany, mało rezultatów), lecz nie czekał bezczynnie. Najpierw przekupił nową administrację i nową policję posługując się „swoim człowiekiem”, prominentnym demokratą, adwokatem, M. L. Igoem, który ubiegał się o urząd... prokuratora stanowego pod hasłem „oczyszczenia miasta z elementów przestępczych, zlikwidowania przekupstwa urzędników i zaprowadzenia spokoju w mieście”. Potem dopiero wprawił w ruch maszynkę do mielenia mięsa nazywaną „Scarface” i bracia O’Donell oraz ich ludzie zaczęli masowo wywijać kozły, po których już się nie wstaje, bądź raz po raz wybierali się w „podróż w jedną stronę”. Tylko Spike, kiedy zobaczył, co się dzieje i oprzytomniał, wybrał podróż w obie strony, to jest uciekł z Chicago, by powrócić po roku, paść na kolana przed Caponem, uzyskać jego przebaczenie i otrzymać odeń funkcję... dostawcy węgla dla zarządu miejskiego. Księstwo O’Donellów stało się prowincją królestwa duetu Torrio-Capone.

Mamy początek roku 1924. Zbliżają się kwietniowe wybory na 50-tysięcznym, będącym odrębną jednostką komunalną przedmieściu fabrycznym, Cicero. Tamtejsi republikanie boją się, że po zwycięstwie Devera w Chicago demokraci mogą również zawładnąć przedmieściem. Delegat Partii Republikańskiej zwraca się o pomoc do Capone i zawarta zostaje dżentelmeńska umowa: jeśli republikanie wygrają w Cicero, gang Torria będzie mógł tam robić, co tylko zechce. Torrio był wtedy nieobecny (wyjechał na wakacje do Europy), lecz po powrocie pochwalił swego wice i dał mu „carte blanche” na zorganizowanie spektaklu.

W dniu wyborów Cicero zostało obstawione przez 700 zbirów Ala, który kierował akcją wraz ze swym bratem Frankiem. Ludzi zmierzających do lokali wyborczych zatrzymywano i oglądano ich kartki. Jeśli kartki były wypełnione nie tak jak trzeba, zmuszano „błądzących” do ponownego, „prawidłowego” wypełnienia. Opornych wywożono za miasto i zostawiano w szczerym polu. Zaalarmowana przez demokratów policja zjawiała się hurmą i zastała braci Capone w drzwiach lokalu wyborczego z bronią w rękach. W ostrej wymianie ognia czterdzieści osób zostało rannych, a cztery zabito. W tym Franka Capone i jednego z funkcjonariuszy. Policjanta pochowano skromnie. W dniu pogrzebu

Franka Capone (srebrna trumna i wieńce za 20 tysięcy dolarów) wszystkie burdele, knajpy i szulernie miasta uczciły jego pamięć dwugodzinnym zawieszeniem działalności.

Capone wypełnił swoje zobowiązanie. Bossowie Partii Republikańskiej, która zwyciężyła w wyborach, też wypełnili swoje zobowiązanie. Cicero rozblęślo lampionami i neonami, stając się jednym wielkim zamtuzem skrzyżowanym z szulernią i pijalnią wody ognistej. Sto barów pracowało przez okrągłą dobę, wirowała ruleta, panienki dostawały zadyszki z wysiłku. Czteryście prywatnych chartów „człowieka z blizną” wygrywało dlań na wyścigach, które zorganizował kosztem pół miliona dolarów. Kilkudziesięciu radnych, z burmistrzem Klehną na czele, robiło mniej więcej to samo i otrzymywało takie same baty (dosłownie - niejedyn radny dostał lanie!), jeśli coś nie grało. Pewnego razu, gdy Klehna czegoś nie załatwił, Capone wszedł do gmachu zarządu miejskiego, kazał burmistrzowi zejść na dół i skopał go w obecności policjantów, którym wrodzona delikatność kazała odwrócić się dyskretnie plecami.

Chociaż formalnie ciągle był „number 2” - wszyscy już wiedzieli, że praktycznie władza spoczywa w jego rękach. Formalności stało się zadość 24 stycznia 1925 roku, kiedy to Torrio został podziurawiony przez nieznanych zamachowców i chociaż przystawiono mu lufę do skroni ocalał, bo zabrakło siódmej kuli w sześciostrzałowym rewolwerze. Król uciekł i pozostawił Alowi pół Chicago. Żeby stworzyć imperium, trzeba było teraz zdobyć drugą połowę. Ale najpierw trzeba było znaleźć sobie pałac.

„Scarface” miał zamiłowanie do przepychu i nie zamierzał rządzić z „gabinetu” na którymś piętrze szynku, między burdelem a szulernią. Nie chciał być „bossem” - chciał być cesarzem. Wynajął dwa piętra luksusowego hotelu „Metropole” na biura dla siebie i swego sztabu. Dwie windy, jedna sala restauracyjna i piwnica pełna najlepszych wódek i najstarszych win należały wyłącznie do niego. W hallu kolejki znanych polityków, adwokatów i wyższych oficerów policji czekały na audiencje, a nazwiska dostępujących łaski wyczytywała z listy sekretarka, podczas gdy porządku pilnowali szeregowi funkcjonariusze policji. To była kwatera oficjalna.

Tajna mieściła się o kilka domów dalej, przy Michigan Avenue 2146, w budynku z gabinetem, na którego drzwiach wisiała mosiężna tabliczka z napisem: „Dr A. Brown”. Stąd zarządzał swym państwem składającym się z 20 tysięcy barów, restauracji i kabaretów, kilku tysięcy domów publicznych, kilkudziesięciu fabryk i browarów i mnóstwa najróżniejszych przedsiębiorstw oraz udziałów w związkach zawodowych, przemyśle (w tym filmowym), transporcie etc.

Poza dwoma kwaterami, reprezentacyjną i operacyjną, posiadał Capone piękny dom mieszkalny w Chicago (przy Prairie Avenue) oraz białą,

20-pokojową, wypełnioną antykami willę na Florydzie, z cudownym jaśminowym ogrodem, basenem pełnym podzwrotnikowych ryb i własnym portem dla motorówek i jachtów.

Obliczano, że w szczytowym okresie imperium Ala Capone 60 procent chicagoskiej policji było na jego żołdzie, a 10 tysięcy osób, od czyścibutów i kelnerów do lekarzy, pracowało dlań w charakterze informatorów. Lecz zanim nastąpiło to apogeum, to jest zanim opanował całe Chicago, musiał wyrznąć konkurencję, zwłaszcza gang władający północnymi dzielnicami miasta i dowodzony przez Hymiego Weissa.

5 października 1926 roku pewien młody handlowiec, który przedstawił się jako Oscar Lundin, wynajął wolny pokój na pierwszym piętrze domu przy North State Street 740. Następnego dnia identyczny pokój na drugim piętrze wynajęła jakaś kobieta. Okna obu tych pokoi wychodziły na ulicę, a dokładniej na znajdującą się po drugiej stronie kwiaciarnię, która stanowiła punkt zborny gangu Weissa.

11 października o trzeciej po południu „Little Hymie” Weiss opuścił gmach sądu, w którym dopilnował, by przekupiona za 100 tysięcy dolarów ława przysięgłych „wywiązała się” i uwolniła dwóch jego ludzi, po czym w towarzystwie adwokata i jakiegoś polityka pojechał do swej kwatery. Samochód zatrzymał się przed kwiaciarnią i Weiss wyszedł na chodnik. Kiedy miał już tylko kilka kroków do drzwi, zagrały dwa pistolety maszynowe i król północnego Chicago padł martwy z kilkunastoma dziurami w ciele. W dwóch świeżo wynajętych pokojach znaleziono przy oknach stos łusek wymieszany ze stosem niedopałków.

Policja nie miała pojęcia, kto mógł to zrobić, za to dziennikarze doskonale wiedzieli, kogo poprosić o wywiad.

- Żal mi tego biednego Weissa - powiedział Al Capone, częstując reporterów whisky i cygarami. - Nie mam z tym nic wspólnego. Uważam, że nie powinno się zabijać ludzi. Można zarabiać uczciwie. Ja właśnie tak robię, bo kocham spokój i nie chcę, żeby mnie spotkał los tego biednego Weissa.

Śmierć Weissa nie oznaczała jeszcze śmierci jego gangu, toteż o spokoju nie mogło być mowy. Nowym szefem północnego Chicago został Schemer Drucci. W roku 1927 przyjaciel przyjaciół doktora Browna, szef chicagoskiej policji, Collins, postanowił prewencyjnie aresztować niektórych gangsterów, bo właśnie miały się odbyć nowe wybory. Drucciego zgarnięto na ulicy, skuto kajdankami, wsadzono do samochodu i powieziono do komendy. Kiedy tam dojechano, okazało się, że Drucci nie żyje - zaczął się szarpać w wozie z pilnującym go funkcjonariuszem, którego pistolet wypalił „w obronie własnej” i to w samą głowę konkurenta Ala Capone.

Gang północnego Chicago, dowodzony po śmierci Drucciego przez Bugsa Morana, został ostatecznie rozbity przez Ala dopiero w lutym 1929 roku, w

garażu należącego do Morana magazynu. Świadkowie mówili potem, że widzieli, jak do garażu wchodzi kilku policjantów i cywilów i że słyszeli strzały. Na posadzce garażu znaleziono cały sztab Morana skąpany we krwi. Jeden z rozstrzelanych, Gusenberg, jeszcze żył, chociaż dostał czternaście kul, w tym dwie w głowę. Natychmiast przewieziono go do szpitala i kiedy odzyskał przytomność, zaczęto indagować. Ale Gusenberg dobrze znał wewnętrzny kodeks, którego podstawowym paragrafem był obowiązek milczenia. Zachowała się jego pyszna odpowiedź na pytanie, kto do niego strzelał?

- Do mnie?... - wyszeptał. - Nic nie wiem, by ktoś do mnie strzelał...

Po czym zamknął oczy i jeszcze tego samego dnia wyzionął ducha.

Całe tamto Chicago wyzionęło ducha; cóż konkretnego możesz mi pokazać, Jerry, prócz tego kawałka muru na katedrze Świętego Imienia, ze śladami po kulach, których nałykał się Hymie Weiss? Naprzeciwno, tam gdzie stała kwaciarnia, w której Al podziurawił (1924) wielkiego O'Baniona (poprzednik Weissa na tronie północnych dzielnic), jest parking. Garaż, w którym fałszywe gliny wysiekły moranowską bandę, uległ identycznemu losowi - rozbiórka (jest tu obecnie trawnik przy domu starców). Zniknęły kwatery główne Ala Capone i Torria, burdele „Brylantowego Jima” Colosimo, stare spelunki ustąpiły nowym, ceglane hotele zdetronizowało aluminium, został tylko gdzieś klimat w skupiskach anonimowych ruder i trzeba sobie pomagać węchem wyobraźni. Nowe Chicago jest nudne jak osiedle mieszkaniowe. Wróćmy w tamte lata.

Ostatnim wrogiem zewnętrznym, z którym „Scarface” musiał sobie poradzić, byli bracia Aiello. Bracia Aiello uparli się, że go zamordują, co akurat wcale mu się nie podobało. Problem polegał na tym, że tych braci było dziewięciu, to jest trochę dużo. Kiedy zastrzelił dwóch, pozostało jeszcze siedmiu, a więc ciągle dużo. Bracia Aiello zorganizowali na niego kilka zamachów i zdenerwowali tym Ala do tego stopnia, że kazał swoim ludziom i swoim policjantom strzelać do członków gangu Aiello w każdej sytuacji, gdziekolwiek by ich spotkano. Ulice Chicago zamieniły się w rzeźnię i w tym świniobiciu padło także czterech zawodowców z Nowego Jorku, Cleveland i St. Louis, których bracia Aiello ściągali za 50 tysięcy dolarów w celu wykonania wyroku na „człowieku z blizną”. Wkrótce potem policja wykryła trzy pułapki zastawione na Ala: jedną w restauracji (kwas pruski do jedzenia), drugą w mieszkaniu na North Western Avenue (dynamit), trzecią w hotelu „Atlantic” (ciężki karabin maszynowy). Szef gangu, Józef Aiello, został aresztowany. Kiedy go wypuszczono, kupił bilet do Teksasu i zadzwonił ze swego mieszkania po taksówkę, która miała go odwieźć na dworzec. Nie zdążył jednak dojść do taksówki, gdyż z okna po przeciwnej stronie ulicy naszpikowano go 39 kulami. Reszta braci Aiello pobiegła do doktora Browna z błaganiami o łaskę.

Teraz już był władcą niepodzielnym - cesarzem („Jestem jak Napoleon - powiedział do dziennikarzy - naród mnie kocha!"). Imperium zostało skompletowane, należało do niego całe Chicago i wszystkie jego suburbia. Nastąpił więc spokój zewnętrzny, natomiast wewnątrz wyrósł mu wrzód. Zdrada, bez której nie obyło się żadne imperium w historii. Trzej jego zaufani ludzie, Anselmi, Scalise i Guinta, postanowili dokonać zamachu stanu i zgładzić imperatora. Dowiedział się o tym i urządził wspaniałe przyjęcie w sali bankietowej hotelu. Schlano się najlepszym chianti. W pewnej chwili wstał, wziął do ręki kieliszek i wylał zawartość na twarz Guinty, krzycząc:

- Sk... syny!!! Zdradziliście...

Potem w grobowej ciszy, pełnej luf wymierzonych w zdrajców, podniósł spod stołu ciężki kij baseballowy, stanął przed Anselmim, Scalisem i Guintą, i kolejno - trzema uderzeniami - roztrzaskał trzy głowy. Właścicieli tych głów znaleziono nazajutrz w małym jeziorze, w stanie Indiana.

Rok 1929 był dla Capone znaczący także z dwóch innych powodów. W maju zorganizował wielką konferencję świata przestępczego w Atlantic City, co jednak nie przyniosło mu spodziewanych korzyści (o czym nie wiedział), a zaraz potem został aresztowany w Filadelfii i skazany na rok więzienia za nielegalne posiadanie broni. Jest więcej niż prawdopodobne, że zorganizował to aresztowanie sam, by z celi (w rzeczywistości ze wspaniałego więziennego apartamentu z telefonem) obserwować spokojnie, jak zareagowało kryminalne podziemie USA na objęcie przez niego władzy w Chicago. Z tejże celi bez przeszkód sterował interesami swego imperium. Zwolniono go (przedterminowo) 17 marca 1930 roku, a pod więzieniem oczekiwały tysięczne tłumy dziennikarzy i kronika filmowa. Po powrocie do Chicago zapoznał się z wynikami ankiety przeprowadzonej przez szkołę dziennikarską Medill na temat „najważniejszych osobistości świata”. Zajął ósme miejsce, tuż za Einsteinem. (Pierwszy był Mussolini, ale do dzisiaj ta hierarchia popularności uległa zmianie: gdy za naszego pobytu w USA urządzono licytację samochodów sławnych osobistości, Lancia Mussoliniego osiągnęła cenę 15 tysięcy dolarów, Lincoln prezydenta Roosevelta 29 tysięcy, Cadillac Ala Capone zaś 37 tysięcy, co było rekordem).

Podsycił tę popularność akcjami dobroczynnymi. W Dniu Dziękczynienia rozdał ubogim 5 tysięcy indyków, na Boże Narodzenie nakarmił wszystkich biedaków Chicago, innym razem zafundował ludziom 120 tysięcy bezpłatnych posiłków w ciągu tylko jednego tygodnia. Było to jednak działanie w swoisty sposób samobójcze. Im bardziej było o nim głośno, tym większą kompromitację stanowił dla Ameryki. Już po jego powrocie z Filadelfii władze próbowały mu przeszkadzać, zabraniając handlu alkoholem.

- A skąd by brali whisky sędziowie i szefowie policji? - spytał pogardliwie.

Lecz sędziowie i szefowie policji byli już nowi, bo w sprawę wdał się sam

prezydent Hoover. Dla Hoovera „Scarface” stanowił wstydlivą bliznę, gdyż przed laty spotkali się na Florydzie i jakiś czas pozostawali w zażyłych stosunkach. „Załatwcie tego chicagoskiego bękarta!” - rozkazał Hoover. Do Chicago wysłano najlepszych agentów FBI, skarbowości i urzędu prohibicyjnego...

Tymczasem Capone rezydował w Cicero i w chicagoskim hotelu „Lexington” (nowa oficjalna kwatera główna), obwieszony dziewczynami i brylantami, bankietujący dzień i noc, smakujący swoją potęgę, nie przeczuwający nadciągającej burzy.

Pierwszą rysą na imponującym gmachu cesarstwa było wprowadzenie przez władze do gangu Capone znakomitego szpicla, Patricka O’Rurke, który udawał przestępcę i posługiwał się fałszywym nazwiskiem Lepito. Następnie wzięto się za skorumpowanych urzędników i funkcjonariuszy policji, których Capone obsypywał pieniędzmi i biżuterią. Jeszcze w roku 1929 nie sposób było znaleźć w Chicago dziesięciu bezwzględnie uczciwych policjantów do specjalnego komanda antygangsterskiego! Ale kiedy na czele urzędu prohibicyjnego stanął całkowicie nieprzekupny kapitan Dan Chapin, sytuacja zmieniła się. Pierwszego dnia Chapin zebrał wszystkich agentów pracujących w urzędzie i tak ich powitał:

- Dzień dobry, jestem waszym nowym szefem. Nazywam się Chapin. Teraz wszyscy położycie dłonie na stole. Sk...synami, u których zobaczę na palcach drogie pierścienie, zajmę się zaraz potem!

Zająto się „człowiekiem z blizną” z niesłychaną energią. Nie pomagały już akcje dobroczynne, którymi szafował. Nie pomagała apologetyzująca go biografia (*The Biography of Self Made Man*), która stała się bestsellerem na całym świecie. Nie pomogło, że usunął się „w zacisze domowe”, na Florydę, i ogłosił, że zaprzestaje jakiegokolwiek działalności. Władze uznały go za „Wroga publicznego numer 1”, a sędzia H. Lyle oświadczył publicznie: „Ten człowiek musi umrzeć. Zrobiono z niego mit, a to tylko gad, którego należy rozdeptać. Zrobimy wszystko, by posadzić go na krześle elektrycznym”.

Rzeczywiście robili wszystko. Nęcano go krótkotrwałymi aresztowaniami. Zrewidowano wszystkie jego siedziby, znajdując w jednej (hotel „Rex”) listę przekupionych urzędników i dygnitarzy, co pozwoliło stwierdzić, iż 80 procent administracji Chicago wysługiwało się gangsterom! I przez cały czas pracował forsownie zespół ekspertów skarbowych, nagrywany z wnętrza gangu przez Patricka O’Rurke. Bo tylko to - przestępstwa podatkowe - można mu było udowodnić. Nikt na świecie nie mógłby mu udowodnić ponad 300 morderstw, chociaż wszyscy na świecie wiedzieli, iż dokonał ich.

Akt oskarżenia wręczono mu 5 czerwca 1931 roku. Obejmował on 5 tysięcy przypadków złamania przez Capone prawa prohibicyjnego i ustawy podatkowej; teoretycznie można było otrzymać za to wszystko 25 tysięcy lat

więzienia! W odwecie „Scarface” zaplanował wymordowanie wszystkich ludzi zaangażowanych w stworzenie tego dokumentu. Potem zaczął myśleć o ucieczce za granicę. W końcu wymyślił coś lepszego: nawiązał kontakt z głównym urzędem skarbowym w Waszyngtonie i obiecał przyznać się do wszystkich zarzutów pod warunkiem, że zostanie mu wymierzona kara nie większa niż dwa i pół roku więzienia. I Waszyngton zaakceptował tę propozycję!

Proces rozpoczął się 6 października przy udziale tłumów dziennikarzy z Ameryki i Europy, kamer filmowych i ekskluzywnej publiczności. Capone przyznał się do winy i oczekiwał spokojnie na łagodny wyrok. Ten wyrok odczytał po 12-dniowej rozprawie sędzia Wilkerson, zimny protestant, „nienawidzący katolików w ogóle, a Włochów w szczególności”, i w miarę jak czytał, ręce „człowieka z blizną” drżały coraz bardziej, a twarz wykrzywiało mu osłupienie: 50 tysięcy dolarów grzywny, 30 tysięcy jako zwrot kosztów procesu i 12 lat więzienia! Na rozprawie apelacyjnej (5 maja 1932 roku) wyrok ten - co było zaskoczeniem dla ludzi, którzy wiedzieli, iż gangsterzy nie z takich opałów wychodzili obronną ręką - utrzymano w mocy! I to już był koniec cesarza zbrodni.

Osadzono go najpierw w więzieniu w Atlancie, by w roku 1934 przewieźć do San Francisco i zamknąć w legendarnym, położonym na skalistej wysepce więzieniu Alcatraz, zwanym „więzieniem ciszy”, gdyż oprócz sobót (od godziny pierwszej do czwartej) nie wolno w nim było więźniom nawet rozmawiać ze sobą, co - jak stwierdził jeden ze strażników - „dla wielu wystarczyło, by postradać zmysły”.

„Diabelska wyspa” szybko uczyniła z największego bandyty największą szmatę. Początkowo pracował w bibliotece więziennej, grał na banjo w orkiestrze kościelnej i śpiewał w chórze. Do prasy wysyłał listy, w których nawoływał do „obrony Stanów Zjednoczonych przed zarazą komunizmu i dołożenia wszelkich starań, by naród amerykański pozostał zdrowy moralnie”. Kiedy w warsztatach więziennych wybuchł strajk, Capone stwierdził, iż jako antykomunista nie może wziąć w nim udziału, za co współtowarzysze pobili go ciężko. Od tej pory zaczął pełzać, płaszczył się przed strażnikami i więźniami, zamienił w donosiciela i kozła ofiarnego, nie miał ani jednej życzliwej duszy w całym Alcatrazie. Opanowała go mania prześladowcza, która wkrótce zamieniła się w obłęd - w ataku furii rzucił się na kolegów gryząc i drapiąc. Wbito go w kaftan bezpieczeństwa i podleczone. Więcej nie szalał, miał inną manię: całymi godzinami słał od nowa swoją pryczę.

Przeniesiono go następnie do więzień w San Pedro i w Lewisburgu. Został zwolniony 17 listopada 1939 roku. Żył jeszcze kilka lat w swej willi w Palm Island (Floryda), na wpół obłąkany, obawiający się wyimaginowanych morderców. Miał 52 lata, kiedy powalił go atak serca (20 stycznia 1947). W

kilka dni później umarł.

2 lutego 1947 roku największy gangster w dziejach spoczął w grobie na chicagoskim cmentarzu Mount Olivet, obok swych 250 towarzyszy, którzy go wyprzedzili. Jako jedyny z nich zakończył życie w łóżku.

Pierwszy morał tej plugawej bajki, która mówi o Ameryce więcej niż o Alu Capone, jest prosty i zawiera się w następującym stwierdzeniu: chcąc osiągnąć trwałe sukcesy, należy być nie tylko utalentowanym i bezwzględny, ale także dobrze urodzonym. „Scarface” przegrał już w momencie, gdy wyłaniał się z łona matki pod Rzymem: nie urodził się na Sycylii i to było blizną nie do wytarcia z życiorysu. Nie będąc Sycylijczykiem, nie mógł należeć do mafii. Sycylijczycy nienawidzili go. Bracia Aiello, Scalise, Anselmi, Guinta - wszyscy, którzy podnieśli na niego rękę, byli Sycylijczykami. Mafia tolerowała jego chicagoskie imperium i nawet współpracowała z nim, ale kiedy stał się zbyt głośny i przez swoje ekstrawagancje zaczął ściągać powszechną uwagę na działalność podziemia kryminalnego USA, uznała go za niebezpiecznego szaleńca. Wówczas pozwoliła władzom zniszczyć go.

Gdyby był ich ziomkiem, próbowaliby nauczyć go mafijnej mimikry, owej świętej zasady unikania rozgłosu. Gdyby mimo to wpadł w tarapaty, wyciągnęliby go z nich bez trudu, tak jak czynili to zawsze i czynią do dzisiaj. W przypadku jedyne przestępstwa, jakie można było mu udowodnić - nieuczciwości podatkowej - byłoby to dla nich rzeczą śmiesznie łatwą. Ale nie był „mafioso” - był obcy.

Prawdą, całą prawdą i jedyną prawdą jest, że cały aparat władzy: ani prezydent Hoover, ani FBI, ani sędzia Wilkerson, ani amerykańskie społeczeństwo - nie mieli tu nic do gadania, chociaż wydawało im się, że to oni zlikwidowali Ala Capone. Byli na tej szachownicy tylko figurami, którymi poruszał sycylijski „capo di tutti capi” (szef szefów). To mafia wydała wyrok na „człowieka z blizną”, mafia sprawiła, że obietnica, którą Capone otrzymał w Waszyngtonie, nie została dotrzymana, i mafia dopilnowała wykonania wyroku posługując się państwem i jego prawem.

Stąd, mój przyjacielu, drugi i ostateczny morał tej bajki, zawarty w aksjomacie starego „mędrca Syjonu”, który zacytowałem w motcie: „So you see... that the world is governed by very different personages to what is imagined by those who are not behind the scenes”.





ETAP III

Teraz na zachód. „Go west young man!”. Stare hasło Horacego Greeleya w nowym wydaniu. W Stanach jest ono właśnie w powszechnym użyciu, nabrało nowej treści. Niechęć coraz większej liczby ludzi do miejskich warunków życia kumuluje się stopniowo, jak opadający wciąż niżej i niżej smog, aż pewnego dnia ludzie ci zamawiają meblowóz i wyprowadzają się. Mają dość miasta z jego tłamszącą bezosobowością, intensywnością, brutalnością, smrodem, hałasem, tłumem, wieżowcami i ulicami, na których jak się powie komuś „hi!”, to zaraz myśli, że chce się go napaść. Coraz bardziej powszechna jest „nowa migracja” w poszukiwaniu lepszego życia w mniejszych miejscowościach, gdzie jest więcej słońca i życie jest bezpieczniejsze i zdrowsze pod każdym względem. W latach 1970-76 ponad 6 milionów Amerykanów uciekło z metropolii na wieś i do tych małych zachodnich i południowych miasteczek z jedyną „main-street”, w których niegdyś życie było - jak to nazwał Sinclair Lewis w *Główniej ulicy* - „otępieniem zesłanym przez Boga dla ukojenia spokojnych nieboszczyków”, ale od tamtej pory, dzięki rozbudowie autostrad i motoryzacji, uległo przeobrażeniom i nie jest już tak beznadziejnie odizolowane od reszty świata. W tych prowincjonalnych azylach wielkomieszczuchy odkrywają błogostan pełen prawdziwych cudów. „Miejscowi ludzie mają tam czas i ochotę na to, by przyjść innym z pomocą. Panuje idealna cisza. A wychodząc w nocy z domu można dojrzeć gwiazdy!” („Time”).

Jest to dokładnie ten sam kierunek migracyjny, co w erze pionierów zdobywających Dzikie Zachód - z chłodnych stanów Północy i Wschodu na południowo-zachodni „sun belt” („pas słońca”) rozciągający się między Kalifornią a Texasem, gdzie łatwiej o dobre samopoczucie i o zarobki. Nowy Jork i sąsiednie stany tracą mieszkańców w takim tempie, że fałszują statystykę (gdyż degradacja liczbowa powoduje obcięcie dotacji ze skarbu państwa i zmniejsza liczbę mandatów w Izbie Reprezentantów). Wielkie miasta północnego wschodu tylko w latach 70-ych straciły średnio po 20 procent ludzi, zaś wielkie stany po drugiej stronie linii exodusu zanotowały przyrost mieszkańców od 25 do 65 (Nevada) procent! Kalifornia dochodząc do 23,5 miliona mieszkańców wysforowała się przed Nowy Jork, na pierwsze miejsce w USA, Texas na trzecie. Będziemy tam za kilka dni. „Go west young man!”

Wyruszamy o 7⁵⁰ rano, podnieceni do tego stopnia, że zapominamy wziąć wałówkę, którą przygotowała Lalka. Zauważamy to po przejechaniu około 100 metrów, ale już nie wrócimy - jesteśmy wystarczająco wykształceni i

nowocześni, by szanować przesady. Ale jesteśmy za mało sprytni. Zamiast pojechać bezpłatnym highwayem inerstate (międzystanowym) nr 80 i w Omaha skrócić na północ do nr 90, wjeżdżamy od razu w nr 90, który na dużym odcinku jest tollwayem (autostradą płatną). Raz po raz uiszczamy po 30 centów za prawo poruszania się do przodu. A niech to!

Ten dzień jest w całości poświęcony na żeglugę do miejsca symbolu martyrologii Indian. Za szybami fruują do tyłu monotonne pejzaże i miasteczka. Elgin, Arlington, Rockford. O 10³⁵ mijamy granicę stanu Illinois i wjeżdżamy do Wisconsin. Znowu gubi nas brak doświadczenia. Chcemy skrócić sobie drogę na Sioux-Falls i zjeżdżamy z autostrady międzystanowej na lokalny highway nr 11. W zapyziałym Jenesville grzęźniemy i szybko uciekamy z powrotem na dziewięćdziesiątkę. Już się czegoś nauczyliśmy - wystrzegaj się skrótów, bo są podłe, więc zginiesz. Superhigwayem międzystanowym można pruć do przodu jak po stole. Tyle, że Wisconsin słynie z nadzwyczajnie złośliwej policji, uwielbiającej chwytać „rajdownców”, którzy uprawiają „speeding” (przekraczanie dozwolonej szybkości, którą niedawno zredukowano ze 100 mil/godz. do 55 mil/godz., czyli 88 km/godz.). W Wisconsin jesteśmy więc kulturalni i jedziemy z żółwią prędkością 70 mil/godz., cały czas szukając „kangura”, to jest tego, kto przewodzi całej stawce, i trzymając się za jego plecami. Jeśli policja wejdzie do akcji, on stanie się ofiarą, bo był pierwszy.

Beloit, Madison, Mauston, Onalaska. Tuż za nią przekraczamy Missisipi i wjeżdżamy do Minnesoty. Nasz trzeci stan. Rochester, Dexter, Austin. Za Austinem dziewięćdziesiątka w naprawie. Objazd, koszmarne „polna” droga. Zaczyna padać deszcz, tracimy dystans, dzisiaj już nie dojedziemy. Albert Lea, Blue Earth, Fairmont. O 13¹⁵ oberwanie chmury, potwornie leje. Po kilku minutach zauważamy krople wody pryskające na szyby... od wewnątrz! Stajemy. Otwieramy bagażnik mieszczący się pod podłogą tylnej części wozu. Jest przerdzewiały na wylot, dziury wielkości płyty gramofonowej. Walizki skąpane w wodzie. Wyjmujemy je i uszczelniamy schowek, który już zostanie pusty. Dalej w drogę.

Sherburn, Jackson, Worthington. Za Worthington dykta z ulewy przed maską, widać na trzy metry, a czasami nic nie widać. Wychylam się przez boczne okno i „prowadzę” Jerry’ego. I mimo to nie zmniejszamy tempa (nie możemy!), chociaż teraz to nasze 70 mil/godz. grozi nam dwoma dębowymi ubraniami. Adrian. Skręcamy w złym miejscu i gubimy drogę. Szukając powrotu na highway znowu tracimy czas.

O 17⁴⁰ wita nas stan South Dakota. Nagłym słońcem, jakbyśmy wyskoczyli spod prysznicu, tęczą za plecami na tle czarnego nieba i wielkim napisem: „Witajcie w Dakocie Południowej, gubernator X” (nie zdążyłem zanotować nazwiska). Sioux-Falls nad Big Sioux River. Właśnie do Siuksów jedziemy i te

nazwy dają nam przedsmak. Zjeżdżamy do Salem, by zjeść obiad i zauważyć, że odpadła nam tylna lewa listwa błotnikowa - „junk” zaczyna się rozpadać. Alexandria, Mitchell, Plankinton, Kimball. Przekraczamy Missouri, w której romantycznie skrwawia się słońce. Robimy kilka slajdów (wyjdą cudownie) i dalej!

Zapada noc. Kennebec, Presho, Vivian, Murdo. W Murdo przekraczamy granicę stref czasu, ze strefy Central Time (czas centralny) wchodzimy w strefę Mountain Time (czas górski) i z godziny 21⁵⁰ robi się 20⁵⁰. Przejechaliśmy już 700 mil. W jeden dzień!

Zjeżdżamy na camping i w małym sklepiku zaczynamy wybierać sobie produkty z wielkiej lodówki, jak to w spożywczym. Właściciel przerywa nam tę radosną działalność. Okazuje się, że wewnątrz sklepiku jest zarazem jego mieszkaniem, a my natrafiliśmy na prywatną lodówkę właściciela. Ogólna wesołość i okazja do rodzinnej wypitki.

Wyskakujemy spod koców o 6 rano. Wokół ciemno i mokro. Mycie i śniadanko. Jest pierońskie zimno, włączamy ogrzewanie. Rzut oka na Muzeum Starych Aut w Murdo, a potem, przy highwayu, Indian Museum. Zrobiło się późno, gaz! Belvidere, Kadoka i skręt w lewo, do Pine Ridge Indian Reservation i do miejsca, w którym mord na bezbronnym Indianinie urósł do rangi wiecznego oskarżenia. Wita nas żółta tablica z napisem: „Bądźcie pozdrowieni na ziemi Czerwonej Chmury”. Wokół pusto, ponury, księżycowy krajobraz, w którym mieszka wiatr.



A gdy nadejdzie godzina sądu, dusze tubylców przyjdą z ciężkimi oskarżeniami przeciwko ludziom naszej krwi, którzy potraktowali ich nieludzko.

Ze wstępu do australijskiego leksykonu wyrażen tubylczych

POGRZEB MOJE SERCE W WOUNDED KNEE!...

To, że Indianie nie są ludźmi, wiadomo od dawna. Dlaczego nie są? Bo nie ma o nich mowy w Biblii, możecie sprawdzić. Księża amerykańscy sprawdzili to bardzo wcześnie i przez długi czas nie mieli kłopotu z argumentacją. Do chwili, kiedy zrobiło się zbyt głośno na temat „przyjacielskich stosunków” między amerykańską soldateską a indiańskimi dziewczętami. Twierdzić, że dzielni chłopcy w mundurach „blue” masowo „przyjaźnią się” z nieludzkimi samicami, jakoś nie szło, więc w roku 1924 rząd USA uznał Indian za pełnoprawnych obywateli Stanów Zjednoczonych, żeby ten półludzki burdel zamienił się w układ typu „wszystko w rodzinie”. A w rodzinie, jak to w rodzinie, wszyscy są pełnoprawni, ale jedni mogą wszystko, a inni mogą co najwyżej podrapać się w swędzące miejsca po batach.

Skąd te niebiblijne zwierzęta wzięły się w amerykańskim raju, też wiadomo od dawna. W sposób jasny i ostateczny wyjaśnił to już w roku 1702 ojciec Cotton Mather, kaznodzieja z Bostonu. Stwierdził on, i to w sensie dosłownym, bo był to człowiek zbyt czcigodny, by pozwalać sobie na coś tak nieprzyzwoitego jak metafora, że Indian sprowadził do Ameryki diabeł osobiście. W tym układzie białym pozostawał już tylko Pan Bóg i bez najmniejszej wątpliwości to właśnie on sprowadził ich do Ameryki jako jedynych jej pełnoprawnych właścicieli, ale czerwonołębe diable syny z miejsca wykiwały nowych przybyszów sprzedając im kawał zupełnie pustej ziemi za cudowne, oryginalne, kolorowe, błyszczące jak gwiazdy szklane paciorki z Amsterdamu i za dwie siekiery, którymi - zamiast dać się tak haniebnie oszwabić - należało z miejsca rozwalić im łby.

Niefortunnie jednak zaniechano zrobienia tego dobrego uczynku od pierwszego zamachu i właśnie dlatego potem kumple rewerenda Mathera musieli gorąco nawoływać zza pastorskich pulpitów do wytrzebień owej „bandy nędznych, brudnych, wszawych, chodzących w derkach, złodziejomordych, bezwstydnym, kłamliwym, podstępnych, wiarołomnym trzewiożerców, którym Bóg nie zezwolił na plugawienie tej ziemi i o których zagładę winni się modlić wszyscy bracia za wyjątkiem żyjących z nich agentów i handlarzy!”.

Myślę o tym jadąc przez księżycowe krajobrazy rezerwatu Pine Ridge. Bezkres wysuszonych pagórków i parowów, pustka, żadnych śladów ruchu.

Zła, nieurodzajna ziemia. Zła do życia, nawet jeśli całe ciało obwieszona jest tymi cudownymi paciorkami, których cudowność nie sięga wszakże tak daleko, by można było je zjeść. Wybieg zoologiczny dla niższej rasy pełnoprawnych, ofiarowany w zamian na cały kontynent. Ktoś przychodzi do twego wielkiego domu, przystawia ci lufę do głowy i mówi: od dzisiaj będziesz mieszkał w komórce na węgiel i niech Bóg ma cię w swojej opiece! A ty ciesz się, bo przecież mógł cię zabić, tak jak zabił twoich braci i twoje siostry, a on zamiast tego pozwolił ci żyć, albowiem jest wielkoduszny i przybył tu z Biblią pod pachą (pod pachą, bo w dłoni trzymał spluwę). Ciesz się, bo jak nie!!!!...

Czy pamiętasz, kiedy to się stało? Dawno, dawno temu, jak w bajce, gdy Manitou był jeszcze silny, a bizona pędziły przez prerię stadami ogromnymi jak jeziora. Zobaczyłeś człowieka, który szedł w twoim kierunku i miał białą skórę! On ci podał jakąś błyskotkę, a ty zaprosiłeś go do swojego wigwamu. Potem przyszli jego bracia, spalili twój wigwam, zgwałcili twoją żonę i zabili twoje maleńkie dzieci...

Odtąd już nieustannie gotowało się na tej ziemi, lała się krew, biały człowiek szedł za słońcem i połykał kontynent, a człowiek czerwonoskóry bronił się jak osaczone zwierzę i modlił się do swych bogów słowami, które José Maria Arquedas ubrał we wstrząsający hymn: „Wspaniały Wężu, Synu Węża, Ojczy, Braciszku nasz... Jestem tutaj, wzmocniony twoją krwią, nie umarły, krzyczący. Jestem twoim ludem, twoim dziełem jest moja odnowiona dusza, moje łzy, moja nie zagojona rana. Od chwili, gdy przemówiłeś, gdy walczyłeś z krwiożerczym Hiszpanem, gdy naplułeś mu w twarz, gdy na płonącej ziemi zawrzała twoja krew, nie ma już w moim sercu spokoju...”. Serce było tu najważniejsze...

Niepojęta rzecz - wszyscy indiańscy bogowie, których czerwonoskórzy zawsze kochali i nigdy nie skrzywdzili, okazali się zbyt słabi wobec jednego jedyne boga białych najeźdźców, tego niezrozumiałego boga, który pomagał „bladym twarzom”, mimo że one - kiedy zstąpił do nich na ziemię - zamordowały go na krzyżu! Jak można walczyć z takim bogiem, który zakochał się we własnych mordercach!!!

Od samego początku nie była to walka, lecz rzeź i nieliczne zwycięstwa Indian nie są tu żadnym argumentem, gdyż oni nie mieli żadnej szansy, co zauważono dopiero w naszym stuleciu, gdy już było po wszystkim. Wcześniej, nawet w relacjach bezstronnych obserwatorów, dominowały sielskie i romantyczne, czasami zaprawione szczyptą pikanterii opisy w stylu panów Rousseau i Chateaubrianda, jak ten, który zostawił po swej amerykańskiej podróży Kajetan Węgierski:

„Prosiliśmy (Indian z plemienia Mohawk - przyp. WŁ), żeby nam zatańczono, księżniczka tedy, wchłonawszy dwie szklanki rumu, zaczęła tańczyć w sposób tak gwałtowny, że trzeba ją było prosić, by przestała. Akompaniowała sobie

śpiewając, a jej taniec z figurami wyobrażał historię odnoszącą się do jej małżeństwa i do szczęścia z tego związku (...) rozweseliwszy się (po opróżnieniu butelki rumu - WŁ) zaproponowała nam, że pójdzie z nami albo nas ożeni ze swymi siostrami”.

Nasz poeta nie tylko nie skorzystał z okazji (i to ma być poeta!), lecz wprost poprosił męża owej damy, by ten uwolnił go od swej małżonki. „Pozwoliła nam tedy odejść, obdarzywszy mię pierwszej pocałunkiem i wódką, a musicie wiedzieć, że miała 50 lat (a, to co innego, zwracamy honor poecie - WŁ). Wsiedliśmy na konie i z wielkim pośpiechem uciekliśmy, aby uniknąć innych grzeczności, być może bardziej niebezpiecznych”. Podczas naszej amerykańskiej podróży spotkało nas dokładnie to samo. Przypomnij sobie, Jerry, jak my zmykaliśmy z saloonu, w którym obiecywała nam natarczywie moc grzeczności wielce leciwa kowbojka w spódniczce mini. Ale to było na dalekim Południu, w Tombstone, do którego wrócimy, na razie zaś powróćmy do Węgierskiego.

Węgierski poza tym zauważył jednak coś więcej („Indianie zostali wyparci przez białych”) i nie pozostał ślepy na fakt, że skutki cywilizacji białego człowieka były zgubne dla czerwonoskórych. Ale to już banał, bo historia nie zna przypadku, by skutki cywilizacji białych okazały się błogosławieństwem dla ludów „dzikich”. Wyśmienicie obrazuje rzecz całą przypadek Ewenków (Tunguzów). Ewenkowie pili świeżą i ciepłą krew reniferów, czyniąc im niewielką ranę na szyi, którą następnie zalepiali, by zwierzęta nie doznały uszczerbku na zdrowiu. Gdy Rosjanie zakazali tego zwyczaju, uznając go za barbarzyński i sprzeczny z normami cywilizacji, na terenach, na których potrafią egzekwować prawo, ludność tunguska zaczęła więdnąć, zmalał gwałtownie przyrost naturalny i zwiększyła się śmiertelność. Później okazało się, że Ewenkowie, nie mając świeżych jarzyn i owoców, utrzymywali się przy życiu dzięki bogatej w witaminy krwi reniferów.

Indianin był na tyle dziki i na tyle głupi, że kompletnie nie mógł zrozumieć atrybutów cywilizacji wdzierającej się na jego kontynent. Nie mógł zrozumieć, dlaczego „blade twarze” wciąż się spieszą i pędzą na złamanie karku, jakby goniła ich śmierć. Dlaczego pracują od świtu do nocy tak ciężko, że pod koniec roboty nie pamiętają już swego imienia. Dlaczego ciułają kolorowe papierki i niczego nie chcą ofiarować nawet swym braciom, jeśli ci im nie dadzą tych papierków. Dlaczego wojna, która powinna być polem honoru i męstwa, jest u białych śmietnikiem zdrady i barbarzyństwa (ponura teoria, że wojna służy do możliwie szybkiego i ekonomicznego eksterminowania przeciwnika, była dla Indian przerażająca). Jaki jest cel tego szaleństwa?

Cywilizację białego człowieka różniło od cywilizacji „dzikich” przede wszystkim to, że uświęciła totalną wyprzedaż wszystkiego, z sumieniami włącznie. Po co? W dobrym filmie Giulia Pontecorvo *Queimada* skazany na

śmierć „dzikus” odrzuca możliwość ucieczki i wygłasza słowa tak ciężkie, że można się nimi zadrećzać jeszcze dzisiaj:

- Jeśli ma się przyjąć cywilizację białych, to lepiej pozostać nieucywilizowanym. Lepiej nie wiedzieć jak iść, lecz wiedzieć dokąd, niż wiedzieć jak iść nie znając celu!

Lecz wtedy biali mieli jasno wytyczony cel, pełen drogowskazów skierowanych na zachód oraz głodu ziemi. Indianin zrazu nie pojmował tego głodu. Dla niego ziemia i jej płody należały do wszystkich, były podarunkiem od Wielkiej Wszechobecnej Tajemnicy. Czerwonoskóry nie rozumiał, jak można otoczyć kawałek tego daru płótem i powiedzieć: „to wyłącznie moje, innym wara!”. Największy polityk w dziejach Indian północnoamerykańskich, Tecumseh, powiedział:

- Sprzedawać ziemię? To tak jakby sprzedawać wodę i powietrze.

Najpierw wydzierano im ją, podobnie jak tubylcom na innych kontynentach, za pomocą pięknych słów, często cytowanych z Biblii. Najlapidarniej scharakteryzował to legendarny przywódca Kenii, Jomo Kenyatta: „Kiedy przybyli do nas misjonarze, Afrykanie mieli ziemię, a przybysze Biblię. Uczyli nas, że podczas modlitwy powinniśmy mieć oczy zamknięte. Kiedy je otworzyliśmy - misjonarze mieli ziemię, a my Biblię”. Potem wydzierano im ją metodą już czysto amerykańską, wyłudzając podpisy na traktatach „wodą ognistą”. Państwo myślą, że to był alkohol? Żeby wyprowadzić z błędu podam receptę na typową „wodę ognistą” produkowaną przez białych handlarzy w celu oszołomienia Indian: 10 funtów najostrzejszego pieprzu, puszka Cayenne, 3-4 galony spirytusu drzewnego, miarka krwi wołowej, tyleż wody oraz każde inne świństwo, które mogło spotęgować oszołomienie.

Lecz nawet oszołomieni Indianie zbyt rzadko składali podpisy na traktatach - im dalej w las, tym rzadziej. Im więcej kontynentu połykał biały, tym czerwonoskóry stawał się czujniejszy; zrozumiał wreszcie, że nie można dzielić się ziemią z bandytami i złodziejami, trzeba grodzić i mówić: „wara, to moje!”, a kiedy to zrozumiał, ziemia stała się dlań jeszcze większą świętością. Jeden z najgłośniejszych wodzów indiańskich, Józef-Grzmot-wędrujący-po-górach, powiedział: „Człowiek, który nie kocha ziemi ojców, jest najgorszym bydlęciem” i to credo przekazywali sobie na łóżach śmierci, ojcowie synom, a synowie swoim synom. Józefowi powiedział to konając jego ojciec, Stary Józef:

- Synu, teraz ty będziesz przywódcą naszego ludu. Pamiętaj o jednym - musisz tyle razy zamknąć swoje uszy, ile razy tamci zaproponują ci, byś sprzedał swój dom. Zapamiętaj dobrze moje słowa, bo to są słowa umierającego i moje ciało spocznie w tej ziemi, a ja niczego więcej już nie powiem. Nie sprzedaje się kości swego ojca!

Wódz Józef nie zamierzał sprzedawać ani kości ojca, ani piędzi ziemi, na której mieszkał, ale wkrótce spostrzegł, że nie ma to żadnego znaczenia, bo ta

ziemia mimo to została od niego kupiona! Nie bardzo mógł to zrozumieć, początkowo bowiem miał słabe pojęcie o tajnikach handlu. Był jednak pojętnym Indianinem i dlatego w końcu zdał egzamin z tematu „kupno i sprzedaż” (zdał go w Forcie Lapwai, przed generałem O. Howardem), wyjaśniając równie celnie, co obrazowo, zastosowaną metodę:

- Jeśli ziemia, na której żyjemy, była naszą własnością, to jest nią i dzisiaj, ponieważ nie sprzedaliśmy jej. Komisarze rządowi twierdzą, że jest inaczej, bo zawarli układy ze zdrajcami z innych plemion. Przypuśćmy, że biały przychodzi do mnie i mówi: „Józefie, twoje konie podobają mi się, chcę je kupić”. Ja na to: „Mnie też się podobają, więc ich nie sprzedam”. Wtedy on idzie do mojego sąsiada i mówi: „Józef ma piękne konie. Chcę je od niego kupić, ale on się nie zgadza”. Na to mój sąsiad: „Daj mi pieniądze, a ja sprzedam ci te konie”. Biały wraca do mnie i mówi: „Józefie, kupiłem twoje konie, musisz więc wydać mi je teraz!”. Oto jak sprzedaliśmy naszą ziemię rządowi!

„Sprzedaż” następowała w ten właśnie sposób lub w podobny, na przykład przez podsuwanie niepiśmiennym Indianom do podpisu umów o zupełnie innej treści niż ustalona podczas rozmów. Fala tego typu „wykupów” nasiliła się w początkach XIX wieku, gdy na polecenie prezydenta Tomasza Jeffersona zajęły się tym specjalne kompanie handlowe. Przypadkiem klasycznym było następujące wydarzenie. Do miasteczka leżącego na granicy stanów Illinois i Iowa przybyło pięciu Indian z plemienia Fox, ze skargą na białego, który porwał młodą Indiankę i postrzelił jej rodziców. Biały „wódz”, do którego się udali, okazał się niezwykle uprzejmy. Wysłuchał ich cierpliwie, ugościł dobrą strawą i prawdziwą whisky, po czym obiecał, że załatwi sprawę. Przy pożegnaniu poprosił ich, by na pamiątkę podpisali kawałek papieru. Nie chcąc się okazać niegrzecznymi, Indianie postawili na owym świstku swoje znaki, nie przywiązując do tego specjalnej wagi. Wkrótce potem przerażone plemię Fox dowiedziało się, że tych pięciu wojowników nieświadomie „sprzedało” olbrzymie tereny łowieckie za śmieszłą sumę dwóch i pół tysiąca dolarów! (Żeby było dowcipniej - od tej sumy biali odjęli 155 dolarów za ową ucztę, podczas której oszukano czerwonoskórych).

13 maja 1816 roku podpisał taki sam dokument wódz Sauków, Czarny Jastrząb, by dopiero potem zawyć:

- Podpisałem umowę piórem dzikiej gęsi nie wiedząc, że tym jednym ruchem oddaję rządowi moją rodzinną wieś!!!

Żeby tylko wieś. Tym jednym wyłudzoną ruchem Czarny Jastrząb oddał rządowi USA w posiadanie olbrzymie terytoria w trzech stanach: Illinois, Wisconsin i Missouri. A kiedy zaczęto mu na tych terytoriach wypalać całe wsie pod tereny uprawne i zabijać jego lud, zrozumiał, iż musi odejść, najlepiej do Kanady, bo - jak chodziły słuchy - tam Anglicy chętnie przyjmują Indian i dają im duże obszary ziemi, na której można żyć w spokoju. Ale nie dano mu

uciec. Gdy Saukowie przepływali na tratwach rzekę Missisipi, wojsko amerykańskie rozpoczęło z brzegu morderczą kanonadę. Wystrzelano ich z zimną krwią, tak na wszelki wypadek, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże. Metoda była dwustopniowa: zmusić w jakikolwiek sposób do podpisania umowy, żeby pozostał „akt prawny”, a potem zabić, żeby akt uprawomocnił się ostatecznie.

Dziwnym trafem Czarny Jastrząb ocalał. Zakuto go w żelaza i wożono w klatce od miasta do miasta, pokazując tłumowi niby dzikie zwierzę. Ci, którzy go wówczas widzieli, wspominali potem wysokiego Indianina o smutnej twarzy i dumnych oczach, którymi spoglądał na ZOO-tysięcy-gąb przesuwające się przed nim po drugiej stronie kraty. Umierał w pobliżu Des Moines i przez cały czas myślał o wielkim wodzu Szaunisów, Tecumsehu, słyszał jego głos, który „wibrował i dźwięczał jak organy, a kiedy się wznosił, zdawał się huczeć w powietrzu”, i tuż przed zamknięciem oczu żałował, że nie poległ u boku Tecumseha w ostatniej na wschód od Missisipi bitwie Indian z Amerykanami (nad rzeką Thames). Dzisiaj posąg Czarnego Jastrzębia stoi na wschodnim brzegu Rock River (stan Illinois). Wielki wódz Sauków, skrzyżowawszy ręce na piersiach, patrzy posepnie na ziemię, na której w zamierzonych latach, dawno zmiecionych przez wiatr, jego lud przeżył na wolności swój ostatni sezon łowiecki.

Wszyscy oni umierali z godnością. Rzadko na posłaniu. Ginęli w walce, mordowani podstępnie lub skazywani na śmierć. Tak właśnie, wpatrzony do ostatniej chwili w słońce, umierał wódz Modoków, Kintpuash („Kapitan Jack”). Skazano go za to, że pomścił 36 swoich braci zaproszonych przez białych na pertraktacje pokojowe i podczas bankietu poczęstowanych jadłem... faszerowanym strychniną (gdy ta nie podziałała, wystrzelano bezbronnych Indian z karabinów!) Przed śmiercią powiedział do swoich utytułowanych morderców wchodzących w skład sądu:

- Żyłem dawniej w zgodzie ze wszystkimi. Starłem się zawsze tak żyć i nigdy nikogo o nic nie prosiłem. Nigdy nie zebrałem, a wszystko, co miałem, zdobyłem uczciwie własną pracą. Nie rozumiem przemówień, które się tu wygłasza i nie wiem, dlaczego się tu znalazłem. Jednakże będę się starał ze wszystkich sił umrzeć z godnością.

Brzmi w tym pożegnaniu echo pięknego indiańskiego poematu, którego fragment zapamiętałem:

*Widzisz, ja żyję.
Żyję w harmonii z Ziemią.
Żyję w harmonii z Bogami.
Żyję w harmonii ze wszystkim,
co jest piękne.*

*Żyję w harmonii z Tobą.
Widzisz, żyję, żyję.*

Żyłeś, mój bracie, aż do spotkania z ludźmi mojej rasy. Potem żyłeś w jeszcze większej harmonii z Ziemią, gdyż ona wchłonęła cię i wypita twoją skórę pełną blizn i twoje podziurawione ciało. Tak, wiem, nigdy nikogo nie prosiłeś o pomoc. I twój maleńki synek był taki, hardy jak wilcze szczenię, dokładnie taki sam jak mój syn w moich snach. Bohater narodowy Ameryki, przestępny Davy Crockett, zanim zginął (patrz rozdział XIII), pozostawił w swej autobiografii opis eksterminacji Indian ze wsi na rzekę Coosa:

„Otoczyliśmy wieś i zaczęliśmy mordować czerwonoskórych jakby to były wściekłe psy. Podłożyliśmy ogień pod dom, który spłonął wraz z 46 wojownikami. Zapamiętałem małego indiańskiego chłopca - leżał ciężko ranny pod domem, ze zgruchotaną ręką i nogą, tak blisko płomieni, że dosięgały go coraz bardziej. Miał nie więcej jak osiem lat, a nie wydał ani jednej skargi i nikogo nie prosił o pomoc”.

Zachwycająca jest u Amerykanów umiejętność celnego tytułowania filmów i książek. Jedną z nich, zawierającą moc prawdy o gehennie czerwonoskórego ludu, który przyjął białych z otwartym sercem, nakarmił i napił, by być potem wymordowanym masowo bez cienia litości, nazwano: *Pogrzeb moje serce*. Tyle razy, ile razy przypomina mi się wizerunek płonącego chłopca namalowany przez Crocketta - tyle razy ten tytuł głębiej zapada w moje serce, bracie, przepełnione miłością do ciebie. Widzisz, ja żyję w harmonii z tymi samymi bogami. Trzeba było...

...Trzeba było, czerwonoskóry głupecze-bracie mój, od pierwszego spotkania pogrzebać swoje serce lub mieć w nim tylko nienawiść, i postępować tak, jak później przyrzekł sobie wódz Seminolów, Osceola, którego zaproszono na „rokowania pokojowe” i zmuszono torturami do podpisania haniebnego umowy: „Uczynię białego człowieka czerwonym od krwi, zaś trupy jego żołnierzy zbieleją na słońcu i deszczu. Wilk będzie węszył pośród ich kości, a ciałami napasą się sępy”. Lecz ty podałeś białemu człowiekowi rękę, a on odrąbywał ją kawałek po kawałku, aż stałeś się wiecznym kaleką.

Rolniczo-łowieckie plemię Wampanoagów wzięło pod swoją opiekę i wybawiło od głodowej śmierci pierwsze grupy Anglików, które przybyły do Plymouth w roku 1620. W czterdzieści lat później obrońcy w piórka koloniści pojмали podstępnie i zamordowali wodza Wampanoagów, po czym w ciągu kilkunastu lat zmasakrowali gościnne plemię. W ten sam sposób wycięto, nie oszczędzając kobiet i dzieci, plemię Narragansetów. Ich naczelnego wodza, Kanoczeta, wziętego do niewoli w roku 1676, mamiono obietnicą uwolnienia, jeżeli namówi swoich pobratymców do kapitulacji.

- Wolę umrzeć - odparł - zanim w moim sercu zamieszka strach i każe mi

wypowiedzieć słowa niegodne wodza.

Wszyscy oni przed śmiercią mówili o sercu, gdyż „żyli w harmonii ze wszystkim, co jest piękne...”. Ostatni przywódca Wampanagów, wielki Metakom („Król Filip”), zanim go skrytobójczo zastrzelono, dowiedział się, że jego żona i synek zostali porwani przez białych i sprzedani w niewolę. Powiedział wówczas:

- Moje serce jest rozdarte i pragnie śmierci.

Największy z Kiowów, Wódz Satanta (Biały Niedźwiedź), zamknięty dożywotnio w więzieniu w Huntsville (Texas), po trzech latach zgłosił się do lekarza mówiąc:

- Moje serce jest już chore.

Następnego dnia ujrano go w oknie drugiego piętra więziennego szpitala. Stał na parapecie z rozpostartymi ramionami, patrzył w niebo i śpiewał pieśń śmierci Kiowów. Zanim zdążono cokolwiek uczynić, skoczył w przestworza i poszybował, wolny jak ptak, głową ku kamieniom dziedzińca.

„Krwiożerczy Hiszpan”, o którym Arquedas wspominał w swym hymnie, był barankiem w porównaniu z kanalią, która wdarła się do Ameryki w XVII stuleciu. Włoski historyk, Piero Pieroni, ujął to celnie pisząc: „Dla spragnionych ziemi Anglików Indianie byli tylko przeszkodą, którą należało bezwzględnie usunąć i nie zdarzały się im kryzysy sumienia powstrzymujące niekiedy okrucieństwa Hiszpanów”. Nawet skalpomania była ich dziełem, bo pierwotnie zwyczaj zdzierania skalpów zabitym nieprzyjaciołom był praktykowany przez kilka zaledwie szczepów atlantyckiego wybrzeża, a większość Indian Ameryki Północnej w ogóle go nie znała. Stał się epidemią odkąd koloniści z Connecticut po raz pierwszy ofiarowali nagrodę za skalp Indianina. Natomiast biali bracia z Montany konserwowali uszy zabitych Indian, a na zbieleńskich (po wygotowaniu skóry) indiańskich czaszkach pisali dowcipnie: „Nareszcie jestem w rezerwacie”.

Jeśli ich bogowie nie mogli pomóc czerwonoskóрым, to cóż mogło im pomóc?

Niektórym plemionom wydawało się, że przyjęcie chrześcijaństwa uchroni je od zagłady; naiwność tę wykazali między innymi Delawarowie. Jednym z wielu podobnych był wyczyn płk. Williama Crawforda, który wraz ze swym oddziałem wjechał do wsi pokojowo nastawionych Delawarów i zapewnił ich, że mogą spokojnie udać się na nabożeństwo. Była właśnie niedziela i kościół szybko zapełnił się. W czasie gdy Indianie słuchali kazania wygłaszanego przez misjonarza, Crawford kazał zabarykadować wszystkie otwory świątyni i podłożyć pod nią ogień. Wycie i lamenty jego palonych żywcem braci w Chrystusie nie zmiękczyły mu serca. Biali chrześcijanie opuścili wieś dopiero wówczas, gdy czerwonoskórzy chrześcijanie usmażyli się do końca. Oficer angielski, Peter Clarke, który to opisał, dodał na zakończenie: „Tego rodzaju masakry były dokonywane wielokrotnie. Irokezów wyniszczono wraz z ich

bydłem”.

Między bydłem a Indianami nie było żadnej różnicy poza tą, że stada bydła pędzono dbając o to, by jak najmniej sztuk padło po drodze, stada Indian zaś - od chwili, gdy generał Jackson (prezydent) podpisał ustawę nakazującą przerzucenie całych plemion na zachód od Missisipi - pędzono z troską o to, by jak najmniej sztuk dotarło do celu. Jako pierwszych pognano w roku 1831 Szoktawów. Później Czikasawów. Następnie Creeków, którzy - zanim dotarli na Indian Terytory w stanie Oklahoma - utracili na skutek specyfiki tej podróży trzy i pół tysiąca kobiet i dzieci. Nie był to rekord, bo plemię Cherokee - w roku 1838 pognane przez żołnierzy trasą nazwaną później „Szlakiem Łez” - utraciło po drodze przeszło cztery tysiące ludzi.

To „turystyczne” ludobójstwo było bardzo bezpieczne i tanie, ale za to nieco męczące i nudne. Z kolei rzezie ogniowe były szybsze i bardziej atrakcyjne, lecz zarazem odrobinę ryzykowne, bo Indianie wówczas bronili się, i kosztowne, bo proch i amunicja nie są manną z nieba. Jednakże Ameryka to bogaty kraj - stać go było na takie spektakularne masakry jak dokonana w roku 1864 w Sand Creek (Colorado), gdzie 700-osobowy oddział federalnej kawalerii pod dowództwem płk. Chivingtona (w cywilu pastora metodystów) rzucił się na wieś Szejenów i wymordował z górą 500 Indian, w większości kobiety i dzieci. Pretekstem był napad na wojskowy transport z żywnością. Chivington doskonale wiedział, że Szejenowie nie mieli z tym nic wspólnego, ale Chivington nie był detalistą i należał do tych dobrych jankesów, którzy najpierw strzelali i dopiero potem pytali Indianina, co ma na swoją obronę. Rozmawiać wypadało tylko z dobrym Indianinem, a według słów generała Sheridana „dobrym Indianinem” był wyłącznie martwy Indianin.

Wśród wszystkich wyższych dowódców amerykańskich tylko jeden nie podzielał tej opinii. W wydanych w roku 1897 *Personal Recollections and Observations* autorstwa generała N. A. Milesa znajdujemy na stronie 139 następujące zdanie o rzezi w Sand Creek: „Była to chyba najbardziej parszywa i niewybaczalna zbrodnia ze wszystkich, jakie zanotowały kroniki amerykańskie”. Dokładniej byłaby, gdyby nie potworność, która miała miejsce w dobie, kiedy generał Miles pisał swoje pamiętniki.

Zachodził wówczas wiek XIX i krwawa epopeja indiańska należała do literatury przygodowej - nie było już żadnych podstaw do dalszych masowych mordów. Indianie wegetowali w jałowych rezerwatach na kształt bandy obszarpanych kalek-głodomorów i nie stanowili już przeszkody do żadnego celu. Ale był w Stanach pułk kawalerii oznaczony numerem 7, który nie zapomniał o bitwie sprzed lat, przegranej z Indianami, i o swej wielkiej hańbie tamtego dnia (patrz etap VII). Dlatego, kiedy 28 grudnia 1890 roku około 300 Siuksów przybyło do rezerwatu Pine Ridge i napotkało tam 7 pułk kawalerii USA, ich los był przesądzony. Indianie, cierpiący od srogiej zimy, dopominali

się o żywność. Ich wódz, Wielka Stopa, powiedział:

- Jesteśmy chorzy, zziębnięci i głodni. Chcemy pokoju i schronienia.

- Nie będę z wami gadał! - przerwał mu mjr Whiteside - musicie się poddać lub walczyć! Co wybieracie?

- Poddajemy się - wyszeptał Wielka Stopa.

Następnego ranka dowódca 7 pułku, płk J. W. Forsyth, wjechał na czele swoich „chłopców” między rozbite w pobliżu strumienia Wounded Knee namioty Siuksów. Rzekomo by odebrać im broń. Nagle, nie wiadomo skąd, padł strzał. „Chłopcy” właśnie na to czekali. Setki łuf plunęło ogniem i obozowisko zamieniło się w jatki. Indianie, chociaż z nielicznymi wyjątkami nie mieli broni palnej, stawiali wściekły opór za pomocą noży i kijów (sic!). Walczyły nawet kobiety i nieletni chłopcy, ale szybkostrzelne hotchkissy zmiatały ich bezlitośnie. Wypróżniwszy magazynki, żołnierze wyjęli szable z pochew i poczęli rąbać bezbronnych nie patrząc na płeć i wiek, kawałkowali nawet niemowlęta, ucinając wyciągnięte błagalnie w górę ręce matek. Gonili każdego uciekającego, stąd „rozrzut” trupów wokół obozu był znaczny. Doktor Charles Eastman, który oglądał miejsce tej rzezi tuż po jej zakończeniu, napisał: „To było straszne, potworne, niewiarygodne. Widziałem grupy leżących dzieci, pomordowanych. Niektóre młode dziewczęta miały twarze zakryte szalami - myślę, że zrobiły to same widząc zbliżających się z bronią żołnierzy i nie chcąc zaglądać śmierci w oczy. Daleko od obozu znalazłem dwoje maleńkich dzieci, jedno miało chyba roczek, dalej troje innych twarzami do ziemi, a około trzydziestu jardów od nich leżała kobieta. Wszyscy byli zarąbani...”.

Ameryka lat siedemdziesiątych naszego wieku zna już „Red Power” - indiańską siłę oporu, której trybuną jest Amerykański Ruch Indian (AIM). Eksmitowani brutalnie ze swych siedzib, pod którymi odkryto złoża surowców, traktowani jak zadżumione psy, dyskryminowani tak, że los Murzynów jest w porównaniu z tym ziemskim rajem, schwycili w końcu za broń i jeszcze raz zwrócili oczy świata na Wounded Knee. Był 28 lutego 1973 roku. Siuksowie z miasteczka Pine Ridge pomalowali twarze w barwy wojenne, wzięli kilku zakładników i opanowali w Wounded Knee kościół oraz teren przyległy do cmentarza, na którym spoczywają zwłoki ofiar masakry sprzed 83 lat. Zażądali zwrotu bezprawnie zagarniętych przez rząd USA indiańskich terytoriów w Montanie, Nebrasce i obu Dakotach, przedyskutowania na forum Kongresu tragicznych warunków życia w rezerwach i beznadziejnie złej działalności rządowego Biura do Spraw Indian oraz poszanowania zawartych traktatów, jak bowiem udowodniono wśród 371 traktatów zawartych przez Indian północnoamerykańskich z administracją Stanów Zjednoczonych nie było ani jednego, który nie został złamany przez władze!

Rozległa wybrzuszona łagodnymi pagórkami równina Wounded Knee została otoczona przez policję stanową i agentów FBI, i odcięta od świata,

choć niezupełnie, bo na miejscu od razu zameldowała się ucieszona telewizja. Rozpoczęto wymianę ognia i pertraktacje, mijały kolejne terminy rządowego ultimatum, reklamy pasty do zębów i parówek urozmaicały ponury pejzaż na ekranach ze szkła. Przeciwno garstce Indian okopanych w Wounded Knee rzucono nawet wozy pancerne i samoloty (!) - bez rezultatu. Wzięto ich głodem po 71 dniach oporu i później postawiono przed sądem w Saint Paul (Minnesota). Mimo że mają takich orędowników, jak genialny aktor Marlon Brando (w owym roku 1973 odmówił przyjęcia „Oscara” na znak protestu przeciwko dyskryminacji Indian), Kongres USA nie spieszy się z ulżeniem doli Indian. Jak na ironię kopułę gmachu tego parlamentu wieńczy złota, błyszcząca w słońcu statua Indianina...

Do stolicy rezerwatu, Pine Ridge, dojeżdżamy przez osady Longvalley, Martin i Batesland. Mieścina jak z księżycowego snu. Kilkadziesiąt ruder, kilka warsztatów, dwa kościoły i jeden okazalszy budynek: market „Sioux Nation”. Indianie w kapeluszach z tandetnego filcu i szkarłatnych przepaskach na włosach, brudni i dumni, snują się po dwóch uliczkach i patrzą na nas spod łbów, wrogo. Jesteśmy biali, po kiego diabła przyjechaliśmy tutaj, gdzie nie przyjeżdżają biali? Jedni palą, drudzy coś żują i patrzą, patrzą, jakby można było przepędzić wzrokiem... Bracie mój, jak mam ci wytłumaczyć, że nie jestem ci wrogiem, że staram się żyć w harmonii z ziemią, w harmonii z bogami, w harmonii ze wszystkim, co uważam za piękne... Owszem, mógłbym podejść do ciebie i zagadnąć, i próbować wytłumaczyć ci, ale na to ja z kolei jestem za dumny, bo wyglądałoby to na żebraczą kokieterię. Jedźmy, Jerry!

Droga z Pine Ridge do Wounded Knee, to polna droga. Praży słońce, przyroda się suszy jak skóra zdarta z bizona. Oceany pustki, gigantyczne łąki w żółtych kwiatach, mało lasów. Dojeżdżamy do zawieszanej wysoko tablicy z napisem: „Tragedia Wounded Knee”. Obok rozległy płaskowyż z cmentarzem. Spieczona ścieżka pod górę, do bramy cmentarza. Wśród niskich nagrobków króluje biały, czworoboczny słup-pomnik rzezi z nazwiskami poległych wojowników, z indiańskim napisem („Cankpe Opi El Tona Wicakte Picun He Casepikin”), którego nie rozumiem i z napisem w języku angielskim: „Ten pomnik został wzniesiony przez świadków, którzy przeżyli, oraz przez innych Siuksów Ogallala i Szejenów dla upamiętnienia masakry ludu Wodza Wielkiej Stopy w dniu 29 grudnia 1890 roku. Wielka Stopa był wspaniałym wodzem Siuksów. Często mówił: zachowam pokój aż do mej śmierci. Uczynił wiele dobra białym i czerwonoskórym. Wiele kobiet i dzieci, równie niewinnych jak on, poległo tutaj”.

Będę przepisywał to wszystko, aż do ostatniego nazwiska, będę robił zdjęcia, będziemy tu stali długo wpatrzni w bezkresny, smutny pejzaż, aż zmierzchny wyjdzie spoza horyzontu i zacznie obejmować połacie tej ziemi, a gasnące słońce da nam sygnał do odwrotu.

Schodzimy, słysząc warkot motoru. Przelatuje obok nas odkryta furgonetka z kilkoma młodymi Indianami i Indiankami. Macham im ręką. Nic, jednego gestu, ponure oczy pełne nienawiści, cały samochód pełen tych oczu. Ginie za pagórkiem jak zjawą.

Żegnamy Wounded Knee. Wounded Knee znaczy: Zranione Kolano. Jest ono tak głęboko zranione, że Indianin nigdy nie uklęknie.

Wracamy tą samą drogą, przez Pine Ridge, na zachód. Niedaleko miasteczka, przy szosie, tablica z napisem: „God see all you do” (Bóg widzi wszystko, co czynisz). Niewątpliwie. Widzi Sand Creek, Wounded Knee i podpisy na 371 traktatach. Widzi, jak w Brazylii agenci Biura Ochrony Indian eksterminują karabinami maszynowymi plemiona tubylcze w dorzeczu Amazonki. Widzi, jak w Argentynie wyrzyna się tłumy Indian - sadza się ich rzędami na ziemi, a „podrzynacz” (niegdyś każdy regiment miał swego „podrzynacza”) przechodzi przed szeregiem, przemawia do każdej z ofiar życząc jej odwagi, mówi im, że kobiety przy porodzie cierpią o wiele bardziej, i podrzyna im gardła jednym ruchem, „prawie bezboleśnie”. Widzi wdowę po byłym premierze Afryki Południowej, panią Betsie Verwoerd, która mówi: „Sam zapach kolorowego człowieka jest tak odrażający, że może pozostawić trwałe ślady na psychice dziecka”. Widzi słowa napisane w „High Rising” przez dziennikarkę Angelę Thickell: „Same tylko obyczaje małżeńskie plemienia Arunta uzasadniają w pełni jego wytepienie przez rum, misjonarzy i inne środki zagłady!”. Widzi wciąż tego indiańskiego chłopca ze zgruchotanymi kończynami, którego ogarniały płomienie i który „miał nie więcej jak osiem lat, a nie wydał ani jednej skargi i nikogo nie prosił o pomoc...”

Z Pine Ridge wyniosłem jedno wspomnienie. Bardziej widzę je niż słyszę. Jarek gdzieś zniknął, robi zdjęcia. Pod ścianą szopy siedzi chłopiec z psem. Podnosi się, podchodzi jakby od niechcienia, patrząc na mnie i nie widząc mnie, mówi:

- Masz papierosy?
- Mam, ale ty jesteś za mały na palenie.
- A ty skąd jesteś?
- Z Polski.
- To daleko?
- Daleko.
- Za Missouri?
- Jeszcze dalej, za oceanem.

Teraz mnie dostrzegł. Patrzy spod przymrużonych powiek, milcząc przez chwilę. Potem mówi:

- Kłamiesz, po drugiej stronie Wielkiej Wody niczego nie ma!

Znowu przestałem istnieć - biali to wieczni kłamcy. Chłopiec odwraca się, nawet nie z pogardą, z obojętnością, wraca na swoje miejsce w cieniu, siada

obok psa i zatapia wzrok w tym samym, zawieszonym między niebem a ziemią punkcie, który należy tylko do niego¹.



¹ Wspomniałem w tym rozdziale o wydanej w USA książce Dee Browna pt. *Pogrzeb moje serce*. Nie znam jej, przeczytałem o niej jedynie krótką informację prasową z powyższym tytułem. Ci z czytelników, którzy znają jej pełny tytuł - *Pogrzeb moje serce koło Wounded Knee* - być może podejrzewają mnie o kradzież literacką. Prawda wygląda tak, że pełny tytuł książki Browna poznałem (również z lakonicznej informacji gazetowej) w kilka miesięcy po napisaniu tego rozdziału i stwierdziłem z żalem, iż wymyśliłem tytuł wymyślony wcześniej przez kogoś innego. Zastanowiłem się, co z tym fantem zrobić. Najprościej byłoby zmienić tytuł na inny. Nie zdobyłem się na to - zbyt jestem sercem przywiązany do mojego „dziecka” i nie zamierzam go tracić tylko dlatego, że również w życiu literackim rodzą się przez przypadek sobowtóry! Wolałem zamieścić to wyjaśnienie.



ETAP IV

Znowu na zachód, ciągle na zachód, chociaż meandrami, ale w kierunku Pacyfiku.

W tym samym kierunku, tyle że innymi trasami, nie przez rezerwaty, pędzą ci „nowi migranci”, o których już wspomniałem. Jest w tej ucieczce z wielkich miast coś pięknego, jak w każdej fałszywej poezji, która rozbudza nadzieję. Jest to ostatni już marsz tych, którzy wierzą, iż wszystkie winy można zmazać podążając ku nowym horyzontom.

Istnieje coś jeszcze wspólnego, poza kierunkiem zachodnim i południowo-zachodnim (bo w Yellowstone skręcimy na południe), między nami a nimi. Oni zmykają z urbanistycznych megalopolis do mniejszych miasteczek lub „w przyrodę”. My omijamy lub ignorujemy wielkie metropolie stanowe i żeglujemy przez „dzicz”, przez terytoria indiańskie, zapyziałe miejsciny dobrze pamiętające Dzikie Zachód, przez góry i lasy. W obu przypadkach jest to poszukiwanie bardziej ludzkiego wymiaru, tęsknota za skalą mniejszą i nie powielaną, jak wieżowcowe centra kolosów miejskich. Być może, a raczej na pewno, jest to poszukiwanie większej świeżości, autentyzmu, mistycyzmu życia - całkowicie innej świadomości. A w ich przypadku jeszcze głód innego rodzaju demokracji osiedleńczej.

Tak, właśnie demokracji, tego jej modelu, jakim były chociażby greckie miasta-państwa, które świadomie i dobrowolnie zachowywały niewielkie rozmiary. Na przykład (piękny przykład) Milet nad Morzem Egejskim: jego mieszkańcy byli na tyle mądrzy, aby wiedzieć, że jeśli ich liczba przekroczy 100 tysięcy - będą musieli paść ofiarą tyranii. A to dlatego, że sprawowanie władzy przestałoby wówczas być udziałem obywateli zbierających się i dyskutujących swobodnie o swych problemach, ster przeszedłby w ręce kilku zawodowców, którzy narzuciliby swą wolę - reszcie nie pozostałoby nic innego jak posłuch. Tak więc, kiedy ludność zbliżała się do 100 tysięcy, uchwalano, że jej część musi opuścić ojczyznę. Zastosowano takie rozwiązanie 70 razy (!) ze świętym przekonaniem, że chcąc zachować demokrację, nie wolno przekroczyć pewnej skali materialnej. Identycznie rozumował Arystoteles dowodząc, że miasto powinno być tak zaplanowane, aby w każdym jego punkcie słychać było wołanie człowieka znajdującego się na agorze i żeby każdy mógł odpowiedzieć mu i przybiec mu na pomoc.

W dużym mieście wołanie o pomoc jest beznadziejnie rozpaczliwym wyciem samotnika w betonowo-asfaltowej dżungli, którą wykastrowano z uszu i wyjałowiono z uczuć. Współudział w życiu publicznym jest takim samym

kłamstwem jak wszędzie, jest niemożliwością. To właśnie Amerykanie przeprowadzili badania, z których wynika, że już 200-tysięczne miasto jest organizmem tak dużym, iż ludzie znajdują się zbyt daleko od ośrodków decyzji, a sprawy publiczne niewiele ich obchodzą. W każdym państwie elektronika dokonała cudu - przywódcę państwa można usłyszeć z odległości tysięcy kilometrów. Ale kto może mu odpowiedzieć? Kto może podnieść rękę: „Proszę o głos”? W jakim kraju? A demokracja to dialog...

W USA rękę można podnieść na przywódcę, co często uchodzi bezkarnie, lub też w obronie przywódcy, za co można boleśnie zapłacić. Oliver Sipple, eks-żołnierz piechoty morskiej, błyskawicznym ruchem ręki podbił dłoń Sary Jane Moore strzelającej do prezydenta Forda, dzięki czemu kula chybiła, prezydent ocalał, a Sipple został makabrycznie obsmarowany przez korzystającą ze swych uprawnień prasę, która najpierw uczyniła z niego bohatera, by zaraz potem wywlec na światło dzienne szczegóły jego życia intymnego („był jednym z dworzaków wybranego cesarza społeczności pedałów w San Francisco” - cytata z „The New York Times Magazine”). Uwaga więc z tym podnoszeniem rąk, zwłaszcza wówczas, gdy nie każą tego robić. Jak mawiał Talleyrand: „Strzeż się swych pierwszych odruchów, zazwyczaj są szlachetne”.

A przeciętny jankes, jak na złość, marzy o szlachetności. Po kacu wojennym, po rewolucji seksualno-pornograficznej, po wszystkich wstrząsach ostatnich lat - wszyscy chcą być romantyczni i rozmawiać ze sobą nie przez telefon. W małych miasteczkach jest to możliwe, tam do szeryfa mówi się: „Cześć, Joe!” i idzie się z nim na ryby do pobliskiego strumienia. Różnica skali.

Bajeczna jest ta prowincja amerykańska, będziemy ją odkrywać z coraz większym upodobaniem. Zaczyna się tuż za rezerwatem, po minięciu Ogalalla i White River. Nocujemy w Oelrichs. Rankiem kierujemy się na Hot Springs. Zaledwie około 50 mil od następnego celu. Mijamy stary drewniany fort zrobiony dla jakichś spektakularnych resentymentów Wild Westu, tylko że już tak podupadły, iż sprawia wrażenie zabytku. Słońce zaczyna prażyć potwornie, mózg się gotuje, silnik się gotuje, chłodnica parzy, nie można jej dotknąć. Stajemy-ruszamy-stajemy-ruszamy. Stajemy, żeby zobaczyć, co się stało z tyłu. Urwała się rura wydechowa i gorące spaliny tak rozpały „podłogę”, że stopiły się plastikowe worki, w których trzymaliśmy koce i poduszki. Ręce opadają! Ruszamy. W wozie piec martenowski, nie pomaga otwarcie wszystkich szyb, pył zatyka nozdrza, mózgi stają na sztorc.

Ja: - Stary, ja już nie daję rady... No powiedz, dlaczego tak pali z każdej strony, no?... w którą stronę to cholerne słońce lezie?

Jerry (myśli przez chwilę z wysiłkiem): - Na zachód chyba, co?

Ja (myślę intensywnie, łeb mi pęka od tego zastanawiania się): - Wiesz, to jest możliwe...

Wjeżdżamy do Custer County. Droga w naprawie, kładą asfalt. Wlecemy się

w długim sznurze wozów.

Zaczynają się Black Hills - Góry Czarne. Żyją. Wyłaniają się z nich wielkie głowy czterech prezydentów (Mount Rushmore National Memorial) i próbuje się wyłonić zarys sylwetki wspaniałego Indianina z plemienia Siuksów Ogalalla. Skalne wielkoludy, jakby ze średniowiecznych bajek o gnomach. Różnią się od wszystkich pozostałych rzeźb świata tylko tym, że użyto dynamitu zamiast dłuta, i jeszcze wielkością. Różnica skali.



*(...) było już za późno, wszędzie
widzieliśmy zabitych Indian jak wielkie krwawe
ptaki wśród pól kukurydzianych
kiedy rozbiliśmy obóz na brzegu rzeki zobaczyliśmy
Crazy Horse'a. Było to w nocy
na zachód od Missisipi kwiaty rosły
spod jego ramion, widzieliśmy jego nasienie, białą chmurę
w drodze przez Uniwersum.*

Gunnar Harding, *Widzieliśmy go wszyscy*

SZALONY JEŹDZIEC Z BLACK HILLS

Gdyby tam były tylko te cztery łby, które wyrastają z Mount Rushmore i są często używane jako rzeźbiarski symbol Ameryki zwany „The Shrine of Democracy” (Świątynia Demokracji), to z pewnością i tak byśmy tam pojechali mając po drodze, ale dlaczego miałbym o tym pisać? Dlatego, że to „największe rzeźby świata”? Wobec tego dlaczego nie miałbym poświęcić kilku stron arcydziełu pani Kathy Wafler z Nowego Jorku, która w roku 1977 (tak podaje Księga Rekordów Guinnessa) uzyskała z jednego jabłka największą na świecie strużynę o długości 52 metrów i 53 centymetrów? Ale chciałem porozmawiać z Polakiem, który tam mieszka i który przyłożył do tego rękę, a teraz robi coś o wiele większego. Kiedy mi powiedział dlaczego to robi, zrozumiałem, że będę musiał o tym napisać.

Jest Amerykaninem w trzecim pokoleniu. Jego dziad, hrabia Ignacy Ziółkowski, wywędrował z Krakowa do Stanów Zjednoczonych w XIX wieku. W kilkadziesiąt lat później urodził się w Bostonie Korczak Ziółkowski. Dokładnie 6 września 1908 roku. Nie miał pojęcia, ani on, ani nikt inny, że ta data (dzień i miesiąc) ma znaczenie mistyczne - dopiero po następnych kilkudziesięciu latach odkrył to przed nim pewien Indianin, wódz plemienia Siuksów.

Kiedy miał trzy lata, jego rodzice zginęli w tragicznym wypadku podczas podróży promem do Nowego Jorku. Nie miał innej rodziny, wylądował w przytułku dla katolickich sierot. Potem ulitował się nad nim - być może

dostrzegając nieprzeciętne warunki fizyczne chłopca - i zaadoptował go pewien irlandzki bokser, półzawodowy parias ringu, któremu raz w życiu udało się stoczyć „wielką walkę” z wielkim gwiazdorem i który swoje nieudacznictwo chciał sobie powetować wychowując przybranego syna na mistrza świata wszechwag. Było to ostre wychowanie, którego Korczak nigdy nie zapomniał:

- Straszne życie. Bito mnie i maltretowano, harowałem jak niewolnik... Stary wytrzymał piętnaście rund na gołe pięści z samym Bobem Fitzsimmonsem i tresował mnie według tego samego wzoru.

Nie wytrzymał. Uciekł, mieszkał kątem gdzie się dało, uczył się. W roku 1925 rozpoczął pracę w bostońskiej stoczni jako stolarz. Został tam przez 6 lat, w ciągu których poznał sekrety anatomii i obróbki wszystkich rodzajów drewna i odkrył swoje powołanie. Zaczął rzeźbić, na początek w drewnie, postaci ludzi i zwierząt, w tym prawie 2-metrowego orła. Ale to jeszcze nie był polski orzeł...

„Odkrył” go i zaopiekował się nim bostoński sędzia Frederick P. Cabot. Wprowadził żółtodzioba do środowisk twórczych i poznał między innymi z Janem Kirchmayerem, znanym autorem drewnianych rzeźb dla protestanckiej katedry St. John the Divine w Nowym Jorku. Kirchmayer był jednym z dwóch ludzi (drugim był ów Indianin), którzy wywarli kreujący wpływ na Ziółkowskiego. Pierwszy posiał mu w duszy polskość, drugi zaszczepił w sercu indiańskość, co w końcu zlało się w jedno i co wcale nie jest paradoksem. Ale nie uprzedzajmy faktów...

Kirchmayer stał się nauczycielem młodego rzeźbiarza. Był świetnym artystą, Ziółkowski nazwie go potem „jednym z największych rzeźbiarzy w drewnie, jacy kiedykolwiek tworzyli”. Nie popełniłby błędu, gdyby go nazwał swym drugim ojcem rodzonym. Bo mistrz dokonał wielkiej rzeczy - przypomniał uczniowi polskie pochodzenie, rozbudził jego polską świadomość, wydawałoby się skazaną na szczytnie po śmierci rodziców, i popchnął go ku zachłannej eksploracji polskiej kultury, historii i tradycji. Ziółkowski rozpoczął wielką wędrówkę ku swoim „korzeniom” i uwieńczył to przybierając sobie imię Korczak, którego dzisiaj używa częściej niż nazwiska, bo to po amerykańsku brzmi krócej i dźwięczniej, i zapada w uszy. Korczak, to według Lindego staropolska tarcza herbowa z hełmem, głową psa i czymś tam jeszcze, według Brücknera popularna średniowieczna nazwa pucharu, naczynia do picia, a według jeszcze innych źródeł - rodzaj wiatraka w dawnej Polsce. W skrzydła wiatraka uderzył sarmacki wiatr, a puchar napełnił się Wisłą po brzegi... Od tej pory piszący o Korczaku dziennikarze za każdym razem będą zaczynać od podkreślenia jego polskiego rodowodu.

W roku 1932 umiera Cabot. Właśnie wtedy dwudziestopięcioletni Korczak po raz pierwszy dotknął dłutem kamienia - wyrzeźbił w marmurze głowę swego pierwszego patrona. Odtąd marmur stanie się jego ulubionym

„środkiem przekazu” („his favorite medium”); zakochał się w kamieniu, chociaż - jak rasowy kochanek - od czasu do czasu będzie go zdradzał z drewnem. Powstają liczne popiersia, które będą zdobić ekskluzywne jankeskie wnętrza, robiąc mu coraz większe nazwisko. W roku 1936 przyjęto go do Narodowego Stowarzyszenia Rzeźbiarzy.

Dwa lata wcześniej (1934) ożenił się z mówiącą świetnie po polsku (w przeciwieństwie do niego) Dorotą Brewster Comstock. Oboje w y z n a w a l i polskość, dom był demonstracyjnie polski, to się nie podobało. Mocarne stowarzyszenie amerykańskich matron (Córy Amerykańskiej Rewolucji) uzależniło zgodę na przyjęcie pani Doroty w swe zwarte szeregi od zanglizowania polskiego nazwiska. Korczak powiedział, żeby go pocałowały w nos, powiedział „po łacinie”, którą - kiedy wściekły - nie gardzi. Zapił tę złość. Szczery Polak. Szczerość ma we krwi, lubi mówić dosadnie, najdosadniej o sobie, co żurnaliści łowią z rozkoszą i drukują. Kiedy go spytałem, czy nie przesadzają, roześmiał się:

- Gdzie tam, przecież ja jestem podłym, aroganckim sk...synem! („mean, arrogant son of a bitch”).

Z wielu rzeźb, które stworzył w tamtych latach trzydziestych i czterdziestych, dwie zyskały sobie szczególny rozgłos. Pierwszą była głowa Ignacego Paderewskiego. Podziwiał go. Pamiętał jego credo: „Ojczyzna przede wszystkim, dopiero potem sztuka”. Jest w tym wygłaskanym kamieniu z Carrary wielka sztuka. Surowa, natchniona twarz, jakaś ciężka siła skupiona wewnątrz, za zamkniętymi oczami i wargami, i niewidoczny, a wyczuwalny blask promieniujący na zewnątrz. Przymierzał się do tego dzieła przez 6 lat, wyrzeźbił w 5 dni. Dał mu nazwę: „Studium Nieśmiertelnego”. W roku 1939 rzeźba ta została uznana w powszechnym plebiscycie za najlepsze dzieło wystawione na Targach Światowych w Nowym Jorku. W 2 lata później wyczarował z 32-tonowego bloku marmuru 19-tonową (4 metry wysokości) statuetkę „Nauczyciela Ameryki”, wielkiego językoznawcy, Noaha Webstera. Ustawiona w West Hartford jest największą monolityczną rzeźbą od czasu „Dawida” Michała Anioła.

Wtedy umiał już rzeźbić giganty. Nauczył się od rzeźbiarza Borgluma, który zwrócił na niego uwagę w roku 1939 podczas sukcesu nowojorskiego. Gutzon Borglum był znaną postacią. Nie może nie być znanym człowiekiem, który jako pierwszy wcielił w życie dawne marzenie Fidiasza, Praksytelesa, Michała Anioła i tylu innych - porwał się na rzeźbienie gór. Dla tamtych było to nieosiągalne, nie mieli dynamitu. Borglum miał i rzeźbił nim górę Rushmore w masywie Black Hills, w Dakocie Południowej. Przy pomocy zespołu współpracowników, rzeźbiarzy i minerów, „wykrawał” ze skalnego zbocza cztery ogromne głowy prezydentów - „ojców amerykańskiej demokracji”: Waszyngtona, Jeffersona, Lincolna i Teodora Roosevelta. Korczak bez namysłu

zgodził się partycypować w tym dziele, bo już od dawna chodziły mu po mózgu Kopiec Kościuszki („Pomnik-góra” - powie o nim) i monumentalne statuy Ramzesa II w Abu Simbel. Powędrował w Góry Czarne jako asystent Borgluma. I Borglum nauczył go pieścić granitową skałę dynamitem z taką precyzją, jakby to było dłuto:

- Nie wolno ci przeforsować skały. Naciśniesz zbyt mocno i góra pęknie. Musisz ją czuć, albo odejść. Jeden zbyt silny wybuch i po wszystkim, możesz zwijać manatki.

Zwinał szybko, nie dane mu było pracować długo na zboczu Mount Rushmore. Wdał się w konflikt z synem Borgluma i musiał odejść. Miał zbyt silną osobowość i zbyt wybuchowy temperament, a poza tym już własną wizję czegoś o wiele bardziej monumentalnego. Finiszowali bez Korczaka (i bez Borgluma, który nie dożył ukończenia swego dzieła), a potem wybudowali u podnóża góry „visitor center” (ośrodek zwiedzania) z pocztówkami i gadżetami, by odtąd miliony turystów mogły wspinać się swymi wozami, tak jak my, górską drogą, przez Keystone, do czterech głosicieli zasad. Dziwnie puste te twarze, bez wyrazu, naprawdę cztery maski - istna partyjka brydża. Twarz Paderewskiego dowodzi, że Korczak byłby lepszy - tchnąłby w nich życie. Lecz żeby to zrobić, musiałyby być ciężarny, musiałyby nosić w sobie obsesję, fascynację nimi, bo tylko wtedy rodzi się coś pięknego. To nie była jego sprawa, to był interes Borgluma i spółki. Ale wspomina go ciepło, nie zapomniał, komu zawdzięcza technikę rzeźbienia gór. I chyba mieli w sercach jakiś wspólny „draczny” mianownik, jeśli wspomina takimi słowami:

- Kochałem tego człowieka. Mogę sobie wyobrazić, co by powiedział. Powiedziałby tak: Korczak, weź podwójny ładunek dynamitu. Rozpieprzymy to zasrane centrum zwiedzania!

Właśnie wtedy, podczas pracy na Rushmore, pojawił się drugi kreator Ziółkowskiego, Indianin. Niski starzec o twarzy pomarszczonej jak suszona śliwka i opadłych kącikach ust, cały jakby zwiędły, lecz tylko z pozoru, bo jego ciało było sprężyste jak napięty łuk, a oczy miały ogień. Nazywał się Henry Standing Bear, a mówiono nań Chief Standing Bear (Wódz Stojący Niedźwiedź), gdyż był przywódcą Siuksów żyjących w Pine Ridge. Borglum zatrudnił go jako tłumacza w kontaktach z Indianami.

Standing Bear patrzył od lat na cztery rodzące się gęby Wielkich Białych Wodzów, którzy niegdyś rządzili w Waszyngtonie przyzwalając na eksterminację czerwonoskórych, i milczał. Nosił w swym sercu ciężką tęsknotę za innym hołdem, dla kogoś innego, ale do tego musiał znaleźć odpowiedniego człowieka. Borglum się nie nadawał, stary Siuks wiedział o tym od pierwszego wejrzenia. Cekał na człowieka, o którym plemienni szamani mówili, że kiedyś pojawi się w Czarnych Górach, by dokonać wielkiego dzieła. Kiedy ujrzał Korczaka, coś w nim drgnęło, ale jeszcze nie był pewien. Zajrzał do jego

papierów i zobaczył datę urodzenia. Wtedy zrozumiał, że to jest ten człowiek wieszczony przez czarowników i podszedł do niego.

- Ty wyrzeźbisz z tych gór Szalonego Konia.

- Ja?! - zdziwił się Korczak.

- Ty wyrzeźbisz.

- Dlaczego ja?

- Urodziłeś się w tym samym dniu, w którym umarł Szalony Koń, 6 września. Ty wyrzeźbisz, żeby Biały Człowiek dowiedział się o tym, że Czerwony Człowiek też ma swoich bohaterów. Wyrzeźbisz. Powiedziałem.

Korczak po raz pierwszy w swym życiu usłyszał o Szalonym Koniu. Indianie do tej pory nie obchodzili go. Byli obok, ale byli jak anonimowi przechodnie na ulicy i to peryferyjnej.

- Nie znałem żadnych Indian, pojęcia nie miałem o epopei Szalonego Konia i przez myśl by mi nie przeszło, że urodziłem się po to, by przedłużyć życie tego Siuksa.

Tak mówi dzisiaj, a wówczas był trochę zaskoczony i przerażony, ale tym rodzajem strachu, który jest początkiem gorączki twórczej. Powiedzmy, że miał 37 z kreskami i trzeba mu było podnieść temperaturę.

Chief Standing Bear wiedział, jak to zrobić. Wziął Korczaka za rękę i poprowadził w góry, w których urodził się, walczył i umarł Crazy Horse. Wędrowali tak całymi dniami szukając odpowiedniej skały, a Siuks opowiadał Polakowi wielką indiańską sagę o gehennie i o zemście, o klęskach i triumfach, o zdradzie i nienawiści, rozwinął przed Korczakiem na zboczach Black Hills bajeczną makatę, którą tkwały setki „squaws” - panoramiczny epos Szalonego Konia, największego z Siuksów i jednego z trzech największych Indian Ameryki Północnej. Nikt inny nie miał większego prawa do tego niż Stojący Niedźwiedź - siostrzeniec Szalonego Konia.

Crazy Horse, nieśmiertelny i ponadamerykański symbol walki i martyrologii ludzi kolorowych, był jednym z idoli mojego „indiańskiego” dzieciństwa, które trwa do dzisiaj lub przynajmniej trwać winno, ja wszakże lubię wierzyć, że ono wciąż trwa. Podczas zabaw w gęstych, zastąpionych dzisiaj basenami zaroślach między Wałem Miedzeszyńskim a brzegiem Wisły - byłem zawsze „Szalonym Koniem” i wydobywałem z gardła takie wycie wojenne Siuksów, że słyszał je chyba król Zygmunt-słupnik i z wysokości swej kolumny musiał się zastanawiać, kto tam znowu wyzwala stolicę. Zapewne nie jest zbyt dobrze mieć nadmiernie ukochanych idoli, bo jak powiedział Włóczykij (ten z *Doliny Muminków* pani Tove Jansson): „Nigdy nie jest się zupełnie wolnym, jeśli się kogoś za bardzo podziwia”, ale czasami trzeba być w ten sposób trochę mniej wolnym, żeby być wolnym naprawdę.

Jeden z tych nielicznych historyków, którzy powiedzieli o Indianach coś sensownego, napisał o Szalonym Koniu: „Był jedną z najbardziej bohaterskich i

najtragiczniejszych postaci naszych czasów. Jego dzieje symbolizują dramat, jaki przeżyli Indianie w wyniku inwazji białych na nowy kontynent. Nienawidził Amerykanów z całej duszy i zwalczał ich ze wszystkich sił, a pomimo to biali dowódcy, którzy mieli okazję zetknąć się z nim, wyrażali się o nim z bezgranicznym podziwem i szacunkiem”.

Mówienie „z bezgranicznym podziwem i szacunkiem” o wrogu, i to należącym do „niższej” rasy, było rzeczą nader rzadką i zgoła osobliwą. W tym przypadku spowodowaną faktem, że Crazy Horse - o czym wojskowi wiedzieli najlepiej - był najwybitniejszym czerwonoskórym strategiem w dziejach Ameryki Północnej. Jego talenty militarne sięgały takich wyzyn, że był jedynym Indianinem, wobec którego generałowie amerykańscy uważali, iż porażka w starciu z nim nie przynosi ujmy na honorze wojskowym! Armia Stanów Zjednoczonych poniosła w wojnach indiańskich tylko dwie straszliwe klęski - obie (w latach 1866 i 1876) z rąk Szalonego Konia. Już to starczy za symbol.

Wszystko w życiu tego człowieka, urodzonego gdzieś między latami 1842-44 miało aspekt symboliczny. Nawet jego imię, które biali przetłumaczyli błędnie, nadając mu wydźwięk pejoratywny. Albowiem Tashunka Witko vel Tsunka Witko (nazwisko Szalonego Konia w języku Siuksów Ogalalla) tłumaczy się prawidłowo na angielski jako: Unbroken Horse lub Untamed Horse (Nieposkromiony Koń), Crazy Horse zaś znaczy tyle samo, co Insane Horse (Koń Szalony w rozumieniu: zwariowany, obłąkany, niespełna rozumu). Za późno jednak zmieniać teraz to fałszywe brzmienie, tak jak za późno poprawiać nazwę całego kontynentu, którego Crazy Horse bronił przed białymi agresorami. W roku 1507 profesor kosmografii na uniwersytecie w St. Dié, Marcin Waldseemuller, opierając się na kłamliwej relacji Vespucciego, oznajmił w pracy *Cosmographiae Introductio*, że nowo odkryta część Ziemi powinna się nazywać America, gdyż odkrył ją Amerigo Vespucci. Kiepski bakalarz ochrzcił półkulę świata imieniem agenta handlowego Medyceuszów i tak już zostało. Z reguły zostaje to, co wymyślają kiepscy bakalarze. A jako że fałszywe tłumaczenie nazwiska wielkiego Siuksa też na trwałe zapisało się w historii, legendzie i ludzkiej świadomości, pozostajmy już przy nim.

Mimo wszystkich swych olśniewających zwycięstw Crazy Horse nie mógł przepędzić białych za ocean - atlantyckiej fali wdzierającej się na brzeg nie można odepchnąć nawet za pomocą tysiąca kopniaków. Musiał w końcu złożyć broń i pozwolić się zamknąć w rezerwacie. Ale stanowił potencjalne wieczne niebezpieczeństwo (Paul I. Wellman napisał: „Urzednicy bali się go bardziej niż całego narodu Siuksów”), dlatego nie dano mu przeżyć nawet roku. W tym ostatnim roku jego życia, 1877, zetknął się z nim oficer sztabowy generała Crooka, kapitan John G. Bourke, i zostawił taki opis Szalonego Konia w swoim *On the Border with Crook*:

„Zobaczyłem mężczyznę wyglądającego całkiem młodo. Mógł sobie liczyć nie więcej niż trzydzieści lat (w rzeczywistości trzydzieści trzy - przyp. WŁ), miał 175 centymetrów wzrostu, muskularne ciało i dużą bliznę na twarzy. Oblicze jego pełne było spokoju i godności, a zarazem malowała się na nim posępna surowość, upór i przedziwna melancholia. Zachowywał pewną sztywność i miał coś z człowieka, który wierząc w wyroki przeznaczenia nie zaprzestaje walczyć do końca. Do swego tłumacza, Franka Grouarda, odnosił się z żywą sympatią, w stosunku do innych był powściągliwy i pełen rezerwy. Wszyscy Indianie uwielbiali go za niezwykle męstwo i wielkoduszność. Podczas ataku na wroga nie pozwalał się wyprzedzić żadnemu ze swych wojowników. Miał setki przyjaciół za swą dobroć dla biednych i słabych, których otaczał troskliwą opieką. Przyjął sobie za punkt honoru, by samemu nie posiadać niczego poza bronią. Nie słyszałem, by jakikolwiek Indianin wymawiał jego imię bez oznak najwyższej czci”.

6 września 1877 roku jankesi zamordowali Szalonego Konia (bezbronnego zakłuto bagnetem) i w ten nieskomplikowany, tradycyjny sposób (m.in. identycznie wyeliminowano wielkiego wodza Ottawów, Pontiac) problem Siuksów został skutecznie uregulowany.

Kiedy Henry Standing Bear skończył, Korczak Ziółkowski zrozumiał, że ma w życiu nowy cel, jedyny i ostateczny: zamieni jedną z gór wyrastających z tej ziemi w postać Szalonego Konia. On, rzeźbiarz, lepiej od innych wiedział, że cztery wyprasowane gęby, które stworzył Borglum i którym brakuje tylko laseczek i meloników, są w tych górach obce, lecz że z Crazy Horsem sprawa ma się inaczej. Te góry należały do Siuksów, to były jego góry, które mu wydarto. Teraz wynieść go jak orła nad tę ziemię, znaczyło zwrócić mu władanie nad nią. Korczak zrozumiał, że Szalony Koń nie będzie tu stanowił artefaktu, nie będzie tworem przylepionym do skały - będzie kawałkiem przyrody, jak drzewo, bo wyrośnie na swoim gruncie. Powiedział o tym tak:

- Tych czterech z Mount Rushmore to tylko część amerykańskiej prawdy. Trzeba, by inna góra przypomniała Ameryce resztę.

Tę górę, Mount Thunderhead, znalazł po powrocie z wojny (walczył w Europie jako sierżant w artylerii przeciwlotniczej), w pobliżu Custer City, nabył prawo własności do niej i zabrał się do roboty. 3 czerwca 1948 roku nastąpił historyczny moment - o czwartej po południu Wódz Stojący Niedźwiedź odpalił pierwszy złom skalny na Mount Thunderhead. Było to swoiste odwrócenie procesu realizacji wielkiej budowli - kamień węgielny został „odwalony”. W uroczystości wzięło udział 400 Indian, w tym dwaj inni kuzyni Szalonego Konia: sławny, 93-letni Black Elk (Czarny Łoś) i 86-letni Chief High Eagle (Wódz Wysoki Orzeł).

Korczak zdawał sobie sprawę z tego, że już stąd nie odjedzie. Wybudował u podnóża gór ranczo o 61 pokojach i urządził tam potem (1973) muzeum

indiańskie, pełne unikalnych eksponatów ofiarowanych mu przez Siuksów. Ściągnął do tego domu i ustawił wewnątrz i na zewnątrz niektóre swoje rzeźby (w tym głowę Paderewskiego). Na specjalnym tarasie dla turystów, z widokiem na Mount Thunderhead, umieścił w roku 1964 gipsowy model pomnika Szalonego Konia w skali 1:34; można z tego tarasu obserwować przez lunety prace na zboczach góry. Kiedy pada deszcz, model wjeżdża na kółkach pod dach. Dla tworu ostatecznego całe niebo posłuży za dach.

Granitowy Crazy Horse, w którego wolno zamienia się Mount Thunderhead - siedzący na przepięknym, jakby rozgniewanym mustangu i wyciągniętą dłonią wskazujący wojownikom kierunek ataku - będzie olbrzymi. Początkowo miał być „zaledwie” 30-metrową statuą, ale w miarę jak Wódz Standing Bear opowiadał Korczakowi o martyrologii Indian i epopei Szalonego Konia, rozpalala się wyobraźnia artysty i podczas tych wspólnych wędrówek ścieżkami Black Hills statua „rosła i rosła” (słowa Ziółkowskiego), aż stała się całą górą. Będzie miała 171 metrów wysokości i 195 metrów długości, a więc będzie największą rzeźbą świata. Głowa Siuksa będzie wysoka na 26 metrów (8-piętrowy gmach), w wyprostowanym ramieniu o długości 80 metrów znajdzie się tunel z ruchem kołowym (!), w samych nozdrzach konia zmieści się duży, 5-pokojowy domek! Do końca pracy jeszcze daleko, ale już w roku 1975 „Reader’s Digest” w swoim *The story of America* umieścił Crazy Horse Memoriał na liście „siedmiu cudów” amerykańskiej współczesności.

Korczak wymyślił sobie twarz Szalonego Konia twierdząc, być może słusznie, iż nigdy nie zrobiono zdjęcia największemu z Siuksów. Być może, ale w Dakota Museum, na Uniwersytecie South Dakota, przechowują fotografię Indianina wykonaną przez S. J. Morrowa i uważaną przez wielu specjalistów za zdjęcie portretowe Crazy Horse’a. W każdym razie - jeśli nawet wymyślił, to chyba dobrze utrafił, bo tak głowa pomnika „górskiego”, jak i stojący na ranczo Korczaka, sosnowy i wstrząsająco zlany żywiczną posoką łeb Szalonego Konia, bardzo przypominają twarz ze zdjęcia.

Wpatrujemy się w górę. Chociaż Ziółkowski obrabia ją dynamitem od ponad ćwierćwiecza, wciąż jest ona tylko surową bryłą granitu, z której nie wyłania się żaden ludzki zarys. Może nasze dzieci spojrzą na całość, nie na model...

Wiedział, że będzie to długa droga, może nie na jedno życie. Trzeba odwalić dynamitem kilkanaście milionów ton skały, żeby wyłuskać z korpusu góry sylwetkę jeźdźca! Wielu powiedziało mu, że jest szalony, że porwał się „z motyką na słońce” i że nigdy nie dokona tego, co zamierzył. Wśród tych wątpiących była również żona, Dorota, która nie chciała stać się dożywotnią niewolnicą Czarnych Gór i nie mogąc go przekonać, odeszła w roku 1949, zabierając ze sobą 6-letnią córeczkę Anię. Nie załamał się, w rok później poślubił panią Ruth C. Ross. Powiedział jej:

- Góra jest pierwsza, potem dzieci, potem ty.

Zaakceptowała tę listę priorytetów i stała się więcej niż królową tego świata otaczającego Mount Thunderhead - stała się menedżerem, osiłą całej maszynierii. Urodziła mu dziesięcioro dzieci, które sam odbierał (!) - pięć córek, w tym prześliczną najstarszą Dawn, i pięciu synów. Zwraca się do niej per „Mama” i jest jej posłuszny. Ona mówi mało, prawie wcale się nie uśmiecha, prawie nikogo nie obdarza sympatią. Nie bojąca się żadnych gór i żadnego życia, twarda, pochmurna, pół Szkotka, pół Niemka, z twarzą zjedzoną przez połogi, lecz z oczami pełnymi nieustępliwości. Ma coś z granitu Mount Thunderhead. Patrzy na nas chłodno, lecz to jest chłód, który nie odstręcza i budzi zaufanie. On, jakby się bał, że jej milczenie uznamy za opryskliwość, tłumaczy jej skalną naturę, niepotrzebnie.

Jako sprzymierzeniec i podpora jest niezastąpiona - wymarzona partnerka dla galernika jednej obsesji i to zamkniętej w piramidzie granitu. Bo Wódz Stojący Niedźwiedź odszedł do Krainy Wiecznych Łowów już przed ćwierćwieczem, w roku 1953, spokojny, że dzięki łaskawości Manitou znalazł ludzką mrówkę, która zmaterializuje marzenia Siuksów. Korczak wyrzeźbił jego głowę w afrykańskim mahoniu i w roku 1962 zaprezentował ją Johnowi Kennedy'emu, pragnąc zwrócić uwagę prezydenta na niedolę czerwonoskórych braci.

Jest już nie tylko znanym twórcą największej rzeźby świata. Jest znanym obrońcą Indian. Kiedy o nich mówi, w jego głosie drży czułość:

- Indian czystej krwi już prawie nie ma. To wymierająca rasa, czyż to nie potworne? Spotkaliście kiedyś Indianina czystej krwi? Nie ma lepszego człowieka pod słońcem, bardziej szlachetnego i noszącego w sobie więcej prawdy. Ja jestem z nimi i dlatego dam im ten pomnik. Obiecałem. Jestem wyjątkiem, bo biali tylko obiecują, tak jak to robili zawsze, i nie dotrzymują nigdy! Ale ja dotrzymam! Tam, na Rushmore, obok czterech prezydentów, wyryte są piękne słowa, które ci prezydenci wypowiedzieli do narodu, ale nie ma innych słów, które ci sami prezydenci wypowiedzieli na temat Indian, słów, które uprawomocniły eksterminację czerwonoskórych. Więc ja wyrzeźbię słowa o krzywdzie i o walce tego ludu obok pomnika Crazy Horse'a, na mojej górze, żeby te słowa mogły porozmawiać z tamtymi i żeby każdy mógł przeczytać jedno i drugie i wybrać sobie!

To dobry pomysł, bo przecież **d e m o k r a c j a t o d i a l o g .**

Mówię mu, że Szalony Koń był bohaterem mojego dzieciństwa, a on (nie wiem, czy w ogóle mnie słyszał) wydobywa z siebie głęboki szept:

- To jest polski pomnik, rozumiesz? Każdemu to powtarzam: to jest polski pomnik. Polak rzeźbi Indianina. To są dwa bliźniacze narody. Oba przez tyle lat biły się o swoją wolność. Każdego dnia, kiedy tam pracuję, myślę o naszej historii, o zaborach, i wiem, że to jest podwójny symbol.

Mówi to rozdartym sercem bardziej niż ustami, nadyma się, porusza

kłaczystymi wąsami, wielki, potężny desperado, olbrzymi jak jego wizja, z gigantyczną siwiejącą brodą, która sięga poniżej piersi, w wyszmelcowanym kowbojskim kapeluszu i kurtce typu „wildwest”, pół traper z Alaski, pół emerytowany zapaśnik wagi superciężkiej. Ożeńcie Johna Wayne’a z Szymonem Kobylińskim, a będzie ciepło, ciepło, bardzo blisko. Urodzony zabijaka o duszy i talencie artysty, cudowny drab z hartowanej stali, nie złamią go. Próbują. Ma wrogów wśród tych patologicznych rasistów, którzy nie mogą ścierpieć, że pokochał Indian i rzeźbi im najbardziej majestatyczny pomnik na Ziemi. Ci mówią: „dewastator góry”, „indiański kochanek”, „pachołek czerwonoskórych”. Którejś nocy w 1970 roku przyjechali z Custer i potłukli łomami jego rzeźby. Paderewskiemu utracili nos. Rozpoznał kilku, wytoczył proces. Teraz nękają go groźbami, że go „zastrzelą jak psa”. Od tamtej pory śpi z nabitym pistoletem pod poduszką, ale nie ustąpi. Demokracja to dialog, prawda? Tylko że ze sk...synami trzeba go toczyć za pomocą rewolweru.

Indianie nazywają go „Mister Crazy Horse”. Biali, Amerykanie, dla których brzmienie jego nazwiska jest egzotyczne, mówią: „Crazy Polack” (szalony Polak, stuknięty Polak). Dziennikarz Bob Woessner napisał: „Facet jest jak jego nazwisko. Silny, szorstki, niezrozumiały. Ale przesylabizujcie starannie to nazwisko. Core-chock Jewel-kuff-ski. Facet jest naprawdę jak jego nazwisko. Poetyczny, rytmiczny, melodyjny, pełen subtelnych niuansów. Korczak Ziolkowski. Barki dokera, głos trubadura. Język nieokrzesany, ręce artysty. Przybył w Góry Czarne mając 39 lat, żonę i 174 dolary. Teraz ma więcej niż 174 dolary...”

Ma więcej na realizację swego i Siuksów dzieła, ale nie wziął ani jednego centa od rządu, chociaż wpychali mu wielkie pieniądze. Dwukrotnie odmówił przyjęcia dotacji państwowych w wysokości 10 milionów dolarów! Cały fundusz operacji Crazy Horse składa się z darów prywatnych i z opłat pobieranych od turystów przyjeżdżających oglądać jego pracę. Dał prztyczka w nos władzom federalnym i stanowym, które naraz zapragnęły zrobić piękny gest. Sam zbierze te 60 milionów dolarów, a jeśli będzie trzeba to i 100, dzięki którym pragnie wznieść pod Mount Thunderhead gigantyczne Centrum Indiańskie ze szkołami, uniwersytetem, muzeum, ośrodkami kulturalnymi, szpitalami, lotniskiem etc.

Żyje skromnie, chociaż łatwiej niż ktokolwiek inny mógłby zostać milionerem. Odrzuca wszelkie lukratywne propozycje. Amerykański „król hamburgerów”, McDonald, dawał mu okrągłe ćwierć miliona dolarów za własny biust w kamieniu. Kilka dni pracy. Powiedział „królowi”, żeby sobie poszedł do diabła.

Kiedyś chciał wyrzeźbić pomnik Pułaskiego w Connecticut. Za darmo, z miłości do Polski. Ale kochane Polonusy nie pozwoliły mu, bo akurat były tak skłócone między sobą jak zawsze w dziejach, przez co dzieje były takie a nie

inne. Potem wciskali mu za ten pomnik 150 tysięcy dolarów, ale on już nie chciał z nimi rozmawiać. Nie pozwolili Pułaskiego, więc wziął na warsztat Crazy Horse'a, też polski pomnik, ale taki, że rodacy nie mieli tu nic do gadania i do przeszkadzania. Siuksowie, kiedy mają wspólny cel, nie drą się za łby i to jest ta drobna różnica między dwoma „bliźniaczymi narodami”, która mu odpowiadała.

Zaczynał pracę od wybudowania (samodzielnie) w latach 1948-49 740-stopniowych schodów na szczyt góry i przeniósł tam na własnych plecach materiał o wadze 29 ton! Teraz pracuje razem z synami, mają na szczyt drogę, po której wespnie się „jeep”, małą kolejkę do transportowania urobku, buldożery, kompresory, świdry pneumatyczne i wszystko, co trzeba. Kiedy pogoda nie przeszkadza, odpalają dziennie 500 skrzynek dynamitu, a odstrzelony granit sprzedają na budowę dróg. Odstrzelili już tyle, że spokojnie można by było połączyć tą drogą oba oceany.

Nie jest to bezpieczna twórczość. Któregoś dnia rąbnął Korczaka stalowy kabel o wadze 300 funtów. Złamana ręka i ramię, poharatany nos. Z ledwością doczołgał się do domu. Były i inne wypadki. Przeszedł w ich wyniku trzy operacje. Ma za dużo czerwonych ciałek krwi i za dużo dźwiga, stąd raz po raz kłopoty z dyskiem. Ale ma też szczęście. Kabina jego „pick-upa” jest ozdobiona silnym wgięciem z lewej strony, w miejscu, gdzie uderzył spadający złom skalny - sekundę wcześniej cofnął głowę do wnętrza kabiny.

W 1975 o mało nie stracił syna, Kazimierza, prowadzącego buldożer. Maszyna ześliznęła się ze zbocza i zaczęła wirować w przepaść. Długi lot ukochanego dziecka ku śmierci. Patrzył i czuł, że sam umiera. Lecz „Cas” wyskoczył w powietrzu z szoferki, by rozbić się samodzielnie. I nie rozbił się!

- Uważacie, to cudowne. Było tam, na całym podnóżu, tylko jedno jedyne miękkie miejsce, kupa błota spiętrzona przy budowie drogi. I Cas wylądował właśnie tam! Nic mu się nie stało!

Rzeczywiście cudowne. Casus spadochroniarza, któremu nie otworzył się spadochron i który wpadł w stóg siana. Korczak wie, że ma fenomenalny fart. Kiedy patrzył na ten orbitujący w kosmosie buldożer, przestał żyć. Nie umarł, tyle że serce nadwreżyło się bardziej. Ale kiedyś umrze, jest tytanem śmiertelnym, więc nie jest pewien, czy przedtem ujrzy koniec pracy, chociaż przy takim farcie ma szansę. Na wszelki wypadek wykonał trzy tomy tak dokładnych rysunków, że najciemniejszy inżynier mógłby dokończyć rzeźbę. Sam chce skończyć przynajmniej głowę konia („jest taka pełna majestatu”), dla siebie, żeby ten koń zaniósł go do nieba szaleńców bożych. Reszty dokona w razie czego „Mama” Ruth, której powtarza często:

- Nie wolno ci zapomnieć o moich snach!

I synowie. Im powiedział to bardziej po męsku:

- Zostaniecie tu i dokończycie! Nie wazcie się sprzedać choćby jednego akra

tej ziemi! Jeśli nie dopełnicie tego, to przysięgam - wyjdę z grobu i wytłukę bez litości!

Zrobiłby to, tacy jak on mogą wszystko. A grób już czeka. Kiedy Korczak umrze, synowie zawiozą go „jeepem” do wnęki skalnej, którą odstrzelił sobie w zboczu góry i tam go pochowają.²

Napis, który zostanie wykuty obok sylwetki jeźdźca, kończy się zdaniem wypowiedzianym niegdyś przez Szalonego Konia: „Moja ojczyzna jest tam, gdzie spoczywa moje ciało”. Indianin powiedział to za nich obu, a synowie Korczaka nie sprzedadzą ani jednego akra tej ziemi, bo „nie sprzedaje się kości swego ojca”. Tam, u podnóża Mount Thunderhead, w dalekiej Dakocie Południowej, jest kawałek najczystszej Polski i niech Bóg ani ludzie nie zapominają o tym. Dlatego tam byłem i dlatego napisałem ten rozdział mojej książki.

Że co?... Że on nie mówi po polsku? Kiedy w roku 1939 hitlerowcy zajęli Gdańsk i rozpoczęli masowe aresztowania, wielu tam było podobnych i wielu, tak jak robotnik portowy Formela, na pytanie gestapowców: „Co z ciebie za Polak, nawet polskiego nie znasz!?” - odpowiadało: „Aber mein Herz ist polnisch!” (Ale moje serce jest polskie). Więc cóż z tego, że Korczak nie mówi po polsku? Ilu jest, którzy mówią, a tyle już oddali diabłu w pacht, że nic w nich nie zostało polskości? Nie umieją rozmawiać z ludźmi. A demokracja to dialog.



² Przypis do drugiego wydania: w październiku 1982 roku, odstrzeliwszy 7 milionów ton granitowej góry, 74-letni Korczak zmarł po operacji serca i został pochowany przez rodzinę w swojej krypcie skalnej, zamkniętej 2,5-tonową bramą ze stali, na której wisi - od wewnątrz! - potężna kołatka. „Umieściłem kołatkę na wypadek, gdybym kiedyś musiał stąd wyjść” - żartował. Jego synowie oświadczyli, że skończą dzieło.



ETAP V

Wczesnym popołudniem zegnamy Korczaka i gnamy przez Hill City highwayem nr 385 w kierunku Deadwood. Ciągłe South Dakota. Makabryczny upał, ciężko oddychać, ciało pławi się w pocie.

Mijamy jakieś jezioro, którego nie ma na mapie. Tablica z napisem: Pactola Lake. Woda, woda!... O szesnastej dopęłzamy do Deadwood. Już chłodek. Osadzone w misie między zielonymi wzgórzami najbardziej niegdyś renomowane miasto północnego Dzikiego Zachodu. Saloony, stare kuźnie, atmosfera XIX-wiecznej fiesty.

Wynajmujemy pokój w najstarszym hotelu miasta - „Fairmont Hotel”. Bajka z westernu. Pokój na piętrze, identyczny jak te na filmach z Wayne’em, Cooperem, Stewartem, Douglasem i Eastwoodem. Okucia chropawe, żelazne, łazienka jak średniowieczna, szafa ciosana siekierką, łóżka wspominające panienki, które były w najlepszej formie przed stu laty, nic nie udawane i nie stylizowane, stara zakurzona Biblia na stole. Psiakrew, powinniśmy spać z fasonem - w butach.

Na początek idziemy do Wax Museum - Muzeum Figur Woskowych. Mania Ameryki, która zakochała się w największym z wystawowo-muzealnych kiczów świata, nie wymyślonym - jak się powszechnie sądzi - lecz udoskonalonym i rozreklamowanym przez Madame Tussaud (wynalazcą był jej wuj, malarz i rzeźbiarz, Curtius). W Ameryce są setki takich muzeów. Tysiące woskowych Lincolnów, Waszyngtonów, Jeffersonów, tysięckrotne ogłaszanie Deklaracji Niepodległości, tysiąc razy każda znacząca scena z historii tego kraju, bo jankesi uwielbiają historię „jak żywą”. Żeby figurki stały, siedziały, leżały, podnosiły patetyczne rączki, otwierały szlachetne buzie i miały błyszczące guziki na ultrakolorowych kaftanach. To siedzi mocno, okrakiem, w całej estetycznej mentalności Ameryki, której lustrem jest kulturowa „american way of life”. Dlatego właśnie Anglicy - kiedy poproszono ich, by wysłali do Stanów objazdową wystawę pod tytułem: „Jedenaście wieków monarchii brytyjskiej” - wybrali jedyne sensowne rozwiązanie: wysłali 65 pełnowymiarowych figur swoich królów i królowych, od Alfreda Wielkiego do Jerzego VI.

W deadwoodzkim Wax Museum jest to jednak niezłe, bo ożenione z innym, francuskim wynalazkiem o nazwie „son-et-lumiere”. W piwnicy czarnej jak noc snop światła wyrywa z mroku poszczególne sceny (historia Dzikiego Zachodu i pamiętne chwile Deadwood), a taśma magnetofonowa mówi poprzez usta woskowych postaci. Najsilniej wbija się w pamięć wynędzniały poszukiwacz złota. Indianie zabili jego bliskich, głód i pragnienie pozbawiły sił, skulony

wśród krzewów martwego, górskiego pejzażu, zaszczuty i zrozpaczony, opowiada swoją gehennę płaczącym głosem i zdycha. Prawdziwa twarz junackiej przygody tamtych czasów. To naprawdę robi wrażenie.

Potem do pobliskiego Adams Memorial Museum. Gęsto od reliktyw epickiej doby kolonizacji. Pusto, nie ma nikogo oprócz nas i dwóch młodych dziewczyn, które są tu strażniczkami. Za kwadrans, o osiemnastej, będą zamykać. Słyszac, jak rozmawiamy po polsku, pytają o narodowość. I zaraz potem proponują wspólne spędzenie... czasu. Złuszczają się, że jutro wyjeżdżamy. „Zostańcie chociaż ze trzy dni, o'kay?”. Odwróciły się role, wpływ organizacji Women's Liberation taki, że Europejczycy nie mają o tym bladego pojęcia.

To już nie jest rok 1913, w którym w Filadelfii ukarano 15 studentek ze Swarthmore College za to, że na publicznej zabawie tańczyły tango. Coraz rzadsze są w Stanach enklawy, gdzie - jak dawniej wszędzie - kobieta rozwiedziona lub nosząca spodnie uchodzi za „loose woman”, dziwkę. Nawet na takiej prowincji jak Santa Fé w stanie Nowy Meksyk komplet sędziowski przewagą głosów orzeka, iż 23-letnia Ernestine Favela nie powinna być ukarana za współżycie z 15-letnim chłopcem, albowiem „stosunki między pełnoletnią kobietą a przystającym na to nieletnim nie są niczym innym, jak wychowaniem seksualnym, odgrywającym zasadniczą i niezbędną rolę w osiągnięciu przez chłopca dojrzałości i przysposobieniu go do założenia rodziny”. Dawniej zlinczowano by ją.

Zmieniły się nie tylko obyczaje, lecz i zwyczaje. W Tulsa (stan Oklahoma) burmistrz odrzuca żądanie związku kobiet, który pragnie zamknięcia nocnych lokali, argumentując w werdykcie, iż „strip-tease jest takim samym amerykańskim zwyczajem, jak jedzenie ciasta z borówkami”.

Lecz oto 35-letni Larry Flynt, wydawca ultradrastycznego pisma porno („Hustler”-2 miliony nakładu), zostaje ciężko postrzelony na ulicy w Atlancie. Może za perwersje, które drukował, a może za to, że miał jeszcze inną obsesję - wykrycia sprawców mordu na prezydencie Kennedym - i wyznaczyszy milion dolarów nagrody dla informatora, dowiedział się zbyt wiele? Niektóre zwyczaje są nieśmiertelne.

Właśnie tutaj, w Deadwood, zwyczajem numer jeden było dyskutowanie za pomocą sześciostrzałowych coltów. Tutaj pojawiły się w minionym stuleciu dwie prekursorki emancypacji kobiet: Jane - mistrzyni rewolweru i Alicja - mistrzyni pokera. Dorównał im sławą w tym mieście tylko jeden mężczyzna, wielki Wild Bill Hickok, który jest dzisiaj czymś w rodzaju świętego patrona Deadwood. Na wysokim cokole widnieje jego dumny, granitowy biust. Wyrzeźbił go dla miasta w roku 1949... No kto?... Oczywiście, Korczak Ziółkowski. Z czego?... Jasne, że z kawałka skały odstrzelonej podczas pracy nad pomnikiem Szalonego Konia. Zgodnie z hasłem „Szaleńcy Dakoty Południowej łączcie się!”



Stała przed sklepioną ostrołukową bramą, nad którą widniały wypisane wielkimi literami słowa: KRÓLOWA ALICJA, a po obu stronach bramy znajdowały się uchwyty dzwonek, jeden oznaczony napisem: «Dzwonek dla Gości», a drugi «Dzwonek dla Służby» (...) A cóż to takiego mam na głowie? - powiedziała do siebie, zdejmując ów przedmiot i kładąc go na kolanach, żeby stwierdzić, cóż to takiego może być.

Była to złota korona.

Lewis Carroll, Co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra

„FULL ŚMIERCI”

Zapewne nie wszyscy wiedzą, co oznacza pojęcie „full”. Jest to układ kart w pokerze, mianowicie „trójki” z „parą” (na przykład: trzy króle i dwa walety), w sumie kompozycja bardzo wysoka i często wygrywająca. Z najwyższym „fullem”, zwanym „fullem maxem” (trzy asy i jakaś dwójka), wygrać mogą tylko „kolor”, „kareta” i „poker”. Z każdym natomiast układem może wygrać jedna kula z celnie wymierzonego rewolweru. Tak właśnie stało się w Deadwood w roku 1876 i dlatego pokerzyści amerykańscy używają jeszcze jednego terminu fachowego, który nie jest znany hazardzistom z Europy. Jest to „full śmierci”. Fakt, iż termin ten narodził się właśnie w Deadwood, nie ma nic z przypadku, a wszystko z prawidłowości, gdyż XIX-wieczna historia tego miasta jest historią krwawego pokera o „Najbogatsze Sto Mil Kwadratowych Świata”, czyli o złoto wartości 100 milionów dolarów.

Ostatnia wielka gorączka złota wybuchła w Stanach w roku 1875. Najpierw odkryto pokłady złota w Kalifornii (1846), potem w Nevadzie (1859), następne eldorada zakwitły w Montanie, Idaho i Colorado. W epicentrach złotych szaleństw wyrastały w ciągu jednej nocy - niczym wulkaniczne wyspy - rozwrzeszczane i spite na umór miasteczka, które - gdy złoto zostało wypłukane z gór i dolin do ostatniego ziarnka - w ciągu tak samo krótkiej nocy pustoszały i oddane na łup przyrodzie zamieniały się w upiory pustyni.

W początkach lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia wydawało się, że całe złoto tego kraju zostało już przetopione na dolary i pierścionki. Nagle, w roku 1874, generał Custer i jego dzielni „chłopcy”, próbujący cierpliwie wyrznąć wszystkich Siuksów i Szejenów chodzących po ziemi, odkryli złoto w Górach Czarnych i tak zaczęła się największa „gold rush” w dziejach USA. Od najdalszych granic pędzili ku Black Hills poszukiwacze szybkiej fortuny, w tysiącach miast i osad ludzie wszelkich zawodów rzucali pracę, sprzedawali, co tylko było można, kupowali kilof, łopatę, sito, miseczkę-płuczkę i namiot, po czym wsiadali do pociągu, dyliżansu, na konia lub muła, i meldowali się

najśpieszniej pod tym samym adresem, by rozpocząć nową pracę wraz z armią sępów, które również zleciały się na żer. Każdy miał tam swoją pracę: kopacze kopanie, a sępy (szulerzy, prostytutki, alfonsi, bandyci i barmani) zabieranie. Metropolią „Najbogatszych Stu Mil Kwadratowych Świata” stało się Deadwood i to na długo, bo nie tak łatwo jest wyrąbać z granitowych gór i wypłukać z górskich strumieni 100 milionów dolarów, a i wypłukanie ich z kieszeni umorusanych szczęśliwców też wymagało pracy pełnej poświęceń i wytrwałości.

Tak więc Deadwood było wówczas lustrem owego Dzikiego Zachodu, zwanego w Ameryce Starym Zachodem („Old West”), owianego piękną legendą dobrych minionych dni (dobre są tylko minione dni - czy już to zauważyliście?) - bramą do złotodajnej Krainy Czarów rozsnutej między wierzchołkami Black Hills. Pojawiła się w nim - a jakże - królowa, bo każda kraina musi mieć - a jakże - swego władcę, i była nią - a jakże - Alicja, o której opowiem na końcu, żeby ostatnie słowo należało - jakżeby inaczej - do władzy.

W deadwoodzkim lustrze poszukiwacze złota widzieli wielką obietnicę szczęścia, przekraczali więc jego taflę pełni nadziei, by po drugiej stronie znaleźć spełnienie, ale tam już czekały sępy, które nie brudzą sobie rąk kopaniem w ziemi i dobrze wiedzą, czyją matką jest nadzieja. Bardzo niewielu poszukiwaczy wywiozło swoje fortuny z Deadwood.

„Dzwonek dla Gości”, którzy wyczyszczali sakiewki osiadłych w mieście i zajętych kopaniem „Sług”, był dzwonkiem przelotnych ptaków. Zgarniały ile się dało i „pryskały” za bezpieczniejsze horyzonty. Dla wszystkich - bandytów, barmanów, alfonsów-szefów i szulerów - miejscem pracy był jeden ze świętych symboli Old Westu, SALOON. W jednym pudełku bar, burdel i kasyno plus napis: „Nie strzelać do pianisty - robi co może”. Każdy robił tam, co mógł, nawet poganiacze mułów, którzy stojąc przy bufecie w saloonie łowili po kieszeniach wszy - kto wszy nie wyciągnął, stawiał kolejkę. Wiele saloonów nosiło jednoznaczne nazwy, na przykład: „Wiadro krwi”. Do wielu odnosiło się popularne powiedzonko: „Na kolację mają tam zawsze człowieka”, oczywiście mężczyznę, bo dam nie uszczęśliwiano rewolwerem, nie uchodziło. A jeśli już wspomnieliśmy o paniach, to od nich zaczniemy prezentację tych, którzy nas najbardziej interesują, zawodowców, zgodnie z dżentelmeńską regułą „Ladies first” (damy mają pierwszeństwo).

W pamiętniku oldwestowej „burdel-mamy”, Maggie Burns, czytamy: „Kowboje traktowali moje dziewczęta znacznie lepiej niż wielu mężczyzn swoje żony”. Gdyby pani Burns znalazła jakiegoś głupka chcącego się z nią ożenić, to wkrótce zrozumiałaby, że mężczyźni zawsze traktują lepiej swoje kochanki niż żony z przyczyn, dla których żony w ogóle są zdradzane i jeszcze z kilku innych, ale zostawmy tę filozofię i przejdźmy do spraw poważnych. „Lepiej traktowane” panienki z Deadwood miały bardzo odpowiedzialne

zadanie, musiały bowiem wypłukać jak najwięcej bryłek kruszcu z urobku kopaczy, a to namawiając ich do picia ponad normę (50 centów kieliszek whisky), a to do jeszcze innych rzeczy. 100 milionów dolarów to nie w kij dmuchał, słowem na lenistwo nie było tam miejsca. Miejsce było na głębokie uczucie i te dziewczęta kochały swoich klientów całym sercem rozmiłowanym w złocie z otaczającej miasto Krainy Czarów. Najlepiej więc będzie, jeśli posłużymy się jeszcze jednym cytatem od Alicji z Krainy Czarów: „Ta młoda dama kocha cię na «H» - powiedział Król (...) w nadziei, że odwróci uwagę Gońca od stanu, w jakim się znajdował. Ale nie przyniosło to najmniejszego pożytku, gdyż anglosaskie pozy stawały się z każdą chwilą coraz dziwniejsze” (tłum. Macieja Słomczyńskiego).

Trudno doprawdy nie czuć podziwu dla tych panienek, które zleciały się w roku 1876 do Deadwood w sprawie złota i które, mimo trudności robionych im przez żony górników, nie ustępowały z placu boju. Spotkała je za to nagroda. Stoją dzisiaj jak żywe w deadwoodzkim muzeum figur woskowych, przy barze, wesolutkie i roztańczone, a tamtych ponurych seksualnych purytanek ani śladu, nie poświęcono im nawet grama wosku. Oliwa sprawiedliwa zawsze...

Drugą grupą społeczną (ciągle mówimy o „Gościach”) zwabioną zapachem zera do Deadwood byli rewolwerowcy, te wysportowane, zabijające bez skrupułów chłopaki, którym dzisiaj film i komiks robią piękną operację plastyczną, przedstawiając ich jako „dobrych złych ludzi” à la Robin Hood. Około 30 z nich przeszło do legendy Dzikiego Zachodu. Tacy jak zwyrodniały młodzian Billy the Kid, meksykański desperado Joaquin Murietta, genialny obrabiacz dylizansów, Black Bart, Catfish Kid, Ben Thompson, King Fisher, Bill Longley, Jim Courtright, Clay Allison, Luke Short, „Tulsa Jack” Blake, „Arkansas Tom” Daugherty, John Wesley Hardin, Curly Bill, tajemniczy Dave Mather, John Ringo, bracia James, bracia Younger, bracia Ford, bracia Dalton i inni. Każdy z nich był namiętym mordercą i pokerzystą, a że colt i poker królowały w Deadwood - wielu z nich „zawadziło” o ten złoty raj, by oskubać frajerów z łopatami. Szulerką lub rewolwerem. Ale na miejscu już czekali spece od kart i szybkiego opróżniania bębenka, więc nikomu nie było lekko. Sławny zawodowiec, Sam Bass, za którego głowę listy gończe obiecywały ładną nagrodę, zrobił do Deadwood daleką drogę z San Antonio, lecz natrafił na lepszych od siebie i sam został oskubany. Odbił to sobie rabując pociąg Union Pacific w Nebrasce.

Zaszczyciła Deadwood również największa i najbardziej operatywna ze wszystkich band, jakie kiedykolwiek działały na Dzikim Zachodzie - przestępna „Wild Bunch” (Dzika Banda), unieśmiertelniona we wspaniałym filmie Sama Peckinpaha. Każdy członek tego doborowego zespołu „outlaws” (wyjęci spod prawa) zdobył sobie trwałe miejsce w historii amerykańskiego

bandytyzmu. Były w tej talii, obok takich „zadziorów” jak „Deaf Charley” Hanks, Bill Carver, „Peg Leg” Elliot, Ben Kilpatrick, Tom Day, Lonny Logan i Walter Putney - cztery prawdziwe asy Old Westu: „Mad Dog” Tracy, Kid Curry oraz wielokrotnie opiewani w filmach Butch Cassidy i Sundance Kid.

„Wściekły Pies” Harry Tracy uchodził za „najzimniejszego z zabójców”. Zabijał z wydajnością kulomiotu, chociaż nie ma dowodów na to, że był mistrzem rewolweru. Był mistrzem bezwzględności i sprytu. Pokłócony ze swym najlepszym kumplem, Davidem Merrillem, wyzwiał go na pojedynek „klasyczny” z odwróceniem się do siebie plecami i odmierzaniem dziesięciu kroków przed strzałem. Strzelił po ośmiu i zabił. Wielokrotnie uciekał z więzień zabijając strażników i policjantów. W ciągu całego swego życia, wyjąwszy wczesne dzieciństwo, był zbiegiem ściganym przez obławę za obławą. Osaczony po raz setny na farmie w Lincoln County, przestrzelił sobie mózg.

Leader „Wild Bunch”, Kid Curry (prawdziwe nazwisko: Harvey Logan) skończył identycznie. Ale zanim to się stało, skończył w swym bogatym życiu z kilkunastoma szeryfami, posyłając ich wszystkich do nieba szeryfów, zabitych zaś ranczerów oraz urzędników bankowych i kolejowych liczył na tuziny. Cena za jego głowę wynosiła 4 tysiące dolarów. Zawsze spokojny, pijący dużo bez szkody dla trzeźwości, nigdy nie zapominał. Zabójcę swego brata odszukał po pięciu latach i zastrzelił. Ścigało go przez wiele lat dwóch najlepszych detektywów Ameryki, Charlie Siringo i Bill Sayles. Potrafił zbiec z więzienia w Columbus (stan Ohio) uważanego za „ucieczkoodporne” („escape-proof”). Ciężko ranny po napadzie na pociąg w Parachute (Colorado), nie mogąc uciekać - zastrzelił się.

Drugi przywódca bandy, Butch Cassidy (Robert Leroy Parker), i niezwykle przystojny Sundance Kid (Harry Longbaugh, zwany Sundance od więzienia w Sundance - koło Deadwood - w którym odsiedział pierwszy wyrok) stanowili parę cudownie uzupełniających się przyjaciół. Pierwszy, chociaż nigdy nie zabijał, miał kolosalny autorytet i już we wczesnej młodości przewodził bandzie opryszków w stanie Wyoming. Drugi, szalony dandys, wiecznie ścigany przez kobiety wariujące z miłości do niego i przez „zrogowaciałych” mężów, strzelał dobrze, ale tylko kiedy się upił lub w ostateczności. W promieniu stu mil od nich każdy bank i pociąg stały na straconej pozycji. Cassidy kosztował na listach gończych 4 tysiące dolarów, Sundance aż 6 i pół tysiąca. Po rozpadnięciu się „Wild Bunch” w roku 1901 wyjechali do Ameryki Południowej, najpierw do Argentyny, gdzie „wyczyścili” sporo banków, a następnie do Boliwii. Tam napadli na karawanę mułów wiozącą cenny kruszec i zaraz potem osaczono ich w hotelu w San Vincente. Dwie „papużki-nierozłączki”, różniące się tak bardzo od swych krwiożerczych kompanów, romantyczne i trochę „nie z tej bajki”, stoczyły swoją ostatnią, tym

razem naprawdę krwawą, całonocną walkę z zastępem żołnierzy boliwijskich. Kiedy Sundance zginął nad ranem, Cassidy położył się obok przyjaciela, skierował wylot lufy w swoje serce i oddał jedyny w swoim życiu strzał do bezbronnego człowieka.

Cofnijmy się teraz w czasie, a trafimy znowu do Deadwood. 28 czerwca 1897 roku, bezpośrednio po napadzie na bank w Belle Fouché (22 mile od Deadwood), część „Dzikiej Bandy” - Carry, Sundance, Day i Putney - została schwytana i osadzona za kratkami w Deadwood. Dwóm asom udało się zbiec z celi 31 października. Dwie blotki (Day i Putney) spotkał bardzo przykry los.

Przykry los spotkał zresztą wszystkich tych członków „Wild Bunch”, którzy dali się schwytać i nie potrafili zbiec w porę dzięki pomocy przekupionych stróżów prawa. Tak zwani „sędziowie pokoju” nie patyczkowali się z kiepsko wypłacalnymi bandziorami, procesy były krótkie, a wyroki monotematyczne, w myśl zasady: „Zrobimy im uczciwy proces, a potem ich powiesimy”. Ogólnoamerykańskim symbolem tej sprawiedliwości, najślawniejszym sędzią Starego Zachodu był Roy Bean, którego powieściowa i filmowa popularność w niczym nie ustępuje popularności najpaskudniejszych „gunfighterów” (rewolwerowców). W młodym wieku sam był szefem bandy morderców i koniokradów, ale później uznał, że druga strony barykady jest bardziej dochodowa przy mniejszych kosztach własnych i ryzyku, stał się więc przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości. Zbrodniarzy, którzy dali dobrą łapówkę, uwalniał. Dla wszystkich innych, bez różnicy jakie przestępstwo zostało popełnione, znał tylko jeden wyrok, od którego zyskał sobie przydomek „Hanging Judge” (Sędzia Wieszatiel). Zachowała się sentencja wyroku wydanego przez Beana po rozstrzygnięciu sprawy przez przysięgłych:

„Zostałeś przesłuchany przez dwunastu dzielnych ludzi, różniących się od ciebie, jak różni się niebo od piekła. Oni to orzekli, że jesteś winny. Cóż się więc teraz stanie? Nic nadzwyczajnego. Pory roku będą nadal następować po sobie. Nadejdzie zielona wiosna i zakwitną kwiaty w dolinie. Potem będzie lato i nawet w górach zapanują upały. Przyjdzie też jesień z opadającymi liśćmi, które w promieniach słońca nabiorą złotego koloru. Przyjdzie też zima z szalejącymi burzami. Ciebie jednak już nie będzie i ani wiosny, ani lata, ani też zimy oglądać już nie będziesz. Ani razu nie rzucisz już okiem na piękno natury, albowiem w myśl wyroku tego sądu zostaniesz zaraz zaprowadzony do najbliższego drzewa i na nim za szyję powieszony. Będziesz tam wisiał tak długo, dopóki nie będziesz martwy, martwy, martwy, ty oliwkowoskóry, koźli synu!” (tłum. Stanisława Mierzeńskiego).

Cóż się teraz stanie? Nic nadzwyczajnego. Teraz przedstawiony zostanie Państwu dzisiejszy „anioł stróż” Deadwood, najlepszy rewolwerowiec północnego Dzikiego Zachodu (na południu Doc Holliday był numerem 1), sławny, sławny, sławny „Dziki Bill” - James Butler Hickok alias Wild Bill

Hickok.

„Urodził się do broni” („born to the gun”), równie celnie jak strzelał, w roku 1837. W tym samym bowiem roku pan Samuel Colt ukończył model poręcznej maszynki do zabijania za pomocą sześciu naboii, które z komór bębena wylatywały przez lufę do celu. Początkowo nikt się nie interesował rewolwerami Colta produkowanymi quasi-chałupniczo w miasteczku Paterson (New Jersey). Aż do chwili, kiedy 14 „rangersów” (konnych zwiadowców) wyposażonych w te zabawki zostało zaatakowanych przez 70 Indian z plemienia Komanczów. Normalnie taka przewaga liczebna napastników oznaczała dla napadniętych wyrok śmierci. Ale colty wprost rozstrzelały czerwonoskórych (w ciągu kilku minut padło 30 wojowników) i od tej pory Ameryka zakochała się w colcie. Najbardziej zaś w modelu kaliber 45 zwanym „sześciostrzałowcem pogranicza”, o którym ranczerzy powiadali, że można nim przestrzelić stodołę pełną siana i stojącego za nią złodzieja. Hickok oprócz coltów używał także pary remingtonów kaliber 44, a to dlatego, że czasami lubił strzelać szybko z obu rąk naraz (colt nie był automatyczny, trzeba było przed każdym strzałem odciągać kurek kciukiem lub dłonią drugiej ręki).

Urodził się na farmie w La Salle County (Illinois) i rzeczywiście „do broni”. Już jako dzieciak polował na wilki, a w wieku 14 lat został szeryfem w Monticello (sic!).

Śmiano się ze smarka, lecz kiedy w pojedynkę położył trupem pięciu desperados, w roku 1858 na ulicy w Leavenworth, przestano się śmiać. Fama o rewolwerowym geniuszu rozpoczęła swój taniec i tańczyła w coraz większym kręgu... Notabene nożem posługiwał się równie sprawnie i to uratowało mu życie w roku 1860, kiedy jako strażnik dyliżansu na szlaku do Santa Fé stoczył w Górach Raton (Nowy Meksyk) walkę z olbrzymim grizzly. Strzelił, lecz kule nie powaliły niedźwiedzia. Skoczył ku bestii i przeciął jej gardło nożem, ale zanim tego dokonał, pazury zrobiły swoje. Ledwo go odratowano, był okropnie pokiereszowany. Na szczęście wąsata buzia w otoczce długich loków i jeszcze kilka części ciała pozostały nietknięte, więc nie stracił powodzenia u dam.

W rok później wydarzyła się głośna we wszystkich zakątkach Dzikiego Zachodu historia na postoju dyliżansów w Rock Creek (Nebraska). Zjawił się tam, budzący powszechny strach awanturnik, David McCanles i zażądał pieniędzy należących mu się od firmy przewozowej Overland Stage Company. Szef stacji, Wellman, odparł, że wypłata nie leży w jego kompetencji i że należy udać się do dyrekcji. Co było dalej, tego nigdy nie wyświełono, chociaż po pogrzebie McCanlesa i jego dwóch „goryli” Hickok stanął przed sądem oskarżony o potrójne morderstwo. Mówiono, że rozwścieczony odmową McCanles zaczął lżyć Wellmana i stojącego obok Hickoka, którego nazwał „Kaczorem Billem”, a wówczas „nerwy Hickoka eksplodowały”. Uniewinniono go, bo działał „w obronie własnej”. Odtąd nazywano eksplodującego

młodzieńca „Dzikim Billem”.

„Sprawa McCanlesa” służyła potem wrogom Wild Billa do obrzucania go pomyjami, zarzucania tchórzostwa i imputowania strzałów w plecy. Bolał z tego powodu. Na krótko przed swą śmiercią powiedział (w roku 1875) Annie Tallent, która źle się wyraziła o jego prowadzeniu:

- Więc to tak... Proszę pani, wiem, że nazywają mnie zimnym mordercą o rękach splamionych niewinną krwią, ale to nieprawda! Owszem, zabijałem ludzi, ale wyłącznie w ostateczności, w absolutnej obronie własnej, bądź pełniąc obowiązki urzędowe. Nigdy nie starałem się uzyskać przewagi nad przeciwnikiem w sposób niegodny... Zrozumiano?! Myślę, że mam prawo umrzeć w butach...

Rewolwerowcowi nie wypadało umrzeć w łóżku, bez butów - była to hańba. Ale nie wszyscy mieli szczęście, bo nie sposób nie zdjąć butów ani razu przez powiedzmy ćwierć wieku. Hickok jednak miał szczęście, o czym później, bośmy już złamali chronologię wydarzeń i trzeba powrócić w lata sześćdziesiąte XIX wieku.

Podczas wojny domowej Wild Bill służył jako „scout” w armii Północy. Zaraz po zwycięstwie odbił w Springfield dziewczynę głośnemu szulerowi i zabójcy, Tuttowi, który z zemsty rozpuścił wieść, że ograł Hickoka w pokera. Hickok obiecał, że każe mu „zjeść to kłamstwo” i tak od słowa do słowa obaj dzentelmeni stanęli na „main-street” twarzą w twarz, z rączkami falującymi przy biodrach. Tutt pierwszy sięgnął po broń i jak mówiono: „umarł zanim zdążył upaść”. Rewolwerowa reputacja Hickoka podskoczyła jeszcze wyżej, uważano go za pierwszego „gunmana” Zachodu.

Ale zrazu nie wszyscy o tym wiedzieli. Ci, którzy nie wiedzieli i stawali mu na drodze, odchodzili ze świata z piorunującą szybkością, jak pewien szuler w kasynie w Julesberg (Colorado) i trzech zabijaków w Jefferson County (Missouri). W końcu dowiedzieli się wszyscy i od tej pory wszędzie, gdzie się pojawił, robiło się spokojnie. Stał się najwyższym autorytetem w sztuce posługiwania się bronią, „jego słowo było prawem”. Pilnowanie prawa wznowił w żyjącym bezprawiem Hays City (Kansas). Gdy przyjął tam posadę szeryfa, modne stało się wjeżdżanie do tego miasta bez broni, żeby nie kusić licha. Bill Mulvey zlekceważył ten dobry zwyczaj i popełnił w ten sposób ostatnie głupstwo w swoim życiu. Trudno powiedzieć, którym był numerem na „czarnej liście” Hickoka. Podobno Wild Bill miał 27 nacięć na kolbach swoich spluw.

Nasz bohater nie zabawił długo w Hays City, bo w ogóle nie lubił wrastać korzeniami gdziekolwiek - nudził się równie szybko jak strzelał. Zaciągnął się do „show-businessu” i zawędrował z przedstawieniem aż do wodospadów Niagary, zakochał się w cyrkówce Agnes Lake (poślubił ją później), a w kwietniu 1871 roku znowu założył gwiazdę szeryfa w straszliwie

niespokojnym Abilene (Kansas). Chciał tam również narzucić obyczaj nienoszenia broni, co nie podobało się niejakiemu Tomowi Smithowi tak długo, aż wyszły mu na spotkanie dwie kule z rewolweru Hickoka.

A potem zrobiło się smutno. Wild Bill wszedł w zatarg z szulerem z Teksasu, Philem Coe, współwłaścicielem saloonu. Drażnił Hickoka pornograficzny znak wiszący nad tym przybytkiem, więc rozkazał usunąć ów „herb”, a kiedy nie usłuchano, zestrzelił go. Nocą doszło do dintojry. Szeryfowi pomagał przyjaciel, Mike Williams. Rozdzielili się. Hickok pierwszy natrafił na Coe'a i zabił go. Nagle usłyszał, że ktoś biegnie ulicą w jego kierunku. Sądząc, że to kompan szulera, strzelił, znowu celnie. Podszedł do trupa i ujrzał z przerażeniem, że przez pomyłkę zastrzelił druha. Oczy wypełniły mu się łzami i to właśnie one, oczy, były winne. Nikt jeszcze nie wiedział, że największy z „gunslingerów” zaczyna ślepnąć.

Leczył swoją jaskrę w Cheyenne, lecz to niewiele pomogło. Był jednak wciąż na tyle sprawny, że w latach 1872-74 mógł popisywać się celnością rewolweru w najślawniejszym na Dzikim Zachodzie cyrku Buffalo Billa. Przestrzeliwał z łatwością przedmioty rzucane w powietrze, a „jego spluwy trzaskały z regularnością zegarka” (opinia naocznego świadka). Nie zrobił na tym majątku. Kiedy dowiedział się, że majątki robi się w Deadwood, napisał do żony, iż wyrusza kopać złoto i pojawił się w mieście w czerwcu 1876 roku. 2 sierpnia siedział jak zwykle z kartami w ręku przy stoliku w „Saloonie numer 10”. Nagle za plecami stanął mu pijany obibok, Jack McCall, i wrzeszcząc: „Masz, ty cholerny parszywcu!” opróżnił bębenek. Pierwsza kula przeszła przez głowę Hickoka i utkwiała w ramieniu jednego z jego partnerów, inne przebiły oparcie krzesła.

Dlaczego McCall zabił Wild Billa? Może mścił się za kogoś. A może - i to jest najbardziej prawdopodobne - zagrał w popularną wówczas na Dzikim Zachodzie grę o sławę. Zabijało się, żeby być „facetem, który zabił asa” a potem znowu, by przelicytować tę chwałę i stać się „facetem, który zabił faceta, który zabił asa” i tak dalej. Ale w tym przypadku gra nie rozwinęła się - McCalla powieszono w Custer City.

Dzisiaj urządza się co wieczór na ulicach Deadwood (punktualnie o dwudziestej) „show” dla turystów: „Chwytnie, sążenie i tracenie McCalla”. Wzięliśmy w tym cyrku udział.

Płakała po Wild Billu Hickoku tylko jedna osoba w Deadwood, kobieta należąca do tych nielicznych - było ich zaledwie kilkanaście - ...jak je nazwać? ... Po polsku brzmi to tak niezręcznie: bandytki, rewolwerówki? W każdym razie była ona „Hickokiem w spódnicy”, ale i to nieprawda, bo nosiła spodnie, za to strzelała zupełnie nieźle.

Kobiety „gunmanów” Old Westu - cóż za temat! Muzy szalonych desperados, przemierzające przy ich boku szlaki zbrodni, pustynie Arizony i górskie

przełęczce, gotujące im strawę w starych traperskich szałasach i ścielące koce do spania pod baldachimami z gwiazd, jeżdżące konno z wprawą kowbojów, pomagające rabować dyliżanse i pociągi, i ocalające swą kobiecość tam, gdzie dawno już zaginęło człowieczeństwo. Annie „Cattle Annie” McDougal („Końska Ania”), „Big Nose Kate” Fisher („Kasia Wielki Nos”, kochanka Doca Hollidaya), Antonia Molinera, żona najbardziej klasycznego z meksykańskich desperados, Joaquina Murietty, Jennie „Little Britches” Stevens, Kitty Arnold i inne, w większości niezbyt ładne. Tylko dwie z nich były pięknosciami, tajemnicza „Rose of Cimarron” („Cymeryjska Róża”), o której prawie nic nie wiadomo, tyle tylko, że była kochanką „Bitter Creek” Newcombe’a, oraz nie mniej tajemnicza towarzysząca Kida Sundance’a, Etta Place, która - zanim go poznała - była nauczycielką w Denver, a po śmierci Sundance’a w Boliwii zmieniła nazwisko i zniknęła z kart historii. Przedstawicielki dawno podbitego plemienia, które u boku ludzi terroryzujących społeczeństwo szukały swego szczęścia i odwetu...

Dwie z tych żeńskich „outlaws” stały na czele rozbójniczych szajek i przeszły do legendy Dzikiego Zachodu jako mistrzynie rewolweru. Sławna, pochodząca z dobrej rodziny i gruntownie wykształcona Myra Belle Shirley („Montana Belle”), kochanka wielu głośnych opryszków - napadała na banki i dyliżanse. Zawodowi łowcy nagród wychodzili ze skóry, by ją dopaść, albowiem jej cena gończa była wprost horrendalna: 10 tysięcy dolarów w złocie! Została zabita w tajemniczych okolicznościach, w roku 1889, prawdopodobnie przez własnego syna.

Jeszcze większą sławę zyskała sobie Martha Jane Canarray-Burke, znana jako „Calamity Jane” („Jaśka-Dopust Boży”, ściślej: „Jaśka Nieszczęście”, od tego, że nieszczęście było udziałem osobników stających na jej drodze). Ubierała się po męsku, toteż ci, którzy jej nie znali, brali ją za niebezpiecznego rewolwerowca i (wyjawszy płęć) mieli rację. Kiedy w roku 1875 służyła jako „scout” w penetrującej Góry Czarne armii generała Crooka, pewien pułkownik doznał szoku ujrawszy ją kąpiącą się w strumieniu bez żenady i bez łaszków razem z kolegami. Konwojowała dyliżanse i napadała na nie wielokrotnie, bo tak samo jak Hickok nie lubiła monotonii. Piła jak smok. Pluła sokiem tytoniowym na sukienki aktorek w teatrze. Widywano ją i respektowano w saloonach o tak zaszarganej opinii, że porządni obywatele omijali je z daleka. Ale kiedy w Deadwood wybuchła epidemia czarnej ospy i porządni obywatele zostali bez żadnej pomocy - „Jaśka-Dopust Boży” była jedyną osobą, która ulitowała się nad nimi i niosła im pomoc w nieszczęściu: wędrowała od domu do domu jako pielęgniarka, za zwykle „dziękuję”. Miała złote serce i saloon w Deadwood, przez który złoto przepływało jak rzeka. Serce było nie mniej pojemne od saloonu, brała sobie licznych kochanków (m.in. „Arkansas Tom” Daugherty). Ale należało tylko do jednego. Do Wild Billa Hickoka.

Mieli ze sobą romans. Po śmierci arcyministra rewolweru Jane długo

rozpaczała, a swą córeczkę przedstawiała jako dziecko Hickoka, chociaż w rzeczywistości tatusiem był porucznik Summers. Przeżyła Wild Billa o 27 lat. Zmarła (1903) w hotelu w Terry (koło Deadwood), ledwie przekroczywszy pięćdziesiątkę, a jej ostatnim życzeniem było, żeby ją pochowano obok Hickoka. Mieszkańcy Deadwood, pamiętając poświęcenie Jane podczas zarazy, spełnili tę prośbę. Do dzisiaj dwa okazałe i świetnie utrzymane grobowce z kamieni polnych sąsiadują ze sobą w cieniu wysokich drzew na deadwoodzkim Mount Moriah Cemetery.

Na grobie Hickoka trudno zachować epitafia i ozdoby, bo wszystko znika. Biust wyrzeźbiony przez Korczaka Ziółkowskiego i stojący dzisiaj na wysokim postumencie w centrum miasta, jest trzecim w kolejności. Pierwszy, z roku 1891 (dzieło Riordana) i drugi (Alvina Smitha) wykonany w roku 1902 z piaskowca z Black Hills - stanęły na grobie i ulotniły się. Ulatniały się kolejne plakietki i nawet potężny, czarny blok kamienny z napisem „J. B. Hickok Dead Aug. 2, 1876” wyfrunął któreś nocy w 1964 roku do kolekcji jakiegoś wielbiciela Wild Billa.

Dzisiaj Hickok jest królem Deadwood, a „Calamity Jane” jedną z dwóch królowych. Widać to we wszystkich tych udrapowanych na „bandycko-kowbojsko” saloonach, w których piliśmy. Wszędzie portrety i oldwestowe „ikonostasy” poświęcone tej trójce, którą otacza się nabożnym kultem, bo to napędza turystów. Ale wówczas, w XIX wieku, prawdziwym władcą była ta trzecia, która dzisiaj w Wax Museum jest bohaterką „żywego obrazu” sąsiadującego z woskowym przedstawieniem śmierci Wild Billa. W obu tych scenach centralne miejsca zajmują stoły dźwigające pokera. Ta kobieta trzyma cygaro w zębach i tasuje karty szulerską metodą. Hickok, za którego plecami czai się McCall, wykłada karty na blat. Czarne asy i ósemki - „full”, którego od tej pory w Ameryce nazywa się „śmiertelnym układem kart” („Dead Man’s Hand”) czyli „Kartą śmierci” (w amerykańskim pokerze, gdzie na początku odkrywa się cztery karty, Hickok miał odkryte dwie ósemki i dwa asy - taką właśnie sytuację nazywa się w USA „Kartą śmierci”; dla Europejczyków decydująca jest tu piąta karta, dzięki której powstaje „full”). Obok, przy barze, stoi bezradna „Calamity Jane” - Jaśka nomen omen Dopust Boży.

Poker, który został wynaleziony przez czterech jankesów (Templar, Florence, Keller i Schenck) i w którym Amerykanie wciąż są wirtuozami (ostatnie mistrzostwa świata w pokerze wygrał, zagarniając 210 tysięcy dolarów 27-letni Amerykanin Bobby Baldwin, zaś mistrzostwa świata pań 24-letnia Amerykanka Terry Windham), był religią tamtego Deadwood, stał się drugą - obok złotej - gorączką miasta. Monarchą więc nie mógł być ślepnący mistrz rewolweru, lecz jedynie mistrz pokera. Okazała się nim kobieta, której imię znacie wszyscy doskonale, bo już wiecie, że była to Kraina Czarów.

Alicja Ivers-Tubbs urodziła się w roku 1851 w domu angielskiego

nauczyciela. Kiedy jej mąż, inżynier, którego poznała w salonie gry, zginął podczas katastrofy górniczej w Ameryce, sama zaczęła zarabiać na życie kartami. Nie było to nic wyróżniającego, na Dzikim Zachodzie grało wiele kobiet (istniała specjalna profesja dziewczyn hazardujących sobą - w grze stawiały one swoje ciało jako równowartość stawki, która zależała od ich urody). Alicja wyróżniła się czymś innym: doszła w szulerce do takiej perfekcji, że nie mógł się z nią równać żaden gracz między Atlantykiem a Pacyfikiem. Ścierała sobie palce nieomal do krwi, by uczynić je bardziej wrażliwymi i wyczuwać nieznaczne szulerskie zgrubienia kart. Zanim na starość popadła w dewocję, ograła tysiące żółtodziobów i zawodowców. Nazywano ją: „Poker Alice” („Pokerowa Alicja”) i pod tym nazwiskiem przeszła do historii.

Najczęściej widywano „Poker Alice” w deadwoodzkim saloonie, sławnym Gala Dance Hall, rozpartą niedbale w wojskowym kapeluszu z szerokim rondem i w koszuli koloru khaki, z nieodłącznym cygarem w ustach (cygara były jej drugą, obok pokera, namiętnością), żonglującą kartami „z nieludzką wprawą”. Taką ją przedstawiono w Western Heritage Wax Museum, w „żywym obrazie”, w którym dla uautentycznienia atmosfery pomieszczono oryginalny, stuletni fortepian Steinwaya.

Zmarła w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat i została pochowana w Sturgis, kilkanaście kilometrów od Deadwood. Pamiętano w Dakocie Południowej dobre uczynki i dotacje filantropijne, którymi szastała pod koniec swego życia. Miała za co uprawiać dobroczynność, wreszcie tak długo ogrywała stolicę „Stu Najbogatszych Mil Kwadratowych Świata”, że mogła sobie odlać z tego złota nie jedną, lecz co najmniej dziesięć koron.

Dobiegamy końca tej opowieści, czas już powrócić spoza lustra do Krainy Realiów, która jest nieustającym pokerem. Ci z Was, którzy nie lubią gier hazardowych, stwierdzą zapewne, że nie należało bezcześcić Alicji z książeczki dla dzieci przeflancowywaniem jej w lichej metaforze do historii bandytów i oszustów karcianych tylko dlatego, że przez przypadek „królowa pokera” alias królowa Deadwood nosiła to samo imię. Protestujecie, prawda? Protestujecie w imieniu Lewisa Carrolla, bo on nie może wstać z grobu i bronić swojej książki. Protestujcie sobie, protestujcie przeciw wszystkiemu. Ale czy znacie ją dobrze, tę książkę, pamiętacie słowa Alicji?

„A któż się z wami liczy - powiedziała Alicja, która osiągnęła w tej chwili swój zwykły wzrost. - Jesteście tylko zwykłą talią kart!” (tłum. Macieja Słomczyńskiego).





ETAP VI

Pobudka o 7³⁰. Zdjęcia i szybkie zakupy w „kowbojskich” sklepach Deadwood. Wysokie westernowe buty i kapelusze. Ja aż trzy: „kowbojski” roboczy z pięknej brązowej skóry, biały filcowy stetson (wyjściowy) oraz indiański z czarnego filcu (z kolorowym otokiem). Ale nie będziemy robić sobie zdjęć w oldwestowych łąkach, w sąsiadującym z hotelem „Fairmont” starym „Saloonie numer 10”, który zamieniono na salon fotograficzny dla turystów chcących się „zdjąć” à la Wild Bill Hickok, bo każdy cyrk musi mieć swoje granice. I dość już oglądania historii z wosku, bo człowiek sam się zaczyna czuć woskowy i ma rację. W Nowym Jorku rzeźbiarz Hanson poutykał w galerii woskowych (plus trochę włókna szklanego) ludzi i osiągnął mały sukces, gdyż w kłębiącym się tłumie publiczność nie odróżniała manekinów od zwiedzających. Duży sukces osiągnęłoby wówczas, gdyby oni uświadomili sobie, że wszyscy jesteśmy turystami na tym świecie, w którym manekiny nie odróżniają od siebie nielicznych naprawdę żywych - pewnie o to mu szło. Ale kto by się tym przejmował, artyści zawsze mieli głupie pomysły...

O 9³⁰ przez Spearfish wylatujemy ponownie na interstate nr 90, o 10¹⁰ mijamy granicę dwóch stanów. Nasz piąty stan - Wyoming. W radio miętka, usypiająca melodia: *The shadow of Your smile*, drze wspomnienia.

Już nie patyczkujemy się - świat jest piękny przy szybkości 140 km/godz. Inne wozy jakby stały w miejscu. Sundance (tu siedział po raz pierwszy Sundance Kid), Moorcroft, rzeka Belle Fourche, Rozet, Gillette, Rzeka Prochowa (Powder River) i jej dopływ, Rzeka Szalonej Kobiety (Crazy Woman River). Żenić proch z szaloną damą to już przesada, chyba że chodzi o wysadzenie w powietrze. Uuuff, słońce odbiera rozum!

A teraz właśnie tego rozumku potrzeba, bo zbliżamy się do Buffalo i musimy podjąć decyzję. Albo na południe, do stanu Utah, albo - tak jak było w planie - na północ, do Montany, i dopiero w Yellowstone skręt na południe. To jest ciężka decyzja. Z jednej strony mamy takie opóźnienie, iż coś trzeba wyrzucić z planu, nie „wyrobimy się” bez względu na to, z jaką szybkością będziemy szorować po autostradach. Z drugiej jednak strony, natychmiastowy skręt na południe okradłby nas z Lekarskiego Koła w Górach Wielkiego Rogu i z pola bitwy nad Rzeką Wielkiego Małego Rogu. Rzucamy monetą - niech los zadecyduje! Orzeł to rezygnacja, reszka to skręt w prawo, do Lekarskiego Koła. Wychodzi orzeł, musimy zrezygnować. Wsiadamy do wozu bez słowa, wiedząc już, co należy zrobić - gnamy dalej dziewięćdziesiątką na północ! Los dostał kopniaka, wpadł do rowu i zniknął nam za zakrętem z oczu i z myśli.

Za Sheridan, bodajże w Ranchester, zjeżdżamy z dziewięćdziesiątki na

stanowy highway nr 14 i przez Dayton pakujemy się w wielki las (Big Horn National Forest). Gdzieś w jego środku zeskakujemy na fatalną boczną szosę nr 14^a i będziemy się pięć mozolnie pod górę, w kierunku jeziora Bighorn, by w końcu dotrzeć drogami służby leśnej na rozległy płaskowyż na skraju Big Horn Mountains, ozdobiony jedną z najosobliwszych rzeczy pod słońcem. „Medicine-wheel”! Lekarskie Koło.

U Indian „medicine-man” znaczyło: szaman plemienny, mag, czarownik. A więc także: Szamańskie Koło alias Magiczne Koło lub Koło Czarnoksiężskie. Ułożone na trawie z mniejszych i większych kamieni, jest trochę nieregularne. Ma niespełna 25 metrów średnicy, 6 okrągłych małych kółek (w formie kopczyków o wysokości około 70 centymetrów) po zewnętrznej stronie obwodu, jakby rączek steru, a w centrum „piastę” (większy okrągły kopczyk o 3,5 metrowej średnicy), od którego rozchodzi się do „obręczy” 28 „szprych”. Egzystuje tu od bardzo dawna. Archeologowie nie są zgodni co do daty, ale jest pewne, że pojawiło się na wzgórzu przed kilkoma tysiącami lat. Starzy Indianie z plemienia Crow, do którego należały Big Horn Peaks, mówią, że ich praojcowie przywędrowawszy na ten teren, zastali już koło. Nie mają pojęcia, do czego mogło służyć. O wiele więcej wiedzą Siuksowie...

Erich von Däniken, sławny Szwajcar, obrońca hipotezy o odwiedzinach na naszej planecie i ingerencji na niej gości z kosmosu (kosmitów), uczynił z Szamańskiego Koła kamyczek w mozaice owej hipotezy. Ona się porusza właśnie na takich, mocniejszych i słabszych kołach. Co prawda, wielu uczonych mężów wrzeszczy na ten pojazd nie przebierając w słowach, ale trawestując stare powiedzonko: „Psy szczekają, a karetka jedzie dalej”.

Zaprzyjaźniliśmy się, kiedy wziąłem go w publiczną obronę (na łamach prasy) przed kilkoma zawziętymi krytykami. Pierwsze nasze spotkanie miało miejsce w telewizji. Zaproszono mnie, jako historyka sztuki i architekta - przedstawiciela Instytutu Podstaw Rozwoju Architektury Politechniki Warszawskiej, na dyskusję między nim a specjalistami różnych branż. Czekaliśmy w gromadzie na spóźniającego się gwiazdora. Nagle, z głębi przepastnego korytarza dobiegł nas tupot butów i ryk: „Wo ist der Łysiak?!... Wo ist der Łysiak?”. I ukazał się Däniken. Regularnie ze sobą korespondujemy, dyskutując podnoszone przez niego sprawy, relacjonuje mi swoje podróże i badania, przysyła sygnałne egzemplarze swoich książek, zaprasza na kongresy AAS (Ancient Astronaut Society - Stowarzyszenie Antycznej Astronautyki), którego członkiem jestem z jego inicjatywy.

Zaraz po przyjeździe do Chicago pojechałem do pobliskiego Park Ridge, gdzie przy Talcott Road mieściła się wtedy siedziba Stowarzyszenia (w roku 1978 przeniesiono ją do Highland Park). W końcu jak się jest członkiem „firmy”, to wypada przynajmniej raz postawić w niej nogę. Dänikena tam nie zastałem, bo i on też rzadko w „firmie” bywa, a poza tym bezpośrednio po

kongresie AAS w Rio de Janeiro (czerwiec 1977) pojechał w dżunglę Ameryki Południowej szukać dalszych dowodów (jego najnowsza książka nosi tytuł *Beweise* czyli *Dowody*) na poparcie swych twierdzeń. Przedtem jednak poradził mi, bym wędrując po Stanach dotknął tajemniczego koła w Wyoming. Zaś w budynku przy Talcott Road 600 pokazano mi list przeznaczony do opublikowania w najbliższej, wrześnieowej wersji angielskojęzycznej „Ancient Skies”, list, który - co za niezwykle zbieg okoliczności! - właśnie napłynął do siedziby Stowarzyszenia z miejscowości Komo w stanie Indiania. Autor tego listu, dr Ronald P. Anjard, relacjonował indiańską opowieść o znajdującym się w stanie Wyoming „Medicine-wheel”...



Wiele Księżyców temu, za najdawniejszych ojców, wielkie koło spłynęło z nieba. Z jego boków buchały oślepiające płomienie, a na jego szczycie lśniły gwiazdy. Nim osiadło na wierzchołku szamańskiej góry, dał się słyszeć grzmot wielu wiatrów. Ludzie z wioski uciekli przerażeni. Potem z szybkością spłoszonego ptaka koło uniosło się, zniknęło i nikt go już więcej nie zobaczył. Ludzie wrócili do swoich opuszczonych tepee i ułożyli kamienie na wzór kształtu tego koła.

Przekazana przez Anjarda indiańska legenda na temat powstania Magicznego Koła w Wyoming.

HARFA TRUBADURA KOSMITÓW

Kiedy tak stoję obok bielejących kamieni „Medicine-wheel”, przypominają mi się zaciekle boje prasowe, które toczyłem w obronie Dänikena (wszechświatowego lidera teorii o wizytowaniu Ziemi w zamierzchłej przeszłości przez kosmitów) przeciw naukowcom nienawidzącym go za tę hipotezę i jeszcze bardziej za to, że głosi ją bezprawnie, bo nie ma tytułów naukowych. Kilkanaście dużych artykułów w kilku pismach. Strzelałem rakietami międzykontynentalnymi (m. in. w dwóch amerykańskich uczonych, profesorów Carla Sagana i Ronalda N. Bracewella), ale najczęściej rzecz prosta stawałem w ringu przeciw rodzimym wrogom Ericha; także bezpośrednio, podczas „legendarnej” już dzisiaj w Polsce dyskusji w redakcji tygodnika „Kultura” (opublikowanej następnie pod tytułem *Däniken i uczeni*). Zarzucono go tam, zamiast kontrargumentami naukowymi, stekiem wulgarnych wyzwisk wykrzykiwanych „expressis verbis”, czemu jako jedyny - a zostałem zaproszony na tę „dyskusję” również jako uczoney, z tytułem doktorskim w kieszeni - przeciwstawiłem się z całą pasją, na jaką mnie było stać, gdyż wcześniej nauczono mnie innych reguł polemiki³.

³ Po powrocie do Szwajcarii Däniken napisał do ranie list zaczynający się od słów: *Czuję się w obowiązku podziękować ci tym listem za pomoc, jakiej mi udzieliłeś podczas mojego pobytu w Polsce. Zwłaszcza zaś za twoje interwencje podczas wizyty w „Kulturze”, gdzie znajdowali się sami ludzie, którzy z góry wszystko wiedzą lepiej.*

W tej samej „Kulturze”, w dużym, poświęconym mojej osobie artykule pod tytułem: *Ich człowiek w Warszawie*, zostałem przedstawiony jako agent kosmitów na Polskę i klakier Dänikena. Czy mu rzeczywiście klakieruję? Prawda wygląda tak, że moja przyjaźń z Erichem nie zmienia tego podstawowego faktu, iż (o czym on dobrze wie) nie obchodzi mnie zbytnio czy Däniken ma rację, czy też nie. Idzie o coś zupełnie innego. Kiedy słyszę co dzień ze wszystkich głośników, że w tym a tym kwartale wyprodukowano tyle a tyle obrabiarek, sam zaczynam się czuć obrabiarką. Żyjemy w epoce straszliwie pragmatycznej. Ta epoka - w przeciwieństwie do minionych - znalazła lekarstwa na wiele chorób, natomiast choruje na dolegliwość największą: na brak mitu. I oto pojawia się człowiek, który taki wielki, romantyczny mit sprzedaje nam, budząc jednocześnie zainteresowanie ludzi archeologią, historią sztuki i dziejami naszego gatunku w ogóle. Wybija w ten sposób okno w murze tych naukowych martwych dogmatów, które odebrały społeczeństwu wszelkie zainteresowanie humanizmem. Na tym polega kolosalna wartość jego działania. Dänikenów potrzebujemy właśnie po to, by nie dopuścić do ugrzęźnięcia zbiorowej myśli w tradycyjnych strukturach i ożywić naszą potrzebę poszukiwania, trwałą jak sam ludzki rodzaj!

Mam oto właśnie ochotę raz w życiu pobawić się w takie kosmitologiczne poszukiwanie, biorąc za punkt wyjścia „Medicine-wheel”. Osobliwe myśli przychodzą do głowy, kiedy tak się stoi z przyjacielem na falistym płaskowyżu w stanie Wyoming... Być może kwadraturą koła będą wszystkie moje spekulacje na temat różnych dziwnych kół, takich jak to Magiczne vel Szamańskie vel Lekarskie Koło przypominające koło sterowe, ale cóż mi szkodzi, przecież to zabawa? Zaczynamy!

Koło sterowe z charakterystycznymi szprychami i rączkami na obwodzie, zostało wynalezione dopiero w naszym tysiącleciu, lecz pojawia się ono w wielu reliktach dużo wcześniejszych, a znaczenia tych przekazów nauka jeszcze nie umie wyjaśnić. Rosyjski profesor, Aleksander Kazancew, opisał płaskorzeźbę wykutą w Bistunie, na skrzyżowaniu dróg karawan przemierzających Persję. Widać tam króla Dariusza, któremu twórca świata i ludzi, przyjaciel i obrońca dobra, a wróg kłamstwa, bóg mądrości Ahura-Mazda, pomaga „zgłębić prawdę i istotę”. Ahura-Mazda trzyma w dłoniach „koło sterowe”, co ma symbolizować, że leci! W Muzeum Akademii Sztuk Pięknych w Honolulu znajduje się pochodzący ze starego państwa Yamato (Japonia) rysunek „koła sterowego”, które w ognistej chmurze samo spada na Ziemię, wbrew usiłowaniom złego demona. Takie same koła lądujące na Ziemi zna prawie cała Azja, ich graficzne przedstawienia znajdują się między innymi na prastarej ceramice koreańskiej.

Siuksowie twierdzą, że kamienne koło w Wyoming zbudowali ich praojcowie na pamiątkę koła, które przybyło z nieba w podarunku od Słońca, a także po to,

żeby goście z niebios mogli bez trudu zlokalizować stare lądowisko i powrócić (na tej samej zasadzie tubylcy z wysp Pacyfiku budują modele samolotów, które niegdyś u nich wylądowały). Fragment indiańskiej legendy mówiącej o tym wydarzeniu zacytowałem w motcie. Kończy się ona tak: „Przez wiele następných Księżyców szaman opowiadał o wizycie Matatu Wakana, który przybył z nieba. Przez wiele Księżyców polowania i zbiory udawały się nadzwyczajnie, a wszyscy wierzyli, że to z woli łaskawych bogów”.

Ileż identycznych legend zachowało się na świecie, u wszystkich niemal prymitywnych ludów, tak jakby wszystkie one (jeśli rację mają krytycy Dänikena) chciały sobie z nas zażartować w jednakowy sposób. We wszystkich tych opowieściach występują te same „pojazdy”, „łodzie”, „arki” powietrzne bogów, grzmiące i buchające ogniem. W górach chilijskiej prowincji Talca, gdzie odkryto „El Enladrillado” czyli Szachownicę (dwie ogromne platformy z bloków kamiennych ciętych jak brzytwą, mające w centrach ślady spalenizny, o radioaktywności 0,0124 procent tlenku uranu i o emisji cząsteczek 32,6 na minutę), niepiśmienni tubylcy opowiadają ze szczegółami o „świecących i ryczących pojazdach”, które tam lądowały. To samo robią afrykańscy Dogoni, niepiśmienni spece od ultranowoczesnej balistyki kosmicznej! Przed kilku laty przywieziono do Rio de Janeiro młodą parę dzikich znad Amazonki i pokazywano im oblicze cywilizacji w blasku fleszów dziennikarzy. Wszystko było dla Indian szokujące, oprócz jednej rzeczy, przy której ich reakcja zaszokowała oprowadzających. Gdy pokazano Indianom wystawę „Apollo-11”, zdziwili się jedynie, że znajduje się tam dobrze im znany Bep-Kororoti, który przybył do nich dawno temu i odleciał w pojeździe buchającym płomieniami, takim, jak ten, który widzą, tylko trochę bardziej wydłużonym. Natychmiast zorganizowano wyprawę i okazało się, że szamani plemienni noszą stroje do złudzenia przypominające skafandry kosmiczne, z kulistymi hełmami etc. Starzy członkowie plemienia dobrze pamiętali opowieści przodków o tych odwiedzinach z nieba. Bep-Kororoti posługiwał się „kijem, który pluł ogniem i zabijał”!

W Wyoming Indianie mówili o gwiazdach lśniących na wielkim kole, które u nich wylądowało. Na znanej płaskorzeźbie asyryjskiej, przedstawiającej Gwiezdnego Boga, który naucza ludzi (problem tego nauczania jest tu niesłychanie istotny - stanie się on osią dalszej części naszych rozważań), widać dziwnie ubranego osobnika w kole uformowanym z okrągłych kamieni lub z kul. Na obrzeżu tego koła przypominającego koło sterowe, dokładnie na jego „rączkach”, osadzone są gwiazdy.

Identyczne „Medicine-wheels”, jak to w Wyoming, znaleziono i w innych krajach. Poza USA głównie w Kanadzie (w Moose Mountain, Majorville i Suffield) i w Japonii. Każde z nich ma 28 „szprych” i każde milczy.

Co oznacza to koło z nieba osiadłe pod postacią kamiennej układanki w

różnych punktach globu? Zbyt proste byłoby wierzyć, że to tylko wizerunek pojazdu z kosmosu. Poszukajmy innych koligacji, na przykład dydaktycznych, zasygnalizowanych nam już przez płaskorzeźby z Ahura-Mazdą i z asyryjskim bogiem-nauczycielem.

Jednym z podstawowych elementów mitologii buddyjskiej jest od jej początków Koło Życia, Samsara, będące graficzno-filozoficzną metaforą ludzkiego żywota, alegorycznym symbolem reinkarnacji (narodzin, śmierci i ponownych narodzin w innym wcieleniu) oraz nieustannego obiegu wszelkich zjawisk naszego świata. Nauka Zachodu przez dłuższy czas negowała będące kamieniem węgielnym filozofii Wschodu prawo reinkarnacji (prawo wielokrotnych wcieleń), obecnie jednak, pod naciskiem nader zadziwiających faktów i „zeznań” dokonanych przez ludzi znajdujących się w stanie hipnozy, zajęła się tym problemem na serio. Mnożą się prace naukowe i poważne relacje na ten temat, takie jak książka Anglika Iversona *Czy żyjemy tylko raz?*, w której przedstawione zostały wyniki badań przewodniczącego Brytyjskiego Towarzystwa Hipnoterapeutycznego, dr. Bloxhama, oraz *Reinkarnacja - dwadzieścia poświadczonych przypadków wspomnień z poprzedniego życia*, dzieło amerykańskiego psychiatry, profesora Stevensona, najwybitniejszego obecnie reinkarnacjologa Zachodu.

O buddyjskim Kole Życia dowiadujemy się już ze starożytnej księgi indyjskiej *Divyavadana*. Z treści tego dokumentu wynika, że (cytuję za streszczeniem Caroline A. Foley w „*Journal of the Royal Asiatic Society*” z roku 1894): „Budda nauczył Anandę robić koło dla zobrazowania tego, co inny uczeń, Maudgalyayana, ujrzał podczas wizyty w innych ziemiach (przestrzeniach pozaziemskich)”. Nie tylko *Divyavadana* - w *Ramajanie*, *Mahabharacie* i w kilku innych tekstach staroindyjskich, a także tybetańskich (*Tantjua* i *Kantjua*), znajdują się szokująco dokładne opisy płomienistych maszyn latających, ataków z powietrza raketami i czymś w rodzaju broni laserowej etc. Cytaty z tych tekstów są najmocniejszą stroną najsłabszej, bardzo jeszcze prymitywnej i pełnej błędów (autor sam to przyznaje) pierwszej książki Dänikena.

Wróćmy jednak do *Divyavadany* i Koła Życia. Według zawartej tam filozofii Bóg-Budda ucząc ludzi przekazał im pod postacią mistycznego koła najważniejszą informację o bycie. Jest to logiczne. Bóg nie chciał być nauczycielem szkółki podstawowej i edukować w szczegółach będących następstwem źródłowej zasady, przekazał ją samą. Stał się ofiarodawcą klucza do zrozumienia wszystkiego, pomógł - jak Ahura-Mazda - „zgłębić prawdę i istotę”. Teoria ta w dowcipny sposób koreluje z hipotezą pary Crick-Orgel na temat powstania życia na Ziemi i ze sprawą pewnego antycznego krzyża...

Francis Crick (Ameryka) i Leslie Orgel (Anglia), widząc żenującą słabość wszystkich aktualnie wyznawanych hipotez tłumaczących narodziny życia na planecie Ziemia, powrócili do wyrażonej w początkach naszego stulecia przez

laureata nagrody Nobla, Szweda Arrheniusa, i potem zapomnianej teorii panspermii (przenoszenie życia z jednych ciał niebieskich na drugie za pośrednictwem zarodników). Według hipotezy przedstawionej przez nich w referacie na konferencji w Biurakanie w Armenii w roku 1971 (referat ten został opublikowany w roku 1972 w czasopiśmie „Ikarus” pod tytułem: *Directed Panspermia*, a następnie rozwinięty w roku 1973 w książce *The origins of life*) i popartej przez kierownika katedry fizyki atomowej Uniwersytetu w Budapeszcie, profesora George Marxa, na Kongresie Astronautyki w Lizbonie (1975) i na III Międzynarodowym Kongresie Antycznej Astronautyki w Crikvenicy w Jugosławii (1976): o ile można kwestionować teorię o panspermii naturalnej („zaszczepienie” Ziemi żywymi zarodnikami z kosmosu, przyniesionymi np. przez meteoryty lub dzięki jakiemuś ciśnieniu), gdyż zarodniki nie ostałyby się promieniom X, o tyle nie można odrzucić zdecydowanie możliwości panspermii sztucznej, czyli kierowanej (przyniesienie zarodników w wysłanym celowo przez jakąś cywilizację pojemniku bądź pojeździe kosmicznym odpornym na te promienie).

To właśnie Crick wraz z Watsonem i Wilkinsonem rozszyfrowali budowę będącego siedliskiem kodu genetycznego kwasu dezoksyrybonukleinowego (DNA), za co otrzymali Nobla. Kod genetyczny jest taki sam we wszystkich przejawach życia na Ziemi, tak u roślin, jak i u zwierząt. Tę identyczność, której nauka nie jest w stanie inaczej wytłumaczyć, „posiew kosmosu” tłumaczy wcale niegłupio. Bez względu na to, jak ich nazwiemy, bogami czy kosmitami - ci, którzy chcieli zaszcześcić życie na Ziemi, a także pomóc „zgłębić prawdę i istotę”, cóż innego mogli wybrać, jak nie kwasy nukleinowe (DNA i RNA), najważniejszy element żywej materii, bezpośrednio zaangażowany w przekazywanie cech dziedzicznych, zawierający zarówno kod biochemiczny, jak i przekaz intelektualny.

Idźmy dalej, wracając do etapu nauki przekazywanej przez Boga w symbolu graficznym. W buddyzmie jest to koło - Koło Życia. Natomiast w chrystianizmie (notabene w Nowym Testamencie jest mowa o kole życia w liście św. Jakuba) symbolem stał się krzyż, według apostołów święty znak od Boga. Otóż kiedy profesor Waław Gajewski, nawiązując do odkryć i ustaleń pary Crick-Orgel, opublikował w „Problemach” (nr 7 z roku 1975), w artykule Kod genetyczny a ewolucja, graficzny obraz cząsteczki RNA (kwasu rybonukleinowego, który pośredniczy między DNA a tworzącym się białkiem), to okazało się, że ma on kształt krzyża. Kiedy się patrzy na ten krzyż z kołami na krańcach ramion i u góry, to przypomina on przedchrześcijański, staroegipski krzyż zwany „anch”, który był amuletem i praojcem wszystkich znanych nam krzyży. A jak podaje inny Polak, dr Waław Korabiewicz, w swej znakomitej pracy *Śladami amuletu*, słowo „anch” znaczy: klucz życia! W sztuce egipskiej motyw boga

ofiarowującego „anch” faraonowi (po raz kolejny spotykamy się tu z podarunkiem od boga) był dość popularny. Wiem oczywiście, że podobieństwo „ancha” do graficznego obrazu RNA jest być może przypadkowe, gdyż wzór chemiczny można przedstawić graficznie w różny sposób, ale czyż wcześniej nie wspomniałem, że się przez cały czas bawię? Ja po prostu układam bajkowy zamek ze znalezionych klocków.

Tak więc buddyjskim „kluczem życia” było Koło Życia (dzisiaj jest ono godłem Sikkimu i znajduje się na fladze tego himalajskiego państwa, przy czym na obwodzie ma rączki, niczym koło sterowe!), w chrześcijaństwie zaś krzyż. Jeden z najstarszych krzyży chrześcijańskich, znany swego czasu w Europie, Afryce, Azji i Ameryce Północnej krzyż świętego Pachomiusza (mnicha, który żył w Egipcie i tam założył w IV wieku pierwszy klasztor cenobitów), był często wpisywany w pętlę „ancha” i - rzecz oczywista - rozpowszechnił się najbardziej w Afryce Północno-Wschodniej, tam, gdzie wcześniej egzystował staroegipski „anch”. Wcale nie twierdzę, że kapłani staroegipscy znali tajemnicę DNA i RNA, ale nikt o zdrowym umyśle nie może przysiąc, że nie znali, gdyż wszyscy, którzy mają olej w głowie, mają też pojęcie o niesłychanej wiedzy tych ludzi, genialnych w magii, chemii, astronomii, matematyce, medycynie *et consortes*. Julian Ochorowicz w swej *Wiedzy tajemnej w Egipcie* i inni dowiedli tego bezspornie za pomocą tych tylko strzępów prawdy, które przedarły się przez wieki do naszych szuflad. Wystarczy. Do starożytnego Egiptu jeszcze wrócimy, na razie zaś wróćmy ostatni raz do *Divyavadany*.

Jeśli wspomniane w *Divyavadanie* Koło Życia, przedstawiane zawsze w rękach demona (nic dziwnego - przyjrzyjcie się światu), który trzyma je niczym koło sterowe (jest podobne do koła sterowego równie jak „Medicine-wheel”), zawiera prawdę, to jest jeśli reinkarnacja istnieje i wszystko się powtarza na kole wszechświata, wszystko, co było, będzie ponownie - to tytuł pierwszej książki Dänikena, *Wspomnienia z przyszłości*, jest mądrzejszy niż on sam przypuszcza.

Znamy chińskie, japońskie i hinduskie graficzne wyobrażenia Koła Życia, bardzo do siebie podobne, a wszystkie najbardziej podobne do tybetańskich. Tybet. Tam się rozstrzygało najczęściej. Nie ma skrawka Ziemi bardziej tajemniczego, pełnego owych dziwnych mnichów dokonujących prawdziwych cudów z materią i energią swoich ciał (teleportacja). Tybet - legendarne królestwo niewiarygodności, sezam tysiąca zagadek - otworzony, mógłby opowiedzieć więcej niż wszystkie książki Dänikena i jego przeciwników.

Maudgalyayana odbył podróż do „innych ziem” - przestrzeni pozaziemskich, z których przywiózł „prawdę i istotę”, informację zamkniętą później przez Anandę w Kole Życia. Tak mówi *Divyavadana*. Od wieków natomiast słyszało się w Azji i w Europie o tybetańskiej świątyni Sing-Nu, w której znajduje się „kamień z Księżyca”. Ostatnim Europejczykiem, który widział kamień (w roku

1725) był francuski misjonarz Duparc. Tym śladem wyruszyła w roku 1952 ekspedycja radzieckich naukowców. Mnisi udostępniili im opis piramidalnej pagody, w której pierwsze piętro symbolizowało epokę dotarcia przez ludzi do bliskich gwiazd („Stara Ziemia”), drugie przebycia tych gwiazd („Ziemia Środka”), trzecie zaś „Nową Ziemię” - świat gwiazd dalekich. Opisy podróży kosmicznych przez kolejne przestrzenie pozaziemskie wstrząsnęły uczonymi. Nic dziwnego, że kilku naukowców radzieckich jest zwolennikami hipotez Dänikena. Ich zatwierdzone przez Akademię Nauk ZSRR referaty były sensacją na kongresie AAS w Crikvenicy (m.in. profesor I. S. Lisjewicz podał informację o „synach nieba”, Huanie-ti i jego towarzyszach, którzy, według podań starochińskich, przybyli na naszą planetę z gwiazdozbioru Sian-kan i tam też powrócili. Notabene swego czasu pekiński naukowiec, Tsi-Pen-Lao, opisał znaleziska w górach Hu-nan i na wyspie jeziora Tong-ting: płaskorzeźby przedstawiające humanoidalne stwory w skafandrach i dziwną aparaturę, w tym pojazdy unoszące owych kosmitów w powietrze).

Z materiału opublikowanego w roku 1965 w „Sputniku” (autorem był radziecki uczone, profesor Zajcew) wiemy, że w roku 1938 grupa archeologów chińskich znalazła w ozdobionych wizerunkami ludzi w skafandrach, pieczarach gór Bayan-Kara-Uła (pogranicze Tybetu i Chin Centralnych) ponad siedemset quasi-kamiennych (nie znany nauce materiał o dużej zawartości kobaltu) kół, a właściwie kręgów z otworami pośrodku. Od każdego otworu biegła spiralnie podwójna bruzda z hieroglifami. Tekst, odczytany dopiero w roku 1962 przez profesora Czum-Um-Nui, okazał się tak sensacyjny, że Pekijska Akademia Prehistorii zakazała jego ujawniania. Jednakże „przeciuki” pozwoliły Zajcewowi podać, iż ze wspomnianych „płyt gramofonowych z Tybetu”, notabene o wysokim ładunku elektrostatycznym i zróżnicowanym naboju na powierzchniach, wyczytano, że przed dwustoma tysiącami lat grupa istot rozumnych przybyła na trzecią planetę Układu Słonecznego (Ziemia), wylądowała w Pamirze i nie mając możliwości powrotu zniszczyła swe statki kosmiczne, a następnie została wymordowana przez tubylców. W masywie Bayan-Kara-Uła ludność opowiada o małych istotach z ogromnymi głowami, które dawno, dawno temu spadły z nieba i zostały eksterminowane. Profesor Czi-Pu-Tei i jego archeolodzy znaleźli w roku 1938 szkielety takich istot (antropolodzy w żaden sposób nie mogli wyjaśnić ich pochodzenia) leżące obok owych kół z rowkowym zapisem...

Stare legendy i opowieści tubylców z kilku kontynentów. Czy można je gromadnie zlekceważyć? A przekazy starożytnych kapłanów, jak ów Babilończyka Beroesa o niezwykłych „nieziemskich istotach”? A Biblia, która według wielu jest też zbiorem antycznych legend? W Crikvenicy naukowcy-technicy (m.in. amerykański uczone, profesor Pasqual S. Schievella) twierdzili, posługując się konkretami, że Biblia wyglądałaby zupełnie inaczej,

gdyby jej tłumacze byli inżynierami albo mieli przynajmniej kulturę techniczną. Fakt, tłumaczeniem można nieźle pokieroszować historię. Na konferencji poświęconej przekładom literackim, zorganizowanej przez amerykański Pen-Club, prezes amerykańskiego związku tłumaczy, Dale S. Cunningham, poinformował, iż w odpowiedzi japońskiej na ultimatum aliantów, wystosowanej pod koniec II wojny światowej, znalazło się słowo, które można było przetłumaczyć w dwojaki sposób. Tłumacz wybrał wyrażenie, które zamknęło drzwi do wszelkich dalszych rokowań i rzucono pierwsze bomby atomowe.

Czymś, co antydänikenowcy najskwapliwiej przemilczają, prawdziwą dla nich katastrofą, jest bardzo podobne w rysunku do Szamańskiego Koła tzw. Koło Blumricha, opatentowane w kilkudziesięciu krajach. Amerykanin Joseph F. Blumrich, kierownik działu konstrukcji rakiet nośnych w NASA (współprojektant rakiety Saturn), po raz pierwszy zetknął się z problemami paleoastronautyki w roku 1970, czytając *Wspomnienia z przyszłości*. Stał się wówczas zaciekle wrogiem Szwajcara i chcąc obalić jego twierdzenia wczytał się w Biblię, po czym... skonstruował, opierając się wyłącznie na biblijnym przekazie o spotkaniu proroka-kapłana Ezechiela z kosmitami (istotami „błyszczącymi jak gładzony spiż” i przybyłymi na Ziemię w „ognistym pojeździe”, który „zionął dymem spomiędzy kół”), mogące poruszać się we wszystkie strony „koło w kole”, zwane dzisiaj „latającym kołem przyszłości”. W kole tym, o którym Biblia mówi: „roboty jego, jakoby było koło w pośrodku koła, a mając iść, na cztery strony swoje chodziło”, podstawowy krąg sunie tradycyjnie do przodu lub tyłu, usytuowane zaś na obwodzie mniejsze koła w postaci wałków pozwalają całości poruszać się poprzecznie. Plan tego układu mamy właśnie z Jarkiem na odległość wyciągniętej ręki, ułożony z kamieni. Może przez tego, kto chciał sprezentować Ziemianom wynalazek superkoła? Może, może, może!

Jeśli nawet Däniken interpretuje zabytki i stare przekazy niewłaściwie, to czy zadziwiające wynalazki dokonywane na ich podstawie nie krzyczą jakiejś prawdy, której nie da się zagłuszyć najcięższymi obelgami? „Koło Blumricha” nie jest wyjątkiem. Anglicy Sassoon i Dale na podstawie opisów zawartych głównie w pisanej tradycji judajskiej wykonali rysunki techniczne biblijnej „maszyny do produkowania manny”. Dla tego tajemniczego, niezwykle skomplikowanego urządzenia (według Anglików było ono podarunkiem z kosmosu) król Dawid wzniósł kultowy namiot, a Salomon zbudował specjalną świątynię. Podczas najazdu Nabuchodonozora świątynia wraz z boską aparaturą zostały zniszczone. Czymś o wiele ciekawszym jest również opatentowany w kilkudziesięciu krajach, rewelacyjny silnik rotacyjny na sprężone powietrze, zbudowany przez austriackiego inżyniera, Friedricha Eggera, dokładnie na podstawie płaskorzeźby Majów!

Ta płaskorzeźba, przesławna „płyta z Palenque”, na której kosmita (jak twierdzi Erich) siedzi za sterami skomplikowanego pojazdu, jest jednym z ulubionych argumentów Dänikena. Z kolei Polak, Arnold Mostowicz, w swojej książce *My z kosmosu*, opublikował - czerpiąc z albumu Ferdynanda Antona *Kunst der Maya* - rysunki analogicznej w treści, wyrytej na drewnianej belce „płaskorzeźby z Tikal”, uznając ją za „bardziej sensacyjną” i nazywając „jednym z najbardziej przekonujących odkryć mówiących o paleokontaktach kosmosu z naszą planetą”. Dokładam do tego swoją cegiełkę: w dziele Wilhelma Waesoldta *Du und die Kunst* znalazłem rysunek ze staroamerykańskiego manuskryptu z roku 1450, przedstawiający postać w „pojeździe”, z którego „dysz” buchają stylizowane „płomienie”. Ale tylko one są stylizowane, reszta wręcz dosłowna, co jednak nie odwiedzie mnie od asekuranckiego używania cudzysłowów. Prawy but tego „kosmity” spoczywa na „sprzęgle”. Prawa rękawica trzyma jakąś „dźwignię”. Z ust wychodzi długi „przewód tlenowy”, na drugim końcu którego widnieje jakaś „aparatura”. Obok niej dziwaczny stwór. Pod nim znak gromowego orła, nad nim Księżyc (według źródła z 1450 roku) w postaci „macicy” zawierającej zwierzę. Według owego źródła stwór to Gwiazda Poranna, „kosmita” zaś to Słoneczny Bóg. Ów bóg siedzi w kole do złudzenia przypominającym koło sterowe!... Zaraz, skąd my znamy identyczny kształt tego koła?... Ależ tak, z kamiennego kręgu azteckiego kalendarza z Tenochtitlan w Muzeum Narodowym w Meksyku! Piastą koła jest tam głowa boga.

W ten sposób - ciągle mówiąc o tajemniczych kołach - powróciliśmy do „Medicine-wheel”. Niektórzy specjaliści (np. astronom John Eddy z Uniwersytetu Harvard) twierdzą na podstawie swych badań, że Szamańskie Koła były obserwatoriami astronomicznymi i porównują je z megalitycznymi kręgami Stonehenge.

Głośne a zagadkowe sanktuarium Stonehenge, wybudowane 2500-2000 lat przed naszą erą (a według najnowszych badań, za pomocą izotopu węgla C-14, być może jeszcze starsze) na Równinie Salisburskiej (południe Anglii, blisko Amesbury), składa się z kilku kół: z zewnętrznego kręgu, w kształcie rowu, o średnicy 115 metrów, z pierwszego wewnętrznego kręgu wyznaczonego przez 56 otworów w ziemi, z zasadniczego pierścienia wewnętrznego o średnicy 30,5 metra, uformowanego przez 30 smukłych kamieni o wadze około 25 ton każdy i przykrytego płaskimi płytami kamiennymi (wiele z tych głazów zniknęło do dzisiaj, gdyż w średniowieczu Stonehenge wykorzystywano jako kamieniołom) i wreszcie - wciąż idąc do środka - ostatniego wewnętrznego koła, które zakreślało 59 mniejszych kamieni (wewnątrz znajdował się gigantyczny dolmen w kształcie podkowy i ołtarz w postaci kolosalnego głazu).

Amerykanin Gerard S. Hawkins, profesor astronomii na Uniwersytecie w

Bostonie, udowodnił za pomocą komputera, że Stonehenge pozwalało swym użytkownikom przewidywać z niebywałą precyzją wszystkie możliwe pozycje Słońca i Księżycy, a także ich zaćmienia, odległości od Słońca do wszystkich planet naszego systemu (w tym do odkrytych dopiero w czasach nowożytnych!) etc. Nie było to jednak tylko fenomenalne obserwatorium. Także kalendarz i - jak tego dowiedli Anglik Hoyle, Francuz Chatelain i Rosjanin Tierieszyn (każdy z osobna) - rodzaj genialnej „encyklopedii”, w której jej budowniczy zakodowali przebogaty system informacji i znaków, poczynawszy od wartości π , określany przez Freda Hoyle’a, jednego z najwybitniejszych współczesnych astronomów, mianem einsteinowskiego! Czy możliwe jest, by taką wiedzę mieli ponad 4 tysiące lat temu prymitywni ludzie mieszkający w szałasach?

Chatelain wykazał, że ustawienie pewnych elementów kół Stonehenge odpowiadało między innymi dokładnie punktom wschodu i zachodu najjaśniejszej gwiazdy nieba, Syriusza, przed 12 tysiącami lat! Zaś wspomniany Amerykanin, dr Eddy z Harvardu, że Szamańskie Koła, w tym to w Wyoming, służyły przede wszystkim do „namiarów” Syriusza!

Jak się to wszystko zadziwiająco łączy. Najstarszy kalendarz egipski, z piątego tysiąclecia przed naszą erą, podający cykle roczne do 32 tysięcy lat wstecz (!), został oparty na obiegu Syriusza, nie zaś Słońca i Księżycy (aczkolwiek uwzględniał zbieżności między cyklami Słońca, Księżycy a Syriusza), chociaż to drugie było o wiele łatwiejsze. Dlaczego mędrcy-kapłani tak uczynili? Próbę odpowiedzi zacznijmy od przypomnienia, że „Medicine-wheel” znaczy przede wszystkim: Lekarskie Koło, i że było ono rodzajem obserwatorium astronomicznego, a w starożytnym Egipcie medycyna i astronomia stanowiły małżeństwo (wpływ biegu planet na zdrowie i leczenie człowieka) podlegające tej samej bogini, Izydzie. Okresowi 1460 lat (po czterech zaokrąglonych do 365 dni latach Syriuszowych przybywał jeden dzień, a więc po nałożeniu się 365 takich dodatkowych dni, to jest po 1460 latach, jeden rok) kapłani dali nazwę Periodu Syriuszowego alias Izydowego, ponieważ Syriusz był poświęcony tej bogini medycyny. Podstawą owej medycyny w starożytnym Egipcie było leczenie dotykiem rąk. Nazywano takie ręce, będące symbolem bóstw leczących (chorzy zawieszali na świątyniach wota w postaci rąk z brązu): „manus salutare” - uzdrawiającymi rękami bogów. Znane ze źródeł antycznych wyniki owego uzdrawiania były rewelacyjne, zawstydzające współczesną medycynę farmakologiczną. Obecnie najślawniejszym „healerem” (uzdrawiaczem - taki zawód ma wpisany w paszporcie) jest stosujący tę samą metodę dzięki swym niezwykłym predyspozycjom Clive Harris, którego poznałem już po powrocie z USA. To, co usłyszałem od niego podczas kilku naszych spotkań, wyjaśniło mi wiele. Ale to już inny temat...

Wracamy do tematu Syriusza. W Crikvenicy Däniken przedstawił między innymi mające jako *leitmotiv* zespół Syriusza podanie afrykańskiego plemienia Dogonów (Republika Mali), których w zamierzchłej przeszłości odwiedzali na „arkach z nieba” przybysze z kosmosu, Ogo i Nommo. Na obszarach osiedleńczym tego plemienia, na wzgórzu Gurao, istnieją kamienne szczątki dolmenu obrazującego pojazd kosmiczny. „Arka” opisywana przez Dogonów miała kształt koła (stąd niektórzy badacze porównują ją z „latającymi talerzami”), ale kiedy schodziła na Ziemię, przybierała kształt podwójnej spirali (dokładnie: „Statek lądując formował się w podwójną spiralę i przekazywał ruch istnienia w wirze, który dał życie pierwszemu ziarnu”)!!! Te trzy wykrzykniki są w pełni usprawiedliwione, albowiem właśnie kształt podwójnej spirali ma molekula DNA - siedziba kodu genetycznego! Ciągłe powraca jak jednobrzmiące echo motyw nauki przekazywanej przez bogów...

Ogo był demonem (przypomnijcie sobie buddyjskie Koło Życia trzymane w rękach przez demona), Nommo zaś przywiózł na Ziemię pierwszych ludzi. Udowodniono bezspornie (wieloletnie badania uczonych francuskich), że analfabeci Dogoni mają wiedzę wręcz nadeinsteińską! Opowiadają o ewolucji wszechświata zaczynając od początkowego „wielkiego wybuchu”, rysują bezbłędnie założenia balistyki lotów kosmicznych (wraz ze zmianą geometrii kątovej na linearną i wyznaczaniem prawidłowych kierunków lotów w stosunku do obrotów ciał niebieskich!) stosowane obecnie w praktyce przez Rosjan i Amerykanów, od niepamiętnych czasów znają tajemnice planet i gwiazd odkryte przez naukę za pomocą najnowocześniejszej aparatury dopiero w naszym stuleciu, w tym białego karła - Syriusza B (wraz z tajnikami jego powstania, oddziaływania i obiegu) etc., etc. Wiedzą nawet rzeczy, o których my jeszcze nie wiemy (Syriusz C), ale których istnienia uczeni domyślają się z wielu przesłanek. Na razie - jak sami twierdzą - ujawnili białym tylko częśćkę swej prastarej wiedzy. Kto ich tego wszystkiego nauczył?!

Dość już tych pytań i spekulacji! Na tak zwany zdrowy rozum biorąc, wszystko to jest niemożliwe. NIEMOŻLIWE! Nawet ci uczeni, którzy zgadzają się z wyrażonym w V wieku przed Chrystusem zdaniem Metrodora z Chios („Utrzymywanie, że tylko Ziemia jest piastunką życia, byłoby równie bezsensowne, jak twierdzenie, że na dużym polu mógł wyrosnąć tylko jeden kłos pszenicy”) i dopuszczają możliwość istnienia w kosmosie innych cywilizacji - nawet oni, kiedy zaczyna być mowa o bezpośrednich kontaktach między innymi cywilizacjami a planetą Ziemia, mówią: niemożliwe! „Niemożliwe - przestrzenie międzygalaktyczne są nie do przebycia!”. Naturalnie. Faraon Ramzes też miałby rację, gdyby stwierdził, że wóz nie pojedzie, jeśli nie pociągnie go człowiek lub zwierzę. Stwierdziłby tak, gdyby mu jakiś zwariowany praszczur Dänikena napomknął o samochodzie.

Wierzcie mi, że dla niczego więcej, jak dla czystej zabawy, zmontowałem ów

misterny łańcuszek z różnych dziwacznych kół. Można się z tego śmiać. Ale przyzwoiciej byłoby śmiać się dopiero po wyjaśnieniu kilku spraw, na przykład owej denerwującej przepaści między małpami i neandertalczykami a tak zwanym człowiekiem Cro-Magnon, którego pojawienie się jest dla nauki kompletną zagadką, a który miał od razu, ni stąd ni zowąd, wszystkie cechy naszego gatunku, łącznie z „mózgiem perspektywicznym” (większym od naszego!), to jest dla zasobu inteligencji większego niż było mu to potrzebne 25-30 tysięcy lat temu. Jak na razie trzeba doprawdy wielkiej miłości do pana Darwina, by nie udławić się śmiechem patrząc na ekwilibrystyczne sztuczki wyprawiane przez jego wyznawców mozolnie układających w jednym szeregu czaszki małp i ludzi...

Dotykam drutów wielkiego ogrodzenia, które strzeże „Medicine-wheel” przed zdeptaniem i rozniesieniem. Gdyby to Magiczne Koło zechciało udowodnić swoją magiczność przenosząc mnie - szefa jednoosobowej agentury kosmitów w stolicy Lechistanu - do krainy wszechwiedzy o początkach! Kiedyś wszystko będzie jasne, ale my tego nie dożyjemy, Jerry. Może to i lepiej.

Nie możemy zostać długo wśród tych kamieni, musimy stąd odejść, by przed zmierzchem dotrzeć do Little Big Horn. Żegnamy Magiczne Koło, ów instrument o 28 „strunach”, harfę, na której człowiek nazwany przeze mnie w jednej z publikacji prasowych „trubadurem kosmitów” wygrywa swoją balladę o „cudach” we wszystkich krajach świata, tak jak średniowieczny minstrel wędrujący od zamku do zamku w poszukiwaniu uszu spragnionych cudowności.

Nie przeszkadza mi to i wcale nie przestrasza, że być może w przyszłości cała jego melodia przejdzie w sferę bajek rodem z XX wieku. Kiedyś zdziwiłem się, gdy pewien mój znajomy rzekł, iż woli wierzyć w krasnoludki niż w prąd elektryczny. Dzisiaj już wiem, że nie było to wcale takie głupie. W świecie, w którym zdycha przy owacjach klakierów i grzmocie hejnałowych trąb tyle idei, lepiej wierzyć w bajki niż w skomputeryzowane obrabiarki człowieczeństwa, bo to nie odziera egzystencji z poezji.





ETAP VII

Wracamy tymi samymi drogami do Dayton, po czym wskakujemy ponownie na stanowy highway nr 87, będący niższej klasy przerwą w międzystanowym highwayu nr 90. W porównaniu z drogami dojazdowymi do „Medicine-wheel” jest to i tak luksus.

Przedtem, w Sheridan, gdzie kupiliśmy benzynę, nabyliśmy także - nie pamiętam już po co - lokalną gazetę „Sheridan Press”. Te lokalne gazety! Nudne jak flaki z olejem, a jakże interesujące dla cudzoziemca. Zwłaszcza reklamy i antyreklamy w „listach od czytelników” (na całym świecie „listy od czytelników” - to jest bajka!). Mają one swój jaskrawy koloryt, dudniący rytm i są takie, że trzeba być jankesem, by zachować przy ich lekturze poważną minę. Mniej więcej w takim stylu:

Droga redakcjo!

Chcę wyrazić serdeczne podziękowanie dla firmy Mearbuck and Co. za dezodorant „Loop II”, który kupiłam w zeszłym tygodniu. Przedtem wypadały mi włosy, miałam obwiśnięte piersi i zeza oraz płaskostopie. Odkąd używam dezodorantu „Loop II” (firmy Mearbuck and Co.), stałam się bardzo ładna i ponętna. Mąż wczoraj uśmiechnął się do mnie wychodząc wieczorem z domu, a ponadto mój synek nie ma już biegunki, telewizor odzyskał kolor i zniknęły żółte plamy na dywanie. Chcę także nadmienić, że drzwi do garażu przestały się zacinać.

Lucille Baker.

Albo:

Droga redakcjo!

Nie wiem, co mam o tym sądzić. W zeszłym tygodniu kupiłem mydło „Regina-X” firmy Billing and Foster. Już następnego dnia pogryzł mnie pies, zostałem oskarżony o fałszerstwo podatkowe i z nawietrznika air-conditioning począł się wydobywać nieprzyjemny zapach. Syn przestał się uczyć i uciekł z domu, żonie zwiotczały piersi, a w kuchni zaczęły się płatami odklejać tapety. Chcę także nadmienić, że lodówka zamiast mrozić, grzeje. Co robić?!

Dustin S.

Co robić? Przede wszystkim nie wierzyć własnym oczom, bo to jest duży cyrk, w którym Amerykanie gustują nad podziw. W dwa dni później, w stanie Utah, w mieście Orderville, napotkamy coś, co się nazywa „Dinosaur Safari”. Jest to muzeum pełne gadów prehistorycznych, których modele w skali 1:1

wykonał przed laty profesor Elbert. Podobno wykopano szkielety tych gadów na tym terenie. Całość jest ogrodzona wysokim płotem z desek, a na zewnątrz, „na wabia”, stoi wielki mamut „jak żywy”. Dotykam jego kłów - z plastyku. Dotykam sierści - z plastyku. Znowu „galeria woskowa” - wielka miłość USA. Nie bawi nas to, nie wydamy ani centa na bilety-przepustki na drugą stronę płotu. W deskach są dziury po sękach, więc „rzucimy okiem” za darmo. Podchodzę do eliptycznej dziurki, przystawiam oko i natychmiast odskakuję, bo po tamtej stronie stoi jakiś facet i akurat patrzy przez ten sam otwór - zobaczyłem jego oko, nieomal zetknęliśmy się źrenicami. Robi mi się głupio. Powolutku, ostrożnie, zbliżam oko do drugiej dziurki. A ten szczywany lis, jakby odgadywał moje myśli, robi to samo: powolutku przybliża oko! Niech to diabli, w co się bawimy?! Wstrzymałem oddech, czekam, aż odejdzie. Znowu przybliżam ostrożnie oko... i on też, patrzy na mnie tą „gałą” rozszerzoną jakby ze zdziwienia lub ze złości. „Nie wierzę własnym oczom”. Dopiero za czwartym razem dostrzegam, że spryciarze właściciele tego interesu... wmontowali w dziury po sękach lusterka!!! Chcę także nadmienić, że był wówczas potworny upał, który osłabiał moją przyrodzoną bystrość umysłową w sposób bezlitosny. Waldemar Ł.

Teraz też straszliwy gorąc, wciąż to samo. Ale czego można się spodziewać po kraju, w którym większość dzieci sądzi (tak wykazały wyniki specjalnej ankiety), że mleko jest wyrabiane przemysłowo, tak jak coca-cola? Mimo wszystko jest to wspaniały kraj wzięwszy pod uwagę, że w Atlancie zespół chirurgów przyszył pewnemu studentowi coś, co zazdrosny robotnik, przyłapawszy swą żonę ze studentem „in flagranti”, studentowi uciął i to przyszyte coś odzyskało sprawność już po trzech miesiącach!

Jest tak gorąco, że dzinsy stają się mokre od potu. Ale nie czas się tym martwić, bo oto coś się zaczyna dziać na szosie. Po raz pierwszy od kilku dni znalazł się wóz, który nas wyprzedza, mimo że lecimy z szybkością 90 mil/godz. Więc ile on robi, 100 mil?! Beżowy Pontiac z dwoma mężczyznami. Mija nas, za chwilę my z ambicją cisnącą pedał gazu mijamy ich, potem oni znowu nas. Przez chwilę gnamy obok siebie, „ramię w ramię”. Przyglądam się im. Ten od naszej strony, blondyn, przystojny, zimna, twarda twarz, obaj w ciemnych okularach, zacięte usta, pierwszy raz widzę takich Amerykanów. Są jak z filmu, mogą budzić strach. FBI, CIA, gangsterzy czy wariaci? Ciekawe czy bracia-mafiosi i kolesie z CIA, których w krypto-żargonie administracji waszyngtońskiej określa się per „faceci z za rzeki” - czy idą po śmierci do nieba? Jeśli dłużej będą się z nami ścigać, szybko się dowiedzą... Nie, to my pasujemy. Zwalniamy i dajemy im zniknąć.

Około siedemnastej mijamy granicę stanową, która jest zarazem granicą rezerwatu Indian Crow połączonego z rezerwatem Północnych Szejenów. Nasz szósty stan Montana, reklamowany jako: „Land of History and Adventure”

(Kraina Historii i Przygody). Ładna nazwa, chociaż największa historyczna przygoda białych na tym terenie, ta, na miejsce której jedziemy, nie była ani ładna, ani przyjemna. Za Wyola mijamy rzeczkę Little Big Horn i ponownie za Lodge Grass. W radio na okrągło melodie „country and western”. A właśnie dojeżdżamy do osady Garryowen. „Garry Owen” to stara irlandzka piosenka, która była pieśnią marszową 7 pułku kawalerii Stanów Zjednoczonych. Kilka mil za Garryowen skręcamy w kierunku pola, na którym - w obecności członków pułku przeniesionych co do jednego w stan wiecznego spoczynku - dokonano najciekawszej operacji oliatrycznej w dziejach USA.



General Custer zabił wielu naszych nad Washita, ale następnego roku przyjechał znowu i wypalił z Szejenami fajkę pokoju. Obiecał nigdy więcej nie gnębić Indian. Mój lud dal mu imię Hi-es-tzie (Długowłosa). Widziałam Długowłosego wielokrotnie w owe dni. Któregoś dnia stałam obok niego, kiedy wsiadał na konia. Rzuciłam mu piękne spojrzenie. Byłam wtedy 22-letnią kobietą i uwielbiałam go. Był bardzo przystojny, miał długi nos, głęboko osadzone oczy i długie włosy w lokach. Podobał się wielu Indiankom (...) W kilka lat później, po bitwie nad Little Big Horn, przejeżdżałam na moim koniku przez pobojuwisko pełne zabitych żołnierzy, ale nie wiedziałam, czy leży tam Custer. Potem opowiedziały mi dwie kobiety ze szczepu Południowych Szejenów, które były z nami nad Little Big Horn, że znalazły jego ciało. Przyglądały mu się, aż nadjechało kilku Siuksów, którzy chcieli go posiekać, ale kobiety powiedziały, że on należy do Szejenów. Więc Siuksowie ucięli mu tylko palec i odjechali. Wtedy kobiety przekłuły mu szydełkiem uszy aż do środka głowy, żeby polepszyć mu słuch, bo przedtem źle słyszał to, co nasi wodzowie powiedzieli mu, kiedy palił z nimi fajkę pokoju. A powiedzieli mu, że jeśli złamie obietnicę i będzie walczył z Indianami, Wielki Duch sprowadzi nań śmierć z naszych rąk...

Od 60 lat wielokrotnie myślałam o przystojnym Hi-es-tzie. Myślałam o tym, czy kiedy jechałam przez pobojuwisko, mój koń kopnął go swym kopytem.

Szejenka Kate Bighead

LITTLE BIG HORN, CZYLI O METODZIE POPRAWIANIA SŁUCHU À LA CUSTER

Czerwona rasa otrzymała od białej niewiele podarunków. Najpiękniejszym z nich był koń. Sprzężony z hiszpańskim jeźdźcem wydawał się Aztekom dwugłowym zwierzęciem, które budziło przerażenie. Kilka koni uciekło konkwistadorom i dało początek olbrzymim tabunom mustangów, którymi zawładnęli Indianie. W ten sposób nastąpił swoisty „przewrót cywilizacyjny” w dziejach czerwonoskórych plemion Ameryki.

Najbardziej skorzystali na tym Siuksowie i Szejenowie (zarzucili uprawę roli i zamienili się w doskonałych jeźdźców-wojowników i myśliwych), plemiona symboliczne do tego stopnia, że słowo Indianin kojarzy się nam przede wszystkim z widokiem strojnego w pióra jeźdźca ścierającego się na prerii z białymi osadnikami lub z wojskiem, a więc z typowym obrazem walczącego Siuksa bądź Szejena.

„Są to najlepsi jeźdźcy na świecie i gdyby ich odpowiednio uzbroić,

pokonaliby z łatwością wyborowe pułki kawalerii amerykańskiej i europejskiej”. Ta opinia generała Benteena, wypowiedziana po obejrzeniu ataku Siuksów i Szejenów na transport wojskowy, okazała się prorocza, ale w swoim czasie nie wzięto jej sobie zbyt do serca i dalej pozwalano białym osadnikom wdzierać się na tereny należące do Indian na mocy traktatu z roku 1865. Jeśli kiedykolwiek ktokolwiek został sprowokowany do słusznego wszczęcia wojny, to byli to właśnie Siuksowie i Szejenowie w owym czasie.

Żeby zapewnić bezpieczeństwo karawanom kolonistów, armia amerykańska (oddziały generała Carringtona) zaczęła wznosić nad brzegiem potoku Piney, w Górach Wielkiego Rogu, silny Fort Phil Kearny (przejeżdżaliśmy obok niego autostradą nr 90 jadąc do Magicznego Koła). Miał on panować nad szlakiem osadniczym, być jego rygłem i tarczą. Rósł szybko i rokował wielkie nadzieje...

W wigilię Bożego Narodzenia 1866 roku w sławnym Forcie Laramie (również stan Wyoming, 250 mil od Fortu Kearny) odbywał się wspaniały bal oficerski. W blasku setek świec i pochodni wznoszono toasty i życzo sobie wszystkiego najlepszego z okazji świąt. Nagle orkiestra przerwała w pół taktu i dało się słyszeć wycie wichury, która miotła płomieniami świec: ktoś otworzył drzwi do sali i wywołał przeciąg. Tancerze zamarli w pół kroku i wszystkie oczy skierowały się w tę stronę, w którą już od chwili wpatrywali się przerażeni muzycy.

W drzwiach stał człowiek-upiór. Jego ubranie nie było już ubraniem. Jego broda nie była już brodą - była jednym wielkim sophem lodu. Jego dłonie były zielono-sine i przypominały zmurszałe drewno, które ścisnął mróz. Chwiał się, jakby sam był płomieniem świecy. Zrobił kilka kroków do przodu na odmrożonych stopach. W trwożącej ciszy podbiegł do niego dowódca garnizonu i spytał, kim jest. Spomiędzy popękanych od mrozu warg wydobył się ochrypy szept. Ten człowiek nazywał się John Philips i był weteranem wojen z Indianami, rutynowanym myśliwym i awanturnikiem, głównym „scoutem” generała Carringtona. Podróżował przez życie nie bojąc się niczego, dlatego nazywano go „Pasażerem na gapę”. Carrington dał mu własnego, najlepszego konia ze wszystkich znajdujących się w Forcie Kearny i kazał przebić się do Laramie. Philips przebił się przez mrowie Indian i przez szalejącą zamieć śnieżną, i dotarł półżywy do celu. Po co? Żeby oznajmić, iż generałowi Carringtonowi została tylko garstka żołnierzy, albowiem Siuksowie wyrznęli w pień kolejno piechotę Browna i Fettermana (18 pułk piechoty) oraz kawalerię Grummonda (2 pułk kawalerii). Nie pomogły colty i najnowsze, szybkostrzelne karabiny springfield - wojsko z Fortu Kearny przestało istnieć!

Po tych słowach „Pasażer na gapę” wyleciał z przedziału - padł na ziemię jak ścięty kosą - opinia publiczna zaś doznała na wieść o klęsce szoku nie wiedząc, że to pierwszy dopiero. Rząd zrozumiał, że wojna z plemionami „najlepszych

kawalerzystów świata” nie jest zabawą i że Indian prerii należy potraktować poważnie. Dla ekspertów wojskowych (w przeciwieństwie do cywilów) nie było to zaskoczeniem - znali już wartość Siuksów Ogalalla i ich braci. Ale i oni zostali zaskoczeni. Kiedy przysły dokładne wiadomości o bitwie, okazało się, że zwycięskimi Indianami nie dowodził ich naczelny wódz, sławny Red Cloud (Czerwona Chmura), lecz - wydawało się to niewiarygodne - 21-letni „smarkacz”, zupełnie nieznany przywódca młodzieży Siuksów, Crazy Horse. Dowódcy armii USA nie słyszeli o nim dotychczas, byli jednak wystarczająco inteligentni, by pojąć, że jeśli temu chłopcu - z pominięciem wszystkich zasłużonych wodzów - powierzono dowództwo w tak wielkiej bitwie, to znaczy, że usłyszą o nim jeszcze nieraz. Nie pomylili się: to właśnie Szalony Koń, największy strateg indiański w dziejach, stał się tym jedynym Indianinem, którego uznali za równego najlepszym wychowankom Akademii Wojskowej w West Point i nie wstydzili się przegrywać z nim.

Problem „tych cholernych Siuksów i Szejenów”, którzy na siłę odpowiadali jeszcze lepszą siłą, został załatwiony polubownie w roku 1868 - zawarto z nimi pokój. Na mocy traktatu z Laramie wyznaczone terytoria w stanach Wyoming i South Dakota miały należeć do Indian dopóty, „dopóki płynąć będą rzeki i rosnać będzie trawa”. Jednakże tamtejsze rzeki i trawa zrobiły Indianom głupi kawał, bo płynęły i rosły zaledwie przez 7 lat. Jak pamiętamy z rozdziału o Deadwood - w roku 1874 generał Custer odkrył złoto w Górach Czarnych i na indiańskie terytorium zwała się fala kopaczy i niebieskich ptaków. Czerwonoskórzy panowie wpadli w szal i wykopali topory wojenne.

Przez cały rok 1875 Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Waszyngtonie starało się załagodzić konflikt propozycją odkupienia Black Hills od Indian za sumę 6 milionów dolarów. Gdy nic z tego nie wyszło i gdy w początkach 1876 roku jasne już było, że wojny nie da się uniknąć, 31 stycznia sprawę przekazano do Ministerstwa Wojny.

Dzielni chłopcy z tego domu, którzy przez kilkanaście miesięcy drżeli z niepokoju, że okazja wymknie im się z rąk, zatrzęśli się z radości: teraz nauczą tych baranów cywilów, jak należy gadać z dzikimi, a dzikim zapłacą odpowiednio za Fort Kearny. Głównodowodzący amerykańskich sił zbrojnych, wybitny specjalista od zawierania „wieczystych traktatów”, generał William Sherman, oświadczył: „Istnieje tylko jeden sposób wytrzebieńia zła wraz z korzeniami. Należy zabić wszystkich mężczyzn, wszystkie kobiety i wszystkie dzieci Siuksów. Im więcej ich zabijemy w tym roku, tym mniej będziemy mieli do roboty w następnych!”.

Z trzech stanów wyruszyły koncentrycznie w kierunku buntowników trzy silne korpusy wojska, dowodzone przez generałów Crooka i Terry'ego oraz pułkownika Gibbona. Nigdy dotąd biała Ameryka nie rzuciła takiej siły przeciwko czerwonoskórom. Trzy kolumny wojsk - „Montana Column”,

„Dakota Column” i „Wyoming Column” - zbliżały się do indiańskich obozowisk w celu zamknięcia kotła, „aby żywa noga...”. Opinia publiczna nie miała żadnych wątpliwości. Aż do marca 1876 roku, kiedy to 6 szwadronów kawalerii kapitana Reynoldsa atakujących wieś indiańską zostało pobitych przez Szalonego Konia i zmuszonych do panicznej ucieczki. Uznano to za „wypadek przy pracy” i optymizm się nie zmniejszył, ale kiedy 17 czerwca nastąpił drugi, jeszcze bardziej przykry „wypadek przy pracy” (szarża prowadzona przez Szalonego Konia zmusiła do odwrotu 15 szwadronów kawalerii i 5 kompanii piechoty generała Crooka) - Ameryka zgłupiała. Wojsko jednak zapewniało, że to niefortunne preludium nie zmienia sytuacji i że lada moment nastąpi triumfalny koniec operacji. Czekano na decydującą bitwę. Była to największa w historii bitwa między Indianami a armią Stanów Zjednoczonych. Doszło do niej 25 czerwca 1876 roku.

Tego dnia spotkały się na arenie dwie gwiazdy: Crazy Horse i generał Georg Armstrong Custer, dowódca najślawniejszego pułku kawalerii USA (nr 7), należącego do „Dakota Column” i będącego awangardą wojsk antyindiańskich. Szalonego Konia - tego przedziwnego czerwonoskórego człowieka, który „miał setki przyjaciół przez swą dobroć dla biednych i słabych”, którego „wszyscy Indianie wielbili za niezwykle męstwo” i który „przyjął sobie za punkt honoru, by samemu nie posiadać niczego poza bronią” - przedstawiłem bliżej w rozdziale o Korczaku Ziółkowskim. Jako dowód na powyższe dodam tylko, iż często w jego obozie było więcej zakochanych w nim Szejenów (rzecz bez precedensu między Indianami) niż jego własnych Ogalallów.

Teraz zaś portret generała Custera. Ten był (wyjąwszy odwagę) idealnym przeciwieństwem Szalonego Konia. Dramatyczna bitwa Custera i on sam, to jedna z najżywszych legend amerykańskich. Napisano dziesiątki jego blaskomiotnych biografii i nakręcono kilkadziesiąt gloryfikujących go „movies” (filmów). Z małego, okrutnego szubrawca uczyniono bohatera narodowego, co jednak nie zostaje w tej książce zapisane na konto cech regionalnych USA, albowiem metoda jest ogólnoswiatowa.

Generał Custer urodził się w roku 1839. Po ukończeniu studiów w West Point rzucił się w wir wojny domowej i już w roku 1863 uzyskał stopień generalski. Następnie, postawiony na czele 7 pułków kawalerii, wojował przeciwko Indianom. Wlokło się za nim piętno niesubordynowanego drania. Drania, ponieważ zamieszany był w aferę przywłaszczenia pieniędzy pułkowych! Co prawda sąd wojenny uniewinnił go, ale podejrzania zostały. Natomiast niesubordynację, i to skandaliczną, udowodniono mu bezspornie. Otóż w roku 1867 pan Custer stęsknił się do swej małżonki i z tej tęsknoty porzucił samowolnie swój oddział, po czym popędził 300 mil do fortu, w którym mieszkała! Wyrzucono go za to ze służby na cały rok.

Najbardziej spektakularnym w owych latach czynem wojennym Custera było

wyrżnięcie wszystkich Szejenów w wiosce nad rzeką Washita, w listopadzie 1868 roku. Zyskało mu to tytuł bohatera, wkrótce jednak wyszło na jaw, że w wiosce nie było akurat wojowników (byli na polowaniu) - pod nóż poszły same kobiety i dzieci. Masakra nad Washitą nie należy do ulubionych tematów literatury i historiografii amerykańskiej.

Szejenowie nie zapomnieli Custerowi owej rzezi i od tej pory szukali okazji do zapłacenia mu za nią. Nie zapomnieli mu także tego, że kiedyś wypalił z nimi fajkę pokoju i potraktował to trochę mniej poważnie od nich - jako uroczą rozrywkę w kampanii wojennej. Szukali więc także okazji do poprawienia mu słuchu. Okazja nadarzyła się w czerwcu 1876 roku.

24 czerwca zwiadowcy Custera zlokalizowali obozowisko Indian. Następnego dnia rano 7 pułk kawalerii ujrzał ze wzgórz nitki dymów snujące się ku niebu z dna doliny nad Little Big Horn i około godziny piętnastej zbliżył się do wsi indiańskiej. Custer uśmiechnął się do swoich sztabowców:

- Los zaczyna być dla mnie łaskawy. Mamy ich!

We wsi znajdowały się prawie same kobiety i dzieci. Prawie, gdyż w chwilę wcześniej powrócili z polowania czterej Szejenowie: Bobtail Horse, Calf, Roan Bear i czwarty, którego nazwisko nie zostało zapamiętane (w tym czasie Crazy Horse rozbijał na innym terenie oddziały majora Reno). Tych czterech wojowników amerykański historyk Paul I. Wellman porównał później do Leonidasasa i jego Spartan pod Termopilami. Położyli się oni w trawie i zaczęli strzelać do nadciągających żołnierzy. Wiedzieli, że sami nie obronią wsi, lecz pragnęli opóźnić drugą Washitę z nadzieją na cud. Tymczasem Crazy Horse usłyszał strzały Szejenów i w jednej chwili zrozumiał wszystko. Dalszy rozwój sytuacji był tym właśnie cudem, który Manitou sprawił wysłuchawszy prośby czterech wspaniałych.

Okolo czwartej po południu wojsko Custera zostało zaatakowane z dwóch stron, przez Crazy Horse'a na czele Siuksów Ogalalla i Szejenów i przez Wodza Galla prowadzącego Siuksów Hunkpapa. Część żołnierzy została natychmiast zmieciona przez impet szarży i tomahawki. Pozostali ulegli panice i rozsypali się w bezładnej ucieczce. Custer ze swoimi dwoma braćmi oraz dużą grupą oficerów i szeregowców bronił się do ostatniego naboju na małym pagórku z ciał zastrzelonych wierzchowców. Po godzinie czerwonoskórzy dobili rannych wrogów i oskalpowali wszystkich za wyjątkiem jednego: nie ośmielili się tknąć złotych włosów generała. Ani jednemu żołnierzowi nie udało się wyrwać ze śmiertelnej obręczy - awangarda armii amerykańskiej została wybita do ostatniego człowieka!

W legendzie zachował się obraz tego ostatniego. To Custer, który stoi na owym małym pagórku (sławna „ostatnia placówka Custera”), otoczony przez kilku podwładnych, ostrzeliwujący się z dwóch rewolwerów i krzyczący:

- Niech każdy ostatnią kulę zachowa dla siebie!

Potem jest już tylko on, kłęczący i strzela, a potem - wielka cisza. Ale to tylko bajka.

Dla historyków kłopot z opisaniem klęski generała Custer nad Little Big Horn polegał właśnie na tym, iż nie wyszła z niej „żywa noga”, nie było więc świadków, którzy mogliby opisać przebieg starcia. Dopiero po pewnym czasie ktoś sobie uświadomił, że przecież Indianie też byli świadkami. I zwrócono się do Indian.

18 sierpnia 1881 roku kansaska gazeta „Leavenworth Weekly Times” opublikowała wywiad z jednym z wodzów Siuksów Ogalalla, Low Dogiem, przeprowadzony w rezerwacie w Standing Rock; cytuję fragment relacji Indianina: „Powiedziałem do swoich ludzi: Oto dobry dzień, żeby pięknie umrzeć. Za mną! Pognaliśmy na nich gromadą. Ich konie tak się przestraszyły, że zaczęły zrzucać ich na ziemię, ich strzały chybiały nas. Biali wojownicy stali i bronili się odważnie, żaden nie chciał się cofnąć (...) Starszyzna plemienna orzekła, żeby nie skalpować zabitego białego wodza. Był dzielny i dzielnie umarł, więc trzeba było go szanować”.

Dziennikarz przeprowadzający wywiad skorzystał z okazji i na końcu spytał Low Doga o sprawę, wokół której narosło mnóstwo kontrowersji: o udział w bitwie drugiego po Szalonym Koniu najślawniejszego Siuksa, Sitting Bulla (Siedzącego Byka). Low Dog skrzywił się pogardliwie i wycedził:

- Gdyby ktoś pożyczył mu serce, to może by walczył.

Rzecz jest o tyle ciekawa, że w literaturze historycznej i młodzieżowej zrobiono z Sitting Bulla wielkiego indiańskiego herosa i jego legenda jest równa legendzie Crazy Horse'a. Często też twierdzi się, że to on... wygrał bitwę nad Little Big Horn! Biograf Siedzącego Byka, Stanley Vestal, poświęcił sporo czasu, by udowodnić, że jego bohater stawał dzielnie na tym placu boju. Vestal znalazł na to świadków wśród Indian. Jednakże zadziwiająco duża grupa innych świadków twierdziła coś wręcz przeciwnego. Low Dog był Siuksem Ogalalla i mógł nie lubić Sitting Bulla (Siuksa Hunkpapa) ze względu na jakieś właśnie międzyszczepowe. Ale Siuksowie Hunkpapa (na przykład Rain-in-the-Face) również zaprzeczyli udziałowi Siedzącego Byka w bitwie. Dowódca wojskowy Siuksów Hunkpapa, sławny Gall, który prowadził część szarży na wojsko Custer, wprost zarzucił Siedzącemu Bykowi tchórzostwo. Wobec białych Gall zachował się dyskretniej. Na pytanie o udział Siedzącego Byka w bitwie, zadane podczas wywiadu, którego udzielił gazecie z Minnesoty („St. Paul Pioneer Press” z 18 lipca 1886 roku) odparł zimno:

- Siedział na tyłach, w swoim tepee, i robił dla nas lekarstwa.

Oto co jeszcze powiedział Gall: „W tej walce użyliśmy karabinów i łuków, i maczug wojennych (...) Kiedy żołnierze wystrzelali swoją amunicję, uderzyliśmy na nich z tomahawkami (...) Ja nie użyłem strzelby ani razu. Zabiłem wielu białych, wszystkich tomahawkiem (...) Nie braliśmy jeńców,

nasze serca były wściekłe, posiekaliśmy wszystkich...”.

Historyk, dr Thomas B. Marquis, odnalazł w roku 1927 ową dziwną Szejenkę, zakochaną w kacie swojego plemienia i nienawidzącą jednocześnie (vide motto - miłość przez nienawiść, nic banalniejszego), zwaną w rezerwacie Kate Bighead. Przyglądała się ona bitwie. Powiedziała między innymi: „Przedtem oglądałam różne bitwy, zawsze lubiłam patrzeć na walczących. Kobiety tego nie robią, więc dogadywano mi. Sama nie miałam jeszcze syna wojownika, ale walczył mój 18-letni kuzyn i chciałam być blisko, żeby zagrzewać jego serce pieśnią wojenną. Wzięłam konia (...) Indianie częściej strzelali z łuków, nie musieli się więc wychylać do strzałów tak jak blade twarze i trudniej było ich trafić. Zresztą łuk nie daje dymu, jest niewidoczny (...) Siuksowie i Szejenowie zaciskali pętlę krok za krokiem. Kilku młodych wojowników zachowało się bardzo nieostrożnie i popędziło na koniach tam, gdzie biali leżeli za swoimi końmi. Starsi wojownicy krzyczeli: Zaczekajcie, jeszcze nie teraz!, ale oni nie chcieli słuchać i zginęli (...) Szaman Szejenów, Scaby, rozebrał się do naga, owinął flagą, wskoczył na konia, podjechał do żołnierzy i pięć razy przejechał im przed nosem w tę i we w tę. Wszyscy strzelali do niego, ale żadna kula nie trafiła go, taką miał czarodziejską moc (...) Kiedy walka się skończyła, zobaczyłam żołnierza siedzącego w otwartym polu i trącego swoją głowę, jakby nie wiedział gdzie się znajduje i co się dzieje dookoła. Dосkoczyło do niego trzech Siuksów. Rozłożyli go na ziemi. Robili to wolno, chciałam, żeby to robili szybko, żeby już się stało. Dwóch trzymało go za ramiona, a trzeci odciął mu głowę nożem (...) Tego dnia było mocne słońce i niebo bez chmur. Znalazłam mojego kuzyna. Leżał poprzeszywany kulami (...) Jedyną kobietą uzbrojoną w broń palną była Calf Trail, żona Czarnego Kojota. Miała sześciostrzałowy rewolwer i amunicję. Dużo strzelała do żołnierzy”.

A potem ten fragment, z którego uczyniłem motto. Przeczytajcie go jeszcze raz. Czytałem go wielokrotnie i starałem się zrozumieć. Napisałem, że to banalne, ale nie było to dla mnie łatwe do zrozumienia. Uczucie Indianki do eksterminatora Indian, mordercy kobiet i dzieci. Z całej literatury na temat epepei i martyrologii czerwonoskórych nic nie wywarło na mnie silniejszego wrażenia... W końcu zrozumiałem, że nie powinienem się dziwić, bo zmysły nie chodzą do szkoły. Kobiety - białe, czerwone, żółte, brązowe i czarne - niczym się nie różnią i nie jest to ich wina.

Powróćmy do indiańskich relacji z bitwy. Najciekawsza okazała się wódza Północnych Szejenów, Two Moons (Dwa Księżycy): „Strzelanina była szybka. Pop-pop-pop, bardzo szybko. Część żołnierzy klęczała, część stała. Tam, gdzie przeszli Siuksowie kurz podnosił się jak chmura. I dym z karabinów podnosił się jak chmura. Okrążaliśmy ich tak, jak woda okrąża kamień. Strzelaliśmy i pędziliśmy wokół i znowu strzelaliśmy. Żołnierze spadali z koni, a konie przywalały ich swoimi ciałami. Jeździł wśród nich na srokaczu z białymi

pęcunami jakiś człowiek i ciągle coś wolał. Nie wiem, kto to był, ale on był bardzo dzielny. Krążyliśmy wokół i wielu ich padało, a naszych niewielu. Co chwilę któryś z nich próbował uciekać w stronę rzeki, ale wszystkich zabijaliśmy. W końcu na szczycie wzgórza skupiło się pięciu konnych i pięciu pieszych. Ich trębacz cały czas trąbił. On też był dzielny. Potem zabiliśmy ich wodza. Słyszałem, że to był sam Długowłosa, ale nie jestem tego pewien. Wtedy reszta żołnierzy zaczęła uciekać ku rzece. Prowadził ich ten człowiek na srokatym koniu. Miał skórzaną kurtkę i długie czarne włosy. Wykrzykiwał rozkazy i torował sobie drogę długim nożem (szablą - przyp. WŁ). Jego ludzi pokrył biały kurz. Nie wiem, czy byli oni oficerami. W końcu już tylko jeden biegł w stronę rzeki. Chciał się schować za górą. Myślałem, że mu się to uda, ale jeden z Siuksów strzelił i trafił go w głowę. To już był ostatni...”

A więc ostatni nie był Custer, którego wcześniej zabili Szejenowie (już przed bitwą zapowiadali oni wszystkim Indianom, że Custer jest „ich mięsem”). Słuch poprawiły mu szejeńskie „squaws”.

Amerykańska opinia publiczna dowiedziała się o klęsce późno. Dopiero w nocy z 1 na 2 lipca „scout” generała Gibbona, Muggins Taylor, przywiózł do Stillwater w Montanie trąbkę ostatniego trębacza Custera (znalazł ją na pagórku, na którym poległ generał). Olbrzymie czcionki na pierwszych stronach gazet układały się w słowa: „WIELKA BITWA Z INDIANAMI, POTWORNA RZEŹ, WOJSKO CUSTERA UNICESTWIONE!!!”. Triumf „dzikich” był niewiarygodny - Ameryka oniemiała i pogrążyła się w żałobie.

Ze zwycięzcami policzono się starym, dobrze wypróbowanym sposobem. Zawarto z nimi kolejne traktaty, wpędzono do rezerwatów i spacyfikowano głodem. 7 pułk kawalerii wziął sobie odwet za Little Big Horn dokonując masakry bezbronnych Siuksów nad Wounded Knee Creek. Przedtem jednak należało zapłacić indiańskiemu Napoleonowi, stanowiącemu największe zagrożenie białej Ameryki i uczyniono to już w kilkanaście miesięcy po bitwie.

Mieszkając w rezerwacie Pine Ridge, Szalony Koń zakochał się w córce pewnego Metysa i poślubił ją. Nie mógł jednak żyć szczęśliwie, gdyż nieustannie intrygowano wokół niego, puszczono nawet pogłoskę, że organizuje spisek w celu zamordowania generała Crooka.

- Tylko podli tchórze mordują skrytobójczo swoich wrogów! - odparł na to.

Równie dobrze mógłby nic nie mówić, nie miało to znaczenia. Kiedy jego żona zachorowała na gruźlicę, poprosił o pozwolenie przewiezienia jej do sąsiedniego rezerwatu Spotted Tail (w Nebrasce), gdzie mieszkał jego dawny przyjaciel, dr McGillicuddy. Odmówiono mu. Wówczas ktoś mu poradził, by złożył prośbę na ręce Wielkiego Białego Ojca (prezydenta Granta), lecz Crazy Horse odrzekł:

- Nie mam zamiaru zwracać się do żadnego Białego Ojca. Mój Ojciec jest ze mną. Nie potrzebuję pośredników między mną a Wielkim Duchem!

Rankiem, 4 września 1877 roku, wyruszył bez pozwolenia. Nim dotarł do celu, z Fortu Robinson wysłano oddział indiańskich „scoutów” (renegatów w służbie białych), by go skłonili do powrotu lub aresztowali, lecz sparaliżowało ich kilka słów, którymi splunął na ich widok:

- Jestem Crazy Horse! Łapy trzymać z daleka, nie zawrócę!

W Fort Robinson już czekano na niego. Kilku oficerów poprosiło go uprzejmie, by im towarzyszył. Weszli do budynku i zamknęli drzwi. Ujrzał przed sobą otwartą kratę... do celi i zrozumiał, że to jest więzienie rezerwatu. Ale było już za późno, pułapka się zatrzasnęła. Wyciągnęło się ku niemu ponad dwadzieścia rąk, lecz nim zdążyli go dotknąć, wyciągnął nóż i z przeraźliwym okrzykiem wojennym Ogalallów skoczył do narożnika, tnąc na prawo i lewo, rozcinając ramiona do kości. Krew trysnęła na ściany, najpierw ich, a potem jego krew, bo sieczono go szablami. Kapitan Kennington rozrąbał mu bark.

- Kill him! Kill him!! (zabij go) - ryczeli ci, którzy nie mogli się docisnąć.

Ale nie tak łatwo było zabić największego indiańskiego fightera. Tashunka Witko walczył z determinacją wściekłego wilka, wokół niego rozszalał się tajfun śmierci. Jak długo można, nożem przeciw szablom?... Wykręcili mu porąbane ręce i przytrzymali pod murem, a wówczas anonimowy żołnierz podszedł z karabinem i wbił mu bagnet w bok aż po rękajeść.

Skapanego we krwi położono na ławie w gabinecie lekarza. Konał przez całą noc. Tylko jeden biały w rezerwacie Spotted Tail głośno protestował przeciw popełnionej nikczemności i siedząc przy umierającym płakał z rozpacz. Był to agent rządowy o nazwisku Lee. Szalony Koń dotknął dłonią jego ręki i gasnącym głosem starał się go uspokoić:

- Przyjacielu, ciebie za to nie winię.

W chwilę później rozległa się przedśmiertna pieśń Siuksów.

Śmierć Indianina ma coś ze śmierci łabędzia. Łabędzie umierając wydają rodzaj śpiewnego krzyku, o którym poeci układają wiersze (Słowacki: „będzie ci śpiewał jak mrące łabędzie”) i z którego narody czynią porzekadła. Indianie umierając śpiewali rytualną pieśń, hymn do Wielkiego Ducha, pożegnanie z życiem i powitanie nowego życia na niebieskich preriach, kołysankę do wiecznego snu, w którym nie ma miejsca dla białych, a góry, ziemia i lasy są wolne i piękne jak „squaw” w dzień przed nocą miłości.

Crazy Horse odchodził do rajy przodków nucąc coraz ciszej, zapatrzony w głąb samego siebie... Rankiem, 6 września 1877 roku, dwoje starców, ojciec i matka Szalonego Konia, położyli ciało swego syna na indiańskim „travois” (nosze wleczone przez konia) i powieźli nad strumień Wounded Knee, by pochować go w ziemi ojców. Minęło równo sto lat od tamtej pory, przyjechaliśmy na spotkanie z nim w setną rocznicę...

Pochówek generała Custer'a był zupełnie inny. Jego ciało ekshumowano, przewieziono do West Point Military Academy i 10 października 1877 roku

złożono z wielką pompą w kaplicy Old Cadet. Jednocześnie zaczęto konstruować blaskomiotną legendę Custer. Któż mógł przypuszczać, że za sprawą polskiego rzeźbiarza Crazy Horse otrzyma największy pomnik w dziejach ludzkości, przy którym wszystkie pomniki Custer będą karłami?

Jeden z tych pomników stoi na polu bitwy (Custer Battlefield National Monument). Parkujemy samochód przy Last Stand Museum - Muzeum Ostatniej Placówki, w którym znajdują się relikty uzbrojenia żołnierskiego i indiańskiego zebrane z pobojuwiska. Obok sklepik, w którym można kupić popularny w Stanach obraz J. K. Ralstone'a *Ostatnia nadzieja Custer*. Na pierwszym planie wzgórek, z którego Custer i jego ludzie ostrzeliwują się hordom atakujących Indian, na drugim zaś samotny jeździec, który próbuje przedrzeć się przez kordon Siuksów i Szejenów. Legenda o tej „ostatniej nadziei” wzięła się stąd, że najdalej, bo aż 750 jardów od pola bitwy, znaleziono ciało sierżanta Jamesa Butlera. Niektórzy historycy wysnuli stąd wniosek, że Butler miał sprowadzić Custerowi pomoc.

Z budynku muzeum już tylko kilkadziesiąt kroków do Wzgórza Custer, ale przedtem trzeba minąć cmentarz. Rzędy wyrastających jak pniaki z ziemi białych płyt, często bezimiennych. Jeszcze w roku 1958 odkopano trzy grupy szkieletów zasypane byle jak zaraz po bitwie...

Nad Custer Battlefield National Cemetery widnieje wzniesiony w roku 1881 pomnik-grób zbiorowy. Rozciąga się stąd malownicza panorama doliny, w której zabijali się tak skutecznie przed ponad stu laty. Słońce wędruje w dół i zalewa dolinę purpurą. Zanim stąd odejdziemy, zdarzy się coś niesłychanego, coś, co się tu zdarza bardzo rzadko. Na wzgórzu pojawi się duża indiańska rodzina, a oczy białych rozszerzą się ze zdziwienia, tłum się rozstąpi, wargi zacisną się gniewnie. Indianin-turysta to w Stanach w ogóle jest abstrakcja, ale Indianin, który przyjeżdża tutaj, żeby napaść oczy widokiem miejsca, w którym jego ojcowie pognębili białych panów - to już bezczelność! Robię zdjęcia tych Indian, którzy - samotni, bo wokół naraz zrobiło się pusto - obchodzą dookoła pomnik Custer, raz i jeszcze raz. Mają zimne, kamienne twarze, nic nie mówią, jakby odprawiali rytualny taniec wokół totemowego słupa. Zwycięstwa nad Little Big Horn nie odbiorą im żadne legendy o generale Custerze.

Nad pustym, zielonym polem Little Big Horn snuje się cicha melodia indiańskiej pieśni śmierci zmieszanej z pieśnią triumfu. W dalekiej kaplicy Old Cadet w West Point generał Georg Armstrong Custer słyszy ją dobrze: wydrażono mu najgłębsze uszy świata metodą, która jest najlepszym sposobem poprawiania słuchu tym, z którymi wypaliło się fajkę pokoju.





ETAP VIII

W Crow Agency wylatujemy ponownie na highway między stanowy nr 90. Hardin, Billings, już niebo w płomieniach, zaraz noc. Nocne robactwo wali się w kierunku zapalonych reflektorów tumanami i po godzinie nieomal całkowicie zalepia nam przednią szybę. To już nie szyba, to dykta. Za Big Timber, przed Springdale, musimy stanąć i zedrzeć to plugastwo, w którym utonęły wycieraczki.

Nocna jazda, konieczna, żeby nie tracić dystansu. Dużo będzie tych nocnych jazd, dni przeznaczone są na zwiedzanie. Jerry od wczoraj ma bóle gardła, lecę go jakimiś proszkami, które przywiozłem z kraju. Przed północą brak sił, dzień był wyczerpujący. Zatrzymujemy się w Livingston, w motelu „Tęcza”. Za drzwiami miliardy małych muszek, które mogą pożreć żywcem. Tyle zanotowałem w Livingston zanim opadły mi powieki.

Rano prysznic i highwayem stanowym nr 89 na południe, do Yellowstone National Park. Około dziewiątej znowu wjeżdżamy w granice stanu Wyoming i jednocześnie na teren najślawniejszego rezerwatu przyrodniczego USA. Wstęp: 2 dolary. Wijemy się po drogach tej turystycznej dziczy. Baśniowe krajobrazy, wodospady, gejzery, gorące źródła, przepaście, strumienie, jeziora, kaniony, skamieniałe drzewo sprzed milionów lat, cały las spalony do bieli przez żrące opary wielkiego gejzeru (w Norris). Podobno pierwszym białym, który postawił tu nogę, był traper John Colter (w roku 1807). Park utworzono w roku 1872. W kilka lat później Wódz Józef, uciekając ku granicy kanadyjskiej na czele plemienia Nez-Perces, wszedł na teren parku i spotkawszy dwie grupy turystów - mężczyzn wyrznął, kobiety zaś puścił wolno. Pionierstwo turystyczne wymagało wtedy odwagi.

Wyjeżdżamy z rezerwatu stanową szosą 20/191 i już jesteśmy w naszym siódmym stanie - Idaho. Za Big Springs chcemy sobie skrócić trasę do autostrady międzystanowej 91 i skręcamy w leśną drogę A-2. Nawierzchnia „naturalna” tak potworna, pełna dziur i dużych kamieni, że naszemu „junkowi” zaczyna grozić nagła śmierć w wyniku rozsypki. Znowu daliśmy się nabrać na skrót, ale tym razem wyjątkowo szczęśliwie, bo oto w sercu puszczy, przy mostku nad wartkim strumieniem, napotykamy traperską chatkę z obciosanych siekierą sosnowych bali. Wewnątrz stara kobieta częstuje nas... piwem „Schlitz”! Siedzimy na brzegu, pijemy piwo, rozkoszujemy się przyrodą i pustką, rzeczka płynie, słońce świeci - życie jest piękne! Wszystko to (oprócz puszek z piwem) ma XVIII-wieczny zapach. Rozkosz. Jest to (ona tak mówi) las Targhee i rzeczka będąca północnym dopływem Snake River. Nazywa się Henry's Fork. Nawet nie zaznaczona na mapie.

Żaden raj nie trwa wiecznie. Żegnamy się, całując po polsku w dłoń, i zawracamy do highwayu 20/191, bo dalej tym „skrót” jechać nie można, chyba że czołgiem. Docieramy około piętnastej. Straciliśmy dużo czasu, ale jak pięknie straciliśmy. Ashton, St. Anthony, Sugar City, Rexburg, Rigby. O 16⁴⁵ duże miasto, Idaho Falls. Wydobywamy się na autostradę interstate nr 15 i gnamy przez rezerwat Czarnych Stóp i Szoszonów (Fort Hall Indian Reservation) do Pocatello. Potem Inkom, a za nim jedna z najmocniejszych przygód - zakończony naszym sukcesem wyścig z policją, o którym opowiem później. O 18⁵⁰ przekraczamy z szybkością 160 km/godz. granicę naszego ósmego stanu, Utah, a wóz, który nas ścigał, rezygnuje!

Ciągle interstate nr 15. Tremonton, Ogden, Clearfield, Layton, w Bountiful jemy najlepszego hamburgera w USA. Około dwudziestej pierwszej przelatujemy przez gigantyczne, jakby jarzące się tysiącami robaczków świętojańskich Salt Lake City. Tu zapada bolesna decyzja: jeśli chcemy zaszczyścić swoją obecnością Wielki Kanion i zagrać w Las Vegas, to musimy zrezygnować z Frisco! Nasze największe poświęcenie podczas całej podróży - nie obejrzymy San Francisco. Będzie się chce, ale co robić. Z San Francisco do Wielkiego Kanionu i Las Vegas nie ma drogi na wprost, trzeba robić olbrzymie koło przez Los Angeles, do tyłu, a potem znowu musielibyśmy zawracać ku granicy meksykańskiej, bo mamy w planie kilka miejsc położonych blisko niej. Nie stać nas na stratę 3-4 dni. Wykreślając jedno tylko miasto, upraszamy sobie drogę w genialny sposób. Ale to miasto, to jest Frisco! Niech to szlag!

Wielka nocna droga, dobra droga, bo nocą silnik się nie grzeje. Pleasant Grove, Provo, Nephi, Levan, Scipio. Na poboczach, na małych wysepkach, uśpione wozy zmęczonych. My też jesteśmy zmęczeni. W godzinę po północy, za Fillmore, nocujemy na Rest Area. Zasypiamy po godzinnej rozmowie. Nie pamiętam o czym. O wszystkim. Chyba złośliwie wróżyłem Jarkowi z gwiazd.

Rano musimy zawrócić do Fillmore, bo zostawiliśmy tam atlas z dedykacją od Lalki. Już od świtu straszliwie praży słońce. Przyroda inna niż na północy, sucha, pustynna, 40 stopni Celsjusza. W Cedar City zjeżdżamy z interstate 15 na „czerwony” highway stanowy 14. Piękne, dzikie góry z obu stron. Pniemy się nad parowami i wąwozami. Kolosalne przepaście, serpentyna drogi, widoki zapierają dech. Zwieraczki jakieś, „chipmunki”, przelatują przez szosę. Long Valley, Glendale, suniemy zygzakami. W Orderville plastikowe „Dinosaur Safari”, o którym już wspomniałem.

Między Mount Carmel a Kanab zagłębiajemy się w sławną Moqui Cave - jaskinię z odciskami gadów sprzed 170 milionów lat, z kamykami, w których zastygły skorupiaki o wiele starsze niż ludzka mała i ze skulonym trupem-mumią Indianina, a raczej amerykańskiego tubylca z pokolenia multi-pokoleniowo-przedkolumbijskiego.

Ciekawe, czy ci jaskiniowcy znali już gry hazardowe. Jeśli tak, to współczesny termin „jaskinia hazardu” staje się zupełnie jasny.



*Kiedy gram w kasynie, czuję się jakbym miała dwudziestu kochanków naraz.
Sławna hiszpańska tancerka Otero, zwana „Różą Sevilli”,
zmarła w Monte Carlo po kompletnej przegranej.*

ZIELONE STOŁY NEVADY

Kiedyś były tu zielone łąki (po hiszpańsku: „las vegas”) dryfujące w bezmiarze spalonego stepu. Nie ma ich już. Zastąpiły je setki zielonych stołów, na których miliony baranów pasą się nadzieją wygranej, a pastuchy w czarnych garniturach i nieskazitelnie białych koszulach strzygą te stada dniem i nocą, bez wytchnienia. Kto mógł przypuszczać przed stu laty?

W pierwszej połowie XIX stulecia wszystkie karawany osadników ciągnących przez pustynię Arizony na zachód, ku Kalifornii i wybrzeżom Oceanu Spokojnego, zatrzymywały się przy małej, nie wyróżnionej żadną nazwą wysepce zieleni, która miała wodę. W roku 1844 zatrzymał tutaj swoje wozy kapitan Fremont. Oficer ten nie mógł mieć pojęcia, że w miejscu jego koczowiska wyrośnie w przyszłości największa „jaskinia hazardu” na kuli ziemskiej i że główna, obrośnięta superkasynami ulica tej jaskini, potocznie zwana Błyszczącym Wąwozem, zostanie ochrzczona oficjalnie jego nazwiskiem.

Dlaczego ten płonący największymi neonami świata parów zwie się właśnie Fremont Street? Tego nikt nie wie. Wreszcie kapitan Fremont nie był tu pierwszym koczownikiem. Przecinającą miejsce położenia dzisiejszego Las Vegas starą drogą posługiwali się już hiszpańscy konkwistadorzy, przez co zwano ją Spaniards Trail, potem - w dobie osadników poszukujących na zachodzie swej ziemi obiecanej - Cajon Pass, a w drugiej połowie XIX wieku przemianowano na Old Mormon Trail (Stary Szlak Mormonów).

To właśnie mormoni - do dzisiaj mocarna sekta (ich stolicą jest Salt Lake City), która niegdyś utworzyła ze stanu Utah niepodległe państwo z zagwarantowanym przez ich prawo i religię wielożeństwem - przemienili w roku 1854 dzikie koczowisko w małą osadę zwaną Oazą Vegas. Przez cały XIX wiek i pierwsze lata XX ta pustynna dziura, nie mająca ambicji stania się miastem, była perłą w stercie oldwestowego gnoju - dzięki obecności mormonów jedynym cichym i bogobojnym miejscem w kloacznym cesarstwie bezprawia, w którym królowały colty i zboczeńcy pokroju Billy the Kida. Jest paradoksem historii USA, że właśnie ta enklawa praworządności i ciszy przemieniła się w orgiastyczną stolicę hazardu.

Ta metamorfoza była wszakże w zgodzie z logiką terminologiczną (jak powiadają złośliwi jankesi: „mormon” to skrót od „more money” - więcej forsy) i z prawem, albowiem w roku 1931 władze Nevady (po zmianie granic stanów

w roku 1869 Las Vegas, do tej pory należące do Arizony, znalazło się w stanie Nevada), widząc, że niczym innym nie przyciągną ludzi na teren tego stanu, który jest od krańca do krańca nieurodzajną pustynią, jako jedyne w USA zalegalizowały hazard na swoim terytorium.

Hazardowa Bonanza wybuchła w mieście w latach czterdziestych, nasiliła się po II wojnie światowej i rozkwitła pełną urodą grzechu w latach pięćdziesiątych. Las Vegas stało się „Fun City” - Miastem Uciechy. Najwspanialsze na globie hotele, kasyna i lokale rozrywkowe: feeryczne urzeczywistnienie „Mahagonny” Brechta, w którym - w społeczeństwie ograniczeń i więzów moralnych - każdy „wszystko może móc”. Można się tu ożenić i rozwieść w kilka minut (dziesiątki taśmowych kaplic ślubnych, w których nie zagląda się do dokumentów, lecz do portfeli), można przepuścić dowolną sumę pieniędzy już na lotnisku, gdzie dniem i nocą warczą automaty do gry, można się schlać do nieprzytomności alkoholem bez obaw o te resztki prohibicyjnych ograniczeń, które obowiązują w innych stanach, można wziąć lekcje seksu u najsprawniejszych nauczycielek między Alaską a Rio Grande - można najzwyczajniej zrobić z nocy dzień za pomocą gigantycznych neonów i dzięki radosnemu podeptaniu wszystkich tabu. Przypominają się słowa Voltaire’a o jarmarcznym społeczeństwie: „Można tu znaleźć wszystko, co uchodzi za konieczne do życia; wartownicy strzegą magazynów, szulerzy ogrywiają głupców w kości, próżniacy żebrzą, a marionetki skaczą po budach”.

Ostatnie pokerowe mistrzostwa świata (osobno w konkurencji panów i pań) rozegrano - oczywiście - w Las Vegas. Ma ono do tego najpoważniejsze prawo, gdyż hazard przede wszystkim jest sensem jego istnienia. 300 największych kasyn planety Ziemia, 2 tysiące stołów do gry. Ruleta, karty, kości, automaty, wszystko, co istnieje w świecie gry i szulerki. Zdetronizowane Monte Carlo daje 100 milionów nowych franków rocznego dochodu. W Las Vegas bossowie interesu śmieją się z takich pieniędzy. „Fun City” jest o wiele bardziej dochodowe z tej prostej przyczyny, że jest stuprocentowo amerykańskie: egalitarne, obliczone w pierwszym rzędzie na masowego turystę, nie zaś na bogaczy, zamożnych playboyów, dygnitarzy, aktorów, rekinów businessu, książąt, hrabiów i wszystkich tych wyzutyk z koron (lecz nie z majątków) królów i królików, którymi pożywia się Monte Carlo. Absolutny jakobinizm - stawka na masę.

Te tłumy ciągną tu z całych Stanów i z całego świata ogromną falą i są wchłaniane przez kasyna, z których niejedno ma powierzchnię małego stadionu piłkarskiego, a każde jest wciąż głodne turystów. Tak, t u r y s t ó w ! Bo Las Vegas leży na międzystanowym highwayu nr 15, który jest jedyną drogą do Wielkiego Kanionu. Pytanie retoryczne: czy można zwiedzać USA i nie być w Wielkim Kanionie? A w związku z tym, że można do niego dojechać lub wyjechać z niego wyłącznie przez Las Vegas - czy można być w Las Vegas i

nie zagrać? Być może niejeden wstydziłby się jechać do samego Las Vegas, ale obok jest Wielki Kanion - wielkie alibi. Więc jedzie się zwiedzać Grand Canyon, a po drodze, przy okazji... Topograficzne sprzężenie cudu natury z cudowną maszynką do eksploatawania ludzkich namiętności jest motorem tego interesu. Wielki Kanion na obiad, wielki Błyszczący Wąwóz na deser (lub odwrotnie), podane na jednym blacie autostrady nr 15.

Tą właśnie drogą jechaliśmy, chociaż niepotrzebne nam było alibi, bo pojechalibyśmy do Las Vegas nawet gdyby się znajdowało na pustynnej wyspie. Ale że jechaliśmy z północy, najpierw pognaliśmy do Wielkiego Kanionu „czerwoną” odnogą nr 89 międzystanowej autostrady nr 15, przez potężny westernowy step z rdzawymi tubami samotnych skał, mijając po drodze granicę naszego dziewiątego stanu (Arizona), coraz wyżej w góry, w lasy Grand Canyon National Park, do położonej na krawędzi wielkiego rowu, na wysokości 2700 metrów nad poziomem morza, stacji turystycznej North Rim.

Grand Canyon. Wstrząsająco monumentalna i fotogeniczna szczelina w Ziemi, szeroka na 12 mil, głęboka na 1 milę. Patrząc na tę złotawo-rudą z dodatkiem fioletu mega-szparę, postrzępioną przez wiatr, wyżłobioną przez czas, rzeźbioną przez deszcz, czuje się majestat natury tak jak maleńki robak czuje nasz but. Nie do opisanania.

Wracamy tą samą drogą, przez Fredonię, w dół, tak szybko, że w uszach kłuje niczym podczas lądowania samolotu, głuchniemy.

Ponownie stan Utah, a w Mt.Carmel skręcamy w lewo, do autostrady. Droga do niej biegnie przez kolejny górski rezerwat przyrodniczy - Zion National Park. Również nie do opisanania - jeszcze bardziej, niż w przypadku Wielkiego Kanionu, przekracza to możliwości mojego pióra. Te kolorowe wzgórza, pełne niesamowitych rzeźb, którym mormoni dali imiona nawiązujące do kształtów i podobieństw (Skała Słońca, Skała Tajemnicy, Trzej Patriarchowie, Ołtarz Ofiarny, Wieża Dziewicy, Wielki Biały Tron i inne), to najwspanialszy cud przyrody, jaki widziałem w Stanach. Przy Zionie barwy hollywoodzkiego Eastmancoloru to ołowiany garnek. Wydaje się, że nie może być na świecie nic piękniejszego.

Długi tunel na wskroś góry i zaraz potem ostre słońce z poziomu szosy, oślepia tak, że wprost uniemożliwia jazdę. Przez Virgin i Hurricane dosiegamy znowu autostrady międzystanowej i śmigamy na południe przez sam rozek stanu Arizona, tak iż w ciągu 18 minut jesteśmy w trzech stanach: w Utah, Arizonie i Nevadzie! Nevada, nasz dziesiąty stan, o 21⁵⁰, a więc o 20⁵⁰, bo na granicy czas się znowu zmienił o godzinę - weszliśmy w strefę Pacific Time. Już bliźutko do raj. Mesquite i Dolina Ognia. Rzeczywiście, żar bucha z zewnątrz, duchota, nie ma czym oddychać.

O 21⁴⁵ wykwita przed nami wulkan. Przeogromna, apokaliptyczna łuna

światła, od krańca do krańca flank horyzontu! Nocna tęcza, tylko tutaj można zobaczyć coś takiego, ponieważ tylko w tym mieście jest tyle neonów, że niektóre kraje ze wszystkimi swoimi neonami nie mogłyby się równać. Przybyliśmy zgodnie z planem, o właściwej porze, bo do tej metropolii należy zbliżyć się nocą, by nie stracić świetlnego show. *E viva Las Vegas!*

Przebijamy się do downtownu (śródmieścia) i zostawiamy samochód na strzeżonym parkingu. Na ogół w USA pobiera się opłatę za parkowanie przy odbiorze samochodu, kiedy już wiadomo, za jaki czas trzeba zapłacić. Tym razem jednak, kiedy opuszczaliśmy parking, urzędnik zastąpił nam drogę i powiedział:

- Płacą panowie teraz!

- Jak to, z góry?

- Tak jest.

Zrobiliśmy zdziwione miny, a on uśmiechnął się i wyjaśnił:

- Widać, że panowie po raz pierwszy w Las Vegas. W tym mieście płaci się za parking z góry, bo ludzie wracają potem z kasyna tak goli, iż nie stać ich nawet na zapłacenie za parking.

- A skąd pan wie, że my przyjechaliśmy grać?

Spojrzał na mnie jak na człowieka nowo narodzonego i spytał:

- Zna pan inny cel przyjeżdżania tutaj?

No tak. Tutaj nie robi się niczego innego, nawet w szpitalu. Wielkie tytuły na pierwszych stronach gazet: „Makabryczny totalotek w szpitalu w Las Vegas!”. Ujawniono, że personel w tym szpitalu stawiał ciężką forszę, zakładając się między sobą o życie pacjentów: jak długo facet (facetka) przeżyje? Była lista graczy, stawki, wypłaty, emocje, nerwy, typowy hazard. A nerwy jak to nerwy, czasami nie wytrzymują. I hazard jak to hazard - każdy chce sobie pomóc, bo Opatrzność podobno wspomaga tylko tych, którzy sami sobie pomagają. Więc niektórzy panowie z białym kitem i z zaliczoną przysięgą Hipokratesa pomagali sobie, przyspieszając zgon swego „faworyta”: manipulowali na jego niekorzyść aparatem reanimacyjnym. Trochę mniej tlenu i klient dobiegał do „mety” we właściwym czasie. Cholernie dowcipne, co? *E viva Las Vegas!*

W chwilę później jesteśmy na Fremont Steet. Nie jest to Błyszczący Wąwóz, lecz wąwóz eksplodujący neonowym blaskiem na obu policzkach, niczym u kokietki obsypanej wielobarwnym pudrem. Same kasyna, hotele, luksusowe sklepy i „lokale”. Na chodnikach i w budynkach mrowie ludzi, wszystkie rasy i narodowości, każdy rodzaj odzieży, nie brakuje żadnej ekstrawagancji. Hippisi mieszają się z panami o prezencji lordów, baronówny o prezencji barmanek z „call-girls” o prezencji hrabin. Wydaje się, że pod nawierzchnią ulicy pulsują gorące źródła.

Zagramy. *Noblesse oblige* - pochodzimy z kraju, w którym narodził się klasyczny, kopiowany później często na świecie (także w filmie

amerykańskim) bluff pokerowy. Było to w przedwojennej Łodzi, a grali: synek lokalnego nababa i trzech bogaci przemysłowcy. Jeden z nich, mając „karetę” asów, otworzył za pomocą 50 tysięcy złotych pulę 100-tysięczną. Delfin nababa przebił za 100 tysięcy, ale wówczas przemysłowiec zażądał wyłożenia tej sumy na stół. Okazało się, że synalek nią nie dysponował. Nie chcąc stracić pewnej wygranej (miał najwyższy możliwy układ kart - „pokera”) zadzwonił do ojca, błagając o potrzebną sumę. Nie wrócono mu sukcesu, gdyż ojciec uchodził za wroga hazardu i za wyjątkowego kutwę. Ale ojciec przyjechał. Obejrzał karty syna i bez słowa położył na stole 100 tysięcy złotych. Przestraszony posiadacz „karety”, pewien, że stary skąpiec nie zaryzykowałby takiej sumy, gdyby szczeniak nie miał „pokera” - zrezygnował z gry, oddając całą pulę przeciwnikowi. Wówczas ów ojciec, który dobrze znał potęgę bluffu, zgarnął pieniądze do kieszeni i zanim wyszedł rąbnął syna w głowę, mówiąc:

- Idioto! Jeśli już grasz o takie sumy, to naucz się najpierw odróżniać „pokera” od „strita”!

Wybieramy sławne kasyno Golden Nugget Gambling Hall. Gigant, olbrzymia liczba wejść i zaraz po ich przekroczeniu długa, kilkurzędowa barykada złożona z kilkudziesięciu maszyn do gry. „Rozgrzewamy się” na tych - jak je zwą - „jednoręcznych bandytach” przez pół godziny, po czym obrażeni na nich wędrujemy w głąb kasyna, do stolików z ruletą i grami karcianymi. Ludzi, którzy tam szukają swego szczęścia, można obserwować bez końca. Te rozpalone twarze i na wpół obłąkane oczy („Kiedy gram w kasynie, czuję się jakbym miała...”). Widok tak dobrze znany z kiepskiej literatury, że nie ma sensu przytaczać go. Temperaturę sali podnoszą serwowane nieustannie przez rozneglizowane hostesy „drinks-free”, czyli darmowa whisky. Płaci za nią właściciel i wie, co robi.

Na krańcu olbrzymiej sali scena, na której podrygują girlaski, lecz mało kto zwraca na nie uwagę. Ludzie patrzą jak zaczarowani w figury kart, które drżą im w dłoniach, w kulkę wirującą dookoła tarczy, w swoje topniejące kupki sztonów i modlą się o cud pod postacią „przypadku Wellsa”.

„Przypadek Wellsa” to jeden z najbardziej dramatycznych momentów w dziejach instytucji zwanej kasynem gry. Wydarzył się w końcu XIX wieku w Monte Carlo i jest sennym koszmarem dyrektorów wszystkich kasyn na świecie.

W dobie owego „fin de siècle’u”, gdy Las Vegas było senną miejscowością gdzieś na krańcu świata, w środku pustyni, a stolica hazardu znajdowała się we włościach księcia Monaco - Monte Carlo przeżywało kryzys. Co prawda w roku 1880 wpuszczono do kasyn kobiety, co przedtem było im zabronione prawem (stąd tradycyjna przy stole rulety zachęta krupiera: „Messieurs, faites vos jeux!” - Panowie, zaczynajcie grę!), lecz i to pociągnięcie nie okazało się korzystne. Kiedy w obecności grającej zawsze po swoich występach sławnej

aktorki, Eleonory Duse, otruła się przy stole gry młoda dziewczyna, Duse oświadczyła, iż więcej nie tknie hazardu, gdyż jest to rzecz podła. Słowa te poszły w świat i kryzys pogłębił się. Wkrótce potem nie mniej sławna „komediantka”, Sarah Bernhardt, w ciągu trzech godzin przegrała wszystko, co miała (100 tysięcy franków w złocie), zażyła po powrocie do hotelu stos proszków nasennych i znaleziono ją w stanie krytycznym, cudem odratowując. Wywołało to „złą krew” u opinii publicznej i prestiż Monte Carlo jeszcze bardziej podupadł. Jakby nie dosyć było księciu tych przykrości - wybuchła sprawa Wellsa.

Młody Anglik, Charles Wells, przyjechał do Monte Carlo w roku 1891 i grając w ruletę w ciągu kilku godzin rozbił bank (wygrał 100 tysięcy franków). Przerwano grę, położono na stole czarną szarfę (w przypadku rozbicia banku stoły przykrywa się czarną narzutą lub przepasuje czarną szarfą) i z głównego skarbcza dostarczono nowe 100 tysięcy franków. Wells wygrał je jeszcze tej samej nocy i znowu czarna szarfa powędrowała na stół. Obstawiał głównie numery od 1 do 10 i prawie zawsze trafiał. W kasynie zrobiło się tłoczno, ludzie oszaleli, masowo obstawiano te same numery, co Wells. Następnego dnia Anglik rozbił bank po raz trzeci, po czym - żeby nie było wątpliwości, iż jest geniuszem - zmienił dyscyplinę. Zasiadł do kart i pół godziny wystarczyło mu, żeby ubrać stół w żałobę - wygrał w bakarata 150 tysięcy franków. Łącznie zabrał nad Tamizę przeszło pół miliona!

Po kilku miesiącach, w listopadzie 1891 roku, Wells wrócił i pięć raz pod rząd postawił w rulecie na cyfrę 5, za każdym razem zostawiając wygraną na stole. Piątka wyszła pięć razy z rzędu i kosztowało to firmę 98 tysięcy franków w ciągu pięciu minut! Eksperci zbaranieli, a detektywi byli bezradni - nie stwierdzono żadnego oszustwa. Tym razem Anglik zabrał do domu milion franków, a pozostawił obłądny strach, że jeszcze raz wróci.

Wrócił zimą 1892 roku na wspaniałym jachcie „Palais Royal”. Ale tym razem na krześle krupiera zasiadł sam Francis Blanc, legendarny założyciel i dyrektor hazardu w Monte Carlo. Dewizą Blanca było: „Pieniądze wygrane w domu gry to tylko pożyczka - wcześniej czy później wrócą do kasyna”. Ludzie mówili: „Czy czarne czy czerwone i tak Biały wygrywa” („blanc” znaczy: biały). I mieli rację. Grając sam na sam z Blancem Wells poniósł straszliwą klęskę - przegrał cały majątek.

Do dzisiaj nie wiadomo, jakie były kulisy „przypadku Wellsa”. Prekognizja (jasnowidzenie), która zawiodła go w obecności Blanca, niebywałe szczęście, które nie trwa wiecznie, czy wielki kant krupierski. Najprawdopodobniej to ostatnie. Można przypuszczać, że albo genialny Blanc „ustawiał” kulkę rulety, nie dając Wellsowi szansy, albo - co chyba bliższe jest prawdy - że Wells w dwóch poprzednich „meczach” miał przekupionych krupierów. Jakkolwiek jego przypadek w końcowym efekcie okazał się dla kasyna szczęśliwy

(odzyskanie pieniędzy i wielka reklama), atoli jest on zmorą dyrektorów. Wiedzą oni, że chociaż bardzo rzadko, to jednak niesamowite szczęście w grze się zdarza, lecz że nie istnieje żaden system (Blanc ogłosił, że da 2 miliony franków autorowi niezawodnego systemu i nikt się nie zgłosił), a jedynym prawdziwym niebezpieczeństwem dla domu gry są nieuczciwi krupierzy. To oni właśnie, w zмовie z graczami, produkują kopie „przypadku Wellsa”, bądź też sami okradają kasyno.

W czasie, kiedy my graliśmy w Las Vegas, kilkudziesięciu krupierów (których aresztowano) i kilkudziesięciu ich wspólników (którzy zwiali) doprowadziło do kompletnego bankructwa, to jest do ogłoszenia upadłości, dwa kasyna w Nicei, należące do najpopularniejszych domów gry na Rivierze. Wsadzili do własnych kieszeni (w przenośni, bo stroje krupierów nie mają kieszeni) ciężkie miliony, tak za pomocą rulety (metoda „na barona” - odwracanie uwagi grających i przesuwanie sztonów błyskawicznym ruchem grabek z pola przegranego na wygrane), jak i kart (plaster u spodu rękawa, do którego przyklejają się sztony, zbierane następnie przez kolegę „nadzorującego” grę). Wspólnicy krupierów wygrywali w ciągu 29 rozdań kart 5 milionów franków, co jest w uczciwej grze możliwe raz na miliard.

Gram i przyglądam się krupierom z Golden Nugget Gambling Hall. Luksusowe żigolaki strojące miny dygnitarzy o niewzruszonej sumiennosci. Wymyści, wypucowani i wymuskani jak trzy różowe świnki. Ci nie oszukują swych panów - tu nie Francja. Tych, którzy tutaj rządzą hazardem, nie można oszukiwać, bo wówczas najokrutniej oszukałoby się samego siebie. Do tych władców jeszcze wrócimy, a na razie...

Na razie przegrywam, niech to diabli! Kiedy stawiam na czarne, wychodzi czerwone, kiedy stawiam na 10, kulka staje na 11. Pocieszam się, że kto nie ma szczęścia w grze... Odchodzę od tego przeklętego stołu.

Szczęściarz to człowiek, który nie przegrywa w kasynie, duży szczęściarz to ten, kto wygrywa, lecz arcyszczęściarz to taki, któremu wystarczy podejść do stołu tylko raz. W tym mieście długo będą sobie opowiadać o nieznanym, który wszedł do kasyna „Podkowa Biniona” z dwoma torbami w ręku. Jedna była pusta, w drugiej znajdowało się 777 tysięcy dolarów w setkach, które gość wymienił na 500-dolarowe sztony. Całość postawił na jeden rzut kośćmi. Wygrał, wymienił sztony na gotówkę i wyszedł z dwiema pełnymi torbami. Odprowadzającemu go do taksówki szefowi kasyna wyjaśnił:

- Wie pan, ta cholerna inflacja po prostu zżera moją forszę. Pomyślałem sobie, że właściwie jest mi wszystko jedno, czy ją stracę, czy podwoję.

Taki fuks zawsze jest możliwy, lecz jak dowodzi kasynowa praktyka - „szczęście” bardzo często synonimuje się z oszustwem, które trzeba zwalczać.

W tłumie między stolikami kręcą się detektywi kasyna, strzegący gości przed kieszonkowcami, kasyno zaś przed zawodowymi „triszerami” i szulerami nie

należącymi do firmy. Golden Nugget jest kasynem popularnym. W położonych przy tak zwanym Stripie hotelach Las Vegas funkcjonują kasyna ekskluzywne, w których gra międzynarodowa śmietanka bogaczy, takich, jak nieżyjący już król Egiptu Faruk, co odmawiał pokazywania swych kart twierdząc, że słowo królewskie wystarczy. W tych kasynach oszukuje się równie dobrze, a do wykrywania tych śmietankowych oszustw angażuje się, rzecz prosta, śmietankę detektywów antyszulerskich: Sokoły Maltańskie.

Podobno największym wirtuozem w żonglerce kartami był cyrkowy fenomen Jackos Crane. Oszuści karciani z nowojorskich domów gry zaproponowali mu spółkę, ale odmówił. Zgodził się natomiast dać im kilka pokazów po tysiąc dolarów sztuka. Przyglądali się przez kilkanaście godzin temu, co Crane wyczynia z kartami i niczego nie potrafili zrozumieć, ani nauczyć się, z taką szybkością to robił. Dopiero kiedy zwrócił się do niego brytyjski matematyk, profesor Ramsay, ze swą ideą utworzenia szkoły antyszulerskiej, Jackos pozwolił na zwolnienie. To jest pozwolił (mówi się, że za ciężkie pieniądze Scotland Yardu) sfilmować swoje sztuczki, a taśmę, jak wiadomo, można wyświetlić w różnym tempie. Stała się ona jedną z głównych pomocy naukowych w założonej przez Ramsaya na Malcie, w małej willi w La Valetta, „akademii”, którą utrzymują najbogatsze kasyna świata.

Szkoła ta, w której uczniowie przechodzą trzyletni kurs, dysponuje jedynym w swoim rodzaju muzeum (hazardu i szularki) i ciągle uzupełnianą kartoteką, zawierającą troskliwie skatalogowane sztuczki szulerskie z całego globu. Wyfruujące z niepozornej willi Sokoły Maltańskie angażowane są do rozszyfrowywania najcięższych przypadków. Odniosły wiele sukcesów. Zdemaskowały wieloosobową bandę oszustów karcianych, którzy podróżowali od kasyna do kasyna przekupując krupierów. Osadziły w więzieniu głośnych braci Hauser, którzy permanentnie wygrywali wtedy, gdy po kasynie krążył tajemniczy pastor z Biblią w ręku, nawracający „upadłe dusze” (przewracając kartki Biblii w umówiony sposób sygnalizował oszustom układy kart przeciwników). Pomogły unieszkodliwić wielkiego Lee, Chińczyka z Hongkongu, dla którego wytwórnia oszukańczych przyrządów do gry, T. R. King and Co. w Los Angeles, produkowała fałszywe kości do gry w „krapsa” (były one nie do odróżnienia od prawdziwych, gdyż najpierw, podczas gry w kasynie, Lee robił odciski tych prawdziwych woskiem schowanym w rękawie, a potem, również podczas gry, dokonywał w mistrzowski sposób zamiany). Maltański as, William Black, wybawił z kłopotu brazylijskiego miliardera, na którego jachcie dwóch dystyngowanych szulerów miało aparaty sygnalizacyjne... w butach. Itd., itp.

W kronikach szkoły zanotowano, że absolwenci ponieśli tylko jedną porażkę z rąk cwańszego niż oni. Miało to miejsce w Bejrucie. Dyrekcja kasyna podejrzewała pewnego szczęśliwca, lecz niczego nie była mu w stanie

udowodnić. Ściągnięto Sokołów Maltańskich. W pierwszym dniu obserwacji podejrzanemu, gdy wkroczył na salę, wyleciało z rękawa coś białego. Dostarczyli do niego i wyrwali mu białą kartkę, zupełnie czystą! W ten sposób on rozszyfrował ich, po czym wytoczył kasynu proces i dostał olbrzymie odszkodowanie. Nie wolno bez dowodów rewidować gościa domu gry. Był to wszakże jedyny „wypadek przy pracy” Maltańczyków. Cieszą się oni wielkim miernem. I mało kto zadaje sobie pytanie: gdzie jest pewność, że ci ludzie, którzy otrzymali najlepsze szulerskie wykształcenie, nie przekraczają bariery przysięgi składanej na egzaminie końcowym?

Wróćmy do Las Vegas. Jest ono podwójnie szczęśliwie położone. Po pierwsze, leży w sercu pustyni, daleko od wybrzeża oceanu, w związku z czym nie do powtórzenia jest tu zagranie dowódcy niemieckiego okrętu wojennego, Ericha von Eichbergera, który w roku 1910 przegrał w Monte Carlo zawartość kasy okrętowej, po czym skierował swe działa na miasto i groźbą zbombardowania kasyna wymusił zwrot przegranej. Po drugie leży daleko od Arabii, przez co szejkom naftowym nie chce się tu przyjeżdżać - wolą rozbijać bliżej położone banki, w Monte Carlo, Baden-Baden, Nicei. Robią to w bardzo prosty sposób: dysponując nieograniczoną sumą petrodolarów, za każdą przegraną podwajają stawkę, a rachunek prawdopodobieństwa dowodzi, że w ten sposób stół musi zostać w końcu nakryty czarnym obrusem. I nie jest to wynalazek doby kryzysu energetycznego, bo tę metodę zastosowali po raz pierwszy w roku 1916 dwaj książęta z Kuwejtu. Bijąc stawkami w wysokości 500 tysięcy franków narzucili takie tempo, że obsługa kasyna nie wytrzymała „wściekłości gry” toczącej się tylko między bankiem a dwoma klientami. Po trzech nocach Monte Carlo straciło 27 milionów i dyrekcja zmuszona została do powiedzenia Arabom: „Rien ne va plus”.

My, niestety, nie dysponowaliśmy petrodolarami, ani nawet szczęściem. Strażnik parkingu, na którym nasz „junk” miał miejsce wykupione do szóstej rano, witał nas jeszcze dwukrotnie i przestał traktować jako nowicjuszy. Albowiem dwukrotnie tej nocy wyjeżdżaliśmy z Las Vegas, źli i przegrani, by za miastem wpaść we wściekłość i wrócić w zbożnym celu odegrania się. „Nie za to ojciec bił syna, że ten grał, ale za to, że chciał się odegrać...”. Dopiero za trzecim razem wyjechaliśmy skutecznie, po ostrym pokerze, w którym najpierw dano nam wygrać, a potem obłupiono bezlitośnie i puszczono z torbami. Jak świat światem, a poker pokerem - „full-max” nigdy nie był mocniejszą kartą od „karety” dziewiątek. My dysponowaliśmy „fullem” i przez to wyszliśmy na „foolów”.⁴

W czyje ręce trafiły nasze przegrane dewizy? W ręce właścicieli kasyna - to oczywiste. Ale kto jest właścicielem kasyna w Las Vegas? Otóż 15 procent wpływów z kasyn w Nevadzie trafia do rąk spadkobierców najbogatszego

⁴ Jest to, proszę państwa, maleńka gra słów. W angielskim „full” i „fool” czyta się identycznie, przy czym to drugie słowo znaczy: głupiec, dureń, kiep.

człowieka świata, Howarda Hughesa, który zmarł przed rokiem, lecz o którym baśń wciąż jest żywa w USA. „Time” napisał o nim (19.IV.1976):

„Nigdy przedtem żaden Amerykanin nie był równie intrygujący i zaskakujący, jak niegdyś przystojny, skandalizujący i pełen fantazji, a następnie supertajemniczy i żyjący w ukryciu Howard Robard Hughes. Człowiek, który w jednym życiorysie zawarł kilka niewiarygodnych karier, legendarny miliarder, wyzywający producent filmowy, odważny pilot, absolutny i kapryśny władca imperium przemysłowego i militarnego oraz potężnego towarzystwa lotniczego (TWA), łamiący przeszkody jak Lawrence z Arabii i uwodzący najpiękniejsze kobiety świata, w tym odkrytą przezeń Jean Harlow - cudownie zbudowaną platynową blondynkę o nieco wulgarnej urodzie, która zapewniła jej wyjątkowe miejsce na amerykańskim Olimpie seksu. Mimo swego bogactwa i niegdysiejszego splendoru, żył samotnie, a jego obsesja prywatności tylko podniecała ciekawość świata. Odciął się od niego w sposób tak absolutny, że dopiero śmierć stała się dowodem jego życia”.

22 lata temu mister Hughes przyjechał do Las Vegas incognito i wynajął najwyższe piętro luksusowego hotelu „Desert Inn”. Po pewnym czasie miasto zaroilo się wielbicielami golfa przybyłymi na mające się tu odbyć mistrzostwa Stanów. Potrzebujący pokoi dyrektor hotelu nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia, i podjął próbę wyproszenia nieznanego. Skończyło się to dla niego bardzo źle. Rozwścieczony multimiliarder natychmiast... kupił cały hotel na własność, wyrzucił dyrektora z pracy „na zbitą twarz”, po czym z rozpędu nabył jeszcze kilka innych hoteli oraz kasyn!

„Desert Inn” (Pustynna Karczma) w Las Vegas był ulubionym eremem Hughesa. Przebywał tu w latach 1956-70, na najwyższym piętrze, gdzie docierały tylko specjalne windy, siedząc nago w pokoju, którego okna zasłonięte były czarnymi kotarami i taśmami klejącymi, ignorując rytm dnia i nocy. Funkcje strażników, sekretarzy i pielęgniarek pełniło kilku mormonów, których uważał za niepodatnych na pokusy życia doczesnego. Ale nawet im nie podawał ręki, bo miał obsesję bakteryjną. Jego pokój w Las Vegas oddzielała od obsługi szklana płyta, a jeśli już musiał czegoś dotknąć - klamki, szklanki czy pióra - robił to zawsze przez papierowe serwetki. Ta mania potęgowała się z wiekiem, lecz już wcześniej Hughes miał bzika na punkcie higieny i zdrowia, także u innych. Fascynowało go zwłaszcza zagadnienie pielęgnacji piersi kobiecych - kiedyś sam zaprojektował biustonosz słynnej aktorce Jane Russell. Były sekretarz Hughesa, Ron Kistler, wspomina, że kiedy jego szef pasjonował się jeszcze lansowaniem młodych aktorek, wydawał polecenia szoferowi zwalniania jazdy na wybojach do 5 kilometrów na godzinę, ponieważ obawiał się, że podskakiwanie samochodu wpływa ujemnie na tkanki, powodując obwiśnięcie piersi jego pasażerek.

Dlaczego ten dziwak i ekscentryk, który w głównej świątyni mormońskiej w

Salt Lake City zostawił testament będący obiektem zacieklej sporów sądowych (wartość masy spadkowej: 168 milionów dolarów!), nie kupił całego Las Vegas? Dlaczego w roku 1970, mimo całej swojej potęgi i wpływów, został narażony - na podstawie ustawy antytrustowej - na przykrości z powodu nabycia dodatkowego hotelu w stolicy hazardu? Dlaczego - jak pisał „Time”: „W Las Vegas kasyna i hotele Hughesa są nieudolnie zarządzane w porównaniu z innymi przybytkami, a Hughes natrafił na wiele trudności i nie zdołał - mimo że obiecał - zrealizować nowych inwestycji”? Odpowiedź na te pytania jest zarazem odpowiedzią na pytanie, do czyjej kieszeni trafia 85 procent wpływów z tutejszych kasyn. Do skarbcza mafii, która - co jest tajemnicą poliszynela - rządzi tym miastem od dawna. Wprowadziła się tu w dziewiczych latach II wojny światowej, kiedy Las Vegas rządili jeszcze ojcowie miasteczka, których protestancką uczciwość mąciły tylko oszałamiające perspektywy zysków z hazardu, i od tamtej pory stale umacnia swoją pozycję.

Człowiekiem, któremu mafia zleciła opanowanie Las Vegas, był bardzo doświadczony zabójca, Bugsy Siegel. Przedtem opanował Kalifornię i jej cudowne dziecko, Hollywood, a w czasie wojny założył w Las Vegas kilka kasyn i wybudował wspaniałą „Flamingo Hotel”. Taki był początek wielkiej kariery owej miłośnicy, którego zresztą Siegel nie przeżył, o czym opowiemy sobie w następnym rozdziale. Następcą Siegela, szefem mafijnych kasyn w Nevadzie, został gangster z Dallas, Lester Binion (pomnikiem jego działalności jest efektowne Binion’s Horseshoe Casino). W roku 1977 funkcję „capo mafioso” w Las Vegas pełni zaledwie 34-letni, lecz pełen nadzwyczajnych talentów, Rino.

Jednym ze znakomitych udziałowców mafijnych kasyn w Las Vegas jest sławny piosenkarz, Frank Sinatra, którego zażyłe związki z bossami mafii zostały wykryte jeszcze za czasów Kennedy’ego (dowiódł tego brat prezydenta, prokurator generalny, Robert Kennedy). Jak wiemy, obaj bracia Kennedy zostali zastrzeleni, Sinatra zaś prosperuje znakomicie. Kiedy gubernator Nevady, Grant Sawyer, próbował go postawić przed sądem za przestępstwa mafijne, Sinatra publicznie, podczas awantury w kasynie, przysiągł mu zemstę. I dotrzymał słowa - Sawyer przegrał kolejne wybory i dzisiaj zajmuje się zwykłą praktyką adwokacką w Las Vegas.

Pan Sinatra, przepraszam - pan dr Sinatra, bo właśnie w roku 1977 otrzymał on doktorat „honoris causa” na uniwersytecie stanu Nevada - gościł w swej willi pod Las Vegas największych tuzów mafijnych, w tym Sama Giancanę. Inny „capo mafioso”, przestępny Lucky Luciano, ów Lucek Szczęściarz, który zdobył sobie swój przydomek iście cudownym uniknięciem śmierci (powieszono go w młodości przez konkurencyjny gang, odcięła zanim się zadusił jakaś kobieta), otrzymał od Sinatry złotą papierośnicę z wygrawerowanym: „Mojemu najdroższemu przyjacielowi”. Wdzięczność jest piękną cechą - przed laty

„przyjaciele” umożliwili Sinatrze (konkretnie wymusili na szefach show-businessu za pomocą bicia i strzelania) start do wielkiej kariery estradowej. Teraz brat mafioso, dr Frank Sinatra, czuje się w Las Vegas królem i żeby zatrzeć w pamięci ludzi głupie plotki o powiązaniach z bandziorami, raz po raz organizuje akcje filantropijne. Ta metoda jest jednym z genialnych i nieśmiertelnych wynalazków Ala Capone.

Antymafijna komisja senatora Kefauvera, która zbadała sprawę opanowania Las Vegas przez mafię i stwierdziła między innymi, że chociaż zarobki robotników w tym mieście są bardzo wysokie, to jednak ludzie ci żyją w nędzy i nie mają żadnych oszczędności (wszystko tracą w kasynach) - wyraziła zdziwienie, iż rząd stanowy przyznaje licencje na prowadzenie domów gry wyłącznie gangsterom. Odpowiedź była szczerą i nie pozbawioną sensu: wytłumaczono się tym, że kasyna muszą prowadzić fachowcy, a lepszych fachowców od „mafiosów” nie ma!

To jest ciekawy rok w Las Vegas - rok 1977, przybyliśmy w porę. Właśnie zaczyna gasnąć wielka mafijna gwiazda: posypał się grad zarzutów na głowę sprawującego swój urząd od 17 lat, wszechwładnego, skorumpowanego i wzbudzającego postrach, miejscowego szeryfa Ralpa Lamba zwanego „szeryfem-kowbojem” ze względu na jego ulubiony westernowy strój. Co prawda udało mu się „cudem” wymigać z zarzutu machinacji podatkowych, lecz bezspornie udowodniono, że niemal cała jego, 725-osobowa, gwardia policyjna znajduje się na żołdzie mafii (z ostatniej chwili: w roku 1978 Lamb przegrał kolejne wybory, gdyż mafia nigdy nie obstawia kulawych koni).

Jest ten rok - rok 1977 - podwójnie ciekawy, bo właśnie geologowie stwierdzili, że na skutek osiadania gruntu, spowodowanego przez eksploatację wód podskórnych, miasto osiada w szybkim tempie (w ciągu ostatnich 20 lat aż o 10 centymetrów) i że erozja ta postępuje najszybciej w rejonie Błyszczącego Wąwozu. Miejscowi duchowni, którzy długo czekali na taką okazję, ogłosili publicznie, iż jest to „kara za grzechy współczesnej Sodomy” i że stolicy hazardu grozi „nieunikniona zagłada”.

Nieunikniona zagłada - jak uczy nas pocieszycielka historia - grozi wszystkim imperiom, lecz jeśli nawet prawdą jest, że w Las Vegas - jak głoszą tutejsi prorocy Apokalipsy - „każdy dla siebie i Bóg przeciw wszystkim”, to prawdą jest również, że do upadku potężnego imperium potrzebna jest inna erozja niż erozja gruntu. I nie mieszajmy niebios do tej gry, bo one są zbyt wysoko nad kasynem życia, nie obstawiają żadnych numerów, nie przepasują naszych zielonych stołów czarnymi szarfami i nikomu jeszcze nie powiedziały „rien ne va plus” na tym świecie, na którym wszelka swołocz Pana Boga chwali.





ETAP IX

Po raz trzeci i ostatni wracamy na parking. Spłukani i zgorzkniali. Ten sympatyczny alfons, który strzeże parkingu, wygłasza filozoficzną sentencję („Tu się nie wygrywa” - tak jakbyśmy sami tego nie wiedzieli), a dowiedziawszy się, że jeszcze co nieco nam zostało, proponuje „dwa miłe kociątka”, które on zaraz dostarczy. Proponujemy mu, żeby poszukał dla tych kociątek „dwóch miłych kocurków”, na co on się wcale nie obraża, tylko dalej cierpliwie perswaduje. Tymczasem kociątka dostarczają się same, wyrastają nagle jak spod ziemi, lecz my już siedzimy w naszym aucie i ruszamy. Jerry twierdzi, że kociątka miały urodę typu „country” i były zbyt tłuste, gdyż w tym kraju pcha się do każdego pożywienia zbyt wiele protein, ale Jerry jest chwilowo w stanie podobnym do mojego, to jest odbierającym każdemu stwierdzeniu jakikolwiek sens...

Budzimy się (a raczej budzi nas ryk przelatujących samochodów)... na skrajnym pasie highwayu! Jezus, Maria, zasnęliśmy na środku drogi i nikt nas nie rozjechał, ani policja nie zabrała tam, gdzie powinna. Nic nie wiemy. Głowy w rozsypce, mam trzy głowy zamiast jednej i kosmicznego kaca, zwłaszcza od nikotyny, bo przez sześć godzin „pracy” w kasynie przypalałem „Camela” od „Camela”. No tak, prawda, prawda, kretynem jestem, wiem to sam i czuję się podle, proszę więc na mnie nie fukać, ani nie odkładać tej książki, bo mam jeszcze co nieco dobrego do powiedzenia.

Zjeżdżamy na pobliską Rest Area. Przepakowujemy trochę rzeczy, myjemy się, golimy, wyrzucamy pusty karton po piwie i płuczemy termosy z resztek po scotch. O 9³⁰ wjeżdżamy do naszego jedenastego stanu.

Słoneczna Kalifornia, „Ameryka Ameryki”, bo to tutaj właśnie miał się znajdować „Promised land”, a nikt nie ukazał lepiej niż John Steinbeck w przejmujących *Gronach gniewu* wielkiego exodusu z równin do kalifornijskiej ziemi obiecanej. Ale akurat nie myślimy o tym, bo zauważyliśmy, że Jerry zostawił gdzieś po drodze z Las Vegas swój kowbojski kapelusz, a na dodatek pokazało się czerwone światełko na wskaźniku temperatury. Silnik się zagrzał, po niecałej godzinie jazdy! Straszne jest to słońce, nie darowuje. Już kilkakrotnie zmienialiśmy wodę w chłodnicy, być może ostatnio przelaliśmy. Znowu zmieniamy, obok highwayu, w małej osadzie, w której zrobimy też dobre zakupy.

Musimy wciągnąć koszule na spocone torsy, bo w większości amerykańskich sklepów obowiązuje zasada „3 razy NS”: na drzwiach wisi kartka z napisem: „No shirts, no shoes, no service” (nie ma koszuli, nie ma butów - nie ma obsługi), W przypiływie czarnego humoru dedukujemy, że można wejść do

sklepu z gołym tyłkiem, byle w koszuli i pepegach, i zostanie się obsłużonym. A że dedukujemy ojczystą mową, pytają nas o narodowość i oczywiście biorą za Holendrów, to już tradycyjne, bo Holland i Poland myli się im w uszach. Kiedy w Moqui Cave przewodniczka oprowadzająca nas po grotach usłyszała że jesteśmy „from Poland”, uśmiechnęła się ciepło i szepnęła rozmarzona:

- Oooo, piękny kraj! Byłam w zeszłym roku w Rotterdamie, śliczne miasto...

Jedziemy w stronę Pacyfiku. Z bocznej szosy wylatuje na autostradę nr 15 samochód policyjny. Wszystkie wozy, my też, ustawiają się za nim w komicznym łańcuszku na prawym pasie i wloką się w żółtym tempie narzuconym przez „copa” (gliniarza). Nikt nie chce go wymijać, każdy się boi. Tak przez kwadrans. Ci, którzy jadą szybko lewym pasem, nieświadomi mijają nas i dopiero na wysokości policjanta hamują, po czym „schodzą” łagodnie na ostatnie miejsce w ogonku, rozśmieszając tym wszystkich. Za chwilę sami się śmieją z kolejnego przestraszonego. Pyszna zabawa. Aż tu nagle nowy kandydat na „czerwoną latarnię”... nie zatrzymuje się, śmiga dalej i za chwilę niknie nam z oczu za zakrętem! Oczywiście kobieta! Policjant nie reaguje i wszyscy panowie uświadamiają sobie, że pełzną z szybkością dwukrotnie niższą od dopuszczalnej, bo dali się zastraszyć nie wiadomo czemu. Zawstydzony łańcuszek wymija sennego przedstawiciela władzy i rozsypuje się na całej szerokości autostrady, próbując odzyskać stracone minuty. Gdzież jest lepszy przykład masowej psychozy stada.

Po obu stronach highwayu spalona pustynia z wysokimi kaktusami, na drugim planie góry. Sucho w gardle, głowa wciąż pęka, a upał nie pieści.

Baker, Yermo, Barstow, Victorville. Droga prowadzi przez tereny Parku Regionalnego Mojave i Narodowego Lasu San Bernardino. Ale jak tu podziwiać piękno natury, kiedy - diabli wiedzą dlaczego - odlatują kawałki blachy z karoserii i listwy drzwiowe? Jeszcze trochę i nasz Ford Fairlane 500 upodobni się do owej tureckiej ciężarówki, wiozącej 20 ton towaru ze Stambułu i zatrzymanej przez policję na autostradzie Salzburg-Monachium. Działał w niej tylko ręczny hamulec, resory były popękane, opony łyse, rama nadająca się na złom, a kierowca wbijał biegi za pomocą młotka.

Zaczyna się autostrada czteropasmowa, Los Angeles, ze swoim wciąż nieuchwytnym „Wampirem ze wzgórz”, który morduje w bestialski sposób kobiety i ma równie wydajnego konkurenta w Georgii - tuż tuż. Policja w tym mieście wychodzi ze skóry, by dopaść „Dusiciela”, ale jakoś nic jej nie wychodzi, chociaż policja w Los Angeles ma wielkie tradycje (to tutaj przyjęto w roku 1912 do służby policyjnej pierwszą kobietę).

Po wypaleniu przez jedną noc w Las Vegas kilku paczek papierosów powinniśmy skorzystać z rewelacyjnej usługi telefonicznej wymyślonej i zastosowanej w Los Angeles - z „nikotyńki”. Wykręcasz specjalny numer i ze słuchawki dobywa się straszliwy kaszel nikotynowy, który ponoć odstręcza od

nałogu. Strzeżcie nas wszyscy Anieli („los angeles” znaczy: aniołowie) od takich wynalazków. Jerry, przypal mi...

Coraz bliżej dwie „fabryki snów”, ta dla dorosłych (Hollywood) i ta dla dzieci (Disneyland), które nas ściągnęły do Miasta Aniołów.



1. Kinematograf: ostatecznie wolę już dom publiczny.

2. Pragnienie cudu jest najwyższą niezgodą na rzeczywistość.

Z aforystyki Stefana Napierskiego.

FABRYKA UPADŁYCH ANIOŁÓW I MAŁY INWALIDZKI WÓZEK

Kiedy zaczęła się odyseja ludzi ze Wschodniego Wybrzeża przez wielkie równiny ku rajskiej Kalifornii, w tobołach tych nędzarzy najwięcej miejsca zajmowały biblijne obrazy życia, jakie miało oczekiwać wykorzenionych po drugiej stronie rubieży. Wieźli ze sobą gigantyczne marzenie, które już na szlaku umierało powolną śmiercią. Z przeszło 200-osobowej wyprawy, która wiosną 1848 roku wyruszyła z Missouri, dotarło do Kalifornii tylko 30 ludzi - reszta, w tym wszystkie kobiety i dzieci, padła po drodze z głodu, mrozu i wycieńczenia, a tych 30 mężczyzn ocalało dzięki ludożerstwu. W końcu Amerykanie zasiedlili tę swoją „Amerykę Ameryki”, że zaś nie znaleźli w niej błogiego snu, o którym tak długo marzyli, wzniesli całą fabrykę celuloidowych snów. I tak osiągnęli swoją jakość marzenia poprzez ilość mierzoną w kilometrach, gwiazdach i kolorach.

W roku 1894 rodzina farmera Horacego Wilcoxa dowlokła się po długiej wędrówce na zachód do Los Angeles i założyła pod miastem, u stóp wzgórz, ranczo o nazwie „Hollywood”. Nie czekało ono długo na filmowców, lecz nieprawdą jest to, co można wyczytać na temat przyczyn exodusu świata filmowego do Los Angeles: „Była to kraina dziewicza, pionierska, otwarta dla energicznych biznesmenów. Ponadto słońce świeciło tam przez 325 dni w roku, a w okolicach Hollywoodu można było znaleźć wszystkie potrzebne krajobrazy: góry, pustynie, lasy i jeziora”. Prawdziwą przyczyną biegu z kamerami na Zachodnie Wybrzeże był strach przed biciem za kręcenie filmów, i w rzeczywistości to pałki, a nie promyki słońca i malownicze sadzawki, miały decydujące słowo w tym procesie stworzenia. Zawsze poszukuje się przyczyn wyższego rzędu, a nikt jak dotąd nie napisał doktoratu o kreacyjnych zasługach zwykłej pałki.

Pierwsze w Ameryce „ruchome obrazy”, autorstwa Edisona, wyświetlono w roku 1896 w nowojorskim Koster and Brial’s Music Hall. Tomasz Alva Edison nie był, wbrew temu, co twierdzą Amerykanie, wynalazcą kinematografu, był wszakże łębskim fizykiem, elektrotechnikiem i wynalazcą, o czym uczą się

dzieci we wszystkich szkołach świata. O tym, że Tomasz Alva Edison był też gangsterem jak się patrzy, dzieci się nie uczą, ponieważ jak świat światem, a dydaktyka dydaktyką, w nauczaniu stosuje się biograficzno-brązowniczą „pamięć selektywną”. Edison zorganizował mianowicie monopolistyczny trust Motion Picture Patent Company i utworzywszy własne watahy pałkarzy (notabene wspomagane przez nowojorską policję, z której szefem się dogadał), zaczął rozbijać konkurentom kamery, ręce i głowy. Przerażeni filmowcy poczęli tedy - widząc, że prawo nie chroni ich przed gwałtami - zmykać z Nowego Jorku i Chicago do innych stanów, ale pan Edison przewidział tę chytrą. Jego lotne ekipy bandziorów doganiały nieszczęsnych wyznawców kinematografu we wszystkich stanach i dokonywały masakr całych planów filmowych, niszczyły sprzęt, budynki, kopie i co tylko podeszło pod pałę.

Najdalej można było uciec do Hollywoodu - dalej był już Pacyfik. Walorem Hollywoodu była bezpośrednia bliskość granicy meksykańskiej, po przekroczeniu której (w razie potrzeby) było się bezpiecznym przed bojówkami pana Edisona. I to właśnie ten układ terytorialny, a nie słońce ożenione z różnorodnym pejzażem, leżał u podstaw założenia ośrodka filmowego na niechlujnym przedmieściu Los Angeles, zamieszkałym przez kilkaset osób, z czego większość koczowała w szałasach.

Kariera Hollywoodu była iście bajeczna. Tylko w ciągu trzech pierwszych lat działalności (1912-15) wyprodukowano tam 50 filmów, a liczba stałych mieszkańców zwiększyła się czterdziestokrotnie, do 20 tysięcy. W roku 1919 akcje przemysłu filmowego stały się na giełdzie papierami równie wartościowymi, jak akcje przemysłu naftowego i samochodowego, co prędzej czy później musiało zwrócić na Hollywood baczniejszą uwagę mafii.

Propozycję w sprawie „fili” na Wybrzeżu Zachodnim wysunął jeden z najbardziej inteligentnych sztabowców mafijnych, strategiczny mózg stowarzyszenia, zwany „premierem podziemnego rządu” - Frank Costello. Najwyższa rada syndykatu mafijnego, na specjalnym posiedzeniu w roku 1935, przychyliła się do propozycji Costella. Dwa lata trwało penetrowanie terenu i przygotowywanie operacji, po czym w Los Angeles pojawił się pierwszy „capo” kalifornijski, Benjamin „Bugsy” Siegel. I zaraz, dziwnym zbiegiem okoliczności, „fabryka snów” poczęła produkować wieczne sny na skutek zawału serca i zapalenia płuc. Biorę do ręki rodzimy „Ilustrowany Kurier Codzienny” z 16 kwietnia 1938 roku. Tytuł: «Nagła śmierć» panuje w Hollywood. Wstęp: „Stolica filmu pogrążona jest obecnie w żałobie, gdyż w kilku dniach zmarło nagle 6 popularnych i ogólnie lubianych osobistości”. Kolejno: aktorka Lydia Roberti, reżyser Dear Appel, scenarzyści Kubec Glasmon i Austin Parker, sławny „lekarz gwiazd” Harry Blond i „twórca toalet gwiazd” Ernest Dryden.

Natomiast pan Siegel cieszył się doskonałym zdrowiem. Był to wytrawny

gangster, który swą mafijną karierę rozpoczął w roku 1925 w Filadelfii, a poza tym należał do najwyższej komórki egzekucyjnej mafii amerykańskiej, zwanej Murder Incorporated. Jego popisowym „numerem” było zamordowanie innego „mafioso”, Francisa Fabrizzo, który zbyt się usamodzielniał. Po śmierci (nagłej) swych dwóch braci, Fabrizzo spisał pamiętnik, w którym zdradził wiele tajemnic mafii i ogłosił, że jeśli coś mu się stanie - pamiętnik przejdzie na własność władz. Niewiele mu to pomogło. Siegel udał chorego, wynajął separatkę w szpitalu w Nowym Jorku, po czym zmyliwszy pielęgniarki wyszedł przez okno, zastrzelił Fabrizza w jego mieszkaniu, wrócił tą samą drogą i nie zauważony położył się do łóżka.

Jak widzimy pan Siegel był człowiekiem doświadczonym, nie ma się więc co dziwić, że szybko poradził sobie z Kalifornią i wziął ją w imieniu mafii „pod kontrolę”. Przede wszystkim zaś otoczył kuratelą stolicę swego imperium, Hollywood, w którym wybudował sobie 35-pokojowy pałac nazwany skromnie willą, kupił pole golfowe, konie i udawał playboya, sportsmena oraz myśliwego. Tajemnie natomiast wyciskał worki dolarów z kieszeni producentów i aktorów. Dzięki jego przedsiębiorczości podstawowym źródłem hollywoodzkich dochodów mafii stał się „star system”. Trzeba bezstronnie przyznać, że czyniąc sobie żerowisko z rozwiniętego już wówczas w szaleńczej skali kultu gwiazd - mafia uderzyła w dziesiątkę (jak zwykle).

W pierwszych latach Hollywoodu na szanujących się pensjonatach Los Angeles widniały wywieszki z napisami: „Pokoje do wynajęcia. Psom i aktorom wstęp wzbroniony!” Lecz trwało to krótko i już w latach dwudziestych jedną z „chorób amerykańskich” stało się iście bałwochwalcze uwielbienie dla gwiazd ekranu. „Komedianci” zamienili się w półbogów, a Hollywood w Olimp pełen skandali, orgi seksualnych, pijackich i narkotycznych, a także tajemniczych morderstw, w które zamieszani byli gwiazdorzy z obu stron kamery. Nawet śmierć największego z idoli, Rudolfa Valentino, nie obyła się bez podejrzeń o mord. Szeptano i pisano o zabójstwie politycznym (zemsta obrażonego przez Valentina Mussoliniego, który rzekomo wysłał do USA komando „czarnych koszul” z rozkazem dokonania mordu), o rozwścieczonej konkurencji (zemsta wytwórni Famous Players, z którą Valentino zerwał kontrakt) i o różnych panach i paniach wynajmujących płatnych morderców.

Jest w istocie rzeczą wielce prawdopodobną, że encyklopedyczny „latin lover” (łaciński kochanek), który namiętnie żenił się z lesbijkami, który pełnię seksu odnalazł dopiero w ramionach „polskiego Huraganu” czyli Apolonii Chałupiec (Pola Negri) i którego mężczyźni zwali „pudrowany goguś” - nie zmarł śmiercią naturalną. Do dzisiaj jego brat, sędziwy adwokat Alberto Valentino, gromko domaga się wyświecenia sprawy, twierdząc, iż przyczyną śmierci Rudolfa w żadnym razie nie było zapalenie otrzewnej: „Zażądałem wówczas pokazania mi sekcji zwłok, ale mi odmówiono. Chciałem odszukać

tych doktorów, ale zapadli się pod ziemię. Szukałem pielęgniarek, które opiekowały się moim bratem, ale zniknęły bez śladu” (z wywiadu dla mediolańskiego tygodnika „Gento” w roku 1977). Podobne cuda działy się po dziwnej („samobójczej”) śmierci Marilyn Monroe i wielu innych gwiazd.

Niektóre wytwórnie, jak np. Warner Bros, angażowały urzędników prokuratury i tworzyły specjalne ekipy do spraw bezpieczeństwa, których zadaniem było tuszowanie afer i niedopuszczanie, by skandale trafiały na łamy prasy. Ale tego rodzaju sita nigdy nie były wystarczająco szczelne.

Opinię publiczną zawsze przerażała, lecz i fascynowała cała ta zaszargana cudowność orgiastycznej „fabryki snów” (zepsucie ma to do siebie, że budzi lęk i przyciąga), z jej nadamoralnym wyuzdaniem, którego ilustrację stanowią jedno powiedzonko („W tym mieście dziewczicą może być jeszcze tylko 4-letni chłopiec, jeżeli jest brzydki”) i dwie „wieczne” anegdotki Hollywoodu. Pierwsza: na Bulwarze Zachodzącego Słońca spotyka się dwóch malców.

- Wiesz - mówi jeden - mój nowy tatuś jest bardzo fajny.

- Wiem - odpowiada drugi - w zeszłym roku on był tatusiem u nas..

Druga: reżyser zwraca się do aktorki:

- Zagra pani rolę kobiety czystej i niewinnej. Czy ma pani w tej dziedzinie jakieś doświadczenie?

W końcu władze postanowiły oczyścić tę „stajnię Augiasza” i wypędzić diabła z lubieżnego cielska Hollywoodu. Egzorcyzmy przeprowadziło dwóch mnichów z zakonu jezuitów, którzy na zlecenie „cara Hollywoodu”, pocztmistrza generalnego, Williama Hayesa, ułożyli kodeks cenzuralny dla filmów, zawierający niezwykle drobiazgowo przepisy tego, co wolno i czego nie wolno (nie wolno się całować na ekranie ponad 7 sekund, upijać, narkotyzować, prostytuować, pokazywać nago, tańczyć bezwstydnie, budzić nieprzyzwoite skojarzenia etc). Na ekranie tedy zmieniło się sporo, lecz za kulisami nic, a kiedy zniknęły już za horyzontem czarne chmury Wielkiego Kryzysu z przełomu trzeciej i czwartej dekady wieku - kult gwiazdorstwa, na którym jechał cały ten biznes, rozpędził się jeszcze bardziej. Z tego właśnie postanowiła skorzystać mafia, a dokładnie jej hollywoodzkie ramię, szef kalifornijskiej spółki morderców z ograniczoną odpowiedzialnością, Benjamin „Bugsy” Siegel.

Siegel rozpoczął od szantaży. Doprowadzał do zerwania w ostatniej chwili, tuż przed pierwszym kłapsem, kontraktu między sławnym aktorem a producentem i w imieniu gwiazdora wymuszał znaczne podniesienie gaży, po czym 10-20 procent tej podwyżki oddawał aktorowi, resztę zaś zagarniał dla mafii. Wytwórnie filmowe były bezradne, gdyż nie chciały kłaść swoich filmów na łopatki. Co prawda, zawsze można zaangażować inną gwiazdę, ale samo opóźnienie realizacji już zaczętego filmu jest tak kosztowne, iż bardziej opłacało się płacić haracz Siegelowi. Następnie „Bugsy” - korzystając z

doświadczenia kolegi z syndykatu mafijnego, sławnego Louisa Lepke, który opanował prawie wszystkie amerykańskie związki zawodowe - o władnięt związkiem zawodowym pracowników filmu i to już było właściwie wszystko, co mógł zrobić w Hollywood, więc potem zainteresował się hazardem w Las Vegas. Aktorzy niewątpliwie skorzystali na jego pomysłach, mafia dała im dużą siłę przebicia. Bodajże w roku 1960 po raz pierwszy gwiazda ekranu zażądała okrągłego miliona dolarów za rolę w filmie, co wprawilo szefów wytwórni 20-th Century Fox w przerażenie, lecz *nolens volens* zgodzili się. Tą gwiazdą była „Kleopatra” - Liz Taylor.

Siegel - niczym Antoniusz - stracił życie (w latach czterdziestych) z powodu pięknej kobiety, intymnej przyjaciółki wielu znanych gangsterów, Virginii Hill, która w ciągu jednej nocy potrafiła wydać na alkohole 10 tysięcy dolarów i która zwykła była twierdzić, że ma dwa nieograniczone źródła dochodów: mężczyzn oraz konie wyścigowe. W całych dziejach mafii amerykańskiej tylko jedna jeszcze kobieta uzyskała podobną sławę: była to Evelyn Mittelman, zwana „Kiss of Death Girl” („Pocałunek Śmierci”), gdyż wszyscy jej kochankowie zmarli tragicznie i to bynajmniej nie w wypadkach samochodowych.

Mafia nie ingerowała w życie intymne Siegela do chwili, kiedy uzyskała dowody, że „Bugsy” większość zysków z Hollywoodu i Las Vegas inwestuje... w pannę Hill. Wysłano mu kilka upomnień, które zlekceważył. Czuł się bezpieczny, nie zdarzyło się bowiem nigdy, by mafia skrzywdziła któregoś z członków najwyższej rady syndykatu lub organu egzekucyjnego, Murder Incorporated, powołanego w roku 1929 na wielkim zjeździe gangsterów w Atlantic City (na tym kongresie mafia wydała wyrok na Ala Capone), a on był członkiem obu tych instytucji. Zapomniał, że w każdej regule istnieją wyjątki, bez których reguła nie mogłaby być sobą. Wyrok na Siegela wydała najwyższa rada na posiedzeniu w Hawanie. Zastrzelono go w Hollywood, w willi Rudolfa Valentino, którą kupił dla Virginii Hill.

Bossem na Kalifornię został po śmierci „Bugsy’ego” fenomenalnie przekupujący polityków Mickey Cohen, po nim zaś Sycylijczyk Jack Dragna. Kto tam teraz rządzi, nie wiadomo, bo mafia nie publikuje regularnie raportów na temat swej działalności, a „przecieki” mają na ogół spore opóźnienia. Wiadomo natomiast, że wszystko jest po staremu, bo kurs mafii - w przeciwieństwie do kursu dolara - nigdy się nie chwieje.

W samym Hollywood również nic się nie zmieniło. W roku 1978 jeden z odważnych dziennikarzy stacji telewizyjnej NBC odsłonił aktualne powiązania „fabryki snów” z „fabryką śmierci”. Udowodnił, że producenci filmów regularnie opłacają się mafii za „opiekę”, i jako klasyczny przykład podał Dino de Laurentisa, który tylko za niewtrącanie się mafiosów do produkcji sławnego giganta „King Kong” uiścił na rzecz kalifornijskiej filii mafii 30 tysięcy dolarów

(w tym przypadku łącznikiem między mafią a wytwórnią był dawny obrońca Ala Capone, adwokat Korshak).

W niczym nie zmieniło się rajskie Hollywood. Kiedy my tam zawitamy, toczyć się będzie akurat sprawa naszego rodaka, Romana Polańskiego, który 11 marca 1977 roku „zgwałcił” 13-latkę w willi Jacka Nicholsona. Skazano go za to na 3 lata więzienia, ale zawieszono wykonanie kary, by go poddać badaniom psychiatrycznym, z czego skorzystał i zwiął do Europy. Tam, wiedząc już, że zhańbione dziewczę od ósmego roku życia uprawiało intensywny seks, odszczeknął się z sarmackim wdziękiem w wywiadzie dla „New York Post”:

„Moje «Chinatown» ogląda w telewizji 50 milionów Amerykanów, a mnie wrabiają w więzienie! Chcieli przygwoździć moje jaja do ściany. Nie dostaniecie ich, s...syny, macie za krótkie pazury! Niedoczekanie wasze!... Nie ma Hollywoodu! Filmy powstają tam, gdzie postanowi reżyser. W Kalifornii straciłem żonę, dziecko i być może zdrowie psychiczne, a nawet może straciłem wolność. Powiedziałem sobie - nie! Naziści nie potrafili odebrać mi wolności, nie zdołał tego zrobić również żal postracie najbliższych. I ani ta mała kurewka, ani prawo Kalifornii nie zdołają odebrać mi wolności. Jestem obywatelem świata. Z tej Ameryki wyrzucili Ingrid Bergman i Charlie Chaplina. Oni upajają się śmieciami, a niszczą to, co wartościowe. Skończyłem z tym!”.

„Nie ma Hollywoodu”? O nie, tutaj „Polo” się myli. Co prawda samo miasteczko stało się przestępczą dżunglą pełną alfonsów, prostytutek i nożowniczych rozpraw. Co prawda przy Selma Avenue i Sunset Boulevard rozsiadły się bezczelnie sex-shopy, „salony masażu” i inne zamtuzy. Co prawda spokojni mieszkańcy Hollywoodu mają rację twierdząc, że ich siedlisko to „erotomańsko-gangstersko-narkotyczna gnojówka”. Co prawda nawet aktorzy nie wytrzymują społecznego upadku tej dzielnicy i coraz liczniej uciekają do bezpieczniejszych willi przy Rodeo Drive w dzielnicy Beverly Hills, a dzieci hollywoodzkich gwiazd popełniają samobójstwa, tak dziewczęta (np. córka Jamesa Arnesa), jak i chłopcy (synowie Paula Newmana i Edwarda G. Robinsona oraz pasierb Roberta Taylora przedawkowali środki farmakologiczne i narkotyki, zaś synowie Gregory Pecka i Charlesa Boyera zastrzelili się). Ale mimo to wszystko Hollywood wciąż jest stolicą światowej kinematografii. Jak powiedział w wywiadzie dla „Nouvelles Littéraires” sławny reżyser, Steven Spielberg (*Szczyki*): „Hollywood, w którym ludzie najzdolniejsi pracują z największymi tępakami, to bardzo dziwne miejsce. Produkuje najlepsze filmy wtedy, gdy wydaje się, że jest na samym dnie”.

Pasuje to doskonale do całej mitologii tej „fabryki snów” funkcjonującej w kraju, który „jako twór społeczny i polityczny skazany jest na oglądanie rzeczywistości z perspektywy optymistycznej” (Robert Warshow) i do Happy Endu, tego z pozoru najbardziej nierealnego wymysłu Hollywoodu, będącego

w istocie logicznym ostatnim echem obietnicy rajy i szczęścia w Nowym Świecie. Albowiem Hollywood wciąż jest ostatnią bazą mitologii amerykańskiego Edenu. Nie szkodzą mu obmowy, taplanie się w błocie, demaskatorskie powieści w rodzaju *Pożaru Los Angeles* Nathanaela Westa i zdarzające się tu małe śmierci wielkich ludzi, począwszy od Scotta Fitzgeralda.

To, że dzisiaj na skrzyżowaniu Hollywood Boulevard z Vine Street („najsławniejszy narożnik świata” z charakterystyczną wieżą wytwórni płyt Capitol) i przed Chińskim Teatrem Graumana, po słynnym „trotuarze gwiazd”, na którym są odcisnięte w betonie ręce i stopy największych idoli ekranu, włóczą się tłumy prostytutek obojga płci - jest bez znaczenia dla legendy i siły Hollywoodu. W dalszym ciągu jest to wielki świat filmu. Być może jest to świat upadłych aniołów (czyż nie był taki zawsze przez swoje rozbestwione gwiazdy?), ale właśnie dlatego - powtarzam - jest taki fascynujący. Aniołowie (zajrzyjcie do Biblii) już z samej definicji są bezpłciowi, cukierkowi, nieinteresujący - n u d n i ! Jest coś gorszego na tym globie ponad nudę? Romantycy pierwsi zadali to pytanie i udzielili na nie jasnej odpowiedzi (Chopin w liście do Delacroix: „Nuda jest najokropniejszą udręką”; Słowacki w *Lambro*: „Ostatni stopień wszystkich nieszczęść - nuda”). Amerykański psychoterapeuta, Rollo May: „Doskonałość jako cel jest bękarcim pomiotem przeschmuglowanym z technologii do etyki”. Czyż nie jest to prawdą? Dopiero upadłe anioły przestają być nudne i przykuwają uwagę. Lepiej nie potrafię Wam tego wytłumaczyć.

Żeby to zrozumieć, musieliśmy znaleźć się tam, dojechać highwayami nr 10 i 101, zjechać z nich, przejść przez Bulwar Zachodzącego Słońca, b y ć . Patrzyć, rozmawiać, dotykać. Nie popełniliśmy w ten sposób błędu owego chłopca z opowiadania Mrożka. Chłopiec ów chcąc się dowiedzieć, jaka jest żyrafa, zdał się kolejno na mistyczną intuicję swego wuja katolika i na materializm dialektyczny wuja komunisty, a nie przyszło mu do głowy, że trzeba pójść do ZOO.

Przenocujemy wśród tych wspaniałych ludzi (to są naprawdę wspaniali ludzie - właśnie kalifornijczyk Arden Chapman pobił rekord świata, chwytając ustami kiść winogron rzuconą z odległości 74 metrów!), a rano wyruszamy międzystanową autostradą nr 5 w wielką podróż przez miasto aż do podmiejskiego Anaheim, gdzie znajduje się druga kalifornijska „fabryka snów”, na odmianę dziecięcych. Poświęcimy prawie cały dzień na spotkanie z Myszką Miki i jej ferajną w Disneylandzie. Z czystej ciekawości, nie zaś by coś zrozumieć, bo co można zrozumieć wśród głupawych kaczków i myszek? Tak sobie myślałem przekraczając bramę...

W roku 1923 pojawił się w Hollywood nikomu nie znany młodzian (22-latek) z trzema kreskówkami pod pachą i rozpoczął wędrówkę po wytwórniach, chcąc sprzedać te swoje filmy. Wypraszano go za drzwi. W kilka

lat później jakiś nowojorski producent zaryzykował i dał mu szansę. Ale bohater filmu, wesoły królik Oswald, nie spodobał się publiczności. Zmartwiony twórca wracał pociągiem z Nowego Jorku do Hollywood i szukał w myślach zwierzątka, które mogłoby przynieść mu sukces. Nagle w przedziale rozległ się krzyk:

- Mam! Mam! Mysz!!!

Przerażone pasażerki zawyły i wskoczyły na siedzenia, nie mając pojęcia, że w ten sposób (w roku 1927 - kolejna okrągła, tym razem 50-letnia rocznica na naszym szlaku) urodziła się największa w dziejach filmu rysunkowego gwiazda i że dzięki niej ten młody człowiek, Walt Disney, zrobi oszałamiającą karierę typu „pucybut milionerem”.

Co prawda ten klasyczny „self-made man” nie zaczynał jako pucybut, lecz jako uliczny sprzedawca gazet, ale cóż to za różnica? Od dziecka pasjonowały go film i rysowanie, ale najpierw czekała przygoda wojenna: zajął miejsce za kierownicą ambulansu Czerwonego Krzyża. Ów ambulans stał się szybko najślawniejszą sanitarką linii frontu I wojny światowej na terenie Francji, gdyż cały był pokryty wykonanymi przez kierowcę rysunkami zabawnych ludzików i zwierzątek.

Po wojnie wynędzniały Disney utrzymywał się z reklamówek gazetowych i filmowych. Jego skromne mieszkanko było zarazem atelier, a ludzie, którzy przypadkowo znaleźli się w tym „apartamencie”, starali się z niego jak najszybciej umknąć, ponieważ właściciel uwielbiał myszy. Obłaskawiał je i karmił. Swej faworytce dał imię Mortimer i zaprzyjaźnił się z nią do tego stopnia, że wolno jej było biegać po stole, na którym rysował. I to właśnie Mortimer przypomniał mu się w pociągu do Hollywood, stając się pierwowzorem Mickey Mouse i zarodnikiem wielkiego imperium, w którym królowej-myszce towarzyszą psy Groofy i Pluto, kot Figaro, kaczor Donald, jelonek Bambi, byk Ferdynand, słonik Dumbo i cała banda pomniejszych gwiazd animowanego ekranu.

Jest to cesarstwo ogólnoswiatowe, rozpięte na wszystkich kontynentach i zaszczepione w miliardach serc, co nie znaczy, że jego bohaterowie mają lekkie życie. Na przykład „dziewczyzna” Mickey Mouse’a, myszka Mini, jest niecierpiana i wszystkie plebiscyty popularności są dla niej katastrofą. Publiczność uważa ją za „babsztyla” pętającego się przy dzielnym Mickeyu i krępującego jego wolność.

W ogóle życie seksualne postaci Disneya przysparza im sporo kłopotów. W Finlandii, na przykład, kaczor Donald stał się „persona non grata”: władze miejskie Helsinek zakazały bibliotekom publicznym odnawiania prenumeraty wydawnictw z Donaldem, argumentując, że jest on dla młodzieży wzorem niemoralnym, żyje bowiem ze swą towarzyszką bez ślubu (sic!). Stara śpiewka z piętnowaniem bajek zamiast rzeczywistości. Podobnie było z Pinokiem, na

którego wściekli się Japończycy, za co włoscy wielbiciel drewnianego chłopca wystąpili do swego rządu, by zakazał importu japońskiego sprzętu technicznego.

W drugiej (obok seksu) z dwóch dyscyplin najbardziej podniecających jankesów - w finansach - Donald wywołał nie mniejszy skandal. Dowcipnym pracownikom Głównego Amerykańskiego Urzędu Księgowości udało się bez trudu umieścić jego nazwisko na liście płac Wydziału Budownictwa Mieszkaniowego i Rozwoju Urbanistycznego (z rocznym uposażeniem w wysokości 99 tysięcy 999 dolarów), mimo że komputer WBMiRU jest rzekomo tak zaprogramowany, iż podobne oszustwa są niemożliwe. Komputer nie tylko nie wykrył, że przyjęto do pracy Kaczora Donalda, ale nie sprzeciwił się także jego pensji, dwukrotnie przewyższającej górną granicę, która dla urzędnika państwowego wynosi 47 tysięcy 500 dolarów.

Disney, kiedy już dzięki swej menażerii posiadał miliony, postanowił, że stworzy materialną ojczyznę tej zwariowanej czeredy: Disneyland - Krainę Disneya.

Budowa ruszyła w roku 1954 i trwała 12 miesięcy. 2500 robotników pracowało 17 godzin na dobę. Kosztowało to wszystko 17 milionów dolarów. Po czym nastąpiła trzecia siedemnastka: 17 lipca 1955 roku, wybudowany na przedmieściu Anaheim (27 mil na południowy wschód od śródmieścia Los Angeles) Disneyland triumfalnie otworzył podwoje. Ten triumf trwa do dzisiaj, a kiedy próbowano go racjonalnie wytłumaczyć, najtrafniejszej odpowiedzi udzieliło dwóch ludzi pióra, Gladwin Hill i Ray Bradbury. Sukces Disneylandu wytłumaczyli oni „zmaterializowaniem, urzeczywistnieniem wyobraźni”. Dzięki wścibskości i niedyskrecji jednego z dziennikarzy ujawniony został fakt, że większość wizytujących Stany Zjednoczone szefów rządów, ministrów, królów, książąt, generałów i innych dygnitarzy, kiedy spytano ich wcześniej kanałami dyplomatycznymi, co chcieliby obejrzeć w Ameryce, na pierwszym miejscu listy podawała Disneyland! Nie ominęli go najwybitniejsi artyści, pisarze i sportowcy, którzy przybyli na kontynent amerykański. Zawitali doń król Jordanii, cesarz Japonii (Japończycy, żeby mu zaoszczędzić podróży transoceanicznych, zbudowali później kopię Disneylandu nad Zatoką Tokijską, pod Tokio), szach Iranu, wszyscy prezydenci USA, kosmonauci radzieccy i amerykańscy. Gdy pojawił się tam znany amerykański mąż stanu, przewodniczący Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, Earl Warren, dziennikarze spytali go, jakim cudem w nawale swych obowiązków znalazł czas na wizytę w Disneylandzie. Warren odparł:

- Do licha, musiałem to zrobić. Gdziekolwiek ruszyłem się na świecie, wszędzie pytano mnie przede wszystkim o Disneyland! No więc musiałem to w końcu zobaczyć!

Disneyland - największe (nie licząc o 16 lat młodszego Disneyworldu na

Florydzie) i bezwzględnie najslawniejsze wesołe miasteczko planety - jest gigantyczną, otoczoną wysokim murem „wyspą” w morzu okolicznej zabudowy biurowej i mieszkalnej. Sąsiaduje z nią druga „wyspa”, większa od Disneylandu - parking na 11500 wozów, na którym trudno znaleźć miejsce (do dzisiaj ponad 200 milionów zwiedzających)! Bilet, najtańszy za 7 dolarów, nazwany na okładce „Paszportem do cudownych przygód w Najszczęśliwszym Miejscu na Ziemi”, to właściwie mała, bajecznie barwna książeczka z kuponami, które się kasuje w miarę zażywania rozkoszy Disneylandu (na przykład: przejażdżka łodzią podwodną kapitana Nemo, strzelanina w mieście z Dzikiego Zachodu, afrykańskie safari etc).

Jesteśmy dwoma z 10 milionów 700 tysięcy ludzi, którzy w roku 1977 wykupili takie bilety (dane z 9 lutego 1978 w „Financial Times”). Wkraczamy przez główną bramę na Main-street, główną ulicę Disneylandu. Prowadzi ona przez XIX-wieczną Amerykę (drewniane domy, stylowe sklepy, kinematograf, gazowe lampy na chodnikach). Jeżdżą po niej tramwaje i jakieś starodawne omnibusy, obwieszane dzwoneczkami i pomalowane na wszystkie kolory tęczy. W dalekiej perspektywie widnieje średniowieczny, pełen baszt i krużganków, Zamek Śpiącej Królowej. Wokół wir karuzel, rakiet, pociągów ery Buffalo Billa i ery kosmosu. Jest to feeryczny karnawał, w którym traci się głowę. Dzieci szaleją ze szczęścia, bawią się z myszką Miki, z krasnoludkami, z kaczo-rem Donaldem.

Wokół centrum różne „kontynenty przygód”. W Fantasylandzie (Krainie Fantazji) można się przejechać na Karuzeli Króla Artura i na Latających Słoniach, zjechać bobslejami z wielkiej góry Matterhorn, wziąć udział w zawodach ścigaczy i pofruwać z Peterem Panem, ubawić w starym teatrze i w cyrku, zawitać do Alicji i jej Krainy Czarów oraz nawiązać znajomość ze Śnieżką i jej małymi przyjaciółmi.

W Tomorrowlandzie (Krainie Przyszłości) można odbyć spacer w kosmosie (w skafandrach), polecieć na Marsa, odbyć podróż podmorską w batyskafie i przejażdżkę specjalnym pociągiem przez Wielki Kanion.

We Frontierlandzie (Kraju Pogranicza) kursują na rzece „Parostatek Marka Twaina” i żaglowiec „Columbia”. Nie bojący się huków mogą się wyżyć w galerii strzelniczej. Cały Dzikie Zachód ze swymi „kowbojskimi” miasteczkami i wioskami indiańskimi stoi otworem, podobnie jak Wyspa Tomka Sawyera.

W Adventurelandzie (Krainie Przygód) - przygód bez liku. Porachunki rewolwerowców i średniowiecznych rycerzy, dżungla afrykańska, przez którą można się przebić płynąc łodzią po rzece i ostrzeliwując się, albo polować w niej na dzikie zwierza. Podobne atrakcje czekają w Bear Country (Krainie Niedźwiedzi), gdzie między innymi poluje się i pokonuje różne niebezpieczeństwa z najslawniejszym traperem amerykańskim, Davy Crockettem, oraz na New Orleans Square, gdzie wchodzi się w kontakt z

piratami karaibskimi.

Powiem szczerze: nie przepadałem za Disneyem i za jego rozbrykaną czeredą (kochałem tylko krasnoludki, o czym piszę w innej książce). Nie byłem nigdy pod wpływem tych bajek w sacharynowych kolorkach dostosowanych do sacharynowych amerykańskich wyobrażeń opartych na zagwarantowanym konstytucyjnie „dążeniu do szczęścia” - wolałem nordycko posępne i mądrzejsze bajki Andersena. Nie tęskniłem do Disneylandu z jego przebogata strukturą wzniesioną na palach czystości moralnej, sprawności i nieurazania niczyich uczuć. Ale kiedy znalazłem się tam w środku, stało się coś dziwnego. Wszystkie te bajki raptem żywą ilustracją powróciły do mnie i zakochały mnie w sobie...

Było to działanie retroaktywne, lecz tak silne, że poddałem się mu bez oporu. Wędrowałem po tej puszczy nagle zrewaloryzowanych wspomnień, odbywając za pomocą magicznego wehikułu czasu czarodziejską podróż do wymiaru, za którym najbardziej tęsknimy - za zamglonym archipelagiem dzieciństwa, które przeminęło i nie chce na stałe powrócić. Nie każde dzieciństwo było beztroskie, lecz czas i odległość idealizują, a jeśli nie dzieciństwo - to co ma być pięknego w naszym życiu, godnego żalu za przeminionym i melancholijnej zadumy? Po tym obszarze pajęczej nostalgii poruszamy się lekkimi stopami, nie czując ciężaru codzienności, jakbyśmy stąpali po błękitnych obłokach z anielskimi skrzydłami u ramion - jeszcześmy nie upadłe anioły. Ziemia jest hen, w dole, a ludzie i wszystkie ich intrygi, nienawiści, obmowy, kupczenia i płaszczenia się, stają się małe, maleńkie, takie maleńkie, że przestają funkcjonować. Wokół nas bajkowy ład ułudy, która potem dorosła, zestarzała się, zgorzkniała i utraciła swą krystaliczną niewinność niczym Królewna Śnieżka, gdy mężczyzna rozbił wieko jej kryształowej trumny, ale oto powróciła na mgnienie oka dzięki temu miasteczku ze snu.

Lecz to jeszcze nic. Do końca zrozumiałem wszystko, co powinienem w tym miejscu zrozumieć, gdy ujrzałem w tłumie na Main-street matkę pchającą mały inwalidzki wózek, na którym siedział jej synek, i kiedy zajrzałem w oczy tego dziecka. Miał oczy w kolorze szczęścia i nie było w nich pragnienia cudu, bo cud właśnie się stawał, a niezgoda na rzeczywistość pozostała gdzieś za bramą Disneylandu, zapomniana razem z całą ponurą i milczącą cywilizacją kalekich, która nie ma odwagi przeciwstawić się butnej pewności sprawnych. Ten chłopiec nie wiedział już, że nie może chodzić, porwał go kolorowy wir owej krainy i na tę jedną godzinę lub kilka przestał być kaleką, dostał - widziałem to - skrzydeł i był ptakiem, aniołem, bogiem nad rajem! I dzięki niemu pojąłem cały geniusz Walta Disneya.

Ave Walt!





ETAP X

O szesnastej zegnamy Disneyland i przez Santa Ana, El Toro i San Juan Capistrano (same hiszpańskie nazwy!) szorujemy międzystanowym nr 5 w kierunku wybrzeża. Wreszcie jest - Pacyfik! O 16⁴⁰. Zjeżdżamy na pierwszą lepszą publiczną plażę (Doheny State Beach); palmy, zdjęcia i kąpanie się przez dwie godziny. Woda biaława i makabrycznie słona, dno kamieniste. Przy samym brzegu drobne kamienie porywane przez fale miotają się w tę i we w tę uderzając boleśnie o kostki. Ze to jest publiczna plaża, widać po bezskorupowych czarnych ślimakach, wielkich jak bochny chleba, wyrzuconych przez ocean na piach i gnijących w słońcu. Ciemna bariera rozkładającego się ścierwa, ale jankesom tłumnie zalegającym plażę jakoś ten smrodek nie przeszkadza.

Obmywamy wstrętny zapasek pod prysznicem i znowu pędzimy interstatem nr 5, wzdłuż wybrzeża oceanu. San Clemente, Oceanside, Carlsbad. Na całej szerokości highwayu szaleje banda zwariowanych motocyklistów bez kasków, z nagimi torsami pełnymi tatuaży i jakichś kretyńskich wisiorków, oznak, medali. Wyją, robią esy floresy, macają siedzące za nimi dziewczyny prowadząc motory jednoręcznie przy szybkości ponad 100 mil na godzinę! Mały popłoch wśród statecznych samochodów i ta niecywilizowana myśl pod czaszką: wziąć karabin maszynowy i...

Wielkie San Diego. Nie tak wielkie jak Los Angeles, lecz pełne tak samo fantastycznych, pięciopoziomowych węzłów autostrad. Skończyła się wędrówka na zachód i teraz „young men” rozpoczną odwrót na wschód, ku drugiemu oceanowi. Najpierw międzystanowym highwayem nr 8, wzdłuż granicy meksykańskiej, do Yumy - najślawniejszego więzienia Dzikiego Zachodu.

Nieczynne, zamienione na muzea więzienia, ze swą atmosferą zbrodni i kary, zawsze były i będą faworytami turystów. W San Francisco najpopularniejszym zabytkiem, istną Mekką zwiedzających, jest sławne Alcatraz. Yuma nie jest tak znana. Właściwie mało kto znałby tę nazwę, gdyby nie wspaniała film Delmera Davesa *15¹⁰ do Yumy* z Glennem Fordem i Van Hefflinem oraz nostalgiczna ballada pod tym samym tytułem, śpiewana przez Frankie Laine'a. Ubogi farmer podejmuje się za 200 dolarów przewieźć groźnego bandytę do więzienia w Yumie, nie daje się przekupić łapówką w wysokości 10 tysięcy dolarów i przez cały czas ryzykując życiem wypełnia zadanie. Ale Yuma istnieje tylko w tytule tego westernu, Daves nie pokazał jej. Jakby mi zabrakło zakończenia, więc przyjechałem tutaj, żeby zobaczyć Yumę.

Leży ona gdzieś na krańcu świata, który wciąż, tak jak w XIX wieku, jest

„pograniczem pogranicza”, na pustyni przeciętej stykiem dwóch państw. Kto by się tam tłukł oprócz nielicznych Amerykanów zwiedzających Kalifornię?... Jak to kto? Pochodząca z innego pogranicza spółka (z ograniczoną odpowiedzialnością) „Łysiak and Shebauský”, z takich przede wszystkim paciorków nanizła różaniec swego „tripu” i czego jak czego, ale Yumy nie mogło zabraknąć w modlitwie tej włóczędzy.

El Cajon, Alpine, w okolicach Calexico długa jazda wzdłuż okropnie cuchnącego jeziora. Zapada zmrok. Coś niedobrze z silnikiem, brzydsko gra. Zjeżdżamy na stację Shella, robimy mały „check-up” (przeгляд) wozu, wymieniają nam olej i jakieś części. Po godzinie opuszczamy warsztat i chcemy wziąć benzynę, ale okazuje się, że właśnie zamknięto zawory, koniec pracy. Karzeł, z którym rozmawiamy, jest kochany - otwiera i napełnia nam bak, mrużąc:

- Będziecie już dzisiaj ostatni.

- Pismo Święte (Holy Bible) mówi, że ostatni będą pierwszymi - wrywa mi się z ust jedno z tych automatycznych „chlapnięć”, które omijają zastanowienie i są z reguły tak mało dowcipne.

Karzeł podnosi głowę, przygląda mi się uważnie i odpowiada cicho:

- Tak mówi, ale ja nie wiem...

Około północy zjeżdżamy na pobocze, w pobliżu kilku śpiących domów. Rozprostowujemy kości. Staję nad rowem za potrzebą... Nagle z mroku wyłania się jakiś człowiek, rozmawia z Jerrym. Słyszę jego chrapliwy, podniesiony głos i widzę jak jego pięść spada na twarz mojego przyjaciela. Kiepskie uderzenie, chociaż rozcięło kąciki ust, które będą potem krwawić jeszcze przez dwie doby. Nie widzę zza pleców tamtego odpowiedzi Jarka, ale jest podwójna i dobra, bo najpierw głowa napastnika odskakuje do tyłu, a zaraz potem on sam pada na wznak. Jest drugi! Przeskakuje rów, biegnie z wyszczerzonymi zębami i z nożem w ręku! Podstawiam mu nogę, nie przewrócił się, ale zachwiał i zrobił kilka kroków pochylony, na zgiętych nogach. Wystarczyło. Prostuję go butem i walę w żołądek tak silnie, jak tylko mogę. Klęka, upuścił nóż. Nie mam litości, kopię jeszcze raz, Jarek coś do mnie krzyczy... Wskakujemy do wozu i uciekamy z tego diabelskiego miejsca. Kamień uderza z hukiem w karoserię (na szczęście nie o szybę) - albo wstał ten pierwszy, albo nadbiegli inni. Uuuff!...

Rozgorączkowani komentujemy tę scenę dziesięciokrotnie. „Śmy są chłopcy na schwał”, ale te ciarki strachu wciąż jeszcze nie spłynęły z grzbietu. Jak ręką odjął przeszło zmęczenie. Wciąż nie ma żadnej Rest Area, a zatrzymać się byle gdzie już nie chcemy. Dopiero w pobliżu Yumy znajdujemy strzeżony parking. I wciąż rozmawiamy o tym, co było...

Budzimy się mokrzy od potu, zżerają nas roje muszek. Prysznic. Ziemia wokół pełna małych skorpionków wielkości konika polnego. Ruszamy dalej.

Cały czas wzdłuż granicy, w afrykańskim tropiku, przez niskie pagórki całe w kaktusach. Pustkowie, teren dawnego Meksyku. Na granicy stanów (po raz trzeci wyjeżdżamy do Arizony) przekraczamy rzekę (Colorado połączona z Gila River) i o 9¹⁰, odnogą autostrady nr 8, meldujemy się w Yumie.



O więzieniach opowiadano sobie niemożliwości - baśnie jak mniemałem - lecz tak dziwaczne i tak upiorne, że nie dadzą się powtórzyć, chyba szeptem (...) Nie mogłem również zapomnieć o tym, co zdarzyło mi się ongi czytać o tych studniach, mianowicie, iż nagłej śmierci nie miały one bynajmniej na celu (...) Kiedym zniechęcony powstał z ziemi, w umyśle moim rozjaśniła się nagle tajemnica zmian, które zaszły w celi. Zauważyłem dawniej, że wprawdzie zarysy figur, widniejących na ścianach, dość były wyraźne, lecz barwy ich jak gdyby ściemniały i przygasły. Otóż te barwy jeły teraz nasycać się i skrzyć się tak przeraźliwie, iż widmowe i szatańskie bohomy przybrały wygląd, mogący wstrząsnąć nawet silniejszymi od moich nerwami...

Edgar Allan Poe *Studnia i wahadło*

15¹⁰ DO PIEKŁA

24 sierpnia 1890 roku w gazecie „Arizona Republican” ukazał się sielankowy tekst, którego fragment cytuję:

„Obiekt jest prześlicznie położony na wzgórzu, z którego rozciąga się urocza panorama miasta. Z jednej strony rzeka Colorado, z drugiej Gila, łączące się u podnóża - czyż może być położenie bardziej malownicze i atrakcyjne? (...) Cały ten obraz jest nad wyraz przyjemny i urzekający, a nie brak mu także walorów praktycznych (...) Okolica nader zdrowa, wzniesienie zachowuje orzeźwiający wiaterek, temperatura nigdy nie jest zbyt wysoka, noce zaś są delikatnie chłodne, a przeto pełne słodyczy”.

Przeczytawszy taką reklamę kurortu, wszyscy, chorzy i zdrowi, popędzilibyśmy na atrakcyjne wzgórze, pierwsi, by podreperować organizm w klimatycznym rajku, drudzy dla walorów nie mniej praktycznych, chociażby po to, by zakosztować owych nocy delikatnie chłodnych i pełnych słodyczy. Cytowany tekst dotyczył najstraszliwszej, otoczonej ponurą legendą tury Old Westu, której formalna nazwa brzmiała: Okręgowe Więzienie Arizony, zaś nieoficjalna: „Hell Hole”, co można tłumaczyć różnie („Dziura Piekła”, „Czarcia Jama”, „Diabelska Nora”), ale czego sens jest jednoznaczny. Żeby zaś cała zawartość cytowanej reklamy była jasna do końca, trzeba dodać, iż temperatura w Yumie rzeczywiście „nie jest zbyt wysoka” dla człowieka zamkniętego w lodówce, przybyszowi zaś w azbestowym skafandrze w ogóle nie robi żadnej krzywdy - według oficjalnych danych Yuma to amerykański biegun ciepła, temperatura mierzona w cieniu rzadko schodzi tam latem poniżej 120 stopni Fahrenheita, więc autochtoni o „latach stulecia” w swoim kraju dowiadują się tylko z radia lub telewizji. Przywiezienie tutaj skazańca

oznaczało wsadzenie go do piekła w piekle.

Właśnie to czujemy w tym małym miasteczku, które jest jakby opustoszałe, niczym latynoska prowincja podczas sjesty. Rozprażone wnętrze huty w letargu, słońce zeszło na ziemię, żeby ją przetopić na meksykański podpłomyk, wiatr umarł z braku tlenu, a niskie domy dają małe cienie. Zdycham. W tym stanie nie dojdę do więzienia, a do wnętrza nawet się nie wczolgam. Gorąca nie da się rąbnąć w brzuch... Podjeżdżamy pod supermarket. Jest klimatyzowany! Boże, co za cudowny chłód, jaka ulga! A teraz pić, pić, pić!!!

Tylko co? W kraju, w którym woda mineralna jest mało popularna i w którym pije się sto napojów orzeźwiających, z czego najpopularniejsze: coke (coca-cola), pepsi, sprite, dr Pepper, 7up i fanta - wybór jest trudny. Nie kosztowaliśmy jeszcze fioletowej fanty, wynalezionej w roku 1940 w Niemczech, gdy skończył się tam zapas coca-coli. Jest w wielkiej lodówce, zimna jak lód, małe kropelki srebrzą się kusząco na plastikowych pojemnikach. Weźmiemy największy, pełny galon (ponad 4,5 litra), i tak będzie mała, wypiłbym Pacyfik tego fioletu!

Zabieramy bańkę do wozu, zdejmujemy wielkie czerwone kubki z termosów, napełniamy je i do gardła!... Cudooo! Zimny, lekko słodkawy smaczek. Do licha, po cośmy, Polacy, kupili licencję na coca-colę, jeśli można było wziąć fantę? Drugi kubek. Wspaniałe, coca-cola to przy tym nędza, może tylko trochę za słodkie. Trzeci kubek. Tak, wyraźnie mdłe, ale niezłe... Czwarty kubek. Ile już wypiliśmy, dopiero jedną trzecią?... Piąty kubek. Więcej nie dam rady, a tu jeszcze ponad połowa w pojemniku, którego nie można trzymać w wozie, bo w tym ukropie sok zaśmierdnie się w ciągu kwadransa. Co robić?... Wylać, wylać natychmiast to ohydne, mdłe, lukrowate obrzydlistwo, od którego obu nam jest niedobrze! Genialna myśl, won!

Typowe. Człowiek przyjeżdżający tu z Europy, z kraju coca-coli, i kosztujący po raz pierwszy, w niewielkiej ilości (puszka z automatu) 7up, sprite'a czy fantę, zachwyca się nimi i żałuje, że w jego ojczyźnie nie ma któregoś z tych nektarów zamiast coca-coli. Zdradza ją jak urzędnik w delegacji. Ale po kilku dniach tej rozpusty brzydą mu dziwki i tęskni do żony, dochodząc do wniosku, że nie ma jak coca-cola. W tym siła owej brązowej cieczy, którą produkuje się w 139 krajach w liczbie 190 milionów butelek dziennie („Nad imperium coca-coli słońce nie zachodzi”), którą jedni uważają za szkodliwą dla zdrowia, a inni za panaceum (Brazylijczycy są przekonani, że coca-cola wzmacnia potencję) i której receptura jest okryta ścisłą tajemnicą. Firma, będąca najbardziej dochodowym przedsiębiorstwem przemysłu spożywczego na świecie, wysyła swoim licencjobiorcom gotowy koncentrat do rozpuszczenia. Wolą ona dać się wyrzucić z terenu Indii, niż ujawnić tajemnicę, do czego pragnął ją zmusić rząd tego kraju. Hindusi tłumaczyli się chęcią sprawdzenia, czy coca-cola nie szkodzi dzieciom. „Owszem, szkodzi bardzo - odparł rzecznik

firmy. - Wtedy, kiedy dziecku spadnie na głowę pojemnik z coca-colą”.

Seksualna butelka od coca-coli, którą zwa w Stanach „Mae West” (od bujnych „wymiarów” lubieżnej gwiazdy Hollywoodu) i która bezsprzecznie jest najbardziej genialnym opakowaniem towaru spożywczego wszystkich czasów, stała się uniwersalnym symbolem, używanym i nadużywanym przez wszystkich, od socjologów do hippisów. Przedstawiciel koncernu bez żenady powiedział o Deklaracji Niepodległości, że: „jest równie amerykańska jak coca-cola”. Dziennikarze bez żenady piszą, że „gdyby dzisiaj budowano Statuę Wolności, trzeba by jej było wcisnąć do ręki butelkę coca-coli zamiast płonącej pochodni”. W dniu powrotu kosmonautów z księżyca, we wszystkich miastach USA wisały plakaty z napisem: „Witajcie na Ziemi - planecie coca-coli”. Tego wszystkiego absolutnie nie mógł przewidzieć dr John S. Pemberton, pigularz z kozią bródką uszczęśliwiający mieszkańców Atlanty (stan Georgia) warzonymi przez siebie na podwórku miksturami (specjalność: „pigułki miłosne Triplex” i farba do włosów „Królowa Indii”), który w roku 1886 wynalazł ów płyn (miał on wówczas kolor zielony) jako lekarstwo na... podagrę!

Ten człowiek był niewątpliwie geniuszem, ale kiedy się tak dobrze opić coca-colą i zastanowić, to ten geniusz był niczym wobec tego, który wymyślił czystą wodę!

Pół galona fanty idzie do rynsztoka. Zza pleców słyszymy krzyk:

- Chłopaki, co robicie, czyście poszaleli?

Odwracamy się... Niemożliwe! To on, ten sam, ze swoją niebieską, przybrudzoną, szoferską czapką i uśmiechniętą twarzą Charlesa Bronsona! Co za spotkanie, góra z górą...

Witamy się serdecznie.

Podszedł do nas kilka dni temu, w stanie Utah, tuż za granicą Idaho. Nałożyło się wówczas na siebie kilka nieprawdopodobnych wprost przypadków...

Była wtedy godzina 17³⁵ (mam to zanotowane w notesie), kiedy poprosiłem Jarka, by zjechał z interstate nr 15 na Weight Station (stacja do kontrolowania wagi wielkich ciężarówek dieslowskich). Wiedzieliśmy, że na takiej stacji można nabrać zimnej wody do termosów. Zawsze, przedtem i potem, uzupełnialiśmy zawartość termosów na stacjach benzynowych lub Rest Areach (stacje noclegowo-wypoczynkowe dla kierowców). Tym razem, po raz pierwszy i ostatni, wybrałem Weight Station. Mogłem się zdecydować kilkanaście minut później lub wcześniej i zrobić to na jakiejś stacji benzynowej, ale zdecydowałem się właśnie tu. To był ten pierwszy z serii cudownych przypadków.

Zjechaliśmy na tył budynku. Kiedy ja nabierałem wodę, Jerry postanowił kupić coke z automatu. Mógł nie zachcieć tej coli, albo zachcieć kiedy indziej, ale zachciało mu się właśnie w tym momencie i poszedł przed front budynku. To był drugi cudowny przypadek, który ożenił się z pierwszym.

Czekając na Jarka robiłem zdjęcia pamiątkowej tablicy ustawionej za stacją (oznaczono nią miejsce wybudowania pierwszych torów kolejowych w Idaho). A tu „Chleb” wraca biały na twarzy, oczy jak po czterech dużych scotchach, puszki ledwo trzymają mu się palców. Kiedy stanął tam obok automatu, przez otwarte okno stróżówki policyjnej (na każdej Weight Station jest jednoosobowy posterunek policji) dobiegł go meldunek z głośnika: „Wszystkie jednostki! Wszystkie jednostki! Zielony Ford z rejestracją chicagoską zasuwa z szybkością stu mil na godzinę. Bierzcie go!”. Musieli namierzyć nas radarem gdzieś po drodze...

Usłyszeć meldunek o sobie samym - to się może przyśnić! I to był właśnie trzeci z owych czarodziejskich przypadków. Czwartym zaś i najdziwaczniejszym był fakt, że meldunek z niewiadomej nam przyczyny został nadany z opóźnieniem, kiedy my już dotarliśmy do Weight Station!

Policjant wyszedł przed budynek, ku autostradzie, wypatrując nas i nie wiedząc, że ma winnych „speedingu” za plecami. My zaś siedzieliśmy w wozie, trzęsąc się ze strachu. Po kilku minutach powiedziałem:

- Słuchaj, Jerry, on patrzy w lewo, a my pojedziemy w prawo, więc może...

Wyśliznęliśmy się wolniutko zza budynku na highway i popędziliśmy do przodu.

Przez kilka mil był spokój i wydawało się nam, że niebezpieczeństwo minęło. Baliśmy się tylko spotkania z jakimś wozem patrolowym, który też odebrał meldunek. Nagle w lusterku zamigotało czerwone, pulsujące światełko i zaczęło rosnać w oczach. Mają nas! Albo ten policjant na Weight Station zauważył, jak wymykamy się cichaczem, albo po prostu gnają naszym tropem. Opadła nas rezygnacja i czarne myśli o kosztach mandatu. I wtedy (niebezpieczeństwo zwraca ściganym zwierzęcy instynkt) przypomniałem sobie, że przecież Inkom było blisko granicy stanów! Chwyciłem za mapę...

- Jarek, mamy jakieś trzydzieści mil do Utah. Gaz!

- Zwariowałeś?! To jest ucieczka, a za ucieczkę...

- Ucieczkę mamy już i tak jak w banku, gaz do cholery!

Nie wiem, jaka to była szybkość, ponad sto mil na godzinę? Myślałem, że nasz „junk” się rozleci, ale jego osiem cylindrów pracowało „jak ta lala”. Od tej chwili nie daliśmy się już im zbliżyć ani o centymetr. O 18⁴⁷ przelecieliśmy jak rakieta granicę stanów. Odwróciłem się i patrzyłem, co zrobią... Miałem rację, zwolnili i zatrzymali się! Ten nie zapłacony mandat przegramy w Las Vegas.

Kilka mil dalej zjechaliśmy na pobocze. Całe nerwy, zamrożone podczas tego szaleńczego wyścigu, weszły nam teraz w ciała i obezwładniły. Siedzieliśmy milcząco i nic nie mówiąc. Potem Jarek powiedział:

- Wiesz, jak to opowiemy w domu, to nikt nam nie uwierzy.

- Wiem, to jest jak z filmu, powiedzą, że zmyślamy. Ale mam to gdzieś.

Później, po powrocie do Warszawy, czytając Dostojewskiego, znalazłem

takie zdanie: „Wydarzenia rzeczywiste, kiedy opis wydobędzie na jaw ich szczególną przypadkowość, prawie zawsze nabierają charakteru fantastycznego. Są nieprawdopodobne”. I to sprawiło, że wbrew wcześniejszym oporom zdecydowałem się, iż opiszę tę historię.

A wtedy stanęła za nami ciężarówka-gigant. Z wysokości pierwszego piętra, na której są w tych dieslach szoferki, zjechał mężczyzna w niebieskiej czapce i podszedł do nas.

- Uciekliście?

- A skąd pan wie...

- Byłem tam na Weight Station i słyszałem ten meldunek, a potem i wy, i patrol minęliście mnie. Macie niezwykły fart i kuku na muniu...

- Liczyliśmy na to, że nie przekroczą granicy stanów, podobno wolno im to robić tylko w ważnych przypadkach...

- Synu - pokiwał głową - już ci powiedziałem: masz więcej szczęścia niż rozumu. Gdyby to była policja stanowa, to goniliby cię aż do Rio Grande i nie umknąłbyś. Ale to był wóz lokalnego szeryfa, a oni mają w dupie to, co dzieje się poza ich terenem i nie chciało im się szarpać... Skąd jesteście?

- Z Polski.

- A co tu robicie?

- Zwiedzamy, chcemy objechać Stany.

- Nie możecie objeżdżać wolniej?

- Nie, mamy tylko miesiąc czasu i dziesięć tysięcy mil do zrobienia.

Znowu pokiwał głową, tym razem jakby z podziwem.

- Podobacie mi się chłopaki. Ja jestem z Yumy. To fajna dziura i powinniście tam pojechać. Dajcie atlas, pokażę wam...

- Człowieku! - krzyknąłem triumfalnie - mamy ją w planie od początku i wiemy gdzie leży! Jedziemy tam!

Rozpromienił się.

- Podobacie mi się. No to trzymajcie się, uważajcie na siebie, może się jeszcze zobaczymy.

I te słowa stały się - ku naszemu zaskoczeniu - samospełniającym się proroctwem. Jeszcze jeden przedziwny przypadek - oto ściskamy się niczym rodzina na parkingu supermarketu w Yumie i on ochrzania nas za wylewanie fanty.

- Podoba się wam Yuma?

- Fajna, tylko trochę ciepła.

- Przywykniecie. Byliście w więzieniu?

- Jeszcze nie, właśnie mamy zamiar.

- W porządku. To warto zobaczyć... Ojciec mojej macochy był tam strażnikiem.

- Żyje? - pytam z nadzieją, że uda się porozmawiać z człowiekiem, który

pracował w „Czarnej Jamie”.

- Gdzie tam, umarł zanim ja się urodziłem. Więzienie skasowano w 1909... No, to jeszcze raz do zobaczenia!

Jedziemy w kierunku rzeki, na skraj miasta, gdzie znajduje się „Hell Hole”. Wzniesione w roku 1876 na granitowym płaskowyzu, nad żeglowną Colorado (Yuma funkcjonowała jako ważny port rzeczny) - było pierwszą budowlą publiczną stanu Arizona i zarazem klasycznym produktem najlepszych lat Dzikiego Zachodu, które rozpoczęły się w dobie wojny secesyjnej. Cała Arizona miała wówczas mniej niż 50 tysięcy mieszkańców, białych, Meksykanów i Indian, Yuma kilkuset.

Więźniów przywożono przebiegającą przez miasto transkontynentalną linią kolejową Southern Pacific Railroad - stąd *15¹⁰ do Yumy*. W ciągu 34 lat egzystencji więzienia mieszkało ich w „Hell Hole” ponad 3 tysiące (niespełna 1 procent stanowiły kobiety). Bandyty drogowi i kolejowi, rewolwerowcy i meksykańscy desperados, Indianie i Chińczycy, złodzieje i fałszerze, zabójcy i koniokrady, narkomani i mormoni (za poligamię), był też jeden generał oraz prezes banku i jego zastępca. Wszystkie śmieci południowego Old Westu zmiotano do Yumy i trzymano w potwornym tłoku, po 4-6 w małych celach i 8-12 w większych. Pierwszym, oznaczonym numerem 1, był morderca William Hall (on i kilku następnych pracowali przy budowie więzienia), ostatnim, numer 3069, również morderca, Walter Sharp, przeniesiony wraz z innymi w roku 1909 do nowego więzienia Arizony we Florence. W „Hell Hole” nigdy nie wykonano wyroku śmierci (zdarzało się, że wieszano w mieście), natomiast trzymano tu czasowo przed straceniem, jak na przykład Apacza Nah-Diz-Az, znanego z książki *Zemsta Apaczów*.

W ciągu wspomnianych 34 lat przewinięto się przez „Diabelską Norę” 16 dyrektorów, lecz tylko trzech zapisało się mocno w pamięci więźniów i mieszkańców miasteczka: Gates, Behan i Ingalls. Zapamiętano również dobrze żonę tego ostatniego, Madorę Ingalls, matkę trojga dzieci, która z wielkim poświęceniem pracowała w „Hell Hole”, starając się ulżyć cierpieniom więźniów. W okresie jej pobytu (wczesne lata osiemdziesiąte) wybuchł pierwszy wielki bunt. Podczas obowiązkowej pracy na dziedzińcu, skazany na dożywocie Chico Viscaya wpakował strażnikowi w pierś metalowy hak, a jego kolega schwycił broń padającego i z odległości kilku metrów rozstrzelał drugiego strażnika. Na ten widok więźniów ogarnął szal, rozpoczęła się rzeź straży, rozbijanie krat, szturmowanie bramy. Z wieży strażniczej zaszczekał karabin maszynowy, lecz obsługę wybito jedną celną salwą. Jakiś oficer skoczył na schody, by zastąpić zabitych. Był już prawie u szczytu i dosięgał platformy, gdy kolejna salwa przecięła go na pół. Wydawało się, że to koniec i że za chwilę furia rozbestwionego tłumu spadnie na miasto. Wtedy nieoczekiwanie z wieży znowu rozległy się strzały - kulomiot rozpoczął swoją

bezlitośnie regularną pracę, kosząc szeregi buntowników. Już chcieli strzelać, gdy nagle któryś krzyknął:

- O Boże, to Dora!

Zamarli w bezruchu, opadły im ręce. Ta kobieta uratowała przedtem życie niejednemu i była ich dobrym aniołem-pocieszycielem. Kulomiot wciąż pluł morderczym ogniem i w końcu któryś z nich oprzytomniał:

- Zastrzelcie ją! Głupcy, nie stójcie jak barany!! Strzelajcie!!!

W kierunku wieży posypał się grad strzałów, ale kiedy mierzyli do niej, drżały im ręce, a może żaden nie chciał być tym, który trafi i każdy liczył na kolegów. Ani jedna kula nie drasnęła pani Ingalls. W chwilę później przyszła odsiecz i bunt stłumiono. Nigdy nie dowiedziano się, jakim cudem ta kobieta znalazła się niepostrzeżenie na platformie i skąd posiadała umiejętność obsługiwania karabinu maszynowego systemu Gatling. Ona sama nie chciała w ogóle rozmawiać na ten temat.

Buntów było kilka. Jeden z poważniejszych miał miejsce 27 października 1887 roku, za czasów dyrektora Thomasa Gatesa, człowieka prawego i szanowanego przez więźniów za sprawiedliwość, lecz ekstremalnie bezwzględny w razie potrzeby (to on wydał rozkaz strzelania w przypadku buntu, nawet jeśli w tłumie więźniów będą się znajdowali członkowie personelu więziennego). Tego dnia siedmiu Meksykanów (Vasquez, Bustamente, Puebla, Villa, Lopez, Padilla i Baca) zaskoczyło Gatesa na dziedzińcu. Oświadczyli dyrektorowi, że zginie, jeśli natychmiast nie rozkaże otworzyć bramy i nie przeprowadzi ich na brzeg Gila River. Kiedy otworzono im bramę, wyszli poza mury i wdarli się do budynku dyrekcji w poszukiwaniu broni. Ranili ciężkim kilofem dziedzińcowego Fredleya i znaleźli rewolwer w dyrektorskim biurku. Byli wolni, uzbrojeni, mieli zakładnika, który stanowił żywą osłonę przed strzałami strażników (ci bali się strzelać, by nie zranić Gatesa - inaczej mówiąc: bali się wykonać wspomniany rozkaz dyrektora) - pełnia szczęścia! I ta odrobina pecha, która jest w każdym szczęściu, ten kolec, co się okazuje większy od róży i zabija ją w końcu: na głównej wieży strażniczej pojawił się ze swym winchesterem 44-40 człowiek, który nie bał się niczego i który strzelał tak, że jak mówiono, trafiał muchę w locie. Nazywał się Hartlee, a pechem buntowników było, że pełnił służbę właśnie wtedy, kiedy oni podjęli ryzyko.

Najsławniejszy strażnik w dziejach „Hell Hole”, Benjamin Franklin Hartlee, był postacią z oldwestowych klechd, które nocami opowiadano przy ogniu i whisky. Olbrzym z brodą i twarzą o kamiennym spojrzeniu, człowiek bez nerwów, o granitowym charakterze i legendarnej odwadze, snajper trafiający we wszystko. Nikt nie mógł zajrzeć mu do wnętrza duszy i rozszyfrować - nigdy nie zrozumiano na przykład, dlaczego kontentował się etatem strażnika, chociaż mógł zostać dyrektorem.

Hartlee przyłożył winchester do ramienia i w ciągu czterech minut sześciokrotnie nacisnął spust. Nie chybił ani razu. Pierwsza kula dosięgła Villę. Wówczas Lopez przystawił dyrektorowi rewolwer do skroni, dając w ten sposób do zrozumienia Hartleemu, że jeśli padnie jeszcze jeden strzał, Gates zginie. Dyrektor zareagował błyskawicznie: odtrącił rewolwer ręką i pochylił się, odsłaniając na ułamek sekundy Lopeza. Hartlee nie potrzebował niczego więcej - zgiął palec na spuście i Lopez wywinął kozła. Był tylko ranny i poderwał się na nogi, ale następny pocisk przygwoździł go do ziemi. Rozwścieczony Bustamente ciął Gatesa nożem i padł z przestrzeloną głową (czwarta kula). Z dwóch stron doskoczyli do dyrektora Vasquez i Puebla. Vasqueza Hartlee wyeliminował z gry piątą kulą, ale Puebla, na wpół już obłąkany ze strachu i gniewu, wbił Gatesowi wielki rzeźnicki nóż w kark aż po rękajeść i zasłaniając się dyrektorem, zaczął się cofać w kierunku rzeki. Przez cały czas nie wyjmował noża z rany, wierząc nim w kompletnym szale, tak iż kark Gatesa wprost otworzył się i buchał krwią, a mimo to okropnie cierpiący dyrektor nie stracił przytomności.

Ni stąd ni zowąd na scenie pojawił się biały więzień, „dożywotni” Riggs.

- Riggs, pomóż mi! - jęknął Gates.

Riggs chwycił leżący na ziemi rewolwer Lopeza i strzelił do Puebli. Trafił, nie wyrządzając jednak bandycie większej szkody, ale kula odchyliła na moment Pueblę, a to znowu wystarczyło Hartleemu - po raz ostatni nacisnął spust i Puebla padł zabity.

Był to koniec buntu. Gates, który poprosił w roku 1888 o dymisję, nigdy już nie powrócił do zdrowia, natomiast powrócił po 15 latach do Yumy na stanowisko dyrektora, lecz nie mogąc wytrzymać ciągłych bólów w karku (przeszedł kilka nieudanych operacji) - odebrał sobie życie strzałem z colta w głowę w roku 1896.

Bunty wzniecali głównie „krótkoterminowi” (nigdy „dożywotni”, którzy liczyli na skrócenie kary za dobre sprawowanie), najczęściej Meksykanie, ale też byli oni najgorzej traktowani w „Dziurze Piekła”, co wywołało w końcu ostrą krytykę w prasie („Tucson Fronterizo” z 29 kwietnia 1890) i interpelacje w rządzie stanowym. Polemiści krytyków dowodzili, że są to kłamstwa i z dużym poczuciem humoru - wskazując na fakt, że w więzieniu jest elektryczność, której nie mają mieszkańcy Yumy i że na dziedziniec wpuszcza się handlarzy - przedstawiali żywot więźniów jako sielankę i nazywali „Hell Hole”: „Klubem Towarzyskim nad Colorado”.

Niewdzięczni członkowie „klubu” starali się na wszelkie sposoby - mimo panującego w „Czarnej Jamie” błogostanu - wymknąć poza jej mury. Nie było to łatwe. Dookoła rozciągała się bezkresna pustynia (stąd zwano Yumę „pustynnym Alcatraz”), trudna do przebycia nawet dla konnego, a co dopiero mówić o pieszym. Operujący w sąsiedztwie Indianie Quechan też nie należeli

do przyjemności - zabijali uciekinierów. Wielu załamywało się w drodze i wracało. Zawsze jednak byli nowi chętni; zwłaszcza wiosną, kiedy na wzgórze dochodził skwir dzikich gęsi ciągnących na północ, lokatorów cel ogarniało gorączkowe podniecenie. Wzmacniano wtedy straże nocne.

W ciągu 34 lat zdołało uciec i nigdy nie zostało schwytanych 26 więźniów (ale kto wie, ilu z nich wyniosło życie poza pustynię?), 64 zaś zginęło - jak podaje „The Los Angeles Times” (9 lipca 1939) - z rąk personelu więziennego i członków obław pościgowych.

Jednym z tych, którym się udało, był Joe Boot - zwiął do Meksyku w roku 1901. W Yumie siedziała także jego kochanka, Pearl Hart, najślawniejsza więźniarka w dziejach „Hell Hole”. Co prawda ona i Boot dokonali tylko jednego napadu na dyliżans i to w sposób raczej komiczny niż groźny, lecz prasa, usłyszawszy o „bandycie w spódnicy”, zrobiła z Pearl czarną heroinę pogranicza, wypisując niesłychane bzdury o jej rzekomych bandyckich „przewagach”. Skazana w roku 1899 na 5 lat, przybyła do Yumy w glorii damskiego rewolwerowca. Zwolniono ją po trzech latach, a dopiero w pół wieku później sekretarz gubernatora Brodie ujawnił przyczynę tej łaskawości: przystojna, 28-letnia Pearl, doprowadziła całe więzienie do seksualnego amoku, skazańcy bili się o nią, a strażnicy obdarzyli bezprecedensowymi faworami (oraz dzieckiem), więc żeby uczynić z tego domu publicznego na powrót przyzwoity zakład penitencjarny, władze pospiesznie darowały jej resztę kary i kazały iść precz. Poszła do wodewilu, gdzie występowała w scenie „Pearl Hart - Dziewczyna Bandzior”, a potem zdobywała Dziki Zachód w rewolwerowo-końskiej rewii Buffalo Billa, z upodobaniem kultywując swą amazońską sławę.

Było jeszcze kilka gwiazd wśród 29 pensjonariuszek „Diabelskiej Nory”. Dyrektorzy z chęcią pozbywali się tych dam jak najszybciej, bo wystarczyło, że któraś miała ładny buziak i zdrową anatomię, a więzienie zamieniało się w kocioł erotyzmu. Nawet sławna Elena Estrada, która zabiła niewiernego kochanka, wycięła mu serce i wsadziła do kłamliwych ust, bardzo krótko przebywała w Yumie. Skazana za zastrzelenie człowieka Exie Sedgmore została zwolniona już po dwóch miesiącach, co amerykański historyk, John Mason Jeffrey, skomentował jako „historię samą w sobie”. Ba, historia stara jak świat. Przed kilkoma wiekami baby przemycane na statek wyrzucano za burtę, bo w ich obecności majtkowie nie odróżniali rufy od dziobu. Klasyczny problem majtkowy.

Dojeżdżamy do skały, parkujemy, idziemy wzdłuż szczątków więziennego muru zewnętrznego. Naprzeciwko narożnika główna wieża strażnicza. Wielki kamienny parter, to zbiornik wody czerpanej podziemnymi kanałami i pompami z Colorado River. Na wysokiej platformie warował budzący przerażenie więźniów kulomiot. W muzeum wybudowanym w 1940 roku

stosik pamiętek po więźniach, kajdany, łańcuchy, żelazne kule, wyrabiana potajemnie broń, biżuteria, stroje, dokumenty, z których robię notatki. Z samego więzienia zostało trochę ruin, oryginalna brama wejściowa z ciężką żelazną kratą, kilka rzędów ponurych, okratowanych z dwóch stron cel głównego bloku więziennego, oraz 12 cel wykutych w skale flankującej tzw. Nowy Dziedziniec, na którym stoją potrzaskane resztki wozów. W celach spano na ziemi, załatwiano się w kącie.

Być może prawdą jest to, co napisano w małej, reklamówce dla turystów: „Wieżenie było humanitarnie zarządzane i stanowiło modelową instytucję penitencjarną swego czasu”, ale jeśli jest to prawdą - to jak nieludzkie musiały być czasy? Nie należymy z Jarkiem do harcerzyków bojących się lochów i nocnego pohukiwania puszczyka, lecz ten widok mógłby wstrząsnąć silniejszymi od naszych nerwami. Patrząc dookoła - ludzie spacerują w ponurym milczeniu. Groza z otwartą paszczą i długimi kłami wyziera z każdego kamienia tego kacetu. Ile czasu można tu było wytrzymać, w tym „humanitarnym modelu”? Niewiele zabytków, które widziałem w swoim życiu, wywarło na mnie tak silne wrażenie. Na nim też. Takiej twarzy mojego przyjaciela jeszcze nie widziałem...

Podchodzimy do celi specjalnej, do karceru wyrąbanego w skale. W tej czarnej krypcie, zawierającej żelazną klatkę i zwanej „Snake Den” („Jaskinia Żmij”), gdyż strażnicy wrzucali tam węże i skorpiony, trzymano w ciemności o chlebie i wodzie, nie dłużej jak 10 dni (była to granica wytrzymałości, po której najtwardszy więzień dostawał obłądu) „zatwardzialców”, wiecznych uciekinierów i buntowników. Siedzieli tu: młodzieńcy Garbino Lopez, pół Meksykanin pół Indianin Yaqui, mały, o stalowych mięśniach, desperado z gór, który uciekał trzykrotnie i nigdy nie powrócił do ojczystych stron, tajemniczy Szwed Rogers, niezwykle inteligentny (studiował w Oxfordzie, znał 5 języków, grał na pianinie i skrzypcach) morderca, organizator ucieczek i buntów, o którym dyrektor Ingalls powiedział: „Jedyny więzień, którego nie udało się złamać”, i wreszcie „Trójpalczasty Jack” Laustenneau, anarchistyczny wywrotowiec i agitator z Chicago (w roku 1903 poderwał do strajku górników w kopalniach Morenci, okłamując ich, że są popierani przez prezydentów USA i Meksyku, Roosevelta i Diaza), autor krwawego buntu więziennego w roku 1904.

Nazwiska wszystkich trzech znajdziemy potem wyryte na ścianach ich stałych cel, obok nazwisk innych więźniów i melancholijnych poematów nasmarowanych przez włóczęgów i nędzarzy, którzy tu koczowali (po likwidacji więzienia w opuszczonych budynkach mieściła się krótko szkoła, a w dobie Wielkiego Kryzysu mieszkali tu wydziedziczeni biedacy). Laustenneau nie przeżył „Jaskini Żmij”. Jako przyczynę śmierci podano apopleksję. W przypadku Garbina... paraliż serca. Te dwie choroby plus gruźlica były oficjalną

przyczyną wszystkich tajemniczych zgonów w „Dziurze Piekła”. Łącznie umarło tu 112 więźniów, z czego 104 pochowano na przywieszonym cmentarzu. To psie pole też robi wrażenie.

Obok „Snake Den” funkcjonowała druga, podobna cela, tylko mniejsza, a zwana „Crazy Hole” („Dziura Szaleńców”), bo pobyc w niej jakiś czas z kulą na łańcuchu u nogi dawało prawie gwarancję popadnięcia w obłąd. „Cały ten obraz” z pewnością był „nad wyraz przyjemny i urzekający”, a noce tu spędzane bez żadnej wątpliwości były „pełne słodyczy”. Jak to w „klubie towarzyskim”...

Teraz zrobimy dużo zdjęć i pojedziemy obejrzeć hiszpańską misję założoną w Yumie w roku 1697 pod wezwaniem Św. Tomasza. A potem udamy się, przez Phoenix i rezerwat Apaczów, do najślawniejszego na południowym Dzikim Zachodzie „miasta bezprawia”, Tombstone, skąd pociągiem o 15 przybyło do „Hell Hole” wielu podróżnych. Od rewolwerowców Phina Clantona i „Buckskina” Franka Leslie, który był wzorowym więźniem, poprzez zabójczynię, pannę Mae Woodman, aż do szeryfa Johna H. Behana, który pełnił funkcję dyrektora więzienia w Yumie w latach 1888-89 i którego nikt nie przelicytował w sławie największego łajdaka na tym stanowisku (m.in. niewolił skazaną za morderstwo Manuelę Fiebres, która dzięki niemu zaszła w ciążę dwukrotnie w ciągu 20 miesięcy).

Żegnamy miasto, dla którego ziemski kawałek piekła, a właściwie jego kamienne echo, jest jedynym sensem istnienia, magnesem dla turystów, wytrychem do miejsca w historii kraju, dumą i... nadzieją (chcą precyzyjnie zrekonstruować całe więzienie, by stało się jeszcze większą atrakcją - na szczęście my dotknęliśmy autentyku, nie makiety). Nawet drużyny piłkarskie z Yumy noszą nazwę „Criminals” (Kryminaliści).





ETAP XI

Znowu jesteśmy na międzystanowym highwayu nr 8, wyciętym w gruncie lekko pofalowanego pustkowia, przez które - mimo przeszkód ze strony policji - wciąż przedzierają się, od Sonory, meksykańscy nędzarze (Chicanos) szukający pracy w USA. Widzimy takich dwóch, z oczami biegającymi wokół głowy. Na widok naszego szperacza nikt nie nękają wśród kaktusów. Bezrobotnych policja po złapaniu odsyła do domu, zamyka się tylko tych, którzy przemycają narkotyki. A potem, na podstawie specjalnej umowy, Stany Zjednoczone i Meksyk wymieniają między sobą więźniów: Amerykanie więzieni w Meksyku przechodzą do cel ojczystych i odwrotnie. Umowę zawarto pod naciskiem rodzin jankesów skazanych w Meksyku - rodziny twierdzą, że warunki w więzieniach meksykańskich są nieludzkie. Jednakże aż 20 procent amerykańskich więźniów, ku zaskoczeniu swych troskliwych rodziny i rządu amerykańskiego, odmówiło przejścia z „meksykańskich lochów” do „modelowych instytucji penitencjarnych” w swoim kraju, argumentując, że wolą te pierwsze!

Tortura słońca, około 45 stopni Celsjusza w cieniu. Zobojętniałem na wszystko, wydaje mi się, że zaczynam się dusić, że konam powoli jak ten ślimak wyrzucony na piach Stanowej Plaży Doheny. Otwarte wszystkie okna wozu, ale wjedź do huty, otwórz wszystkie okna samochodu i rozbierz się do kąpielówek - czy to ci coś pomoże? Pomóc mogłoby tylko air-conditioning, lecz w „junkach” ze złomowisk takich luksusów nie ma.

Na domiar złego silnik zaczyna dymić. Chłodnica. Regulujemy poziom wody, dajemy „junkowi” chwilę odpoczynku i ruszamy dalej, wzdłuż linii kolejowej do Yumy. Robimy zdjęcia, gryzmołę jakieś notatki, wszystko półautomatycznie, ze spalonym mózgiem. Znowu silnik się zagrzał, stajemy. Wycieka olej; albo jest dziura, albo na tej stacji Shella przed Yumą drań nie dokręcił śruby. Na szczęście to drugie. Na najbliższej stacji (Chevronu) dokręcają ową śrubę i możemy jechać dalej. Głupio byłoby wracać do Chicago z połowy trasy autobusem, pociągiem lub samolotem.

30 mil za Sentinel skręcamy obok mikroskopijnego indiańskiego rezerwatu (Gila Bend) z autostrady międzystanowej na „czerwony” highway i szorujemy na północ, do stolicy Arizony, Phoenix. O piętnastej jesteśmy na miejscu. Sama metropolia nie interesuje nas zbyt, szybko przenosimy się na jej wschodni kraniec, do miejscowości Scottsdale i pytając tylko dwa razy, odnajdujemy na północnym skraju niepozorny domek Soleriego. Przybyliśmy, żeby porozmawiać z nim o jego fantazjach urbanistycznych, które z trudem (ale jednak) wcielił w życie. Pech! - nie zastaliśmy go. Kobieta o długich włosach i

oczach zmęczonego sfinksa mówi, że nie wie kiedy Paolo wróci. Pewnie pojechał w góry, do swojej „arkologii”. To co najmniej 120 km na północ od Phoenix. Nie możemy pobiec aż tak daleko w górę mapy, i tak już się zapędziliśmy ze szkodą dla pierwotnego planu... Wędrujemy po zaczarowanym ogrodzie na tyłach domu. Półkolista odlewnia dzwonów grających na wietrze, z których sprzedaży Soleri finansuje swoje dzieło, setki tych dzwonów. Obok fantastyczne kształty biura konstrukcji technicznych, modele. Żal odjeżdżać.

Uciekamy z powrotem przez Scottsdale. Dziwne miejsce wybrał sobie na stałe zamieszkanie nienawidzący dętej cywilizacji prorok powrotu do źródeł: dookoła salony mody Courrége’a i ekskluzywne rancza. Scottsdale to najwyraźniej dzielnica high life’u (o Solerim patrz rozdział XIV).

Jak pech, to pech! Mieliśmy skręcić na Tempe i w kierunku rezerwatu San Carlos, ale w tym gąszczu odnóg przeoczyliśmy zjazd - słońce i złość zrobiły swoje. Nieoczekiwanie znajdujemy się na interstate nr 10, przecinając większy rezerwat Indian Gila. Decydujemy się nie zawracać. Najpierw pojedziemy do Tombstone i dopiero potem do San Carlos, a przy okazji „zaliczymy” po drodze Tucson z jego westernowym miasteczkiem. Eloy, Picacho, Red Rock. Przed 19 dojeżdżamy do Tucson i szukamy Old Tucson (Starego Tucson) - cudownego dziecka Hollywoodu.

Old Tucson to kompletne miasteczko z Dzikiego Zachodu, najprecyzyjniejsza dekoracja filmowa w USA. Zostało wzniesione w roku 1939 przez wytwórnię Columbia Pictures na użytek filmu *Arizona*, a potem - wciąż rozbudowywane - stało się atrapą sięgającą doskonałości autentyku, bo zrekonstruowano nie tylko fasady, lecz i wnętrza, w których można dzisiaj wypić i zabawić się (saloony i szulernie), zrobić zakupy (oldwestowe sklepy), odprawić modły (kościółek w stylu XVIII-wiecznym) etc. Nakręcono tu kilkadziesiąt sławnych westernów (z tych w Polsce widzieliśmy *Rio Bravo*, *El Dorado*, *Śmierć rewolwerowca* i *Hombre*, oraz seriale TV: *Gunsmoke* i *Bonanza* - czy ktoś z nas zauważył, że dekoracja była ta sama?) i dalej kręci się niez mordowanie.

Old Tucson to kołyska westernu, czyli najważniejszego gatunku sztuki amerykańskiej. To on dał społeczeństwu, którego wielka ekspansja wewnętrzna ustała dopiero na przełomie wieków XIX i XX, mitologię porównywalną z europejskimi - nawet z *Pieśnią o Nibelungach*, z legendą o królu Arturze i ze światem bogów i herosów stworzonych przez Homera. Herosem tej epickiej bajki, nowożytnym rycerzem, stał się facet z rewolwerem. Z wojny secesyjnej western uczynił Wojnę Trojańską, a marsz pionierów na zachód jest dzięki tym filmom ich *Iliadą* i *Odyseją*. Co prawda, w latach sześćdziesiątych nazbyt sielski western amerykański został napadnięty przez sadystyczny „spaghetti-western” rodem z Europy, lecz stary boss, Hollywood, szybko „odwinął” na odlew takimi okrutnymi arcydziełami, jak *Wild Bunch* Peckinpaha i przywrócił właściwą hierarchię.

Postrzelamy z winchesterów w strzelnicy i o dwudziestej pierwszej ruszymy dalej przez pustkowie Arizony do autentycznego „miasta bezprawia”, w którym zamiast czerwonej farby używano krwi.



Nikt się nie przejmował trupami leżącymi na ulicy i jeśli tylko kula weszła w ciało od przodu, to nawet nie szukano zabójcy. Mężczyźni musieli reagować w ułamku sekundy, ponieważ broń stanowiła tam prawo.

Muriel Sibell Wolle - *The Bonanza Trail*

I jeśli tylko połowa tego, co pisano o tym mieście, była prawdą, to i tak było ono meliną diabła zadymioną przez rewolwery i wys'cielaną zwłokami zastrzelonych.

Nell Alurbarger - *Ghosts of the Adobe Walk*

„ZNAJDZIESZ TAM KAMIEŃ GROBOWY”

Nad pustkowiem Arizony zapada zmierzch i nasz samochód staje się samotnym statkiem na wielkim kresowym obrusie, rozczochranym wiatrem. Cicho, nawet warkot silnika jest jakiś nierealny i przybiera cech obecnego-nieobecnego, a światła, które nas prowadzą, wydają się złocistym cieniem, uciekającym przed naszym pośpiechem. Nawierzchnia autostrady lśni widmowo niczym stare, przetarte lustro położone na płaszczyźnie ziemi, a teren zatracił w półmroku swe cechy regionalne i upodobił się do wszystkich tych otwartych przestrzeni-oceanów, piasków Arabii i ukraińskich stepów - o których Lermontow powiadał, że kiedy się na nich ktoś znajdzie - „oczy zagładają człowiekowi do duszy”.

Skwar poszedł wraz ze słońcem za niewidoczny horyzont i ustąpił miejsca delikatnej bryzie, która przynosi orzeźwienie. Na dalekim niebie zapalają się pierwsze gwiazdy i teraz już dwa morza pulsują tym samym rytmem. Cisza. Czujemy się jak starożytni żeglarze - ci, mając otwarty widok na roziskrzone nocne niebo, ze szlaków ciał astralnych czerpali swą pewność drogi i tak samo czyniły plemiona pustynne, które przewalały się tędy w zamierzchłych czasach. Jedna z owych chwil, kiedy człowiek przekracza granice rzeczywistego świata, zapominając, że nie należy do tych szorstkich przestrzeni, że tylko przyszył sobie nylonową nicią skrzydła włóczęgi i komandosa, by oszukać samego siebie i zwrócić sobie atawistyczne sny o przygodzie i autentycznym życiu. Jesteśmy jak pijane żony nad ranem w poszukiwaniu mężów, którzy zapodzielili się przed laty lub może w ogóle ich nie było?

Właśnie tacy - wbrew pozorom - jesteśmy najrzeczywistsi, takich trzeba nas brać. Jeśli widzi się człowieka takim, jakim jest, to czyni się go gorszym. Należy kupować go z jego marzeniami, i za nie oceniać. Te są zawsze uczciwe, im bardziej bezsensowne, tym lepsze. I rokują tyle nadziei...

Gwiazdy osnute mgiełką kosmicznego mleka nic nam nie mówią o przyszłości. Ale to nas akurat nie martwi, marzymy o przeszłości, a one patrzyły na tę ziemię od milionów lat, oglądały wędrówki ludów, zagłady cywilizacji, masakry całych pokoleń i mutacji kulturowych, które użyźniały pustynię nie czyniąc jej żadnej krzywdy - okaleczeni byli tylko ludzie z kości i krwi i ich dzieła z cegieł i kamieni. Tyle miast, miasteczek i osad Arizony, po których panoszyli się przed wiekiem tajemniczy desperados, bandyci, szeryfowie, wieczni gracze, dając im życie w huku wystrzałów, szeleście kart i lubieżnych oddechach dziewcząt z saloonu - czas, deszcz i wiatr i ludzkie zapomnienie obróciły w ruinę, czasami tak kompletną, że tylko z trudem można je odszukać w wymarłych parowach, nad wyschniętymi strumieniami, wśród kaktusów i wyjałowionych kopalni kruszcu, a na mapach nie ma ich wcale. Twin Buttes, Chloride, Harshaw, La Paz, Crown King, Jerome, Mowry, Charleston-Milville, McCabe, Dos Cabezas, Weaver, Mineral Park, Contention City i inne, które już nie istnieją. Resztki po nich - gnijące budy, w których niegdyś zdobywano i tracono majątki, strzępy murów po więzieniu i kościółku, jakaś brama pamiętająca założyciela wielu tutejszych misji, jezuitę Kino, jakiś grób bez epitafium, jakiś wóz bez kół, jakiś zardzewiały szyld bez firmy, fundamenty bez gmachów - śpią w spiekocie dnia i mroku nocy. Na wpół skamieniałe „hanging-trees” (drzewa do wieszania ludzi) i budynki, po których zostały tylko schody (damy prowadziły nimi swych klientów na górę) sterczące w niebo jak na urągowisko Bogu. Dużo jest w Arizonie „ghost-towns” (miasta-widma), które Bóg przeklął i omijają ludzie.

Każdy z tych szybkostrzelnych chłopców, którzy nurzali się tak niedawno temu, przed 100, 90, 80 laty, w pyle pustynnych szlaków między owymi miastami, nosił swojego boga na piersi albo w sakwie przytroczonej do siodła, bo bez Boga nie dało się tu żyć; trzeba było z kimś rozmawiać podczas samotnej wędrówki przez pustkowia lub prosić, bo zawsze musi być ktoś, kogo można w życiu poprosić - jest to jeden z podstawowych warunków egzystencji. Tak rozmawiał na tej pustyni ze swym bogiem stary Cable, bohater *Ballady o Cable'u Hogue* Peckinpaha:

Pierwszego dnia: - „Od wczoraj nic nie piłem, zaczynam mieć pragnienie... Po prostu chciałem ci wspomnieć o tym. Amen”.

Drugiego dnia: - „Wczoraj mówiłem ci, że nic nie piłem. Jeśli nie zsyłasz wody za to, że grzeszyłem, to wiedz, że jeśli ześlesz, to mogę już nie grzeszyć...”

Trzeciego dnia: - „To tak?... A jak zdechnę, to kto będzie pokutował?!”.

Czyż może być głębsza wiara niż wówczas, gdy Stwórca jest partnerem do męskiej rozmowy? Każdy z nich, nawet najpodlejszy, czuł Jego obecność tam, gdzie rzadka była obecność ludzi, i każdy odpowiedziałby tak, jak mały Izaak Naum, któremu przejezdny kupiec rzekł:

- Dam ci guldena, jeśli mi powiesz, gdzie jest Bóg!

- A ja ci dam dwa guldeny - odparł chłopiec - jeśli mi powiesz, gdzie go nie ma!

Pustkowie, po którym się przesuwamy, ma coś z owej „Doliny cienia śmierci”, o której mówi Biblia i o której opowiadają osoby wydobyte przez lekarzy ze śmierci klinicznej (przykłady podał amerykański psychiatra, Raymond A. Moody, w sławnej książce *Życie po życiu*). Taką nocą snują się przy świetle księżyca, po wymarłych miastach i ruinach swych pięknych dni, cienie owych „western hombres”, którzy szerzyli postrach na Południu, ale trzeba być półmagiem, żeby obłaskawić te widma, przywołać i rozmawiać z nimi...

- **Joaquin Murietta!**

- Obecny!

- Gdzie podziąłeś głowę?

- Odcięli mi ją w 1853, kiedy Harry Love ze swoimi rangersami zaskoczył mój obóz i zastrzelił mnie, a potem sprzedali ją na aukcji za 35 dolarów i obwozili po miastach, pokazując ludziom. Spłonęła w Muzeum Gordona w San Francisco, podczas trzęsienia ziemi w 1906.

- Byłeś rabusiem i mordercą...

- Byłem górnikiem, szukałem złota! Pewnego dnia, w 1850, wróciłem do domu i zobaczyłem moją żonę pobitą i zgwałconą. To zrobili gringos i Chińczycy. Zabijałem ich. Żółtych wiązałem w pęczki za warkocze i przygrywałem im do tańca spluwą. Nazywano to „pistol dance”. Kiedy się zmęczyli, wystrzeliwałem im ślepią... Rabowałem, prawda, miałem 80 dobrych chłopców, ale pomagaliśmy naszym ludziom, którzy wegetowali w nędzy. Nazwano mnie potem „The Robin Hood of El Dorado”. Wszyscy Meksykanie płakali po mojej śmierci.

- **Jessie James!**

- Czego chcesz?

- Ciebie też nazywano „Robin Hoodem”. Komu pomagałeś?

- Sobie samemu. To też nie było łatwe. Spróbuj załatwić bank albo pociąg, to zobaczysz. Byłem pięciokrotnie droższy od tego meksykańskiego skunksa, za którym przed chwilą rozmawiałeś. Za mnie dawano 25 tysięcy dolarów, za mojego brata Franka 15 tysięcy, za moich chłopców po 5 tysięcy.

- Dlatego zginąłeś.

- Fakt. Zastrzelił mnie jeden z nich, Bob Ford, żeby zgarnąć tę forszę. Wpuściłem zdrajcę do domu i pokazałem mu moją nową spluwę, a on przystawił mi ją do głowy i nacisnął spust!

- Ile razy ty zrobiłeś to samo? Zabijałeś urzędników bankowych, konduktorów, woźniców, strażników i detektywów z agencji Pinkertona...

- Tych ostatnich za mało wytlukłem! Pojechałem nawet do Chicago, żeby kropnąć samego Allana Pinkertona, ale się nie dało... Słyszałeś o „krwawej nocy”? To było w czerwcu 1875. Agenci Pinkertona wrzucili przez okno bombę

do domu mojego ojczyma i wysadzili moją rodzinę w powietrze! Zabili dziewięcioletniego Archie! To nie wystarczy? Dlatego mordowałem...

- Przecież zabijałeś już w wieku 16 lat, jako członek bandy Quantrilla.

- No i co z tego! Prawdziwy mężczyzna nie powinien zbyt długo pozostawać na utrzymaniu rodziny i objadać ojca i matkę. Dzisiejsza młodzież, to bananowe śmierdziele, pasożyty, nie rozumieją, że tylko ciężka praca od młodości uszlachetnia!

- **Bob Ford!**

- Jestem!

- Nie wyszedłeś najlepiej na zabójstwie Jessie Jamesa...

- Ano nie. Skąd mogłem przewidzieć, że ci idioci z jego rodzinnego Missouri okrzykną go „Robin Hoodem”? Oczerniali mnie potem. Na jego nagrobku napisali: „Zamordowany przez tchórza, który nie zasłużył na to, by wymieniać jego nazwisko” i śpiewali balladę: „Ten mały parszywy tchórz, co zabił pana Jamesa...”. Kiedy kupiłem za nagrodę saloon w New Mexico, ludzie nie chcieli wstępować... Potem miałem saloon w Pueblo.

- Tam już ludzie wstępowali, a wraz z nimi Ed O'Kelley.

- Bydlak! On też był z bandy Jamesa. Pokłóciliśmy się o jedną taką i zastrzelił mnie, w 1892. A tak naprawdę, to chciał być „facetem, który zabił faceta, który zabił Jessie Jamesa”.

- **Bill Longley!**

- To ja. Nie jesteś czarnuchem?... W tej ciemności źle widać.

- Nie.

- To dobrze, nie lubię czarnuchów, rozwaliałem ich, gdzie tylko mogłem, ale nie oczyściłem z nich nawet rodzinnego Texasu, tylu ich się namnożyło! Szeryfów też nie lubiłem. I jeszcze różnych mistrzów rewolweru, którzy uważali, że są najszybsi, dopóki nie stanęli przede mną.

- Nie byłeś chyba najszybszy? Przed Hickokiem uciekłeś z Abilene. Nie zaczepiłeś też Mastersona i Hollidaya...

- To wcale nie znaczy, że przegrałbym z nimi!

- Piszą, że zabiłeś 31 ludzi.

- Niech piszą, widocznie nie nauczono ich liczyć powyżej 31.

- W 1878, czekając na powieszenie, napisałeś z celi do swej kochanki: „Stryk jest moim ulubionym rodzajem śmierci”.

- Liczyłem na drugi fart. Kilka lat przedtem agenci federalni schwytali mnie i Johnsona, powiesili nas w nocy i zaraz odjechali, ale odjeżdżając strzelili do nas. Jedna z kul przecięła mój sznur! Ale w 1878 nie zdarzył się żaden cud... Tylu nas powieszono. Plummera, który przez wiele lat był szeryfem i zarazem szefem bandy, „Black Jacka” Ketchuma... Miałem przynajmniej to szczęście, że nie zdarto ze mnie skóry, tak jak zrobiono to z „Big Nose” Georgem, którego zlinczowali, odcięli ze sznura i oskalpowali do stóp.

- **Ben Thompson!**

- O co chodzi?

- Ty też byłeś teksańczykiem i ciebie też Hickok wygonił z Abilene...

- Z Hickokiem, Hollidayem i Mastersonem nikt nie mógł się mierzyć. Earp też był dobry, i Longley, i Short. Może jeszcze James. No i na pewno Fisher i Hardin. Reszta nie miała szans, chociaż wielu krzyczało, że są najszybsi. Sam posłałem na łono Abrahama około 40 takich artystów. Nosilem zawsze cylinder, więc brali mnie za lalusia z wodewilu i nadziewali się. Miałem wprawę z wojny w Meksyku, pomagałem tam cesarzowi Maksymilianowi. Widziałeś, synu, film *Vera Cruz*?... To było o mnie... Zastrzelili mnie i Fishera w 1884, w San Antonio, w teatrze Harrisa, którego rozwaliłem dwa lata wcześniej. Strzelało do nas kilkunastu facetów, nie daliśmy rady.

- **King Fisher!**

- Tak?

- Jak to było w tym saloonie w San Antonio?

- Źle było, wszystko przez tego idiotę Thompsona! Zaciągnął mnie na występ i spił się, a potem zaczął się przechwalać, jak to zastrzelił Harrisa. Kumple Harrisa wściekli się i zaczęli grozić Benowi, ten wyjął spluwę i zaczął grzać na ośle, ludzie w saloonie wpadli w furję i zasypali nas gradem kul. To wszystko.

- Byłeś mordercą, a potem szeryfem...

- Wielu z nas. Bena na przykład poznałem, kiedy ze ściganego stał się szeryfem w Austin.

- Meksykanie mówili o tobie „gringo-killer” i twierdzili, że jesteś najszybszy.

- To dlatego, że lubiłem się z nimi zabawić. Jeździłem w góry, tam, gdzie grasowały ich bandy, pozwalałem się osaczyć, po czym rozwalałem bandę w kilkanaście sekund. Z początku dawali się nabierać na mój elegancki strój i perłowe kolby rewolwerów, takie, jakie noszą frajerzy. Ale potem już poznawali mnie z daleka i wiali gdzie pieprz rośnie.

- No więc jak, byłeś najszybszy, czy nie?

- Nie wiem. Byłem dobry, bano się mnie. Ale Hardina bano się chyba bardziej. On też był z Teksasu...

- **Wes Hardin!... John Wesley Hardin!**

- Po co krzyczysz, jestem tutaj.

- Dlaczego akurat ciebie bano się tak bardzo?

- Chyba dlatego, że byłem jedynym facetem, któremu Wild Bill Hickok schodził z drogi. Może i był lepszy, ale wolał nie sprawdzać. Nie kochałem go, ale również wolałem nie ryzykować. W ogóle nie cierpialem szeryfów, podobnie jak Clay Allison. Obaj zabiliśmy po kilku, ja między innymi Reagona i Helmsa. Rozwalałem też kilku dobrych zawodowców i trzech policjantów, którzy wieźli mnie do paki, ale po drodze zasnęli. No i policjant mnie zabił, stary Selman, w 1895, w El Paso. Strzelił mi w tył głowy, a poszło o dziewczynę

i o jego syna...

- 15 lat spędziłeś w więzieniu i podobno studiowałeś tam prawo?

- Po wyjściu miałem zupełnie udaną praktykę... To cię śmieszy?...

- **Dave Mather!**

- Słucham.

- Dlaczego dano ci przydomek „Tajemniczy”?

- Bo mało się o mnie dowiedzieli. Nie znają nawet miejsc i dat mojego urodzenia i mojej śmierci. Pamiętają tylko to, co widzieli, a najwięcej widzieli w Dodge City, gdzie byłem szeryfem. Szeryf Tom Carson został tam podziurawiony przez bandę Henry’ego. Obiecałem mu, że ich załatwię. Wywołałem ich wszystkich na ulicę i potem wszystkich siedmiu kazałem pogrzebać. Potem chciałem otworzyć saloon w Dodge, ale szeryf Nixon przeszkadzał mi i przestrzelił mi ramię, więc go zabiłem. Wreszcie zaciągnąłem się do Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej i tyle mnie widzieli... Hickok, Holliday?... Nie zrobili mi żadnej krzywdy, ich szczęście.

- **Billy the Kid!**

- Nazywam się William Bonney, nie zapominaj o tym! Kiedyś byłem szczeniakiem („kid”), ale od tamtej pory minęło sporo czasu.

- Pokaż prawą dłoń. W „The Daily Optic” z 25 lipca 1881 roku przeczytałem, że po śmierci obcięto ci palec wskazujący, ten, którym naciskałeś spust, zakonserwowano go w alkoholu i pokazywano za opłatą, tak jak głowę Murietty...

- Nie porównuj mnie z tym meksykańskim skunksem! Palec nie jest mi już potrzebny, dość się napracowałem.

- Zabiłeś 21 ludzi zanim w 1881 Pat Garret wytropił się na ranchu Maxwella i przestrzelił ci serce. Mówi się, że umarłeś bez butów...

- Damned! To jest cholerna, cholerna, cholerna, najcholerniejsza prawda w moim życiu, czy można mieć większego pecha?! Patrz, teraz już przez całą wieczność będę chodził po tej ziemi na bosaka, a oni wszyscy będą mnie wyśmiewać! Co takiego zrobiłem, że akurat mnie to musiało spotkać?! No powiedz, co?! Leżałem z dziewczyną, była czarna noc, usłyszałem jakiś szmer, wstałem i spytałem „quien es?” (kto to?), a wtedy Pat strzelił. Gdybym wiedział, że to on, założyłbym buty!

Już w Deadwood wspomniałem o tym, jaką hańbą było dla rewolwerowca umrzeć bez butów. Im sławniejszy „gunslinger”, tym większa hańba. Ale my jedziemy właśnie do miasta, w którym umierało się w butach, bo nie było tam czasu na ich zdejmowanie. Billy źle sobie wybrał miejsce śmierci.

Wszystko zaczęło się sto lat temu (kolejna setna rocznica w chwili naszego przybycia!). Ojcem miasta był brodaty włóczęga, Edward Schieffelin, który w roku 1877, szukając srebra w Arizonie, zawitał do Fortu Huachuca i poprosił o żołnierską ochronę przed Apaczami, gdyż właśnie miał zamiar spenetrować

góry San Pedro. Spotkał się z odmową, lecz to go nie zniechęciło. Kiedy wyruszał w drogę, jeden z oficerów pożegnał go zdaniem, które przeszło do historii:

- Znajdziesz tam tylko jedną rzecz, swój kamień grobowy („tombstone”)!

Oficer pomylił się, albowiem Schieffelin nie postradał życia, odkrył natomiast górę srebra o wartości 85 milionów dolarów. Lecz dla wielu innych ludzi nazwa Tombstone (tym mianem dowcipny Ed ochrzcił swoje znalezisko), którą otrzymało miasto wybudowane w pobliżu złoża, stała się straszliwym proroctwem.

Tombstone, w którego herbie widnieje kamienny kopczyk nagrobny Schieffelina (zmarł on w stanie Oregon, a jego ciało przetransportowano do Tombstone i pochowano z pompą), rodziło się tak jak każde tego typu miasteczko zrodzone przez gorączkę odkrywczą. Kolejno (od roku 1878): namioty, kuźnia, sklepy, saloony, domy publiczne, bank itd., aż do lokalnej gazety, którą jej równie dowcipny jak Ed wydawca, Philip Clum, nazwał „Tombstone Epitaph” („Tombstońskie Epitafium”). Rzeczywiście - w „Tombstone Epitaph” ukazywały się (obok reklam) przede wszystkim informacje epitafijne, dotyczące osobników zastrzelonych w barach i na tombstońskiej „main-street”, którą była Allen Street.

Dziesięć lat prosperity Tombstone (1880-90; potem miasto zaczęło się wyludniać, gdyż wielki pożar zniszczył stację pomp i zalane kopalnie były trudne w eksploatacji) wystarczyło, by uczynić zeń najślawniejsze, otoczone czarną legendą miasto południowego Old Westu, symbol totalnej swawoli i permanentnego używania szeciostrzałowego colta (bohaterem głośnego westernu Johna Forda *Miasto bezprawia* jest właśnie Tombstone). Dlaczego po zgonie srebrnego „boomu” nie zamieniło się - tak jak kilkadziesiąt bliźniaczych miasteczek Arizony - w „ghost-town”? Odpowiedź na to pytanie znajdziecie w tytułach filmów, książek, komiksów, romansów z Dzikiego Zachodu i we wszystkich folderach reklamowych Arizony, a także w niektórych encyklopediach: jest to zdanie, które stało się synonimem nazwy miasta. Brzmi ono: „The town too tough to die” (Miasto zbyt harde, by mogło umrzeć). Pierwsze litery wyrazów dają oralną imitację serii złożonej z sześciu strzałów, z których ostatni jest śmiertelny (d jak „death”): t-t-t-t-t-d!!!

Zabijano w Tombstone z każdego powodu, a wcale nie najgorszym był całkowity brak powodów. Zabijano dla pieniędzy i dla sławy, dla porządku i dla rozróby, o konie i o kobiety. Kobiety też zabijały, że wymienię choćby pannę Woodman, dla której powodem było pewne „ogłoszenie drobne” zamieszczone w „Tombstone Epitaph”. W anonsie tym niejaki William Kinsman ogłosił, że wkrótce ożeni się z Miss Woodman, poprzestał wszakże na tym publicznym zgłoszeniu swej gotowości, wobec czego niezaspokojona niewiasta naszpikowała go kulami przed wejściem do Crystal Palace Gambling

Saloon. Wywieziono ją za do Yumy z napisem „dożywocie” w papierach i wypuszczono już po trzech latach z przyczyny, którą wytłumaczyłem w poprzednim rozdziale.

W swych szczenięcych latach Tombstone było całkowicie opanowane przez bandę „Starego” Clantona, okrutnego eks-ranczera, eliminującego spośród żywych każdego, kto mu się nie podobał lub kto miał coś wartościowego, co można było zagarnąć. Clanton, wraz z czterema swoimi synami oraz braćmi McLowery i jeszcze kilkoma zuchami, sterroryzował kilka okręgów, a bezkarność zapewniało mu przyjęcie do spółki szeryfa Behana, tego samego, który potem, jako dyrektor „Hell Hole”, narobił pociech morderczyni, Manueli Fiebres. Właśnie ta bezkarność sprawiła, że do głównej kwatery „gangu Clantonów”, Tombstone, zaczęły ścierać ochoczo i oddawać się pod komendę „Starego” rewolwerowe tuzy pogranicza, w tym szybkostrzelny zwyrodnialec Curly Bill i wielokrotnie później opiewany w filmach John Ringo, czysty talent w błyskawicznym posyłaniu ludzi do grobu za pomocą dwóch coltów kaliber 45.

Wkrótce fama o gangu szalejącym w Arizonie stała się tak wielka, że sprawą zmuszony był zająć się Kongres Stanów Zjednoczonych, a prezydent Garfield zażądał od gubernatora stanu natychmiastowej likwidacji „hańbiącego wrzodu na ciele USA”. Ale władze były bezradne, policjanci i żołnierze bali się zadzierać z zespołem zawodowych rewolwerowców. Wydawało się, że Clanton gang będzie jeszcze długo działał bezkarnie, chyba że zdarzy się cud. Cud mógł mieć tylko jedną postać - musiałyby to być grupa jeszcze lepszych „gunfighterów”, która rzuciłaby rękawicę bandzie „Starego”.

I jak to w bajkach bywa - cud się zdarzył. W końcu roku 1879 do Tombstone przybyła wielka „kareta” asów Południa, czterech największych szulerów na terytorium od Kalifornii po Florydę: Holliday, Earp, Masterson i Short. Ich pokerowe mistrzostwo było może nie najważniejsze w tym przypadku, jako że ogranie Clantona i spółki w karty raczej nie poprawiłoby sytuacji, istotne natomiast było co innego - że tych czterech ludzi miało renomę najlepszych „pistoleros” południowego Old Westu i że w opinii tej nie było ani grama przesady. Nigdy nie dowiedziano się, czy czwórka śmiercionośnych przyjaciół została po cichu wynajęta przez władze wzorujące się na Napoleonie (cesarz uczynił szefem swej policji kryminalnej „króla galer”, Vidocq’a), czy też przyjechała po prostu „popracować” przy stolikach w tombstońskim Oriental Palace. Tak czy owak jeden z nich, Wyatt Earp, został szeryfem w Tombstone, a że gang Clantonów, mający za sobą okręgowego szeryfa, Behana, nie przestraszył się, więc największe rewolwerowe „zderzenie” w dziejach Dzikiego Zachodu było już tylko kwestią czasu.

Wyłóżmy te karty na stół. Luke Short (1854-1893) był teksańczykiem małego wzrostu, lecz wielkiego ducha. Strzelał z nieludzką wprawą, mówiono,

że od urodzenia miał „instynkt trafiania w każdy punkt pod słońcem”, o czym przekonało się na własnej skórze wielu „gunslingerów”, w tym sławny Jim Courtright, szef pseudodetektywistycznej agencji, która wymuszała haracze od właścicieli saloonów, zmasakrowany przez Shorta czterema kulami podczas klasycznego spotkania na „main-street”.

Bat Masterson (1856-1921), a dokładniej William Barclay Masterson, pochodził z Illinois i był fenomenalnym strzelcem. Sławę przyniosło mu wzięcie udziału w bitwie pod Adobe Walls, gdzie 19 białych wytrzymało kilkugodzinny atak prawie tysiąca Indian, oraz wystrzelanie przez niego w walce ulicznej kilku rewolwerowców, którzy zabili mu brata Eda. W momencie pojawienia się Bata w jakimkolwiek saloonie na terenie USA, witano go powstaniem na baczność. Jego cudowna sprawność w posługiwaniu się wynalazkiem pana Colta miała proste źródło - uczył go sam Wild Bill Hickok!

Również z Illinois pochodził Wyatt Earp (1848-1929), szef klanu braci Earpów. W młodości zaszargał sobie nieco życiorys rozbójnictwem, ale też ochraniał dyliżanse i bronił prawa na Dzikim Zachodzie. Mówiono, że nie był najlepszym snajperem, lecz wyrównywał to fantastyczną odwagą - podchodził do przeciwników na śmiertelnie bliską odległość, z której praktycznie nie można było nie trafić. Tylko raz w swoim życiu znalazł się w teoretycznie beznadziejnej sytuacji rewolwerowej, lecz wówczas uratował go pewien nieznamy lekarz o nazwisku Holliday i tak się zaprzyjaźnili.

Człowiek z Georgii, John Henry Holliday (1852-1887), zwany „Doc” (od doktora), gdyż z zawodu był dentystą, zabił w swoim życiu dużo więcej rewolwerowców i szulerów niż wyrwał zębów. Zadrzeć z nim znaczyło popełnić samobójstwo, gdyż był geniuszem w posługiwaniu się bronią. Często dostawał ataków szału, które jednak nie osłabiały jego sprawności. Był najprawdopodobniej najszybszym ze wszystkich strzelców Dzikiego Zachodu. Sam Wyatt Earp powiedział o nim: „To najniebezpieczniejszy z żyjących ludzi”. Innym razem Earp wydał następującą opinię o Hollidayu: „Jest to najszybszy, najbardziej nerwowy i rozsiewający śmierć człowiek z sześciostrzałowcem w dłoni, jakiego kiedykolwiek widziałem”. „Doc” był zawsze chory na gruźlicę, toteż często pokazywano go w filmach stojącego przy barze i na przemian ostrzeliwującego się i plującego krwią w białą chustkę. Przyspieszył swą śmierć pijaństwem - wypijał trzy kwarty whisky dziennie!

Fascynująca czwórka! Dranie i obrońcy prawa (wielokrotnie pełnili funkcje szeryfów i policjantów), łobuzy i anioły w jednym ciele. Mieli coś z antycznych herosów, których wewnętrzne motywacje zwano w tradycji helleńskiej „daimonion” („daimonion” to siła witalna, która nie rozgranicza dobra i zła, a przeto czyni człowieka człowiekiem, ważąc na równo wszelkie jego reakcje, od ekstazy miłosnej do morderczego obłądki). Według tej tradycji pełne życie, to życie w zgodzie ze swym „daimonionem”, co nie przeszkadza w próbach

okiełznania go, które Platon porównywał do kierowania zaprzęgiem rozbuchanych koni. Oni tak żyli.

Do wielkiego spotkania doszło 26 października 1881 roku w „O.K. Corral”. W starciu wzięli udział po jednej stronie bracia Ike i Billy Clantonowie, bracia Frank i Tom McLowery oraz Billy Claiborne, po drugiej zaś klan Earpów (Wyatt, Virgil i Morgan) wspomagany przez „Doca” (Masterson i Short akurat wyjechali z Tombstone). W ciągu 30 sekund oddano 34 strzały, po 17 z każdej ze stron, z tym że tylko 3 strzały gangu Clantonów były celne, klan Earpów zaś i Holliday trafili 13 razy! Padli na miejscu: bracia McLowery i Billy Clanton. Virgil i Morgan Earpowie oraz Holliday zostali ranni (banda „Old mana” Clantona przestała od tej chwili stanowić realną siłę i wkrótce potem została eksterminowana przez meksykańskich „vaqueros” oraz przez naszą czwórkę asów). Tak zakończyła się najślawniejsza rozprawa rewolwerowa w historii Old Westu, której obraz odżywa dzisiaj raz po raz w plenerach Hollywoodu.

Właśnie to miejsce, zagrodę O. K., chcieliśmy zobaczyć i dlatego pojechaliśmy do Tombstone. Skręciliśmy nocą z interstate nr 10 w prawo, na stanową szosę nr 80, i przed 23⁰⁰ wjechaliśmy do miasta. Zatkąło nas. XIX-wieczne ulice z podcieniami i drewnianymi chodnikami (!), jakie można oglądać - tak myślałem - już tylko w westernach. Tętniące życiem saloony, czerwone lampki, gwar, szum... Rozkosz! Ale każda rozkosz ma koniec, a niejedna wcale marny. W końcu jednak mogliśmy się spodziewać, że jeśli gdzieś, to najpewniej w „mieście bezprawia” dosięgnie nas największe niebezpieczeństwo podczas całej naszej zwariowanej podróży.

Zaparkowaliśmy wóz i wstąpiliśmy do saloonu. Jako że gwoździe przy barze były zajęte przez starsze panie i panów w... kowbojskim rynsztunku (co to, bal maskowy?), usiedliśmy w ławkowym „przedziale” pod ścianą, po czym zamówiliśmy po „Bloody Mary”. Barmanka przyniosła sok pomidorowy, wódkę i lód, co zmieszaliśmy każdy według swojej proporcji i... wtedy podeszła ona. Mogła być - nie przesadzam - chyba moją prababką. W mini pokazującej majtki, z botfortami do kolan, z peruką, toną pudru i kurteczką „kowbojską” całą w metalowych cekinach. Starsza (bardzo starsza) dama z towarzystwa, typ „teksaska wdowa”, bawiąca się w półnągą nastolatkę, co jeszcze nie było tak straszne jak jej głos - opierając się dwoma rękami na blacie stołu i pochylając ku nam z uśmiechem, przewróciła zalotnie oczami i wymodulowała pisknięcie nieletniego słowika:

- Hallo, boys!
- Hallo - odpowiedział Jarek, kurcząc się w sobie, ale z uprzejmym uśmiechem.
- Skąd jesteście?
- Z Polski.
- Oooo, great!

Potem mówiła wiele innych rzeczy, skarciła mnie za moje ponure milczenie, grożąc mi żartobliwie palcem i mówiąc do Jarka: „He is suspicious!... he is suspicious!” (on jest podejrzliwy), potem zaś stwierdziła, że jeśli jeszcze nie mamy noclegu w Tombstone, to ona z rozkoszą przenocuje nas u siebie, po czym dała ledwo dostrzegalny znak ręką, barmanka podbiegła, spytała czego sobie życzymy, odpowiedzieliśmy, że niczego więcej, na co ona (barmanka), sądząc, iż nie mamy pieniędzy, wyjaśniła głupkom, że od tej chwili za nic nie muszą płacić i cały bar jest do ich dyspozycji, wstałem i Jarek wstał, podziękowaliśmy, „musimy już iść”, ona („kowbojka”) objęła nas, „będzie nam w trójkę cudownie”, Jarek się wyrwał, ale mnie przytrzymała za rękę i ciągnie w stronę baru, a on, zdrajca, już w drzwiach, wyszarpnąłem dłoń i skoczyłem za nim, wyszło głupio, na progu dogoniło nas jej pogardliwe:

- You're chicken! (kurczaczki - tutaj: gówniarze, pętaki, tchórze).

Uciekaliśmy jak zające, naprawdę przerażeni, myśląc to samo. Potem wędrowaliśmy po mieście, kiepsko rozróżniając ulice w mroku (nie ma tam latarni). Nagle ujrzelśmy jakiś kolejny szyld saloonu...

- Słuchaj, to nie ten sam?

- Ten sam, chodu!

Obeszliśmy go drugą stroną drewnianej ulicy, myśląc wciąż to samo.

W ciągu miesiąca naszej podróży ścigaliśmy się z policją, biliśmy z nożownikami, dokonano przy nas napadu, dwa razy przystawiano nam lufy do ciał, raz zamknięto w celi. Ani razu nie czuliśmy takiego strachu, jak tam, w Tombstone! Nie żartuję, chociaż teraz ma to kształt anegdoty... Mogę być „chick”, w porządku. W przeciwnym razie znalazłbym w tym mieście swój kamień grobowy!

Noclegowy „campground” za 5,3 dolara, a rano, w prężniejącym słońcu, obchód miasta. Jest małe i parterowe, ma około tysiąca mieszkańców i naprawdę oldwestową twarz, której urodę psują samochody parkujące na ulicach. Muzeum Wyattta Earpa, muzeum Wells Fargo (poczty dyliżansowej), sklepy z bronią i pamiątkami, na skraju jezdni słupek dźwigający tabliczkę z napisem: „Tutaj Luke Short zabił Charlie Stormsa 25 lutego 1881 roku”. Wreszcie wejście do zagrody O.K. Stare stajnie, kotły, wozy, zardzewiałe łańcuchy, zmurszałe belki. Otwiera się widok na dziedziniec... Niech ich diabli!

Czegóż innego można się było spodziewać w tym kraju, który całą swoją historię odlał w wosku, plastyku i gipsie? Stoi 9 gipsowych postaci naturalnej wielkości i wali do siebie z coltów! Olejna farba, którą namalowano im surduty i rumieńce, łuszczy się, gips pokruszony, bal manekinów z nadgryzionego marcepanu! „Jak żywe”, psiakrew!

Za to cmentarz mówi prawdę. Mnóstwo kamieni grobowych, na każdym lakoniczne epitafium o zastrzeleniu, powieszeniu, zlinczowaniu, niektóre nawet dowcipne: „George Johnson - powieszony przez pomyłkę”. Pokłósie

„O.K. Corral shotgun” w jednym miejscu. Niedaleko grób tatusia, „Starego” Clantona. Dalej „Black Jack” Christian, przywódca siejącego grozę Gangu Wielkich Pięciu, zastrzelony przez młodziutkiego Jeffa Milтона, specjalnego agenta Wells Fargo do rozpraw z bandytami (do historii i legendy Dzikiego Zachodu przeszedł telegram, który wysłał władzom ten wspaniały chłopak po zakończeniu pościgu za trzema opryszkami: „Przyślijcie dwie trumny i jednego lekarza. Milton”). Dalej pensjonariusz Yumy, „Buckskin” Frank Leslie, który zamordował podstępnie Johna Ringo, swą kochankę - prostytutkę Molly Bradshaw i tombstońskiego golibrodę Killena, po czym ożenił się... z wdową Killen, ale ta rozwiodła się z nim, gdyż ustawiał ją pod ścianą i obrysowywał jej figurę kulami. Dalej - las krzyży i nagrobków, wszystkie podobne. Niewielu leży tu takich, którzy zmarli śmiercią naturalną, a nic nie jest bardziej symboliczne dla tego dzikiego pola, pełnego głązów i pagórków zarośniętych nie pielęgnowanymi krzewami, niż epitafium na kamieniu grobowym niejakiego Moore’a: „Tu leży Lester Moore. Ni mniej ni więcej, tylko cztery kule z czterdziestki czwórki”.

Ten cmentarz nosi nazwę „Boot Hill Graveyard”, a nad wejściem wisi wielki czarny but („boot”). Umierało się w butach w Tombstone - inaczej wstyd. Największy, obok Hickoka, „pistolero” wszechczasów, „Doc” Holliday, konając powiedział:

- Tak, będę przeklęty...

- Dlaczego tak mówisz, Doc? - spytał ktoś, kto był obok.

A doktor Holliday uśmiechnął się po raz ostatni w swym życiu i zanim zamknął zdziwione oczy, wyszeptał (były to jego ostatnie słowa):

- To śmieszne....

To naprawdę było śmieszne, zadziwiające i po prostu głupie: setki lepszych i gorszych „gunfighterów” pogranicza umierało w butach, tak, jak powinno, od kuli, a wielka, legendarna „kareta” asów, Short, Earp, Masterson i Holliday nie. Każdy z nich zmarł w łóżku, „po bożemu”, na bosaka, jak starszy księgowy albo szewc!... Mamie Historii też się zdarza robić głupie kawały.





ETAP XII

O jedenastej, tą samą drogą, którą przyjechaliśmy do Tombstone, wyruszamy z powrotem do interstate nr 10. W dzień to zaledwie 28 minut. Wieziemy ze sobą wałówkę, w której po raz pierwszy nie ma „Big Maców” - najlepszych na świecie, wielopiętrowych hamburgerów McDonalda, bo się nam już przejadły. Jest z tym tak, jak z piosenką, która chwyciła za ucho - człowiek kupuje płytę z tym nagraniem, puszcza ją z lubością dwadzieścia razy dziennie i po tygodniu, słysząc ją w radio, dostaje wymiotów.

Chodzi mi po brzuchu jakaś inna tęsknota. Zaiste, jest coś okropnie trywialnego w fakcie, że podczas dłuższego pobytu w obcym kraju tęskni się równie silnie za najbliższą sercu osobą, co za kotлетem schabowym.

Tablica przy highwayu namawia do jakichś zakupów na raty, pożyczek etc. Jeszcze jeden amerykański fetysz. Jankesi każdy grosz odprowadzają do banku, a interesy załatwiają wyłącznie opierając się na pożyczkach (biznesmen operujący żywą gotówką miast pożyczką, zostałby uznany za człowieka o zepsutym rozumie i ze zwykłego strachu przestano by robić geszefty z takim szaleńcem). Mają poza tym „kota” na punkcie przecen. W Chicago opowiadał nam znajomy Polak, że jego sąsiedzi, Amerykanie, wyśmiali go, kiedy kupił garnek w sklepie po drugiej stronie ulicy, bo akurat potrzebował. Oni co rano czytają w gazetach ogłoszenia o „sale’ach”, po czym pędzą na drugi kraniec miasta do sklepu, w którym danego dnia garnki sprzedaje się z 10-centową obniżką ceny. W ten sposób zaoszczędzili 10 centów na garnku. A benzyna, którą spalili jadąc do tego sklepu, kosztowała półtora dolara. Łebscy ludzie, nie da się ukryć. Tylko że ja tego kompletnie nie pojmuję, tak jak Indianie nie pojmowali sensu istnienia pieniędzy.

40 minut autostradą i skręcamy w lewo, na „czerwony” stanowy highway nr 666, by po raz ostatni już spotkać się z Indianami. Byliśmy u najświetniejszych Indian północnej części USA, Siuksów, teraz kolej na gwiazdy Południa - Apaczów.

W Arizonie jest kilka rezerwatów - mieszkają tu, oprócz Apaczów, Indianie Hopi, Navajo, Papago i inni. Łatwo się pomylić, dla nas są nie do odróżnienia. Kiedy na stacji benzynowej spotkałem się przy „źródełku” z młodym Indianinem noszącym szerokorondy kapelusz (on nabierał wodę do kanistra, a ja do termosu) i zaprosiłem go do wspólnej fotografii, zgodził się bez słowa, ponuro, chyba tylko dlatego, że obok było pełno białych i bał się dać mi w zęby. Kiedy tak staliśmy obok siebie, a Jerry regulował migawkę, spytałem:

- Apache? (wymawia się to: epeczi?).

Spojrzał na mnie z nienawiścią i wycodził przez zęby:

- No, Navajo! (nou, Nawahou!).

Znowu droga przez dzicz. Taką kochamy, omijacze centrów metropolii, czy to pustynia, czy puszcza, w której zabłąkaliśmy się po opuszczeniu Yellowstone Park, bo takiej potrzebujemy, dzieci żelbetu. Wytłumaczył to już w XIX wieku, w swoim dziele *Walden, czyli życie w lesie*, wybitny amerykański pisarz, poeta i filozof doby romantyzmu, Henry David Thoreau:

„Potrzebujemy balsamu dziczy. Chcemy się czasem zapuścić w mokradła, tam gdzie zapada bąk i derkacz, chcemy posłuchać chrapania słonki, wciągnąć w nozdrza woń szemrzącej turzycy, w której gnieździ się jeszcze płochliwsze i odludniejsze ptactwo i pod którą pełźnie przygięta norka (...) Musimy się orzeźwiać widokiem niewyczerpanej energii, olbrzymich tytanicznych zjawisk, brzegu morskiego z jego wrakami, puszczy z jej niedosiężnymi i jej powalonymi drzewami, chmur nabrzmiąłych piorunami, deszczów trwających trzy tygodnie i tworzących wielkie rzeki, tam gdzie ich nie było”.

Jedziemy do sławnego rezerwatu San Carlos, do którego biali siłą wepchnęli ujarzmionych Apaczów i z którego raz po raz wyprowadzał swoich braci ostatni „dziki” wojownik Ameryki Północnej. Ci Indianie, którzy walczą dzisiaj, członkowie Amerykańskiego Ruchu na rzecz Praw Indian oraz innych indiańskich stowarzyszeń, organizujący marsze protestacyjne na Waszyngton, wysyłający postulaty do ONZ, biorący udział w indiańskich konferencjach międzynarodowych (w roku 1977 w Genewie) - to już produkt cywilizacji białych. Wszystko przewróciło się do góry nogami. Kiedy w Birch Creek rozegrano zawody sportowe między mieszkańcami tamtejszego rezerwatu a reprezentacją miejscowych białych obywateli, ku powszechnemu zdumieniu w jeździe konnej, strzelaniu z łuku oraz rzucie lassem zwyciężyły „blade twarze”, natomiast turniej szachowy, bilardowy i kręglarski, a także walki bokserskie, wygrali czerwonoskórzy!

Chcąc stanąć na „Apache teritory”, w San Carlos, jesteśmy jak ci dwaj chłopcy z Ostbeveren (RFN), Kurt i Michael, którzy w tym samym 1977 roku uciekli z domu, by ujrzeć p r a w d z i w y c h I n d i a n , dotarli do Ameryki Północnej i przeżyli w rezerwacie rozczarowanie, co głośno odnotowała prasa światowa. Kiedy my, przez Safford, Pimę i Fort Thomas, dotrzemy około trzynastej do San Carlos, zrobimy zdjęcia Indian i ich kościoła, i zechcemy w Bylas, w jedynym indiańskim sklepie ze wszystkim, w którym kupiłem indiańską torbę pustynną na wodę, kupić także jakieś pocztówki - okaże się, że jedyne pocztówki sprzedawane przez Apaczów w rezerwacie San Carlos zawierają półpornograficzne, beznadziejnie głupie, rysunkowe „humory”, tłoczone w Bostonie i Colorado Springs!



W dzieciństwie matka nauczyła mnie wierzeń naszego ludu; opowiadała mi o słońcu i o niebie, księżycu i gwiazdach, chmurach i burzach. Nauczyła mnie klękać i modlić się do Usena (Boga) o siłę i zdrowie, mądrość i opiekę (...) Czasami zbierało się na modły i śpiewy całe plemię, czasami garść osób, niekiedy tylko dwie lub trzy (...) Nigdy nie modliliśmy się o pokaranie nikogo, a gdy mieliśmy coś przeciw komuś, wymierzaliśmy sprawiedliwość sami. Uczono nas, że Usen nie interesuje się drobnymi ludzkimi porachunkami.

Geronima żywot własny

OSTATNI INDIAŃSKI WOJOWNIK

„Na początku świat okrywała ciemność. Nie było słońca ani dnia. Panowała wieczna noc bez księżyca ani gwiazd”. Nielicznych żyjących wówczas ludzi gnębił okrutny smok, lecz pewna kobieta urodziła „syna burzy”, który zabił smoka-ludożercę. Chłopiec ten nosił imię Apacz i stał się praojcem ludu Apaczów, któremu Usen podarował rozległe ziemie na wieczne siedlisko. „Tak było na początku - kontynuował swą przedśmiertną spowiedź w niewoli największy z Apaczów, Geronimo - Apacze i ich ziemie stworzeni dla siebie przez samego Usena. Ale gdy Apaczów zabrać z ich krainy, zaczynają chorować i umierać. Jak długo potrwa, nim trzeba będzie rzec: nie ma już Apaczów?”. Spisujący spowiedź Geronima S. M. Barrett opatrzył ten fragment następującym, pełnym zdziwienia przypisem: „Liczba Apaczów trzymanyh jako jeńcy wojenni szybko maleje. Nie ma żadnej namacalnej przyczyny, jednakże jest ich coraz mniej i mniej”.

„Nie ma żadnej namacalnej przyczyny...”. Nie ma również żadnej namacalnej przyczyny, dla której zwierzęta zamknięte w ZOO musiałyby popadać w samounicestwiającą apatię, obgryzać sobie całe kończyny i zadawać samobójczą śmierć. A jednak to robią. Nie ma żadnej namacalnej przyczyny, dla której rośliną przyniesiona na inny grunt musiałyby uschnąć. Lecz usycha...

Apacze, wzorem wszystkich Indian, żyli w absolutnej i zupełnie niepojętej dla białych symbiozie z naturą, czego jednym z wielu przykładów było umieszczanie przez położnicę łożyska płodu na najbliższym drzewie lub w krzewach („drzewo odradza się co roku, więc niechaj jak to drzewo odradza się życie dziecka”). Ziemia ojczysta stanowiła dla Apaczów miejsce święte. Oddaleni z jakiegoś powodu rodzice od czasu do czasu przywozili dziecko pod jego płodowe drzewo lub krzew i położywszy na ziemi toczyli w cztery strony świata. Również dorośli Apacze tarzali się w miejscu swego urodzenia w czterech kierunkach, co symbolizowało zespolenie z Wielkim Kołem, „którego środek jest wszędzie, a obwód nigdzie”. Nie była to romantyczna fanaberia, lecz konieczność biologiczna - według Apaczów człowiek i cały szczep mógł

umrzeć, jeśli odcięło się go od życiodajnej gleby rodzinnej.

Dlatego stary, osadzony za drutami na dalekiej Florydzie Geronimo, zakończył swoją autobiograficzną baśń apelem do prezydenta Teodora Roosevelta, by ten pozwolił mu wrócić wraz z braćmi na plemienne łowiska w Arizonie. Jednakże prezydent pozostał głuchy na tę prośbę, a ponieważ Apacze nie mieli możliwości poprawienia mu słuchu szejeńską metodą à la Custer, musieli zdychać.

Apacze przybyli do Ameryki Północnej stosunkowo późno. Byli to ostatni Indianie, którzy przekroczyli Cieśninę Beringa i weszli na terytorium dzisiejszej Kanady, by potem przenieść się dalej na południe. Zadziwiającym zbiegiem okoliczności oni właśnie wydali w wiele stuleci potem ostatniego czerwonoskórego wojownika, który starł się z białymi na śmierć i życie. Kiedy i jego ujarzmiono - można było uznać proces pacyfikowania Indian północnoamerykańskich za zakończony.

Ulubionym sposobem walki Apaczów było działanie typu partyzanckiego, małymi grupami, atakującymi z doskoków i znikającymi po chwili bez śladu. Pieroni napisał o nich: „Byli to prawdopodobnie najlepsi wojownicy, jakich wydała rasa indiańska”. Byli to również najbardziej okrutni wojownicy, jakich wydała rasa indiańska.

Dla mojego pokroju apologetów Indian i miłośników kultury indiańskiej, okrucieństwo niektórych plemion, zwłaszcza zaś Apaczów, stanowi gorzką pigułkę. Najchętniej by się o tym „zapomniało”. Dlaczego tego nie robię? Przez uczciwość pisarską? Bez przesady z tą uczciwością (ostatnio, kiedy słyszę, jak się ktoś reklamuje jako uczciwy, to od razu mam ochotę rznąć w pysk!). Nie widzę po prostu potrzeby przedstawiania moich bohaterów jednowymiarowo, by nie stali się nazbyt papierowymi bohaterami. Inaczej nie chcielibyście mnie czytać.

W bitwie nad Little Big Horn części ludzi Custer'a wystrzelała się sama, by uniknąć wzięcia do niewoli i w konsekwencji okrutnej śmierci na skutek indiańskich tortur. Kto z nas, nawet taki „Indian-lover” jak ja, nie burzy się na myśl o bestialstwie dokonanym przez Apaczów w dniu 27 kwietnia 1886 roku? Tego dnia wojownicy Geronima osaczyli farmę w dolinie Santa Cruz, wybili kowbojów i na oczach właściciela poddali makabrycznym mękom jego żonę. Farmer postradał zmysły, puścili go więc wolno, uprowadzili natomiast jego 13-letnią córkę. Gdybym tam wówczas żył i był białym, nie wątpię, że byłbym „Indian-killerem” i mściłbym się opanowany amokiem nienawiści. Ale żyję tutaj i mam świadomość nie tylko skutków, lecz i przyczyn.

Kiedy patrzy się dzisiaj na fotografie Apaczów, tak różne od fotograficznie „zdjętych” rysów innych Indian - staje się oko w oko z twarzami nieprawdopodobnie okrutnymi i nie oczekującymi pardonu od nikogo, o ustach skamieniałych w sposób wprost nieludzki i o oczach szklistych, jakby

zasnutych mgłą, i gorejących tak strasznie, że po tylu latach wciąż palą papier, na którym je uwieczniono. W tych ustach nie ma i wydaje się, że nigdy nie było uśmiechu (bo do czegoś miałyby się uśmiechać?), a w tych oczach jest zaklęta pamięć o każdej rzezi, każdej masakrze kobiet i dzieci i każdej z koszmarnych tortur, jakimi biali przybysze potraktowali czerwonoskórych ludzi po przybyciu na ten kontynent.

Wszystko to zaczęło się wtedy, gdy Stara Ziemia stała się zbyt ciasna i zapragnęła nowego Lebensraumu. Kończyło się właśnie średniowiecze. Gasły blaski rozet „flomboyant”, maswerków i ostrołukowych witraży, boska smukłość gotyku dosięgła chmur i zastygła, Leonardo szukał twarzy Judasza, Michał Anioł pieścił swoje marmury, w stocznicach Starego Świata powstawały coraz śmielsze karawele. Na jedną z nich wsiadł admirał Krzysztof Kolumb, na drugą jego kolega Cortez, na trzecią kolega Pizarro, a na inne reszta kolegów głodnych złota i cywilizowania Nowego Świata. Ale złota najpierw, bo bez niego nie można ucywilizować nawet własnej kieszeni, nie mówiąc już o uleczeniu własnego serca (Cortez wyjaśnił zdziwionemu zachłannością Hiszpanów Indianinowi, że biali ludzie cierpią na pewną chorobę serca, na którą złoto jest jedynym lekarstwem).

Szło to początkowo opornie - Cortez w zdobytej stolicy Azteków znalazł zaledwie 130 tysięcy dukatów. Kazał więc piec żywcem na żelaznych rusztach następcę Montezumy, Guatimozina, oraz kacyków Tecuca i Tacuby'ego, chcąc zmusić ich do wyjawienia miejsc, w których ukryli swe skarby. Gdy w pewnym momencie jeden z wasali zaczął błagać Guatimozina o pozwolenie wydania tajemnicy, ostatni władca Meksyku zawołał:

- A ja, czy spoczywam na kwiatach?

Umarli zabierają tajemnicę do grobu. Gdyby byli trochę mniej zawzięci, umarliby trochę zdrowsi, to jest w stanie trochę bardziej surowym. Oni i wielu następnych, cywilizowanych wysokimi temperaturami (i nie tylko) przez prężne plemiona znad Renu, Tagu, Sekwany, Tamizy i Ebro. Ale i wówczas nie brakowało inteligentnych zgniłków - notorycznych malkontentów, takich jak ów pomyłony mnich, zdrajca własnej rasy, Bartolomeo de Las Cases, który w swej *Krótkiej relacji o wyniszczeniu Indian* pozostawił straszliwy akt oskarżenia społeczeństw europejskich dokonujących pacyfikacji Nowego Świata. Bardzo podniecająca lektura. Oto znajdujemy w „*Brevissima relacion...*” taki opis: siesta, piecze się na wolnym ogniu indiański kacyk. Odpoczywającemu kapitanowi oddziału konkwistadorów kaleczy to słuch, każe więc dobić nieszczęśliwego. Oficer mający wykonać to polecenie, nie chcąc psuć widowiska, zatyka jedynie szmatami usta Indianina.

Las Casesowi nie podobały się takie spektakle, potępiał je. Nie ominęła go za to kara od ślepej opatrności. Wpadł na pomysł i rozgłosił go. Pomysł miał na celu zwalczenie niedoli tubylców i polegał na tym, żeby Murzynami

zastępować Indian, których wykańcza ciężka praca fizyczna na plantacjach i w kopalniach. Zupełnie tak samo zwalczano w naszym stuleciu narkotyki - wytworzona w roku 1898 heroina miała służyć, jako nieszkodliwy środek zastępczy, leczeniu morfinistów, a oni tak się do tego zapalili, że zastąpili nią morfinę na dobre i leczą się coraz bardziej intensywnie. Las Casesa też posłuchano, a kiedy on i jego zwolennicy spostrzegli niedolę czarnych niewolników, było za późno - mogli już tylko bić się w piersi przed ołtarzami i błagać: „Misericordia, Señor, hemos pecado!” (Miej litość, Panie, zgrzeszyliśmy!).

Apacze byli pierwszymi „dzikimi” Indianami, z którymi zetknęli się biali konkwistadorzy. Niesłuszna jest bowiem opinia, iż zderzenie się 506 opancerzonych ludzi i 16 koni Corteza z Aztekami było zderzeniem dwóch naprawdę różnych cywilizacji. W Meksyku Hiszpanie napotkali układ typu europejskiego, różniący się tylko folklorem: potężne królestwo z miastami, twierdzami, z analogiczną hierarchią władzy i brutalnym systemem nierówności społecznej, z dobrze rozwiniętą techniką i rolnictwem, z regularną armią i rytuałami zabójstw na modłę Świętej Inkwizycji. Dopiero kiedy Francisco Vasquez de Coronado zapuścił się na pustynie południowego Zachodu i napotkał tam Apaczów - było to zderzenie dwóch ekstremalnie różnych cywilizacji, z których jedna żywiła paniczny strach przed przyrodą, póki jej nie ujarzmiła, i pogardę dla niej, gdy już ją ujarzmiła, druga zaś uważała przyrodę za część samej siebie, zderzenie kultury operującej abstrakcyjnym systemem monetarnym z kulturą operującą zawsze konkretami i wartościami użytkowymi.

Hiszpanie przez 200 lat prowadzili wojnę z apacką guerillą, nie udało im się jednak wyniszczyć bitnego narodu, co było nieodzownym warunkiem „postępu” na tym pustynno-górskim obszarze Ameryki. W roku 1848, na mocy traktatu z Guadalupe Hidalgo, pochodnię postępu przejęli z rąk hiszpańskich „cabaleros” Amerykanie. Ci nie zamierzali się patyczkować.

Początkowo Apacze - mimo swej wojowniczości - nie tykali białych osadników. Ale kiedy ich tknięto, zaczęli rżnąć. Sławny wódz Cochise wyjaśnił, dlaczego to robią, w przemowie do komisarzy rządowych:

- W młodości przemierzałem mój kraj od wschodu do zachodu i spotykałem tylko Apaczów. Teraz widzę najczęściej ludzi innej rasy, którzy przyszli zagarnąć naszą ziemię. I dlatego właśnie Apacze zabijają białych najeźdźców, a sami także wolą umierać niżli żyć!

Kto z nas może nie przyznać racji temu tłumaczeniu? „Jaki naród może pogodzić się z upokarzającym widokiem obcej flagi w sercu swego terytorium?” - spytał po sesji Rady Bezpieczeństwa poświęconej problemowi Kanału Panamskiego szef Panamy, generał Omar Torrijos Herrera, które to pytanie bez odpowiedzi należy do żelaznego repertuaru historii rozdzielającej

narodom upokorzenia. Apacze nie mieli w zwyczaju znosić upokorzeń bezkarnie, a za okrucieństwo wobec siebie, rewanżowali się okrucieństwem wobec okrutników.

Mieli za co brać rewanż. W roku 1860 Amerykanie zaprosili wodzów Apaczów na „konferencję pokojową” i z miejsca ich uwięzili. W roku 1861 powiesili sześciu niewinnych Apaczów. W roku 1862, podczas wojny secesyjnej, obie walczące ze sobą strony, unioniści i konfederaci, płaciły nagrodę za skalp Apacza, a że tą samą gotowość płacenia (i to w złocie, za każdy skalp, również małych dzieci i kobiet) wyraziły władze Meksyku - każdy morderca w Arizonie miał do wyboru aż trzy kasy. Szkoda miejsca na wymienianie wszystkich podobnych „drobiazgów”, przejdźmy więc od razu do roku 1871, kiedy to biali obywatele Tucson, wspomagani przez obywateli Meksyku, urządzili apackie Sand Creek lub jak kto woli Wounded Knee: napadli na uśpiony, pokojowy obóz Apaczów w rezerwacie Fortu Grant i najpierw nożami i maczugami, a po przebudzeniu się Indian bronią palną, dokonali masowego mord. Zginęło podczas tej masakry 108 Apaczów, w tym tylko 8 wojowników, reszta bowiem mężczyzn była wtedy na łowach.

Oto za co rewanżowali się Apacze. Czynili to skutecznie, o czym świadczy list gubernatora terytorium Nowego Meksyku, który pisał do sekretarza stanu, Daniela Webstera: „Czelność tych Apaczów jest tak wielka, że atakują wręcz naszą kawalerię, zmuszając ją do odwrotu bądź położenia swych skalpów pod nóż dzikusów”. Po czym opowiedział o kilku przypadkach rozbicia przez Apaczów silnych konwojów i tak zakończył: „Oto, Panie, raporty, które nas dochodzą co dnia, a co gorsza mnożą się z taką szybkością, że jeśli podobne gwałty potrwać dłużej, nasze terytorium, zamiast zaludniać się skrętnie dorabiającymi się osadnikami, stanie się wkrótce smętną pustynią, zamieszkaną tylko przez wilki i drapieżne ptactwo krążące nad sponiewieranymi zwłokami naszych pomordowanych rodaków!”.

W końcu jednak Amerykanie wypracowali sobie skuteczne metody postępowania z Apaczami. Jedną z nich (nigdy nie zatwierdzoną formalnie, lecz nagminnie stosowaną w praktyce) ilustruje rozkaz wydany przez konfederacyjnego gubernatora Baylora komendantowi Gwardii Arizońskiej: „Zgodnie z uchwałą o wytępieniu wszystkich Indian podejmie Pan kroki celem zwabienia Apaczów pod pozorem zawarcia pokoju, a zgromadziwszy ich, uśmierci Pan wszystkich dorosłych, dzieci zaś pojmie i sprzeda jako niewolników dla pokrycia kosztów operacji. Proszę zakupić whisky i wszystko, co potrzebne na przyjęcie Indian, a ja dopilnuję wystawienia asygnat na eksponowane sumy. Niech Pan nie zaniedba niczego istotnego dla powodzenia akcji i ma w pogotowiu dostateczną liczbę ludzi, tak by żaden Indianin nie uszedł”.

Ta gościnność i zmasowany ogień karabinowy zrobiły swoje. Z trzech

głównych wodzów apackich - Victorio zginął pod gradem kul, Mangus-Colorado został zaproszony na rozmowy i okrutnie zamordowany, Cochise'a zaś jego biały przyjaciel, słynny Tom Jeffords, namówił do złożenia broni (widzieliśmy to w filmie *Złamana strzała*). Wzorem Cochise'a w ciągu kilku lat wszyscy pomniejsi wodzowie Apaczów, widząc beznadziejność dalszego oporu, pozwolili zamknąć się w znieawidzonym, jałowym rezerwacie San Carlos. Był rok 1867 (rok zwycięstwa Szalonego Konia nad Little Big Horn), kiedy wydawało się, że dumni Apacze już na zawsze pozostaną niewolnikami. Ale wtedy właśnie pojawił się demon zemsty, ów ostatni indiański wojownik Ameryki Północnej, który o całe 10 lat przedłużył szkarłatną epopeję swego ludu - straszliwy Geronimo.

Imieniem Geromino ochrzczili go Meksykanie po klęsce, którą im zadał w roku 1859 (prawdziwe indiańskie imię brzmiało: Goyathlay vel Gokhlayeh - Ten, który ziewa) i to imię przyłgnęło doń na stałe⁵. We wspomnianej bitwie walczył z ogromną furją nożem (!) i potem opowiadając o tym dodał dumnie: „Apacze to widzieli!”. A o to właśnie chodziło, gdyż Geronimo nie był dziedzicznym wodzem, musiał się „pokazać” w walce i dokonać wielkich czynów by osiągnąć godność przywódcy. Tego uczył go ojciec:

- Musisz wracać z trupami wrogów! Wówczas wszyscy bracia będą z ciebie dumni. Ty będziesz wówczas jedynym mężczyzną. Wszyscy będą o tobie mówili. Oto dlaczego tak do ciebie mówię.

Urodził się w roku 1829, w kanionie Nodoyohn (Arizona), w pobliżu źródeł rzeki Gila. Jak sam twierdził: całe jego życie upłynęło pod znakiem cyfry 4. Miał cztery żony, które były pełnej krwi Apaczkami z jego rodzinnego szczepu Bedonkohe i cztery półkrewi Bedonkohe, czworo jego dzieci zabili Meksykanie, a czworo uwięzili Amerykanie, kiedy umierał, żyło (poza nim) już tylko czterech czystej krwi Apaczów, i tak dalej, a w ogóle naród Apaczów składał się z czterech plemion: Chiricahua, Jicarilla, Mescalero i Lipane.

Młodość spędził tak, jak wszyscy chłopcy Apaczów - ucząc się wytrzymałości i samozaparciu. Do repertuaru testów stosowanych przez Apaczów należało stawianie młodzieży jeden naprzeciwko drugiego i miotanie w partnera kamieniami z procy oraz 4-milowy bieg z ustami pełnymi wody (chłopiec musiał pokazać starszyźnie, że przyniósł całą wodę z powrotem, to jest, że nie wypił ani nie uronił po drodze jednej kropli). Gdy ukończył 17 lat, dopuszczono go do rady wojennej. Potem, w kolejnych wyprawach, wyrąbał sobie swą niezwykłą odwagą stanowisko przywódcy wojennego i zyskał kolosalną sławę wśród ludzi wszystkich ras mieszkających między Alaską a Zatoką Meksykańską, jego okrucieństwo zaś stało się przysłowiowe. Generał Crook nazwał go „tygrysem w ludzkim ciele”, a jedyny generał amerykański,

⁵ Dzisiaj imię Geronima jest okrzykiem bojowym komandosów armii Stanów Zjednoczonych.

który darzył Indian sympatią, chociaż walczył z nim, Nelson Miles: „najgorszym Indianinem, jaki kiedykolwiek żył na świecie”! Dokładniejszy jego opis pozostawił dziennikarz Charles F. Lummis, który znał osobiście Geronima:

„Kto choć raz zobaczył jego brunatną twarz, do końca życia nie mógł jej zapomnieć, gdyż nigdy w rysach człowieka nie odbijało się tyle okrucieństwa. Miał szeroki i gruby nos, niskie, pomarszczone czoło, wystającą brodę; oczy przypominały dwa odłamki czarnego obsydianu, płonące ostrym blaskiem. Jego usta były doprawdy niezwykle, szerokie, o bardzo cienkich wargach, bez najmniejszego wygięcia, które by łagodziło ich zarys” (tłum. Olgi Nowakowskiej).

Latem 1858 roku wracający do swego obozu wojownicy Apaczów dowiedzieli się, że oddział kawalerii meksykańskiej wyciął w pień pozostawione pod słabą strażą kobiety i dzieci, w tym matkę, żonę i całe potomstwo Geronima. Był to dla niego koszmarny szok:

„...nie zwracając niczyjej uwagi odszedłem i stanąłem w milczeniu twarzą do rzeki. Nie wiem, jak długo tak stałem... (...) nasz wódz, Mangus-Colorado, wydał rozkaz pozostawienia ciał naszych bliskich na pobojuwisku i natychmiastowego powrotu w absolutnej ciszy do naszych siedzib w Arizonie. Pozostałem aż wszyscy odeszli, nie wiedząc, co począć. Nie miałem broni ani chęci do walki, nie miałem też zamiaru szukać ciał najbliższych, bo zostało to zabronione. Nie modliłem się ani nie podjąłem żadnego postanowienia, gdyż nie miałem już przed sobą żadnego celu. W końcu ruszyłem za swoimi, kierując się ledwo słyszalnym odgłosem kroków wycofujących się Apaczów (...) nie odzywałem się do nikogo, nikt też nie odzywał się do mnie - nie było nic do powiedzenia...”.

W tym pośępnym marszu narodził się prawdziwy Geronimo. Odnalazł swój cel żegnając w pamięci swoje dzieci i pierwszą żonę, która była jego pierwszą kobietą i jedyną, którą naprawdę kochał. Pobrali się w roku 1846:

„Największą radością było to, że mogłem teraz pojąć za żonę piękną Alope, córkę Noposo. Choć była ona drobną i delikatną dziewczyną, od dawna już byliśmy kochankami. Więc gdy tylko rada przyznała mi pełne prawa, poszedłem do jej ojca oświadczyć się. Być może nasza miłość nie obchodziła go albo chciał zatrzymać Alope przy sobie, bo była mu powolną córką, dość że zażądał za nią wiele koni. Nie odrzekłem nic, lecz po paru dniach zjawiłem się przed jego wigwamem ze stadem koni i zabrałem Alope. Była to cała ceremonia ślubna wymagana w naszym plemieniu. Nie opodal tipi mojej matki wybudowaliśmy sobie własny dom. Nasze tipi zrobione było ze skór bizonów, a wewnątrz mieliśmy pod dostatkiem skór niedźwiedzi, skór kuguarów i innych trofeów myśliwskich, jak również moje włócznie, łuki i strzały. Alope porobiła dużo drobnych ozdób z paciorków i koźlej skóry, które umieściła w naszym nowym domu. Namalowała również na ścianach wiele rysunków. Była

mi dobrą żoną, chociaż nigdy nie była zbyt silna. Żyliśmy podług obyczaju naszych ojców i byliśmy szczęśliwi. Urodziło się nam troje dzieci, które bawiły się, biegały i pracowały tak, jak ja w dzieciństwie”.

Teraz, podczas powrotu do stałej siedziby z pola masakry w obozie wędrownym, przypomniało mu się to wszystko, każdy z tych szczęśliwych dni, które odeszły bezpowrotnie. Przed sobą miał jeszcze najgorsze - spotkanie z domem, którego bizonie „ściany” zakłęły w sobie tamto życie.

„W parę dni później dotarliśmy do naszych siedzib. W domu czekały na mnie ozdoby zrobione przez Alope i zabawki naszych dzieci. Spaliłem je wszystkie razem z całym tipi. Spaliłem także tipi mojej matki i wszystko, co do niej należało. Odtąd nie zaznałem już spokoju w naszym spokojnym obozie. Mogłem wprawdzie odwiedzać grób ojca, poprzysiągłem jednak zemstę żołnierzom meksykańskim, którzy mnie tak skrzywdzili, i ilekroć zbliżałem się do jego grobu albo napotkałem cokolwiek, co przypominało mi dawne szczęśliwe dni, serce ścisnęło mi się żądzą zemsty” . ,

Wystawił Meksykanom apokaliptyczny rachunek za tę zbrodnię. Jego okrucieństwo wobec białych osadników i żołnierzy, również mające swoje konkretne przyczyny (Amerykanie między innymi w roku 1863 zwabili pod pozorem rokowań, do obozu w pobliżu Membras, sędziwego Mangusa-Colorado i zatorturowali go na śmierć przy ognisku, a jego czaszkę wysłali do Smithsonian Institution w Waszyngtonie), było niczym w porównaniu z okrucieństwem wobec Meksykanów. W ciągu kilkunastu lat od śmierci Alope, rok w rok organizował 2-3 wyprawy do Meksyku i rezał w taki sposób, że słuchającym relacji o tych rzeziach włosy stawały na głowach z przerażenia. Czasami zabierał cały szczerp, czasami wyruszał samotrzeć, czasami zupełnie sam! Eksterminował całe kompanie wojsk meksykańskich, farmy, wsie i pojedynczych nieszczęśników, którzy podeszli mu pod nóż. Odniósł w czasie tych zagonów kilka ciężkich ran, lecz żadna nie ostudziła jego nienawiści. Upijał się meskalem (meksykańska wódka z agaw) i w stanie półzamroczenia dokonywał potwornych okrucieństw. To z kolei wywoływało odwetowe rajdy armii Meksyku i tak toczyło się to obłądne koło odwetów i kontrodwetów, aż w końcu...

Aż w końcu Apacze - widząc, że mściwość Geronima naraża ich na kompletną zagładę - zaczęli mieć go dość! Coraz trudniej przychodziło mu poderwać ich do gromadnego wypadu, uciekał się więc do podstępów i kłamstw, a nawet siły. Wówczas znienawidzono go, ale wciąż się bano, gdyż był także szamanem i uchodził za szczególnie mocarnego czarnoksiężnika. Wojna więc trwała dalej. Nie było takiej sumy, której rząd Meksyku nie zapłaciłby za głowę Geronima.

Ta płomienna nienawiść do Meksykanów nie wygasła w nim do końca życia. Przed śmiercią powiedział: „Zabiłem wielu Meksykanów, ale nie wiem dokładnie ilu, bo często ich nie liczyłem. Nie wszyscy zasługiwali na to, by ich

liczyć (...) Zawsze postępowali ze mną niegodziwie i podstępnie. Jestem już stary i więcej nie wstąpię na ścieżkę wojenną, lecz gdybym był młody i mógł na nią znowu wstąpić, prowadziłaby ona do Starego Meksyku”.

Z Amerykanami też walczył zaciekle, choć nie aż tak regularnie. Kiedy już wszyscy wodzowie Apaczów powędrowali do San Carlos, pozostał jedynym nieujarzmionym na czele kilkudziesięcioosobowej grupki największych desperatów. Był już nie tyle wodzem, co dzikim watażką. Kilkakrotnie zorganizował bunty i uciezki współplemieńców z rezerwatu (dwie największe w latach 1881 i 1885). W owym czasie kampanię wojenną przeciwko Geronimowi prowadził generał Crook. W roku 1886 zakończyła się ona fiaskiem i skompromitowanego generała odwołano karnie w stan spoczynku. Triumf święciła partyzancka metoda (nagłe uderzenie i odskok) Apacza, zgodnie z prastarą regułą, która sprawdziła się w starożytności, potem za Napoleona w Hiszpanii, w naszym stuleciu w Wietnamie i którą tak można sformułować: partyzantka wygrywa, kiedy nie przegrywa, lecz armia regularna przegrywa, kiedy nie wygrywa. Powszechnie wiadomo, że Ché Guevara szukał natchnienia w studiach taktyki Geronima. I Guevara przegrał w Boliwii, tak jak Geronimo w Arizonie, gdyż inna stara prawda mówi, że partyzantka nie ma szans tam, gdzie nie ma oparcia w społeczeństwie. A Geronimo był już nie tylko sam wśród Apaczów, lecz sam wśród wszystkich Indian Ameryki - w roku 1886 walczył z białymi już tylko on!

Następcą Crooka został Miles, ale potrzebował jeszcze pół roku, by odnieść sukces. Podzielił swoje wojsko na 25 oddziałów, które przeczesywały góry Pinito centymetr po centymetrze. Nic by to zapewne nie dało, gdyby Miles nie posłużył się... apackimi zwiadowcami („Apache scouts”). Było wśród nich kilku byłych przyjaciół Geronima, czemu nie należy się dziwić znając życie w ogóle, a historię Apaczów w szczególności. Jak już wspomniałem - większość współplemieńców miała go dość. Organizując w roku 1885 ucieczkę z San Carlos Geronimo wmówił w wodzów Naiche i Chihuahue, że zostaną aresztowani za zabicie białego oficera (sam kazał swoim przybocznym dokonać tego mordy, który jednak nie doszedł do skutku) i w ten sposób wywabił ich z rezerwatu. Kiedy obaj dowiedzieli się, że wyprowadzono ich w pole, o mało nie zabili Geronima.

„Apache scouts” znaleźli trop i Geronimo, z 20 wojownikami, 13 kobietami i sześciorgiem dzieci, które marzły i cierpiały głód, nie miał innego wyjścia jak poddać się, co też uczynił 4 września (wciąż ta magiczna czwórka!) 1886 roku w Kanionie Szkieletu. Generał Crook, kiedy się o tym dowiedział, rzekł:

- Oto koniec Starego Zachodu.

A jeden z obecnych przy tym oficerów westchnął:

- Szkoda, to było piękne.

Ale koniec ostatniego indiańskiego wojownika nie był piękny. Wsadzono go,

wraz z jego ludźmi, do obskurnego wagonu kolejowego i wywieziono jako dożywotniego jeńca na Florydę, a stąd do Vermont w Alabamie i w końcu do Fort Sill w Oklahomie. Za odjeżdżającym pociągiem rzuciły się w pogoń indiańskie psy, których nie pozwolono Apaczom zabrać ze sobą - kilka z nich bieгло wzdłuż torów przez 20 mil, aż padło! W Fort Sill Apacze wegetowali w nędzy i marli jak muchy. W bardzo krótkim czasie, „bez żadnej namacalnej przyczyny”, jedna czwarta szczepu odeszła do Krainy Wiecznych Łowów. Geronimo powiedział:

„Znikamy z powierzchni ziemi, lecz nigdy nie uwierzę, byśmy byli bezużyteczni, po cóż bowiem Usen by nas stworzył. On to powołał do życia wszystkie plemiona ludzkie i dobrze wiedział, dlaczego powołuje każde”.

Naczelnny projektant w fabryce Telefunkena, Sanyo czy Grundiga też wie, po co powołuje do życia magnetofon, ale nie obchodzą go dalsze jego losy. Geronimo winien pamiętać, że „Usen nie interesuje się drobnymi ludzkimi porachunkami” i że człowiek jest zdany sam na siebie - wówczas nie bulwersowałyby go zagłada jego narodu. Odwieczne, mające wymiar przerażająco uniwersalny, przykazanie Apacza-ojca dla Apacza-syna, brzmiało:

„Wiedz, mój synu, że nikt ci nie pomoże na tym świecie. Sam musisz wszystkiego dokonać (...) Wiedz, mój synu, że nikt nie będzie ci przyjacielem, ani siostra, ani ojciec, ani matka. Twoje nogi będą ci przyjacielem; twój rozum będzie ci przyjacielem; twój wzrok będzie ci przyjacielem; twoje włosy będą ci przyjacielem; twoje dłonie będą ci przyjacielem; musisz nimi wiele dokonać...”

Ostatni wojownik niczego już nie mógł dokonać swymi starczymi rękami i 17 lutego 1909 roku odszedł na spotkanie z Usenem.

Ostatni?... W roku 1933 z górskiej kryjówki w Sierra Madre wypadł tajemniczy hufiec Apaczów i rozbił w puch oddział meksykańskich żołnierzy. Dowódca tych widm zwał się Geronimo i był bratankiem „tygrysa w ludzkim ciele"! Tyle tylko się dowiedziano. Po napadzie gromada wojowników zniknęła w górach i nigdy już nie natrafiono na jej ślad...





ETAP XIII

Znowu, podobnie jak z Tombstone, wracamy tą samą drogą, „czerwonym” highwayem nr 70, który w Safford przechodzi w „czerwony” 666. Słońce nie słabnie, prawa ręka, którą przez te kilka dni ukropu trzymałem w otwartym oknie, łokciem na zewnątrz, stała się niemal czarna i wygląda jak przyszyta do mojego cielska. Dżinsy lepią się do ciała i stają mokre po godzinie jazdy. Dżinsy... Mamy po dwie pary i żadna jeszcze nie zawiodła w potrzebie. Nic dziwnego, to oryginalne Levisy, których nie rozerwą nawet dwa konie zaprzężone do nich i poganiane w przeciwne strony (tak przynajmniej głosi rysunkowa reklama firmy Levi Strauss na naszywkach). Nic dziwnego - „Z Wyoming donoszą, że znaleziono tam grób ze szkieletem ubranym w Levisy. Spodnie były jak nowe”. Nic dziwnego - „W Colorado kolejarz, stwierdziwszy uszkodzenie złącza między wagonami, związał je spodniami firmy Levi Strauss i pociąg w komplecie dojechał do następnej stacji, odległej o 15 kilometrów”. Nic dziwnego, że przy takiej reklamie roczny dochód przedsiębiorstwa Levi Strauss & Co. wynosi 1 miliard 100 milionów dolarów.

W roku 1830, w małym bawarskim miasteczku urodził się biednemu żydowskiemu krawcowi o nazwisku Strauss syn Levi, też krawiec. 18-letni Levi Strauss wyemigrował za chlebem do Ameryki. Jego okręt, „Filadelfia”, przybił do brzegów Kalifornii w „złotym” (kalifornijska gorączka złota) roku 1848. Levi z zapasem mocnego płótna żaglowego na namioty udał się w samo serce Gold Landu, jednakże kopacze oświadczyli mu, że namiotów mają dość, brak im natomiast mocnych spodni, które nie darłyby się już po kilku dniach górniczej pracy. Więc Levi zaczął im szyc długie gacie z żaglowego płótna, po 13 dolarów za tuzin. Miały one tylko tę wadę, że kieszenie, po napchaniu ich próbkami skał, odpruwały się. Lecz tu w sukurs Straussowi przyszedł inny krawiec, Jacob Davis z Nevady, który mając dość ciągłego przyszywania swemu klientowi kieszeni wypychanych kamieniami, przymocował je dla kawału miedzianymi nitami. Levi kupił licencję na kawał wraz z jego autorem i tak narodziły się wiecznie modne spodnie. Nazwano je „blue jeans” (niebieskie dżinsy), gdyż płótno żaglowe zostało zastąpione mocnym drelichem tego koloru. Do Europy przywieźli je podczas II wojny światowej, wraz z gumą do żucia, chłopcy z US Army. Osławiony Marshall McLuhan dopatrzył się w triumfalnym pochodzie dżinsów przez wszystkie kontynenty „wyrazu protestu przeciw establishmentowi - te spodnie kwestionują hierarchię wartości klasy średniej”. Klasa średnia ma to głęboko w nosie, dżinsy uwielbia i McLuhana też, bo ta klasa ma to do siebie, że uwielbia wszystko, co ją zdecydowanie (i pozornie) łaje i odśrednia. Ja natomiast, chociaż jestem całkowicie bezklasowy

duchem, i Jerry, który identycznie jak ja deklasuje się w dół albo w górę zależnie od humoru i gatunku wody ognistej, po prostu kochamy przebrzydłych kapitalistów z firmy Levi Strauss & Co. za te boskie portki i kwita.

Wylatujemy z powrotem na interstate 10. Bowie, Bawtry, około siedemnastej granica naszego dwunastego stanu, New Mexico. To się nawet słyszy, bo łapiemy w odbiorniku radiostacje meksykańskie.

Powoli robi się chłodniej, odżywamy. A silnik przeciwnie, znowu się zagrzał, co sygnalizuje czerwona lampka. Musimy stanąć na kilkanaście minut.

Lordsburg, Deming, Las Cruces, o 19³⁰ granica Teksasu, za którą zaraz El Paso na granicy z Meksykiem. Meksykański folklor na straganach, bezbrzeżna tandeta dla tych, co to mają za dużo dobrych dolarów, a za mało dobrego smaku.

Trzynastka wije się na tym etapie podróży. Ten rozdział jest trzynastym z kolei. Teksas to nasz trzynasty stan. A jedziemy do fortu El Alamo (w San Antonio), który w ciągu trzynastu dni wykuł sobie sławę „amerykańskich Termopili”.

Dzień jest nieco feralny w bilansie, co mnie dziwi, bo trzynastka była zawsze moją szczęśliwą liczbą. Silnik się przegrzewa, zostawiłem w Tombstone białą koszulę, rozbił się jeden z termosów i „wysiadł” drogi fotoaparatus („Minolta”) pożyczony przez Jarka od Lalki. W El Paso wpakowaliśmy z głupim skutkiem kilka monet w dwa automaty. Automat z papierosami zamiast „Cameli” wyrzucił wstrętne „Viceroye”, automat z napojami zaś zaciął się i w ogóle niczego nie wyrzucił. To się tu zdarza często, bo nie wszyscy z tych, którzy wrzucają do automatów coś innego niż monety, są tak inteligentni, już ów student, co okradał automaty monetami z lodu (policja go schwytała, ale nie można go było skazać, bo dowody rzeczowe roztopiły się)!

McNary, Sierra Blanca, zmienia się strefa czasu z Górskiego na Centralny. Van Horn, Plateau, Kent, Balmorhea. Noc, świetnie się jedzie. W godzinę po północy stajemy na Rest Area, kilkanaście kilometrów przed Fort Stockton.

Następny dzień to cały czas „prucie” autostradą nr 10 na wschód, w temperaturze 42 stopni Celsjusza (tak podaje radio), z silnikiem od czasu do czasu odmawiającym, posłuszeństwa (choć kupiliśmy za 5 dolarów płyn rzekomo zapobiegający przegrzewaniu się silnika), na granicy udaru. Bierzemy proszki od bólu głowy. Bakersfield, Sheffield, rzeka Pecos, ogromne pustkowia, całe w pagórkach. Roosevelt, Boerne, przed szesnastą San Antonio. Koniec drogi. Jesteśmy spragnieni ołtarza Teksasu - El Alamo!



Spod Termopil wyniosło życie trzech postaćów klęski. Z Alamo nikt.

Napis na pomniku bohaterów Alamo w starym budynku Kapitolu stanowego w stolicy Teksasu Austin.

ALAMO TRZYNASTU DNI

Teksas to wyjątkowy stan. Zrozumiałem to, kiedy ujrzałem na tablicy flankującej szosę napis: „Wyrzucanie śmieci kosztuje 200 dolarów!” Niejeden kraj dałby więcej za możliwość oczyszczenia się ze śmieci, ale 200 dolarów za wyrzucenie kapsla przez okno samochodu w kraju, w którym obowiązuje zasada „use and throw” (skorzystaj i wyrzuć), to cena bulwersująco nieprzyzwoita.

Teksas zaś to naprawdę wyjątkowy stan. Po raz drugi zrozumiałem to przed Van Horn. Ujrzeliśmy na szosie „barykadę” z budek strażniczo-kontrolnych i bramek, taką samą, jak strefa opłat na tollwayu. Ale przecież autostrada nr 10 jest „zielonym” interstatem, a nie „żółtym” tollwayem! Okazało się, że to kontrola dokumentów.

Podjeżdżamy pod stanowisko. Oficer policji sprawdza dokładnie papiery rejestracyjne wozu, prawo jazdy, po czym pyta:

- Panowie skąd?
- Z Polski.
- Z Polski?... Doskonale, życzę szerokiej drogi.

Chcemy ruszać, gdy nagle on, jakby od niechcienia, mimochodem, w stylu porucznika Colombo wychodzącego po raz trzeci z pokoju, pyta:

- Paszporty panowie oczywiście mają?
- Oczywiście.
- Przy sobie?
- Tak.
- Czy aby na pewno?
- Na pewno.
- To proszę mi je pokazać.

Piorun z jasnego nieba. Sądząc, że już nas puszcza, a trochę zaskoczeni całą tą niespodziewaną kontrolą i w końcu ucieszeni, że to już po wszystkim, by jak najszybciej odjechać - skłamaliśmy. To znaczy ja mam paszport przy sobie, Jarek natomiast zostawił swój w Chicago. Dopiero teraz uświadamiamy sobie, że nie jest to żadnym przestępstwem, że wolno mu podróżować po Stanach bez paszportu. Ale już skłamaliśmy i to dobitnie, a spryt tego oficera mówi nam, że jest podejrzliwy i że kiedy wykryje kłamstwo, nie uzna tego za dowcip i wątpliwe, czy da się przekonać, że to była „pomyłka”. Do licha, po co było kłamać?! Zaskoczony człowiek robi głupie rzeczy, wśród których nieprawda

nie jest na ostatnim miejscu, ale ta „filozoficzna” sentencja nic nam teraz nie pomoże. Zanim wyjaśnię sprawę kontaktując się z Chicago (a kto ich zmusi do pośpiechu?) mogą zamknąć Jerry’ego. Próbował oszukać władzę, jest to wystarczający powód do podejrzeń. Siedzi przy kierownicy biały jak ściana i patrzy w szybę, przed siebie. Oficer pochyla się i powtarza:

- *May I see your passport, please?*

Niemiała chwila, co robić?! Przepraszać, wyjaśniać?... Ocknąłem się i mówię „naturalnym” głosem, z uśmiechem:

- *One moment, sir!*

Wysiadam z wozu, otwieram tylne drzwi i grzebię w torbie podróżnej. Wyciągam z dna mój paszport, warczę po polsku do Jerry’ego: „Szukaj w walizce!” i przechodzę na drugą stronę. Oficer bierze granatową książeczkę do ręki i kartkuje uważnie. Jarek, przewieszony przez oparcie siedzenia, grzebie w betach wypełniających walizkę, a ja zaczynam „nawijać”:

- Wie pan, to jest taka kilkutygodniowa podróż po waszym pięknym kraju. Stany są fantastyczne! Byliśmy już w Yellowstone i w Grand Canyon i w Los Angeles... Byliśmy też w Yumie, żeby zobaczyć „Hell Hole” ... Jerry, pospiesz się do diabła!... W Teksasie...

Oficer skończył oglądać paszport i czeka na drugi, słuchając ze zniecierpliwieniem mojego gędzenia.

- ...w Teksasie interesuje nas Alamo, tam walczyli też Polacy... Widzi pan, sir, my kochamy takie stracone placówki. U nas jest też taki symbol, nazywa się Westerplatte, to nad Morzem Bałtyckim... A w ogóle Teksas jest cudowny. Byliśmy w El Paso... Jerry, co z tobą?! Spróbuj w tej drugiej walizce, chyba tam włożyłeś, pospiesz się!... Z Teksasu pojedziemy do Luizjany...

Jarek rozpoczyna mozolne „kopanie” w drugiej walizce, oficer zaś jest coraz bardziej zniecierpliwiony, uderza nerwowo paszportem o rękaw, zastanawia się, co robić. A kolejka samochodów za nami rośnie w tempie błyskawicznym. Szybkość jej powiększania się jest miarą wytrzymałości tego policjanta. Na to liczyłem od samego początku. Teraz już zadecydują sekundy, albo każe nam zjechać na pobocze, albo puści. Uśmiech nie schodzi mi z twarzy:

- ...do Luizjany, do Nowego Orleanu, bo tam jest dom, który przygotowywano dla Napoleona...

Oddaje mi paszport i prawie krzyczy:

- W porządku, jedźcie już!

Kilkanaście mil dalej Jarek pyta:

- Jakiego „sznapsa” ci postawić?

- Dużego, frajerze!

Odegrałem największą komedię w swym życiu. Marnuję się z takim talentem aktorskim, trzymając w dłoni pióro zamiast berła Ryszarda III lub czaszki Hamleta. A Teksas jest wyjątkowym stanem. Przejechaliśmy już 12 stanów i

przejdziemy jeszcze ponad drugie tyle, lecz tylko w Teksasie napotkaliśmy taką kontrolę dokumentów.

Teksas to w istocie stan wyjątkowy. Jest największym (nie licząc Alaski) stanem USA - Polska zmieściłaby się w nim dwukrotnie i jeszcze zostałby ładny kawałek. Ma największy Kapitol stanowy - większy nawet od kompleksu gmachów parlamentu brytyjskiego. I jako jedyny ze stanów Ameryki Północnej był niepodległym państwem (1836-45), począwszy od epopei Alamo. Gdyby dzisiaj był niepodległy, to w statystyce wysokości produktu narodowego zajmowałby dziewiąte miejsce wśród krajów Zachodu, wyprzedzając Australię, Brazylię i Szwecję, pod względem zaś dochodu narodowego na jednego mieszkańca - trzecie miejsce!

Począwszy od jego oficjalnego „odkrycia” (1528) Teksas - skolonizowany przez Francuzów i Hiszpanów - był w ciągu kilku stuleci azylem mętów i złoczyńców z całej Ameryki; podobnie jak Arizona, lecz bardziej symbolicznie, posługiwano się bowiem lapidarnym idiomem „GTT” (od „Gone to Texas” - „Zwiął do Teksasu”) dla określenia ludzi, którzy uszli sprawiedliwości. W roku 1835 tych uciekinierów, a przede wszystkim białych kolonistów, było już w Teksasie tak wielu, że postanowili zrzucić kuratelę Meksyku na swoim terytorium i podnieśli bunt. Był on na wpuł improwizowany, toteż gdy dyktator Meksyku, okrutny generał Antonio López de Santa Anna, wkroczył ze swą armią do Teksasu, wydawało się, że „rewolucja teksaska” zostanie stłumiona w kilka dni. Pierwszym celem Santa Anny było miasto San Antonio de Bexar, wówczas (rok 1836) licha miejscina z ledwo ponad tysiącem mieszkańców, dzisiaj dziesiąta aglomeracja Stanów Zjednoczonych.

Placówką obronną San Antonio był stary, piękny klasztor El Alamo, wybudowany w roku 1718 jako forteczna misja San Antonio de Valero i w końcu XVIII wieku sekularyzowany. Garnizon stanowiło zaledwie 120 ludzi (tzw. „teksaskich ochotników”) pod dowództwem pułkownika Williama Barreta Trávisa. Mieli tylko 2 działa i małą nadzieję na wzmocnienie. Deklaracja rewolucyjna dwóch obecnych bohaterów narodowych Ameryki, Stephena Austina i Sama Houstona (nazwisko pierwszego nosi dzisiaj stolica stanu, nazwisko drugiego - największe miasto Teksasu, będące piątą aglomeracją kraju), poderwała do broni szczupłe siły ochotnicze i chociaż teksańczycy głosili, że chcą przyłączyć swoje terytorium do USA, rząd amerykański - stroniąc od konfliktu z Meksykiem - nie wyraził na to zgody, a tym bardziej nie zamierzał wspomagać zbrojnie rebelii. Nie utrudniał natomiast „inicjatyw prywatnych” na rzecz pomocy teksańczykom. A taką inicjatywę podjął w Tennessee jeden z najslawniejszych ludzi Ameryki, uważany za króla myśliwych i traperów, legendarny już za życia pułkownik Davy (David) Crockett, którego sławę od kilkudziesięciu lat roznoszą po świecie filmy typu Davy Crockett - król dzikiej granicy, seriale telewizyjne i

milionowe komiksy tłoczone w kilkudziesięciu językach.

Davy Crockett, niezrównany pijak, łowca, awanturnik i łgarz-gawędziarz, był bardzo przyzwoitym facetem i gdyby urodziło się więcej takich jak on, glob miałby nieco lepszą fizjonomię. Przyszedł na świat 17 sierpnia 1786 roku jako dziewiąte dziecko irlandzkiego emigranta. Mając 13 lat zabił swojego pierwszego niedźwiedzia i uznawszy to za przepustkę do samodzielnego życia, opuścił rodzinę. „Bradziażył” tu i tam, polował, trochę się uczył, ożenił się, owdowiał i ponownie ożenił, a także walczył z Indianami w oddziałach generała Jacksona (jako przewodnik, bo znał tropicielstwo i kilka dialektów indiańskich). To ostatnie zaszargało mu nieco opinię u ludzi piętnujących eksterminację czerwonoskórych, lecz prawdą jest, że Crockett, chociaż Indianie zabili mu dziadków, nie pałał do nich nienawiścią, rozumiał ich tragedię, i w końcu stał się ich żarliwym obrońcą.

Po wielu doświadczeniach życiowych Davy uwił sobie samotnicze gniazdo w lesie nad Missisipi (w miejscu, gdzie dzisiaj znajduje się miasto Gilson), zaprzyjaźnił się z Chocktawami i Chickasuasami, i polował tak znakomicie, że wkrótce dano mu przydomek „demon polowania” znany w całym kraju. Po pewnym czasie ściągnął do swej chatki rodzinę, a sami ściągali zewsząd osadnicy zwabieni jego sławą, jego cudowną znajomością praw przyrody i jego serdecznymi kontaktami z czerwonoskórymi - przy nim było bezpiecznie. Kiedy rodzinne i łowieckie terytorium Crocketta weszło w skład nowo utworzonego stanu Tennessee, sąsiedzi poprosili go, by zechciał reprezentować stan w Kongresie. Z dużymi oporami uległ naciskom, ośmieszył podczas kampanii elekcyjnej dwóch kontrkandydatów, został wybrany przez niemal 100 procent głosujących i włożywszy kołnierzyk kongresmana pojechał w roku 1827 do Waszyngtonu.

Myśliwiec z głębi puszczy w Kongresie! - tego jeszcze nie było. Poprzedzała go sława człowieka, który bez trudu nożem zakłuwa niedźwiedzie, ale Waszyngton nie był pograniczem - w stolicy była to fama półdzikusa. Zdawał sobie z tego sprawę, więc kiedy po raz pierwszy spytano go, kim jest, tonem, który uznał za pogardliwy, odpalił:

- Jestem Davy Crockett. Pół koń, pół aligator, jak ów sławny Mike Fink, marynarz z Missisipi! Rozumiecie?

Zrozumieli. Rzadko zabierał głos, ale gdy już to czynił, słuchano go z uwagą. Bronił interesów dalekich kolonistów oraz praw Indian. W roku 1829 został wybrany ponownie i podczas tej drugiej kadencji rozpoczął walkę na dobre, z samym prezydentem, swoim byłym dowódcą, Andrew Jacksonem, który był patologicznym indianożercą. Chodziło o ustawę Jacksona z roku 1830 nakazującą przepędzenie wszystkich plemion indiańskich ze wschodu na zachód od Missisipi. Crockett, jako jedyny w Izbie Reprezentantów, zdecydowanie przeciwstawił się temu okrucieństwu, argumentując, iż

planowana przeprowadzka (notabene łącząca na tych samych terytoriach wrogie sobie plemiona) będzie morderstwem. Nie bacząc, że występuje przeciw cieszącej się poparciem społeczeństwa ustawie i tym samym zraża do siebie wyborców, nie chciał też słuchać ostrzeżeń kolegów z Kongresu, którym odwarknął:

- Nie muszę nosić kołnierzyka!

Osamotniony - musiał przegrać. Ustawa przeszła i przystąpiono do spędu czerwonoskórego bydła. Pełen gniewu wyjechał ze stolicy i zaszył się ze strzelbą w lasach, lecz chociaż ziomkowie nie podziękowali mu za obronę Indian, został - ku własnemu zaskoczeniu - jeszcze raz wybrany w roku 1833. Był już wówczas tak sławny, że każde miasto w kraju (a odbył „rajd” po największych) przyjmowało go w swych progach niczym szefa zaprzyjaźnionego państwa. W Filadelfii ofiarowano mu ceremonialnie najwspanialszą fuzję w Stanach Zjednoczonych, bijącą na długi dystans, ze srebrnymi głowami daniela, szopa pracza i niedźwiedzia i z wygrawerowanym: „Naprzód!”. Pozostawało to w zgodzie z jego życiowym credo, cofać się nie lubił. Nieustannie darł koty z prezydentem, co tak rozwścieczyło zwolenników Jacksona, że wreszcie postanowili wyeliminować „indiańskiego kochanka” za pomocą pojedynku. Była to w owych czasach znakomita metoda usuwania ze świata ludzi niewygodnych (*vide* Puszkina). Znajdowało się zawodowca w robieniu „spluwą” i sprawa była przesądzona. Ale Davy Crockett nie był człowiekiem, z którego można było zrobić idiotę i to zaraz idiotę martwego. Sekundantom przeciwnika oświadczył:

- Doskonale. O ile wiem, jako wyzwanemu przysługuje mi prawo wyboru broni?

- Tak jest.

- Wybieram strzały. Będziemy strzelać do siebie z łuków!

Takie zwycięstwa stawały się głośne i potęgowały nimb wokół jego osoby. W Waszyngtonie wystawiono sztukę o nim pod tytułem: *Lew Zachodu*. Zaproszony na premierę, skorzystał z okazji i wygłosił gwałtowną mowę, piętnując eksterminację Indian na przesiedleńczym „Szlaku Łez” Jacksona. Puszczono to mimo uszu, uznawszy że wielcy ludzie mają prawo być „kopnięci”. Lecz jego wyborcy mieli już dość tej indianofilii. Kolejne wybory, w roku 1835, przegrał wyraźnie i tak zakończyła się jego kariera polityczna. Nie chcąc pozostać bezczynnym, zebrał kilkudziesięciu zabijaków i wyruszył na pomoc zbuntowanym teksańczykom.

Była to wielka sprawa: Tennessee jako jedyne wyciągnęło pomocną dłoń w kierunku walczącego Teksasu. Zaczęło się od tego, że sławny inicjator rewolucji teksaskiej, generał Sam Houston (wychowany przez plemię Cherokee, które przygarnęło go po śmierci rodziców i mianowało wodzem w wieku 19 lat!) przybył do Teksasu z Tennessee, gdzie był gubernatorem stanu.

Potem Davy przyprowadził do Alamo ochotników z Tennessee. W małym forcie stanęli obok siebie gotowi na wszystko chłopcy z tych dwóch terytoriów Ameryki Północnej, których nazwy zaczynają się na T...

I jeszcze z Polski, bo czy jest w ogóle możliwe, by Polaków zabrakło gdzieś, gdzie się walczy o niepodległość? Było to kilku oficerów artylerii Królestwa Polskiego, pod dowództwem Napoleona Dembickiego. Po upadku Powstania Listopadowego wyemigrowali za ocean i usłyszeli, że ktoś walczy o swoją wolność. Więcej im nie było trzeba, natomiast obrońcom El Alamo potrzeba było fachowców do obsługi dział, więc chłopaków znad Wisły przyjęto z otwartymi ramionami.

Davy Crocketta i jego ekipę przywitano w forcie Alamo równie entuzjastycznie, gdyż powiększyli garnizon aż o jedną trzecią, do niespełna 190 ludzi. Wielu z nich było starymi wygami pogranicza (obok Crocketta znajdował się tam inny legendarny zabijaka, wynalazca sławnego na Dzikim Zachodzie noża, pułkownik James Bowie), słusznie więc pisano później, iż rzadkie były przypadki, by w jednym miejscu zebrało się razem tylu wspaniałych zuchów „armed to teeth” (uzbrojonych po zęby). Na żadną inną pomoc nie mogli już liczyć, mimo to Travis wysłał w teren człowieka z zadaniem ściągnięcia posiłków. Tym emisariuszem był nie byle kto, bo marynarz-pirat, który służył u najślawniejszego korsarza dorzecza Missisipi, Lafitte'a (patrz o nim w rozdziale XV).

22 lutego 1836 roku zwiad doniósł, że wojska Santa Anny są już blisko. Następnego dnia prezydent-generał zbliżył się do fortu, otoczył go i zażądał bezwarunkowej kapitulacji. Odpowiedzią był wystrzał armatni odpalony przez Polaków. Meksykanie zaczęli bombardować Alamo, lecz 24-godzinna kanonada nie zmiękczyła obrońców, przerzuciła natomiast wydatnie szeregi artylerzystów meksykańskich. Było to zasługą Crocketta. Davy wyszedł na dach, nad którym powiewał dumnie purpurowy sztandar z napisem: TEXAS, ułożył się wygodnie i urządził ostatnie wielkie polowanie w swoim życiu. Podawano mu naładowane karabiny, a on kolejno wystrzeliwał jak kaczkami kanonierów Santa Anny, tak iż w końcu większość meksykańskich dział została bez obsługi (kilka z nich rozbili ludzie Dembickiego celnymi strzałami z artylerii fortecznej).

Potem rozpoczęły się wściekłe szturmy, dzień po dniu, wszystkie odparte w potokach krwi. Fort-klasztor był jak rozbitek płynący przez morze, każdym ciężkim ruchem ramion przedłużający swoje życie, lecz jak długo mogą pracować zmęczone ramiona? Santa Anna, półprzytomny z gniewu, przysiągł, że weźmie Alamo choćby miał stracić wszystkich swoich żołnierzy i obrońcy wiedzieli, że robi to. Mieli przeciw sobie prawie 5 tysięcy ludzi, przeciw każdemu walczyło 25 żołnierzy! Gdy zbliżał się koniec, poprosili o możliwość uratowania kobiet i dzieci. Za zgodą Meksykanów wyprowadził je z murów

Alamo John Stroud i powiódł w stronę granicy Stanów Zjednoczonych. Temu człowiekowi zarzucano później, że opuścił swoich towarzyszy w niebezpieczeństwie!

Ostatnim dniem, którego datę każde teksaskie dziecko zna od kolebki, a każde amerykańskie od pierwszej klasy w szkole, był dzień trzynasty, sobota 6 marca 1836 roku. O trzeciej nad ranem do uszu obrońców doszedł głos trąbki z obozu meksykańskiego i w szarości gasnącej nocy ruszyły do szturm: batalion Matamoras, 2 tysiące ludzi generała Cosa i oddziały generała Castrillona. Nad ziemią unosiła się drażniąca nerwy melodia *Dequelo*, grana nieustannie przez meksykańską orkiestrę na znak, że nikt nie dostanie pardonu i że z fortu nie wyjdzie jedna żywa noga. Obrońcy - zawzięte dzieci Teksasu, Tennessee i dalekiej Polski - nie mieli tego złudzenia, wszystko było jasne. *Dequelo* to pieśń o podrzynaniu gardła.

Dywizji Castrillona udało się wdrzeć od południa w część zewnętrznych zabudowań fortu, natomiast kolumny atakujące od północy, wschodu i zachodu odbiły się od ściany ognia. Drugi szturm został tak samo zmieciony na pozycje wyjściowe. Trzeci poprowadził sam Santa Anna i wówczas Meksykanie przebili się pod mury, tak iż obrońcy nie mogli ich razić ze strzelnic i zabarykadowanych okien. Zaczęły się dziać rzeczy jakby ze średniowiecza: przystawiono drabiny, a meksykańscy oficerowie musieli zmuszać swych żołnierzy biciem i pistoletami do wdrapywania się. Ci, którzy dosięgli szczytu, spadali jak ulęgałki, odtrącane drabiny z ludźmi furkotały w powietrzu i z wyciem waliły się na ziemię, ale też zmasowany ogień karabinowy zaczął „rygłować” obronę w kolejnych oknach. W końcu wdarli się...

Teraz klasztor zamienił się w miasteczko, a każda komnata w dom broniony do ostatniego naboju, i dalej, maczugami z karabinów, kolbami pistoletów, nożami, szablami, pięściami i zębami. Obrońcy cofali się krok za krokiem w kierunku kaplicy, zostawiając za sobą stosy trupów, które barykadowały wprost korytarze i drzwi. Nawet ranni w długiej komnacie szpitalnej bronili się z wściekłością osaczonych zwierząt. Tłum walczących skłębił się w makabrycznym splocie, strzelano z przystawienia luf do głów, piersi i pleców, podrzynano gardła, leżący kłuli bagnietami rozdzierając wrogom brzuchy i kęśali po nogach. Meksykanie, padając dziesiątkami i nie zważając na straty, parli naprzód, wolno bo wolno, lecz bez przerwy, a za nimi szła orkiestra i posępne dźwięki *Dequelo* uderzały o sklepienia, zagłuszając wycie i rżenie. Obie strony opanował amok nienawiści, nie proszono o litość i zapomniano o strachu. Zabijano w szale, brocząc we krwi i wnętrznościach. Otworzyły się wrota piekieł i wychynęła ludzka zwierzęcość...

Freud nie miał racji twierdząc *ex-cathedra*, że przyczyną wojen są nagromadzone instynkty agresywne. Przyczyną tą są „idee”, a jeszcze częściej słowa, nasz gatunek zaś cierpi nie tyle na nadmiar agresji, ile przejawia

nadmierną zdolność do fanatycznego poświęcania się, zwłaszcza w grupie. Wątpliwe, czy żołnierze meksykańscy idący na Alamo odczuwali nienawiść do obrońców fortu. Każdy, kto choć odrobinę zna żołnierza na wojnie, potwierdzi, że agresywne uczucia wobec wroga odgrywają niewielką rolę w rutynie wojennej. Żołnierze nudzą się, cierpią głód, onanizują i tęsknią do domu - nie nienawidzą. Walczą z rezygnacją, bo nie mają wyboru, lub z entuzjazmem - za króla, religię, słuszną sprawę. Nie z nienawiści, lecz z lojalności, i nie zastanawiają się nad faktem, że o tym, iż są mahometanami bądź krzyżowcami zadecydował przypadek. „Dulce et decorum est pro patria mori”, bez względu na to, do jakiej ojczyzny zechciał przynieść bocian. Tak więc jednostka nie jest zabójcą, jest nią natomiast grupa, a jednostka zabija na wojnie utożsamiając się z grupą (ta szatańska dialektyka znajduje odbicie w historii ludobójstwa). Reasumując: człowiek utożsamia się ze swoją grupą i nie kieruje się nienawiścią, lecz przywiązaniem do symboli, słów, celów i mitów plemiennych tej grupy.

Wszystko to prawda, lecz czasami jest na wojnie inaczej. Żołnierz, któremu wróg zamordował matkę, brata, kochankę lub dzieci, mieszkaniac okrutnie spacyfikowanej wioski, bądź ten, kto był w niewoli torturowany - walczy z nienawiścią w sercu. To jest pierwszy przypadek. Drugi zachodzi podczas starcia wręcz. Dokonuje się wówczas chwilowa przemiana, której głównym katalizatorem jest szal, a najczystszy produkt nienawiści. Wtedy już nic nie jest istotne, nie działają ani obowiązek, ani powinność, ani słowa, ani idee, ani strach przed przełożonym lub wrogiem - tylko NIENAWIŚĆ. Tak stało się w El Alamo owego sobotniego dnia w 1836 roku.

Jaką na przykład nienawiść mogli odczuwać Polacy (lub ochotnicy z Tennessee) do Meksykanów? Ba, widzieli przecie, że Meksykanie nie są zwierzętami, pozwolili wyjść kobietom i dzieciom, nie czyniąc im żadnej krzywdy. Ale kiedy rozpętało się krwawe piekło i ujrzeli wyszczerzone zęby tamtych na odległość wyciągniętej ręki, sami też wpadli w szal, żądza mordy pojawiła się w ich oczach i opanowała mózgi zaatakowane świeżymi wspomnieniami, i wszystko już było tak, jak to opisał ich towarzysz sprzed kilku lat, Ludwik Mierosławski:

*Roją się, tłoczą, migają mieszaińce
Z Negra, Tatara, Żyda, niedźwiedzicy.
Tłumnie zagnane do jednych zastępów,
Byłe kacyki, hospodary, chany,
Kniazie, burłaki, złodzieje, hetmany
Broń nabijają na dwanaście tempów;
Pod burym płaszczem zakrywają razem
Dumę, nadzieję, przekleństwa rozpaczy,*

*Piętno, co Boga posłanników znaczy,
I piętno, kata palone żelazem;
Bo czart poprzysiągł, że na głos despoty
Człowiek zapomni czego bóstwo chciało,
Piektu da duszę, katom rzuci ciało,
A imię zmieni na numer swej rotty.*

Każdy tam walczył ze swoim numerem rotty w duszy lub na ciele, ze swoją własną nienawiścią lub wspomnieniem w sercu, a Polacy odbierali po prostu swoją śmierć sprzed lat, która się spóźniła, i być może widzieli inne mundury przed sobą.

Nikt nie wie, jak długo trwała ta walka. Zapewne długo - niełatwo jest wybić stu kilkudziesięciu wspaniałych.

Pułkownik Bowie był od kilku dni chory, leżał w łóżku i cierpiał, podwójnie, bo nie mógł pomagać towarzyszom. Meksykanie wyważyli drzwi do jego pokoju, wsadzili w otwór kilka luf karabinowych i plunęli ogniem, przeszywając kulami ciało leżącego. Potem jeden z nich podszedł i pochylił się nad rannym, by go dobić. Konający Bowie jedną ręką chwycił żołnierza za włosy, drugą zaś, uzbrojoną w nóż swojego pomysłu (głośny „Bowie-knife”), poderznął mu krtań. Oddali ducha w tej samej chwili.

Teksańczyk Evans skoczył z łuczywem do prochowni, lecz zastrzelono go nim zdążył ożenić proch z ogniem. Davy Crockett znajdował się wśród ostatnich 6 obrońców, dla których kaplica fortu stała się ostatnim już bastionem. Stał w narożniku i ostrzeliwał się niezmordowanie, a gdy robiło się zbyt gęsto, chlastał z przerażającą precyzją swoim nożem „Bowie”. Obok niego walczył Travis i jeszcze 4 bezimiennych bohaterów (był wśród nich jeden z Polaków), wszyscy już tak porąbani, że z ledwością mogli ustać na nogach - ściany pomagały im utrzymać pozycję pionową. Przed nimi piętrzyła się drgająca fortyfikacja z ciał zabitych i rannych Meksykanów, po której deptali inni żołnierze, próbujący dobrać się do tej szóstki...

Oficerowie meksykańscy, Castrillon i Burdillon, oprzytomnieli i przerwali nierówną walkę. Powiedzieli do osaczonych kilka słów, po czym zwrócili się do Santa Anny z pytaniem, czy można wziąć do niewoli owych straceńców. Generał nie zgodził się i kazał zastrzelić wszystkich. Widząc to Crockett nadludzkim wysiłkiem skoczył na stos trupów z „Bowie” podniesionym do góry i zamierzył się na Santa Annę. W tej samej chwili naszpikowano go bagnetami, a zaraz potem wystrzelano jego towarzyszy.

Taki był koniec, chociaż jaki był dokładnie, tego też nikt nie wie i już dzisiaj się nie dowie. Istniała też wersja, usilnie zwalczana przez niektórych historyków, że ostatnia szóstka poddała się, po czym została postawiona pod mur i na rozkaz Santa Anny rozstrzelana przez pluton egzekucyjny.

Wszyscy obrońcy Alamo zginęli, lecz ilu ich zginęło? Oto kolejna zagadka. Z różnych źródeł wynotowałem: 180, 183, 185, 186 i 187. Meksykanie zapłacili za to utratą 1544 ludzi, stracili więc ponad jedną trzecią swych wojsk! Masakrę przeżyli tylko Nassau, murzyński służący Trávisa, oraz kobieta z córeczką, którą nazwano „Dzieckiem Alamo”.

Sam fort natomiast nazwano „Teksaskimi Termopilami”, „Świątynią wolności” i „Kolebką Teksasu”, i uczyniono zeń najbardziej czczony ze wszystkich pomników historycznych tej części Ameryki.

Santa Anna niedługo cieszył się swym triumfem. W kilkanaście tygodni później Sam Houston spotkał jego 3-tysięczną armię pod San Jacinto. Teksaszczyków było niespełna 800, ale walcząc furiacko z okrzykiem bojowym „Remember the Alamo!!!” (Pamiętajcie o Alamo!) dosłownie zaszlachtowali Meksykanów przy minimalnych stratach własnych. W tej bitwie również walczyli Polacy (już w *Empirowym pasjansie* napisałem, że gdyby ich gdzieś zabrakło, to historia z miejsca straciłaby sensowny charakter) dobrze pamiętający Alamo - grób Dembickiego i towarzyszy. Przypadł im zresztą w udziale największy zaszczyt: jeden z nich, były żołnierz Czwartaków, porucznik Wardzyński, wziął osobiście do niewoli prezydenta Santa Annę, który za cenę swej wolności uznał roszczenia powstańców (dzisiaj tablica z nazwiskiem Wardzyńskiego figuruje obok tablicy z nazwiskiem Houstona w panteonie stanowym w Dallas; Dembickiego Teksas nagrodził pośmiertnie nadaniem obszernych gruntów, które przez swą roponośność warte są obecnie 300 milionów dolarów).

W ten sposób narodziła się niepodległa Republika Teksasu. W roku 1845 Teksas na własne życzenie wszedł w skład Unii Stanów (nie obyło się przy tym bez wojny amerykańsko-meksykańskiej), wnosząc do gwiazdzistej spółki swoją samotną gwiazdę (centralnym punktem herbu Teksasu jest „samotna gwiazda”, stąd nazywany on jest: „The lone star state”) i wszystkie swoje problemy, głównie rasistowskie. Jak zauważył wybitny historyk francuski, Pierre Chaunu, w wywiadzie dla „Le Point”: „Rasizm nie jest kwestią cnoty, daje się zmierzyć. Powyżej 10 procent czarnych wśród białych albo białych wśród czarnych - to jest dokładnie to samo - zaczyna się rasizm”. Dzisiaj walka z rasizmem doprowadza do takiego paradoksu, jak proces o rasizm i o łamanie zagwarantowanej konstytucją równości obywateli, wytoczony Uniwersytetowi Kalifornia przez białego inżyniera, Allana Bakke, który na egzaminie wstępnym uzyskał więcej punktów od swych kolorowych konkurentów, lecz to ich przyjęto, jego zaś odrzucono, gdyż komisja rekrutacyjna realizowała procentowy program naboru członków mniejszości narodowych. Sąd stanowy uznał roszczenia Bakkego, to jest zgodził się ze zdaniem, iż decyzja uczelni „oparta została na przesłankach rasowych dyskryminujących rasę białą”.

Od czasów epopei Alamo pojęcie „duch Texasu” znaczy w Stanach:

bohaterstwo, wielkość, szlachetność i poświęcenie. Cała Ameryka z lubością powołuje się na „ducha Texasu” jak na credo; powojenny rozkwit USA Erwin Chargaff nazwał: „triumfem ducha Texasu”.

Wijemy się przez San Antonio w poszukiwaniu celu. Stara katedra, stare świątynie misyjne z epoki konkwistadorów, wreszcie biały, nowy grobowiec poległych w Alamo. „Remember the Alamo” jest w tym mieście wszędzie, jest dewizą stanu.

Obok eks-klasztor forteczny, „Teksaskie Termopile”, a przecież i odrobinę polskie przez tę naszą krew przelaną tutaj tak po polsku, że już bardziej nie można. Elewacja z białego kamienia, wykruszona, nasycona czasem, urzekająca. Hiszpański barok, pełen rzeźb i płaskorzeźb, w całości robi wrażenie dekoracji teatralnej lub filmowej godnej Oscara. Stara drewniana brama, stare kraty w oknach, wdycha się ten widok do płuc - takie to cudowne w swej formie i patynie. Wnętrza, chłodne i wypieszczone, pełne sztandarów i szklanych gablot z pamiątkami, już nie tak autentyczne, jakby sterylne - nie ma w nich sędziwych bakterii fascynacji. Ale oto znowu - ogród przyklasztorny, stare dęby i stare studnie, patia i fontanny, cieniste ścieżki i trawniki, których nie było, kiedy oni mordowali się tutaj jak wściekłe psy.

Mam dziwnie nieodparty odruch: kładę polski pieniążek w wysokiej wnęce, szerniałej od łez nieba i jakichś dymów, nie wysłuchanych próśb i nieszczęść, nienawiści i miłości, i bólu, i krwi, w grubej warstwie kurzu, na szorstkim kamieniu, który drapie mi opuszki palców z zaufaniem, którego jestem godzien.

Wyjedzie się stąd i zapomni smak tych murów, zostaną jedynie martwe zdjęcia w pudełku na pamiątki. Tylko czasami przyśni się Davy Crockett w futrzanej traperskiej czapce z ogonem i porucznik Dembicki ze swoim świętym nadwiślańskim sercem, i powróci na jawie ta myśl - bożonarodzeniowe marzenie dziecka o złotej gwiazdce: u m r z e ć j a k w k l a s z t o r z e A l a m o ...





ETAP XIV

Zmierzcha się, kiedy opuszczamy Alamo Plaza, by... zająć się naprawianiem samochodu. Dostał kompletnej zadyszki od upału, w motorze jakieś podejrzanе stukanie, urwana rura wydechowa rozpała podłogę na „rufie” (czy nie przegrzały się klisze filmowe?), coraz gorzej, a jeszcze kilka tysięcy mil przed nami. Płuczemy chłodnicę i to wszystko, co możemy zrobić.

Teraz naszym celem jest Baton Rouge, stolica Luizjany. Baton Rouge (Czerwony Kij) - pyszna nazwa! Baton Rouge nie jest największym miastem stanu, lecz to właśnie ono, a nie o wiele większy i sławniejszy Nowy Orlean, pełni funkcję, urzędowej metropolii. Rzecz typowa w USA. W Pensylwanii stolicą jest Harrisburg, a nie Filadelfia, w Teksasie Austin, a nie Houston czy Dallas, w Illinois Springfield, a nie Chicago, w Kalifornii Sacramento, a nie Los Angeles czy San Francisco, itd.

W dalszym ciągu autostradą nr 10 na wschód. W cztery godziny dojeżdżamy do Houston, a przebiecie się przez to megalopolis zajmuje nam prawie pół godziny (!). Półtorej godziny później osiągamy via Beaumont (zaczynają się już francuskie nazwy) granicę naszego czternastego stanu, Luizjany (o godzinie 2⁴⁷), którą Napoleon Bonaparte sprzedał w roku 1803 rządowi Stanów Zjednoczonych za 60 milionów franków, a która nie jest stanem USA, lecz - jak twierdzi marsylski historyk, Jean Gras - wciąż należy do Francji, gdyż Amerykanie nie wywiązali się z umowy, nie wypłacili cesarzowi całej kwoty.

O dziwo - wcale nie jesteśmy śpiący. Więc dalej! Robi się parno, zaczyna padać, za chwilę leje.

- Do diabła, znowu stracimy dystans! - złośnie się.

- Eee, nie tak znowu bardzo - uspokaja mnie Jerry. - Jak nas zamkną za „speeding”, to dopiero nam średnia trochę spadnie.

Toomey, Lake Charles, Iowa, Welsh, nieliczne żółte światełka zdradzają obecność miast i osad. Głód szturmuje żołądki. Przed czwartą w Jennigs, w nocnej restauracji „Pitt Grill”, wbijamy po gigantycznym krwistym steku z makaronem i zieleniną, do którego ja piłem mleko, a Jerry zamówił herbatę. Zdębiał, kiedy przyniesiono mu zimną, z lodem! Co kraj, to obyczaj.

Robi się szaro, już długo nie pojedziemy. Senność siada na piersiach i powiekach. Za Lafayette układamy się do spania. Wszystko wilgotne, zeszyt z notatkami można wyzrywać, jakbyśmy wskoczyli do rzeki. Krople deszczu grają marsza na szybach. Usypia nas oberwanie chmury...

Budzimy się późno, około południa. Tragedia - Jerry zostawił buty obok wozu, przemokły okrutnie. Ciemno, baldachim z chmur, co będzie z fotografowaniem? Dopiero co przeklinaliśmy upały, ale wtedy przynajmniej

świeciło słońce i wiadomo było, co robić z przesłoną w aparacie.

Kierowcy na highwayu... wydaje nam się, że się nas boją! Może dlatego, że jedziemy z taką szybkością, jakbyśmy kogoś ścigali, no i mamy ten szperacz wystający na zewnątrz, a w tej mętnej widoczności on musi robić podwójne wrażenie. Ale może głupio myślimy.

Krajobrazy - po kilku dniach pustyni i słońca, po kaktusach Arizony, Nevady, Nowego Meksyku i Teksasu - jak nie z tej ziemi. Zieleń gęsta, wysoka, soczysta, liściasta - prawdziwa Europa. Autostrada wisi na wysokich palach, nad wielkimi moczarami, które miejscami zamieniają się w jeziora. Aż po horyzont ciągną się lasy zalane wodą do połowy wysokości drzew. Leje i leje. Bagna, stawy i rzeki, ziemia i niebo w H₂O. Napis: Whisky Bay - Zatoka Whisky.

- Wykąpałbyś się, co? - pytam.

Uśmiecha się rozmarzony. Wycieraczki pracują miarowo, zbierając z trudem potoki wody. Z rozmyślań wyrывa mnie pisk opon i wrzask Jerry'ego, który macha prawą nogą jak szalony, kopie pedał hamulca i podskakuje rycząc z bólu. Samochód skręca gwałtownie i walimy się w rów. Co jest?!... Okazało się, że wyciągając atlas spod aparatów fotograficznych, ściąłem nim rozżarzony czubek papierosa przyjaciela i ten węgielek wpadł mu pod udo, gołe, bo dzisiaj jedzie w szortach. Czując, że skóra mu się pali, chciał zahamować, lecz ile razy dotykał hamulca, tyle razy przyciskał ogień nogą, podrywał ją więc i znowu hamował i znowu ryczał z bólu. Trwało to wszystko kilka sekund i mogło się źle skończyć, ale na szczęście nie jechaliśmy już mostem, a rów był miękki i nie stromy, wykaraskaliśmy się bez trudu.

Studiuje mapę stanu. Nagle wpada mi w oko: Napoleonville.

- Jerry, popatrz, miasto Napoleona! Skrećmy tam!

- Tego nie było w planie.

- Stary...

Uśmiecha się, nie odmówi wariatowi zakochanemu w cesarzu. Zatrzymuje wóz.

- Pokaż mapę... Dobrze. Ale wiesz co, skoczmy najpierw do Baton Rouge, bo z Napoleonville już nie będziemy zawracać, mamy stamtąd blisko do Nowego Orleanu... Zobacz...

A więc najpierw do Baton Rouge, żeby zobaczyć jedną z największych kopuł geodezyjnych proroka konstrukcji XXI wieku. Znajdziemy ją przy rozjeździe kolejowym. Ogromna półkula o stalowej strukturze, wybudowana przez towarzystwo Union Tank Co. dla zakładu naprawczego cystern kolejowych. 115 metrów średnicy i 35 metrów wysokości. W swoim czasie (rok 1958) była rekordzistką, większą od słynnych XIX-wiecznych (tzw. „mamucich”) hal wystawowych. Wygląda jak podniebna pikowana poduszka lub jak pszczele rusztowanie z wosku, o sześciobocznych komórkach, tyle że wymodelowane kopulaście.

To ma być prorocza wizytówka UTOPII?...



Utopia to tęsknota za sprawiedliwością i światem idealnym, urzeczywistniona i żywa w wymarzonych obrazach. To, co one przedstawiają, jest nieosiągalne, a jednak obowiązujące. Utopii nie można oddzielić od zasadniczo krytycznego stosunku do aktualnej struktury człowieczego świata.

Martin Buber

CI WSPANIALI PROROCY NA SWOICH MECHANICZNYCH UTOPIACH („E=MC²=KOŃSKA SIŁA PANI MURPHY”)

Kim jest prorok? Człowiekiem, który zna świat i przewiduje przyszłość. Obie te cechy budzą podejrzenie. Hitlerowcy przypuszczali, że znają świat. Wiedzieli, że Murzyni pochodzą od małpy, a istoty ludzkie od Aryjczyków, Żydzi zaś wywodzą się z jakiegoś szczebla pośredniego. Tych, którzy kwestionowali tę pewność, wrzucano do bunkra nr 11 w Oświęcimiu, a to nie było dobre miejsce. Mówiąc poważnie: jak można osiągnąć wszechstronną, uprawniającą do tworzenia modeli przyszłości wiedzę o świecie i życiu, jeśli w samych Stanach Zjednoczonych publikuje się ponad milion czasopism naukowych? Kiedy cała tradycja kultury chrześcijańskiej zawierała się w kilkuset książkach, przeczytanie ich czyniło inteligentnego człowieka uczonym, a nawet mądrym. Obecnie jednak nie możemy już mieć błogiej pewności, że cywilizowane techniki nauczania pomogą nam rozwiązać jakikolwiek kryzys lub przewidzieć trafnie jakąkolwiek stronę przyszłości. Najślawniejsi futurologowie, w rodzaju szefów Hudson Institute, Hermana Kahna i Anthony J. Wienera, w swoim scenariuszu na czas do końca stulecia nie przewidzieli niczego: ani kryzysu energetycznego, ani kłopotów żywnościowych, ani braku surowców, a wszystkie ich przepowiednie polityczne zbankrutowały w ciągu kilku lat. Jak słusznie stwierdził głośny meksykański poeta, Octavio Paz (autor m.in. *Labiryntu samotności*), w wywiadzie dla „Nouvelles Littéraires” z 14 lipca 1977 roku: „Pomyłki astrologów, wrózek i jasnowidzów są minimalne w porównaniu z pomyłkami socjologów i ekonomistów XX wieku”.

Kim są twórcy utopii? Prorokami, konstruktorami przyszłości czy tylko pocieszycielami, którzy rozdają różowe weekendy do wzięcia u kresu nieokreślonego tygodnia? Czy utopia, będąca poezją pragnień, symboliczną strategią nieprzekładalną na razie na język aktualnej taktyki, lawirująca między przyszłością, którą zapowiada, a przeszłością, której się chwyta, jest święta, bo przeistacza jutro w marzenie, tworzy znaki orientacyjne i stanowi jednocześnie krytykę teraźniejszości, jad intelektualny zatruwający gnuśny spokój danego porządku? Czy winna być przeklęta za dwulicowość, bo upraszcza historię i przesłania ją mitem, bo obawiając się dokonań przenosi je w sferę wizji, bo odwraca od działania i walki, wprowadzając w gładki świat cudów ofiarowywany biernej publiczności jako przedmiot, jako widowisko bez

trudów i niebezpieczeństw? Czy w ostatecznym rozrachunku prowadzi ona raczej ku jałowym tęsknotom, czy ku aktom twórczym?...

Utopie zawsze towarzyszyły wędrowce Ziemi, jak mewy fruujące naokoło statku sunącego uparcie naprzód, albowiem wiecznym „*signum temporis*” jest marzenie o czymś pięknym i czymś innym. Mit złotego wieku u Hezjoda i wieczystego pokoju w poezji rzymskiej, wizje tysiącletnich struktur politycznych w tradycji judaistyczno-apokaliptycznej i chrześcijańskiej oraz wizje arkadyjskich pejzaży od Wergilego aż po Oświecenie, wreszcie idee optymalnych państw i miast w pismach Platona (*Rzeczpospolita*), Morusa (*Utopia*), Campanelli (*Miasto słońca*) i tylu innych. W wiekach XVIII i XIX utopia przeszła wielką metamorfozę i zmieniła się nie do poznania. Rozdzieliły się mianowicie (bo już się nie potrzebowały) jej warstwy poetycka i moralna. Dawna tęsknota za sprawiedliwością, za lepszym światem w sensie polityczno-społecznym, znalazła swoje ujście w rewolucjach. Naskórkowa warstwa poetycko-fantastyczna zaś - w sytuacji, gdy zniknęła potrzeba i zdolność pojmowania historii jako dziejów zbawienia - uchwyciła się nowoczesnej myśli przyrodniczej i zaczęła przedstawiać przyszłość typu „*science-fiction*”, bo już jasne było, że przyszłość zależy od techniki, która w XIX wieku ogarnęła i przyswoiła sobie wszystkie dziedziny ludzkiego życia. Słowem: była to utopia techniczna, składająca się przede wszystkim z elementów techniki i praktycznych nauk ścisłych, aczkolwiek w dalszym ciągu wystawiona na działanie ideologii i moralnie nieobojętna. Leitmotivem nigdy nie przestała być nadzieja.

W naszym stuleciu odżyła znana już i kwitnąca w renesansie utopia miasta idealnego, a przyczyną jest ahumanitaryzm nowych ludzkich siedlisk.

Sławny amerykański krytyk i teoretyk architektury, Lewis Mumford, kończąc swoje *City in history* tak określił rolę miasta: „Ostatecznym celem miasta jest wspomaganie świadomego udziału człowieka w procesie historycznym i kosmicznym. Przez swoją złożoną i niezniszczalną strukturę miasto pomnaża ludzkie zdolności zrozumienia tych procesów i brania czynnego udziału w ich kształtowaniu”. Niestety - słowa te odnoszą się zdecydowanie do przeszłości, w której naprawdę urbanistyka i architektura zwrócone do człowieka kształtowały dodatkowo jego myśli, kulturę i zachowanie. Od początków rewolucji przemysłowej ulegało to załamaniu - jedyną miarą wszystkich rzeczy w mieście stał się maksymalny zysk. Ta negująca zdrowie i estetykę, tragiczna dla żywych organizmów koncepcja miasta ekonomicznego, biorąca pod uwagę tylko niewielką część tych funkcji, które miasto w istocie spełniać powinno, została w latach trzydziestych wzbogacona o równie tragiczny wynalazek pod tytułem: osiedle mieszkaniowe. Milionom ludzi narzucono abstrakcyjny, wydumany w laboratorium i gabinecie i pozbawiony autentycznych ulic i placów, model

siedliska koszarowo-sypialnego, nie pytając o zgodę. Miliony ludzi przeklinają dzisiaj swoje zuniformizowane, brzydkie, ahumanitarne środowisko mieszkaniowe, w którym się głupieje, karłowacieje i choruje, zwłaszcza psychicznie.

Człowiek ma stosunkowo dobry system uodparniający na zarazki, gdyż organizm uruchamia antybiotyki własnego typu, nie dysponuje natomiast tak samo wykształconym systemem, który mógłby przeciwdziałać złym wpływom na bardzo wrażliwy ustrój psychiczny. W klatce współczesnej urbanistyki, która atakuje podświadomość, współczesny człowiek czuje się fatalnie, wyniki wszystkich ankiet na ten temat, badań socjologicznych, lekarskich etc. są miażdżące. Bierze się to z braku miłości. Życie w mieście, będące udziałem coraz większej większości - bo zgodnie z poglądem Arystotelesowskim człowiek jest zwierzęciem miejskim - przynosi satysfakcję tylko tym, którzy kochają to miasto. A jak można kochać miasto odarte z ciepła i wszystkich mistycznych wzruszeń starych miast?

To, że ludzie nie lubią dzisiaj miejsc, w których mieszkają, jest ceną, jaką zapłaciliśmy postępowi cywilizacyjnemu i jedną z największych klęsk współczesności. Jest to masowy stres gatunku. Według teorii antropologa A. F. C. Wallace'a, kiedy kultura wkracza w okres tak silnego stresu, wyłaniają się prorocy pragnący wytyczyć nowe drogi. I tak się stało. Pojawili się ludzie z wizjami „miast przyszłości”, chcący zrewolucjonizować ów kulturowy pojazd, w którym człowiek odbywał i odbywa nadal swą podróż ewolucyjną. Byli to oczywiście architekci i urbaniści.

To właśnie ich, architektów i urbanistów, obarcza się powszechnie winą za istniejący stan rzeczy. Anglik McEwen, organizator akcji pod hasłem „Wstrzymajcie architektów!": „Kiedyś słowo architekt znaczyło tyle, co inżynier-humanista. Dziś stało się po prostu brudnym słowem!”. Nie ma na świecie takiego kraju, w którym nie pomstowano by na nowe budownictwo. Weźmy pierwszy z brzegu przykład, znad najbliższej od Baton Rouge granicy państwowej. Oto meksykański tygodnik „Siempre” wspomina z żalem czasy, kiedy „mury śpiewały” i nazywa Meksyk „krajem architektonicznie zamordowanym” („brzydota tej nowej architektury jest tak mordercza, iż żaden język świata nie jest w stanie jej oddać”) z winy, rzecz prosta, budowniczych. Jest to o tyle niezupełnie słuszne, iż we współczesnym świecie architekci i urbaniści mają coraz mniej do powiedzenia przy kształtowaniu środowiska, decyzje podejmują biurokraci, lecz jak zauważył amerykański architekt, Peter Blake: „architekci powinni przynajmniej, jako obywatele, mieć odwagę, by wyzwąć do walki siły, które grzebią ich idealistyczne intencje!”. To prawda - obecny kryzys cywilizacji miejskiej jest przede wszystkim kryzysem wyobraźni i odwagi.

Pierwszym prorokiem (nazwano go natychmiast „prorokiem urbanistyki XXI

wieku”), który rzucił wyzwanie, był w roku 1958 Yona Friedman (Francuz węgierskiego pochodzenia); zaproponował jako kierunek architektury „elastyczną” lub lepiej nazywając „mobilną” (najprościej: domki wstawiane w „oczka” przestrzennej kratownicy metalowej zawieszanej na słupach nad miastem tradycyjnym lub przyrodą, z możliwością zmiany położenia domku). Ideą tą, którą podchwycili i przetworzyli w różnych wariantach Francuzi, Japończycy i architekci z innych krajów, pasjonowałem się już jako student architektury, a potem również jako publicysta, czego pozostałością jest około 20 sążnistych artykułów w tygodnikach i miesięcznikach polskich. Nie doczekała się ona realizacji (w numerze 294 „Techniques & Architecture” z 1973 roku Friedman skomentował to z nie ukrywaną boleścią), która jest sprawą podstawową. Słowa i wizje bowiem nie stanowią rozwiązania, utopię można sprawdzić tylko w działaniu. Utopia jest regresem albo dążeniem ku przyszłości zależnie od tego, czy towarzyszy jej, czy też nie towarzyszy „praxis”.

Tak właśnie myślał, porywając się na eksperyment realizacyjny w USA, Paolo Soleri, największy dzisiaj (obok Buckminster Fullera) prorok, który postawił sobie pytanie: jak zhumanizować życie ludzkie, jeśli musi być ono przeżywane w stworzonym przez człowieka masowym skupisku ludzkim, i odpowiedział na nie w oryginalny sposób.

Urodził się w Turynie. Przyjechał do Ameryki w roku 1947 jako stypendysta i przez 2 lata terminował u wielkiego Franka Lloyd Wrighta w Arizonie, gdzie już pozostał. Przejął się mapą Doxiadisa. Gdy słynny planista grecki, Constantinos Doxiadis, narysował (na podstawie naukowych przesłanek) mapę USA roku 2000 przy założeniu, że miasta będą się rozrastać dwuwymiarowo, to jest dalej rozlewać jak kałuże oliwy, okazało się, iż na mapie tej w zasadzie nie istnieją plamy zieleni. Toteż nazwano ją „mapą rozpaczy”. Dlatego Soleri wymyślił swoją utopię urbanistyczną, która ma uchronić świat od ekologicznej katastrofy i nazwał ją „arkologią” (architektura+eko- logia).

Miasto arkologiczne proponowane przez Soleriego jest rozwiązaniem kompleksowym, mającym na celu wyeliminowanie wszystkich problemów kryzysowych, od zanieczyszczenia środowiska po przeludnienie. Minęło już 200 lat od czasu, gdy pewien Anglik, Thomas Malthus, zaobserwował niebezpieczne zjawisko: liczba ludzi na Ziemi stale rośnie, lecz rozmiary planety nie zmieniają się. Współczesność próbuje temu zaradzić regulacją urodzin, ale według Soleriego tak regulacja urodzin, jak i urządzenia do usuwania zanieczyszczeń, to tylko „leczenie raka aspiryną”. Zdaniem tego niewielkiego, muskularnego („składa się z samych mięśni” - pisano o nim), nerwowego mężczyzny po pięćdziesiątce, opanowanego jedną obsesją, konwencjonalne miasto („To piekło, a klimat piekła nie sprzyja rozwojowi

człowieka, przeciwnie, cofa go do dżungli!") różni się od jego „arkologii”, dynamicznej, skondensowanej pionowo, wtopionej w przyrodę i dzięki swej samowystarczalności nie stanowiącej ciężaru dla aparatu samoregulacyjnego natury, tym, czym rozłożysty krzew, w którym bezużytecznie drzemie nagromadzona energia, różni się od zwinnego zwierzęcia, w pełni wykorzystującego swój dynamizm i siły.

Jak to konkretnie wygląda? Tak jak tylko może wyglądać miasto człowieka, w którego mózgu ciągle tkwi fatalistyczna mapa Doxiadisa. Zrodzone na planszach Soleriego „arkologie” to układy pionowe, wysokie na milę (czasami 300-kondygnacyjne), zaopatrywane dzięki specjalnym urządzeniom w energię słoneczną lub też napędzane energią z reaktorów jądrowych umieszczonych głęboko pod ziemią, wewnątrz masywnych fundamentów, pozbawione samochodu - „narzędzia, które zabiło miasto”, a więc i parkingów, jezdni, stacji benzynowych i garaży, wyposażone w windy, ruchome schody i ruchome chodniki, będące przykładem kompleksyfikacji, centralizacji i miniaturyzacji (choćby walka z zanieczyszczeniami powietrza, w konwencjonalnym mieście trudna, bo istnieje w nim zbyt wiele źródeł skażenia, w „arkologii” zaś zatrute wyziewami powietrze będzie centralnie filtrowane i klimatyzowane). Obowiązuje tu zasada implozji miasta - należy skoncentrować i zminiaturyzować cywilizację. Czyż nie jest Soleri wiernym uczniem Teilharda de Chardin? Powiada: „Próbuję uczyć się od natury, która nie jest wcale tak spokojna, romantyczna, miła i sielankowa, jak wy sobie wyobrażacie. Jej cechą jest fantastyczny rygor i kompleksowość. Kierunek rozwoju prowadzi zawsze ku nieskończonej złożoności i miniaturyzacji systemów, my zaś kroczymy w stronę przeciwną i to jest samobójstwo”. Przeanalizujmy to rozumowanie.

Jest prawdą, że w procesie ewolucyjnym prostota idzie zawsze w parze ze skomplikowaniem. Coraz większa zawartość upychana jest do coraz mniejszego pojemnika, dopóki proces miniaturyzacji nie osiągnie - w postaci ludzkiego mózgu - etapu, który Teilhard nazywa „kompleksyfikacją”. Niewielkie rozmiary i prostota kształtu mózgu ukrywają oszałamiające skomplikowanie jego wnętrza. Według Soleriego ów proces kompleksyfikacji i miniaturyzacji jest wskazówką, jaką natura daje projektantowi. Olbrzymie dinozaury wymarły przed wiekami, podczas gdy niewielkie ssaki mnożą się szczęśliwie do dzisiaj - Soleri widzi w tym prawidłowość odnoszącą się także do miast. Dzisiejsze, zalewające ziemię giganty urbanistyczne zużywają nadmierne ilości czasu i energii na transport ludzi i towarów. Z punktu widzenia termodynamiki rozprawdają one swoją energię równomiernie w przestrzeni ekologicznej (grozi to śmiercią termiczną na skutek entropii), którą wypełniają tak dokładnie, że ją niszczą, i tym samym wchodzą w ślepy zaułek ewolucji, ta bowiem biegnie w przeciwnym kierunku niż entropia. On zaś proponuje pionowe, „skurczone” (zintensyfikowane poprzez

skomplikowanie w miniaturyzacji), naśladowujące naturę miasta typu: „Życie domowe, nauka, kultura, czas wolny i zdrowie dla setek tysięcy ludzi na jednej mili kwadratowej”, a dla obrazu świata szerokie, zielone łądy, poprzecinane urbanistycznymi „rzekami” łączącymi „arkologie”.

Żeby zbudować załazek tej nowej cywilizacji, udał się jak Mojżesz na pustynię. Pierwsza „arkologia” o nazwie Arcosanti powstaje w Arizonie, na bazaltowym masywie, 32 mile na południowy zachód od Prescott. Pracuje tam Soleri, jego kilkudziesięciu asystentów i studenci koczujący na najeżonym skałami płaskowyżu, górującym nad Aqua Fria River. Od początku budowy (rok 1970) przybyło do Soleriego około 3 tysięcy młodych ludzi ze wszystkich kontynentów. Dla nich Paolo jest największym z proroków, wielkim guru, głosicielem ALTERNATYWY, czegoś, co jeszcze nie istnieje, lecz istnieć winno po to, by wybawić ludzkość od zabójczej płycizny, pustki, osamotnienia i udławienia się własną technologią. Prototyp, który modeluje w żelbecie własnym wysiłkiem, zupełnie niezależnie od jakichkolwiek instytucji i przedsiębiorstw, finansowany jest z ich własnych opłat za prawo do pracy tutaj (510 dolarów za 6 tygodni), ze sprzedaży dzwonów wietrznych (z glinki, brązu i aluminium), z opłat uczestników corocznych „Festiwali Arcosanti” (tematem ostatniego było: „Zdrowie i integralność jednostki, duch i ciało a grupy, społeczność i natura” - 9 tysięcy uczestników zapłaciło po 13 dolarów), z honorariów za książki i prelekcje Soleriego.

Idzie to wolno. Na razie wyrosło na płaskowyżu kilka fantasmagorycznych, szarych konstrukcji betonowych. Czy Arcosanti w ogóle zostanie zbudowane? Paolo wzrusza ramionami:

- Wasze wnuki doczekają tego. Być może. Jeśli moja idea jest błędna, to do tego czasu pamięć o mnie zaginie, podobnie jak zaginęła pamięć o tylu fałszywych prorokach. Jeśli jednak idea ta okaże się słuszna, to jakie ma znaczenie, czy urzeczywistni się ją właśnie tu i właśnie teraz? Nawet nie ukończone miasto będzie iskrą, która roznieci płomień.

Byłby to płomień quasi-średniowieczny. Człowiek pragnący zamieszkać w „arkologii” będzie musiał wziąć ją jako kompletny ekwiwalent wszystkich zabawek dostarczanych przez starą cywilizację i nie będzie mógł przemieszczać się społecznie i przestrzennie. Będzie miał coś z mnicha, tak jak „arkologia” ma coś z mediewalnego klasztoru, chociaż jest ultrazautomatyzowana. To fakt, że klasztor podnosił poziom kultury społeczeństwa, a jego wspólna kultura duchowa stanowiła przeciwwagę świeckiego establishmentu znajdującego się w stanie rozregulowania, był wszakże rodzajem więzienia. Soleri jest w pełni świadom swej monastycznej tradycji. Kiedy mu się wytyka te niebezpieczeństwa, mruczy rozbawiony:

- So what? (cóż z tego?). Co bym zdziałał, gdybym się dał zbić z tropu takimi śmiesznymi, nieistotnymi zarzutami?

Zarzuty się mnożą. Nie chodzi tylko o zawodowych krytyków-specjalistów, którzy swój wyrok na żelbetowo-społeczną utopię Soleriego streszczają w zdaniu: „Faszystowski mistycyzm, chęć zbudowania sobie w przyпыływie manii wielkości monstrualnych pomników na wzór budowli antycznych i gotyckich, a wszystko to pod pretekstem miniaturyzacji - trochę Mussoliniego i trochę Teilharda de Chardin”. Chodzi o społeczeństwo, które Soleri chce uszczęśliwić. Gdy w waszyngtońskiej Galerii Corcorana pokazano wystawę jego projektów, widzowie w większości byli przerażeni. Jedna ze zwiedzających powiedziała:

- Czułabym się w tym jak mieszkanka mrowiska!

Biedny Paolo. Żywy dowód na to, że wśród Włochów importowanych do USA są nie tylko mafiosi, lecz i marzyciele. Podkrążone oczy, podniesiony głos zdradzają w nim człowieka opanowanego rozpacziwą namiętnością, który chce zbawić bliźnich wbrew im samym. Używa słów, których prorocy używali od wieków: „Człowiek jest okiem i uchem wszechświata. Moją ambicją jest wskazać mu drogę, na której będzie mógł odnaleźć właściwy sposób postępowania. Pomost między duchem a materią stanowi materia przemieniona w ducha”. I jeszcze: „W wielu miastach, które widziałem, nie można już zrozumieć sensu naszego istnienia. Chcę, by moje miasto nie powodowało podobnych wątpliwości”.

Biedny Paolo. Może i ma rację, ale na razie chcieć to trochę mało. Jego utopia powoduje ogromne wątpliwości, moje także. Chociaż pragnie on uratować Ziemię dla przyrody - jest do szpiku zurbanizowany. Jego „arkologie” to gigantyczne domy mieszkalne, podniesione do entej potęgi przez swą złożoność, to cofanie koła historii do przedindustrialnego średniowiecza za pomocą najnowocześniejszej technologii i techniki (kolosalna sprzeczność), to megamaszyny do mieszkania, groźba zminiaturyzowanej dżungli, skondensowanego piekła, dla którego jedynym porównaniem jest właśnie mrowisko w jego pejoratywnym znaczeniu. Sorry, Paolo, ale tak mi się to widzi, chociaż nie jestem pewien, bo czego w ogóle można być pewnym? Zbuduję swoje Arcosanti, byśmy mogli zobaczyć - my, nasze dzieci lub wnuki - jak się tam mieszka, a wtedy, być może, zmienimy zdanie i oddamy ci hołd.

Przyjaciół Soleriego, Richard Buckminster Fuller, ostrzegł go już dawno temu: „Tego rodzaju gigantyczna wizja niełatwo zdobędzie aplauz publiczności” i wiedział, co mówi, bo z jego wizjami jest tak samo. Oto drugi wielki prorok mieszkalnictwa przyszłości, jeszcze sławniejszy niż Soleri. Właśnie stoimy przed jego kopułą geodezyjną w Baton Rouge...

Fuller, profesor Uniwersytetu Carbondale (stan Illinois), uznawany nie bez racji za „największego geniusza konstrukcji wieku maszyn”, sam siebie nazywający „uniwersalnym laboratorium do wszystkiego”, jest też filozofem jak każdy prorok. I jak każdy rasowy prorok zadaje sobie ciągle pytania. Najczęściej: „How big we can think?” (Jakie są granice myśli?). Nie wiem jakie i

on też nie wie, lecz jedno jest dlań pewne: to wąskie łożyska i bariery narzucone myśleniu leżały i leżą u podstaw największych niepowodzeń pasażerów statku kosmicznego Ziemia, który co prawda otrzymał pewne klapy bezpieczeństwa (na przykład zapas paliw kopalnych wystarczających do czasu, kiedy zdołamy się od nich uniezależnić), ale jeśli nie zaczniemy myśleć, działać i projektować rozsądniej, stanie on w obliczu katastrofy.

Fuller chce być lekarzem i szoferem, o czym świadczy tytuł jednej z jego książek: *Instrukcja obsługi statku kosmicznego Ziemia*, w której rozważa mnóstwo problemów, od energetycznych po społeczno-polityczne, i błaga o sensowne myślenie. Sam, będąc wrogiem odosobnionych specjalizacji, które uważa za formę niebezpiecznej niewoli (udowodniono na przykładzie plemion prymitywnych i niektórych gatunków zwierzęcych, że przyczyną ich wymierania była lub jest zawsze nadmierna specjalizacja), posługuje się „myśleniem synergicznym” (synergia to niezależność działania systemu od zachowań jego podzespołów, czego przykładami są Układ Słoneczny, życie lub stal chromo-niklowa, której wytrzymałość jest o 50 procent wyższa od sumy wytrzymałości poszczególnych elementów stopu).

Urodzony w roku 1895 w Milton (Massachusetts), Fuller urodził się naprawdę po poznaniu - w latach trzydziestych - teorii Einsteina. Olśniony nią założył, iż tak jak następstwem zrozumienia teorii względności, wyprzedzającej o całe lata możliwości jej pełnego praktycznego sprawdzenia, muszą być wynalazki fizyczne, tak i następstwem futurologicznego projektowania będą pojawiające się coraz szybciej odkrycia techniczne umożliwiające najśmielsze realizacje. Słowem, dzięki postępowi dogoni się wizje i nie ma znaczenia, że w momencie powstawania projektu czy teorii nie znane są jeszcze możliwości realizacyjne bądź sprawdzające. Wiadomo, że będą one miały potężną siłę przebicia, co Fuller zapisał w sposób, który sprawił Einsteina w osłupienie: „ $E = MC^2 =$ Końska Siła Pani Murphy”.

To typowe dla niego, bo Fuller jest pełen humoru i jeszcze bardziej pełen dziwacznych określeń i piramidalnych zestawień słownych, które bawią nie tylko jego. Przedziwną nomenklaturą i neologizmami zawartymi w swych pismach człowiek ten doprowadza do rozpaczki fachowców i wprawia w zachwyty zakochanych w nim studentów (nazywają go pieszczotliwie „Bucky”), urządzających mu w czasie wykładów żywiołowe owacje. Głośny teoretyk architektury, Cranston Jones, twierdzi, że „słownictwo Fullera mogłoby wyprowadzić z równowagi nawet XIX-wiecznego niemieckiego metafizyka”. Oto kilka przykładów: okręt, to u Fullera „samodzielny, dalekosiężny kompleks maszynowy”, sportowcy, to „historycznie zróżnicowana rodzina o kontrolowanych odruchach fizycznych”, a dom - „energetyczna wartość środowiskowa”.

Państwo już zauważyli, że to prawie poezja? Może i trochę szokująca, ale

Fuller - fenomenalny konstruktor i technolog - jest także poetą. Równie zaszokowany był (w początkach lat trzydziestych) jeden z dyrektorów firmy Phelps Dodge, w której Fuller pracował jako konstruktor, gdy „Bucky” przedstawił mu jeden ze swoich opisów technicznych. Opis ten był zupełnie niezrozumiały do momentu, gdy Fuller ustawił poszczególne zdania w pionie, tworząc rodzaj białego wiersza. Dyrektor pokazał to grupie zawodowych poetów, a ci orzekli, iż jest to czysta poezja i to wysokiej próby. Poezje Fullera, w których przedstawia swoje koncepcje, wróżby, rady i przestrogi, są rytmiczne jak jego przestrzenne konstrukcje kratownicowe. Dla smaku fragment (w moim, tzw. wolnym przekładzie) jego poematu pod tytułem: *Nigdy więcej fałszywych bogów* napisanego w roku 1940, gdy Hitler masakrował Europę:

*Wielu ludzi uważa, że Demokracja
stała się przeżytkiem.
Lecz oni są w błędzie.
Demokracja nie może się zestarzeć, tak,
jak nie może być dogmatyczna,
wrzaskliwa i ponura.
Wytłumaczę to wam, jeśli
rzeczywiście chcecie ratować
Demokrację.*

Harvard University, z którego wiele lat wcześniej wyrzucono Fullera za hulaszczę życie (m.in. przepił z szansonistkami w Nowym Jorku pieniądze na ukończenie semestru), poprosił go w roku 1962 o wykłady na temat poezji! Ten smakowity casus stał się precedensem dla podobnych poczynań innych amerykańskich uczelni. Oto w roku naszego pobytu w Stanach 60-letni historyk, Bernard Layton, otrzymał „za wybitne zasługi na polu kultury” doktorat honoris causa Uniwersytetu w Milwaukee, z którego przed 40 laty wypędzono go „za wyjątkowe lenistwo, skandaliczne zachowanie i liczne afery miłosne z dziewczętami”. Fuller zresztą ma na swoim koncie jeszcze jeden podobny przypadek. Kiedy w roku 1928 przedstawił w Amerykańskim Instytucie Architektury swój domek jednorodzinny, będący zautomatyzowaną „maszyną do mieszkania” o nazwie „Dymaxion” (dynamika + maksimum wydajności), projekt został uznany za idiotyczny, wyszydzony i jednogłośnie odrzucony. W 31 lat później ta sama instytucja skwapliwie mianowała Fullera swym honorowym członkiem. Ale wtedy był już sławny jako nie mylący się wizjoner (jako jedyny przed wojną przewidział kryzysy motoryzacyjny i energetyczny), pionier prefabrykacji i „czarodziej kopuł geodezyjnych”, które uznano powszechnie za najmocniejszą, najlżejszą i najsprawniejszą

konstrukcję budowlaną wszechczasów.

Kopuła geodezyjna. Co to jest? Jest to półkula składająca się z trójkątnych elementów metalowych (kratownic) przenoszących naprężenia ściskające, którą można przykryć bezsłupowo dosłownie wszystko. Zaletami dodatkowymi jest niesłychana lekkość, umożliwiająca transport powietrzny (podczepienie kopuły do helikoptera) i ułatwiająca kołowy (rozmontowaną kopułę można zapakować w niewielkie pudełko) oraz łatwość i szybkość montażu z elementów prefabrykowanych. Ażurowy układ kratownicowy (niekoniecznie z metalu - także z drewna, włókna szklanego i nawet papieru) można oblec powłoką nylonową lub jakąkolwiek inną. Dowód fantastycznej wytrzymałości takich konstrukcji przeprowadził Fuller w roku 1953 w Michigan University za pomocą eksperymentu, podczas którego 30-kilogramowa kopuła geodezyjna z wysmukłych prętów aluminiowych wytrzymała obciążenie 6 ton, równe ciężarowi małego czołgu.

Nie tak łatwo było mu jednak przekonać potencjalnych nabywców. Gdy wojsko zainteresowało się kopułami geodezyjnymi, chcąc je wykorzystać jako hangary i anteny radarowe, eksperci orzekli zdecydowanie, iż nie będą one mogły wytrzymać wiatru o sile 25 kilometrów na godzinę. Przez ponad ćwierć wieku wyszydzany przez rozmaitych speców i fachowców twórca wziął na nich wreszcie srogi odwet, wręcz ośmieszając ich kalkulacje. Kopuła zainstalowana na szczycie Góry Waszyngtona wytrzymała huragan o szybkości 300 km/godz., a wkrótce potem (rok 1954) kopuła-restauracja w Woods Hall oparła się nawet straszliwemu tajfunowi Carrol (350 km/godz). Triumf Fullera był bezsporny. Eksperci orzekli, iż rozpoczął nową, przyszłościową erę w dziedzinie konstrukcji.

Do dzisiaj wybudowano na świecie ponad 3 tysiące kopuł geodezyjnych (banki, sale sportowe i kongresowe, opery, ogrody botaniczne etc) - niektóre z nich mają do 300 metrów rozpiętości. Na montrealskim Expo-67 najwspanialszym eksponatem Ameryki był jej pawilon - kopuła geodezyjna Fullera z „oddychającą” powłoką z mas plastycznych i systemem zacieniania poruszonym energią słoneczną. Ten „Największy bąbel Bucky’ego” był dla twórcy prototypem, wprawką do śmielszych koncepcji - jak na przykład propozycja przykrycia nowojorskiego Manhattanu geodezyjną czaszą o rozpiętości 3,2 kilometra, co zapewniłoby miastu dowolny, sztucznie regulowany mikroklimat - i wreszcie do utopii urbanistycznej w postaci monstrualnych kul geodezyjnych („miast-chmur” dla tysięcy mieszkańców), orbitujących w powietrzu, nad przeludnioną Ziemią, dzięki ogrzaniu słońcem powietrza zawartego wewnątrz struktury, lub zacumowanych do szczytów górskich. Pozostałe utopie urbanistyczne Fullera to supermiasta na ziemi (tu „Bucky” proponuje wielki „krater mieszkalny”, przykryty kopułą geodezyjną) oraz na wodzie (pływające miasta - na przykład projekt „Triton” - w formie

piramid o wysokości do 2,5 kilometra, mieszczące po milionie ludzi i samowystarczalne dzięki energii jądrowej). Notabene Soleri również zaprojektował nawodną „arkologię” Navanoah (nazwa nawiązuje do Arki Noego). Utopia, prawda? Na to Fuller odpowiada tytułem swojej książki wydanej w roku 1971: *Perspektywy ludzkości - utopia lub otchłań zapomnienia*. To już groźba.

Przyrodę, którą chcą uratować, kocham tak samo jak oni. Wierzę w niezbędną utopii dla duszy człowieka i dla jego zbawienia. Ale urbanistyczne wizje tych dwóch proroków-opatów monasterów przyszłości budzą mój lęk. Powrót do wartości średniowiecznych? Urbanistyka średniowieczna zawsze była moją miłością, ale za mało jest przejść od wieków średnich tylko naskórek. Trzeba by zmienić najpierw nas samych. Wprowadzenie świeckiego, agresywnego przedstawiciela współczesności do jakichś „arkologii” mogłoby się okazać eksperymentem nie bardziej udanym niż instalowanie Cyganów w miejskich blokach osiedlowych. I wreszcie, czy te naziemne, nawodne i napowietrzne megamaszyny do mieszkania, te betonowe ule i mrowiska koncentrujące ludzi w masowej skali i w quasi-klasztornej izolacji (pustynia-ocean-kosmos), nie stałyby się skutecznym instrumentem nazbyt daleko posuniętej kolektywizacji człowieka? Czy nie zostałyby wykorzystane przez tych, którzy tylko czekają, by zamknąć społeczeństwa w szklanych kulach i wyzuć je z godności i z wolności pod pretekstem kultywowania nowej psychocywilizacji? Tak sobie myślę, ale być może się mylę...

Tak sobie też myślał Claude Roy, który stworzył futurologiczną bajkę o przeprowadzce naszych prawnuków do ultranowoczesnego siedliska:

„Pierwszego dnia wszyscy byli zmęczeni z powodu przeprowadzki. Drugiego dnia wszyscy byli zadowoleni z powodu zmiany. Trzeciego dnia wszyscy byli bardzo znudzeni z powodu tak Pomysłowego Mieszkania. Architekt, ze swoją ekierką, linijką i butelką tuszu, pomyślał o wszystkim. Zaprojektował spust-na-obierzyny i spust-na-butelki, i spust-na-kurz, i spust-na-dzieci, i spust-na-bieliznę, i spust-na-muchy, i spust-na-rozum. Ale nie przewidział ludzi, ludzie zaś nudzili się wśród cementu, szkła i wiatru w tych wielkich, jednakowych mieszkaniach, które przypominały klateczki na muchy spiętrzone pionowo ku niebu. Przelatujące ptaki oglądały pudełka-na-ludzi, gdzie mieszkali mieszkańcy mieszkania nr 192 768, blok 203, i zastanawiały się: «Co też mogli przeskrobać, że zamknięto ich w tych kłatkach-dla-ludzi?»”.

Słowo nuda nie powtarza się w tej bajce o idealnej maszynie do mieszkania przypadkowo. Erich Fromm, autor *Ucieczki od wolności*, tak mówił o nudzie: „Nuda jest jedną z najstraszliwszych plag, jakie istnieją. Ból bywa mniejszą udręką niż nuda. Bierze się ona stąd, że człowiek staje się narzędziem, kółkiem w maszynie, że stanął wobec świata, nad którym nie ma już żadnej kontroli. Może kochać rzeczy, kochać swoją pracę i kochać ludzi. Jeśli jednak nie jest

niczym więcej, jak tylko drobną częścią składową maszyny...”

Nie trzeba mi mówić, jak banalnie łatwo jest krytykować i jak trudno urodzić alternatywę. Paolo i „Bucky” podjęli ten trud. Jeśli się mylą, jeśli to, co proponują, to nie jest to, co może zbawić chory świat i uszczęśliwić pasażerów owego pojazdu - to jak to coś ma wyglądać? Nie wiem. Każdy z coraz liczniejszego oddziału proroków, na czele którego kroczą Soleri i Fuller, proponuje inne rozwiązanie, poparte dogłębными analizami wielu dziedzin ludzkiego życia, i uważa je za jedynie słuszne. Już sam ten fakt świadczy, że być może poszukiwania jednego modelu są błędne i że zgodnie z prawami natury niezbędnym warunkiem będzie zachowanie elastycznej różnorodności.

A więc nie wiem. Ale wiem, że według prawa Morgensterna wielkim kataklizmom zapobiega w pierwszym rzędzie ich przewidzenie i rozgłoszenie. Potem przychodzą wynalazki. Nie sposób dzisiaj przewidzieć jakie. Lecz trzeba w nie wierzyć. Trzeba wierzyć w Końską Siłę Pani Murphy.





ETAP XV

A teraz, przez Napoleonville, do Nowego Orleanu i St. Augustine, gdzie są najstarsze domy w USA. Ale najpierw do miasta Napoleona.

Leje jak z cebra. Plaquemine, White Castle. Coraz gorsza widoczność. Widzimy przed sobą jakieś szare, mgławicowe zarysy, wszystkie żywioły zlały się w jeden kolor, opony buksują w kałużach. Nic dziwnego, że między White Castle a Donaldsonville przeoczyliśmy drogowskaz i pobłądziliśmy wiejską drogą. Zorientowawszy się - zawracamy. Ale droga ma ledwo ponad dwa metry szerokości i manewr cofania kończy się ugrzęźnięciem w rowie. Po raz drugi tego dnia. Oto jak przypadki lubią wędrować parami. Co za dzień!

Napisałem: w rowie. Ale to nie był rów, tylko grzędawisko. Tył wozu zanurzył się w nim. Zniknęły pod wodą tylne koła, a „rufa” zamieniła się w akwarium. Dosłownie. Za szybami mętna, zielonkawa ciecz, tylko patrzeć, jak wychyną z niej jakieś bagienne stwory i przyłożą swe ryjki do szklanych okien batyskafu. Przednie koła zatrzymały się nad powierzchnią moczaru, widać płytkiego przy szosie, tylny zderzak musiał oprzeć się o niewidoczne dno - inaczej zostalibyśmy wessani całkowicie.

Zakładam kalosze i przeciskam się przez okno na zewnątrz. W kilkanaście minut później przejeżdża furgonetka. Macham ręką. Mężczyzna za kierownicą zatrzymuje wóz, ale nie ma łańcucha. Jest uprzejmy, jedzie na pobliską farmę i za kwadrans wraca z grubą parcianą taśmą przypominającą strażackiego węża. Sprzegamy oba samochody i wreszcie jesteśmy uratowani, tylko Jerry dalej klnie, bo kiedy pchał wraz ze mną naszego „junka”, do jego wysokich, skórzanych butów zawędrowały mrówki! Teraz wali do środka jakiś spray, aż cholewki dymią... Co za dzień!

Płyniemy z powrotem i odnajdujemy właściwą drogę. Wreszcie Napoleonville. Maleńka miejscina, nasze pojawienie się na tym „odludziu” budzi niejaką sensację. Jakby na powitanie - przestało padać, a dokładniej przestało lać, mży. Jemy w przytulnej knajpce pyszny obiad i rozpoczynamy wędrowkę. Sklepik z kosmetykami! Przypominam sobie, że obiecałem Beacie przywieźć dobry ołówek, tylko zapomniałem do czego, do oczu, brwi, rzęs, powiek czy czegoś podobnego, bo kompletnie się na tym nie znam, znam się wyłącznie na ładnych oczach. Szukam w portfelu kartki z „rozkazem”... Jest! Ma być „blackish-brown” lub „browinsh-black”, w Warszawie podobno nie można dostać. Tutaj też nie (potem dostanę to w Chicago), sprzedawca miota się wraz z żoną po sklepie i magazynie, rozrywa jedno za drugim kolejne pudełka i szuka, szuka, coraz bardziej nerwowo. Ale akurat nie ma tego odcienia, jest tylko „dark brown”, chyba za jasny. Ten mały człowieczek w okularach robi się

purpurowy ze wstydu. Podaje mi trzy ołówki „dark brown” różnych firm, w przepięknych opakowaniach, i z przepraszającym uśmiechem mówi coś, czego nie rozumiem, chociaż doskonale rozumiem słowa, zwłaszcza jedno: „free” (bez płacenia).

- Jerry, czy on?...

- Tak, to jest „gift” (podarunek) dla ciebie.

- Przecież to kosztuje prawie dziesięć dolarów, nie mogę tego wziąć!

- Jeśli nie weźmiesz, zrobisz mu wielką przykrość. Od niego klient nie może wyjść niezadowolony. Wierz mi, mieszkam w tym kraju ponad rok i wiem, co mówię.

Wziąłem i człowiek w okularach uśmiechnął się. Wiedział, że jestem tu przejazdem i że zapewne nigdy nie wrócę. Ale zawiódł klienta, bo nie miał żądanego towaru, i tym samym naraził swój honor zawodowy na szwank. Przeprosił podarunkiem, mówiąc, że może jeden z tych ołówków okaże się przydatny dla „lady”, a przyjęcie tego prezentu było dlań przynajmniej częściowym rozgrzeszeniem. Co kraj to obyczaj.

Dalej bezskutecznie szukamy śladów Napoleona. Wstępujemy do domu towarowego, który jest tak samo wymarły, jak całe miasteczko. Nasz widok i nasz język wywołują wrażenie wizyty kosmitów. Kiedy biorąc do ręki parę kiepskich dzinsów mówię do przyjaciela z dezaprobatą, że to szmata, jeden z pracowników (później okaże się, że to zastępca szefa) krzyczy uradowany, że zrozumiał:

- Schmata, schmata! To Polacy, znam jednego Polaka, on też mówi schmata, ale nie na spodnie...

Podbiega i wita nas kordialnie szef interesu, przedstawiamy się, on pyta czym i po co zawędrowaliśmy do ich dziury. Na pierwsze pytanie Jarek odpowiada palcem wskazującym - przez witrynę widać naszego grata. W tej siąpieninie z nieba prezentuje się on całkiem, całkiem, nawet ślady bagna zostały zmyte. Mówimy, że kupiliśmy go specjalnie na podróż po Stanach. Na pytanie, co z nim zrobimy po podróży, Jerry mruczy od niechcenia:

- Wyrzucimy.

- Jak to?! Nie lepiej sprzedać?

- Eee, nie będę miał czasu na takie głupstwa - odpowiada mój kolega Rockefeller.

Gdy już zostało ujawnione, że do Napoleonville zawitali polscy milionerzy incognito (poprzebierani w przetarte łachy trampów), mogę odpowiedzieć, dlaczego tu przybyli. Tłumaczę, że chodzi o Bonapartego i zaczynam mówić o swoich fascynacjach napoleońskich, na co szef wrzeszczy w stronę zaplecza:

- Margaret, Margaret!!!

Jego żona przybiega, myśląc, że się pali.

- Słuchaj, Margaret, oni tu przyjechali do Napoleona!

- Oh, really? - rozpromienia się szefowa.

Atmosfera staje się rodzinna, dyskutujemy o cesarzu, o którym oni nawet trochę wiedzą, licytujemy się w znajomości empirowych szczegółów... Po półgodzinie ściskamy się serdecznie i „so long!”. W drzwiach przypominam sobie, że nie spytałem o najważniejsze: gdzie są w mieście pamiątki po Napoleonie? Szef markotnieje.

- Proszę pana, nasze miasto wzięło nazwę od Napoleona Webstera, to był tutejszy sędzia... a może nauczyciel...

- !?...

Wybuchamy paroksyzmem śmiechu. Co za dzień!



Dom ten jest gdzieś daleko, utraciliśmy go, nie mieszkamy już tam, wiemy - niestety - z pewnością, że nigdy już tam nie będziemy mieszkać. Dom staje się wówczas czymś więcej niż tylko wspomnieniem, jest domem naszych marzeń, domem snów. (...) Dom snów to wątek głębszy niż dom rodzinny i głębszym odpowiada potrzebom. (...) Jeśli samotnie, w zadumie, w domu, który nosi znaki głębokości, schodzimy ciasnymi, ciemnymi schodami wijącymi się stromo wokół kamiennego filaru, czujemy niebawem, iż j e s t t o z e j ś c i e w p r z e s z ł o ś ć .

Gaston Bachelard, Ziemia, spoczynek i marzenie

STARE DOMY, WYBLAKŁE SNY

Chmury drwią sobie z nas. Tylko opuściliśmy Napoleonville - znowu się rozpadało. Leje i leje, nieustanne oberwanie nieba, z niedawnego upału wpadliśmy pod rynnę. Świat w barwach deszczu, ciemno. Ale nie aż tak ciemno, żeby nie zauważyć, iż pejzaż jest czysto francuski, zwłaszcza poprzez budownictwo rodem, zda się, z Lotaryngii, Prowansji, Burgundii i Langwedocji. Kamienne kościołki, białe wille z wielkimi werandami, pałacyki, ogrody z baldachimami konarów. Bajka. Tylko ten deszcz!

Cała południowa Luizjana, którą właśnie przemierzamy, to setki jezior i rzek, bagien, stawów i rozlewisk, więcej H₂O niż ziemi, stąd chyba duże parowanie i stały handel wodą między niebem a gruntem brzemienym w bujną roślinność.

Thibodaux, Raceland, wjeżdżamy na „czerwony” highway stanowy nr 90. Lepsza nawierzchnia i coraz bliżej Nowy Orlean. Ja wspominałem ze śmiechem naszą wizytę w mieście Napoleona, ale to wcale nie poprawia nastroju mojego towarzystwa. Jarek w ogóle ma dzisiaj kiepski humor. Może to ten deszcz, a może te mrówki lub „chipsy” z automatu, które mu nie smakują. Pali jednego „Camela” za drugim, warcząc:

- Muszę przepalić te chipsy, bo inaczej one mnie przepalą!

Kurczak zjedzony w Napoleonville też mu nie smakował:

- Zjadłem łobuza i teraz mam w żołądku temperaturę krzepnięcia rtęci!

Przedtem gryzły go już pewnie jakieś drobnoustroje, a ja na końcu, bo nie zdążyły!... Zobacz, paliwomierz oszalał!

Nic mu się dzisiaj nie podoba. Co za dzień!

Dzień starych murów. W Nowym Orleanie istnieje dzielnica o nazwie Vieux Carré (Stary Czworobok, Stary Kwadrat), zwana też Dzielnicą Francuską - sławna nowoorleańska starówka, przedmiot moich wieloletnich marzeń. Jest to w rzeczywistości regularny prostokąt, pocięty - jak klasyczne miasta średniowiecza - siatką idealnie do siebie prostopadłych ulic o francuskich nazwach (Toulouse, Chartres, Bourbon, Conti, Bienville, Dauphine etc) i oparty o Missisipi. Zjeżdżamy tu w dół z highwayu przecinającego miasto i z miejsca zanurzamy się w gęste skupisko najczarowniejszej architektury świata, francusko-hiszpańskiej, o jedynym w swoim rodzaju europejsko-kolonialno-fantastycznym stylu, którego cechą charakterystyczną są bajecznie bogate, białe i czarne balkony, iskrzące się od misternych wyrobów kowalskich, arabesek i żelaznych deseni, ażurowych balustrad i smukłych jak pręty kolumnienek. Zwiąż te jedno-, dwu- lub trzypiętrowe fasady z wyrafinowanymi oknami i owiniętymi wokół balkonami, pełne głębokich światłocieni, krat, łuków i zakamarków: „koronkowymi”.

Vieux Carré - kołyska Nowego Orleanu, zaczęło się rodzić w drugiej dekadzie XVIII wieku z inicjatywy kilku przedsiębiorczych Francuzów. Mgnienie szaleństwa, podlane profetyczną, nieokiełznaną wizją - z kawałka ziemi między topielą czarnych moczarów a marszczącym się lustrem wody na torfowiskach, po których skakały błędne płomyki, wydzwignęły się wzdłuż równych linii promenad mury tak piękne, że w ich oczach-oknach zapalił się narcyzowaty zachwyty nad samym sobą. Domy i kościoły zaludniły się ludźmi, którzy już dawno odeszli, dając im i ich następcom poczucie ciągłości skamieniałej w nieśmiertelnej urodzie ich siedzib. Piękne kobiety dniami owiewały przestrzeń furkotem swych tiuli i muślinów wylewających się poza balkony i burty eleganckich powozów, nocą zaś mdlały z rozkoszy przedłużania miastu życia. Ich mężowie zbijali majątki, grali na gitarach i zapładniali czarne niewolnice oraz matki Kreolek ślicznych jak ciemnonolice Madonny. Przybyli tam również ludzie z książkami i słowami przesyconymi trucizną gniewu, i tak w miasto wlała się historia, gwałt, krew i okrucieństwo, łuny i bunty, rozpasane wiatry śmierci, grymasy wielkości i podłości zapisanej na pomnikach. Dzisiaj wszystko to ucichło, zostały jedynie wyblakłe sny i wspomnienia w murach domów, które mówią do turystów, ale tylko do tych, którzy umieją rozmawiać ze starymi murami.

Zapada zmierzch, a my wędrujemy nabożnie przez to żywe muzeum minionego. Wóz zostawiliśmy pod małym, straszliwie drogim hotelikiem przy Chartres Street i oddaliśmy się swoim nogom, które nas wiodą. Przez wąskie korytarze i klatki schodowe, obok schodów drewnianych i metalowych,

zakręconych spiralnie w ciemność, wkraczamy na zaciszne patia i podwórka z fontannami, balkonami i „jubilerskimi” ławeczkami. Na niektórych, z kamiennych płyt pawimentu wyrastają gazowe latarnie. Wysoko święte figury, spatynowane od cierpień i błagań ludzkich szeptanych pod nimi przez wieki, teraz odpoczywające w sennym skupieniu. Cóż to za boskie wehikuły czasu te ogródki w studzienkach murów! Intymne azyle sjest familijnych, czujemy się tu intruzami, a żal stąd wychodzić na ulicę, chociaż i ona zniewala. Mijamy antykwariaty pełne skrzących się cudów, małe knajpki i dziwaczne sklepiki. Nas mijają barwne dorożki. Inna epoka, coś dławi człowieka w gardle. Człowieka z osiedli mieszkaniowych, z „bloku”.

Spacerujemy tak wolno, że już wolniej nie można, i stajemy zachwyceni co kilka kroków. Te domy bowiem śpiewają piosenkę zmuszającą owego człowieka do zatrzymywania się na baczność. Zupełnie jak w sławnej scenie obrad parlamentu francuskiego 1 grudnia 1947 roku, kiedy to deputowani komunistyczni przez całą noc okupowali salę na znak protestu przeciwko decyzji usunięcia z niej ich towarzysza, Calasa. Nad ranem na salę wkroczył dowódca Gwardii Republikańskiej, pułkownik Marquant, by usunąć Calasa siłą, jednakże długo nie mógł dotrzeć do celu. Co tylko zrobił krok w kierunku Calasa, komuniści intonowali *Marsyliankę* i pułkownik (mundur zobowiązuje) stawał na baczność, czekając aż skończą. Ruszył się i znowu o ściany sali uderzały strofy hymnu, usztywniając oficera. Tak pieśń zatrzymywała go wiele razy.

Gdyby nie inne miasteczko, St. Augustine, Nowy Orlean miałyby najstarsze domy w USA. Ale i tak są bardzo stare, przeczą europejskiemu mniemaniu, że w tym kraju nie ma sędziwych zabytków, a każdy z nich ma do opowiedzenia swoją bajkę lub wspomnienie.

Te domy pamiętają wszystko, a zwłaszcza ludzi, którzy w nich żyli, albowiem życie domu jest życiem jego mieszkańców. Kobiety mają pierwszeństwo, więc zacznijmy od tego gatunku: te domy pamiętają publiczne dziewczęta, których armia zaludniała „French Quarter” w 260 burdelach aż do roku 1917, gdy wszystkie owe pałacyki erotyzmu zlikwidowano. Na tym samym terytorium straszyły niezwykle surowe prawa wymierzone przeciw tzw. kobietom uczciwym, np. w okresie panowania Hiszpanów: „Mężatka przyłapana na zdradzie i jej kochanek zostaną wydani mężowi, który postąpi z nimi według swego uznania. Zaznacza się jednak, że nie może on skazać na śmierć jedno z nich, nie zabijając równocześnie drugiego”. Nie była to wszakże specjalność hiszpańska, czysto amerykańskie traktowanie żon symbolizuje wydany w roku 1876 „Poradnik małżeński” dla pionierów na Dzikim Zachodzie: „Co dwa miesiące można zbić żonę na kwaśne jabłko pod warunkiem, że co niedziela przynosi się jej kwiaty. Jeśli mąż nie chce przynosić kwiatów, może bić ją tylko raz co sześć miesięcy”.

Te domy pamiętają wielkich piratów, szalejących w dorzeczu Missisipi i w Zatoce Meksykańskiej. Największym z nich był Jean Lafitte, znamienity kontynuator klasycznego piractwa karaibskiego à la Morgan i bukanierzy (nowoorleański urzędnik, Walker Gilbert, nazwał go: „największym łotrem, jaki kiedykolwiek działał w jakimkolwiek miejscu na ziemi”), który wraz z bratem opanował w dobie napoleońskiej przybrzeżne wody Luizjany oraz jej świętą rzekę, łupiąc co tylko popadło, towary i Murzynów, i sprzedając to wszystko kupcom z Nowego Orleanu. Kiedy gubernator Claiborne wyznaczył za jego głowę wysoką nagrodę, Lafitte wyznaczył za głowę gubernatora nagrodę o wiele wyższą, co Nowy Orlean skwitował wybuchem śmiechu. Ale kiedy w grudniu 1814 roku wojska brytyjskie uderzyły z Jamajki na Nowy Orlean i angielski generał Pakenham zwrócił się do Lafitte’a z propozycją współpracy, oferując mu stopień kapitana, pirat natychmiast ostrzegł gubernatora Claiborne’a, po czym na czele korpusiku piratów wziął udział po stronie amerykańskiej w bitwie o miasto (8 stycznia 1815), w której Brytyjczycy zostali rozgromieni. Generał Jackson nazwał wówczas piratów „wiernymi i bohaterskimi dżentelmenami”, a prezydent Madison w podziękę darował im wszystkie stare przewiny, za co Jean Lafitte porzucił w kontrrewanżu piracki proceder, itd, itp. Sielanka.

Historycy są raczej zgodni, że bez bijących się jak tygrysy bandziorów Lafitte’a Amerykanie mieliby mniejsze szanse w bitwie o Nowy Orlean, różne książeczki o masowych nakładach podają zaś Jeana jako budujący przykład człowieka, który w odpowiednim momencie zeskoczył z brudnej ścieżki i zamienił się w anioła. Gdyby jednak czytelnicy tych książeczek zapytali się o dalszy ciąg umoralniającej bajki, to okazałoby się, że przykład jest nieco lipny.

Pozbawiony majątku i źródeł swego dotychczasowego utrzymania, napastowany przez wierzycieli i sądy, Lafitte szybko znalazł się na granicy nędzy. Słowem poprawa nie wyszła mu na zdrowie, uleczył się więc wstępując po cichu na służbę wywiadu hiszpańskiej Inkwizycji, wyjechał na jakiś czas do Europy (tam rzekomo próbował po Waterloo pomóc Napoleonowi w ucieczce do Ameryki), a po powrocie jął się znowu piractwa i to tak intensywnie, że do dzisiaj poszukuje się ukrytych przez niego skarbów w kilkunastu miejscach na południowo-wschodnich wybrzeżach USA. Ale o tym podłym „happy endzie” głośno się nie mówi. Jean Lafitte, „król nowoorleańskich piratów”, jest romantycznym bohaterem we wspomnieniach miasta.

Czyż niepiękne są te wspomnienia? Przybłąda nie wiadomo skąd, Francuz, a może Hiszpan, wyrafinowany światowiec i łotrzyk w jednym ciele, trochę „playboy”, trochę komandos, magazynujący gigantyczne łupy z rabunków na wysepkach Barataria i Galveston, a wieczorami odwiedzający wraz ze swą watahą wilków operę w Nowym Orleanie. Bo piraci mieli w tym mieście własny gmach operowy, do którego wozili swoje kobiety, by mogły się

pokazywać w najwspanialszych klejnotach świata! Czyż nie były to piękne czasy?

Mnie najwięcej mówi Dom Napoleona, wybudowany w latach 1797-1814 na rogu ulic Chartres i St. Louis przez braci Girod. Dwupiętrowy, niezbyt bogaty, o surowych, nieco posępnych fasadach bez ozdób, nosi w sobie wielką tajemnicę. Mikołaj Girod, burmistrz Nowego Orleanu w latach 1812-1815, przeznaczył ten dom na mieszkanie cesarza, który miał uciec ze Świętej Heleny. Cudu tego miało dokonać grono spiskowców bonapartystowskich, wśród których byli oczywiście Polacy, między innymi Jacek Colonna-Walewski. Na czele stało pięciu ludzi. Bracia Mikołaj i Klaudiusz Girodowie, bracia Henryk i Karol Lallemandowie, generałowie napoleońscy, którzy po Waterloo zostali skazani przez Burbonów na śmierć i zbiegli do Ameryki. Oraz pochodzący z San Domingo tajemniczy korsarz Dominik You, który w roku 1811 dołączył do koczujących w Zatoce Barataria braci Lafitte, stał się członkiem wyjątego spod prawa „Państwa Barataria” i po bitwie o Nowy Orlean skorzystał z amnestii, osiadając w Vieux Carré. Legenda głosi, że udało się im i że „bóg wojny” zamieszkał w domu na rogu ulic Chartres i St.Louis, a jego miejsce na Świętej Helenie zajął sobowtór.

Wchodzimy do knajpki, która mieści się na parterze, depcząc po mozaikowym napisie na posadzce przed progiem („Napoleon’s House”). Wewnątrz portrety cesarza i sceny z jego epopei (szkic Géricaulta do sławnego *Szaser*, *Napoleon na Northumberlandzie* etc). Przyćmione światło. Zamawiamy wino. Oczywiście wino, gdyż cesarz pijał tylko ten rodzaj alkoholu. Szkoda, że nie mają jego ulubionych marek (Chambertin i Claret).

Noc spada na starą Dzielnicę Francuską, budząc ją do życia. Fasady domów rozbłyskują światłami, upojony tłum przelewa się w tę i we w tę na Bourbon Street, Murzyni grają cudowne nowoorleańskie melodie, maleńkie i duże orkiestry, dźwięki instrumentów odbijają się od starych murów i pędzą ku gwiazdom, otwierają podwoje najróżniejsze spelunki i kluby, strip-teasernie i burdele, przez otwarte kuszaco drzwi widać rozbierające się dziewczyny - szaleństwo seksu, jazzu i picia ogarnia Vieux Carré. Ze wszystkich purytańskich miasteczek swego kraju Amerykanie ściągają do Francuskiej Dzielnicy Nowego Orleanu, by zanurzyć się i oczyścić w wyuzdaniu tętniącym rytmami Dixie. W Vieux Carré nie ma nocą hamulców, cały świat staje na głowie i wpada w kleszcze rozwartych bezwstydnie ud.

Tłum staje się coraz bardziej podniecony i rozedrgany, lecz w tym chaosie panuje wzorowe bezpieczeństwo. Czuwa nad tym mafia, żywicielka i właścicielka całego interesu, zadomowiona tu od pierwszego dnia jej pobytu na zachodniej półkuli. Te domy doskonale pamiętają, że mafia rozpoczęła podbój Ameryki właśnie od Nowego Orleanu. Ale zaczęła pechowo...

Był rok 1878, kiedy włoski prefekt policji, Malusardi, którego zadaniem było

oczyszczenie Sycylii z „mafiosów”, wzniesił ostre represje na wyspie. Najbardziej zagrożone rodziny czmychnęły wówczas za ocean, wylądowały w Nowym Orleanie i rozpoczęły tu swój proceder (głównie szantaże i wymuszenia) pod dowództwem „ojca chrzestnego” Carla Matrangi. Opornych mordowano, kiedy było trzeba, to masowo. Dopiero kiedy zginął szef miejscowej policji, Hennessey, aresztowano 60 Włochów i postawiono ich przed sądem. Mafia zainwestowała znaczne sumy w znakomitych obrońców i w sam proces, w efekcie czego morderców uniewinniono. Na wieść o tym mieszkańcy Nowego Orleanu wdarli się do więzienia, wywlekli bandytów na ulicę i wystrzelali. Sprawa stała się głośna na całym świecie (m.in. przez ostrą interwencję dyplomatyczną rządu włoskiego, który odwołał swojego ambasadora w Waszyngtonie) - w Polsce zrelacjonował ją „Wędrowiec” z 18 (30) maja 1891 roku.

Tak więc mafia wystartowała kiepsko, ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Już w kilka lat później, na przełomie stuleci, owiani sielankową legendą zwyrodnialcy prosperowali w Nowym Orleanie znakomicie (dzięki domom publicznym). W okresie II wojny światowej i zaraz po niej mafia nowoorleańska, kierowana przez „capo mafioso” Carla Marcello, współpracującego z takimi tuzami syndykatu, jak Costello, Adonis, Lansky czy Kastel, urządziła z miasta firmę konkurencyjną dla Las Vegas, z królującymi hazardem, prostytutką i handlem narkotykami. Miała jednak i bardziej oryginalne interesy niż gospodarcze, w których wszystko gra (na liście amerykańskich potentatów finansowych mafia zajmuje drugie miejsce, ustępując tylko przemysłowi naftowemu, a wyprzedzając samochodowy).

Dzisiaj już wiadomo, że CIA najęło mafię (łącznikiem był prywatny detektyw Howarda Hughesa, Robert Maheu) do zamachu na Castro. Zadania podjęli się: „ojciec chrzestny” z Chicago, Sam Giancana, „capo mafioso” z Tampa, Santos Trafficante, i „brat” mafijny z Las Vegas, John Roselli. Nie udało się. Udało się natomiast w przypadku prezydenta Kennedy’ego, ale tym razem spółka była większa. W kwartecie wystąpili emigranci kubańscy, FBI, CIA i mafijna komórka egzekucyjna („Murder Incorporated”). Drożdże tego mordu rosły w Nowym Orleanie pod „ojcowskim” okiem Carlosa Marcello (był on powiązany zarówno z Oswaldem, jak i z zabójcą Oswalda, Jackiem Ruby) i dlatego tu grozi dzisiaj największe niebezpieczeństwo ludziom, którzy węższą za mordercami. Dziennikarz Anthony Summers w „The Listener”:

„Rok 1978 zaczął się dla nas w Nowym Orleanie, gdzie Oswald przeżył kilka tajemniczych miesięcy niedługo przed zabójstwem. Tutaj, w płataninie ulic Vieux Carré opędzał się przed nikczemną zgrają antycastrystów, agentów CIA i FBI, i najemników mafii do mokrej roboty. To właśnie tu spotkaliśmy się z najsilniejszym strachem, albowiem wszyscy już znają liczbę osób, świadków i ludzi zbierających informacje, którzy w ciągu paru lat zginęli gwałtowną

śmiercią. Dziennikarz może to lekceważyć, ale trudno zachować tę postawę, gdy staje się twarzą w twarz z rozmówcą żyjącym od 14 lat w ciągłej obawie przed śmiercią. Solidny obywatel, szanowany lekarz, zmuszony przez FBI pogrózkami do zmiany swego zeznania, obawiający się mówić publicznie o tym, czego był świadkiem. Jeżeli - to tylko anonimowo. To, co powiedział, wydało się nam tak ważnym dowodem, że sfilmowaliśmy go ukrytą kamerą i potajemnie nagraliśmy jego oświadczenie. Na trzy miesiące przed zabójstwem solidny obywatel widział w Nowym Orleanie, jak Oswald otrzymuje koperty od agenta w samochodzie FBI”.

Stare domy Francuskiej Dzielnicy widziały to również, lecz one nie boją się niczego, tylko czasu, który uśmierca ludzi i rzeczy i czyni wyblakłymi nawet niedawne wspomnienia, bo wszystko, co było wczoraj, jest już historią i niczym więcej. Są obojętne, jak przyroda, dla ludzkich cierpień i namiętności, raczej milczący świadkowie niż współnicy. Zamknięte w swym majestatycznym bezruchu, obserwują pobłażliwie kołyszące się wśród nich targowisko lubieżności i pychy, które jest nikłą kroplą wielkiej historii zakodowanej w pierzejach wąskich uliczek niczym na perforowanej taśmie. Czasami odzywają się echa owej wielkiej historii, jak chociażby w postaci trzech listów carycy Katarzyny (jeden z nich dotyczy Polski) odnalezionych w roku 1977 w Nowym Orleanie.

Następny dzień, wyspani jak już dawno nie byliśmy wyspani (prawie do południa), spędzimy na Missisipi - matce rzek, po której kursują jeszcze tylnokołowce („Nat-chez”) i stareńkie parostatki („Delta Queen”) przypominające odyseję Huckleberry Finna. Ileż razy odbywałem w młodości tę podróż razem z nim i z Jimem, a teraz zostały we mnie najmocniej trzy ostatnie zdania, dzięki którym odbywam raz po raz jakieś włóczęgi własnymi ścieżkami. Zdania te brzmią:

„I w ogóle zbrzydła mi ta pisanina. Ale myślę, że będę musiał zwiać do puszczy wcześniej niż Jim i Tomek, bo ciotka Sally postanowiła mnie zaadoptować i ucywilizować, a ja tego nie wytrzymam. Wiem już, czym to pachnie”.

Nocą raz jeszcze nurkujemy w tętniącą gorączkowym rytmem fiestę na Bourbon Street, między lśniące ciała przepięknych Kreolek, okrągłe policzki dmuchających w trąbki Murzynów, rozbiegane oczy alfonsów, otwarte usta turystów i miękkie ruchy narkomanów. To tutaj przed laty kreolscy muzykanci uliczni i szynkowi wydestylowali wczesny jazz z melodii operetkowych, marszów i francuskiej tradycji gry na dętych instrumentach drewnianych, i tu mieli swoje ulubione „meliny” do wałkowania jazzu, jak Lala’s Café czy Mahogany Hall (lokal przy Basin Street prowadzony przez Lulu White zwaną „Królową diamentów”, bo nosiła je dosłownie wszędzie „za wyjątkiem dziurek od nosa”). Ale teraz można tu spotkać każdy rodzaj muzyki, „hillbilly”,

„bluegrass” i „country and western”, u których kolebki stały angielskie, irlandzkie i szkockie pieśni ludowe, oraz „spirytual” będący wynikiem dokonanej przez niewolników murzyńskich transformacji chorałów i hymnów anglikańskich. Przez drzwi małej kawiarenki dobiegają nas dźwięki gitar płaczących w stylu „soul”. Stajemy. Przy stolikach kilka zasłuchanych par. Dwóch hippisowatych chłopaków na niskiej estradzie stroi struny, uderzając w nie lekko, jakby próbując następną melodię. Ucho i pamięć podpowiadają mi, że to chyba będzie „Summertime” Gershwina.

- Jerry, wydaje mi się, że to będzie „Summertime”...

- Tak myślisz?

- Ummm... Słuchaj, jeśli to będzie „Summertime”, wchodzimy!

Zagrali „Summertime” i może nastrój chwili, cała ta niepowtarzalna atmosfera Vieux Carré sprawiła, że wydawało mi się, iż to jest najlepsze wykonanie, jakie kiedykolwiek słyszałem. Potem oni zaczęli żartować, mówiąc do publiczności:

- Wiecie państwo... tak to już jest... w końcu wszyscy pracujemy na napiwki...

Jeden z nich ruszył z kapeluszem między stoliki. Brzęknęły monety, ćwierćdolarówki i drobniejsze. Kiedy zatrzymał się przy nas, wyjąłem banknot jednodolarowy i zawiesiłem go nad kapeluszem.

- Zagracie coś dla mnie?

- Coś za dolara? - spytał.

- Właśnie.

- Co?

- „Windmills of your mind”.

- O'kay.

Uderzyli w struny i zamknąłem oczy...

Następnego dnia ruszyliśmy dalej na wschód. Cały dzień jazdy. Przez cztery stany. Za Nowym Orleanem jeszcze 52-milowy kawałek Luizjany i wskakujemy autostradą interstate nr 10 do naszego piętnastego stanu, Missisipi. Schodzimy na „czerwony” stanowy highway i jedziemy wzdłuż brzegów Gulf of Mexico (Zatoki Meksykańskiej).

Bay St. Louis, Pass Christian, Long Beach. Krótka kąpiel w morzu i dalej. Biloxi. W Ocean Springs powracamy na interstate 10. Dwie godziny wystarczyło nam na dotarcie od granicy do granicy, wjeżdżamy do szesnastego stanu. Alabama, sławna jako „zagłębienie bimbrowe” (setki nielegalnych wytwórni „księżycówki”). Jej wąski „cypel” dotykający morza przelatujemy przez Mobile w godzinę. Siedemnasty stan - Floryda. Napisy głoszą, że to „Sunshine state” (słoneczny stan). Dziwne, bo leje tak strasznie, jakby bóg deszczu chciał zesaść na ziemię potop. Przemiękła nam do cna podłoga wozu, widać blacha pod gumą została kompletnie zjedzona przez rdzę. Słoneczny stan i ani kropli słońca. Prawdziwy cud.

Floryda pełna jest „cudów”, gazetowe doniesienia z niej kwalifikują się automatycznie do kroniki humoru lub kryminalnej. W przerażającym tempie wymierają na chorobę „lethal gilben” sławne palmy Florydy - mimo zastrzyków z antybiotyków z 3 milionów zostało już tylko 700 tysięcy, a i te pono skazane są na zagładę. W „cudowny” sposób, bez śladu, giną tu setki luksusowych jachtów wraz z załogami. Od roku 1971 do naszego przyjazdu zniknęło w ten sposób 2 tysiące osób (mordują ich piraci - przemytnicy narkotyków, którzy potrzebują środków do przewożenia towaru, a po jednym lub kilku kursach zatapiają zdobyte jachty w celu zatarcia śladów). Na Florydzie, w Tampa, 29-letnia Marjorie Pugh sprzedała swoją 2,5-letnią córeczkę za... 50 centów. Na Florydzie, w Margate, Donald Wells wmontowuje w nagrobki małe, chronione pancerną szybą telewizorki, na ekranie których, po naciśnięciu odpowiedniego guzika, Ukazuje się twarz zmarłego, podczas gdy z głośnika dobiegają jego (nieboszczyka) słowa zarejestrowane na taśmie magnetofonowej. Na Florydzie, w Westville, Bill White spędził w grobie 144 dni (poprzedni rekord, z roku 1935, był o 25 dni krótszy), mając w trumnie telewizor, radio i klimatyzator. Na Florydzie, w St. Petersburg, ogłoszono konkurs na stanowisko nauczyciela, przy czym kandydaci musieli spełnić określone warunki, to jest „wykazać się umiejętnością dodawania, odejmowania, mnożenia i dzielenia bez kalkulatora”.

Dodajemy bez kalkulatora kolejne mile. Śmigamy autostradą nad Zatoką Pensacola i ciągle na wschód, by przed północą, przez Jacksonville, wylądować u celu - w najstarszym mieście USA, St. Augustine, a dokładniej w luksusowym („raz się żyje!”) motelu „Lantern Lodge”, z wszelakimi wygodami, atrakcjami i nawet kolorowym telewizorem zawieszonym na łapie wystającej ze ściany nad każdym łóżkiem. I nawet czas nam się zgadza! A to dlatego, że w Chattahoochee minęliśmy granicę stref czasu (wjechaliśmy z Centralnego we Wschodni) i zauważyliśmy przy okazji, że od kilku dni zegarki nas okłamywały. Robiły to dlatego, że wcześniej, tuż przed Yumą, przeoczyliśmy granicę między strefami czasu Pacific i Mountain (czyż nie mówiłem, że tamtejszy upał czyni z mózgu kalafior?) i nie popchnęliśmy wskazówek o godzinę do przodu. Tyle czasu o błędnym czasie!

Leżymy na łóżkach, czyści po gorącym prysznicu jak świnki Disneya, i pijamy Christian Brothers Brandy, która ma tę dobrą stronę, że jest bardzo tania, i tę złą, że bardzo przypomina smakiem i zapachem perfumy. Jutro zaszczycimy swoją uwagą „Oldest Town”...

Florydę odkryli w roku 1513 Hiszpanie, lecz nie zagrzali tam długo miejsca, z czego skorzystali w pół wieku później francuscy hugenoci, uciekający przed prześladowaniami we własnej ojczyźnie. Wzniesli oni mały Fort Caroline, z którego powędrował do Europy list zawierający taki akapit: „Mieszkańcy Florydy (tubylcy) suszą pewne ziele, zapalają je i ssą dym przez trzcinkę

zakończoną glinianą tulejką”. Chodziło o tytoń. Francuzi zabrali go w świat, zostali bowiem wyrzuceni z Florydy przez hiszpańskiego admirała Menendezę. To właśnie on założył St. Augustine w dniu 8 września 1565 roku. Tak więc miasto jest dwukrotnie starsze od Stanów Zjednoczonych i obchodziło hucznie swoje 400-lecie zanim państwo uczciło dwusetną rocznicę swoich narodzin. Wszystko tu jest najstarsze w USA. A więc kolejno:

„Oldest Fort” (Najstarszy Fort) - wspaniały, kwadratowy w planie, z czterema wielkimi bastionami na narożach, XVII-wieczny Castillo de San Marcos (Zamek św. Marka). Był najważniejszą kartą w trwających ponad 200 lat morderczych zapasach o St. Augustine między Hiszpanami a Brytyjczykami, w zmaganiach z piratami łupiącymi wybrzeże i w długotrwałej wojnie seminolskiej, podczas której (1837) 20 więzionych tu Seminolów dokonało brawurowej ucieczki pod dowództwem wodza Coacoochee (Pantera). Tyle razy skąpał się w ogniu i we krwi. Dużo pamięta. Potem „Oldest House” (Najstarszy Dom) - z pierwszych lat XVII stulecia, na wprost drewniany (piętro), na wprost murowany (parter), zawierający obecnie muzeum, nad którym powiewają cztery flagi byłych i dzisiejszych panów tej ziemi (francuska, hiszpańska, brytyjska i amerykańska). Dalej „Oldest School” (Najstarsza Szkoła) - funkcjonująca w latach 1565-1763, drewniana (bale z cyprysu i czerwonego cedru), zawierająca woskowe figury nauczyciela i uczniów, łupkowe tabliczki, stare mapy na ścianach, wszystko „jak żywe”, po amerykańsku. Wreszcie „Oldest Store” (Najstarszy Sklep) - z XIX wieku, zawierający pełne wyposażenie z minionego stulecia, wraz z ówczesnymi towarami i sprzętami domowymi (wśród nich drewniana, ręcznie napędzana maszyna do prania, czyli pralka!).

Stare domy tego skansenowego miasteczka pamiętają chwile małej i wielkiej historii i zachowują w sobie cienie przeszłości. Wędrujemy słoneczną Charlotte Street. Z annałów historycznych St. Augustine wygrzebałem historię, która mocniej utkwiała mi w pamięci. Przy tej ulicy mieszkała 200 lat temu piękna szwaczka, Catalina Morain. To gdzieś w tym miejscu, blisko Treasury Street... W nocy, 20 listopada 1785 roku, jeden z kochanków Cataliny, porucznik Guiliermo Delaney, został napadnięty pod jej domem przez dwóch zakapturzonych mężczyzn i wkrótce zmarł od ran. Gubernator Zepedes wszczął energiczne śledztwo, lecz długo nie mógł dojść prawdy. Zeznania świadków były niejasne, Catalina zaś obciążyla dwóch żołnierzy, Martosa i Cucarellę. Po pewnym czasie podejrzania zaczęły się skupiać na dwóch innych członkach haremu dobrotliwej panny, sierżancie Silvellym i kapralu Moradze. W rezultacie Moraga i panna Morain zostali wtrąceni do więzienia - on, gdyż nie miał alibi, ona za krzywoprzysięstwo i fałszywe oskarżenie dwóch ludzi. Z udowodnieniem im mordy szło gorzej. Akta sprawy wysłano do Mexico City, gdzie rezydował hiszpański wicekról. Ten jednak zmarł akurat podczas

epidemii żółtej febry i papiery powędrowały do Madrytu. Tymczasem świadkowie oskarżenia rozproszyli się po świecie, a para kochanków jeszcze w roku 1790 gniła w lochu, czekając na ostateczny wyrok. Co się z nimi stało później - nie wiadomo. Dokumenty sprawy zniknęły z archiwów i dzisiaj nikt już nie dojdzie końca tej tragedii.

Od świtu Floryda udowadnia jednak swe słoneczne powołanie - żar przewraca ziemię na wznak. Włóczy się po najstarszych domach i ulicach USA, robimy zdjęcia celujemy z dział szczerzących swe paszcze przez blanki Castillo de San Marcos, wstępujemy do sławnego „Muzeum Ripleya - Uwierz lub Nie!” (kolekcja ciekawostek i niesamowitości z całego świata, takich jak na przykład: „Czterooki człowiek z Chin”, „Dwugłowe cielę”, „Tybetańska piłka z ludzkiej czaszki” etc). Amerykanie uwielbiają takie panoptica, których mistrzem był jeden ze sławnych twórców popkultury (a może wprost: kultury) tego kraju, legendarny fenomen show-biznesu, P. T. Barnum; profesor William Phelps z Yale nazwał go: „Szekspirem reklamy, największym psychologiem wszechczasów”, a Tom Prideaux: „Poetą tego, co niemożliwe”, dodając: „Barnum czuł instynktownie, że stwierdzenie nagiego faktu oznacza klęskę wyobraźni, że ta biedaczka naga prawda to wręcz nieprzyzwoitość - prawda winna być przystrojona jak piękna kobieta”. Mister Barnum przeszedł do historii jako szef najgłośniejszego cyrku na świecie, ale zaczął od czegoś innego - w nowojorskim Scudder's American Museum urządził wystawę osobliwości takich jak „żywe szkielety” czy „syrena Feejee” (ciało ryby połączone z korpusem małpy) i dla reklamy kazał prasie pisać, że wszystko to są bezczelne oszustwa, co przyciągało więcej widzów! (ostatnim jego dowcipem było wydrukowanie własnego nekrologu jeszcze przed zgonem, gdy leżał na łożu śmierci).

Spacer wzdłuż morza bulwarem. Kupujemy egzotyczne muszle, wysuszone kraby, wypreparowane szczęki rekina. Czego tu nie ma w przedziwnych sklepikach i na straganach rodem ze wschodniego jarmarku. Kapitalna, płaska i okrągła muszla, Mellita Testudinata, zwana „piaskowym dolarem”, szkielet ryby Krucyfiksowej, pokazujący rzeczywiście jakby postać ludzką rozpiętą na krzyżu, jakieś rogi, skorupy, skarby mórz do wyboru, do koloru...

Wyjeżdżamy zmęczeni tym wszystkim. Stare domy opowiedziały nam to, co miały opowiedzieć, i dzięki im za to, ale to nie one i ich bajki chodzą nam po głowach. Ciągle wracamy myślami do małej księgarenki w Nowym Orleanie. Nie rozmawiamy już o tym, lecz każdy z nas wie, o czym myśli drugi, zbyt głośno milczymy.

Wstąpiliśmy tam, by kupić jakieś materiały historyczne o Nowym Orleanie. Było pusto. Za kontuarem, obok kasy, siedział młody chłopak i trzymał na kolanach drobną dziewczynę. Może nawet nie była najpiękniejsza, ale jej niewinne oczy pełne grzechu wydały mi się tak piękne, że całe to senne

popołudnie zadrzało. Miała malinowe szczęście na policzkach i głaskała delikatnie jego czarne włosy. Jakiś głos, którego nie mogłem okiełznać, judził mnie, bym go zamordował z zazdrości. Patrzyli na siebie z uszami zamkniętymi na cały świat, zatopieni w milczeniu i bezbronni. Wszystko, co działo się w tej chwili, było proste i naturalne, bez zbędnych ozdób i uduwnień. Zrobiliśmy dwa kroki do przodu, specjalnie za głośno, a oni nawet nie drgnęli. Można było wynieść z tej małej księgarni wszystkie książki, nie zauważaliby tego. Mógłbyś pomyśleć, że czuwają, lecz oni byli pogrążeni we śnie.

Wyszliśmy cicho, jak ze świątyni, ze ściśniętymi gardłami, tak potwornie samotni, jak Robinsonowie, i szliśmy długo bez celu, milcząc, z ciałami przepełnionymi łakomstwem pieśczości i z sercami pełnymi wstrętnej zawiści. Byliśmy biednymi, nieszczęśliwymi smarkaczami, którzy ujrzeli lśniący chromem rower u kolegi z podwórka.

Pamiętam - wyjeżdżaliśmy z Nowego Orleanu o świcie, czekając, aż spuszcza ramiona zwodzonego mostu, pod którym przepływał biały jak poranne widmo statek. Pożegnał nas wibrującym nad zamgloną powierzchnią Missisipi dźwiękiem syreny. Za nami ginęły przykryte masą zieleni i odległością szczyty domów i już nie było tego cudownego miasta, tak jakby nigdy go nie było...





ETAP XVI

Błyskawiczny, nie będący w planie rajd do Miami Beach. Żeby się wykąpać w najświetniejszym kurorcie (notabene opanowanym całkowicie przez mafię) i móc się potem tym przechwalać. „Speedingowa” jazda (to dzięki niej „wygospodarowaliśmy” w ciągu kilkunastu dni półtora dnia na coś dodatkowego) w obie strony tą samą drogą, wzdłuż wybrzeża Atlantyku, o dziwo wciąż bez mandatu i wypadku.

Stwierdzono, że co drugi kierowca w USA przekracza na autostradach maksymalną dozwoloną prędkość (88 km/godz), którą wprowadzono w roku 1974 w wyniku kryzysu energetycznego i którą naprawdę trudno utrzymać. Ale też przekraczać ją o 50 procent, co my czynimy permanentnie, to już rzadkość. Mandaty za to wynoszą od 5 dolarów w stanie Idaho do 500 w stanie Maryland. „Człowiekiem roku” został wybrany policjant z Coburn, Polak z pochodzenia, Joe Krupicki, który sam siebie ukarał mandatem.

Dokładnie do sierpnia 1977 roku, a więc do chwili, w której znajdujemy się na trasie, tylko na drogach USA zginęło w wypadkach samochodowych 2 miliony osób (obecnie co roku 45 tysięcy osób), co znacznie przewyższa liczbę Amerykanów poległych we wszystkich wojnach prowadzonych w tym czasie przez Stany Zjednoczone. Na drodze w pobliżu Redfield (Dakota Południowa) znajduje się tablica z napisem: „Uwaga! Wielu jadących w piekielnym tempie dostało się tu do nieba”.

Samochód to amulet Ameryki. Jeśli jego wytwarzanie daje jedną szóstą produktu społecznego USA i jeśli co szósty zatrudniony w gospodarce amerykańskiej pracuje pośrednio lub bezpośrednio dla potrzeb przemysłu motoryzacyjnego - to nie ma w tym nic dziwnego.

Samochód to legitymacja przyzwoitości Amerykanina - człowiek wędrujący pieszo poza centrami miast jest czymś tak niezwykłym, że budzi nieufność. Dziennikarza, który spacerował mostem w Nowym Jorku, policja dwukrotnie zatrzymała, pytając: co się stało?, może trzeba pomóc? - brali go za uciekiniera, wariata lub potencjalnego samobójcę i nie mogli pojąć, że facet najzwyczajniej spaceruje. Inny europejski dziennikarz napisał po wizycie w USA, że „samochód wyposażony bronią nie budzi tam takich podejrzeń jak człowiek poruszający się na piechotę”.

Samochód to rozrusznik amerykańskiej wynalazczości. Exemplum: guma do zucia (co opisałem we „Wstępie”) lub popularna na całym świecie taśma samoprzylepna „scotch”. Wynalazł ją jankes Richard Drew (początek lat 30-ych), żeby usprawnić lakierowanie samochodów. Malowano je wówczas chętnie dwukolorowo, ale do tego trzeba było jedną część zasłaniać

naklejonym papierem. Podczas odrywania papieru często niszczyła się część już gotowa. Drew wpadł na pomysł oddzielania dwóch części celulozową, przezroczystą taśmą samoprzylepną, początkowo z klejem tylko na jej krawędziach. Robotnicy nazwali ją szkocką („scotch”), sądząc, że chodzi o typowo szkocką oszczędność kleju!

Samochód to także dzieło sztuki. W roku 1960 rzeźbiarz Cesar ustawił samochód na cokole i muzeum zakupiło ten eksponat. Gdzie to się działo? A gdzie mogło się dziać, jak nie w Ameryce. Jaki był ten samochód? Oczywiście straszliwie pokiereszowany, ze składnicy złomu. Jeden z krytyków napisał później, że „Cesar wystawiał zgniecione samochody, bo one przemawiały do jego wyobraźni”. Właśnie to jest oczywiste, bo w świecie pełnym szkła, betonu i gładkich płaszczyzn aluminium fascynować musi ruina. Ruina samochodu także. Niewiele rzeczy w moim rodzinnym mieście, Warszawie, wywarło na mnie tak silne wrażenie, jak wizyta na parkingu wozów zniszczonych, który znajduje się przy ulicy Wodewil (istny czarny humor - ta nazwa!). Ludzie, którzy tam nigdy nie byli, nie mają pojęcia, co to jest wstrząsająca galeria eksponatów. Samochody przypominające wszystko, tylko nie samochody, samochody mające kształt kartki papieru ściśniętej w dłoni, samochody owinięte jak parówki dookoła słupa, wydaje się rzeczą fizycznie niemożliwą, by samochód, po najokropniejszym nawet wypadku, mógł przybrać taką formę. A jednak przybiera i - co jest faktem jeszcze bardziej nieprawdopodobnym - ludzie na ogół wychodzą z takich wraków żywi (poinformował mnie o tym szef parkingu), giną zaś w samochodach wyglądających tak, jakby je ktoś lekko stuknął młotkiem. Sam się o tym przekonałem, gdy 10 czerwca 1978 roku wyszedłem cało (ze wstrząsem mózgu, obrażeniami kręgosłupa, złamaną dwukrotnie kością ogonową - łącznie głupstwo) z samochodu, który za sprawą fabrycznie nowych opon, co to mają w składzie wszystko oprócz gumy, a najwięcej plastyku, ściał przydrożne drzewo na wysokości półtora metra, przeleciał kilkadziesiąt metrów w powietrzu, potem koziołkował w polu i zamienił się w podeptaną harmonię. Oficer milicji powiedział mi:

- Panie, po takim wypadku nie ma pan prawa żyć!

Z rozbitego w strzępy samochodu Cesar zrobił dzieło sztuki. Ale sądzą, że większym artystą był mój znajomy, Zbyszek Zbrzezny, który z mojego samochodu zrobił ponownie nowy samochód, bym nie musiał tracić czasu.

Nie przestaniemy kochać samochodu, my Polacy, którzy tak kochaliśmy galop, że rodziliśmy się od razu w siodle i w strzemionach. To dlatego mieliśmy najlepszą kawalerię na świecie. Co prawda generał Benteen nazwał najlepszymi jeźdźcami na świecie Siuksów, ale ja bym wówczas Siuksom nie radził (bo ich kocham) ścierać się z 7 pułkiem ułanów nadwiślańskich, których zwano w całej napoleońskiej Europie budzącym grozę przezwiskiem „los

infernos picadores” (lansjerzy z piekła rodem, piekielni lansjerzy). Pułk ten uległ w końcu rozsypaniu tylko z tego powodu, że każdy francuski marszałek pragnął mieć przy sobie przynajmniej jeden szwadron tych chłopców, którzy raz po raz rozbijali czworoboki nieprzyjacielskie (w tym „niezwyciężoną” piechotę brytyjską) z dziecinną łatwością, jak powiadano: „od niechcenia”.

A dzisiaj samochody. Śliczna jest ta piosenka Elvisa Presleya *Long black limousine* o dziewczynie, która odeszła i zrobiła karierę, bo teraz jeździ długą, czarną limuzyną. My, Jerry, nigdy nie będziemy jeździć długimi, czarnymi limuzynami.

Późnym popołudniem wjeżdżamy do Savannah (przekroczywszy przedtem, na rzece St. Marys, granicę naszego osiemnastego stanu, Georgii). Małe miasteczko nad zatoką. Cuchnący krewetkami port i piracka tawerna rzekomo z XVIII wieku, udrapowana w czarną flagę i „korsarskie” wnętrza, w którym króluje barman w pasiastej koszulce. Dalej czyste bulwary skąpane w palmach, piniach, cyprysach, różach i magnoliach. Lecz nie dla kwiatów przyjechaliśmy - przyjechaliśmy z wizytą do polskiego junaka, który był najlepszym kawalerzystą Stanów Zjednoczonych. Jest tu wiele pamiątek po nim. Wysoki, biały obelisk na Montterrey Square, z płaskorzeźbą przedstawiającą ранego jeźdźcę, białym orłem i napisem: *Pulaski*. Na peronie starej stacji kolejowej zamienionej na muzeum (jest to teraz bardzo modne na Zachodzie) brązowa tablica epitafijna Pułaskiego. A na wysepce Cocspur, w delcie rzeki Savannah, sławny (zwłaszcza ze zmagania podczas wojny domowej) Fort Pulaski, ukończony w roku 1847 przez inżyniera Roberta E. Lee. Właśnie tam jedziemy, przecinając bezkresne bagno asfaltową szosą, którą flankują napisy: „Nie schodzić z drogi - niebezpieczeństwo dla życia!”.



*Od bezecności do wielkości jeden tylko krok.
Wolna trawestacja znanego powiedzenia Napoleona.*

HAŃBA I CHWAŁA (W JEDNYM ŻYŁY DOMKU...)

Starosta warecki, Józef Pułaski, jeden z głównych architektów konfederacji barskiej i dowódca jej sił zbrojnych, miał trzech synów i wszyscy oni przystąpili do walki z carycą, która osadziła na tronie polskim swego utalentowanego miłośnika. Tatuś Pułaski, popadłszy w konflikt ze swymi kompanionami, źle skończył w roku 1769 - w lochu u baszy chocimskiego. Synowie różnie. Najstarszy, Franciszek, poległ w bitwie pod Łomazami. Najmłodszy, Antoni, zachorował na miłość do Targowicy i chociaż przeżył tę weneryczną chorobę, to jednak przez nią zdechł w niesławie. Średni, Kazimierz, urodzony 4 marca 1747 roku w Warce nad Pilicą, doczekał się

niesławy o wiele wcześniej, ale to właśnie odium pokierowało jego życiem tak, że stał się bohaterem narodowym dwóch narodów.

Kazimierz Pułaski zbroił oddziały konfederackie i walczył na ich czele tak dobrze (na Podolu, Ukrainie, Podkarpaciu, Litwie, Lubelszczyźnie, Śląsku i w Wielkopolsce), że szybko stał się najwybitniejszym partyzantem Baru, słynącym z przedsiębiorczości, odwagi i geniuszu kawaleryjskiego. Słodkiego żigolo Kasi II, którego arystokracja zwała „ekonomczukiem” i „soliterem”, a który grał w Warszawie rolę udzielnego monarchy z wprawą rutynowanego komedianta, Kazimierz nienawidził i uważał, że słuszna jest zawartość krążącego wówczas po Polsce wierszyka o Poniatowskim:

*Czas przyszedł byś monarchą
przestał być na tronie,
Bo róg Ciołkowi nosić, nie chodzić
w koronie.*

Czas, by pomyśleć o czymś konkretnym, przyszedł, gdy w sierpniu 1770 roku konfederaci zdetronizowali „Ciołka”, przy czym w manifeście detronizacyjnym znajdował się akapit sugerujący dokonanie zamachu na Stanisława Augusta - „intruza, uzurpatora i tyrana”. Skompromitowało to bunt w legitymistycznej Europie, o czym Pułaski - „orzeł konfederacji” - nie wiedział, bo w polityce był mniej lotny niż w szarży kawaleryjskiej. Namówił się tedy z rotmistrzem Stanisławem Strawińskim (przodkiem Igora Strawińskiego) i pod protekcją magnackiej klikki Wessela umyślili obaj porwać króla. Bezpośrednim wykonawcą zamachu miał zostać Strawiński - „spiritus movens” całej akcji, chociaż prawdę mówiąc kto tu był rzeczywiście pierwszym „duchem” przedsięwzięcia - licho wie. I ono jedno zna być może całą prawdę o tym dziwnym zamachu, który - trzeba przyznać - bardzo podniecająco ożywia rodzime dzieje, dodając szczyptę pachnącej przyprawy do mdłego sosu „poważnej” historii.

Była jesienna, chłodna noc 3 listopada 1771 roku. Na ulicach Warszawy, jak pisał kronikarz: „mgła się wełniła gęsto i pomrokę zwiększała”. Wieczorową porą król jegomość wybrał się z małą, złożoną z samych dworaków eskortą, w odwiedziny do swego chorego wuja, kanclerza wielkiego litewskiego, Michała Czartoryskiego, na ulicę Miodową. Wówczas ze stajni ojców dominikanów wychynęły tajemnicze konne cienie. Było to 26 „komandosów” Strawińskiego, dowodzonych przez Jana Kuźmę i Walentego Łukawskiego (wszystkich tych żołnierzy dowódcy konfederacy na Mazowszu oddelegowali do akcji na polecenie Pułaskiego). Zaczaili się oni w pobliżu Miodowej, przy skrzyżowaniu z Kapitulną. Zaczepieni przez nocny ront, odpowiedzieli: „kozackaja patrol”, a kiedy jakiś carski oficer okazał się zbyt natarczywy, zarzucili mu płaszcz na

głowę i wprowadzili.

Król pożegnał kanclerza między godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą i udał się do domu, czyli do pobliskiego Zamku. Gdy jego karetę znalazła się na wysokości pałaców Branickiego i Sołtyka, konfederaci uderzyli na nią z dwóch stron, z Kapitulnej i z Koziej. Ktoś z otoczenia majestatu wrzasnął: „Z drogi, król jedzie!”, a stangret podciął konie, lecz zamachowcy wstrzymali pojazd. Od pierwszego ich strzału padł martwy hajduk Butzow (Butzau); drugi zasłaniający Poniatowskiego hajduk, Mikulski, został raniony pałaszem. Eskorta królewska rozproszyła się w mgnieniu oka, sam zaś Poniatowski, korzystając z zamieszania i mroku, wymknął się z karety i pobiegł do pałacu wuja. Atoli nim mu zdążono otworzyć wrota, Kuźma, Łukawski i inni dopadli ofiary. „Monitor” z 27 listopada 1771 tak opisywał przebieg dalszych wydarzeń:

„W tym nieludzkim i cale dzikim z nim (z królem - przyp. WŁ) obchodzeniu się jeden ze złoczyńców (Kuźma) zmierzwiwszy się z pistoletu do samej głowy mu strzelił; ale go i tam opatrność najwyższa zasłoniła tak dalece, iż z tego strzelania król jegomość nic więcej nie poczuł, jak tylko gorącość w tym głowy miejscu, koło którego kula przeleciała.

Dawszy więc pokój strzelaniu, czy to, że nie mieli już wtenczas pistoletów nabitych i czasu do ich nabicia, czy to z innej jakiej przyczyny, zaczęli króla jegomości szabłami okładać. Futro, które miał na sobie, sprawiło to, że te ich cięcia innej szkody na ciele nie uczyniły, jak tylko siności na nim pozostałe (...) Raz jednak cięto go w tył głowy tak mocno, że na niej została znacznie szeroka rana i kość poruszona, chociaż niezbyt głęboka (...) Tymczasem owi złoczyńcy, chcąc pośpieszyć swoją ucieczkę, przymusili króla jegomości wsiąść na konia, bez kapelusza, bez butów, w trzewikach tylko i pończochach jedwabnych; a przybywszy ku okopom, które miasto otaczają, zaczęli przebywać fosę. Co gdy i król jegomość uczynić był przymuszony, koń pod nim dwa razy związał się i nogę złamał. Musiał tedy król jegomość na innego przesiąść się konia, a w tym razie futro z niego spadło i tam zostało. Przebywszy okopy błakali się po polu, sami nie wiedząc, dokąd się udać mieli. Noc ciemna i strach przy tym, aby nie byli poścignieni, tak ich zmieszał, iż nie mogli pomiarkować, dokąd im dążyć należało (...) Nieświadomi położenia miejsc okolicznych, wpadali często i z końmi w bagna, przetoż częścią piechotą, częścią konno coraz dalej pomykali się (...) Na koniec widząc owi złoczyńcy, że ich bezbożne zamysły oporem idą, a z drugiej strony bojąc się wpaść w ręce moskiewskie, poczęli bardziej o sobie niż o królu myśleć. Jakowoż wkrótce na różne rozpierzchli się strony...”

Czyż to nie dziwny finał precyzyjnie przygotowanej operacji?... Dużo było w tym zamachu „dziwów” (począwszy od zastrzelenia hajduka Butzowa i zupełnie z pozoru bezsensownego wypalenia do króla Stasia z bliskiej odległości, ale za to tak, iż tylko poczuł „gorącość”), które sobie odczarujemy z

bożą i jednego kronikarza pomocą czy się to komu podoba czy nie.

Otóż wkrótce po porwaniu Kuźma rozdzielił się z Łukawskim, zostawiając sobie 10 ludzi i króla, którego - zgodnie z umową - zaraz po przebyciu fosy miał dostarczyć do Lasku Bielańskiego, gdzie oczekiwał Strawiński (dalej miano powieźć zdobycz w ręce Pułaskiego). Jednakże Kuźma... zawiózł króla pod Buraków, a następnie do młyna pod Marymontem, po drodze zaś kolejno odsyłał swoich ludzi pod pozorem zwiadu, tak iż w końcu pozostał z ofiarą... sam na sam, po czym... buchnął monarsze do nóg z prośbą o przebaczenie! Znekany majestat rzecz prosta łaskę okazał skruszonemu zabójcy niezwłocznie, napisał w młynie kilka słów do dowódcy gwardii królewskiej, generała Coccei, i mimo tak ciężkich przeżyć... najspokojniej uciął sobie drzemkę w łóżku młynareczki! A Kuźma, który dopiero co strzelał monarsze w łeb nieomal „z przyłożenia”, teraz pełnił przy nim straż niczym wierny pies!

Jak tylko parobek młynarski dostarczył wspomniany list króla do Warszawy, wysłano pomoc i sprowadzono majestat na Zamek. Rozczochranego i umorusanego Stasia witały rozentuzjasmowane tłumy, „damy w negliżach”, zapłakany dwór etc., etc. To jest wersja oficjalna tej afery, o której zaprawdę trudno powiedzieć: „ben trovato”. Tak sobie myślałem od samego początku, nie przejmując się faktem, że wielu historyków uwierzyło w nią. Ucieszyłem się tedy, gdym w zapiskach kronikarza XVIII- i XIX-wiecznej Warszawy, Kazimierza Władysława Wójcickiego, znalazł potwierdzenie podejrzeń, które - jak się okazuje - nie mnie pierwszego opadły. Musiano nawet na dworze Stanisława Augusta szeptać prawdę, jeśli ojciec Wójcickiego, nadworny lekarz znający osobiście Kuźmę, pozostawił synowi taką informację:

„Król jegomość z Moskalami zawsze trzymał, a nie mógł prześwietnej konfederacji podołać siłą, cóż tedy robią? Owóż taką termedią (komedię - WŁ) układają z posłem moskiewskim, aby ich obmazać w oczach narodu, że to są królobójcy! Ciężki to w naszym narodzie zarzut i krew go żadna nie obmyje. Przekupili Kuźmę, co był dawniej u hetmana Branickiego koniuszym, i chowali go u siebie potajemnie, aby w spokojnej użyć porze. On przystał pozornie do konfederacji, pokazywał się gorącym jej wielbicielem, ale w sercu zdradę chował. Król jegomość wiele starszyny z konfederatów przekupywał; przyjeżdżali sekretnie do Warszawy przebrani; tych Kuźma, co znał wszystkich, rekognoskował, sam niewidziany, i wtedy król jegomość, mając ognistą do każdego egzortę (kazanie), złotem obrączkowym wypłacał umówioną sumę, sam własnoręcznie spisywał akt odstąpienia od prześwietnej konfederacji, a oni podpisywali”.

Tyle Wójcicki o Kuźmie i o prześwietnych konfederatach, lecz to, co najciekawsze dla nas w jego *Pamiętnikach dziecka Warszawy*, znajduje się dalej:

„Król jegomość lubił i jeszcze lubi ładne kobietki, choć miał i panią

Grabowską, i tyle pań innych; zachciało mu się gładkiej żonki hajduka Butzaua, co potem zginął przy karecie na Miodowej ulicy, niby w obronie króla jegomości. Pani hajdukowa jakoś się nie mogła oprzeć nagabaniu młodego jeszcze Pana. Dowiedział się i dopatrzył wszystkiego hajduk i nie mógł tego strawić. Dopilnował tej pory, kiedy król jegomość, obwinięty szerokim płaszczem i zasłaniając twarz sobie, od jego pani duszki wychodził. Udając pijanego, napada niby na obcego włóczęgę i augustówką jak pocznie płazować, tak król w nogi; hajduk za nim, jakoś mu augustówka się skreśliła i ciął go w głowę. Król jegomość po takiej gorącej łaźni poznał dobrze hajduka, ale nie dał się sam poznać; przybiegł zdyszany, wypłazowany i krwią oblany. O tym wypadku zaraz dają znać posłowi moskiewskiemu. Przebiegła to była sztuka; uradowany wielce z rany królewskiej, nazajutrz radzi odegrać komedię dawno ułożoną, bo mieli pewne poszlaki, że pan Strawiński, Litwin, układał od dawna porwanie króla z Warszawy, i dostawienie go panu Pułaskiemu do Częstochowy żywcem, ażeby wtedy króla jegomości postawić na czele konfederacji. Kuźma daje znać zgromadzonym już w Warszawie, w klasztorze księży dominikanów, o przejazdce wieczornej z Zamku na Miodową ulicę, do pałacu Radziwiłłowskiego, i sam się ofiaruje porwać króla. Król jedzie na Miodową ulicę, Kuźma wypada z Kapitulnej uliczki; strzelają, ale nikt nie ginie, tylko biedny hajduk, bo on wiedział o zadanej ranie. Kuźma nie wie króla, jak się ze Strawińskim umówił, na prawo, po Ponadwiślu do Lasku Bielańskiego, ale skręca na lewo, do młyna marymonckiego, i sam go pilnuje. Nadbiega z miasta gwardia, wyzwala króla i wiedzie w tryumfie do stolicy Poniatowskiego. Dworzanie krzyczą: «Wiwat!», lud głupi i uwiedziony krzyczy także, ale nie wszyscy byli takie gęsi, wiedząc, co się święci. Cóż z tego? Obszelmowali prześwietną konfederację i konfederatów, że to królobójcy!”.

Właśnie o to chodziło - o skompromitowanie konfederacji w oczach Europy. W tym celu wykorzystano „kidnappingową” inicjatywę Pułaskiego i Strawińskiego, przechwytyjąc sprytnie, przy pomocy agenta Kuźmy, ster poczynają. Kuźma strzelił porywanemu królowi koło peruki, żeby można było potem mówić o chęci mordy i bredzić o niedokonaniu go tylko ze względu na brak czasu do ponownego nabicia pistoletów (vide „Monitor”). Pierwsze skrzypce grał tu nie marionetkowy król Staś, który przy okazji załatwił swoje porachunki z Butzowem, lecz wywiad carski, Katarzynie bowiem najbardziej zależało na tym, by zniszczyć znienawidzoną konfederację i dowieść, że w Polsce panuje anarchia, na którą jedynym lekarstwem jest rozbiór. Oto jeden z dowodów na prowokację: proces spiskowców, który był klasyczną parodią sądową, został w sporej mierze oparty na ich listach, a listy te dostarczyli ludzie carycy! Zostały one rzekomo przechwycone przez kozaków tuż po zamachu, podczas starcia z oddziałami Łukawskiego i Strawińskiego. Kozacy mieli wyjść zwycięsko z tego boju, ale według innej wersji zostali rozbici i

rozproszeni! Cała sprawa śmierdziała na odległość.

A śmierdziała nie tylko z carskiej strony. Także z zachodu, gdyż zupełnie sensowne podstawy ma hipoteza, że we wspomnianej prowokacji współdziałała aktywnie ręka prusko-heska, aczkolwiek jej cel był trochę od carskiego odmienny (chodziło o opróżnienie tronu polskiego dla landgrafa heskiego).

Tak czy owak cel zasadniczy - kompromitacja rebeliantów - został osiągnięty. Prusy, Austria (ta wyrzuciła natychmiast członków Generalności konfederackiej poza swe granice) i inne kraje przekleły konfederację. Nawet pomagająca jej dotychczas Francja wstrzymała wysyłkę instruktorów wojskowych. Niedługo potem - jak pisał Wójcicki - „Konfederacja bez bitew sama się rozprzegła”.

W procesie zamachowców, który rozpoczął się 7 czerwca 1773 roku, prawie wszystkich podsądnych skazano na śmierć, większość jednak otrzymała ten wyrok zaocznie, gdyż udało się jej uciec (z głównych winowajców pod topór kata poszedł tylko Łukawski). Kuźma, za którym monarcha gorąco wstawił się przed sędziami, wyjechał do Rzymu, gdzie żył spokojnie na regularnej pensyjce od króla, a za Księstwa Warszawskiego wrócił do kraju. Również w Rzymie wylądował Strawiński, przywdział tam habit mniszy i też za Napoleona wrócił do ojczyzny, by zostać proboszczem w Augustowskim. Nie wrócił tylko Kazimierz Pułaski.

Pułaski już w pierwszej fazie śledztwa wyrósł na głównego „herszta królobójcę”. Był najgroźniejszy, bo otoczony nimbem „orła konfederacji” i „barskiego Ajaksa”, mówiono i pisano o nim: „istny wizerunek owego sławnego Judy Machabeusza”. Tę aureolę trzeba było zgasić. 3 maja 1773 roku wezwano Pułaskiego przed sąd sejmowy, oskarżając go o to, że „nie wiadomo z jakiej przyczyny, pałając nienawiścią ku Najjaśniejszemu Królowi, wykonanie zbrodni królobójstwa Strawińskiemu i Łukawskiemu polecił i w tym celu odpowiednie rozkazy wydał”. Również król Stanisław August, który głośno rozreklamował na kontynencie swoje „cudowne ocalenie z rąk zimnych morderców”, stając przed sądem w charakterze świadka, główną odpowiedzialnością za zamach obarczył Pułaskiego. Jakby nie było tego dosyć - Strawiński, który początkowo schronił się w Wilnie, wydał tam manifest zrzucający na Pułaskiego całą winę. W rezultacie, wyrokiem sądowym, Kazimierz Pułaski uznany został za „bezecnego herszta”, który pchnął do czynu „fizycznych sprawców” królobójstwa, i skazany na wieczną infamię („pozbawiony honoru i czci”) oraz śmierć, gdyż ciało jego „jako narzędzie sromotnej zbrodni okrutnym karom poddane być musi” („Ręce przy drogach publicznych i po jakimś czasie spalone, ciało zaś zaraz po ścięciu rozćwiartowane, spalone i na wiatr rozwiane”).

Przerażony Pułaski rozpoczął swoją tułaczkę po Europie (Saksonia, Francja,

Bałkany, Turcja, znowu Francja), narażony przez cały czas na schwytanie i wydanie władzom polskim. Bronił się rozpaczliwie w pismach, wybielając i zrzucając odpowiedzialność za zamach na Generalność, ta jednak odbiła ową piłeczkę w jego kierunku, podobnie jak Strawiński (Wójcicki: „Pan Pułaski próżno się zaklinał, że o tym porwaniu nic nie wiedział, ale mu nie wierzono; jemu klątwa, a królowi tron został”). Pułaski nie ustanie już w swoich zabiegach autooczyszczających, co w 200 lat później autorzy przypisów do nowej edycji dzieł Wójcickiego tak skomentują: „Przyjdzie nam przyznać, że mijające się jaskrawo z prawdą manifesty przyszłego bohatera amerykańskiej wojny o niepodległość przyćmiewają nieco plutarchową przejrzyistość jego biografii”.

Naznaczonemu piętnem „bezecnego królobójcy” Pułaskiemu ziemia paliła się w Europie pod stopami. Ale żeby opuścić tę ziemię i zrobić krok za Atlantyk, trzeba było mieć pieniądze, dużo pieniędzy, a on ich nie miał. Wówczas podała mu rękę jedyna kobieta, którą kochał w swym życiu, jego wielka, nieszczęśliwa miłość, księżna Franciszka Krasińska. Miał pecha, bo zakochał się w kobiecie, której zapragnął królewicz, a kobiety rzadko odmawiają królewiczom. Ale miał i szczęście, bo ona miała serce i wyrzuty sumienia...

Piękną Franciszkę Krasińską poznał jako kilkunastoletni smark w zamku maleszewskim, będącym rezydencją starosty Krasińskiego. Przybył tam jako paż ulubionego syna Augusta III, Karola, w latach 1759-63 księcia kurlandzkiego. Franciszka wyszła potajemnie za saskiego królewicza. Nie wygrała tego, co obiecywała jej ambicja. Karol szybko znudził się małżonką, a jeszcze szybciej przeraził konsekwencjami ujawnienia mezaliansu, toteż nie uznawana przez rodzinę męża Franciszka snuła się całymi latami samotnie po klasztorach i domach krewnych. Dopiero w roku 1776 pozwolono jej (półoficjalnie) zamieszkać w pałacu Elsterwerde pod Dreznem. W dobie konfederacji barskiej walczyła politycznie o koronę dla męża, a częstochowski komendant, Kazimierz Pułaski, bywał w jej kolejnych rezydencjach na Śląsku (do przyjaciela rzekł: „Purpura i honory nie dają ukontentowania i satysfakcji. Ta biedna Franusia nie jest szczęśliwą”) i wtedy zaczęto szeptać o ich romansie. „Françoise” gorąco kochała swego stale niewiernego i stale nieobecnego małżonka, ale nawet najgorętszy afekt serca nie jest w stanie ugasić wszystkich gorącości ciała rozżarzonych przez taką permanentną nieobecność obiektu westchnień, dawny zaś gołowąsy pazik, który przeistoczył się w dziarskiego rębajłę, był obok... Słyszcząca doskonale, co w trawie piszczy, ciotka Franciszki, księżna Zofia Lubomirska, określiła to tak: „Amitycja, ale amoroso!”, i postanowiła wyeliminować amanta. Najpierw przez kompromitację jego upodobań erotycznych: stwierdziła, iż to, że w całym swym dotychczasowym życiu interesował się tylko jedną damą (właśnie

Franciszka) świadczy niezbicie o tym, iż płęć piękna niezbyt go ciekawi (!!!), na co Franciszka odparła ze zdecydowaniem dowodzącym wiedzy na ten temat autopsyjnej: „Jako żywo nigdy, ciotuniu dobroduszko!”. Przerazona ciotunia wezwała tedy z Opoła Lubelskiego swego krewniaka biskupa, by nakłonił królewicza do powrotu na łono morganatycznej małżonki. Jego Eminencja podjął taką próbę, atoli zakończyła się ona niezbyt fortunnie, bo wybiegł z komnaty Karola wściekły, wrzeszcząc na cały pałac nieobyczajnie: „Co mam począć, kiedy on z nią spać nie chce?!”. Inne wszakże próby powiodły się w końcu i królewicz *nolens volens* powędrował do łóżnicy małżeńskiej.

Tymczasem wymanewrowany z tej łóżnicy Pułaski, czując ciągle chłód katowskiego miecza na karku, zapragnął czmychnąć do Ameryki, ale na to potrzeba było pieniędzy, a on tonął w długach, za które wyładował nawet na pewien czas w więzieniu w Marsylii. I wówczas Franciszka przesłała mu do Frankfurtu tysiąc dukatów, które wybawiły go z kłopotu. Dotarł do Ameryki 23 lipca 1777 roku, w rok po Kościuszcze, tak samo „za wolność naszą i waszą”.

Na Nowej Ziemi od razu rozpoczął z wysokiego pułapu - u boku Jerzego Waszyngtona. W niespełna 2 miesiące po przybyciu Kongres mianował Pułaskiego generałem-dowódcą kawalerii. W bitwach nad rzeczką Brandywine, pod Germantown, pod Haddonfield, znalazł się wspaniale, zyskując powszechny mir. Jego kawaleryjska sprawność, odwaga i szybkość podejmowania właściwych decyzji budziły zachwyt. Pokazał Amerykanom, co to jest kawaleria i szarża w polskim stylu.

Musiał pokazać, albowiem w tej armii znano tylko piechurów siadających na konia i pełniących służbę patrolową i zaopatrzeniową, pojęcie kawalerii ofensywnej było tam czymś obcym. Owszem, wiedziano, że niektórzy Indianie atakują konno i robią z koniem i na koniu co chcą. Wtedy Pułaski pokazał im, że Indianie mogliby się pouczyć u Polaków: w pełnym galopie oddawał celny strzał z pistoletu, po czym rzucał pistolet przed siebie, nad głową konia, zsuwał się z siodła pod końską szyję i chwycił pistolet w powietrzu, tuż nad ziemią (ułani polscy ze wspomnianego już przeze mnie 7 pułku nadwiślańskiego, „los infernos picadores”, popisywali się w Bajonnie przed cesarzową Józefiną jeszcze bardziej trudnymi sztuczkami). Amerykańska gazeta „Sun” skomentowała to wówczas tak: „Żołnierze są oczarowani tym 30-letnim generałem”.

Wojna z żołnierzami króla Anglii, który nie chciał się pogodzić z amerykańską rebelią, była długa i okrutna, a Pułaskiemu towarzyszyło w niej kilku rodaków, na czele z porucznikiem Janem Zielińskim, takim samym zapaleńcem. Wrogi im pułkownik Moyland nazwał Polaków najemnikami, za co Zieliński z miejsca wyzwiał go na pojedynek, ale Moyland odparł, że nie będzie się bił z niższym rangą. Wtedy Zieliński, nic już nie mówiąc, złapał za szpicrutę i spuścił pułkownikowi tęgie łanie, tak po polsku.

W roku 1778 Pułaski przystąpił w Baltimore do formowania pieszo-konnego Legionu Pułaskiego, na czele którego walczył w kilku stanach, aż zawędrował do Karoliny Południowej. Jesienią 1779 dołączył do armii francusko-amerykańskiej szturmującej Savannah. 9 października, próbując powstrzymać cofającą się piechotę francuską, został ranny. Kula nieprzyjacielska trafiła go w prawą pachwinę (tę kulę można dzisiaj oglądać w Muzeum Historycznym Georgii). Rana nie była śmiertelna, ale wymagała natychmiastowej operacji, co w warunkach polowych było niemożliwe. Przeniesiono rannego na bryg „Wasp”, by go zawieźć do szpitala w Charlestonie. Po drodze w sprawę wdała się gangrena i 11 października 1779 roku Pułaski zmarł mając 32 lata. Naczelnym dowódcą francuskich sił lądowych i morskich wspomagających powstańców amerykańskich, Henry d'Estaing, wyraził powszechną opinię, mówiąc: „Jest to dla sprawy amerykańskiej olbrzymia strata”.

Ciało bohatera wrzucono do wody, a 22 października urządzono symboliczny pogrzeb w okrytym żałobą Charlestonie (kilka miesięcy wcześniej Pułaski uratował to miasto od oblężenia). Za pustą trumną stapał siwek wspaniałego kawalerzysty, dźwigając jego mundur, ostrogi i szablę. Prowadziło go trzech oficerów amerykańskich i trzech francuskich. W kondukcje maszerowali wszyscy mieszkańcy tego miasta.

Przeklęty w ojczyźnie infamis bez czci i wiary - pozostawił po sobie blaskomiotną legendę bohatera, wielkie nazwisko i pieśni śpiewane w obu krajach. Wiersz Longfellowa z roku 1842, *The Banner of Pulaski* („Sztandar Pułaskiego”), został podczas wojny secesyjnej uznany przez obie walczące strony za „swój”, co stanowi prawdziwy ewenement w dziejach. Tak unioniści, jak i konfederaci, podłożyli pod ten tekst melodie, tworząc hymny (na przykład *Marsz Pułaskiego* w jeździe generała Stuarta), bo wszyscy oni za zaszczyt mieli identyfikować się z tradycją i legendą „ojca amerykańskiej kawalerii”.

W XIX-wiecznej Polsce nazwisko Pułaskiego brzmiało już pięknie i potężnie, a w Warszawie, w której uznano go niegdyś za arcyłotra, śpiewano o nim najwięcej apologetycznych pieśni. „Imię Kazimierza Pułaskiego w każdej piosence słyszeć jeszcze gęsto można było (...) Była tam modlitwa konfederatów barskich, którą chorągwie ich śpiewały w rannym pochodzie; pieśni o Kazimierzu Pułaskim i Drewiczu, jako też o obronie Częstochowy i o bohaterskim zgonie Pułaskiego w Savannah” (Wójcicki).

Jest coś fascynującego w tym, że człowiek okrzyczany we własnym kraju bezecnym, w następnym pokoleniu zostaje ogłoszony bohaterem, dumą i chlubą, i czci się go jako „pierwszego powstańca, prekursora legionistów, wodza patriotycznej młodzieży, bojownika wolności naszej i cudzej, nade wszystko zaś nauczyciela bohaterstwa” (z monografii Konopczyńskiego).

Tak samo czci się go po tamtej stronie Atlantyku. Każdy 11 października -

rocznica śmierci bohatera, obchodzony jest w USA jako wielkie święto (*Pulaski Day* - Dzień Pułaskiego), z centralną paradą w Nowym Jorku ciągnącą przez 5 Avenue na Manhattanie, w Waszyngtonie zaś, podczas składania wieńców pod pomnikiem Pułaskiego, służbę pełni kompania honorowa armii Stanów Zjednoczonych. Pułaski otaczany jest mirem w każdym stanie USA. Przykładowo: w oficjalnym wydawnictwie administracji stanu Colorado czytamy o nim: „Okazał tyle pomocy naszej walce o wolność, że Polska i jej naród znalazły ciepłe miejsce w sercu Ameryki”.

Oczywiście. Kościuszko zajmuje w tym sercu nie mniej ciepły kącik i jeszcze wielu, wielu innych, od Napoleona Dembickiego (tego z Alamo), poprzez Wielkopolanina Józefa Karge, generała armii amerykańskiej i bohatera wojny secesyjnej, aż po odznaczonego dziewięcioma amerykańskimi orderami (w tym „Purpurowym Sercem” i Kongresowym Medalem Honoru) Williego Grabiara, który w roku 1945, podczas walk ulicznych w Manili, własnym ciałem jak tarczą osłonił swego amerykańskiego dowódcę i skonał przeszyty seriami z karabinów maszynowych. Wszyscy oni przelali swą krew dla Ameryki, a cóż lepiej może wprowadzić do serca narodu? Więc pamiętaj o ich bohaterstwie, a jakże, gdy przyjdzie rocznica lub gdy trzeba napisać w oficjalnym wydawnictwie o tych wspaniałych chłopakach znad Wisły, Warty i Bugu, albo zacytować z jakiejś okazji zdanie dowódcy 15 Grupy Armii wyzwalającej Europę z pęt hitleryzmu, generała Alexandra, że ze wszystkich żołnierzy świata najwyżej ceni Polaków. Na co dzień zaś funkcjonuje tam następujące powiedzonko: „Armia polska nigdy nie miała męźnych żołnierzy. Tak naprawdę, to zawsze była i jest tak tchórzliwa, że nawet kapelani tam dezercerują”.

Państwa to oburza? Państwo nie słyszeli o tzw. „polish jokes” (polskich dowcipach), których książkowe wydania są w USA bestsellerami i w których polska historia, kultura, obyczaje, polskie kobiety i dzieci, nawet sprzęty domowe, są synonimowane ze wszystkim, co najbardziej plugawe na świecie? (oszczędzę cytowania tego ścierwa, by nie zaśmiecać sobie książki). Państwo nie czytali o filmie Burta Reynoldsa *Koniec*, w którym polski hymn narodowy został zohydzony w sposób tak wulgarny, iż nadawałoby się to do druku wyłącznie w piśmie pornograficznym? Zapewne to nie Amerykanie typu WASP (Biali Anglosascy Protestanci) i nawet nie Niemcy puszczają w eter te dowcipy typu: „Żydzi i Rzymianie zostali uniewinnieni od zarzutu zabójstwa Chrystusa, więc kto to zrobił? Odpowiedź: pijani Polacy”. Więc kto fabrykuje takie „mądrości”?... Faktem jest, że władze amerykańskie tolerują to! Chociaż dzięki Pułaskiemu i innym, jemu podobnym, „Polska i jej naród znalazły ciepłe miejsce w sercu Ameryki”! Do diabła z wami, jankesi, wypchajcie się swoją czułością!

Wróćmy do bohatera obydwu narodów. Casus Pułaskiego ma morał nader

dydaktyczny. Infamia i chwała w jednym żyły domku, infamia na dole, chwała na górze. W historii tak samo jak w bajce. Bodajże Albertrandi powiedział, że historia jest „mistrzynią roztropności”, czy „mistrzynią mądrości”, bądź coś w tym rodzaju, w każdym razie słusznie. Historia „bezpiecznego herszta” Pułaskiego uczy, że jeśli kogoś w jego kraju ogłoszą publicznie łobuzem i kanalią, to jeszcze wcale nie znaczy, że on nią jest.

Myślę o tym spacerując po milczących murach Fortu Pułaskiego w Savannah. Od bezpieczeństwa do wielkości...





ETAP XVII

Tam, na murach Fort Pulaski, myślałem o Polaku, lecz coraz bardziej nerwowo uciekałem myślami do Memphis, do Elvisa Presleya. Może się to wam wydaje dziwne, ale to wcale dziwne nie jest. Człowiek potrzebuje w życiu jakichś idoli, których kocha i żałuje, że przegrali. Tak ja żałuję, że przegrali polski król Bolesław Śmiały, król indiański Crazy Horse i król europejski Napoleon Bonaparte. Uszy człowieka również potrzebują mieć idoli. Moje wybrały dwóch: Bułata Okudżawę i Elvisa Presleya. Ale Elvisa już nie ma!

Pamiętam moment, w którym radio podało pierwszą informację. Dojeżdżaliśmy do Savannah. Z głośnika płynęła jakaś melodia „country and western”, którą nagle przerwano. Spiker jęknął:

- Mój Boże!... Przed chwilą, w wieku 42 lat, zmarł w Memphis Tennessee król rock and rolla, Elvis Presley!...

Nastąpiła chwila ciszy i z głośnika popłynęło *Love me tender* Elvisa, lecz widocznie szukano gorączkowo czegoś odpowiedniejszego. W tym kraju odpowiednie rzeczy znajduje się szybko, toteż zaraz potem nadano skomponowany w roku 1957 przez Thomasa A. Dorseya i wstrząsająco śpiewany przez Elvisa psalm *Peace in the Valley* (Spokój w dolinie). Miłe złego początki. Bo potem ta informacja podawana będzie co chwilę przez różne radiostacje w tradycyjnym, kabotyńskim stylu „made in USA”, owym niepowtarzalnym, reklamowym krzykiem: „Hej! hej! Pasta do zębów firmy Johnson sprawi, że odrosną ci wszystkie włosy! Hej! hej! Zmarł król rock and rolla Elvis Presley! Hej! hej! Mydło Maybelline...” itd.

Jadąc do USA pragnąłem zwiedzić miasto Presleya. Tak więc Memphis było w planie, ale nie teraz. Najpierw mieliśmy jechać do Karoliny Południowej, do Charlestonu, gdzie znajduje się Fort Sumter (jeden z obiektów analizowanych w moim doktoracie). Potem do Atlanty i dopiero stąd, przez Nashville, do Memphis Tennessee. Teraz wszystko to wzięło w łeb. Chcę być na pogrzebie Elvisa.

Przed nami cała noc jazdy, trzy stany, 700 mil. Jesteśmy zmęczeni, ale w takim szoku, że nie czujemy zmęczenia. Noc jest upalna i mokra. Gnamy na Macon autostradą interstate nr 16, z maksymalną szybkością, jaką można wycisnąć z silnika. Około autostrady nr 21, za rzeką Oconee, skończyło się szczęście, które wbrew wszelkiej logice trwało tyle dni. Namierzono nas radarem i podawano komunikaty, aż któryś z radiowozów natrafił na nas. Na dany znak zatrzymujemy się, około 30 metrów przed stojącym na poboczu wozem policyjnym. Policjant nie rusza się z miejsca, trzyma nas w snopie światła z reflektorów, to do niego trzeba podejść. Jarek wychodzi z wozu z

dokumentami. Przerażony widzę w lusterku, że policjant wyciągnął rewolwer i mierzy mu w brzuch. Wysiadam. To błąd, bo - o czym nie wiem - jeśli policja zatrzymuje kogoś nocą, z samochodu wolno wysiąść tylko kierowcy, nikomu więcej. Zbliżam się poza smugą światła i słyszę słowa, które cedzi do Jarka człowiek w mundurze:

- Nie próbuj żadnych numerów, bo cię skrzywdzę. Wygląda mi na to, że jedziesz na „dragach” (narkotykach)...

Może i rzeczywiście tak wyglądamy. Jesteśmy nadzy do pasa, spoceni, zmęczeni, zdenerwowani i do tego mamy północną (chicagoską) rejestrację, której tu nie kochają... Wyłaniam się z mroku i lufa przekręca się w moją stronę z rykiem:

- Stój!!!... Teraz podejdź, wolno, wolno! Łapy w górze!

Kiedy jestem już o krok od niego, uśmiecha się i pyta jadownicę, małpując subiekta ze sklepu:

- Can I help You, sir? (czym mogę panu służyć?).

Ma wygląd spasionego prosiaczka-sadysty. Ultraaryjczyk z różową gębusią, jasnymi włosami i piegami na gębie, jeden z tych mydłków, którzy wyglądają na wiecznie czyściutkich i wyparowanych w saunie, a w oczach mają perwersję. Budzi mój wstręt bardziej niż strach. Obraca mnie i przeszukuje jedną rękę, drugą przystawiając mi rewolwer do boku.

- Ty też łykałeś „drugi” - mówi. - Obaj macie spuchnięte jęzory i rozszerzone ślepia, znam się na tym!

Zaprzeczamy, a on każe nam wrócić do samochodu i oznajmia:

- *You are under arrest for speeding. Follow me, not too close!* (Jesteście aresztowani za zbyt szybką jazdę. Jedźcie za mną, ale nie nazbyt blisko!).

W kilkanaście minut później lądujemy za kratkami w budynku szeryfa Bussela w Dublinie. Samochód zostawiony w podziemnym garażu zostaje poddany rewizji, nam pobierają krew i przesłuchuje nas zastępca szeryfa. Mówi takim południowym slangiem, że ledwo go można zrozumieć. On sam już rozumie, że wyszła głupia sprawa. Polacy, do tego „czyści” - podejrzenie o narkotyki okazało się bzdurą, po prostu spieszili się do Memphis, gdzie dopiero co zmarł Elvis, którego on uwielbia. Zostajemy ukarani 60-dolarowym mandatem, dostajemy na pożegnanie „ticket” z aresztu, z nadrukiem „Laurens County Sheriffs Office” i możemy jechać dalej. Jest godzina pierwsza w nocy.

W Macon wylatujemy na interstate 75 North i po godzinie dosiegamy Atlanty, w której zmieniamy drogę na interstate 20 West. Granicę Alabamy przekraczamy przed trzecią, a więc przed drugą, bo to zarazem granica strefy czasu (wchodzimy ze Wschodniego w Centralny). Zaraz za Birmingham po raz drugi zatrzymuje nas policja! Co za noc!

Tym razem policjant (Murzyn) jest człowiekiem. Nawet nie wlepił mandatu. Tłumaczy nam, że właśnie tej nocy jest w kilku stanach specjalna akcja

„antyspeedingowa”, to dlatego mamy pecha. Pokazuje nam, niczym nauczyciel uczniom, jak pracuje radar drogowy i w końcu mówi:

- No tak, to wy już dzisiaj po raz drugi i do tego siedzieliście. A jak po raz drugi, to ja muszę zabrać wam dokumenty i też posadzić. Ale jak wam zabiorę dokumenty i posadzę was, to dalej nie pojedziecie. No to... jedźcie z Bogiem! Ale „slow down, slow down!” (wolniej, wolniej!).

Dziękujemy i żegnamy go, a on pyta jeszcze:

- Skąd jesteście?...

- Z Warszawy.

- Z Warszawy, z Warszawy?... - zastanawia się głośno - ...Wiem! To w stanie Indiana.

Pędzimy dalej na złamanie karku. Coraz bliżej do Memphis.



*Kiedyś zapanuje dla mnie spokój w dolinie,
znikną smutki i udręki, znikną wszystkie kłopoty,
pozostanie mi tylko spokój w dolinie.
Jestem zmęczony, ale pójdę sam w tę drogę,
Do Pana, który mnie wzywa, wzywa mnie...*

Fragment piosenki *Spokój w dolinie*

ŻEGNAJ, ELVIS!

Był wtorek, 16 sierpnia. Gdzieś między piętnastą trzydzieści a szesnastą tamtejszego czasu wiadomość dotarła do redakcji lokalnego dziennika w Memphis Tennessee. W kilkanaście sekund później wstrzymano druk gazety i wyrzucono dotychczasową pierwszą kolumnę, by umieścić na białym tle gigantyczne czarne czcionki: KRÓL NIE ŻYJE! W kilka godzin później popołudniówkę tę sprzedawano już na amerykańskim czarnym rynku za 300 dolarów! (w całych Stanach gazety zniknęły w owych dniach w mgnieniu oka - chicagoskie zdobyła dla mnie Lalka w swoim szpitalu). Nigdy w historii nie płacono takiej sumy za aktualną gazetę. Jest to absolutny rekord świata, jeszcze jedno z wielu „naj” w życiu tego człowieka, które było żywą legendą, najbardziej sugestywną bajką stulecia, czymś dla wielu ludzi niepojętym. Nawet wśród tych, dla których takie bajki są zupełnie obojętne, nie znajdzie się nikt, kto by zadał pytanie: o kim mowa? Ian Carmichael: „Pokażcie mi człowieka, który nie słyszał o Elvisie Presleyu, a nazwę tego człowieka Robinsonem Cruzoe XX wieku”.

Najpierw bajka. Dawno, dawno temu, za górami, za lasami, na spieczonym przez słońce południu Stanów, w maleńkiej osadzie Tupelo (Missisipi), urodził się Elvis Aaron Presley. Dokładnie 8 stycznia 1935 roku, w towarzystwie martwego bliźniaka. I tak jak na przyszłego króla z bajki przystało - nie w

pałacu, lecz w drewnianej budzie, która kosztowała jego ojca, głodującego robotnika i dzierżawcę, sto kilkadziesiąt dolarów, w rodzinie wiecznie niedożywionej, zmiecionej falami wielkiego kryzysu na samo dno. W ćwierć wieku później, w roku 1961, powie w wywiadzie dla francuskiego dziennika „France-Soir”, że jego najwcześniejsze wspomnienie to lęk przed głodem.

Mały Presley uczył się dobrze i był poczciwym dzieckiem. Prośba matki była dlań największą świętością i tak już pozostało aż do jej śmierci. Uwielbiał śpiewać. W domu całymi dniami wyśpiewywał gospelsy (pieśni religijne). Zakradał się też do kościoła, stawał za filarem i „pomagał” chórowi, śpiewając wraz z nim. Pewnego dnia, gdy w nawie zrobiło się cicho, zaśpiewał sam wzruszającą balladę o psie (zawsze kochał psy) - *Old Shep*. Konsternacja i w pierwszej chwili oburzenie - piosenka o psie w świątyni?! Wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę i dziesiątki karcących oczu spiorunowały małego głodomorka, o którym tylko nieliczni wiedzieli, że to „dzieciak od Presleyów”. I naraz - gdy doszedł do momentu, w którym prosi, by zastrzelono go zamiast jego chorego psa - z tych oczu zaczęły płynąć łzy. Śpiewał tak, że pobeczeli się wszyscy obecni. Później ta ballada znajdzie się na jego drugim longplayu, a piosenka *Płacz w kaplicy* stanie się jednym z największych przebojów Elvisa.

W roku 1948 nędza wypędziła Presleyów do stołecznego Memphis, gdzie były większe możliwości zarobkowania. („Byliśmy skończeni, człowieku - opowiadał o tym przyjacielowi - złamani. Tato spakował, co się dało, w pudełka i nocą wybyliśmy z Tupelo”). W Memphis ukończył szkołę średnią, pomagając jednocześnie rodzicom w utrzymaniu się na powierzchni. Tylko jeden jedyny raz poprosił ich o coś. O rower. Taki rower kosztował 55 dolarów. Vernon i Gladys Presleyowie przeliczyli swoje oszczędności - nie sięgały one tej sumy. Zakłopotany ojciec spytał go, czy zamiast roweru może być gitara. Gitara kosztowała 12 dolarów. Od tej pory wiedział już, że szczęście, to znaczy dolary.

Z głośników radiowych płynęły wówczas ckliwe szlagiery w przedwojennym stylu i Elvis czuł, że muzyce tej przydałby się zastrzyk szczerości, naturalności i nerwu. Nie wiedział, że w tym samym czasie miliony młodych ludzi na świecie czują to samo i nie śniło mu się, że to właśnie on dokona przewrotu. Chciał zostać policjantem, ale został kierowcą ciężarówki za 35-41 dolarów tygodniowo, to jest więcej niż jego ojciec kiedykolwiek zarobił w ciągu miesiąca. Kabina wozu była zarazem garsonierą, bo dziewczyny nie umiały się oprzeć jego głosowi. Ale naprawdę kochał tylko matkę, ubóstwiał ją.

W roku 1953, przejeżdżając przez Memphis, zauważył na mijanym budynku duży napis: „Sun Records Company”. Przypomniał sobie, że zbliżają się urodziny matki, wysupłał więc z kieszeni 4 dolary, wszedł do studia i nagrał w prezencie dwie swoje piosenki. Szef wytwórni, Sam Phillips, który rozglądał się właśnie za „jakimś białym chłopakiem potrafiącym śpiewać w stylu czarnych”,

był akurat nieobecny; na szczęście jego sekretarka, Marion Keisker, włączyła magnetofon i nagrała produkcje młodego szofera. Kiedy po kilku miesiącach Elvis ponownie zjawił się w firmie i znowu nagrał dwie piosenki dla matki, Phillips rzucił mu na pożegnanie:

- Zostaw nam swój adres, może cię wezwiemy.

Wezwali. W lipcu 1954 roku. Dali mu szansę na prawdziwe nagranie płytowe. Studio było przygotowane. Kazano mu zaśpiewać murzyńską balladę *Without You*. Efekt okazał się katastrofalny. Sam Phillips był wściekły. Polecił gitarzyście Scotty Moore'owi potrenować z chłopakiem. Ale wszystkich to już zmęczyło, zrobiono przerwę. W przerwie Elvis wziął do ręki gitarę i zaśpiewał sobie melodię murzyńskiego bluesmana, „Big Boya” Crudupa, *That's all right, Mama* (*Wszystko w porządku, Mamo*). Od tej chwili rzeczywiście wszystko było już w porządku. Moore i kontrabasista Bill Black poderwali się na równe nogi i spontanicznie przyłączyli do Elvisa z akompaniamentem. W kilka minut później jego pierwsze nagranie płytowe było ukończone. Zrozumiano też, że nie należy go tresować, bo tylko będąc sobą jest doskonały. Kiedy jeden z pracowników wytwórni spytał go: „Pod kogo śpiewasz?” (bo każdy wówczas śpiewał pod kogoś, najczęściej pod Franka Sinatrę, Deana Martina lub Binga Crosby), Presley odpowiedział: „Pod nikogo” i była to rewelacja.

Disc-jockeje niechętnie powitali *That's all right, Mama*, tak było to niepodobne do czegokolwiek. W końcu jeden zaryzykował i puścił piosenkę na antenę. Z miejsca otworzył się wulkan. Radiostację zasypano telefonami (telefony urywały się tak po raz pierwszy od czasu *Wojny światów* Orsona Wellesa) i tylko w ciągu pierwszego dnia piosenkę trzeba było powtarzać 17 razy! Singiel z nią szedł w sklepach tysiącami, wytwórnia nie nadążała z tłoczeniem. To samo działo się z następną płytą, na której nagrał dynamiczną melodię *Good rockin' tonight*.

Słuchając *That's all right, Mama* nikomu nie znanego 19-latką Ameryka po raz pierwszy usłyszała ten głos, który przeszedł do legendy i o którym napisano do dzisiaj tomy, wibrujący i gęsty jak syrop, otulony w dźwięki strun i śpiew chóru, wzmocniony melodyjną instrumentacją i gorączkowym rytmem. Był to szok...

Ameryka lat pięćdziesiątych trwała pogrążona w drzemce międzywojennej, zawieszona między Koreą a Wietnamem. Drętwą jak Eisenhower. Zadowolona z siebie, w świętym błogostanie. Ojcowie spoglądali z dumą na swoje coraz to wyższe domy i coraz to dłuższe samochody. Dzieci uczono jak być bogobojnym i jak zająć się prosto do kariery. Aż nagle jakaś gwałtowna, frenetyczna muzyka wyrwała Amerykanów z odrętwienia. Z głośników dudnił przedziwny melanz murzyńskiego bluesa i pieśni białych farmerów. Zaskoczenie: to jakiś biały szczeniak z Południa wydaje z siebie te szaleńcze dźwięki. Tak narodził się rock and roll.

Puryści niech się powieszą ze swoim poprawianiem. Wiadomo, że Elvis nie wynalazł rockandrollowej muzyki, że przed nim byli Turnerowie, McNelly, Haley i inni. Lecz Elvis nadał jej królewski styl, który owładnął milionami. Zapoczątkował erę.

Pierwszy jego publiczny występ miał miejsce w muszli koncertowej Overton Park w Memphis. Kiedy śpiewając puścił w ruch obrotowy swoje biodra (stąd zwano go przez pewien czas: „Elvis the Pelvis” - Elvis Biodro), tłum nastolatków wpadł w ekstazę i stał się całkowicie „crazy”. Przeraziło go to, uciekł ze sceny. Ale było już za późno na ucieczkę - wkrótce potem cała młoda Ameryka zwariowała na jego punkcie.

To „wkrótce potem” zdarzyło się we wrześniu 1956 roku. Za trzy kilkunastominutowe występy w popularnym programie telewizyjnym („Ed Sullivan Show”) Elvis otrzymał pierwsze naprawdę wielkie pieniądze. 54 miliony ludzi oglądało 21-letniego piosenkarza, a Sullivan stał w kącie studia, poza zasięgiem kamer, miał rozszerzone oczy i szeptał:

- Sonovabitch, sonovabitch! (S... syn, s... syn!).

Potem powiedział o Presleyu:

- Nie wiem, jak on to robi, ale ludzie dostają na jego punkcie obłędu!

Tak zaczął się rodzić charyzmat chłopca z Tupelo.

Tymczasem na scenę bajkowych wydarzeń wszedł człowiek pod tytułem Thomas Parker, zwany nie wiadomo dlaczego pułkownikiem. „Colonel” Parker, tłusty facet z wiecznym cygarem w zębach, eks-handlarz kiełbaskami, a w roku 1955 show-master, wyznawał zdrową jankeską zasadę: „There’s no business like show business” (Nie ma jak przemysł rozrywkowy). Narzucił się on Presleyowi jako menażer („Ty masz tylko śpiewać, a ja zajmę się całą resztą”) i pokierował jego dalszą karierą w sposób - trzeba to uczciwie przyznać - równie genialny, co bezwzględny. W pierwszym rzędzie doprowadził do tego, że największa amerykańska wytwórnia płyt, RCA Victor, odkupiła kontrakt Presleya od Sun Records za 35 tysięcy dolarów. Prasa uznała to wówczas za sumę fantastyczną. Jednakże już w 3 lata później zmieniono zdanie i uznano, że pan Phillips dokonał najbardziej idiotycznego interesu w dziejach ludzkości, sprzedając za grosze kurę regularnie znoszącą jaja warte miliony.

Tymi „jajami” były kolejne longplaye i koncerty Elvise, doprowadzające młodzież całego świata do granic wniebowstąpieniowego amoku. To już była rewolucja i to bez cudzysłowu, co podkreślają dzisiaj najpoważniejsi autorzy w najpoważniejszych opracowaniach. Można w nich przeczytać, że Presley „dokonał największej rewolucji społecznej w historii” i że „dzisiejsza młodzież nie zdaje sobie sprawy z tego, że bez Elvise żyłaby nadal w stanie swoistej epoki kamienia łupanego”. Gdy się nad tym poważnie zastanowić - nie jest to takie głupie. Jak pisał londyński „Times”: „Presley dał młodzieży poczucie odrębnej tożsamości, której nie miała uprzednio. Stał się katalizatorem

rewolucji młodych, która trwa po dziś dzień”. Wielu snuło rozważania typu: jaki byłby dzisiaj świat bez Presleya?

W istocie Presley ucieleśniał przepaść dzielącą starych amerykańskich pionierów, niezrównanych w zdobywaniu forsy, ale bez reszty spętanych przez różne tabu i przesady, od beztroskiej młodzieży, trochę narwanej, lecz zarazem pożądlivej i czulej. Pewna dziennikarka wspominała: „Po jego występie ciotka oświadczyła mi, że to idiotyzm siedzieć tak przed telewizorem i podniecać się widokiem wulgarnego piosenkarza. W tym momencie zrozumiałam, że żyjemy w dwóch różnych światach. Wtedy właśnie drzwi pokojów nastolatków zatrzęsnęły się w całej Ameryce”.

Zaczął się od rewolucji seksualnej, którą „wyzwolił kryptoseksualnymi ruchami swych bioder” i tekstami kilku swych piosenek. Jego namiętne „turn me loose” (Beatlesi ze swoim *Do it in the road* byli już tylko epigonami) zamieniło tylne siedzenie samochodu amerykańskiego tatusia w pole słodkiej bitwy o „free love” teenagerów, inne zaś piosenki i ekspresyjny sposób ich podania wznieciły młodzieńczą aktywność na innych polach. Jak stwierdził Jerry Rubin: „Nowa lewica wywiodła się z rytmów Presleya”. I tak już pozostał, z przydomkiem „Rebeliant” nadanym mu przez krytyka Johna Rockwella. Za najistotniejsze uznano to, iż żaden inny człowiek nie związał swą osobą, a raczej osobowością, tylu milionów uszów i serc na wszystkich kontynentach, nigdy nikt nie gromadził takich tłumów swych wielbicieli nie będąc wśród nich obecnym. Młodzież zmieniała skórę pod jego wpływem (John Lennon powiedział: „Przed Elvisem nic z życia nie mogło mnie wziąć”), przestała być bierna, zapragnęła partnerstwa. Narodziło się nowe plemię. Czyż to nie była rewolucja?

W roku 1958 powołano Presleya do wojska, do Europy. „Colonel” Parker z łatwością mógł załatwić mu zwolnienie, nie uczynił tego jednak, mimo że prasa wieszczyla, iż służba wojskowa będzie grobem kariery Elvise („Nim Presley nauczy się salutować, wszyscy już o nim zapomną”). Stary lis Parker (jego dewiza brzmiała: „Nie próbuj nic tłumaczyć, tylko sprzedawaj”) wiedział, co robi. Powrót bożyszczka, następcy Rudolfa Valentino i Jamesa Deana, stał się ogólnonarodowym świętem, a dwa wojskowe longplaye (*G. I. Blues* i *Elvis is back*) przyniosły RCA nowe miliony. Przy okazji załatwiono coś o wiele ważniejszego od utrzymania popularności. Zwiększono ją i to o kogo - o rodziców!

Do tej pory „starzy” mieli Presleya za diabelski pomiot deprawujący ich zdrowe pociechy. „Dobrze myślące” siły społeczne piętnowały jego „perwersyjność w miotaniu biodrami”, a krytyka ta miała podłoże rasistowskie, podkreślano bowiem, że „wzoruje się na czarnych”, także wokalistycznie, zapożyczając od murzyńskich bluesmanów gardłowy sposób śpiewania, bogatą melizmatykę i typowe negroodchylenie intonacyjne.

Milcząca większość uważała, iż wszystko to nie przystoi białemu „clean-cut kid”. Lecz kiedy po powrocie z armii Presley nagrał pod tytułem *It's now or never* („Teraz lub nigdy”) nową wersję starej włoskiej canzony *O sole mio* i zaczął coraz częściej śpiewać swym magnetyzującym pół krzykiem, pół szeptem duszoszczypatielnyje romance, kolędy, na przykład przepiękne *Blue Christmas* („Smutne Boże Narodzenie”) i ballady, gdy przypomniano jego rzeczywiście wzruszające, nagrane na kilku longplayach pieśni religijne - „kupili go” również dorośli. Była to kolejna rewolucja, bo stał się niespodziewanym pomostem między pokoleniami. Najpierw wykrzyczał konflikt między nimi, a potem go ugasił, lecz wszyscy byli już inni po tym ożywczym „katharsis”. Odtąd nie mówiono już „Elvis the Pelvis”, lecz „King” i to w kilkudziesięciu językach świata.

„Król” był dziwny, nie pasował do żelaznego schematu supergwiazdora. Mimo że błyskawicznie stał się milionerem, nie pił, nie palił, nie narkotyzował się, nie urządzał skandali, najzacieklejsi „detektywi” pism brukowych przez 20 lat nie byli w stanie złapać go na jakimkolwiek brudku. Wystąpił w 33 filmach z tysiącem wariujących na jego punkcie aktorek i starletek i nic! Doprowadzało to naczelnich redaktorów szmatławców do szalu. Był lojalny, wielkoduszny i lubiany przez wszystkich. Co prawda - jak trafnie zakonkludował jeden z moich przyjaciół - „po pierwszym milionie każdy staje się sympatyczny”, lecz wobec niego ta złośliwość byłaby strzałem w płot. Uwielbiał swą żonę Priscillę i córeczkę Lizę - po śmierci matki były dla niego czymś najważniejszym w życiu, ważniejszym od kariery, od milionowych rzesz fanów, od wszystkiego.

Był natomiast rozrzutny. Filantropia bogaczy jest w Stanach obowiązkiem z tej prostej przyczyny, że znakomicie wpływa na obniżenie płaconych podatków, lecz w jego przypadku nie miało to z podatkami nic wspólnego. Koledzy milionerzy pukali się znacząco w czoło widząc, jak pakuje miliony w domy opieki, szpitale, akcje pomocy społecznej, jak funduje kalekom tony wózków inwalidzkich, płaci za koszmarnie drogie leczenie, obsypuje dzieci murzyńskie podarkami, rozdaje na prawo i lewo samochody (tylko w ciągu jednego dnia rozdał nieznajomym 6 Cadillaców). Mówiono, że utrzymywał ludność sporego miasta. Był człowiekiem i za to go kochano. Przestał być w roku 1973. Odeszła odeń żona i zaczął umierać.

Był wówczas u szczytu kariery. Od 20 lat okupował pozycję nr 1 na światowej liście wokalistów. Sprzedano 500 milionów jego płyt, co nie ma precedensu w historii. Jego koncerty, takie jak w Las Vegas czy w Honolulu, mobilizowały rozgłośnie radiowe i telewizyjne całego globu. Zarabiał 6 milionów dolarów rocznie (z tym, że czasami cały dochód z koncertu przeznaczal na przykład na ofiary powodzi). Co prawda popularność była męcząca (w roku 1972 rzekł do przyjaciela: „Gdybym mógł być wolny, być sobą, chodzić jak inni. Wolny! Za jeden taki tydzień dałbym milion dolarów!

Rozumiesz? - być sobą, a nie obrazkiem na ołtarzu!”), lecz zarazem była majestatycznie piękna i on tak to czuł. ELVIS nie było już imieniem, było symbolem. I nagle zawałił mu się świat.

Chciał dać uwielbianej kobiecie jeszcze jedną złotą gwiazdkę. Zainteresowało ją karate, a że starał się uprzedzać jej życzenia, natychmiast najął jej instruktora karate (sam był świetnym karatemianem, miał „czarny pas”). Nie wiadomo, jak szła jej nauka, wiadomo natomiast, że poszła z instruktorem do łóżka i następnie w siną dal, do Los Angeles. Potem będzie się tłumaczyła w wywiadach, że nie mogła znieść „złotej klatki”.

Był to koniec Presleya. Gdy otrzymał wiadomość, omal nie oszalał. Potem zaczął projektować zamordowanie tamtego. W końcu zamknął się w swoim bajkowym pałacu w Memphis (*Graceland Mansion*) i zamienił w dzikie zwierzę. Całymi dniami siedział milcząc i patrzył w ścianę, potem nagle zaczynał żreć i tył w przerażającym tempie (pod koniec życia ważył 110 kilogramów!). Kupował całe worki broni (32 rewolwery i 2 karabiny maszynowe w ciągu jednego dnia) i strzelał do luster, do obrazów - jego dom zamienił się w podziurawiony arsenał. Któregoś dnia wykupił w mieście wszystkie żarówki do lamp błyskowych, wrzucił je do basenu w Gracelandzie i strzelając przez 3 noce z rzędu, rozbił do ostatniej. Każda przy trafieniu wybuchała niczym podły świat, w którym dolary nie dają szczęścia i tonęła... Zaczął pić i palić, brał na prawo i lewo kochanki, modelki, aktorki, jakieś stanowe miss, wszystkie będące kopiami Priscilli i to takimi kopiami, że kiedy ogląda się zdjęcia w prasie - nie sposób ich odróżnić. Ciągłe wspominał żonę i marzył, że ona wróci.

W wielkim, pustym domu zrobiło się cmentarnie. W stajni zostały 3 smutne, nikomu niepotrzebne kucyki Lizy, a dziecinny pokój, obity różowym jedwabiem, łamał mu serce za każdym razem, kiedy tam wstąpił. Czynił to często i modlił się w tym pokoju żarliwie. Był zawsze bardzo religijny i wielokrotnie mówił i śpiewał (zwłaszcza na longplayu *His hand in mine*) o swoim spotkaniu z Bogiem. W piosence *I'm gonna walk dem golden stairs* snuł wizję siebie samego, jak wstępuje po złotych schodach na mleczną drogę, gdzie czeka go Bóg ojciec z wyciągniętymi ramionami, a w *Peace in the Valley* proroczo skarżył się na życie i marzył, że „kiedyś zapanuje dla niego spokój w dolinie”...

Była też choroba amerykańska - lekomania. Bez przerwy łykał proszki na odchudzenie, co go wykańczało. Popadał w stany paranoidalne, bano się go, schodzono mu z drogi. Przestał nagrywać - prawie wszystkie jego longplaye z ostatnich 4 lat to mało wartościowe koktajle ze starych nagrań. Uspokajał się tylko wówczas, gdy przyjeżdżała doń na kilka dni córeczka. Zamieniał się wtedy w cudownego ojca i znowu widziano jego uśmiech. Gdy wyjeżdżała, brał do ręki gitarę i śpiewał sobie pierwszą piosenkę, którą nagrał przed laty dla RCA Victor (była to zarazem jego pierwsza „złota płyta”), *Heartbreak hotel*

(„Hotel złamanych serc”):

*Odkąd opuściło mnie moje kochanie,
znalazłem sobie nowe miejsce do życia,
na końcu Ulicy Samotności,
w Hotelu Złamanych Serc,
samotny tak bardzo, tak bardzo,
że mógłbym umrzeć.*

Było już bardzo blisko do tego. Od początku 1977 roku mówił o swojej śmierci. Wywrócono mu niegdyś, że będzie żył dokładnie tyle czasu, ile jego matka, która umarła w sierpniu 1958 roku, w wieku 42 lat. W styczniu 1977 roku skończył 42 lata i im bliżej było sierpnia, tym częściej powtarzał: „I have a short time” (Mam mało czasu). Na 3 tygodnie przed śmiercią ściągnął do Memphis swą 9-letnią córkę i prawie nie odstępował jej. Wykupywał dla niej i dla dzieci biedaków całe wesołe miasteczka w okolicy i bez przerwy jeździł z nią na konikach, karuzelach etc., nocami zaś rozwaliał ciosami karate meble i strzelał do ścian.

Ostatniej nocy popadł w stan gorączki. Wsiadł do wozu i wyjechał na Elvis Presley Boulevard (największa ulica w Memphis), by kupić Lizie zabawkę. O północy! Obudzono sklepikarzy w całym mieście i otworzono sklepy! Wybrał samochodzik elektryczny, wrócił i mimo protestów domowników obudził małą, by jej go wręczyć. Kiedy znowu zasnęła, siedział długo przy łóżku, z policzkiem na jej dłoni. Potem do godziny 4 nad ranem grał w „racquetball”, a następnie poszedł do sypialni i po kilku godzinach spędzonych z kochanką, modelką Ginger Alden, powędrował z książką do łazienki, by czytać w wannie. Po czym wyruszył w ostatnie tournée, bez powrotu, do Boga, który stał się zazdrosny o jego głos i zapragnął mieć go tylko dla siebie. Dobry Bóg chciał zachować go młodego, bo nawet on nie mógłby sobie wyobrazić starego Elvisa.

Kiedy Ginger się obudziła (około czternastej), było już za późno. Znalazła go leżącego na progu łazienki. Lekarze pracowali nad nim szaleńczo, poczynając od sztucznego oddychania metodą usta-usta (przyboczny lekarz, doktor Nichopoulos, wył: „Na Boga, oddychaj Elvis, oddychaj, zrób to dla mnie!!!”), a kończąc na elektromasażach serca, lecz po 20 minutach zrezygnowali. Nie udało się ożywić trupa.

Przyczyną jego śmierci był atak serca na skutek przetłuszczenia się arterii, a jeszcze pewniej nadużycie środków odchudzających. Ale głębszą przyczynę wskazały gazety w tytułach: „Elvis died from loneliness” („Elvis zmarł na samotność”) i oskarżały o morderstwo żonę, która go zabiła zdradą. Tej kobiecie nie zabraknie potem bezczelności, by twierdzić, że było to „nieporozumienie” i że właśnie wsiadała do samochodu, by powrócić do męża,

kiedy otrzymała wiadomość o jego śmierci!

Do granicy stanu Missisipi pędziliśmy przez Sumiton, Jasper, Carbon Hill, Eldridge, Winfield, Guin (gdzie stanęliśmy, bo zmorzył nas nagle kamienny, 3-godzinny sen) i Hamilton (gdzie wysiadł nam akumulator, a naprawy dokonał farmer z sąsiedztwa), cały czas 78 highwayem West. Po półgodzinie jazdy przez Missisipi, około dziesiątej rano, wjeżdżamy do Tupelo. Wokół rodzinnej, świeżo odmalowanej na biało budy Presleya (w Parku Presleya, przy ulicy Presleya) zapłakane tłumy. Wewnątrz trochę sprzętów, wśród których się wychował, trochę starych fotografii, mini-muzeum „Kinga”.

W niespełna dwie godziny później, przez Hickory Flat, Holly Springs i Byhalia, dosiegamy granicy naszego dziewiętnastego stanu, Tennessee, i jednocześnie Memphis. U wrót do miasta robi się makabryczny korek, przybywają ludzie z całego kraju, tysiące wozów. Policja ściąga posiłki z okolicznych stanów, nad autostradą krąży 200 (tak podano później w prasie) helikopterów, mży. W radio wyłącznie Elvis i reklamy (co za okazja!). Wreszcie przebijamy się w pobliże Presley Boulevard, zostawiamy samochód w miejscu niedozwolonym (nikt nie zwraca na to uwagi, ludzie parkują na trawnikach!) i przemy w kierunku Gracelandu przez ocean łez. Nigdy w swoim życiu nie widziałem tylu ludzi płaczących jednocześnie.

W południe rozchodzi się wieść, że będą wpuszczać do pałacyku. Zaczyna się walka o pozycję startową. O piętnastej biała brama, zdobiona gitarami i nutami, zostaje otwarta i flankowany przez kordony policji tłum wlewa się alejką pod górę, w kierunku kolumnadowego portyku. W otwartych drzwiach stoi trumna, kopia tej, którą Elvis zamówił przed laty dla swej matki, tak kosztowna, że firma pogrzebowa Memphis Funeral Home nawet nie wystawiała jej na sprzedaż, trzymano ją w magazynie.

Elvis jakby spał. Leży w białym garniturze, z białym krawatem na jasnobłękitnej koszuli, ma zamknięte powieki. Kobiety krzyczą, mdleją, policjanci wynoszą je i kładą na trawę. O dziewiętnastej brama zostaje zamknięta - koniec pożegnania z „Kingiem”.

Radio podaje, że napływają depesze kondolencyjne z Sydney, Londynu, Rio de Janeiro... Odleciały już ze stolic dygnitarskie delegacje na pogrzeb, świat w żałobie, płyty Elvisa w ciągu kwadransa zniknęły ze sklepów, szaleje czarny rynek. Z trudem znajdujemy sobie nocleg.

Przemówienie prezydenta Cartera. Głos mu się łamie, mówi z trudem. Mówi między innymi:

- Zmarł człowiek, który był symbolem naszej żywotności i naszego buntowniczego ducha, człowiek, który zmienił oblicze naszej kultury. Był niezastąpiony, jego śmierć pozbawiła nas części nas samych... Elvis był moim przyjacielem, obaj pochodziliśmy z Południa, był przyjacielem mojej rodziny. Jest nam ciężko. Nigdy go nie zapomnimy, nigdy...

Potem gazety napiszą, że „prezydent nie załamując się przed kamerami w tak ciężkiej dla narodu chwili spełnił swój obowiązek, bo czyż nie jest obowiązkiem prezydenta podtrzymywać naród na duchu?”. I dodadzą, że kiedy wyszedł ze studia, popłakał się rzewnymi łzami! Niektórym Europejczykom mogło się to wszystko wydawać zbiorową aberracją, ale trzeba było być tam wówczas w Memphis, by zrozumieć, czym był Elvis Aaron Presley dla Ameryki. Jak kolosalną rolę odgrywał w ich życiu. W kilku gazetach został porównany z Waszyngtonem, a w „Chicago Daily News” z 19 sierpnia, w artykule wstępnym, z Abrahamem Lincolnem i... z Lutrem oraz Jezusem Chrystusem (sic!). No tak, to już jest aberracja.

Przez całą noc przybywają ludzie z całego kraju i spoza granic. Rzucają pracę, przerywają urlopy, zapominają o załatwianych właśnie sprawach - biegną pożegnać Elvisa. Gwar potężniejący i opadający w zapłakane milczenie. Trudno spać.

W czwartek rano ujrzelśmy wokół Gracelandu takie tłumy, że te wczorajsze wydały się nam garstką. Płaczą. Nagle straszliwy skowyt, około 50 metrów od nas jakieś ciało frunie w powietrzu nad głowami, ryk policyjnych syren. Potem okaże się, że to pijany teenager wjechał w tłum swym Fordem. Dwie osoby zabite na miejscu, kilka ciężko rannych. Policja jeszcze przez wiele dni będzie miała pełne ręce roboty - aresztowano między innymi 4 młodzianków z dynamitem, za pomocą którego chcieli wysadzić w powietrze grób Elvisa i ukraść trumnę z jego prochami.

Zbliża się pora drugiego, publicznego pogrzebu. Pierwsza, skromna ceremonia miała miejsce w Gracelandzie, gdzie rodzina odśpiewała nad trumną Elvisa *How great Thou art* („Jakże wielki jesteś, Boże”), tytułową na jednym z jego lognplayów pieśń religijną, którą śpiewał na prawie każdym z koncertów, informując widzów, że bardzo ją kocha. Obecny w tym gronie telewizyjny kaznodzieja, Rex Humbard, opowiedział im, jak Elvis zaprosił go na swój przesławny koncert w Las Vegas i jak długo rozmawiał z nim o Bogu, wpytując, kiedy Jezus znowu zstąpi na Ziemię. Mniej pokorny, bo ślepy, Jose Feliciano pragnął tego samego, lecz on nie pytał, tylko prosił i to gniewnym tonem w piosence „Come down Jesus!” („Zejdź na dół Jezusie i zobacz, co się dzieje na twojej Ziemi, gdzie są wielkie maszyny elektryczne i małe dzieci, które nie mają nic do jedzenia!”).

Przed południem z Gracelandu wyjeżdża sznur kilkudziesięciu białych Cadillaców wiozących ludzi ubranych w biel (ulubiony kolor Elvisa). Suną powoli przez Elvis Presley Boulevard otoczone przez galowych motocyklistów. W drugim wozie leży ciało „Kinga”. Na tle tego oceanu bieli jarzy się szkarłatem jedna wiązanka róż - od ojca, Vernona Presleya. Początkowo flanki ulicy prawie puste, dopiero o kilkadziesiąt metrów od wjazdu na cmentarz Forest Hills mrowią się nieprzeliczone tłumy. Tysiące rąk trzymają

chorągiewki z napisem: „We love You, Elvis!“. Kobiety przerywają kordon policji i rzucają się na jezdnię, pod samochód, przez co kawalkada co chwilę staje. Inne klęczą na poboczu i trzymając Biblie modlą się do... Elvise Presleya (sic!). Jak tu zaprzeczyć twierdzeniu prasy amerykańskiej, że pogrzeb „Króla” i ból, jaki wywołała jego śmierć, dwukrotnie przeliczywały to, co oglądano po zgonie Kennedy’ego.

Kawalkada wjeżdża w bramę cmentarza, która natychmiast zostaje zamknięta.

Wpuszczono tylko 200 osób (rodzina, politycy, gubernatorzy stanów, goście zagraniczni, gwiazdorzy jak John Wayne, Caroline Kennedy, Sammy Davis, Ann Margret i wielu innych - niektórzy przerwali koncerty, by przyjechać!). O czternastej ciało Elvise zostaje spalone w kolosalnym, marmurowym (styl pseudodorycki) Elvis Presley Mausoleum. Cały ten olbrzymi gmach pokrywają stosy kwiatów, kilka tysięcy wiązanek, niektóre przysłane z Japonii. Przez całą noc tłum koczuje pod murami cmentarza, modląc się i płacząc. Kiedy o 8³⁰ rano, w piątek 19 sierpnia, brama została otworzona - w ciągu kilkunastu minut kwiaty rozdrapano do ostatniego płatka.

Wyjeżdżamy z Memphis nocą. Za bramą cmentarza kończy się jasność dnia. Na ziemię spada miękka ciemność i w miarę jak gęstnieje, zapalają się światła bez źródeł, jak gdyby samotni pustelnicy zapalili w swych eremach czarodziejskie latarnie. Gwiazdy wchodzą w posiadanie nieba, a my mkniemy przed siebie jak zjawy. Fantasmagoryczność gwiazdnej zamieci, teatr mistycznych cieni, symbolika śpiących drzew, skamieniałe maski przyrody, wszystko niezrozumiałe, pojawiające się jak na scenie objętej smugami światła z reflektorów i znikające po chwili niczym przewidzenie. Niewidzialna melodia goni mnie lotem ptaków ciemności; ta sama, o której wszyscy moi przyjaciele wiedzą, że kiedy umrę, ma być tłem muzycznym do mojego pogrzebu, bym nie pomylił drogi. Na razie jest to droga przez dolinę pełną niepokoju, ale

*kiedyś zapanuje dla mnie spokój w dolinie,
znikną smutki i udręki, znikną wszystkie kłopoty,
pozostanie mi tylko spokój w dolinie.*

Na razie, kiedy jest mi źle, zamykam się w moim magnetofonie jak dziecko w szafie z lalkami, i słucham piosenek Bułata lub Elvise. Istnieją różne aspiryny.

Tłocznie płyt RCA Victor w Indianapolis pracują 24 godziny na dobę. Radio podaje wiadomości o pierwszych „presleyowskich samobójstwach” na świecie. Prasa donosi (w rok po jego śmierci): „Teraz Elvis Presley został po prostu zdeifikowany. Jego kult nabrał wręcz religijnych cech, jego wyznawcy, przekonani, że «Elvis będzie żył wiecznie!», szukają relikwii”. Nie tylko w Ameryce, gdzie Indianie wlepiają jego zdjęcia w Biblie, lecz na całym globie

powstają ikonostasy z portretami Presleya. Gazety europejskie cytują wypowiedź Haralda Trögera: „To jest naprawdę coś w rodzaju religii. To nie jest na parę lat, to jest na całe życie. Elvis rządzi ludźmi, panuje nad nimi”. Niektórzy leczą się słuchając jego głosu, a medycyna obserwuje z osłupieniem przypadki „cudownych wyzdrowień”.

A poza tym świat się nie zmienił (nie wyzdrowiał cudownie) i rzeczy płyną dalej tym samym nurtem. Żegnaj Elvis!





ETAP XVIII

Memphis leży na styku trzech stanów i ma na mapie kształt trójkąta. Jeden bok dotyka stanu Tennessee, tego ciekawego stanu, w którym według obowiązującego prawa mężowie mogą bić swoje żony, atoli pod warunkiem, że nie używają do tego celu przedmiotu grubszego niż trzonek miotły. Drugi bok dotyka stanu Missisipi. Trzeci stanu Arkansas. Do tego ostatniego wjeżdżamy z Memphis autostradą interstate north nr 55. Arkansas to nasz dwudziesty stan. Jego zachodnią część przecinamy w niespełna godzinę i oto nasz dwudziesty pierwszy stan, Missouri. Na wysokości miasteczka Sikeston należało skręcić w interstate 57, do stanu Illinois. Zagadawszy się, przeoczamy rozgałęzienie.

Przytomniejemy po około 20 milach i mamy do wyboru: jechać dalej autostradą 55 na St. Louis, zawrócić lub przebijać się od 55 do 57, „na przełaj”, lokalnymi drogami. Studiujemy mapę i wówczas wychodzi na jaw rzecz wydawałoby się nieprawdopodobna. Odkryliśmy dotąd kilka błędów w najbardziej renomowanym amerykańskim atlasie drogowym (Rand McNally Road Atlas - najnowsza edycja, z roku 1977), ale ten nadaje się do światowej księgi humoru. Otóż w trójkącie między stykiem autostrad 55 i 57 znajdują się obok siebie dwa miasteczka, nazwijmy je A i B. Na stronie 41 noszą one nazwy: Ware (A) i Anna (B), na stronie 44: Ware (A) i Jonesboro (B), na stronie zaś 52: Anna (A) i Jonesboro (B)!

Przekraczamy po raz któryś z kolei rzekę Missisipi i przez ponad godzinę błądzimy nocą polnymi drogami, obok owych osad, którym pomieszano nazwy, by w końcu dosięgnąć 57 i pędzić przez stan Illinois na północ, ku Chicago. Marion, Benton. Salem, Kinmundy, Effingham. Dochodzi druga w nocy. Zaraz za Effingham zjeżdżamy na pusty płac budowy i zasypiamy.

Następnego dnia śmigamy tą samą drogą na Chicago. Coraz bliżej ulicy Nelsona gdzie czeka Lalka. Bliskość domu powoduje zwiększenie szybkości, chcemy jak najprędzej dotrzeć. Nagle zaczynają się dziać rzeczy dziwne. Mija nas Honda! Mija nas! Kolejna rzecz trudna do uwierzenia, bo jeśli my lecimy z taką szybkością, z jaką lecimy, to z jaką musi lecieć ten wariat?! Staje się rzecz, przed którą przestrzegam wszystkich moich czytelników i za którą winno się mnie i Jerry'emu porządnie złożyć skórę. Wszedł nam na ambicję i zaczął po niej spacerować podkutymi butami.

- Jerry - mówię - ten człowiek działa mi na nerwy.
- Mnie też - odpowiada Jerry.
- Więc go miń.
- Chcesz koniecznie jeszcze dziś porozmawiać z Elvisem?

Tylko skończył to mówić i docisnął pedał gazu. Drugi raz zobaczyłem na

naszym liczniku wskazówkę całującą 100, a nie były to kilometry, lecz mile! Myślałem, że nasz „junk” rozleci się na kawałki i miałem wrażenie, że siedzę w bolidzie Formuły I. Wyminęliśmy tę Hondę.

W pół godziny później dojeżdżamy do Chicago. Coraz gęściej od samochodów, to już prawie ruch uliczny, zwalniamy do około 60 kilometrów/godz. Naraz trzask, jakby wystrzał z pistoletu, samochód kołysze się jak kaczką i wpada w epilepsję, słychać zgrzyt od spodu, Jerry pracuje kierownicą jak szalony, ślizgamy się gorączkowym slalomem w prawo i w lewo, coraz wolniej, wreszcie stajemy... Uuuuff! Jerry, jesteś geniuszem! Wychodzimy z wozu. Lewej przedniej opony właściwie nie ma. Jest „kapeć” rozerwany na długości 40 centymetrów, jakby rozszarpał go swymi zębami rekin z filmu Spielberga, druty zbrojenia wystrzeliły z gumy niczym anteny. Żaden z nas nie widział w swym życiu tak rozharatanej opony.

Patrzemy na licznik. Biorę długopis i odejmuję. Przejechaliśmy 8361 mil. Przejechaliśmy prawie 8 i pół tysiąca mil i ani razu nie poszła nam guma, dopiero teraz, u wrót do domu. Gdyby się pospieszyła o pół godziny, kiedy ścigaliśmy się z Hondą, zeszkrobano by nas łyżkami, ubrano w dwa dębowe garniturki i dowieziono na miejsce... Patrzemy na siebie długo i nagle zaczynamy się śmiać bez opamiętania. Wreszcie zrozumiałem, co znaczy: „śmieje się jak głupi”.

Potem zabieramy się do roboty, też okropnie głupio. Bo wozy amerykańskie, w przeciwieństwie do europejskich, podnosi się lewarkiem od przodu lub tyłu, my zaś, nie wiedząc o tym, ustawiliśmy lewar z boku i... wgnietliśmy „junkowi” blachę błotnika, tak iż teraz trzeba zamykać drzwi kopniakiem. Inna sprawa, że ta kosmetyka niewiele „junkowi” zaszkodziła, tak pasuje do jego ogólnego wyglądu.

Po zmianie koła docieramy około szesnastej do domu Lalki. „Home, sweet home!”. Z radości urządzamy małe party, które pozostanie w naszej pamięci jako „shower-party” z powodu mieszkania zalanego wodą z prysznicu.

Następnego dnia kupujemy „nowe” opony (w sklepie z używanymi), które mają już swój wiek, ale w porównaniu z tymi łysielcami, na których objechaliśmy Stany, są rzeczywiście jak nowe. Po czym udajemy się na stację Walowskiego.

Jakby ujrzeli zmartwychwstańców. Osłupienie, tyle tysięcy mil, w takim czasie, takim „junkiem”! Sprawdzają licznik. Dyskutują. Zbiera się grupa Polaków. Jeden z nich, cudowny Polonus, wspomina, jak przed laty urządził sobie podobny zwariowany rajd, nowiuteńkim wozem, ale po kilku tysiącach mil ten wóz mu się zagrzał i z Alabamy facet musiał wracać samolotem. Potem wspomina z rozrzewnieniem wizytę w ojczyźnie. Jak na pytanie wopisty, w jakim celu przyjechał do Polski, spytał:

- Panie poruczniku, czy Polska jest wolnym krajem?

- Oczywiście!
- No to mnie wolno przyjechać bez celu.

I jak potem wykupił całą wódkę ze sklepu Baltony. Stare, dobre czasy.

Dzień w Chicago i potem przez Niagarę do Nowego Jorku. Chicago-Niagara Falls-Nowy Jork, ostatni etap naszej podróży, to jakby symboliczne lustro kraju, w którym wszystko musi być „naj”, od największych domów do najślawniejszych wodospadów na świecie. Hiszpański satyryk, Perich, zauważył: „Stopa życiowa w Stanach Zjednoczonych jest tak wysoka, że tam nawet kilometr wynosi milę”. No właśnie. Do Nowego Jorku jeszcze około tysiąca mil na mapie, w rzeczywistości będzie ponad tysiąc.



Największy metr kwadratowy świata znajduje się w Smith City (Ohio). Ma z każdego boku 4,25 metra.
Perich

SAGA O „NAJ”

W sławnej Guinness Book of World Records („Guinnessowskiej Księdze Rekordów Światowych”) Ameryka jest absolutnym rekordzistą - zagarnęła najwięcej rekordów. Najwyższym człowiekiem był Amerykanin Wadlaw (272 centymetry), najcięższą kobietą Amerykanka Voges (308 kilogramów), najwyższe honorarium za słowo pisane otrzymał Amerykanin Hemingway (15 dolarów za każdy wyraz). Aktualnie (rok 1977) Amerykanie są posiadaczami tysięcy rekordów świata, w tym w konkurencjach takich, jak: jedzenie jaj na twardo (14 w ciągu stu sekund), branie prysznicu (200 godzin bez przerwy), przemawianie (144 godziny), całowanie (130 godzin, 2 minuty, 17 sekund), plucie na odległość (10,2 metra) oraz rzut krowim łajnem (70 metrów; ostatnio rozegrano w tej konkurencji mistrzostwa USA w Beaver, stan Oklahoma).

Chicago jest kolebką wielu z tych „naj”, w tym najgłupszego napadu, albowiem gangsterzy napadli tu na samochód bankowy, który miał przewozić pieniądze i znaleźli w nim tysiąc pokryw do sedesów. Funkcjonowała tu również najbardziej makabryczna ze wszystkich prywatnych fabryk zbrodni, wybudowana przez żywe wcielenie doktora Jekylla i mister Hyde’a. Kilka słów o tej historii.

Rok 1891. Chicago przygotowuje się do wielkiej Wystawy Światowej w roku 1893. Zniknęły już zgliszcza po kolosalnym pożarze, który strawił całe miasto (1870), a tempo inwestycji zwiększa się z każdym dniem. Chicago musi pokazać światu wspaniałą twarz. Trzeba będzie pomieścić tysiące przybyszów z całego globu. W tej sytuacji przystojny, 50-letni lekarz, doktor Holmes, który cieszy się ogromnym powodzeniem u płci pięknej, nie ma żadnych trudności z

uzyskaniem zgody i kredytów na wzniesienie luksusowego hotelu. Powstaje imponujący „Holmes Castle”. Nikt nie wie, że dr Holmes nazywa się w rzeczywistości Hermann Webster Mudgett, że oszwaabił już wiele swych pacjentek w różnych częściach USA i że jest potworem w ludzkim ciele. Nikt się nie dziwi, że hotel jest budowany (według superprecyzyjnego planu autorstwa samego doktora) kawałek po kawałku, przez 25 ekip robotników, z których żadna nie wie, co robi druga. I nikt, żaden z tych robotników, nie pyta, po co w hotelu olbrzymi piec, przedziwne podziemia, zapadnie, tajemnicze meble i rury nie prowadzące do kranów.

Ponad 200 bogatych osób spośród kilkudziesięciu tysięcy gości Wystawy Światowe zniknęło prawie bez śladu. To prawie stało się gwoździem do trumny Webstera alias Holmesa alias Howarda (tak się nazywał w chwili aresztowania). Albowiem likwidował on trupy w sposób, który można nazwać pełną dematerializacją, lecz w kilku przypadkach pozostawił szkielety i pięknie wypreparowane sprzedał, po 75 dolarów sztuka, instytucji naukowej za pośrednictwem pewnej firmy. Właśnie anonim z tej firmy naprowadził policję na ślad. Kiedy jej agenci weszli do „Holmes Castle”, pobledli na widok owego zamku grozy. Gości hotelowych, usypianych gazem, taśma transportowa przenosiła na stół operacyjny w podziemiu. Tam ciała były ćwiartowane. Miękkie części wędrowały do kwasu, kości do krematorium, a to co mimo wszystko pozostawało, do specjalnego „magazynu odpadków” w jeszcze niższym lochu. Biżuteria zaś i pieniądze do kieszeni lekarza-hotelarza. Delikatności dziennikarzy nie wystawia najlepszego świadectwa fakt przypominania w związku z tą aferą, iż Chicago jest światową stolicą rzeźni i przemysłu mięsnego.

Chicago jest także wciąż stolicą Polonii amerykańskiej (już w latach sześćdziesiątych minionego stulecia angielski pisarz Bennett nazwał je „przedmieściem Warszawy”, natomiast dawno już przestał być stolicą mafii, chociaż tutejszy „capo mafioso”, Anthony Accardo („Wielki Tuńczyk”), to rzeczywiście gruba ryba w podziemnym państwie, którego dochody równe są dziesiątej części dochodu narodowego USA. Za to od kilku lat Chicago dzierży ogólnoswiatowe berło w dziedzinie wysokościowego budownictwa.

Domy kilkunastopiętrowe znała już starożytność (Babilon i Rzym), co nie zmienia faktu, że ojczyznę „drapacza chmur” są Stany Zjednoczone, a dokładnie Chicago. Ameryka nie miała tradycji murarskich, ponieważ cegła i kamień wymagają kosztownej pracy rąk. Był to jeden z powodów, iż w USA bardzo wcześnie zaczęto stosować stosunkowo tanie szkielety stalowe (a później żelbetowe), które umożliwiają wznoszenie struktur drapiących niebo. Wypełnienie szkieletu (np. cegła) nie miało znaczenia konstrukcyjnego - dźwigała całą budowlę stalowa siatka, a tej można było nadawać bezprecedensowe wysokości. Do montażu na tych podniebnych wysokościach

ściągnano Indian ze stanów Utah i Idaho, z plemienia, które nie znało zawrotów głowy.

Pierwszym klasycznym wieżowcem był wybudowany w Chicago w latach 1883-85 17-piętrowy Home Insurance Building. Po nim przyszły inne. W roku 1893 sprawozdawca polskiego „Tygodnika Ilustrowanego” donosił z nad jeziora Michigan:

„Jeżeli Ameryka sama jest już krajem superlatywów, to Chicago stanowi superlatyw Ameryki. Co gdzie indziej jest dziwaczne i zdumiewające, tutaj jest już normalne. Jakkolwiek ulice są bardzo szerokie, niemniej skutkiem przerażających kolosów kamiennych, jakie na nich powznoszono, zdołano uszczuplić możliwe światło i powietrze oraz zaciemnić drogi komunikacyjne. Wszędzie niepokonana potęga wielkości (...) budują coraz wyżej i wyżej”.

Ten chicagoski pęd ku niebu szybko jednak został zahamowany. W roku 1900 władze miasta ograniczyły wysokość nowo wznoszonych budynków do 80 metrów, a w 14 lat później do 60 metrów. Wówczas, na ponad pół stulecia, prymat przejął Nowy Jork, czego symbolem stał się w 1931 roku 400-metrowy (102 piętra) Empire State Building. Po II wojnie światowej Chicago przystąpiło do kontrataku i rozpoczęła się jego walka z Manhattanem o berło wysokości. Co prawda najwybitniejszy amerykański krytyk i teoretyk architektury, Lewis Mumford, pisał: „Wieżowiec to żaden objaw postępu. Wysokie budynki należą do przeszłości i są efektem wiktoriańskiego sposobu myślenia. Wieżowce, które buduje się z zasady dla celów reklamowych, nie są ani wydajne, ani opłacalne - przeciwnie, są piekielnie nierentowne”, lecz to nie powstrzymało prestiżowego wyścigu.

Nowy Jork bronił się długo. W roku 1971 podniósł poprzeczkę do wysokości 412 metrów za pomocą dwóch bliźniaczych wież Centrum Handlu Światowego. Riposta Chicago była jednak miażdżąca: w roku 1974, kosztem 100 milionów dolarów, ukończono tam 450-metrowy budynek firmy Sears, Roebuck and Company (tak zwana „Wieża Searsa”), który obecnie króluje. Któż może wiedzieć na jak długo? Specjaliści twierdzą, że obecnie nie ma już technicznych przeszkód ograniczających wysokość struktur, co ma zapewne oznaczać, że gdyby ludzkość po raz drugi wzięła się do wznoszenia Wieży Babel, to tym razem byłaby zdolna dosięgnąć niebios. W dotychczasowych konstrukcjach stosunek szerokości do wysokości nie przekracza 1:20-35, podczas gdy natura daje nam przykłady takich relacji jak 1:100 (palma) czy nawet 1:200 (pszenica). Amerykanie Fuller i Wright, Niemiec Gabriel i inni przedstawili już projekty domów o półtorakilometrowej wysokości.

Stoimy z Jarkiem na widokowym piętrze „Wieży Searsa” i z wysokości prawie pół kilometra oglądamy i fotografujemy przez wielkie szyby to gigantyczne miasto, które nie ma jeszcze 150 lat, a już bardzo bogatą historię. Nie będę jej opowiadał (zainteresowanych dziejami Chicago odsyłam do

książki Wiktora Kryszczukajtisa *Jego ekscelencja miasto*), skończę tylko problem wieżowców, by dowieść, że Polacy wszędzie wetknęli swoją rękę. Amerykanie uwielbiają mieszkać nisko. Nie tylko oni, ale ich stać. Toteż tamtejsze „drapacze chmur” to głównie biurowce. Jednym z wyjątków są dwa pierwsze na świecie autentyczne (w przeciwieństwie do europejskich wysokościowców) mieszkalne „drapacze chmur” - bliźniacze „kukurydze” w chicagoskiej dzielnicy Marina City. Mają po 60 kondygnacji i słodki luksus w środku, a inicjatorem ich budowy był Charles Swibel, syn polskich emigrantów z Kieleccyzny.

Wieczorem żegnamy Chicago z myślą o wodospadach Niagary, gdzie również napotkamy zasługi Polaka, bo inaczej być nie może.

Jedziemy straszliwie drogim tollwayem nr 80/90. Obok nas śmiga jakiś zwariowany kamikaze: przez cały czas całuje siedzącą obok dziewczynę, ma twarz zwróconą policzkiem do kierunku jazdy, musi mieć więc trzecie oko w uchu! O godzinie dwudziestej pierwszej przekraczamy granicę naszego dwudziestego drugiego stanu, Indiany. South Bend, Elkhart, stale wzdłuż granicy stanu Michigan. Śpimy we Fremont.

Rano mamy tylko 40 minut jazdy do granicy naszego dwudziestego trzeciego stanu, Ohio. Wita nas tablica z napisem: „Speeding nie będzie tolerowany!”. Polecamy się Bogu i zapominamy o tablicy. Ciągle ten przeklęty tollway 80/90. Mijamy Zatokę Sandusky i suniemy równolegle do wybrzeży jeziora Erie. Przed południem docieramy do Cleveland. Wreszcie kończy się tollway, portmonetki zaczynają spokojniej oddychać.

Interstate nr 90. W ciągu niespełna godziny, między dwunastą a trzynastą, połykamy dwa kolejne stany, Pensylwanię (24) i New York (25). Droga się dłuży. Opowiadam Jerry’emu o życiu Napoleona, powoli zaczyna go to brać. Kiedy dochodzę do życia seksualnego, mój przyjaciel staje się bonapartystą i ma ochotę krzyczeć: „vive l’empereur!”.

Około piętnastej dobijamy, poprzez Buffalo, do Niagara Falls. Wjeżdżamy Nowym Mostem na Wyspę Kozią, utykamy wóz na parkingu-molochu i kierujemy się na chmurę białego pyłu wystrzeliwanego w powietrze przez wodospad - najślawniejszy na świecie. Jesteśmy dwiema mrówkami wśród 5 milionów turystów, którzy tego roku przyjadą obejrzeć Niagarę.

Wyspa Kozia oddziela wodospad amerykański (American Falls) od kanadyjskiego (Horseshoe Falls). Można je oglądać z dołu (zjeżdżają do podnóża wodospadów specjalne windy), z lotu ptaka (specjalna wieża obserwacyjna), ze wszystkich boków (mosty, w tym najślawniejszy, Międzynarodowy, zbudowany przez polskiego inżyniera, Kazimierza Gzowskiego), z lądu (specjalne platformy) i wody (specjalny stateczek, który bohatercko podwozi turystów pod ryczącą ścianę H₂O). Stateczek nosi nazwę „Maid of the Mist” („Dama Mgielna”), nawiązującą do nazwy „Queen of the

Mist" („Królowa Mgielna”), którą nosiła pewna beczka w roku 1901. W tej beczce leciwa już nauczycielka, Anna Edson Taylor, pierwsza „spłynęła” wodospadem (kanadyjskim) i nic się jej nie stało poza ogólnym poharataniem fizycznym i psychicznym. Spośród innych śmiałków, którzy w beczkach, stalowych pojemnikach, gumowych kokonach i wszelkiego rodzaju skrzyniach spuszczała się w tym gigantycznym kłozecie, nie wszyscy wyszli ze swoich opakowań cało, a niektórzy w ogóle nie mieli okazji wyjść. Nie wszystkim też akrobatom udało się sztuka przejścia nad Niagarą pod linie. Oba wodospady pochłonęły na skutek różnego rodzaju katastrof mnóstwo ofiar, w tym także zwierząt, pasjami bowiem spuszczano Niagarą tak zwane „Arki Noego” (łodzie wypełnione zwierzętami) - dla hecy! Dla hecy człowiek zrobi wszystko to, czego nie zrobiłoby najgorsze bydło.

Opisać Niagary nie sposób. Jak bowiem słusznie stwierdził John J. Audubon: „Wszystkie opisy i zdjęcia tego wodospadu są wobec rzeczywistości Niagary tym samym, czym robaczek świętojański wobec południowego słońca”. Można się natomiast zakochać w Niagarze miłością głęboką jak śmierć, w której jest coś z tej samej namiętności, którą romantycy czują do fatalnych kobiet, lub z „giocondolatrii” opętującej zmysły wielbicieli obrazu Leonarda.

W nadniagaryjskich osadach zapomniano już o tym dziwnym globtroterze, który szukając swego miejsca na ziemi przemierzył Azję, Afrykę i pół świata, aż w końcu znalazł to, czego szukał, w Niagarze. Nazywał się Francis Abbott i miał oczy pełne tajemnicy. Był samotnikiem. Dotarł nad Niagarę w czerwcu 1829 roku, wybudował sobie chatkę na Wyspie Koziej i zamieszkał w niej z psem, skrzypcami, gitarą i farbami do uwieczniania swej miłości. Często widywano go spacerującego po północy w białej chmurze unoszącej się nad wodospadem. Rankiem 10 czerwca 1831 roku ujrzano go kąpiącego się u stóp American Falls. W południe widziano go ciągle pływającego. Późnym popołudniem zobaczył go w tym samym miejscu przewoźnik - ostatni człowiek, który widział Abbotta żywego. Ciało zagadkowego pustelnika znaleziono kilka dni później, makabrycznie zdewastowane po miłosnej nocy spędzonej ze straszliwą kochanką. W jego domu panowała kompletna pustka. Zniszczył wszystko, łącznie z obrazami, które namalował, i poezjami, które napisał, jakby chciał oddać się jej w pełni uwolniony z więzów łączących ze światem.

Tak oto opisałem wam Niagarę i myślę, że lepiej nie można.

Wieczorem zegnamy wodospady i rozglądamy się za drogą do Nowego Jorku. Drogę wybrała Maryla Rodowicz: tollway od Cheektowaga do Syracuse. Dalej interstate 81. Zauważamy - to już tradycja - że znowu przeoczyliśmy zmianę stref czasu, wczoraj w Indianie. Zbyt często się zmieniają. Jesteśmy teraz w czasie wschodnim, a więc o godzinę później. Przed Whitney Pt. zasypiamy na Rest Area.

Następnego dnia rano, już po godzinie jazdy, tuż za Binghamton, wjeżdżamy

ponownie do Pensylwanii. Scranton, Stroudsburg i jesteśmy w naszym dwudziestym szóstym stanie, New Jersey, na interstate nr 80. Blisko do Nowego Jorku. Ale zanim tam dojedziemy, spotka nas jeszcze jedna przygoda, już ostatnia. Zawiniona przeze mnie.

Między Columbia a Allamuchy, na łączniku dwóch kierunków highwayu, stoi samochód State Police. Jarek ostrzegł mnie wielokrotnie:

- Nigdy nie patrz na policję, gdy ich mijamy!

Zapomniałem, zrobiłem to odruchowo. Przez sekundę patrzyłem w twarz „copowi” siedzącemu przy kierownicy. Idiotyczny błąd. Zaraz potem drugi: gdy policjant wyjechał na highway, kilkadziesiąt metrów za nami, obejrzałem się!

Jedzie bez świateł i syreny, a więc chyba nie ściga za speeding? A jeśli, to chyba nie nas, może tego brązowego Pontiac, który nas wyprzedził? Pocieszamy się tak aż do momentu, kiedy wóz policyjny zrównuje się z nami i dostajemy znak, żeby zjechać na pobocze. Zjeżdżamy. Policjant, młody i wysoki, o twarzy trochę podobnej do Clinta Eastwooda, tylko że przystrzyżony na jeża, wychodzi ze swojego wozu z rewolwerem w dłoni. Nic bulwersującego, zdążyliśmy się już przyzwyczaić. W tym kraju zdarza się, że „cop”, jeśli jest sam, wyjmuje z kabury sześciopalcowego kumpla i już nie jest sam.

- What's wrong? (o co chodzi?) - pytamy.

- Nic, tylko zrobiliście mnie nerwowym. Wyłazić z wozu z rękami do góry!

Wychodzimy. Scena jak w tanim filmie wojennym, tylko że tym razem z widowni wskoczyliśmy na ekran. Przejeżdżające samochody zwalniają, jest widowisko. Policjant ustawia nas tak, by żaden nie zginął mu z pola widzenia.

- Obejdz samochód z tej strony!... Ty tam!... A ty tutaj!

Rewiduje nas od strony pleców, klepie po ubraniu. Wyciąga mi z kieszeni chustkę do nosa, chociaż nie wygląda na to, by miał katar. Czuję się jak pajacyk w teatrzyku i jestem wściekły. Każe pokazać dokumenty, najpierw mnie. Podchodzę do wozu, wsadzam rękę do torby, na dnie której leży paszport i wyciągam go powoli, niezmiernie powoli, patrząc mu w oczy i myśląc: „Tylko nie strzel, durniu, nie rusz tym paluchem na spuście, bo ja wyjmuję paszport, a nie spluwę!”. Dopiero co czytaliśmy artykuł o nerwowych policjantach, którzy zbyt szybko decydują się na strzał do kontrolowanych i potem mają o to procesy. Ale ci nerwowi są żywi, ci mniej są w ziemi. Tylko w Kalifornii w 1977 roku 413 policjantów zostało zabitych lub ranionych przez kierowców, którzy zamiast dokumentów wyjęli broń. Policjant, który podejmuje niewłaściwą decyzję, może być wkrótce „bardzo nieżywy”.

Obejrzał paszport. Już powinien się zorientować, że nie jesteśmy gangsterami i dać nam spokój. Minę ma trochę niewyraźną, ale dalej ciągnie swoją komedię. Każe Jarkowi otworzyć walizkę. Ten otwiera ją dnem do góry (!) i cała kupa szmat, brudne ubrania, książki, filmy etc., wysypują się piramidą

na siedzenie. Myślę, że mój przyjaciel zwariował, ale kiedy już „cop” odejdzie bez słowa przeprosin, Jerry pokaże mi, dlaczego to zrobił. Odsuwa stos na bok i widzę olbrzymi, czarny pistolet, flower-zabawkę, ale wyglądający jak najprawdziwszy „gnat” bandziora. Leżał w walizce na wierzchu, więc gdyby Jarek otworzył wieko, policjant na widok broni mógłby zareagować tikiem w palcu, żeby być jeszcze bardzo żywym jutro. Klnąc, upychamy zawartość walizki.

W dwie godziny później jesteśmy w Nowym Jorku u znajomego inżyniera hutnika i u rodziców Lalki.

Nowy Jork. Już po naszym wyjeździe ze Stanów Dudley Fishburn napisał w „The Economist”: „Niezależnie od jakichkolwiek decyzji podjętych gdziekolwiek - do końca bieżącego wieku Nowy Jork pozostanie pierwszym miastem naszego globu”. Czyż może być dumniejsze „naj”? Ale to jest prawda i wcale nie przez obecność centrali ONZ, lecz chociażby z powodu najwspanialszych muzeów świata (także pod względem architektonicznym - na przykład Guggenheim Museum, arcydzieło Franka Lloyd Wrighta) i ożywczego życia kulturalnego. To miasto jest bezsprzecznie stolicą Ziemi.

A przecież jeszcze nie tak dawno to miasto, najbardziej na świecie zróżnicowane pod względem geograficznym i społecznym, uważane przez większość Amerykanów za kawałek zagranicy, było na skraju przepaści. W roku 1964 R. J. Whalen opublikował na łamach miesięcznika „Fortune” dramatyczny artykuł o Nowym Jorku, pod tytułem: *Miasto, które samo się unicestwia*. Napisał tam:

„Powodem rozlicznych kłopotów są nie tylko trudności gospodarcze, lecz także nieustanny niepokój ludzi, niewygodna i udręka, które stały się nieodłączną częścią składową pejzażu, bardziej niebezpieczną niż hałas i brud. To miasto zmierza w kierunku samozniszczenia”.

Z kolei Philip Hauser, socjolog z Uniwersytetu w Chicago, stwierdził:

„Gdy mowa o powrocie do praw dżungli, to Nowy Jork jest właśnie miastem, które w tym przoduje”.

A jego nowojorski kolega po fachu, profesor Nathan Glazer, dodał:

„Londyn i Tokio mówią, że mają problemy. Na ich miejscu szalelibyśmy ze szczęścia. Nam grozi zniszczenie całej struktury społecznej!”.

Całym Stanom Zjednoczonym i całemu światu wydawało się, że Nowy Jork - będący w USA personifikacją wszelkiego zła - wkroczył nieuchronnie na drogę upadku. Prezydent Ford zyskał uznanie w waszyngtońskim klubie prasy, gdy oświadczył, że nie da centa na ratowanie Nowego Jorku (działo się to w tym samym dniu, kiedy przejeżdżycywszy się powitał Anwara Sadata jako... prezydenta Izraela!). Czołówka dziennika „Daily News” brzmiała wówczas: „Ford skazuje miasto na śmierć!”, a nie cierpiąca Nowego Jorku prowincja drwiła z satysfakcją: „Za długo śpiewałeś, koniku polny!”.

A potem nagle - jak w filmie o miłości - Nowy Jork stał się panną młodą, dziewicą, która wyprowadziła się z burdelu. Carter i Izba Reprezentantów potężnymi zastrzykami pieniędzy wyciągnęli miasto z kryzysu ekonomicznego, a prasa nazwała je „największą nową gwiazdą Hollywoodu”. W USA jest to najwyższy komplement. W ciągu zaledwie dwóch lat: „ustąpiły ponure nastroje, zmieniły się też same realia miasta. Obecnie Nowy Jork jest miastem zadziwiająco przyjemnym do mieszkania i staje się coraz bardziej stolicą świata” (Fishburn). Nowy burmistrz Nowego Jorku, syn żydowsko-polskich emigrantów, Ed Koch, mruczy zadowolony do dziennikarzy: „Czy znacie drugie takie miasto? Czy widzieliście gdzieś na świecie coś, co można porównać z Manhattanem? Nie”.

Wędrujemy z Jerrym po Manhattanie. To największe na globie skupisko „drapaczy chmur”, wyrosłe na skale kupionej od Indian w roku 1626 za 60 guldenów (24 dolary), miało najgorszą prasę: „Ze wszystkich wrogich środowisk rzucających wyzwanie męstwu człowieka, tylko niewiele okazało się tak niemożliwymi do opanowania, jak to jedno, które człowiek stworzył sam dla siebie - 23 mile kwadratowe Manhattanu!” - pisał „Time”. Obecnie brytyjski literat, lord Clark, w wypowiedzi dla „The Sunday Times Magazine”, uznał Manhattan za jeden z 7 cudów świata (obok piramidy Cheopsa, Wenecji, Wieży Eiffla, świątyni Taj-Mahal, wulkanu Fudzi-jama i samolotu Concorde) - i niech mu zaprzeczy ktoś, kto się przespacerował ulicami Manhattanu bądź obejrzał Manhattan od strony morza! Manhattan jest tak bosko monumentalny, że należy przed nim klęczeć i milczeć.

Owszem - obok są Harlem, Chinatown, mafia, podziemne imperium włóczęgów (odkryte w korytarzach biegnących pod miastem przez reporterski zwiad „New York Timesa”), jedna z największych na świecie szkół żebraków prowadzona przez tajemniczego „Omara” i jeszcze mnóstwo innych brudów i cieni, lecz żadne miasto świata nie jest od nich wolne, a różnice polegają tylko na odmienności lokalnego folkloru. Nowojorski Manhattan jest ucieleśnieniem całej amerykańskiej sagi o dążeniu do „naj”, równie genialnej, co obłąkanej, bo w każdym calu ludzkiej, wyrażającej największe atawistyczne marzenie człowieka o wielkości.

Z tym marzeniem płynął przed laty człowiek, od którego się zaczęło, admirał Krzysztof Kolumb. Powinni go kochać nie tylko Włosi. W Nowym Jorku jest aż 5 jego pomników. Tylko że pracownicy miejskiej „stacji obsługi nieśmiertelnych” niemal bez przerwy zmywają i zeskrobują z tych pomników nieprzyzwoite napisy, które pojawia i się znowu natychmiast po ich usunięciu...

Zapinamy ostatnie guziki naszej podróży. Jutro trzeba będzie wejść na pokład samolotu i powrócić do domów, rodzin, obowiązków - na pokład jawy. Koniec balu, panowie, zamykamy powtórkę z beztroskiego szczeniactwa!

Czyśmy ją zdali?

Pożegnać Nowy Jork trzeba samemu, najlepiej o mglistym świcie, kiedy półmartwe miasto jest tylko twoje. Niskie domki jak skulone zwierzęta śpią w cieniu Manhattanu, który piętrzy się w oddali niczym ogromny katafalk, a wszystko, co go otacza, jest pogrążone w bezruchu i nasyczone hardymi snami ludzi, którzy we dnie biją czołem przed codziennością. Noc wymiotła z ulic wszelki gwar, jest pusto i chłodno. W ruderach i pałacach sny ukrzyżowały łany współdziałowców „naj”. W szarym powietrzu mającą zarysy wspomnień o przebytej drodze. Słyszeć każdy krok.





ZAKOŃCZENIE

PODUSZKA FIRMY *MODERN PILLOW Co.*

Jeszcze tylko kilka słów, Jerry, żeby zagłuszyć to wstrętne uczucie po jedynym podłym czynie, jaki popełniliśmy podczas całej naszej wielkiej podróży, gdy na krańcu porzuciliśmy przyjaciela - „junka” Fairlane’a 500. Miałem wrażenie, że upodabnam się do tych ludzi, którzy porzucają swoje psy, kiedy te nie mieszczą się im w rozkładzie dalszej jazdy. Ale cóż innego mogliśmy zrobić?! Nawet nie można mu było życzyć szczęścia, bo czekał go już tylko cmentarny stos złomu.

My mieliśmy wielkie szczęście na tej drodze, na której w ciągu niespełna miesiąca zobaczyliśmy sto miejsc godnych zadumy, przeżyliśmy sto przygód opisanych i nie opisanych, zaryzykowaliśmy sto razy jak samobójcy i zapracowaliśmy na sto mandatów, a zapłaciliśmy tylko jeden. Szczęście jest ważne, nie wolno zapomnieć zabrać go w drogę. Napoleon zawsze, przeglądając listę oficerów przedstawionych do awansu generalskiego, dopisywał z boku przy tych, o których nie wszystko wiedział: „Czy ma szczęście?”.

Czy my wiemy wszystko o sobie z tamtego miesiąca? W zbyt wielkiej gorączce połykaliśmy kontynent. Kim byliśmy w ciągu tych dni na szlaku? Jeśli prawdą jest, że zajmowanie się wyłącznie jednym celem, koncentracja - na granicy choroby - wszystkich zasobów ciała i psychiki na jednej drodze, czyni z jednostek rodzaj maniaków, „samotnych zabójców”, to my byliśmy tacy, chociaż nie robiliśmy nic poza przenoszeniem się w przestrzeni, jak wszyscy ci utrzymujący się przy minimum pracy w dawnych wiekach: wróżbici, żebracy, posłańcy zakochanych, wrywacze zębów, donosiciele, grajkowie, prorocy i szamani, magicy i hipnotyzerzy.

Nie wiem, jaki ty przywiozłeś sobie talizman z tej podróży. Ja zabrałem te małą poduszkę wyprodukowaną przez *Modern Pillow Company*, na której spałem podczas nocy spędzonych w samochodzie. Trudno uwierzyć, ile może się zmieścić w takim jaśku. Kilka rezerwatów, kilkadziesiąt miast i osad, forty i domy, rzeki, lasy i kasyna, Disneyland i Hollywood, więzienie w Yumie, El Alamo, śmierć Elvisa, rewolwerowcy i czerwonoskórzy, największa rzeźba świata i mała księgarnia w Nowym Orleanie. Wszystko. Czasami przykładam do niej głowę i zasypiam z tym spokojem człowieka, który pielgrzymką do Mekki spłacił część swego długu Allahowi. Ta wypchana wspomnieniami poduszka po latach przypomni mi, że byłem młody. Młodość ma się tylko raz. Ale jeśli zostają z niej takie poduszki - raz wystarczy.



କର

ILUSTRACJE



Księgozbiór DiGG

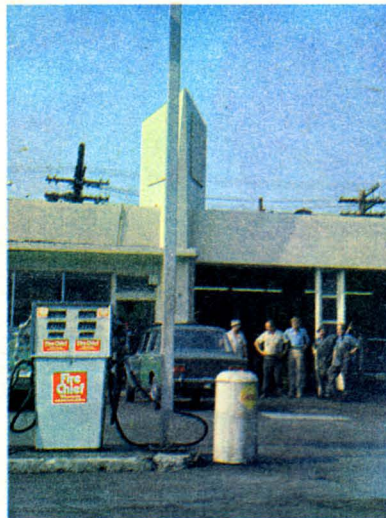


2011



Jerry Chlebowski obok „junka” na pustym highwayu (fot. W. Lysiak)

Widok ze szczytu najwyższego budynku świata (Sears, Roebuck and Co.) na śródmieście Chicago i Jezioro Michigan (fot. W. Lysiak)



Po lewej: Walowski Service Station – w środku stoi Jarek, obok niego, w białej koszuli, pan Karol.
Po prawej: bliźniacze „kukurydze” najwyższych mieszkalnych wieżowców świata w Chicago
(fot. W. Lysiak)

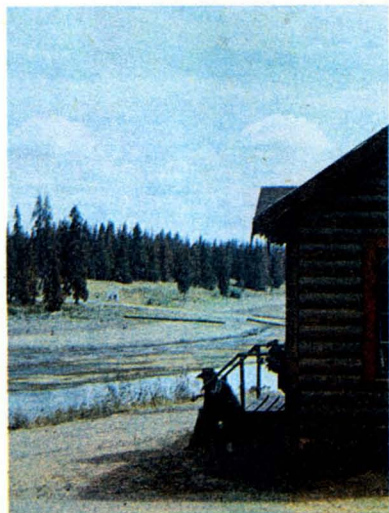


Po lewej: rezerwat Pine Ridge. Po prawej: pomnik grobowy Wielkiej Stopy na cmentarzu Wounded Knee (fot. W. Lysiak)





Po lewej: pomnik Hickoka w Deadwood. Po prawej: traperska chatka w głębi puszczy, w stanie Idaho (na schodach siedzi autor) (fot. W. Łysiak)



Indiańscy turyści przy pomniku generała Custer a wieńczącym pole bitwy nad Little Big Horn (fot. W. Łysiak)

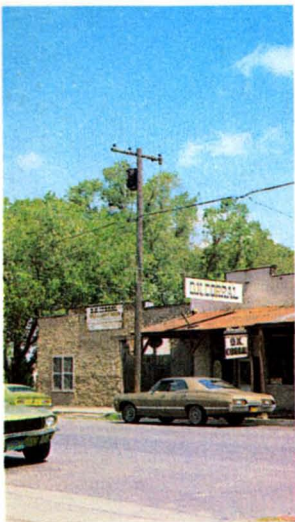


Po lewej: Binion's Horseshoe Casino w Las Vegas. Po prawej: zaplecze Weight Station, na której rozpoczął się wyścig z policją (fot. W. Łysiak)

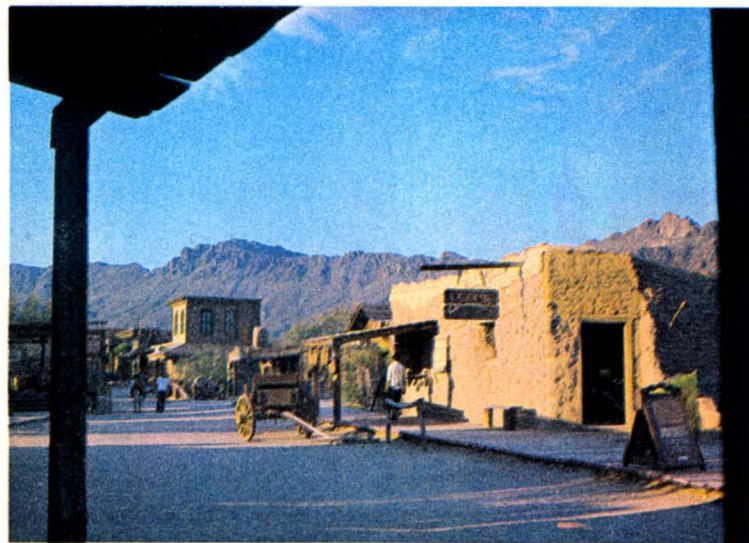


Po lewej: Disneyland. Po prawej: samotne, czerwone skały na pustyni Arizony (fot. W. Łysiak)





Po lewej: wejście do O. K. Corral w „mieście bezprawia”, Tomstone.
Po prawej: główna wieża strażnicza więzienia w Yumie (fot. W. Łysiak)

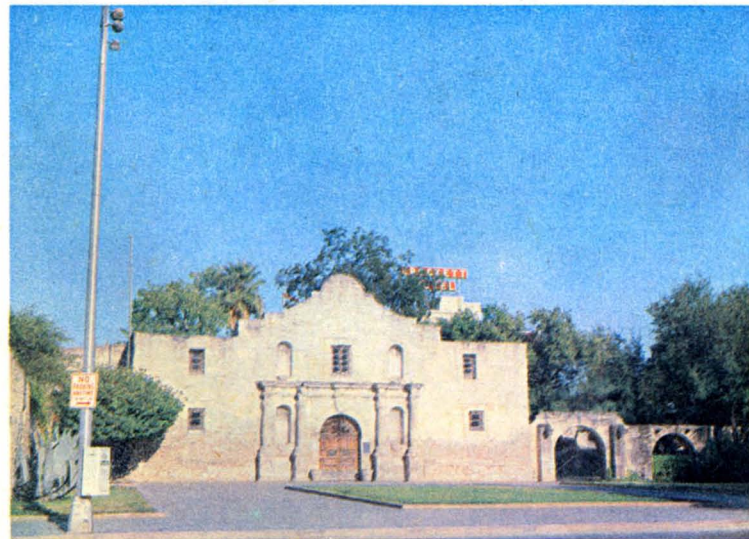


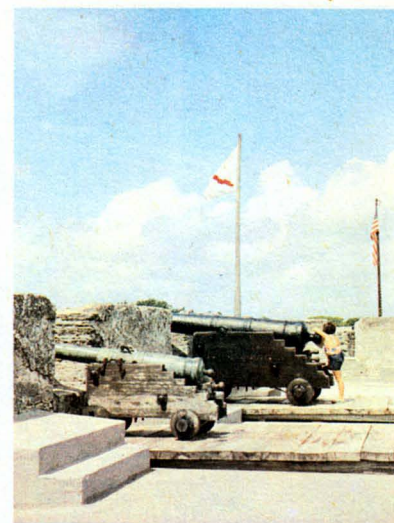
Westernowa „main street” (ulica główna) w Old Tucson (fot. W. Łysiak)

Tak zwany Nowy Dziedziniec „Czarciej Jamy” – w głębi okratowane wejścia do cel (fot. W. Łysiak)



„Teksaskie Termopile” El Alamo (fot. W. Łysiak)





Po lewej: dwaj mali Apacze w rezerwacie San Carlos. Po prawej: Mauzoleum Elvisa Presleya na cmentarzu w Memphis (fot. W. Łysiak)

St. Augustine na Florydzie. Po lewej: najstarszy zachowany budynek szkolny w USA. Po prawej: sędziwe działa na murach najstarszego zamku, Castillo de San Marcos (fot. W. Łysiak)

Zespół jazzowy grający nocą w jednej ze starych uliczek Nowego Orleanu (fot. W. Łysiak)

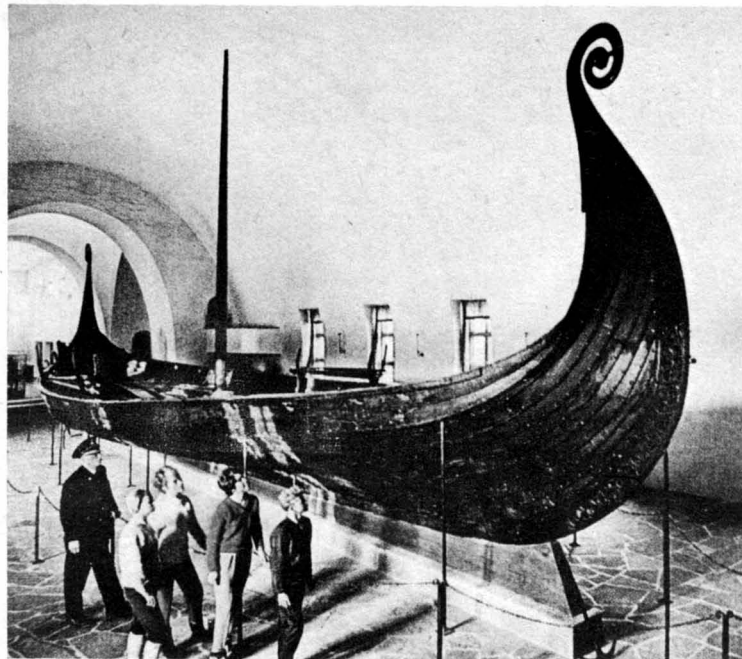
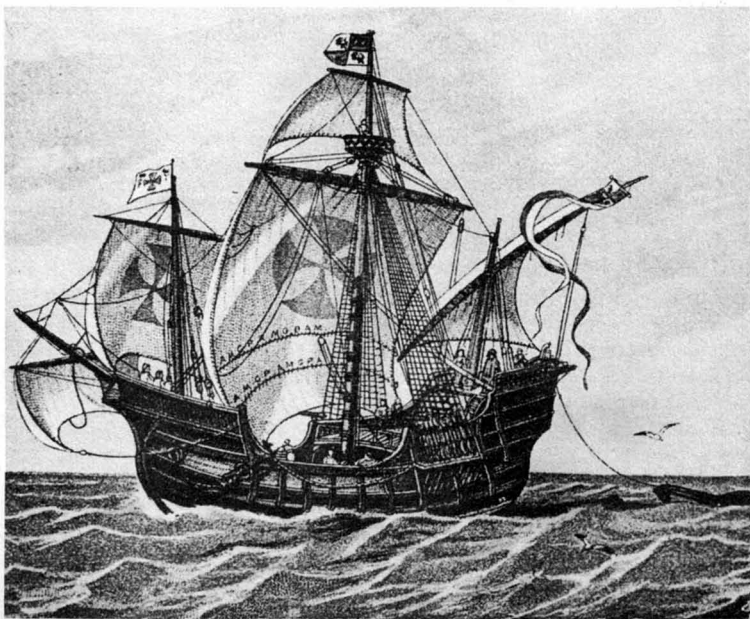
Niagara – kaskada American Falls (fot. W. Łysiak)





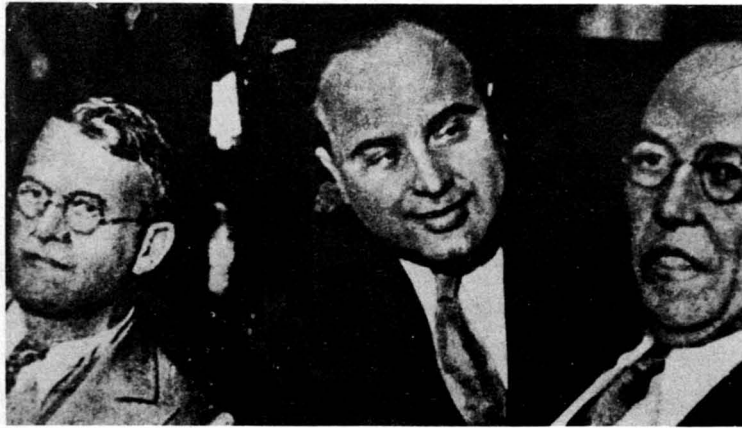
Geneńczyk Krzysztof Kolumb (z lewej) i Polak, Jan z Kolna, który był w Ameryce przed Kolumbem

„Santa Maria” – okręt, na którym Kolumb wziął udział w „Atlantic rally”



Liczący około 1100 lat statek wikingów znaleziony w Oseberg (Muzeum Okrętów Wikingów w Oslo)

Al Capone (w środku) podczas procesu, w otoczeniu swoich adwokatów





Wódz Kintpuash vel „kapitan Jack” (z lewej) i Wódz Józef-Grzmot - wędrujący-po-górach



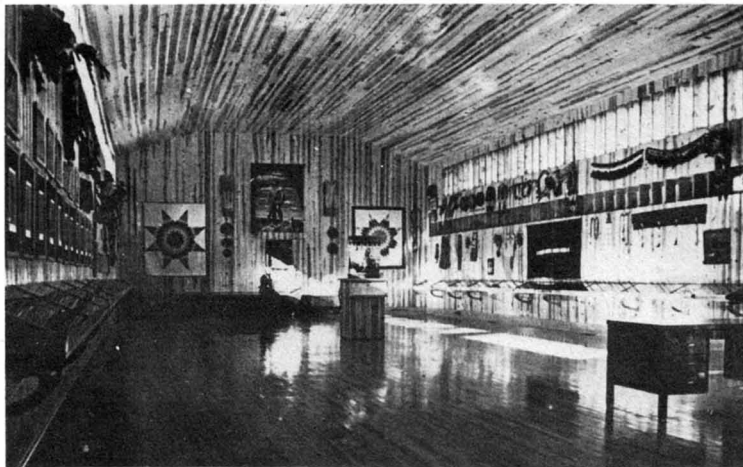
Grób indiański odkryty na szczycie jednej z Gór Czarnych

Wódz Czarny Jastrząb i jego syn sportretowani w niewoli, w roku 1833



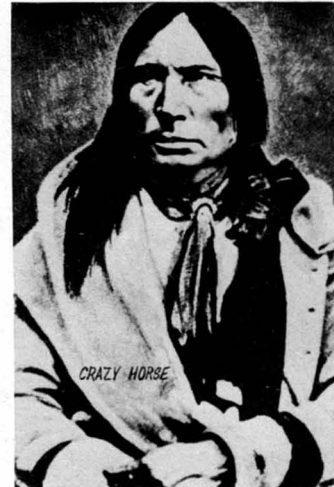
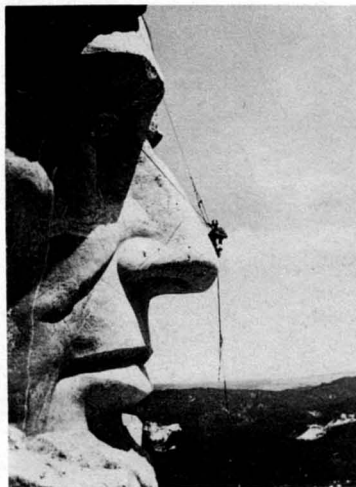
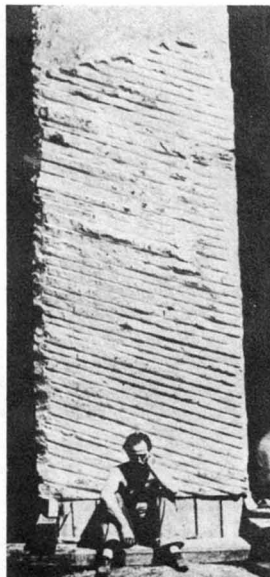
„Indiańska wdowa” (obraz Josepha Wrighta z roku 1785 w Derby Museum and Art Gallery)





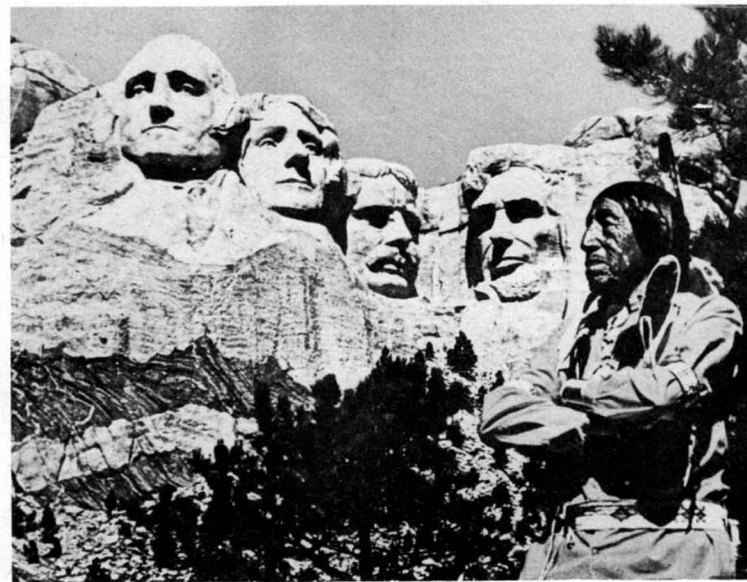
Wnętrze-urządzone przez Korczaka Indian Museum of North America

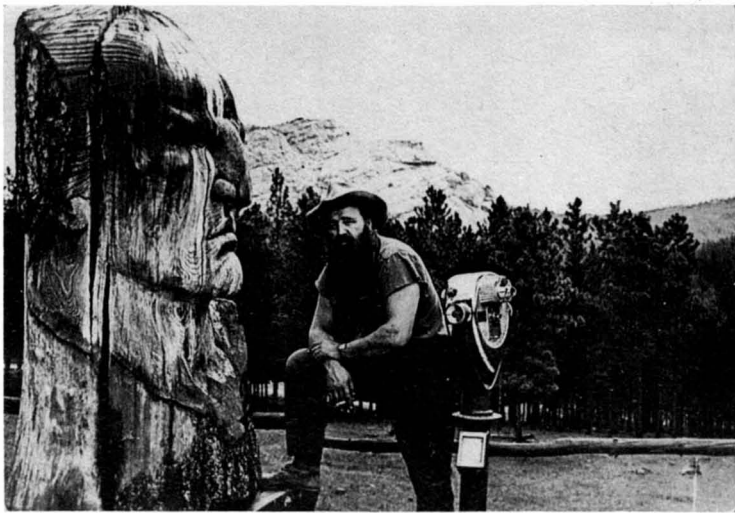
W Wounded Knee Siuksowie bronili się nożami przeciw karabinom (po lewej: obraz Jacka Hayesa).
Po prawej: młody Korczak Ziółkowski siedzący pod kilkudziesięcioletnim blokiem marmuru
gotowym do rzeźbienia



Po lewej: Mount Rushmore, twarz Lincolna. Po prawej: jedyne istniejące zdjęcie Szalonego Konia

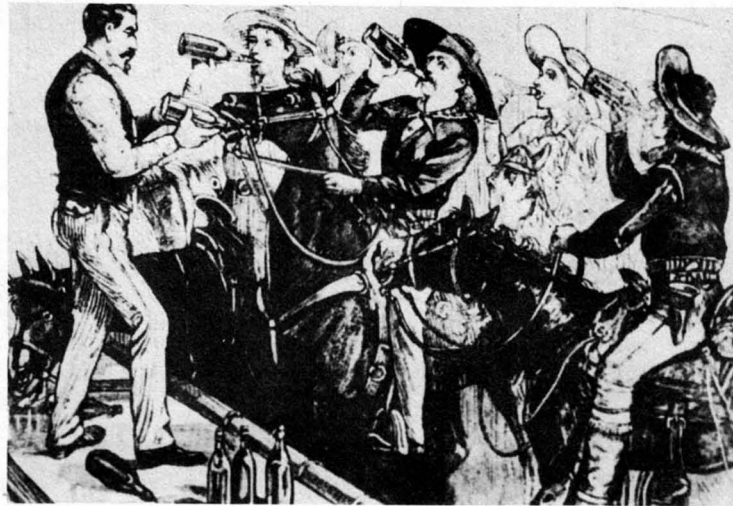
Wykute w skałach Mount Rushmore twarze czterech prezydentów. Na pierwszym planie po prawej
Wódz Black Elk





Korczak i wyrzeźbiona przez niego z pnia wielkiej sosny głowa Szalonego Konia.
W tle Mount Thunderhead

Korczak ze swoją rodziną. W tle gipsowy model posągu Crazy Horse'a



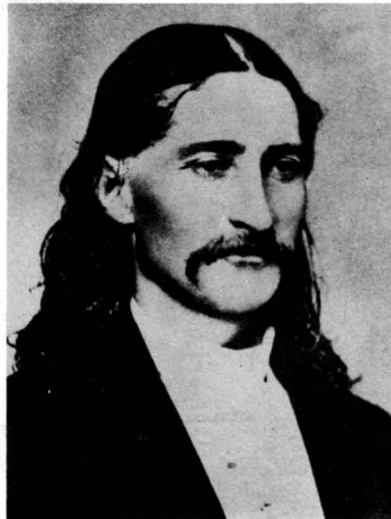
Kowboje w saloonie

Samuel Colt i jego bębenkowe „zabawki”, a wśród nich „sześciostrzzałowiec pogranicza”, najpopularniejsza broń Dzikiego Zachodu





Rewolwery Hickoka; po lewej w muzeum (dolny znaleziono w jego trumnie podczas ekshumacji), po prawej w dłoniach właściciela (rysunek N. C. Wyetha w deadwoodzkim Adams Museum)



Zdjęcie Hickoka (po lewej) i portret Calamity Jane pędzła Lea Mc Carty'ego

Główna ulica Deadwood. W głębi wieżyczka „Fairmont Hotel”



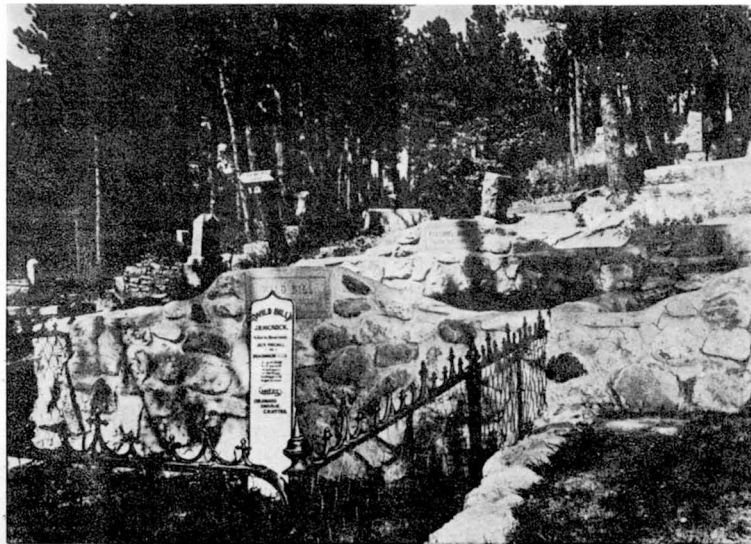
Mc Call strzela w plecy Hickokowi wykładającemu na stół „fulla śmierci”. Przy barze stoi w kapeluszu Calamity Jane (figury woskowe w Wax Museum)






Deadwood. Autor obok „Saloonu nr 10”, w którym zginął Hickok

Grobowce „Wild Billa” Hickoka (na pierwszym planie) i Calamity Jane (bepośrednio za nim) na deadwoodzkim Mount Moriah Cemetery



\$4,000 Reward
 WILL BE PAID FOR THE CAPTURE OF ROBERT LEROY PARKER
 DEAD OR ALIVE



Age, 36 years (1901)
 Height, 5 ft. 9 1/2 in.
 Build, Medium
 Color of hair, Fln
 Mustache, sandy #
 Occupation,
 Cowboy, Rustle
 Criminal occupati
 Loan robber & High
 cattle and horse th
 Two cut scars back
 ; small scar under
 eye, small brown
 ink call of leg.

ROBERT LEROY PARKER
 ALIAS
'BUTCH' CASSIDY

is known as a criminal principally in Wyoming, Utah, Idaho, Colorado & Nevada
 and has served time in Wyoming State Penitentiary at Laramie for grand larceny,
 but was paroled January 19, 1906. Wanted for robbery First National Bank,
 WINNEBAGO, NEVADA, September 19, 1900.

Plakaty gońcące oferujące nagrody za „żywych lub umartych” dwóch najslawniejszych członków „Dzikiej Bandy”

\$6,500 REWARD
 REWARD FOR THE CAPTURE DEAD OR ALIVE OF
 HARRY LONGBAUGH
 ALIAS
THE SUNDANCE KID



Age, 35 to 40 years
 complexion, dark,
 in the quarter breed
 Indian;
 Eyes, Black;
 Curves, Grecian type.
 Height, 5 ft. 9 in.
 Color of hair, Black.
 Mustache, black.

Nationality, Americ
 Weight, 165 to 170 lb
 Build, rather slim
 Nose, rather long.
 Occupation,
 Cowboy, Rustler.

Harry Longbaugh, alias THE SUNDANCE KID served 18 months in jail at
 Sundance, Cook Co., Wyoming when a boy, for horse stealing. In December,
 1892, the Sundance Kid, Bill Madden and Harry Bass, held up a Great North-
 ern train at Malta, Montana. Bass and Madden were tried for the crime, con-
 victed and sentenced to 18 and 14 years respectively.
 The Sundance Kid escaped and since has been a fugitive.

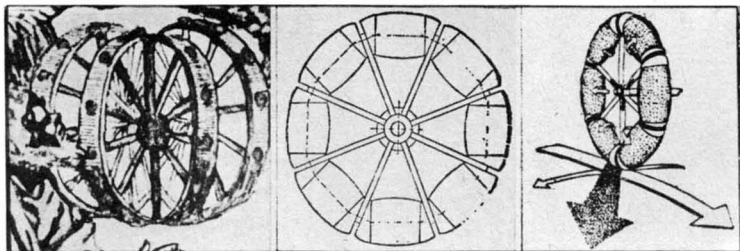
Dwie wielkie heroiny Old Westu: „Montana Belle” na plakacie gończym (z lewej) oraz „Poker Alice”

REWARD
\$10,000
 IN GOLD COIN!
 WILL BE PAID BY THE U.S. GOVERNMENT
 for the apprehension
DEAD OR ALIVE
 of
BELLE STARR



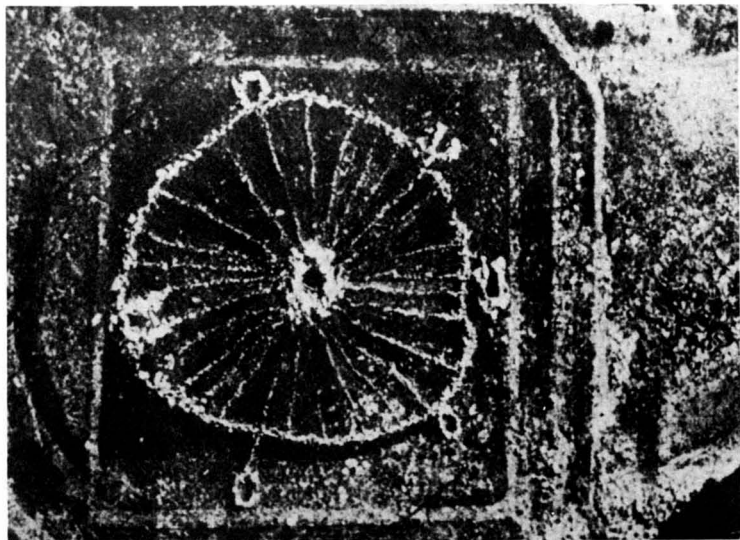
WANTED FOR ROBBERY, MURDER, TREASON AND OTHER ACTS AGAINST THE U.S.
 TROOP, CRAIG





Biblijne „kolo Ezechiela” (z lewej) oraz plan (w środku) i widok (po prawej) „kola Blumricha”

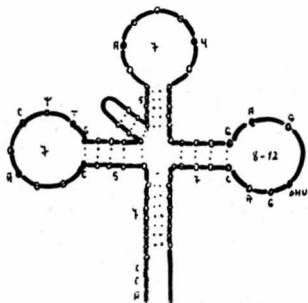
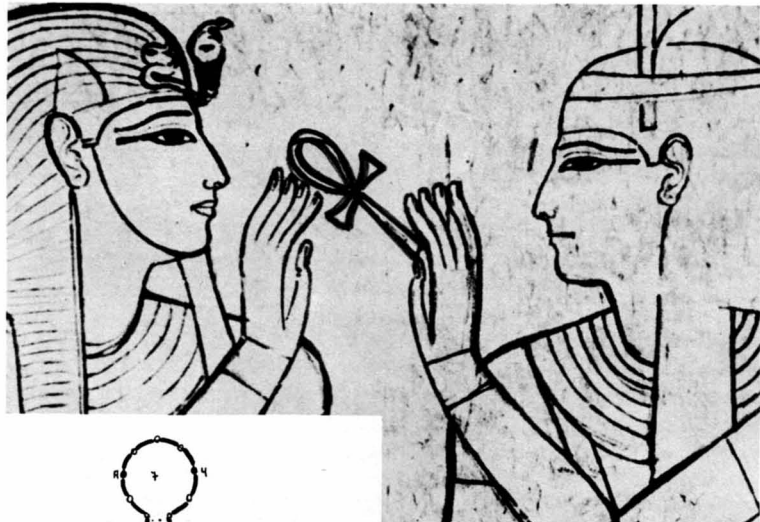
Dwa widoki (z lotu ptaka i z powierzchni ziemi) „Magicznego Kola” w górach Big Horn



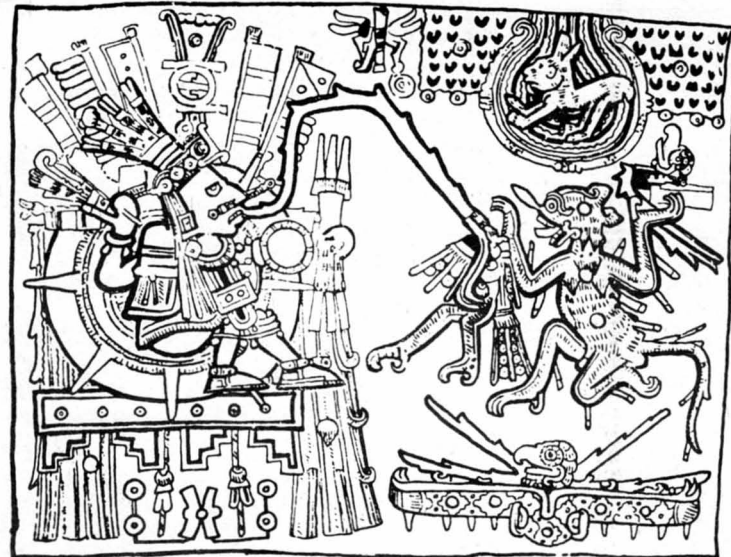
Po lewej: asyryjski bóg-nauczyciel w gwiazdnym kole. Po prawej: bóg przekazujący wiedzę człowiekowi (starosumeryjska pieczęć)

Po lewej: święty amulet „anch” na staroegipskim reliefie. Po prawej: krzyż Pachomiusza zamknięty w pętli „ancha”

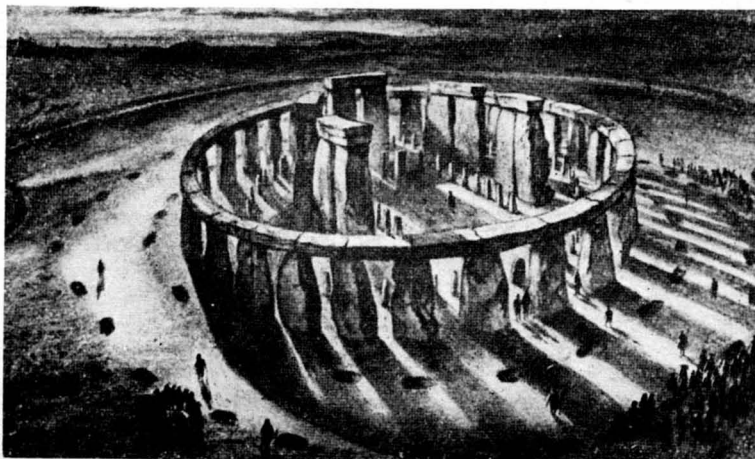




U góry: faraon Seti I przyjmuje „anch” z rąk bogini (plaskorzeźba staroegipska). Po lewej: graficzny obraz cząsteczki RNA. U dołu: rysunkowa rekonstrukcja Stonehenge



Staroamerykański rysunek z roku 1450 (u góry) i kalendarz aztecki w Muzeum Narodowym w Meksyku

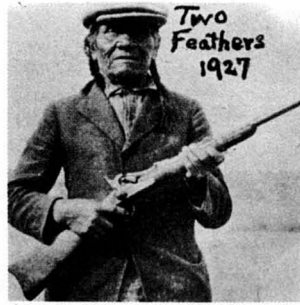
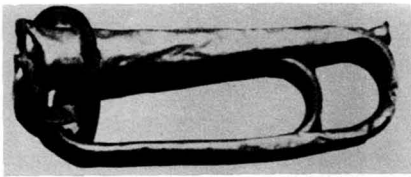




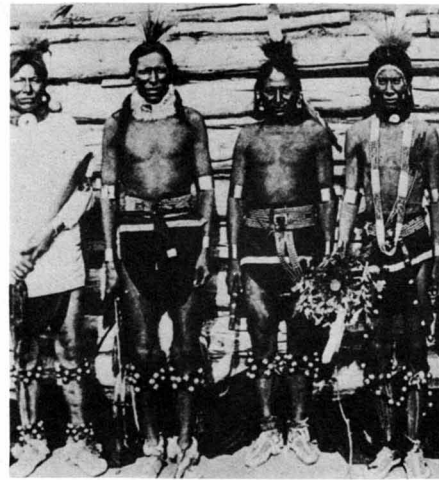
Po lewej: Erich von Däniken. Po prawej: buddyjskie „Kolo Życia”. U dołu: dyplom członkowski autora w AAS

Obraz J. K. Ralstona „Ostatnia nadzieja Custer” (jeździec w prawym górnym rogu) i grób anonimowego żołnierza, którego ciało znaleziono w pobliżu pola bitwy – prawdopodobnie to właśnie on miał sprowadzić Custerowi pomoc





W lewym górnym rogu: trąbka znaleziona na miejscu „ostatniej placówki” Custera. U góry: Two Feathers, indiański weteran bitwy nad Little Big Horn, sfotografowany w pół wieku później. Po lewej: general Custer. U dołu: cmentarz żołnierzy poległych w bitwie



Po lewej: Siuksowie, którzy pobili Custera, sfotografowani w roku 1879 w rezerwacie Standing Rock. Po prawej: gazeta z pierwszą wiadomością o klęsce nad Little Big Horn

Union-Extra.

THURSDAY, JULY 6, 11.30 A. M.

GREAT BATTLE WITH THE INDIANS.

Terrific Slaughter

GEN. CUSTAR'S COMMAND ANNIHILATED.

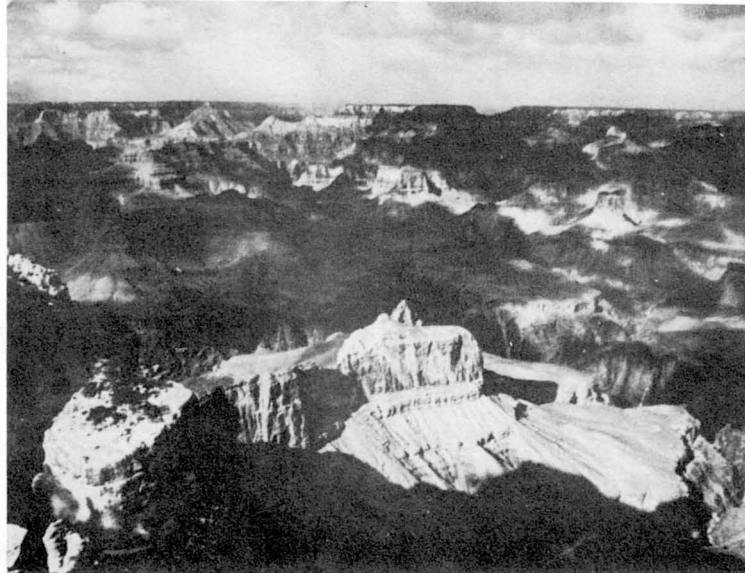
CUSTAR KILLED!

Three Hundred Dead Left on the Field.

Gen. Custer's Two Brothers, a Nephew, Brother-in-Law, and 17 Commissioned Officers Among the Killed.

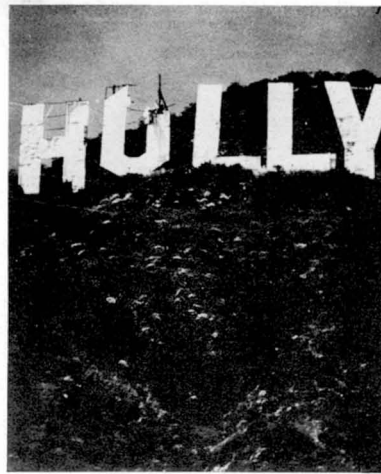
Special Dispatch to The Sun from Union. SULLY, Montana Ter., July 5.—Mag. Taylor, scout for General Gibbons, arrived here last night at 11 o'clock.

Wielki Kanion rzeki Colorado

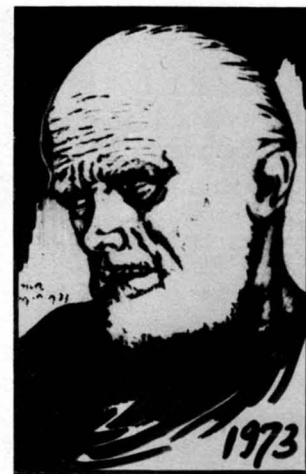




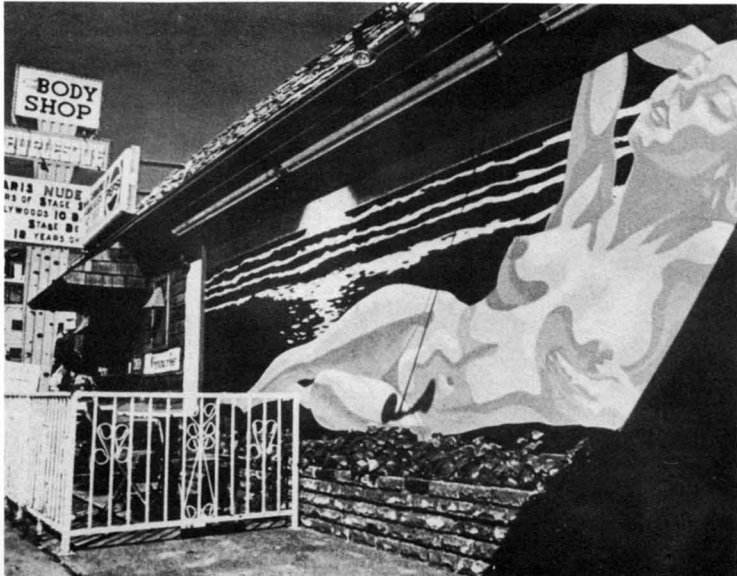
Kasyno Golden Nugget Gambling Hall w Las Vegas



Po lewej: gigantyczne litery napisu HOLLYWOOD na zboczu Mount Lee (napis ten został uznany za zabytek historyczny). Po prawej: Howard Hughes



Rozerotyzowana uliczka w Hollywood



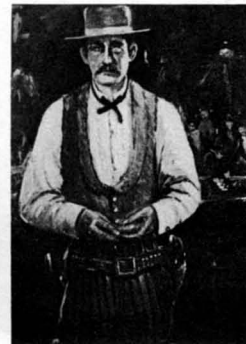
Po lewej: legendarny hollywoodzki „chodnik sławy”, na którym gwiazdy filmu odciskają w mokrym betonie swoje kończyny. Po prawej: Walt Disney



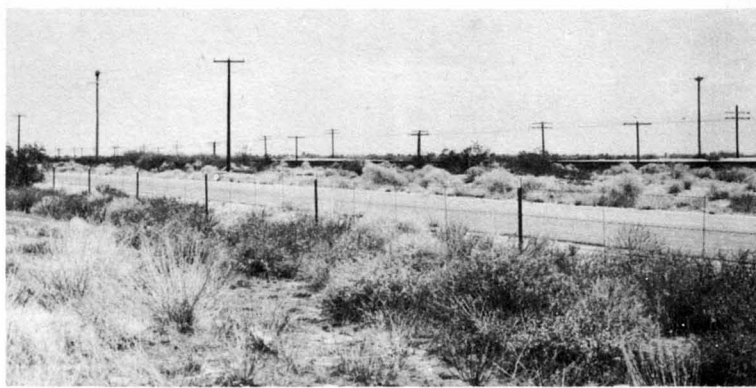


Królowa Śnieżka z krasnoludkami i Myszka Miki zabawiające dzieci w Disneylandzie

Disneyland – okręt piratów karaibskich w Krainie Przygód



Sławni rewolwerowcy Old Westu; od lewej do prawej w górnym rzędzie: Joaquin Murietta, Jessie James, Bill Longley, w środkowym rzędzie: King Fischer, Dave Mather i John Wesley Hardin, w dołnym rzędzie: Bat Masterson, Luke Short i Billy The Kid (pośmiertne portrety pędzla Lea F. Mc Carty'ego)

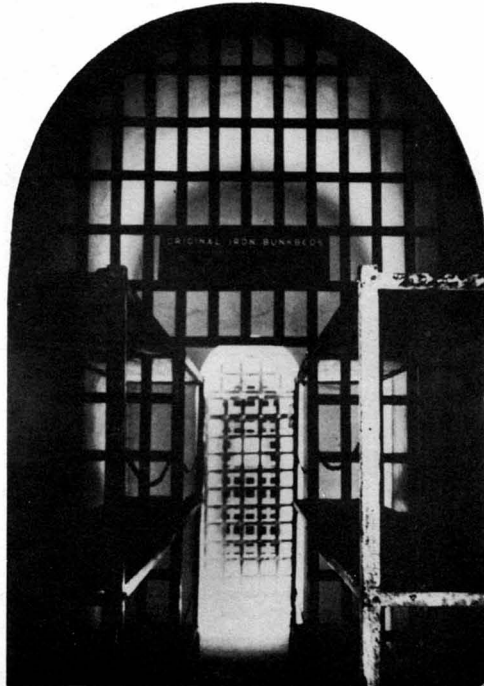


Biegąca przez pustynię Arizony linia kolejowa do Yumy

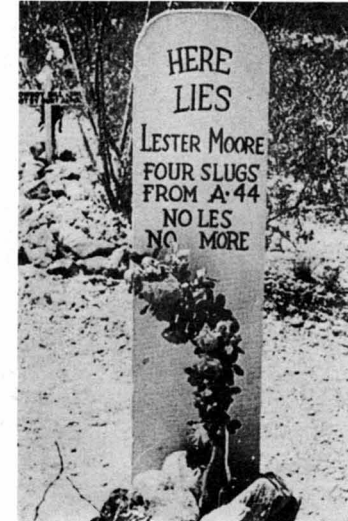
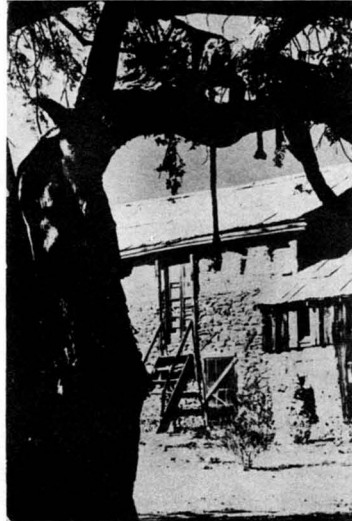


Pearl Hart pozująca do zdjęcia z karabinem (po lewej) i w więziennym „mundurku”

Po lewej: cela więzienna w Yumie. Po prawej, od góry do dołu: dyrektor Gates, Madora Ingalls i strażnik Hartlee



Po lewej: arizońskie „drzewo do wieszania”, na którym stacono dziewiętnastu ludzi. Po prawej: nagrobek Lestera Moore'a na cmentarzu w Tombstone



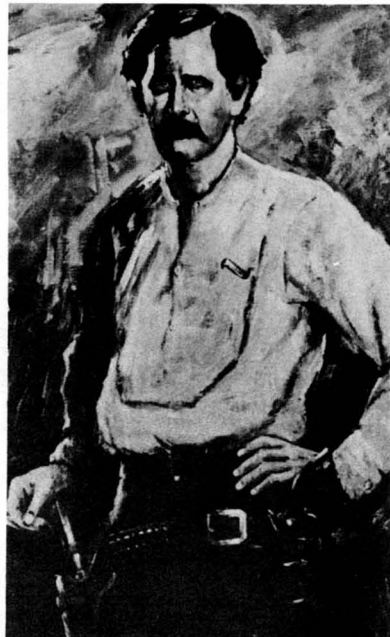
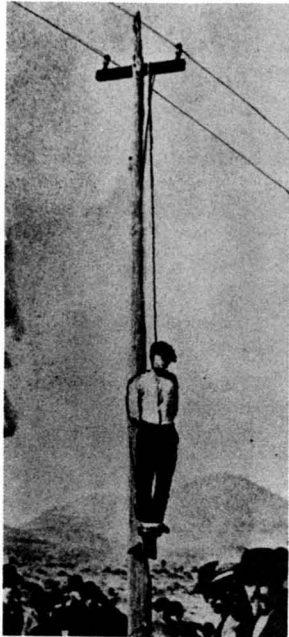


Ulica główna w „mieście bezprawia”, Tombstone

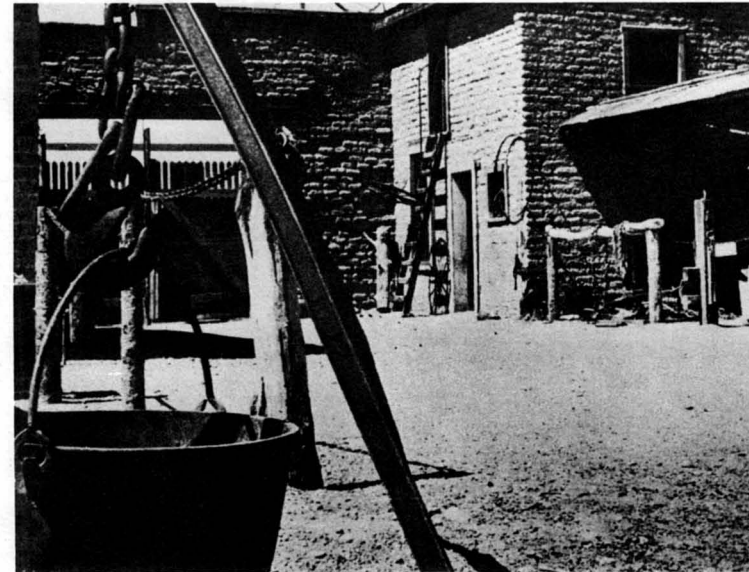


Uliczka w Tombstone. Napis na tabliczce głosi: „W tym miejscu Luke Short zabił Charlie Stormsa 25 lutego 1881 roku”

Po lewej: lincz w Tombstone w roku 1884. Po prawej: szeryf Wyatt Earp (portret Lea F. Mc Carty'ego)



Dziedziniec O. K. Corral – widok na bramę wejściową od ulicy głównej



Tombstone Epitaph.

THURSDAY MORNING OCTOBER 27, 1881.

Statement of Wyatt Earp

I was tired of being threatened by Ike Clanton and his gang. I believed from what they had said to others and to me, and from their movements, that they intended to assassinate me the first chance they had, and I thought if I had to fight for my life against them, I had better make

Billy "the Kid" CLAIBORNE

You were asked on your cross-examination if you were not sometimes called "the Kid" please explain how you came

YESTERDAY'S TRAGEDY at the OK CORRAL

Three Men Hurlled into
Eternity in the Duration
of a Moment.

Stormy as were the early days of Tombstone, nothing ever occurred equal to the event of yesterday.

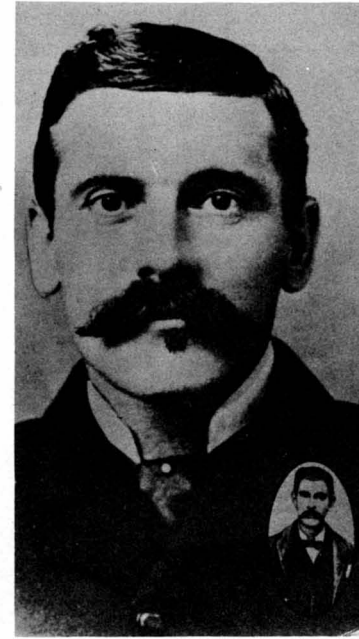
Strona tytułowa tombstońskiej gazety z pierwszą wiadomością o masakrze w O. K. Corral i z wywiadem Wyatt Earpa

Najszybszy strzelec Dzikiego Zachodu, doktor Holliday; z lewej portret pędzla Mc Carty'ego, z prawej dwa zdjęcia (to w dolnym rogu pochodzi z nagrobka „Doca”)



Tombstoński cmentarz – groby poległych w O. K. Corral Billa Clantona i braci Mc Lowery (Laury)

Strzelanina w O. K. Corral odlana z gipsu. Pod bramą stoją „Doc” Holliday i bracia Earpowie





Autor z Indianinem z plemienia Navajo

Po lewej: krajobraz Arizony. Po prawej: zamordowana przez Meksykańców córka Geronima („Apacka księżniczka” – obraz Dona Crowleya w Husberg's Fine Arts Gallery)



U góry: Geronimo i jego ludzie podczas postępu pociągu wiozącego Apaczów do więzienia. Po prawej: zdjęcie portretowe Geronima. U dołu: pocztówka z indiańskiego sklepu w rezerwacie San Carlos





Fronton klasztoru-fortu El Alamo



Po lewej: San Antonio – pomnik bohaterów poległych w Alamo. Po prawej: Davy Crockett



Dziedziniec wewnętrzny „Teksaskich Termopili”



Wykruszony przez czas portal wejściowy El Alamo

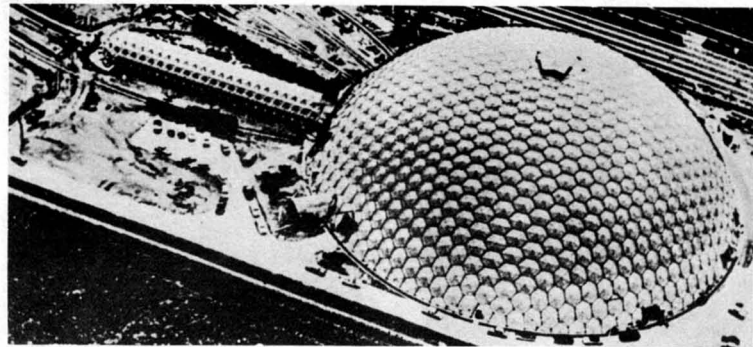




Po lewej: metoda Crocketta przekraczania brodów rzeki Missisipi (w jego „Almanachu dzikich sportów Zachodu i życia w leśnych ostępach”). Po prawej: metoda umierania Crocketta (jego śmierć w Alamo)

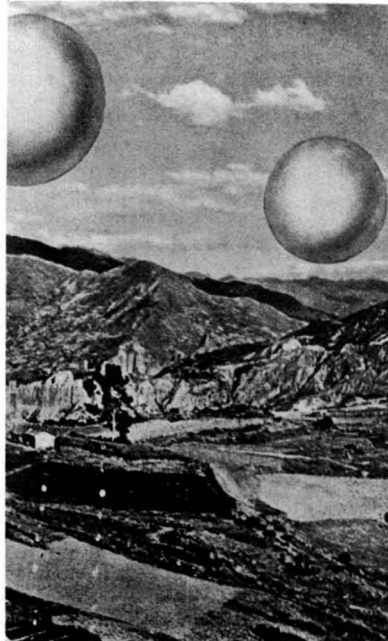


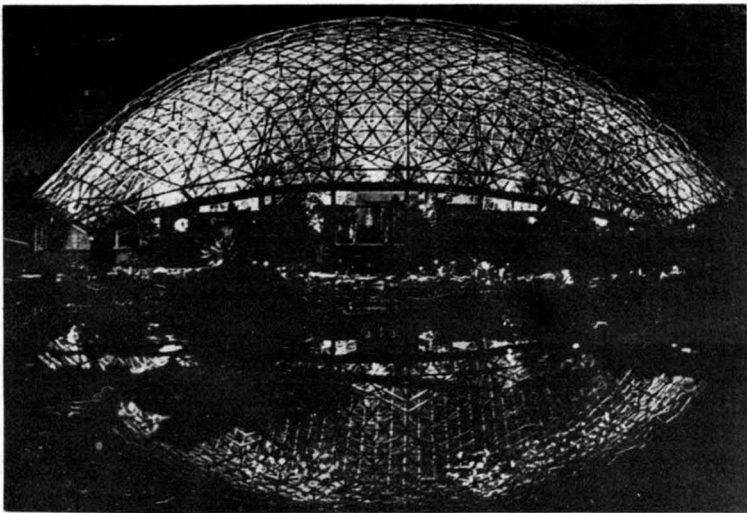
Wnętrze El Alamo – sala muzealna (Alamo Museum)



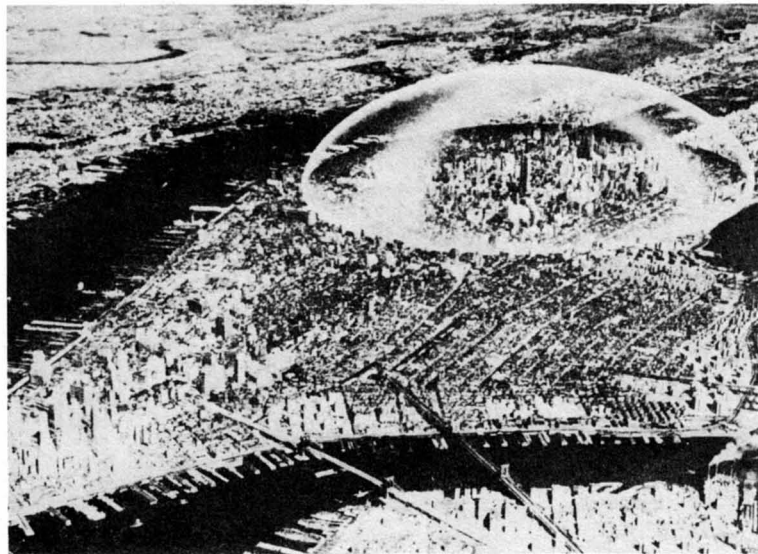
U góry: Fullerska kopuła w Baton Rouge. Po prawej: Soleri i makieta jego wizji urbanistycznej (obok, dla uzmysłwienia skali, makieta tradycyjnego wieżowca)

Fruwające miasta Fullera

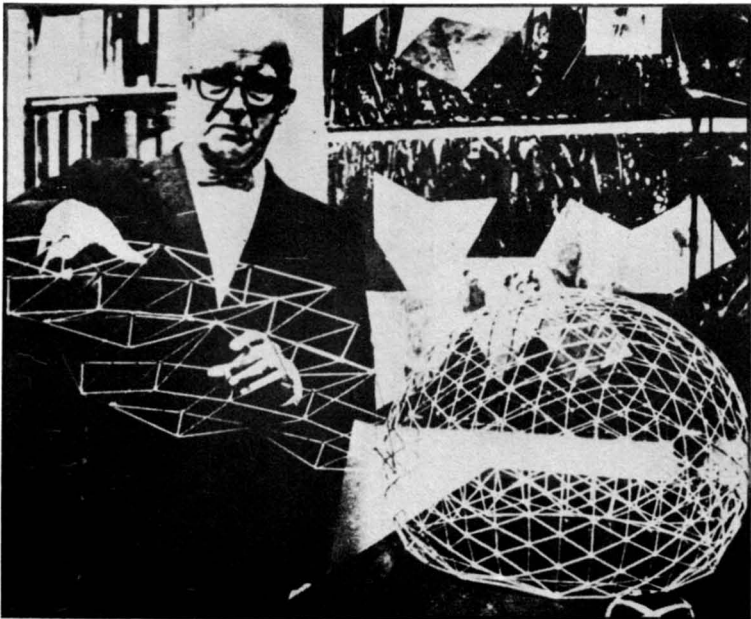




U góry: jedna ze zrealizowanych kopuł Fullera, iluminowana nocą i odbijająca się w basenie. U dołu: Fuller z modelami swoich konstrukcji



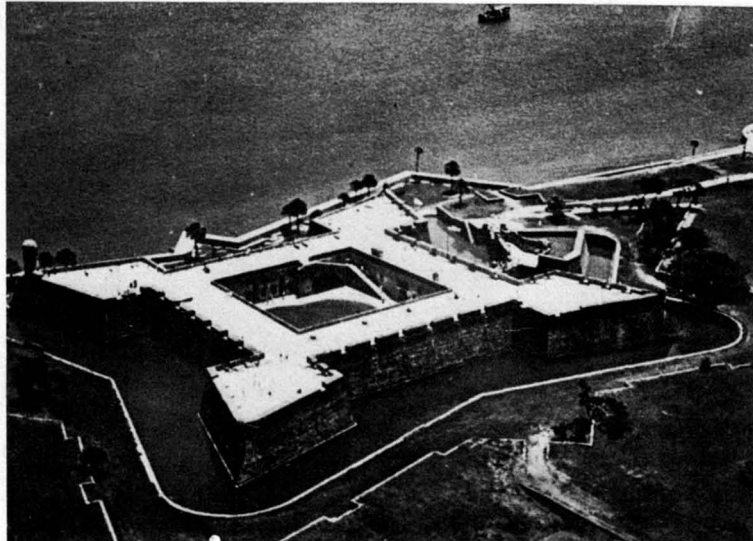
U góry: projekt Fullera przykrycia centrum Manhatanu olbrzymią kopułą geodezyjną. Po prawej: najslawniejszy pirat nowoorleański, Jean Lafitte. U dołu: Napoleon's House w Nowym Orleanie





Typowa nowoorleańska uliczka w dzielnicy Vieux-Carré.

Po lewej: charakterystyczne patio w Vieux Carré. Po prawej: „koronkowe balkony” przy rogu ulic Royal i St. Peters



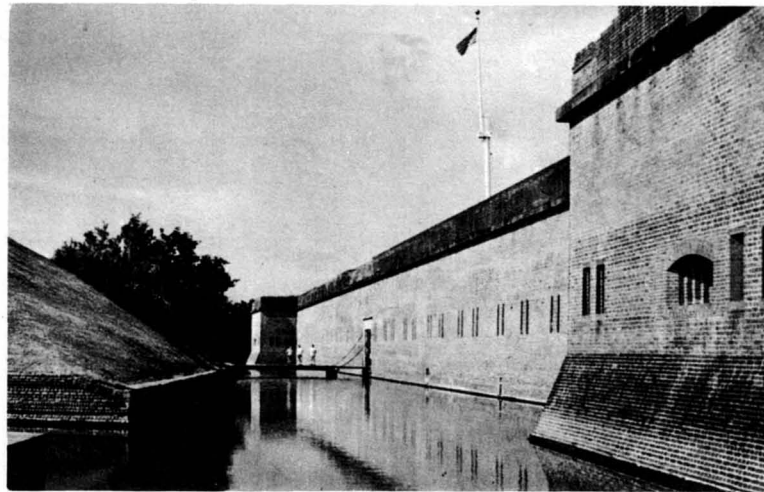
Najstarszy zamek w USA (Castillo de San Marcos) w najstarszym mieście USA (St. Augustine na Florydzie)

Po lewej: ucieczka Seminolów z Castillo de San Marcos (obraz Kennetha Rileya). Po prawej: najstarszy dom w USA





Konfederacki zamach na króla Stanisława Augusta (XIX-wieczny sztych)

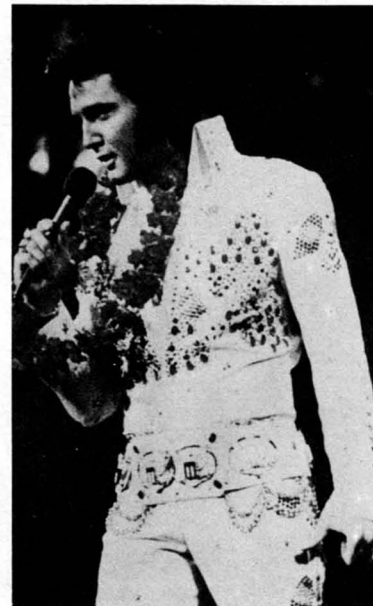
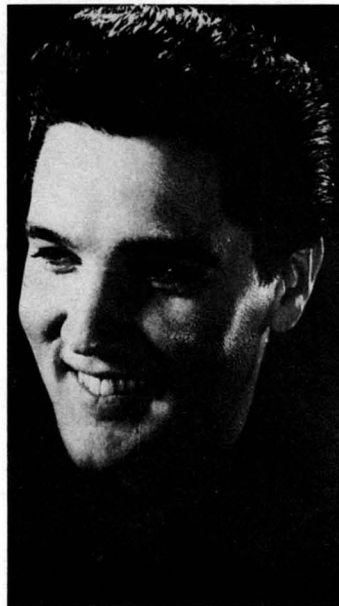


Fort Pulaski w delcie rzeki Savannah

Po lewej: król i Kuźma w młynie pod Marymontem (sztych według obrazu F. Sypniewskiego).
Po prawej: Kazimierz Pułaski (litografia A. Maurina w muzeum w Warce)



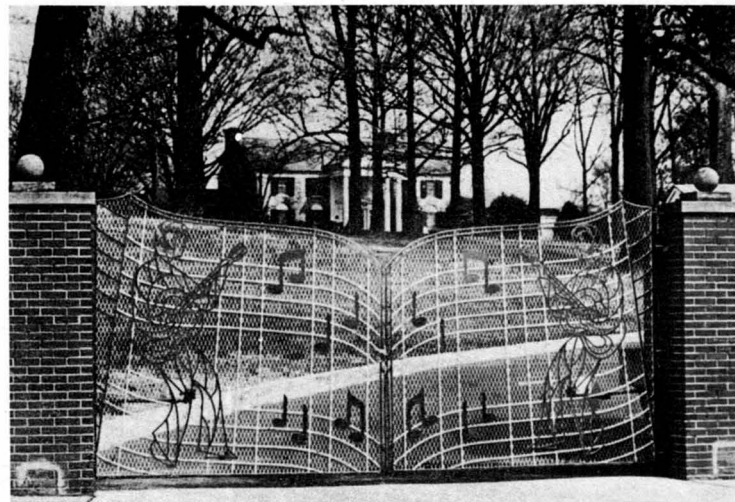
Elvis Presley uśmiechnięty (z lewej) i podczas koncertu (z prawej)



Presley ze swoją największą miłością, córeczką Lizą; na zdjęciu dolnym opowiada jej bajkę



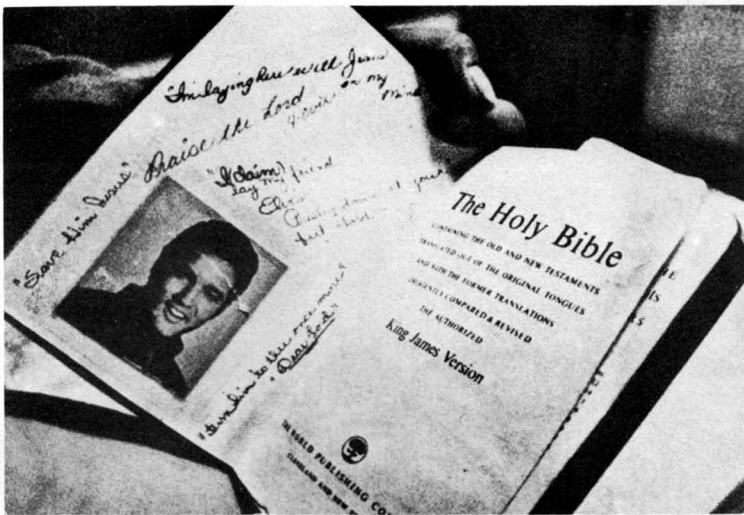
Elvis w trumnie – jedyne pośmiertne zdjęcie Presleya, jakie zostało opublikowane (w tygodniku „National Enquirer”)



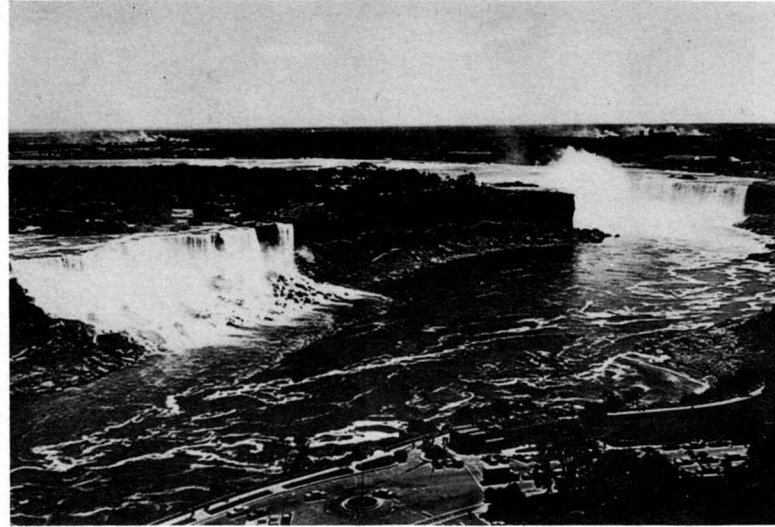
Graceland, pałacyk Presleya w Memphis, z charakterystyczną bramą do ogrodu, na której widnieją gitarzyści i nuty

Policjanci wynoszą z Gracelandu zemdlone wielbicielelki Elvisa





Ozdobiona zdjęciem Presleya biblia w misji kościelnej Indian Paiute



Niagara – widok na oba wodospady (po lewej: American Falls, po prawej: Horseshoe Falls, wodospad kanadyjski)

Pogrzebowa kawkada białych cadillaców jadąca w kierunku cmentarza. W drugim wozie, flankowanym przez eskortę, leży ciało „Kinga”



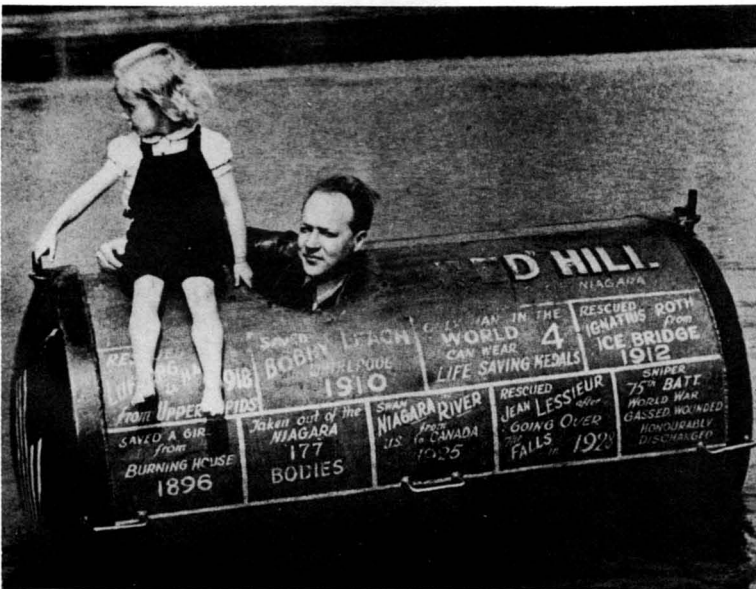
Anna Taylor, pierwsza istota ludzka, która spuściła się Niagarą nie tracąc życia. Obok beczka „Queen of the Mist”, w której pani Taylor dokonała tego wyczynu





Turystyczny statek „Maid of the Mist” u stóp Horseshoe Falls

Najbardziej wytrzymały „rycerz Niagary”, głośny „Red” Hill-junior, w pojemniku, w którym zginął w roku 1951



Poduszka firmy Modern Pillow Company